



Marek S.
Huberath

Balsam
długiego
pożegnania



Marek S.
Huberath

Balsam
długiego
pożegnania



Marek S.
Huberath

Balsam
długiego
pożegnania



Marek S.
Huberath

Balsam
długiego
pożegnania



MAREK S. HUBERATH

BALSAM DŁUGIEGO POŻEGNANIA

(SCIENCE FICTION)



WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Wydawnictwo Literackie: 2006

Spis treści

Karta tytułowa

WRÓCIEŚ SNEGG, WIEDZIAAM

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

TRZY KOBIETY DONA

Połogi grzbiet górski ciągnął się bez końca...

ABSOLUTNY POWIERNIK ALFREDA DYJAKA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

KARA WIĘKSZA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

OSTATNI, KTÓRZY WYSZLI Z RAJU

I

II
III
IV
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
XXIX

XXX

KOCIA OBECNOŚĆ

I

II

III

IV

VI

VII

VIII

IX

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

K. MIAŁ ZWYCZAJ...

AKT SZKICOWANY OŁÓWKIEM

I

II

TRZEBA PRZEJŚĆ GROBLĄ

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

BALSAM DŁUGIEGO POŻEGNANIA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

WRÓCIEEŚ SNEOGG,
WIEDZIAAM

I

Na podłodze kilka jasnych plam formowało rząddek. Snorg lubił obserwować, jak powoli wędrowały po matowej wykładzinie. Odróżniały się od łagodnej poświaty panującej w Pokoju. Już dawno odkrył, że światło to wpada przez niewielkie okna pod sufitem. Lubił leżeć na podłodze w tamtym miejscu, tak aby ogrzewało go ciepło wpadającego światła. Teraz też tego zapragnął. Spróbował poruszyć rękoma, ale zdołał tylko bezwładnie zsunąć się z pośłania.

– Dags... – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Nie mógł poruszać zdrętwiałymi szczękami.

– Dags... – powtórzył z wysiłkiem.

Jeden z Dagsów odwrócił głowę od ekranu wizora. Zareagował raczej na łomot spadającego ciała niż na głos Shorga. Moosy cały czas nuciła jakąś melodię, zastępując słowa cichym bełkotem. Dags kilkoma szybkimi susami doczołgał się do Snorga. Wymierzył mu policzek. Oba Dagsy miały bardzo silne ręce, zaś z niedorozwiniętych nóg nie korzystały prawie wcale.

– Wie... wie... – wybełkotał Dags i wykonał kilka rytmicznych ruchów ramionami, co oznaczało zapewne, że Snorg będzie mógł poruszać rękoma. Zaczął podłączać do Snorga całą płataninę instalacji. Drugi Dags również się przyczółgał i z całej siły ciągnął Snorga za włosy. Bolało go okropnie, ale właśnie to cieszyło najbardziej.

– I głowa.. głowa... – tłukło się pod czaszką. – Dobrze... jest dobrze.

Dags zaczął mu wpychać palce do oczu. Snorg szarpnął głową i ryknął z bólu. Pierwszy z Dagsów uderzył drugiego z całej siły, aż tamten spadł i potoczył się. Z oczu Snorga ciekły łzy i nie widział, czy Dags wkłuł mu w

mięśnie wszystkie przewody i czy należycie przykleił wszystkie elektrody. Ufał jednak, że Dags, jak zwykle, zrobi to dobrze. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak Dags sprawdza zamocowanie instalacji, przechylając komicznie głowę na bok – oba Dagsy miały oczy osadzone bardzo daleko od siebie i stąd te zabawne ruchy.

– Tavegner!... opowiedzieć ci bajkę?... – Snorg usłyszał donośny głos Pieckogo. Zawsze podziwiał jego wymowę. Teraz też mógł zrozumieć każde słowo, chociaż brak małżowin usznych ograniczał możliwości jego słuchu. Pieckymu odpowiedział głośny bulgot. Tavegner stale leżał bez ruchu i tylko bulgotem dawał znać o sobie. Ale gdyby Tavegner wstał, byłby z pewnością najwyższy, wyższy od Tib i od Aspe. Tib ciągle stała i tylko dlatego była najwyższa.

Może i ja byłbym wyższy od niej, gdybym stanął – pomyślał Snorg.

Cieszyła go myśl, że posiada dzisiaj czucie na całej głowie. To męczenie było małą przysługą wyświadczaną mu co dzień przez Dagsy.

– Piecky, zamknij się! – krzyknęła Moosy. – Potem mu będziesz opowiadał... teraz ja śpiewam.

Dłonie były nieczułe, jak kłoc drewna, ale poruszały się zgodnie z jego wolą. Pozrywał z siebie całą płataninę przewodów i rurek. Uszczypnął się mocno w ramię. Było bez czucia.

Przynajmniej się porusza – pomyślał. Obejrzał rany i otarcia na ciele. Większość z nich już goiła się. Ale przybyły też dwa nowe skaleczenia po ostatnim upadku z posłania. Obrażenia były zmorą Snorga: chwila nieuwagi, niezręcznie potrącony mebel, i nie wiedząc nawet o tym, rozrywał sobie skórę. Obsesyjnie obawiał się, że nie zauważy w porę rany i wywiąże się zakażenie.. Doczołgał się do wizora. Obok nieruchomo stała Tib, a jeden z Dagsów starał się od dołu ściągnąć z niej ubranie.

Kto ją ubiera? – pomyślał. Codziennie Dagsy robiły to samo i co dzień z rana znów była ubrana. W końcu szara koszula zsunęła się z Tib na podłogę i Dags zaczął wspinać się po jej nodze.

Snorg przypatrywał się, co nastąpi. Stało się to, co zawsze: mały nic nie wskórał. Gdy był już dość wysoko, Tib po prostu zaplotła nogę za nogę. Zrezygnowany Dags przykucnął przed wizorem i gapił się w ekran.

Nie jest taka głupia... – pomyślał Snorg. – Zawsze w porę zdąży z nogami...

Tib była już kobietą – Snorg uświadomił sobie to właśnie teraz. Wyglądała dokładnie tak, jak pokazywał ekran wizora podczas którejś z kolejnych lekcji.

Ma chyba trochę za wąskie biodra i jest za wysoka, a tak to wszystko się zgadza... – dotąd patrzył na nią jak na mebel, nieruchomą dekorację Pokoju. Wydawała mu się zawsze bardzo wysoka i rosła jeszcze z perspektywy podłogi.. Bardzo chciał kiedyś porozmawiać z Tib. Była jedyną osobą w Pokoju, z którą nie udawało się nawiązać kontaktu. Nawet Tavegner, który leżał nieruchomo jak bryła mięsa i nie potrafił wypowiedzieć ani słowa, miał wiele ciekawych rzeczy do przekazania. Trzeba było tylko umiejętnie z nim rozmawiać: „tak” – pojedynczy bulgot, „nie” – podwójny. Tavegner wypełniał sobą prawie pół Pokoju i długo wszyscy myśleli, że jest taki, jak Tib. Dopiero Piecky wpadł na pomysł, jak się z nim dogadać. Najpierw Dagsy odkryły, że reaguje na szturchańce, bo bardzo lubiły przesiadywać na jego rozległym, ciepłym i miękkim ciele. Piecky w ogóle był bardzo mądry i wymyślił, żeby Tavegner bulgotał „tak” na właściwą literę alfabetu, a kiedy chce skończyć słowo, to jeszcze dwa razy na dodatek. Wszyscy się zgromadzili wtedy wokół niego. Nawet Snorg przyniósł pudełko z Pieckym, a Dagsy przywlokły Moosy. Wspólnie składali literę po literze, „Jestem Tavegner” – powiedział wówczas Tavegner. Potem jeszcze

powiedział bardzo wiele innych rzeczy. Mówił, że lubi, gdy Dagsy łążą po nim, dziękował Pieckymu i prosił, żeby go trochę przesunęli, bo słabo widzi ekrany. Ostatnio jednak Tavegner się rozleniwiał: woli, żeby mu zadawać pytania, a on tylko potakuje lub zaprzecza.

Snorg podsunął się do Pieckiego.

– Ty, Piecky, to jesteś mężczyzną czy kobietą?... – zapytał i zaczął rozwijać prześcieradełko.

– Odczep się, Snorg... odwal się, do jasnej cholery... Ja jestem po prostu Piecky... – małe ciało Pieckiego wyrywało się gwałtownie. Snorg odwinął go w końcu do reszty i zaraz z powrotem zaczął zawijać.

– Ty rzeczywiście jesteś Piecky... – powiedział.

– Mówię ci to, durniu, już od dłuższego czasu... – Piecky pogardliwie wykrzywił wargi. – Dagsy dawno by już odkryły, gdyby było inaczej...

Piecky miał wspaniałą głowę, nawet większą od głowy Snorga i ukształtowaną niezwykle prawidłowo, znacznie lepiej nawet niż głowy tych, których oglądał na ekranach.

– Masz wspaniałą głowę, Piecky – powiedział Snorg, żeby go trochę udobruchać. Piecky aż pokraśniał.

– Wiem o tym, a ty masz dość paskudną gębę, chociaż też całkiem prawidłową, gdyby nie te uszy... których nie ma – odparł. – Jestem dużo mądrzejszy i będę jeszcze długo istniał, gdy was już skasują...

– Co mówisz? – spytał Snorg.

– Nic... Podaj mi ssawkę.

Snorg wyciągnął ze ściany przewód do usuwania wydaliny, podpiął Pieckymu i odsunął się. Wizor pokazywał drzewa, wiele drzew. Były piękne i kolorowe, poruszały się rytmicznie. Snorg nigdy nie widział drzewa i zawsze marzył, żeby na nim leżeć. Wyobrażał sobie, jak gałęzie ułożą się wokół niego w miękkie, ciepłe posłanie. Wizor zawsze pokazywał

rzeczy piękne: rozległe krajobrazy, ludzi zbudowanych prawidłowo, uczył różnych pożytecznych rzeczy. Snorg czuł żal i winę. Żałował, że nie jest tak piękny jak ci inni ludzie, widziani na ekranie wizora i wykonujący różne, – skomplikowane czynności. Z perspektywy podłogi i własnej niesprawności ci inni wydawali się niemal doskonałymi. Był przekonany, że to jego wina, że jest taki, jaki jest, a nie taki, jak ludzie z pięknych obrazów ekranu, chociaż nie rozumiał, dlaczego jest to jego wina. Patrząc na ekran, zapominał o wszystkim. Oczyma chłonał widoki i wiedzę, która płynęła z ekranu. Oglądał i poznawał wiele rzeczy, których nigdy w Pokoju nie było i których nigdy by nie zobaczył, gdyby nie wizor.

Na ekranie ukazała się kobieta. Stała nieruchomo. Na jej przykładzie demonstrowano, jakie proporcje ciała powinna mieć poprawnie zbudowana kobieta. Obok ekranu stała nieruchomo Tib i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Porównywał jej budowę z tamtą z ekranu. Tib była łysa, zupełnie łysa, nie miała ani jednego włosa na ciele i przez to jej głowa różniła się bardzo od głowy tamtej kobiety, ale Snorg spróbował wyobrazić sobie włosy na jej głowie i wtedy nie było aż tak źle. Miała delikatne małżowiny uszne, lekko odstające i pod światło nieco przeświecające. Tych uszu Snorg zazdrościł jej szczególnie. Na ekranie pojawiły się linie zaznaczające poprawne proporcje ciała. Snorg podczołgał się do Tib, aby sznurkiem zmierzyć jej proporcje. Nie dość, że jej obie ręce miały równą długość, podobnie jak i nogi, że ręce miała krótsze od nóg, to i w najdrobniejszych szczegółach jej budowa zgadzała się ze wzorcem. Aby jeszcze porównać rozmiary jej głowy z resztą ciała, przyklęknął i wyciągnął rękę do góry. Wszystko się idealnie zgadzało – spojrzał na nią z podziwem.

Ciało ma w pełni poprawne – pomyślał i uświadomił sobie, że udało mu się uklęknąć na bezwładnych nogach. Natychmiast upadł.

Szum w uszach świadczył, że upadek był połączony z utratą przytomności. Gdy ucichł, Snorg usłyszał, jak Piecky głośno krzyczy do Moosy.

– Daj spokój! Nie broń się... Skończy i sobie pójdzie – mówił Piecky.

Moosy głośno szlochała.

– Nie znoszę tego... To ohydne zwierzę... Przestań! Zostaw mnie wreszcie!...

Snorg podniósł głowę: to jeden z Dagsów wdrapał się do skrzynki z Moosy.

To powoli robi się nieznośne – pomyślał. – Nie można się im sprzeciwić... nie można sobie z nimi poradzić.

Dags przestał głośno sapać i zeskoczył na podłogę.

II

Piecky miał opowiadać bajkę. Dagsy przymocowały mu rękę, którą mógł wykonywać bardzo ograniczone ruchy. Nieustannie drapał się nią po twarzy.

– To znakomite, to świetne – powtarzał. – Nie umiecie posługiwać się swoimi ciałami..

Kilka uderzeń wymierzonych przez Dagsy szybko doprowadziło go do porządku. Zaczął opowiadać.

– To był piękny sen – Piecky przymknął oczy. – Unosiłem się w powietrzu... Było cudownie... Miałem takie czarne, płaskie skrzydła po bokach, jak pokazują czasem w wizorze...

Powietrze poruszało się wraz ze mną. Było cudownie chłodno... – mówił coraz ciszej, jakby do swoich myśli. – Obok leciała Moosy. Jej skrzydła były jaskrawozielone. Miała cztery skrzydła i trzepotała nimi tak, że żałowałem, że jestem tylko Piecky...

Z kąta rozległ się donośny bulgot.

– Tavegner prosi, żebyś opowiadał głośniej – powiedział Snerg, a następny głuchy bulgot to potwierdził.

– Dobrze, będę mówił głośniej – Piecky jakby się otrząsnął. – Pokój stawał się coraz mniejszy i mniejszy – kontynuował – a wszystko wokół coraz bardziej zielone. W dole leciały oba Dagsy, leciały też tam, gdzie my... i było cudownie, bo niebo, ku któremu leciałem, było wielkim ekranem wizora i widać było coraz wyraźniej ziarenka ekranu. Mogłem poruszać się we wszystkich kierunkach...

Z kąta, gdzie stała skrzynka z Moosy, rozległ się cichy szloch. Snorg przyczołgał się w jej stronę.

– Potrzebujesz czegoś?... – zapytał.

– Chciałam ciebie zawołać, bo gdyby przyszedł któryś z Dagsów, to znowu zrobiłby to, czego nienawidzę. Ułóż mnie obok Pieckiego, dobrze? – poprosiła.

– Wzruszyłaś się jego opowieścią? – zapytał Snorg, przypatrując się Moosy. W odróżnieniu od Pieckiego miała wszystkie kończyny, choć niedorozwinięte i zmarniałe.

– To nie Piecky, to Tayegner – powiedziała przez łyży. – Gdy Piecky opowiadał, Tavegner prosił, żeby go tłumaczyć po literze... i, wiesz, powiedział...

Snorg pokiwał głową.

– Powiedział, że chce iść na przemiał zamiast Pieckiego...

– Na przemiał? – Snorg nie zrozumiał.

– Piecky to już dawno odkrył – wyjaśniła Moosy. – On uważnie analizuje wszystko, co mówią w wizorach. Wybiorą z nas kilkoro najlepiej... najpoprawniej zbudowanych, a resztę – na przemiał...

– Tak jak pokazują na ekranach i mówią, że to wojna? – upewnił się.

Skinęła głową..

– Połóż mnie obok Pieckiego – przypomniała Moosy. – On zawsze, gdy skończy opowiadać swój piękny sen jest zupełnie załamany...

Z wielkim wysiłkiem wyciągnął Moosy z pudła i przytaszczył do kojca, w którym leżał Piecky, po czym natychmiast musiał znowu ześlizgnąć się z powrotem na podłogę, gdyż Tib zaczęła się zanieczyszczać. Podsunął jej ssawę. Gdy skończyła, z całej siły uchwycił ją za biodra i uniósł się na kolana.

– Nie rób tego tak, dobrze?... – powiedział, patrząc na nią. Tib pochyliła głowę i przyglądała się jego twarzy, wykrzywionej z wysiłku. Jej małżowiny uszne mocno odstawały i właśnie przeświecał je promień światła. Wydały mu się niezwykle piękne. Zacisnął odrętwiałe szczęki i uchwycił Tib za ramiona. Wyczuł, że ona mu w tym pomaga, nie odsuwa się do tyłu, lecz z całej siły stara utrzymać prosto, jako jego oparcie. Nadal uporczywie wpatrywała się w jego twarz. W jej uchylonych ustach widać było zęby.

Snorg poczuł się wielki, gigantyczny... Staął. Pierwszy raz stanął na swych sparaliżowanych nogach. Patrzył teraz na nią nawet nieco z góry... na wysoką aż pod niebo Tib.

Inni przerwali swoje rozmowy.

Postanowił zrobić krok. Czuł swoją moc... Nagle ujrzał, jak jedna ze stóp wysuwa się w jej kierunku...

– Tib!... idę... – to miał być krzyk, a wyszło chrapnięcie czy szloch. Nagle wszystko zakołysało się, Snorg jak długi runął na plecy.

III

Pokój miał jeszcze dwóch innych, starych mieszkańców, z którymi Snorg nie stykał się wcale, gdyż oboje wykorzystywali tę samą aparaturę co on. W czasie gdy on był aktywny, oni spali. Byli to Aspe i Dulf. Aspe kształtem przypominała Tavegnera, chociaż nie dorównywała mu rozmiarami. Piecky mówił, że jest bardzo inteligentna i złośliwa. Wprawdzie nie umiała mówić, ale porozumienie z nią nie nastęczało żadnych problemów. Nie odpinała nigdy sztucznych rąk i uwielbiała robić dziwne psikusy Pieckymu albo Tavegnerowi. Snorg bardzo chciał kiedyś porozumieć się z nią albo z Dulfem, który leżał nieruchomo skręcony w embrion, a jego niezwykle pomarszczona skóra przywodziła na myśl zgrzybiałą starość, chociaż był w wieku ich wszystkich, to znaczy zaraz po okresie dojrzewania. Tib przestała zanieczyszczać Pokój, nauczyła się podchodzić do Snorga, gdy tylko czuła potrzebę. Snorg, widząc to, z reguły był w stanie zdążyć ze ssawą. Tib zaczęła na niego reagować: zdarzało się, że przechodziła w tę stronę Pokoju, gdzie właśnie leżał, i stała w pobliżu, patrząc na niego. Była znacznie bardziej aktywna niż dotąd.

– Nie doceniałem cię, Snorg – powiedział kiedyś Piecky. – Jesteś fajny facet... Potrafiłeś nawiązać kontakt z tą chudą – nigdy nie mówił o Tib inaczej, jak „ta chuda”. – Mnie się nie udało, chociaż starałem się bardzo... Ty się zmieniłeś, Snorg. Dawniej przypominałeś okrwawione nieustannie zwierzę. Teraz widać myśl na twojej twarzy.

Zwierzę oznaczało coś brutalnego, bezmyślnego i potwornie silnego. Czasem wizor ukazywał obrazy prawdziwych zwierząt, i które już dawno wymarły. Cieszyła go opinia Pieckyo, wiedział też dlaczego Piecky tak

uważa. Od tamtego dnia Snorg ćwiczył upór i siłę woli. Od momentu, gdy siłą woli zmusił bezwładne nogi do zrobienia pierwszego kroku, wola stała się dla niego sprawą najważniejszą. Teraz potrafił już zrobić wiele kroków, chociaż często kończyło się to ryzykownym upadkiem. Wstawał, wspierając się o ciało Tib, ale stąpał już samodzielnie, a ona tylko go przytrzymywała. Po obudzeniu potrafił nawet czasami bez pomocy Dagsów i bez pomocy instalacji odzyskać władzę w rękach.

– Widać wolę na mojej twarzy – odpowiedział Pieckymu. Piecky leżał z uniesioną głową i patrzył na niego.

– To prawda – powiedział – Rysy twojej twarzy stwardniały, kąciki ust obniżyły się. Musisz się spieszyć, Snorg. Czuję, że już niedługo będziemy tutaj razem... Piecky stawiał na swą wiedzę i intelekt. Godzinami tkwił przed klawiaturą jednego z wizorów i jeśli tylko któryś z Dagsów nie odmontował mu dla kawału jego sztucznej ręki; nieustannie pisał na monitorze. Zdobywanie wiedzy i kontakt z maszyną były jego pasją. Snorg był przekonany, że aby uszczęśliwić Pieckiego, wystarczy zanieść go przed klawiaturę i ułożyć tak, aby mógł trwać w swojej pozycji przez kilka godzin.

IV

Snorg postanowił nauczyć Tib mówić. Piecky poradził mu, żeby pozwolił jej wyczuć wibracje strun głosowych na swojej krtani. W tym celu uchwycił ją za biodra, aby powstać. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie i Tib upadła na podłogę. Po raz pierwszy ujrzał ją leżącą. Jeden z Dagsów, korzystając z okazji, błyskawicznie wcisnął się pomiędzy jej rozrzucone bezwładnie nogi. Snorg zamachnął się i mały, trafiony na odlew, aż potoczył się po podłodze zalany krwią.

– Snorg! – krzyknął Piecky. – Przestań! Zrobisz mi krzywdę.

– To moja krew – powiedział Snorg, oglądając dłoń. – Rozwaliłem sobie rękę o niego.

Tib pozbierała się już i usiadła. Dagsy nie zbliżały się do niej, bacznie obserwując Snorga.

– Swoją drogą dobrze, że mu przyłożyłeś – powiedział Piecky. – Dostał też jakby ode mnie za Moosy... Robią obaj z moją Moosy, co chcą... i kiedy chcą...

Snorg ujął Tib za rękę i położył jej dłoń na swojej krtani.

– Tib – powiedział, wskazując palcem na nią. Nadal patrzyła na niego w milczeniu.

– Tib – powtórzył. Wyglądała na przestraszoną.

Przesunął dłonią po jej twarzy, dotknął różowawego uszka i zdumiał się: Tib nie miała otworu usznego.

– Piecky! – krzyknął, zupełnie już panując nad szczękami. – Jesteś genialny! Ona jest zupełnie głucha! Tylko przez dotyk... Miałeś rację.

Z nowymi siłami zaczął z przesadną poprawnością powtarzać jej imię. Za którymś razem jej wargi poruszyły się i wydała stłumiony i głuchy dźwięk: „grhb...” Wstała i kilka razy powtórzyła: – Gyrdb... ghdb... – mówiła coraz głośniej, chodząc po pokoju.

– Obudzi Dulfa – zauważył Piecky. Snorg przywołał ją gestem. Usiadła, znów zaczął powtarzać jej imię.

– Wiesz, widziałam dzisiaj z rana, jak Dagsy robią to ze sobą powiedziała Moosy, Rano oznaczało porę, gdy na podłodze pojawiały się promienie słońca wpadające przez okienka pod sufitem.

– Najpierw jeden to robił na drugim, a potem się zmieniły – dokończyła.

– To się nigdy nie zdarza w ciągu dnia – stwierdził Piecky.

– Może się nas wstydzą?

– Dagsy?! – roześmiał się. – Z takimi niskimi czołami?... To muszą być kretyni.

Tib uczyła się stosunkowo szybko. Wkrótce umiała wymówić swoje imię, imiona Snorga i Pieckego oraz kilka innych słów. Piecky uważał, że ona ma częściowo upośledzony również wzrok i większość informacji dociera do niej przez dotyk. Przyznawał jednak, że nie jest wcale pewien, czy jest to fizjologiczny niedorozwój, czy może mózg Tib nie potrafi należycie opracowywać danych napływających przez oczy.

V

Coraz częściej zaczął budzić się Dulf. Nie zmieniał nigdy swojej pozycji na podłodze, chociaż poruszał powiekami i nawet mówił. Jego wymowa była zabawna: jąkał się nieco i miał kłopoty z doborem słów. Snorg chciał dowiedzieć się, jak Dulf potrafi radzić sobie bez pomocy aparatury, ale Dulf nie rozumiał znaczenia słowa, „wola” i na razie nie było o czym dyskutować. Dagsy próbowały kiedyś rozprostować Dulf a na podłodze, ale okazało się, że jest zrośnięty w kabłąk. Piecky stwierdził, że jest to niemożliwe i że jedynym wyjaśnieniem może być tylko to, że Dulf jest parą zrośniętych bliźniąt i ma maleńkiego braciszka przyrośniętego w rejonie brzucha.

– Swoją drogą, Snorg... – Piecky: uniósł swoją jedyną, sztuczną kończynę znad klawiatury – ...zauważyłeś, jak szybkim zmianom ulega nasze życie? Dotąd myślałem, że rządzi się ono ustalonymi prawami: ty czołgałeś się po ziemi, Tib stała jak kłoc, Dulf mówił tylko wtedy, gdy ty byłeś nieruchomy, a teraz?...

– Do czego zmierzasz, Piecky? – zainteresował się Snorg: – Czekają nas poważne zmiany, bardzo poważne. Pamiętasz, jak było dawniej, tak całkiem dawno? – Piecky mówił chaotycznie..

Snorg kiwnął głową.

– Dawniej każdy z nas miał przed nosem ekran, który uczył wszystkiego i pokazywał, jaki jest świat i jaki powinien być...

Każdego z nas oplatała pajęczyna przewodów, które pobudzały nasze mięśnie do działania, nasze organy, cały organizm... Wszystko, żeby nas utrzymać przy życiu.

– Ja nadal czasem korzystam z instalacji, ale jak przez mgłę pamiętam, że kiedyś tak było ze wszystkimi z nas... – przerwał Snorg.

– Właśnie! – Piecky ożywił się. – Rąbią w nas narkotyki czy inne prochy... Zapominamy... Chociaż może oni chcą, żeby ta wiedza lądowała gdzieś głębiej w nas... w podświadomości.

Snorg zauważył, że Piecky wygląda bardzo źle: na jego wspaniałej twarzy widać było zmęczenie, pod oczyma miał ciemne sińce, był bardzo blady.

– Zbyt dużo czasu spędzasz przed ekranem. Wyglądasz coraz gorzej... – powiedział.

Natychmiast zainteresował się Pieckym jeden z Dagsów. Najwyraźniej zamierzał przenieść go w inne miejsce, chociaż na razie tylko lekko gładził go po twarzy i ciągnął za włosy.

Piecky spojrzał porozumiewawczo na Snorga.

– Widzisz? – uśmiechnął się. – One jednak rozumieją wiele. Sam się niedawno przekonałem. Nie rozumiem, dlaczego obaj chcą uchodzić za kretynów...

Dags wymierzył Pieckemu policzek i odbiegł rozgniewany w inną część Pokoju. Piecky uśmiechnął się szerzej.

– Ty, Snorg, myślisz, że ja się bawię?... Że wystarczy posadzić Pieckogo przed ekranem, przymocować mu jego sztuczną rękę i będzie zadowolony, co?...

Snorg miał niewyraźną minę.

– Snoegg – powiedziała Tib. Umiała już wyciągać ssawy ze ścian i nie zanieczyszczała Pokoju, ale jeszcze nie potrafiła poradzić sobie z chowaniem przewodu. Snorg pomógł jej i zaraz wrócił do Pieckogo.

– Dzięki wizorowi dowiedziałem się już wielu rzeczy. Wiesz, Snorg, że takich pokoi, jak nasz, jest bardzo wiele?... Żyją w nich tacy sami jak my.

Jedni bardziej, inni mniej upośledzeni... Można te pokoje oglądać, bo Wszędzie są nie tylko ekrany, ale i kamery... My też jesteśmy nieustannie podglądani... Wydaje mi się, że ich obiektywy są gdzieś w pobliżu sufitu, ale bardzo trudno je wypatrzeć. Wiesz, w jednym z tych pokoi, takim ciemnoniebieskim, żyje taki sam Piecky jak ja... Ma na imię Scorp. Porozumieliśmy się: on mnie oglądał na ekranie, a ja jego... Też ma sztuczną rękę...

– Może my nie zasługujemy, żeby tak żyć, jak ci poprawnie zbudowani, których pokazują na ekranach? – spytał Snorg.

Piecky aż fuknął ze złości.

– Przestań!... Już cię zgnoili. Masz poczucie winy od gwałtownych poruszeń rozluźniły się paski przytrzymujące jego sztuczną kończynę. Snorg poprawił jej umocowanie.

Przenikliwie oczy Pieckiego nadal rzucały błyskawice.

– To oni wywołują w nas poczucie winy... – wyrzucił z siebie. – Jeszcze nie wiem, po co oni to robią – ale dotrę do tego... Tak jak wyciągnąłem z tych cholernych ekranów znacznie więcej niż miałem wiedzieć...

Snorg był zdumiony mocą, która biła od Pieckiego.

Dotąd uważałem, że wola jest moją specjalnością – pomyślał.

Widocznie jego twarz wyrażała zdziwienie, które Piecky odczytał jako niewiarę, gdyż przekonywał go dalej: – Zwróć uwagę, Snorg: każdy program, każda informacja... jaki człowiek być powinien, ręce... takie i takie... nogi... takie i takie, tak jest poprawnie...A my?...A ja?... Strzępek człowieka?... To moja i wina?... Rozumiesz?!... Po co oni nam to stale powtarzają?...

Snorg milczał. Stwierdził, że Piecky jest niezwykle mądry, można od niego nauczyć się patrzeć inaczej i widzieć więcej niż dotąd. Ale obok

niego usiadła Tib i zaczęła tulić twarz do jego twarzy. To delikatne dotknięcie było czymś, co Snorg lubił najbardziej.

– Boję się, że nie zdążę już dowiedzieć się wszystkiego... Już chyba zbyt mało czasu... – Piecky skończył ciszej, widząc, że Snorg go już nie słucha.

VI

- Pieckyy! – zawołała Moosy.
- Przestań on śpi – zaprotestował Snorg.
- To podejdź tu i popatrz na Aspę – powiedziała. – Ona nie oddycha.

Powstanie o własnych siłach kosztowało Snorga kilka sekund straszego napięcia. Wydawało się, że Aspe leży jak zwykle nieco zgięta, ze zmarniałymi rękami podwiniętymi pod wielką, płaską twarz.

Snorg przyjrzał się jej.

- Ona śpi, jak zwykle.
- Mylisz się, Snorg. Przyjrzyj się jej uważnie.

Odwrócenie Aspe twarzą do góry było ponad jego siły. Na szczęście w pobliżu pojawiły się wścibskie Dagsy. Wspólnymi siłami udało się ją ruszyć. Ciało było zimne i już sztywniało.

– Cholera, miałaś rację... To nastąpiło już dość dawno – powiedział głucho. – Nawet nie zamieniłem z nią jednego słowa... Zawsze spała... Obudzić Pieckyygo?

– Nie, i tak się dowie... – odrzekła. – Nie rozumiem jej śmierci. To się nie zgadza z tym, co mówi Pieckyy.

Snorg siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Usłyszał za sobą cichy, bełkotliwy dźwięk i odwrócił się. Tavegner płakał. Łzy, jedna za drugą, ściekały po jego czerwonych policzkach.

– Odwróć mnie na plecy. Skóra na brzuchu pali mnie tak, że chyba dostałam już odleżyn – poprosiła Moosy.

– Leżąc na brzuchu, jesteś jakoś zabezpieczona przed Dagsami – zauważył.

– Dla nich to żaden problem odwrócić mnie na plecy, kiedy im przyjdzie ochota.

Ciało Aspe zniknęło, gdy wszyscy spali, i nikt nie był w stanie powiedzieć, jak to zostało wykonane. Widząc, że Piecky zmęczony siedzi nad klawiaturą, Snorg postanowił nawiązać do rozmowy z Moosy. Ułożył Pieckego wygodniej i przysiadł się.

– Śmierć Aspe nie przeczy moim spostrzeżeniom – odpowiedział Piecky.
– Prawa, które nami rządzą, działają statystycznie... Po prostu: najpierw nas wszechstronnie badali i wybrali zdolnych do przeżycia... a może po prostu inni zmarli... Potem odrzucili niezdolnych do nauki, takich zupełnych kretynów, a pozostałych uczyli intensywnie, na różne sposoby...

Snorg spojrział na harczące Dagsy, a potem na Pieckego, który odpowiedział mu uśmiechem.

– No właśnie... – ciągnął Piecky – Aspe umarła, bo ich badania nie są dość precyzyjne. A może po prostu dalsze przeżycie jest testem...

– Co dalej? – zapytał Snorg.

Piecky wyrażał całym sobą kompletną bezradność.

– Jestem przekonany, że nic dobrego... W każdym razie sobie nie wróżę nic dobrego – powiedział, jakby z wahaniem. – Widzisz, Snorg, udało mi się wejść do systemu informacyjnego, który nas obsługuje. Widziałem różne pokoje. W każdym z nich są ludzie – mówiąc słowo „ludzie”, rzucił szybkie spojrzenie na Snorga – ludzie w naszym wieku lub niewiele młodszy od nas. Gdy są bardzo młodzi, to siedzą przed ekranami i ładuje się w nich wiedzę; gdy w naszym wieku, to robią to, co my teraz robimy: żyją, obserwują, komunikują się... Ale jeszcze nie znalazłem pokoju z ludźmi dużo starszymi... Jest jakaś bariera informacyjna... Na bezpośrednie pytania system odpowiada milczeniem... Ale to wszystko się już wkrótce wyjaśni. Czuję to, Snorg.

VII

W oczy Snorga uderzył silny blask. Przez chwilę nie był w stanie zogniskować wzroku. Uświadomił sobie, że opuścił Pokój. Leżał na czymś twardym w pomieszczeniu, które wydało mu się olbrzymie. Odczuwał osamotnienie, gdyż nie było tu nikogo spośród jego współmieszkańców. W drugim końcu pomieszczenia siedział nieznajomy mężczyzna. Wydał mu się niezwykle stary, choć po prostu był starszy od tych, wśród których Snorg się dotąd obracał. Mężczyzna zauważył przebudzenie Snorga i podszedł, wyciągając rękę.

– Nazywam się Bablyoyannis Knoboblou – powiedział.

Snorg powoli, z wysiłkiem woli gramolił się z posłania: – Gratuluję, Snorg. Z dniem dzisiejszym stał się pan człowiekiem. Był pan najlepszy... – Snorg tym razem zdążył i uściśnął prawicę tamtego. Bardzo chciał wiedzieć, jaka ta ręka była w dotyku... – Mam tu świadectwo centrum informacyjnego – tamten podniósł z pulpitu kilka kartek – oraz pozytywną decyzję komisji złożonej z ludzi.”.. Otrzyma pan dowód tożsamości i może wybrać sobie nazwę.

– Cco?... – wybąkał w końcu Snorg.

Tamten sprawiał wrażenie życzliwego urzędnika, który załatwia dość miłą, lecz rutynową sprawę.

– Przeglądałem pańskie wyniki... – Bablyoyannis nadal wpatrywał się w trzymane papiery. – 132 punkty... Nieźle... Ja w swoim teście kiedyś miałem 154... – pochwalił się. – Ten Piecky niebezpiecznie zbliżył się do pana miał 126 punktów, ale brak kończyn, narządów rozrodczych... To bardzo trudno nadrobić wyłącznie inteligencją... Swoją drogą, to lepiej, że

ktoś, zbudowany tak jak pan, został wytypowany, a nie jakiś tam kadłubek...

Chciałbym ci rozbić ten twój nadęty pysk, gnojku – pomyślał Snorg.

– Piecky jest moim przyjacielem – powiedział, czując znajome odrętwienie szczęk.

– Lepiej nie mieć przyjaciół, zanim nie zostanie się człowiekiem... – zauważył Bablyoyannis. – Chce pan znać ich wyniki?... Moosy – 84, Tib – 72, Dulf – 30... Reszta prawie zero: Dagsy – po 18, i ten wór, Tavegner – 12... – Bablyoyannis odpowiedział na swoje pytanie.

Snorg słyszał pogardę w jego głosie i czuł narastającą nienawiść do tego człowieka. Wydawało mu się, że mógłby nawet go zabić.

– Co teraz będzie ze mną? – zapytał. Skurcz szczęk nie ustępował.

– Jako człowiek ma pan możliwość wyboru. Wkracza pan w normalne życie w społeczeństwie. Krótkie przeszkolenie... a potem może pan nadal się kształcić lub podjąć pracę. Od dzisiaj uzyskuje pan kredyt finansowy w wysokości 400 pieniędzy, przysługujący każdemu, kto staje się człowiekiem. Ale osobiście odradzam panu robienie operacji kosmetycznych przed uzyskaniem stałego źródła dochodów. Ostatecznie małżowiny uszne nie są aż tak ważne... – posłał Snorgowi porozumiewawcze spojrzenie. – Później też znajdzie pan coś ekstra... Zawsze jest duży wybór.

Snorg poczuł zimny pot spływający po karku: przed oczyma stanęła mu Tib.

– Co będzie teraz z innymi?... – wydusił w końcu.

– A; tak, to też ma pan prawo wiedzieć – Bablyoyannis był zniecierpliwiony. – Zawsze rodzi się znacznie więcej osobników niż potem zostaje ludźmi. Oni pójdą na materiał na przeszczepy. Można przecież z nich wybrać niezłe uszy...: oczy... wątroby... Chociaż z niektórych nawet

tego nie będzie. Taki Tavegner nadaje się chyba wyłącznie jako materiał do kultur tkankowych...

– To nieludzkie – wyrwało się ze ściśniętych ust Snorga.

– Co nieludzkie?! – Bablyoyannis poczerwieniał. – Nieludzkim było rozpoczęcie wojny. Teraz sto procent populacji rodzi się upośledzone fizycznie, a trzy czwarte – psychicznie. I to z reguły rodzi się dzięki sztuczному zapłodnieniu. Pretensje może pan mieć tylko do naszych pradziadów.

Widocznie Snorg nie wyglądał na przekonanego, więc Bablyoyannis wyjaśniał dalej.

– Liczbę narodzin zwiększa się do maksimum, żeby zwiększyć prawdopodobieństwo powstania osobników zbliżonych do normalnych – popatrzył badawczo na Snorga. – A inni... To najtańszy sposób wytwarzania materiału. Przecież ci wybrani też nie są zupełnie normalni, prawda Snorg?... Pracuję w tej branży już siedem lat – ciągnął Bablyoyannis – i jestem przekonany, że właśnie ta droga jest jedynie słuszna.

– Pan też nie jest całkowicie poprawny, powłóczy pan lewą nogą, a pańska twarz jest chyba częściowo sparaliżowana, Bablyoyannis – zauważył Snorg.

– Wiem, że to widać – tamten był przygotowany na tę uwagę – ale solidnie pracuję i odłożyłem pieniądze prawie na całą rękę... na przeszczep.

VIII

Tibsnorg Pieckymoosy rozpoczął pracę w centralnym archiwum materiału biologicznego. Jednocześnie nadal się uczył. Zarobki, jakie otrzymywał, były dość wysokie, jednak po potrąceniu raty za dotychczasową opiekę zostawało niewiele. Opłata za wyżywienie oraz mały, ciemny pokój pochłaniała resztę poborów tak dokładnie, że pozostawała mu kwota symboliczna. Żywił się syntetycznym pożywieniem w zbiorowej stołówce. Było to lepsze niż dotychczasowa kroplówka. W stołówce spotykał ciągle tych samych ludzi i było to nudne, ale stwierdził, że na razie nie stać go na droższą jadłodajnię, gdzie można było przychodzić o różnych porach. Ze spotykanymi ludźmi w stołówce prawie nie rozmawiał. Wszyscy byli starsi od niego. Kilku z nich przyjeżdżało na posiłki na wózkach, lecz większość przychodziła o własnych siłach. Obserwował ich uważnie i nie spotkał nikogo, kto byłby zbudowany w pełni poprawnie – u każdego spostrzegł defekty. – Tibsnorg miał sporo szczęścia: gdyby osiągnął w testach poniżej 120 punktów, nie mógłby się dalej kształcić. Zależało mu jednak na tym, żeby pracować, ponieważ obawiał się wspomnień, które niósłby z sobą wolny czas. Obecnie za wszystkie zabiegi musiałby płacić, a pamiętał jeszcze, dzięki komu potrafił wstać o własnych siłach i przezwyciężyć paraliż swego ciała. Jako człowiek miał prawo do prawdy i oprócz pięknych obrazów z syntezy przedstawiających krajobrazy, ludzi zbudowanych poprawnie czy istniejące kiedyś zwierzęta, oprócz obrazów przedstawiających świat takim, jak miał wyglądać, czy może, jak kiedyś wyglądał, miał także prawo wiedzieć, jak wygląda teraz. Co pięć dni, po zakończonej pracy mógł wyjechać na powierzchnię i z wysokiej wieży

widokowej oglądać otoczenie. Była to szarobrunatna pustynia, po której nieustannie krążyły szare, masywne pojazdy wożące urobek z licznych kopalń. Wiedział, że pojazdami tymi kierują ludzie, którzy nie mogą mieć potomstwa, gdyż tło promieniowania na pustyni było zbyt wysokie. Do stołówki przychodził jeden taki. Wyglądał w pełni poprawnie i zarobki miał trzykrotnie wyższe, a jednak mimo to Tibsnorg nie zamieniłby się z nim.

Badania, które Tibsnorg kazał wykonać na sobie za pierwsze zaoszczędzone pieniądze, wykazały, że jest zdolny do rozmnażania, chociaż prawdopodobnie tylko pasywnie, to znaczy przez pobranie nasienia. Wkrótce opanował zasady pracy z komputerem i nieznacznie awansował. Jego nowe zajęcie polegało na kontrolowaniu decyzji wydzielonego oddziału centrum informacyjnego, dotyczących wyboru odpowiedniego materiału do przeszczepów spośród przechowywanych egzemplarzy. Decyzje centrum były jasne, przejrzyste i logiczne i nie wymagały na ogół poprawek. Za wyszukanie usterki wyznaczono dodatkową nagrodę i Tibsnorg pracował bardzo uważnie. Materiał pobierano zarówno dla szpitali powszechnej służby medycznej, jak i dla osób, które na własny koszt chciały zmniejszyć swoje upośledzenie. Pracy było dużo: codziennie kilkadziesiąt zapotrzebowań i związanych z tym decyzji, z którymi należało się zapoznać i je przemyśleć. Wkrótce wpadł w rutynę i zaczął mieć sporo czasu, który wykorzystywał na porozumiewanie się z maszyną i uzyskiwanie różnych informacji.

Pamiętał słowa Pieckygo, który mawiał, że ponieważ informacja jest przywilejem, zatem należy z niego korzystać w miarę możliwości. Dowiedział się, że o tym, czy ktoś zostanie człowiekiem, czy też nie, decyduje zwykle zsumowanie punktów przyznanych przez system na podstawie badań i szacunków. Oznaczało to dość duży margines błędu podejmowanych decyzji. Tymi decyzjami byli ludzie. Dowiedział się też, że

to, iż został człowiekiem, zawdzięcza osobiście Bablyoyannisowi, który zmienił decyzję centrum przyznającą człowieczeństwo Pieckymu. W rzeczywistości, liczba punktów uzyskanych przez Pieckiego za zdolności intelektualne przewyższała to, co Snorg uzyskał w sumie za sprawność fizyczną, poprawność budowy i intelekt. Gdy ujrzał na ekranie, że za zdolności Tib otrzymała dokładnie zero punktów, zaklął szpetnie.

Zawsze intrygowało go światło dnia wpadające do Pokoju, teraz wiedział już, że była to tylko lampa świecąca widzialnie i także nieco w ultrafiolecie, zapalana i gaszona periodycznie. Pokój znajdował się głęboko pod ziemią. Na powierzchni ujrzał słońce; tylko raz – jasnoszarą tarczę przeświecającą przez gęstą mgłę. Obecnie było i tak lepiej, gdyż dawniej, kiedy ziemię stale pokrywały śniegi, słońce nigdy nie przeświecało przez chmury.

IX

Tibsnorg coraz dokładniej poznawał pracę systemu ewidencji materiału biologicznego. Tib, Piecky i inni otrzymali oznaczenia porządkowe od ATO 44567743 do ATO 44567749, i nie posiadali już imion. Wkrótce też od numeru porządkowego 44567746, czyli od Mopsy pobrano oko, nos i jedną z nerek do przeszczepu kosmetycznego. Tibsnorg wprawdzie wypowiedział się przeciwko wyznaczeniu numeru ATQ 44567746 do tej operacji, ale jego opinia została pominięta, gdyż zapewne inni rzeczoznawcy głosowali za. Przeżył to boleśnie, nadal bowiem czuł więź z Moosy i innymi.

Następny był Dags z numerem 44567748, Operacja była letalna: pobrano Dagsowi przełyk z żołądkiem, wątrobę, jelita, obie dłonie oraz zewnętrzne narządy rozrodcze, bez gruczołów. To, co pozostało, nie było zdolne do życia i dlatego skórę oraz mięśnie i kości rąk zachowano w magazynie kultur tkankowych, zaś numer 44567748 zdjęto z ewidencji..

Koszt każdego z narządów obliczano na podstawie dotychczasowych kosztów utrzymania, osobnika. Najłatwiej było kalkulować dla pobrań materiału kończących się zdjęciem numeru z ewidencji, gdyż wówczas po prostu dzielono koszty dotychczasowego utrzymania materiału, z odpowiednimi przelicznikami między wszystkich biorców organów. Przy innych pobraniach stosowano bardzo złożone i niejasne sposoby obliczeń i Tibsnorg podejrzewał, że tylko system orientuje się w nich dokładnie.

Ciekawe, który numer bym dostał, gdyby nie Bablyoyannis? – zastanawiał się. – Może chociaż obok Tib?

W stołówce nie siadywał już sam. Nawiązał kontakt z tym kierowcą, który pracował na maszynach przywożących urobek z kopalni metali.

Tamten nazywał się Abraham Dringenboom i był wysokim, zwałistym człowiekiem, bardzo dumnym ze swojej nazwy, wyszperanej gdzieś w bibliotece historycznej. Dringenboom miał niski, tubalny głos i mówił bardzo głośno, co peszyło Tibsnorga, gdyż w stołówce zwykle panowała cisza. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na nich, chociaż było to zupełnie bez sensu, ponieważ nie wzbudzali niczyjego zainteresowania, a ponadto wielu spośród obecnych miało słuch upośledzony w większym lub mniejszym stopniu.

– Tibsnorg Pieckymoosy... – zadudnił Dringenboom. – Dziwne imiona... Dlaczego wybrałeś sobie właśnie takie?

– Jest we mnie wielu – powiedział cicho Snorg.

– Hmm... – mruknął Dringenboom. – Tak to sobie wymyśliłeś... Nie jest dobrze wiązać się zbyt ze współmieszkańcami swojego Pokoju. Wiesz, dzisiaj podali, że średnia długość życia człowieka osiągnęła już 24 lata – zmienił temat. – Nie chce mi się w to wierzyć... To zbyt piękne. Myślę, że oni jednak trochę wygładzają dane medyczne, żeby nie psuć naszych humorów...

– Jak oni to obliczają? – zaciekał się Tibsnorg. – Dla wszystkich osobników, które się rodzą, czy tylko dla ludzi?

– Zgłupiałeś?... Dla ludzi, oczywiście, że dla ludzi, przecież żywy rodzi się ledwie co dziesiąty.

Tibsnorg przypatrywał się Dringenboomowi z uwagą. Tamten wyglądał zupełnie poprawnie. Wprawdzie był ubrany w szarą kurtkę i spodnie, więc ciało nie było widoczne, ale oprócz zoperowanej zajęczej wargi, ukrytej zresztą pod siwiejącym zarostem, nic nie wskazywało na odchylenia od normy.

Jakby śledząc jego myśli, Dringenboom poruszył się. – Miałem całą skórę na tułowiu pokrytą brodawkami na wstrętnych, długich szypułkach.

To już mi zoperowali... ale największa różnica jest w gaciach – Dringenboom skrzywił się, – Ale się nie martw, Tibsnorg... Kupię sobie takiego, że mi starczy na pięcioro żywych dzieci. Mam już uskładane 1620 pieniędzy – dodał, wyczuwając niewiarę Tibsnorga.

1620 pieniędzy było niewyobrażalnie wielką kwotą: Tibsnorg był w stanie oszczędzić, 22,24 pieniądze ze swoich dziesięciodniowych zarobków. To były pieniądze, za które można by chyba było wykupić całą Tib na własność, oczywiście jako materiał, biologiczny. Coraz częściej przed oczyma stała mu jej smukła, zgrabna sylwetka, okolona burzą kolorowych włosów. Jego sny nieodmiennie wiązały się z Pokojem. Przewijały się w nich, postaci jego bliskich, zaś Tib występowała w nich stale. I Tibsnorg wynajął nieco lepszy lokal z widokiem na zewnątrz” Lokale znajdujące się na powierzchni należały do rzadkości. Był zaskoczony, gdyż nowy pokój, wprawdzie nieco mniejszy niż poprzedni i tylko z dwoma wizerami, a nie trzema, to jednak kosztował tylko osiem pieniędzy drożej niż poprzedni. Zrozumiał dopiero, gdy dowiedział się ile wynosi tło promieniowania, w lokalach znajdujących się na powierzchni. Okno jednak rekompensowało wiele. Spędzał godziny, wpatrując się w nieprzeniknione, ołowiane chmury nad szarobrunatnymi, pustymi wzgórzami. Krawędź lądolodu nie była widoczna z okna, ponieważ znajdowało się ono zbyt nisko ponad powierzchnią terenu. Widać ją było jedynie z wieży widokowej w bardzo jasne dni oraz przez dobrą lunetę, Krajobraz, chociaż nie tak piękny, jak zsyntetyzowany, ciągnął z nieprzepartą siłą. I chyba dlatego Tibsnorg zgłosił się do pracy jako kierowca transportu zewnętrznego. Nie bez znaczenia były też wysokie zarobki umożliwiające stosunkowo szybkie oszczędzenie wyższej kwoty.

W biurze transportu przyjął go urzędnik w fotelu inwalidzkim. Niknął prawie za biurkiem jednak w jego wzroku, było coś takiego, co skłaniało do

ostrożności. Gdy Tibsnorg osobiście wyłożył swoją propozycję, tamten spojrzał badawczo.

– Pan jest neutralny czy płciowy?

– Neutralny – skłamał Tibsnorg, wiedząc, że jest to warunek konieczny do zatrudnienia. Urzędnik uprzejmie pokiwał głową i nieproporcjonalnie drobną dłonią napisał coś na klawiaturze. Spojrzał na ekran i rysy jego twarzy stwardniały. Zanim otworzył usta, wiadomo było, że rozmowa jest skończona.

– Nie można tak szafować swoimi możliwościami, to jest naprawdę wyniszczająca praca – urzędnik odwrócił się tyłem wraz z fotelem, kończąc rozmowę.

Dringenboom o mało nie uderzył Tibsnorga, gdy się o tym dowiedział. Wyszarpnął ze złością z kieszeni kombinezonu swój wskaźnik – mały, różowy kawałek tworzywa.

– Patrz, głupcze! – wskazał masywnym paluchem na płytkę. Gdy Dringenboom się denerwował, nie był w stanie powstrzymać silnego drżenia rąk. Jego palec skakał we wszystkie strony wokół różowego prostokąta.

– Jak się zrobi czerwony, to strzelę w kalendarz... – jasne oczy Dringenbooma błyszczały na tle jego opalanej gwarzy, która teraz była zupełnie czerwona. Zarabiał tak dużo, że mógł sobie pozwolić na opalanie skóry.

– Gdzie się pchasz?... Do piachu?! – dodał rozzłoszczony.

– Stać cię na naświetlanie sztucznym słońcem – powiedział cicho Tibsnorg.

– No to co, durniu!?... Co to warte? Ty możesz mieć bab na pęczki... nawet jeśli ci brakuje w gaciach wszystkiego oprócz gruczołów. Gruczoły

są najdroższe... cała reszta, całe mięso nie kosztuje więcej niż 600, 800 pieniędzy.

– Fizycznie jestem w porządku – wybąkał Tibsnorg. – To jest jakiś niedorozwój nerwów obwodowych.

– To jeszcze taniej... Nie opędzisz się od bab... Rozerwą cię na kawałki... Żyć, nie umierać, chłopie...

Tibsnorg chwilę zastanawiał się, czy mu powiedzieć o Tib, ale zrezygnował i na tym rozmowa się urwała.

Ab Dringenboom był jedynym człowiekiem, z którym Tibsnorg utrzymywał stałe kontakty, jeśli nie liczyć zdawkowych słów, zamienianych z przypadkowymi towarzyszami przy stole. W porównaniu z Pokojem, prowadził teraz niemal samotniczy tryb życia. Nie szukał kontaktów z innymi ludźmi, Żyjąc wspomnieniami. Inne kobiety, spotykane na stołówce lub na korytarzach, nie mogły się z nią równać: były brzydkie lub ich ułomność zanadto rzucała się w oczy. Zaczął wprawdzie, zgodnie z przepisami, nosić czerwoną naszywkę oznaczającą, że nie jest neutralny, ale nie zmieniło to w najmniejszym stopniu jego zachowania. Stał się może tylko nieco bardziej szorstki dla kobiet, które teraz nagabywały go nieco natarczywiej. Może rzeczywiście, gdyby nosił dwie naszywki oznaczające pełne możliwości, działałoby się to, o czym mówił Dringenboom, ale zjedna raczej miał spokój. Kilka dni później Ab przyniósł ponurą, nowinę.

– Mam raka – powiedział głucho, patrząc w talerz z zupą, niesmaczną, śluzowatą, ale posiadającą pełny zestaw witamin i mikroelementów.

– No i co?... Połowa ludności ma raka – Tibsnorg wzruszył ramionami.

– Jest już w fazie C – dorzucił Dringenboom.

– Masz przecież 1620 pieniędzy, to wyjdiesz z tego... – Snorg nie wydawał się być zbyt przejęty.

– 1648 pieniędzy – poprawił go Dringenboom.

– Ale to i tak gówno za mało... Mam takiego, co się cholernie szybko sieje. Na leczenie pójdzie przynajmniej półtora tysiąca... i nigdy sobie nie sprawię kutasa.

Tibsnorga drażniła jego wulgarność.

– Dlaczego dopuścili do fazy C?... To jest bardzo zaawansowany. Możesz zaskarżyć dział medyczny – powiedział.

– To moja wina – mruknął Dringenboom. – Nie robiłem sobie badań, bo kosztują, a chciałem szybciej zebrać pieniądze, zanim mój wskaźnik zdąży zupełnie sczerwieć.

– Przysługuje ci przecież bezpłatna, podstawowa opieka medyczna, jak każdemu człowiekowi.

– Dziękuję – oczy Dringenbooma były matowe i przygasłe, w jego głosie wyczuwało się wyraźnie wadę wymowy wywołaną źle zoperowaną zajęczą wargą. – Zostawią mi mózg, oczy i część systemu nerwowego, a resztę usuną i spalą bo powiedzą, że jest zbyt zagrożona przez przerzuty. Potem zrobią ze mnie jednostkę sterującą koparką w kopalni albo taśmą produkcyjną...

– Myślę, że oni umieją leczyć inaczej, jak tylko przez wymienianie chorych organów... ale nie ogłaszają tego ze względów ekonomicznych. Za bardzo spadłoby wtedy zapotrzebowanie na przeszczepy... – powiedziawszy to, Tibsnorg zaczął się zastanawiać: 1648 pieniędzy to prawie wartość całego ciała Tib. A przecież Ab i tak niedługo skończy... Znaczek ma już bardzo ciemny. Ile organów sobie kupi? – dwanaście? czternaście?... – W końcu i tak utraci ciało – myślał – a to dla niego gorsze niż śmierć. Jak zdobyć te pieniądze?

Dringenboom przypatrywał mu się bez słowa.

X

Od tego czasu Dringenboom zmienił się. Stał się bardziej skryty i mniej pewny siebie. Gdy Tibsnorg powiedział mu o Tib, przyjął to z niechęcią, ale spokojnie. Uważał, że nie ma to najmniejszego sensu i że Tibsnorg powinien raczej rozglądać się za kobietami spośród ludzi, a nie szukać ich wśród materiału biologicznego. Ostatecznie wartość całej Tib była tak wysoka, że trzeba by oszczędzać na nią chyba przez całe życie, a wcześniej i tak inni wykupią różne części jej ciała.

Zgodził się natomiast zabrać Tibsnorga na przejażdżkę. Ab przewoził swą wielką ciężarówką urobek z dość oddalonej kopalni odkrywkowej. Wóz pokonywał stosunkowo długi dystans zapyłoną drogą wiodącą pośród wzgórz pokrytych szarym pyłem unoszonym przez wiatr.

– Wystarczy kilkanaście wdechów tego pyłu – Dringenboom wyszczerzył zęby zza niesymetrycznych warg.

Tibsnorg spojrzał na niego z przestraszeniem.

– Do środka leci przez niezły filtr, tak że starczy na kilkaset tysięcy wdechów – roześmiał się Dringenboom.

Kopalnia odkrywkowa była ruinami dawnego miasta, z których odzyskiwano metale. Gigantyczna koparka wciniała się w pogiętą, żelbetową konstrukcję dawnego budynku lub fabryki. Dringenboom czekał w kolejce po urobek. Wreszcie kilka porcji żelbetowych konstrukcji, pyłu i gruzu znalazło się na jego pojeździe.

– Dziennie wykonuję cztery, pięć kursów... Zawsze podają mi z centrum informacyjnego optymalną trasę przejazdu, na której jest najniższy poziom

promieniowania... To się lubi często zmieniać... jak wieje wiatr albo jak pada deszcz lub śnieg.

Dringenboom wskazał palcem na ekranik.

– Aktualny poziom tła mierzony jest na bieżąco. Dzisiaj jest niski, ale czasem dzwoni, aż strach jechać... W takie dni płacą nam dwa albo trzy pieniądze premii dodatkowo.

W drodze powrotnej pozwolił Tibsnorgowi trochę poprowadzić ciężarówkę. Sprowadzało się to tylko do wydawania poleceń, gdyż pojazdem sterował bezpośrednio procesor.

– W razie czego komputer i tak doprowadzi ciężarówkę z powrotem – powiedział Dringenboom. – Gdybyś zasłabł albo nagle zmarł. Urobek nie może się zmarnować...

Na jednym ze wzgórz wznosił się osamotniony budyneczek do połowy przysypany pyłem. Zachował się cały, nawet z dachem, drzwiami i szkłem w oknach.

– Chciałbym mieszkać w tym domku – powiedział Ab – nie w mieście.

– Na powierzchni?

– Twój pokój też jest na powierzchni, Tibsnorg. Widać, da się żyć za odpowiednią osłoną...

XI

Nadszedł w końcu dzień, który musiał kiedyś nadejść. Dzień, który Tibsnorg wyobrażał sobie w wielu różnych wariantach, jednak nigdy nie myślał, że ten dzień zostanie go tak nie przygotowanym.: Pracował jak co dzień przed ekranem wizora. Jego oszczędności wynosiły 48 pieniędzy oraz 320 pieniędzy odłożonego kredytu. Ekran przyniósł kolejną sprawę do decyzji. Rządek zgrabnych, zielonych liter i cyfr informował precyzyjnie: od numeru ATO 44567744 zamierzano pobrać ręce, nogi i tułów wraz z szyją dla jednego biorcy, zaś głowę dla innego. Mózg przeznaczono do kasacji, zaś numer miał oczywiście zostać zdjęty z ewidencji.

Musiała długi czas ciężko pracować na takie ciało... – pomyślał z ironią. – A tej drugiej, zasłużonej spodobała się pewnie w katalogu szczupła twarz i niebieskie oczy, i to bardzo, skoro zdecydowała się na głuchotę. A może dorobiła się już tyle, że i uszy sobie zafunduje od kogoś...

– Gnojki... cholerne gnojki... – powtarzał, gryząc palce.

Wiedział od dawna, że to nastąpi, a teraz zwlekał z decyzją. Wydawało mu się, że do tej chwili zdąży zebrać więcej pieniędzy. Należało podjąć szybką decyzję w sytuacji, która nastąpiła, a nie którą sobie wymarzył.

– Gnojki... cholerne gnojki... – mrucał.

Poprosił system o czas do namysłu, gdyż rozważa możliwość nabycia całego egzemplarza ATO44567744 przez jednego biorcę, z uwagi na większą opłacalność takiego postępowania. Zwłoka w decyzji pozwalała nieco zyskać na czasie. Wyłączył kamery, wstał od pulpitu i wyszedł. Chodził już sprawnie i dość szybko. Napięcie woli przed każdym krokiem od dawna stało się nawykiem.

Do magazynu materiału biologicznego nie było daleko. Już wcześniej dowiedział się od systemu, w którym pomieszczeniu jest przechowywana. System podał mu również wszystkie hasła umożliwiające wejście. Ospały wartownik przed masywnymi, metalowymi drzwiami nie stawiał przeszkód. Tibsnorg pocił się ze zdenerwowania. Winda jechała przeraźliwie powoli. W końcu – właściwy poziom. Korytarz z dziesiątkami identycznych drzwi ciągnął się w nieskończoność. Nieustannie czuł wątpliwości, czy robi właściwie. To, co zamierzał, było rzeczą niesłychaną. Nareszcie drzwi z numerem ATO 44567. Otworzyły się samoczynnie. Następny korytarz, wzdłuż ścian którego stały stanowiska przechowujące materiał biologiczny – dziesiątki osobników różnego wzrostu i o różnym stopniu zniekształcenia. Wszyscy bez odzieży; wszyscy w płataninie przewodów, elektrod. Z początku nerwowo odliczał po kolei, potem zauważył numerację naniesioną na każdym ze stanowisk. Długo trwało, zanim do niej dotarł. Stała z otwartymi oczyma. Ich wzrok spotkał się. Poznała go. Odpięcie przewodów trwało parę chwil, dłużej – odpięcie pasów krepujących jej ręce i nogi.

Natychmiast przywarła do niego, przytulając twarz.

– Wrócieeś Sneegg, wiedziaam... – powiedziała cicho.

– Szybko, Tib, szybko, – pociągnął ją za rękę.

Wiedział, że jej mięśnie są w bardzo dobrej kondycji w wyniku systematycznej stymulacji – nikt przecież nie kupiłby atroficznych kończyn.

– Piecky... – pokazała na drobny kształt owinięty kłębem przewodów. Wspólnie oswobodzili Pieckego, który natychmiast się zbudził...

– Daj spokój, Snorg. To nie ma sensu – powiedział. Snorg niósł go na rękę i ciągnął Tib drugą ręką. Odetchnął dopiero we windzie.

– I co teraz zrobisz?... – zapytał Piecky. Tib cały czas tuliła swą twarz do Snorga.

– Znam wszystkie hasła systemu – powiedział Snorg. – Liczę na zaskoczenie, mamy, może z pięć procent szans...

Na wartowni strażnik spojrzął na nich niedbale. Przez myśl mu nie przeszło, że dwoje z wychodzących są po prostu materiałem. Wprowadził do systemu hasło podane przez Snorga, spojrzął na ekran i skinął głową, żeby przechodzili.

Na zewnątrz magazynu prawie biegli. Snorg zatrzymał mały, automatyczny wózek transportowy i wszyscy wsiedli. Do pokoju Dringenbooma było bardzo daleko, nawet pojazdem. Cały czas na korytarzach panowała złowieszcza cisza. Zastali go w pokoju; spał jeszcze.

Jedno uderzenie i kamera smętnie zwisnęła na kablu. Mocne szarpnięcie zerwało przewód do reszty.

– Ab! Wstawaj!: – Snorg szarpnął go za ramię. – Jestem z Tib. Idziesz z nami?...

Dringenboom tarł dłonią zaspane oczy. Spojrzął na nich. – Nie cierpię tego Ab. Jestem Abraham – powiedział. – Ona jest naprawdę śliczna – dodał, patrząc na Tib. – Nie, nie idę z wami... Weź kartę mojej ciężarówki i daj mi czymś po głowie... – mówił dalej – najlepiej tą książką, ale tak, żeby mnie nieco pokrwawić... uciekajcie z miasta, jak najdalej. To jedyna szansa.

– W porządku – powiedział Snorg. – Na dodatek cię związę, będzie lepiej wyglądało.

Trwało to dość długo, gdyż Snorg obawiał się, żeby nie zrobić mu większej krzywdy. W końcu Abraham Dringenboom leżał nieprzytomny i związany na swojej kanapie, a z rozciętej skóry na czole wyciekło mu nawet kilka kropel krwi.

Dojeżdżali już do hali maszyn transportowych, gdy cały korytarz wypełniło wycie syren. Zaczęło się. Co kilka metrów błyskało czerwone światło. Kamery rozmieszczone w korytarzu kręciły się wokoło. Zdążyli

wjechać do hali, zanim drzwi zostały zablokowane. Snorg rozpoznał ciężarówkę Dringenbooma. Wcisnął fiszkę w szczelinę przy wejściu i automat zareagował.

Wszyscy troje weszli na platformę windy i po chwili byli już w kabinie sterowniczej. Snorg wyprowadził wóz z hali. Dzień był mroczny, a warstwa chmur szczególnie gruba. Uruchomił wizor. Właśnie podawano serwis informacyjny.

„... Zdumiewająca kradzież materiału biologicznego o sumarycznej wartości ponad 4500 pieniędzy! Rzecz niesłychana od niepamiętnych czasów! Trwają intensywne poszukiwania sprawcy, którym jest urzędnik szczebla DG Archiwum Materiału Biologicznego o nazwie Tibsnorg Pieckymoosy. Do akcji została włączona grupa operacyjna sił samoobrony. Jej użycie gwarantuje odzyskanie skradzionego mienia bez żadnego uszczerbku, a także skuteczne ujęcie sprawcy”.

Ekran wypełniały zdjęcia filmowe z kamer stacjonarnych przedstawiające Snorga niosącego Pieckymoosa oraz Tib idącą obok.

Snorg gwizdnął przez zęby.

– Ta grupa operacyjna to kilkuset piekielnie sprawnych fizycznie facetów, takich wysportowanych zwojów mięśni... – powiedział.

– Myślę, że nie mamy żadnych szans – Pieckymoos oderwał wzrok od ekranu.
– Ale wdzięczny ci jestem, że mogłem to zobaczyć... – wskazał oczyma na okno. – Straciłem już rachubę czasu, stojąc ciągle w tych kablach... Zastrzyk na spanie... zastrzyk pobudzający na wstanie i tak w kółko.

Tib też wpatrywała się bez słowa w okno od chwili, gdy wyjechali z hali ciężarówek.

– Na szczęście naprzeciwko był facet mojego wzrostu i mogliśmy sobie pogadać mówił dalej Pieckymoos. – Tamten rozmawiał też z Tib żeby zupełnie nie zgłupiała. Ja nie mogłem do niej mówić, bo nie widziała moich ust, a

przecież nie słyszy. I wiesz, ona podobno jest coraz bystrzejsza. Przynajmniej tamten tak mówił.

Snorg podprowadził ciężarówkę do koparki. Piecky z uwagą przyglądał się, jak potężny chwytak nabiera fragmenty ruin, które kiedyś były katedrą.

– W tym kiedyś mieszkali ludzie?... – zapytał. Snorg skinął głową.

Kolejne fragmenty konstrukcji łądowały w ładowni pojazdu.

– Więc tak mieszkali ludzie przed wojną... – powiedział do siebie. – Musieli chyba czuć się bardzo samotnie w takich rozproszonych zabudowaniach...

Ciężarówka została załadowana i Snorg ruszył z powrotem.

– Wracamy? – zapytał zaniepokojony Piecky. Snorg skinął głową.

– Mam plan – powiedział.

Pojazd pędził z maksymalną prędkością.

– Tib, załóż sobie i Pieckymu maskę – skinął głową w kierunku skrytki.

Ona jednak nie zareagowała, bo mówił, patrząc w kierunku wizora i nie widziała ruchu jego warg. Powtórzył jeszcze raz. Tib wyjęła maski i kombinezony, po czym szybko i sprawnie, z nieoczekiwaną wprawą nałożyła je na siebie i Pieckiego. Snorg sam założył maskę i kombinezon. Zbliżyli się do wzgórza, na którym stał samotny, zachowany budynek.

Snorg zatrzymał ciężarówkę, winda zwiozła ich na poziom gruntu. Licznik niesiony przez Snorga terkotał. Tib niosła Pieckiego na rękę jak niemowlę. Wszyscy mieli na sobie ochronne odzienie wykonane z przezroczystego tworzywa. Piecky był zbyt krótki i dlatego Tib zawinęła go kilkakrotnie w zbywające zwoje tworzywa. Musieli przejść dystans daleko większy niż odległości pokonywane dotąd pieszo. Na dodatek w pyle sięgającym do pół łydki. Przez pewien czas patrzyli nieruchomo na malejący, masywny kształt ciężarówki, która oddalała się, sterowana

automatycznie. Wkrótce zniknęła za horyzontem. Wyruszyli w drogę. Szli wolno, mozolnie, grzęznąc w sypkim piachu. Długo trwało, zanim złani potem dotarli do ruin. Nieco mniej zmęczona była Tib, której mięśnie stymulowane elektrycznie w magazynie były w dobrej kondycji.

W budynku zachowały się dach i solidne, drewniane drzwi, a nawet furtka w ogrodzeniu. Snorg nadal wierzył, że ucieczka się powiedzie, choć Piecky uważał, że opuszczenie ciężarówki było zasadniczym błędem. Twierdził, że trzeba było gnać nią jak najdalej od miasta i jego grupy operacyjnej. Może zrezygnowaliby z pogoni, gdyby udało się odjechać bardzo daleko. Snorg w duchu przyznawał mu rację, jednakże nie był w stanie zdecydować się na kompletne zerwanie więzi z miastem i przyjąć inny plan. Opuściwszy miasto, odczuwał osamotnienie.

Żadne z nich trojga nie zdjęło stroju ochronnego, ponieważ wszędzie było pełno pyłu i nie można go było usunąć. Tib usiadła i spojrzała na Snorga. – Byłam pewna, że wóócisiz po mnie... – powiedziała powoli.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– To był sen... We śnie opuściłam Pokój. Tyle światła... i ci obcy wokół, tylu ich było... Oni mnie potem Tam ustawili obok Pieckigo... Dobrze, że znów jesteś – mówiła, cały czas obserwując jego usta.

– Jąkała zawsze ma najwięcej do powiedzenia – przerwał jej brutalnie Piecky. – Zaraz pewnie powie o zastrzykach. Rzeczywiście, z boku wysuwała się strzykawka z igłą, ciach i spałeś... ciach i wracała jawa. To było zupełnie jak wyłącznik. I tylko te wózki krążące codziennie wzdłuż rzędu, trójpoziomowe wózki... Zawsze ciągnęli wózek ci sami ludzie w szarych, jednakowych strojach. I zawsze wieźli kogoś na takim wózku. Wywozili. Rzadko ktoś tam wracał... ale zawsze w bandażach... Z dołu mało co widać. To był zawsze jeden z nas. Trudno się było porozumieć, bo co drugi w szeregu spał, a krzyczeć też się nie dało, bo zaraz szedł

zastrzyk... Ale mimo to przekazywaliśmy sobie... tak łańcuszkiem... takim głosem, żeby usłyszeć, ale żeby jeszcze z boku nie wyszła strzykawka... Najgorzej, jak był głuchy po drodze. Potem ci sami w szarych strojach zdejmowali im bandażę... i oni nie mieli rąk...nóg... albo różnie... Najgorzej było, kiedy wózek zwalniał przed tobą... Człowiek myślał, że się zatrzyma... Ci w szarych strojach to nie byli sadyści; tylko te wózki miały takie słabe kółka... oni starali się prowadzić te wózki jak najrównomierniej. Wiedzieli przecież, co czujemy... Ale czasem kółko się zacierało i wózek zwalniał. Ale ja nie chciałem, żeby w razie czego przywieźli mnie z powrotem. Przecież i tak brakuje mi prawie wszystkiego...

– Na tych wózkach wywozili zawsze trzech ludzi... – przerwała mu Tib, która od dłuższego czasu patrzyła na twarz Pieckygo.

– Z powrotem waacało zwykle dwóch, czasem jeen... – Tib, gdy była wzburzona, zaczynała się jąkać. – Pamiętam Moosy, jak wracała Tylko jedno oko błyszczało spod bandaża, ale to była ona... Colfi mówił, że to ona wóciła... I opowiadał, jak jej potem zdjęli te bandażę...

– Przestań! – Znowu przerwał jej Piecky. – Nie chcę tego znowu słuchać, wiem, jak wyglądała wtedy... potem i tak ją wzięli drugi raz... i nie wróciła.

– Moosy?... – zdziwił się Snorg. – Tak... oczywiście... to mogło być na innej zmianie. Cholera, to było ryzyko... – mówił do siebie. – Ją też mogli. Ale na szczęście to zdarzyło się na mojej zmianie... takie szczęście...

– Jakie szczęście? – zapytała chrapliwie.

– Że jesteś tu ze mną. Nie brałem wcześniej pod uwagę wielu możliwości.

– Ja nie mogłam tak stać. Tylko te dreszcze mięśni, po których byłam tak zmęczona... i rozmowy z Colfim, bo ust Pieckygo nie mogłam zobaczyć... a

reszta: musiała się kiedyś skończyć obłędem. Nie zdążyłam zwariować, ale gdyby tak dłużej, to na pewno...

Oboje z Pieckym mówili, przerywając sobie nawzajem. Piecky bezceremonialnie wchodził w słowa Tib, a ona dopiero po chwili orientowała się, że on mówi, i milkła. Potem znów ona przerywała Pieckemu i snuła opowieść chrapliwym, załamującym się głosem. Trudno przecież streścić tyle dni w ciągu kilku godzin. Potem Piecky wyłączył się i patrzył na ciężkie, brunatne chmury sunące nisko nad głową. Patrzył w skupieniu, a na jego obliczu rysowało się coś, jakby zachwyty, coś, co z pewnością zdumiałoby Snorga, gdyby choć raz spojrział na Pieckiego.

– Przestańcie szeleścić tym plastikiem – powiedział w końcu Piecky.

Oboje spojrzeli na niego.

– Słuchaj Snorg, mówię do ciebie, bo ta chuda i tak stale gapi się w twoją zarozumiałą gębę... – kontynuował, a jego dawny ton zabrzmiał tak mile, że Snorg się uśmiechnął.

– Czuję to... wiem, że kiedyś pofrunę wśród tych chmur, wysoko nad ziemią, na skrzydłach... i to będzie najlepsza część mojego życia.

– Może zrobią z ciebie jednostkę sterującą maszyną, bo ciało masz do kitu, ale mózg całkiem, całkiem... Ale najpierw muszą nas złapać, a to nie takie łatwe... Żadna kamera nie widziała, gdzie wysiedliśmy.

– Co by się stało, gdyby nas złapano, a o czym jestem, niestety, przekonany? – Pieckemu nie wystarczyły poprzednie wyjaśnienia.

– Stul się, Pietzky!... – Snorg pierwszy raz słyszał Tib mówiącą takim tonem – Chyba marzysz o tych zastrzykach, Tam...

– Mówię, co myślę.

– Warto się nad tym zastanowić – powiedział Snorg po chwili namysłu.

– Sądzę, że nam dwom nie grozi zbyt wiele, gdyż jest to sprawa bez precedensu. Każdy z nas by przeżył, chociaż z różnych powodów. Mnie nic

by się nie stało, ponieważ prawo do zachowania życia jest fundamentalne dla każdego człowieka. Wydaje mi się nawet więcej... Jedyne słuszne prawo stanowi też, że jeśli już ktoś raz został mianowany człowiekiem, to już nie przestanie nim być, więc z pracownika Archiwum Materiału Biologicznego nie stałbym się jednym z magazynowanych egzemplarzy... Piecky też miałyby się nieźle... spełniłoby jego marzenia: patrzyłby z wysoka i sterował pracą koparki – takie należyte wykorzystanie byłoby konieczne, aby uzasadnić w pełni celowość wielkiego nakładu sił, użytego, aby nas schwytać.

– Dlatego wysiedliśmy? – przerwał mu Piecky.

– Nie dlatego... – odpowiedział Snorg po chwili milczenia.

– Nie ma dokąd uciec... oprócz Miasta nie ma niczego... A tutaj?... Ab wie, gdzie jesteśmy, pamięta ten domek, przywiezie nam jedzenie. Ab jest naszą szansą.

Tym razem milczenie przerwała Tib.

– A ja, Sneogg?... Co ze mną?... – natarczywie wpatrywała się w jego wargi.

– Ciebie, tylko ciebie – zwrócił się twarzą wprost do niej – czekałby tragiczny los... Ciała zapragnęła jedna... głowy i twarzy – inna, bogata i pewnie zasłużona kobieta... Ale wolałbym umrzeć niż dopuścić, by miało się tak stać.

– Więc dzięki tej chudej ujrzałem niebo – powiedział cicho Piecky i przestał się wtrącać. Gapił się w niebo, na przemieszczające się szybko obłoki.

Gdy szary półmrok dnia ustąpił mrokowi nocy, zasnęli przytuleni do siebie, głodni i zmarznięci.

Zbudzili się o szarym i chłodnym świcie. Tib była nadal rozmowna i błyskotliwa, jak nigdy dotąd. Zaskakiwała go. W jego wyobrażeniach była piękna, lecz niezbyt rozgarnięta. Stwierdził, że oni wszyscy stale rozwijali się umysłowo, nie tylko on sam mianowany na człowieka, nazwanego Tibsnorg Pieckymoosy.

Może oni wszyscy, gdyby tylko dać im więcej czasu?... – pomyślał.

Cały czas oczekiwali przybycia Dringenbooma. Snorg liczył, że Ab przybędzie swą gigantyczną ciężarówką, dostarczy im pożywienie i wspólnie postanowią, co robić dalej. Był ich szansą. Czekali długo, obserwując sznur przejeżdżających w oddali pojazdów, wiozących urobek do miasta. Głód dokuczał coraz bardziej. Około południa przez chmury przejrzało żółte słońce. Zrobiło się jasno i świetliście. Tib i Snorg stali obok siebie w promieniu światła i patrzyli na cienie, które rzucali. Tak czyste słońce widzieli po raz pierwszy w życiu.

– Czy gdyby zrobili ze mnie układ sterujący maszyny, to mógłbym widywać to częściej? – zapytał Piecky, zerkając w okno.

– Nie wiem. Może też zostawiliby ci oczy... – powiedział Snorg z wahaniem. – Nie zostałeś mianowany człowiekiem, więc traktowaliby twój mózg jako materiał. Prawo do pozostawienia oczu mają jedynie ludzie, którzy utracili ciało w wyniku nieuleczalnej choroby, ale niewykluczone, że zainstalowaliby cię do takiej wielkiej koparki... a tam zostawiają oczy. Z twoim intelektem, kto wie?...

Przerwał mu donośny huk silników, który z pewnością nie pochodził od przejeżdżających ciężarówek. Snorg zbladł, zrozumiał, że Dringenboom nie przywiezie im nigdy jedzenia. Ryk narastał, dało się wyczuć wibracje gruntu. Wokół budynku zaczęły lądować wielowirnikowe, ciężkie maszyny latające grupy operacyjnej.

– Jeden... dwa... trzy – Snorg liczył, czując, jak drętwieją mu szczęki. Tib z całej siły przywarła do niego.

– Oni jednak wracają... Jednak to wszystko nie miało sensu... – wyszeptała, patrząc na lądujące, opancerzone maszyny.

Wokół nich pojawiły się drobne sylwetki w szarych mundurach, hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Sprawnie wyskakiwali z maszyn i czołgali się ku budynkowi. Zauważył, że uzbrojeni są w broń automatyczną, a kilku niesie lasery.

Te wszystkie armaty to na mnie?... – pomyślał z ironią. – Czy oni chcą burzyć cały dom?...

Nie starał się nawet liczyć komandosów. Było ich przynajmniej kilkudziesięciu. Błyskawicznie rozlokowywali się wokoło.

– Tibsnorg Pieckymoosy! – rozległo się nagle bardzo głośne wołanie – nie masz żadnych szans. Poddaj się. Wydaj skradziony materiał biologiczny. Zostanie to potraktowane jako okoliczność łagodząca. Twój współnik Abraham Dringenboom został ujęty..

Tib patrzyła na niego natarczywie, widocznie wyczuła zmianę. Powtórzył jej to, co brzmiało z głośnika, ale tak, by widziała jego usta.

– Tibsnorg Pieckymoosy! – głośnik ponawiał poprzednie wezwanie. Piecky milczał, w jego oczach widać było przerażenie.

– Gnojki... cholerne gnojki... – powtarzał machinalnie Snorg, stojąc nieruchomo na środku pokoju i tuląc Tib.

– Przecież my chcemy tylko żyć... – wyszeptała, patrząc na niego.

– ...to potraktowane... – rozlegało się z głośnika, gdy za drzwiami dał się słyszeć ruch. Nagle potężna eksplozja rozbiła drzwi w drzazgi. Dwóch komandosów błyskawicznie wskoczyło do wnętrza i przypadło do podłogi, mierząc do Snorga.

Mają niezłe ćwiczenia... – zdążył pomyśleć.

Byli uderzająco sprawni. W ułamku sekundy, w dymiącym jeszcze otworze pojawił się trzeci, z kolorowym, skrzydlatym potworem namalowanym na kuloodpornej kamizelce sięgającej poniżej bioder. Stał nieruchomo na rozkraczonych, muskularnych nogach, mierząc do Snorga z rewolweru o długiej lufie, trzymanego w obu wyciągniętych rękach. Zamiast nosa miał pojedynczą, czarną jamę, cofnięte wargi odsłaniały zęby, co w połączeniu z brakiem powiek nadawało jego twarzy trupi wyraz.

Byłeś pierwszy, gnojku... – pomyślał Snorg. – Za to kupisz sobie nową twarz... Chyba, że zaliczą pierwszeństwo tym leżącym... – Snorg opuścił wzrok na leżących komandosów. Tamten powiódł oczami za wzrokiem Snorga. Kolejni komandosi wskakiwali przez rozbite drzwi do pokoju, natychmiast przywierając do podłogi. Tamten, jakby rozumiejąc myśli Snorga, ponownie omiótł wzrokiem leżących żołnierzy. Nagle znieruchomiał, podjął decyzję. Jeszcze przez chwilę, zza przezroczystej, plastikowej przyłbicy mierzył Snorga spojrzeniem pozbawionych powiek, jakby wyłupionych oczu. I chociaż żadne z nich trojga nie poruszyło się ani na milimetr, rozległ się huk wystrzału, a ciało Tib, która w ostatniej chwili zasłoniła Snorga sobą, zwisnęło mu bezwładnie na rękach. Poczuł, że coś dławi mu gardło. Drugiego strzału Snorg już nie usłyszał. Żółty rozbłysk przed jego oczyma zmienił się w rząddek jasnych plam i zgasł.

Kraków, październik 1984

TRZY KOBIETY DONA

Połogi grzbiet górski ciągnął się bez końca. Szli na przemian to zagajnikami porozrywanych mrozem drzew, to pustymi polanami aż rażącymi świetlistą, najbielszą szarością.

Don odczuwał swoisty rodzaj zmęczenia. Pierwszy krok w głębokim śniegu wydaje się czymś bajkowym; kilkanaście następnych nadal sprawia przyjemność, lecz dziesięciogodzinny marsz w śniegu po pas wykańcza, zwłaszcza, jeśli nieustannie toruje się drogę, a ponadto nie wiadomo, jak przetrwać nadchodzącą noc.

Słyszał za plecami ciężkie sapanie zmęczonych kobiet. Z wysiłkiem wspierał się na zniszczonym kijku narciarskim, z którego zwisały strzępy rzemyków czy tasiemek. Z początku naśmiewały się z tej odrapanej i zgiętej, zabawnej, metalowej laski. Później same zaczęły korzystać ze wsparcia dawanego przez kijek i stwierdziły, że posiadają więcej zalet niż wad.

Przecinali rozległą polanę. Don sądził, że wiatr powinien być odmieść śnieg z odkrytego grzbietu i właśnie wtedy będzie łatwiej iść. Było inaczej: na polanie nawiane zasy sięgały powyżej pasa; zaś droga przez las była męczarnią, gdyż zapadali się jeszcze głębiej. Don czuł dotkliwe ssanie w żołądku – głód dokuczał coraz bardziej. Z rana wykonał zamiar radiolatarni i ustalił kierunek marszu. Kiedyś rozrzucano z samolotów automatyczne radiolatarnie, aby wyznakować trasy marszu na południe. Niektóre jeszcze działały. Zlokalizowane przy nich zapasy żywności lub leków dawno zużyto, ale trudno było pozbyć się tej nadziei. Dokładny kierunek marszu narzucał grzbiet, a nie namiary, gdyż grzbietem szło się wygodniej niż doliną, gdzie zapadano się w śniegu powyżej głowy.

Ściemniało się. Należało znaleźć miejsce na nocleg. Dzień był wyjątkowo ponury; słońce ani razu nie wyrzało spoza szarych chmur. Chyba już zaszło, bo jednolicie szare kłęby mgły ciemniały coraz bardziej. Sąsiednie grzbiety ginęły w gęstniejącej mgle. Unoszenie ciężkich buciorów powoli, równomiernie mieszających głęboki śnieg sprawiało coraz większy wysiłek. Chwilami zatrzymywał się, a wtedy wszystkie trzy kobiety spokojnie oczekiwały, aż uda mu się sforsować kolejną zaspę. Wszyscy nieśli ciężkie plecaki, ale Don, stale torując drogę, utracił znacznie więcej kalorii niż idące za nim dziewczyny. Sheilla co jakiś czas rozdawała kawałki karmelu.

Było coraz zimniej. Palce w butach dawno już zdrętwiały. Przez chwilę intensywnie nimi poruszał, by ożywić krążenie. Z wysiłkiem wpatrywał się w szarzejącą głąb doliny, chcąc ułoić wzrokiem niosący nadzieję, ledwie zauważalny kształt od dawna skryty pod grubą warstwą śniegu. W zapadającym zmierzchu stawało się to coraz trudniejsze. Don zrozumiał, że popełnił poważny błąd: pozostało ledwie pół godziny na odnalezienie noclegu.

Pojawił się jeszcze poważniejszy problem – poczuł coraz silniejsze, powracające skurcze pustego żołądka. Wiedział, co znaczą te nadchodzące wymioty, kiedy nie ma czym wymiotować. Polana łagodnie wznosiła się, a to zmuszało do dodatkowego wysiłku.

Mgła gęstniała. Odczuwał zawroty głowy – kolejny sygnał ostrzegawczy, że zbliża się kryzys.

Podjął wymuszoną decyzję: uniósł w górę kijek, aby dać im znak, i skierował się w lewo, w dół do doliny. Marion prychnęła ironicznie – natychmiast zorientowała się, że niczego nie znalazł i próbuje schodzić na chybił trafił. Nie zaprotestowała jednak, chociaż kiedy indziej usłyszałyby jej

pogróżki i wyzwiska. Może zrozumiała, że wszyscy są już u kresu sił. W dół, zbocze było coraz bardziej strome i schodzenie stało się łatwiejsze.

Don czuł się już bardzo źle. Zawroty głowy nasilały się. Nie był w stanie iść prosto. Śnieg nie miał już koloru białego, lecz czerwony. Don z uporem starał się utrzymać kierunek marszu, ale wodziło go na boki. To nie mogło trwać długo. Był półprzytomny. Potknął się o swoją nogę i runął jak długi. Nie miał siły się ruszyć. Jedna z nich krzyknęła, a potem wszystkie zgromadziły się wokół niego.

– Trzeba mu podać trochę cukru – powiedziała Sheilla. Zdążył jeszcze usłyszeć i stracił świadomość.

– To nie ma sensu, on chyba już się kończy – powiedziała Marsha.

– Musi nam znaleźć nocleg – zauważyła Sheilla.

– Nie bądź śmieszna, przecież on nie ma zielonego pojęcia, gdzie znaleźć nocleg. Skręcił z grani, kiedy go już brało... Widziałam, jak się zataczał. Już wcześniej – wtrąciła Marion.

– Pomóżcie mi – Sheilla usiłowała odwrócić go na plecy. Wspólnymi siłami udało się to zrobić. Don odzyskał przytomność, ale był bardzo słaby i przemarznięty. Sheilla wcisnęła mu między wargi parę kawałków twardego karmelu.

Czuł, jak wraca życie. Brudny kawałek palonego cukru smakował jak nigdy dotąd. Marion miała jeszcze kilka pozlepianych i pogniecionych cukierków z nadzieniem. Zjadł wszystkie gryząc szybko. Wkrótce z pomocą Marshy i Marion podniósł się.

Do mężczyzny należało torowanie drogi, a on wiedział, jak będzie to obecnie trudne. One również – wprawdzie nie starały się pomóc, lecz także nie utrudniały mu zadania wyzwiskami.

Z początku schodził powoli. Potem, w miarę jak siły wracały, szybciej. Na zboczu śnieg był tak głęboki, że Don nie sięgał stopami do twardego

gruntu i łagodnie zsuwał się w miękkiej masie. Wymagało to umiejętności, a nie siły i było łatwe dla wytrenowanego piechura. Schodzenie sprawiało znaczne trudności idącym za nim kobietom. Co chwilę któraś z nich znikła w kłębie śniegu. Wygodniej im było zbiegać samodzielnie, a nie jego śladem. Don pomyślał, że wreszcie wszyscy czworo mają takie same szansę i męczą się tak samo. W drodze często zastanawiał – się, dlaczego świat został właśnie tak ułożony, że mężczyzna zawsze toruje drogę, zaś kobiety idą jego śladem, oszczędzając siły. Myślał z ironią, że to jemu właśnie potrzebne są siły nocą, a nie im. Po chwili jednak nie czuł już satysfakcji, gdyż nieco odpoczął; nawet zrobiło mu się ich żal. Były tak delikatne, piękne, kruche i słabe.

Polana sięgała nisko, ale w końcu dotarli do krawędzi lasu.

To był stary las sosnowy, całe poszycie skrywał głęboki śnieg i schodzenie tędy nie różniło się w zasadzie od schodzenia z boczem polany. Należało jedynie uważać, by nie upaść na niewidoczny pniak, pozostałość z czasów, kiedy ścinano drzewa. Trudność sprawiał zmrok, gdyż w dzień, uważnie patrząc na powierzchnię stromego śniegu, z reguły można dostrzec nieznaczne spłaszczenie zdradzające pniak przysypany śniegiem.

Don sprawnie zsuwał się w śniegu, ogarnęło go uczucie zbliżone do euforii; jego czoło pokrył zimny pot świadczący o krańcowym zmęczeniu.

Marion przeraźliwie krzyknęła i znikła w zaspie. Zanim z powrotem wspiął się ku niej, Sheilla i Marsha już wyciągnęły ją ze śniegu. Gdy podszedł, obie odsunęły się na bok jak spłoszone kury. Marion siedziała nieruchomo z wykrzywioną twarzą, mocno trzymając za stłuczoną goleń.

Zauważył, że jej spodnie nie rozdarły się ani nie przemakają krwią. Nie było sensu zdejmować z Marion odzieży, żeby opatrzyć stłuczenie, należało jak najszybciej znaleźć nocleg. Przesunął lekko dłonią po jej głowie i zmierzwił włosy. Miała spocone czoło.

Marsha znalazła czapkę i nałożyła ją Marion.

– Spróbuj się zebrać, mała – powiedział cicho. – Zaraz będziemy w dolinie. Będzie ciepło i sucho. Musisz iść.

Nie było w tym wiele prawdy.

– Rozmasować ci goleń? – zapytał. Spojrzała na niego mętным wzrokiem.

– Odpieprz się! – fuknęła, podnosząc się z trudem i otrzepując.

Schodzili w dół, wiedząc, że brną w pułapkę. Nie miał odwagi powiedzieć, że skręcił przypadkowo i że właściwie należałoby wrócić na grań, by w gęstniejącym mroku i mgle kontynuować poszukiwania i tak skazane na niepowodzenie.

Wkrótce Sheilla wyprzedziła wszystkich. Była w świetnej formie. Przez chwilę podziwiał, jak sprawnie zsuwała się po zboczu. Techniki chodzenia w głębokim śniegu nauczyła się od niego. Wcześniej, zanim on zaczął torować dla nich drogę, nie umiała tego. Czasami zastanawiał się, jak sobie radziła wcześniej. Nagle jednak potknęła się o coś ukrytego pod zdradliwą powłoką i upadła na twarz. Przez chwilę się nie ruszała.

Zaraz był przy niej. Podniósł ją. Odzyskała już przytomność.

Całą twarz miała umazaną krwią z rozbitego nosa. Szlochała, dławiła się ciekącą krwią i często pluła.

Tym razem Marsha zdjęła worek z pleców i wyjęła bandaż. Krwotok udało się powstrzymać, ale nos bardzo jej napuchł. W pniak, który czekał na nią od lat, trafiła akurat twarzą.

Niedługo potem Marion, widocznie osłabiona poprzednim upadkiem, ponownie straciła równowagę i znów z krzykiem runęła w śnieg. Z trudem ją wydobyli, bo jej stopy wsunęły się głęboko pomiędzy ścięte pnie. Tym razem krew przesiąkła przez odzież.

Trzy poważne upadki na jedno zejście to zbyt dużo... – pomyślał. Dalej schodził, podtrzymując Sheillę, zaś Marsha pomagała iść Marion. Przypadkiem trafili na przecinkę, co ułatwiło schodzenie.

Dno doliny pokrywała idealnie gładka warstwa śniegu, nie pozostawiająca złudzeń, że skrywa coś obiecującego. Don znów czuł lekkie mdłości oznaczające, że ilość glukozy we krwi spada i może grozić nowy kryzys. Ściemniło się już prawie całkiem.

– I co teraz?... – w pytaniu Marshy nie zauważył poirytowania, tylko znużenie.

Obecnie, na granicy kompletnego wyczerpania, przedzieranie się przez tę długą, niknącą we mgle dolinę nie miało sensu.

– Spróbujemy przespać w jamie śnieżnej – tylko tyle mógł zaoferować zamiast suchego noclegu i ciepłej stawy. Był przygotowany na zwykłą eksplozję wściekłości i krzyku. Jednak wszystkie trzy uwały się bez słowa na folię termoochronną i biernie obserwowały jego poczynania. Marsha usiadła, zdjęła rękawiczki i uważnie oglądała zbielełe palce. Marion kiwała się rytmicznie, obejmując potłuczone golenie. Twarz Sheilli skrywał opatrunek. Zasłaniała go dłońmi. Zaczął się wyścig z postępującym wychłodzeniem organizmów.

Wykopanie jamy w śniegu nie było prostą sprawą, gdyż najpierw należało przedostać się przez warstwę lotnego, sypkiego jak mąka, pyłu. Don miał łopatę, znaną na jednym z noclegów. Niebyła wprawdzie aluminiowa, o jakiej marzył, ale była. Zrobienie styliska wymagałoby przekopania się z powrotem do skraju lasu, wyjęcia piły, wybrania gałęzi i jej przycięcia. Był na to zbyt zmęczony. Kopał więc samą blachą. Pociemniało zupełnie, ale wzrok już się przyzwyczył. Rosła zaspą odgarniętego śniegu. Pogłębiając otwór, wyrównywał i uklepywał ściany, żeby uniknąć osypywania się śniegu. Dopiero gdy zagłębił się poniżej

dwóch metrów, mógł drążyć nieco w bok i formować komorę. Przed oczyma – pojawiły się mroczki, więc wygramolił się z dołu. Podszedł do Sheilli i wyciągnął rękę. Podała mu kolejny, zimny kawałek karmelu. Sheilla tuliła się do Marion, aby tracić mniej ciepła. Marsha nieruchomo siedziała osobno, ale wiedział, że nie jest z nią źle, gdyż nie odniosła żadnych obrażeń.

Mam nadzieję, że nie zdążą zamarznąć – pomyślał.

Drążenie komory było trudniejsze niż drążenie wykopu. Należało to robić uważnie. Starannie ubijał śnieg na sklepieniu. W końcu wyszedł na zewnątrz i skinął na nie.

Marsha zebrała się sama. Jej ortalionowa, połatana kurtka szeleściła na mrozie, jakby była z papieru. Lekko szarpnął za ramię trupio bladą Marion. Sheilla powoli gramoliła się, jej twarz pokrywał krwawy sopel. Marsha nieporadnie złożyła szeleszczącą folię.

– Trzeba ją przenieść na dół – powiedział.

Wspólnymi siłami udało się zwlec Marion w głąb jamy i ułożyć ją na folii. Usiedli ciasno obok niej i usiłowali ogrzać ją ciepłem swoich ciał. Sheilla starała się coś powiedzieć, ale spod bandaża wydobywał się jedynie niezrozumiały szmer, może płakała.

Było już nieznośnie zimno, a w nocy temperatura spadała tu jeszcze niżej. Świadczyły o tym porozrywane mrozem pnie martwych drzew. Dzisiejsza noc nie mogła być wyjątkiem. Don wiedział, że mają niewielkie szansę, aby doczekać świtu. Zbyt płytka jama miała za duży otwór wejściowy.

Wstanie z miejsca było wielkim wyrzeczeniem: traciło się i tę złudną odrobinę ciepła, jaką dawała bliskość ich ciał. Podniósł się jednak i zaczął pogłębiać jamę. Wynosił wykopany śnieg na zewnątrz, aby nieco zmniejszyć otwór wejściowy i ograniczyć utratę ciepła.

Na zewnątrz mgła już opadła. Mrugały zimne gwiazdy i pokazał się księżyc w pełni. Stało się jaśniej. Płuca bolały przy oddychaniu. Splunął: ślina zamarzła. Szykowała się trudna, mroźna noc.

– Marion nie przetrzyma nocy – powiedziała Marsha, gdy zszedł z powrotem. – Jest półprzytomna.

Skinął głową i wrócił do pracy. Ratunkiem mogła być druga, znacznie głębsza jama. Sheilla owinęła sobie głowę szmatą, aby ograniczyć odmrożenia twarzy. Słabo kiwała się w przód i w tył. Starał się pracować dokładnie, ale słabł coraz bardziej. Wszystko obojętniało. Za którymś sztychem łopata zazgrzytała.

Marsha rzuciła bystre spojrzenie. Don lekceważąco wzruszył ramionami. Nie chciał złudnej nadziei. Lecz wkrótce nie było wątpliwości: w najgłębszej części wykopu odsłoniło się kilka dachówek. Marsha wyjęła z worka świecę – jedną z ostatnich, które pozostały. Mocne uderzenie łopatą i dachówka rozprysnęła się na kawałki, kilka następnych udało się obluzować i wyjąć.

Ukazał się czarny otwór. Niestety, baterie w latarce były przemoczone. Zapalił świecę i zajrzał do wnętrza: głęboko na podłodze walały się jakieś łachy. Uważał, by nie podpalić pajęczyn. Słysząc było przyspieszony oddech Marshy. Nie chciał skakać. Musiał więc poszerzyć dziurę, by udało się zsunąć po jednej z belek. Pracował w pośpiechu. Marsha trzymała świecę. Przeciągnął ciało i wgramolił się na belkę, a następnie opuścił na rękach. Rzuciła mu zapalki i podała świecę. Ostrożnie obszedł cały strych – dziur w dachu, oprócz tej, którą sam wybił, nie było. Olbrzymia zaspasniegu z jednej strony świadczyła, że ktoś kiedyś zapomniał zamknąć okienko. Typ i wiązary dachu świadczyły, że to wiejski budynek, typowy dla tych stron.

Zapowiadał się wspaniały nocleg. Pod grubą pokrywą śniegu temperatura nie powinna spaść poniżej minus pięciu, może ośmiu stopni. Należało się spieszyć, gdyż Marion mogła nie dożyć poranka.

Dostrzegł przewrócone trzy kulawe krzesła, ale nie tego szukał. Wreszcie pod dużą stertą zgniłych szmat czy zbutwiałego siana znalazł krótką drabinę. Przysunął ją i oparł o jedną z krokwi i delikatnie wciągnął do środka półślepą Sheillę. Marsha przytrzymała świecę. Gdy Sheilla powoli zeszła z drabiny, posadził ją na drewnianej podłodze i podał jej świecę. Przeciągnięcie Marion było znacznie trudniejsze. Kilkakrotnie wątpił, czy zdoła tak utrzymać ją w ramionach, by oboje nie spadli ze szczebli. Dyszał ciężko, gdy za nimi sprawnie wsunęła się do wnętrza Marsha.

Było cieplej – dzięki oddechom i płonącej świecy. Wspólnie z Marsha zaczęli rozgrzewać Marion. Zdjęli z niej koc, w który była owinięta i podartą kurtkę z ortalionu. Otworzyła oczy. Była bardzo słaba, palce miała zbieiałe i bezwładne.

Potem zajęli się twarzą Sheilli. Zakrwawiony bandaż i opatrunek utworzyły twardą bryłę lodu, trudną do usunięcia. Sheilla nie protestowała, gdy spokojnymi, silnymi pociągnięciami zrywał jedną warstwę zaschłej gazy po drugiej. Twarz miała przemarzniętą. Marsha wyjęła nieco spirytusu. Przemyli nim ranę i oczyścili jej siny i spuchnięty nos ze złodzonych zakrzepów. Sheilla patrzyła obojętnie, mrużyła duże oczy, gdy drażniły ją opary spirytusu i milczała. Nie bolało ją nic. Ale jutro pojawią się pęcherze i jej śliczna twarz nigdy już nie będzie wyglądać tak pięknie, nawet gdy te wszystkie odmrożenia wygoją się. Oczyszczoną ranę Marsha starannie zabandażowała.

Marion przestała chrupać słodczyce i zgrabiałymi rękami próbowała ściągnąć spodnie. Pomogli jej zdjąć podarte, skórzane buty i onuce

zrobione ze starych bandaży. Stopy miała trupio zimne. Spodnie trzeba było rozedrzeć gwałtownym szarpnięciem. Wrzasnęła z bólu, ale przyjęli to z radością, bo oznaczało, że nie utraciła czucia w całej nodze. Nosiła grube, męskie kalesony, których nogawki też trzeba było rozciąć i zedrzeć. Znów krzyknęła z bólu. Z paskudnie rozbitej goleni pociekła krew.

Długo nie schodził do pomieszczeń położonych niżej, obawiał się bowiem napotkać tam tego, co zwykle – zamrożonych trupów. Kiedyś jednak trzeba było to zrobić.

Kłapa była zabita od dołu. Don miał w worku duży śrubokręt. Spróbował ją podważyć. Śrubokręt nie zawiódł choć nieco wygiął się. Można było już w szparę wcisnąć nogę stołka, a następnie wyłamać kłapę. Schody trzeszczały.

Dom był piętrowy, nietknięty, w pokojach stały meble, zauważył też wiele innych, bezcennych przedmiotów. Rzeczy porzucono w nieładzie, jakby mieszkańcy opuścili dom w pośpiechu – Prawdopodobnie po pierwszych wielkich opadach zaraz na początku zimy. Wtedy wszyscy, którzy zdołali, przenieśli się do dużych miast; a ci, którzy nie zdążyli, zamarзли. Trupów nie znalazł, więc prawdopodobnie właściciele wtedy ocaleli. Szyby w dwóch oknach na piętrze i w jednym na parterze były stłuczone. Pod nimi utworzyły się zasy, od których ciągnął nieprzyjemny chłód przypominający o straszliwym mrozie na powierzchni.

W kuchni na parterze Don znalazł kilka świec. Wrócił do swoich kobiet. Wspólnie sprowadzili słabą Marion na dół. Zamknęli kłapę od strychu, gdyż przez dziurę w dachu spływał przeraźliwy ziąb. W kuchni oświetlonej dwiema świecami zrobiło się jasno i przyjemnie. Można było zdjąć kolejną warstwę odzieży. Don poczuł smród potu i brudu.

Musimy cholernie cuchnąć, jeśli czuć nawet na takim chłodzie – pomyślał. W ciepłe ogarnęła ich senność. Wyczerpani, zlegli pokotem, przykrywając się kocami. Don zaraz zasnął.

– On się już kończy... widziałam takich – Marsha zwróciła się szeptem do dygocącej Sheilli. – Musimy się z tym liczyć.

– W końcu znalazł fantastyczny nocleg – zauważyła Sheilla.

– To przez przypadek. Równie dobrze mogłaś teraz konać w jamie nad trupem Marion.

– Potem tak sprawnie spenetrował cały dom.

– Wierz mi. To jest już prawie jego koniec. On funkcjonuje tylko na nerwach. Jest prawie tak słaby, jak Marion – obie spojrzały na nią.

Don obudził się w ciemności, trzęsąc się z zimna, ale wypoczęty i wzmocniony. Wydawało mu się, że jedna z nich mówi przez sen.

– Co ci jest? – rzucił w ciemność.

– Boli, Boże, jak boli –: Sheilla siedziała skulona i pojękiwała.

– Dobrze, że boli. Znaczy, że się wygoi. Marion dygotała, Marshą mruzczała przez sen.

Należało zagrzać wodę. Przeszukał szafki w kuchni. Znalazł duże garnki, a w piwnicy również nieco narzędzi. Udało się nawet otworzyć drzwi wyjściowe, ale natknął się na ścianę zmrożonego śniegu.

Sheilla nadal pojękiwała.

– Spokojnie, mała – powiedział. – Przemyjemy twoją twarz. Palenisko zbudował na strychu, zachowując możliwe środki ostrożności. W mniejszym z garnków zrobił szereg otworów znalezionymi nożycami do blachy. Nie pierwszy raz wykonywał taki piec. Z paliwem nie było problemów: na początek poszło połamane krzesło. Dziura w dachu miała posłużyć za komin. Wypełnił większy z garnków śniegiem i postawił na mniejszym, umieszczonym na desce obitej lakierowaną blachą. Do

rozpalenia użył gazety. Zaimprovizowany piecyk więcej kopcił, niż grzał. Dym kierował się ku dziurze w dachu – widocznie na powierzchni zerwał się wiatr.

Chyba zrobi się jeszcze zimniej – pomyślał. Usłyszał człapanie na schodach. W otworze pojawiła się zabandażowana główka Sheilli. W garnku śnieg coraz szybciej topniał; już można było go dosypywać. Sheilla kucnęła obok i wyciągnęła ręce ku ciepłu.

– Umyjemy twój dzióbek – powiedział.

– Coraz gorzej mnie piecze – kiwnęła głową. – Tam chyba dzieje się coś niedobrego pod tymi bandażami...

– Nie mam nic lepszego... Resztę alkoholu wypijcie przed spaniem. Nie mam nic na odmrożenia. Sądzę, że teraz zrobią się pęcherze. Twoje rany odkazi się wodą.

– Co będzie z Marion?

– Dałem jej alkohol. Powiedziała, że włada stopami, zanim usnęła, i że ją bolą... Więc może ich nie straci – dokładał do ognia kawałki krzesła.

Sheilla dosypała ostatnią porcję śniegu do garnka. Czekali, aż woda się zagrzeje.

– Pilnuj ognia, żeby się coś nie zajęło. Przyniosę więcej garnków – powiedział i poszedł na dół.

Marion zbudziła się, leżała bez ruchu. Aż do połowy łydek jej nogi były lodowate. Próbował pobudzić krążenie w jej stopach. Po kilkunastu minutach przerwał masaż.

Don zaniósł jeden z garnków na górę. Razem z Sheilla zestawili z ognia gar z wrzącą wodą. Ustawił nowy, wypełniony śniegiem. Sheilla pozostała przy piecyku, a on wrócił na dół, do Marion. Woda w garnku powoli stygła.

Gdyby mieć alkohol, chociaż nieco alkoholu... – myślał.

O innym środku rozszerzającym naczynia krwionośne nie można było marzyć. Rozpoczął poszukiwania. Marion zacięcie i milcząco pracowała nad swoimi stopami. Starannie przeszukał półki w kuchni, następnie przeprowadził drobiazgową rewizję szaf w pokojach. Przy okazji znalazł sporo zamrożonej żywności. Poszukiwania w piwnicy były utrudnione, ponieważ w dwóch kątach wznosiły się zasy śniegu. Wreszcie, w kącie składziku z węglem odnalazł całą skrzynkę wódki. Zabrał do kuchni jedną z butelek.

Marion duszkiem piła zmrożony alkohol. Wyjął jej butelkę z ręki. Etykieta była krzywo przyklejona, ordynarna.

– Nie pij za dużo. Teraz jest to tak zimne, że nie poczujesz, a potem zetnie cię z nóg. Na razie wystarczy.

Miał rację: Marion szybko upijała się. Alkohol rozgrzewał się i działał coraz mocniej.

Don nie zwlekając, wsadził jej stopy do garnka i natychmiast wyjął, uważnie obserwując jej reakcję. Woda była tak gorąca, że parzyła dłonie. Marion nie reagowała. Znowu przywarła do butelki.

Pij, jeśli chcesz – pomyślał. – Albo ci pomoże, albo przynajmniej dłużej nie będziesz rozumieć...

Raz za razem zanurzał jej stopy w wodzie, przy okazji parząc sobie dłonie. Raz, przypadkiem, chlapnął jej na łydki. Wtedy wrzasnęła, dopiero wtedy. Gdy wreszcie jej stopy osiągnęły temperaturę zbliżoną do normalnej, Marion zaczęła więc się z bólu.

– Te cholerne mrówki!... Boli, jak cholera! – mówiła. Don roześmiał się. Nadal trzymał mocno jej nogi i co chwilę zanurzał stopy..

– Gdzie boli? – zapytał. – Palce?... Pięta?...

– Nie wiem. To takie mrówki chodzą... Cholera...

– Potrafisz ruszać palcami? – próbował nawiązać kontakt, wyginając jej palce, ale cały czas bełkotała wyłącznie o mrówkach, które chodzą jej pod skórą. Wypiła już za wiele i zasypiała, mimo że nieustannie wyginał jej udręczone stopy. Gdy zasnęła, wytarł jej stopy i naciągnął spodnie. Były wilgotne, przepecone, cuchnęły wielotygodniowym potem. Marion oddychała równo, jej oddech wionął oparami alkoholu. Zlepione, czarne włosy wiły się wokół twarzy, która miała charakterystyczny, szarawy odcień skóry, zwykle śniadej i łatwo opalającej się, lecz od dawna pozbawionej kontaktu ze światłem słonecznym.

Zawlókł ją do sąsiedniego pokoju i ułożył na kanapie. Przykrył jakimś burym kocem wyciągniętym z szafy, na stopy naciągnął jakieś znalezione, też bure skarpety. Palce jej stóp już stygły. W świetle świecy większość kolorów wygląda buro.

Zaniósł na górę garnek z ciepłą wodą, nadawała się jeszcze do mycia. W łazience odłamał z wanny przymarznąłą kostkę mydła. Sheilla zniecierpliwiona czekała na zmianę opatrunku. Wcześniej musiał jeszcze ustawić nowy garnek ze śniegiem.

Zabrał się do odwijania gazy przesiąkniętej wydzieliną. Syczała z bólu, gdy kolejne zwoje rozrywały przyschnięte pęcherze. Pokryta rozległymi pęcherzami jej twarz wyglądała bardzo złe, nawet po umyciu przegotowaną wodą. Don próbował je ostrożnie zdezynfekować wódką. Następnie założył jej świeży opatrunek. Przy tych zabiegach zachlapała się jej kurtka, bluza i reszta odzieży. Sheilla po zmoczeniu i ogrzaniu się cuchnęła nieznośnie. Ostatni raz mieli okazję umyć się ponad tydzień temu. Ona też to czuła lub tylko zauważyła.

– Jest na dole łazienka? – zapytała.

– Tak. Na dole w szafach jest też sporo odzieży – powiedział. – Ale ciepłej wody tylko dwa garnki.

– Starczy – zdecydowała. – Będziesz mnie polewał. Piecyk zagaślił resztką wody. Znieśli garnki z wodą do łazienki Sheilla wybrała z szaf nieco odzieży. Nie było wielkiego wyboru, gdyż najlepszą gospodarze zabrali ze sobą. Bielizny zostało więcej, ale w ciemności trudno coś wybrać Sheilla rozbierała się i starannie układała odzież w kostkę, W łazience było bardzo zimno, a marny płomyk świecy rzucał słabe odbłaski na glazurę Pogłębiało to uczucie chłodu i nieprzytulności. Podziwiał jej samozaparcie. Sheilla odwijiała właśnie onuce.

– Cuchnę? – zapytała głosem przytłumionym przez opatrunek – Jak Marion. Może trochę więcej – wyszczerzył zęby. – Jesteś cham. Czemu więcej? Ona myślała się wtedy, kiedy, i ja – Sheilla nadal się rozbierała. Miała gęsią skórkę.

– Bo zimne mniej cuchnie – odpowiedział. Miał to być dowcip, ale nie zrozumiała. Rozebrała się do naga, stanęła w wannie i niezręcznie próbowała upiąć przetłuszczone, pociemniałe włosy.

– Nie myjesz włosów? – zapytał.

– Myję. Pod pachami i w kroku – usiłowała się rozeźmiać, ale nie pozwoliły na to pęcherze na twarzy i gaza opatrunku. Wyszedł niezdamny grymas twarzy. Polewał ją wodą pozostałą po rozgrzewaniu stóp Marion. Sheilla namydlała się, oszczędnie wykorzystując wodę. Starannie wcierała rękami mydliny. Ujęła od spodu piersi i podniosła je do góry, a następnie pozwoliła im obsunąć się nieco pod śliskimi dłońmi. Prychnęła głośno.

– Nareszcie sobie pooddychają – powiedziała.

– Wyprostują się... – znowu był złośliwy. Zamachnęła się, jakby chciała go uderzyć.

– Żartowałem – wycofał się. – Wyglądają pięknie – dodał z uznaniem.

– Lepiej niż twarz – powiedziała. – Wiesz... Przydałby się pumeks.; Sheilla stojąc na jednej nodze, usiłowała obejrzeć swoją drugą stopę. Kiwała się na wszystkie strony i w pewnym momencie przechyliła się tak, że omal upadła. Przytrzymał ją mocno. Była zimna i śliska jak ryba.

– Lepiej nie szorować grzyba po ciemku – zauważył. – Łuszcząca się skóra jest osłabiona, a lepiej nie ranić się do krwi w stopę.

– To nie grzyb... To tylko się tak łuszczy – przypatrywała się swoim stopom.

– Skończą się antybiotyki, to skończą się grzybice – zauważył.

– Myślisz? – wyginała się i masowała plecy. – Chyba wcześniej dojdziemy na południe, co?... Don wzruszył ramionami..

– Nadal się pogarsza – powiedział. – Nadal się oziębła. Często chodzimy w kółko. Czasami bierzemy namiar na takich, jak my... Bez sensu.

Spłukał ją wodą i obserwował, jak namydla się drugi raz. Sheilla była bardzo zgrabna i nic z tego nie straciła, pomimo trudów i wysiłku. Była tylko szczuplejsza niż dawniej. Spłukał ją po raz drugi, tym razem staranniej.

– Niezła jestem... Umyć się w tak małej ilości wody – powiedziała.

– Rzeczywiście, jesteś niezła – zauważył i po pauzie dodał: – To żadne osiągnięcie, wody było z dziesięć litrów.

Sheilla nałożyła znaleziony biustonosz i nieco się wyprężyła.

– Leży jak ulał.

– Marsha nosi większy numer – zauważył Don.

– Chodzi o jakość, a nie o ilość – nadal była pewna siebie.

– Po co się tak spieszyłaś z myciem, jeśli ona nosi inny numer?

– Za mały też by wzięła. Jest zachłanna. Ty nadal śmierdzisz jak cap – stwierdziła triumfująco.

– A ty się trzęsiesz z zimna...

– Ale mi sterczą tak, że nitki w biustonoszu pękają...

– Tylko końcówki – dobił.

Ubierała się w rzeczy wyciągnięte z szafy, nie ruszając tych ułożonych w kostkę.

– Weź też coś z tego – wskazał na brudy. – One też będą chciały wziąć coś z nowych rzeczy...

– Marion? – Sheilla wyduła wargi. – Może chodzić bez... Bez różnicy.

– Nie bądź złośliwa, nie jest z nią tak źle...

– Ze dwa numery mniej. Po co ją w ogóle wzięłeś z sobą? Co się w niej mogło spodobać? – triumfowała. – Teraz idę spać i nie życzę sobie towarzystwa kopytnych.

– Umyję się rano – wzruszył ramionami.

W uszach narastał znajomy szum przed oczyma triumfująco biegały mrocзки. Serce domagało się swoich praw.

– Już nic nie widzę... – szepnął. – Chyba mnie bierze... Pomóż mi położyć się.

– Cholera! – powiedziała, biorąc go pod rękę. – Może nie powinnam robić tego pokazu dla ciebie.

Ledwie ją słyszał przez szum w uszach. Czuł zgniatanie klatki piersiowej. Ułożyła go na podłodze, na kocu. Nadal był świadomy, ale odczuwał przemożne pragnienie ucieczki ze swego męczącego ciała. Sheilla poszukiwała apteczki w wystrzępionym plecaku Marshy.

– Marsha! Gdzie są kropelki?... Dona znowu wzięło – szarpała ją za ramię. Marsha gramoliła się na kocu. Don leżał nieruchomo, półmrok ukrywał jego bladość. Było mu bardzo zimno, miał dreszcze. Wyglądało, jakby drgał w agonii. Czuł się zdruzgotany, nie miał zwykłego, upartego pragnienia przetrwania, które dotąd go nie opuszczało.

– Z nim już koniec – powiedziała Marsha. – Nie przetrzymał tego wszystkiego. Miałam cholerną rację...

– Szukaj kropelek! Ty cholerna guzdrało! – Sheilla mówiła twardo, podtrzymując głowę Dona.

– Ciężko mi – powiedział cicho.

Sheilla próbowała rozluźnić jego waciak. Marsha znalazła mały słoiczek owinięty workiem foliowym. Zapach zdradzał zawartość. Folia nasiąkła brunatną cieczą, która przeciekła przez nieszczelny korek.

– Nie możesz tego pić – powiedziała, podając mu lek. – Przyłożę ci do języka. Dwadzieścia przyłożeń.

– To chyba za dużo!?! – zdziwiła się Sheilla.

– Musi dostać kopa, żeby wstać na nogi. Również Marion zbudziła się.

– Wyjdzie z tego? – zapytała.

– Musi wyjść, musi nam pomóc – powiedziała Marsha. Wraz z jej słowami poczuł się lepiej. Lekarstwo działało szybko. Dreszcze ustały. Dziewczyny szczelniej go okryły. Sheilla przyniosła z kuchni jakieś cukierki. Rozmoczyły je w letniej wodzie po myciu.

– On był głodny, po prostu cholernie głodny. Glukoza poleciała w dół – Sheilla przekonywała pozostałe. Marsha milczała. Don leżał osłabiony; dolegliwości już minęły. Nakarmiły go rozmoczoną, słodką papką. Marion oblizywała palce.

– Bolą mnie te kulasy... – była jeszcze pijana. – Szczególnie golenie.

Nagle Marsha przyjrzała się Sheilli.

– Ty świniu! – wrzasnęła. – Ty młoda świniu! Wszystkie szmaty przekopałaś?! Wybrałaś sobie co najlepsze?!

Sheilla stała bez ruchu, przygotowana do obrony zdobyczy, – Szafa jest jeszcze pełna – powiedziała. – Możesz podzielić się z Marion. Ja nie Wzięłam wiele. Don zasypiał.

Sheilla i Marion siedziały cicho, owinięte w koc. Dopalała się świeca. Zbudził go hałas – to Marsha otrzepywała się ze śniegu.

– Byłam na górze – powiedziała. – Jest już dzień. Co będziemy robić, Don?

– Zjemy coś, a potem... – zawahał się. – Chyba nie zamierzacie dziś wyruszyć?

– Bez sensu – syknęła Marion. – Moje stopy są do niczego. Marsha przyniosła suchy chleb i otwartą, nadjedzoną puszkę mielonki oraz butelkę nadkwaszonego, zimnego mleka.

– Zrobisz dzisiaj namiar? – zapytała. Potwierdził skinieniem głowy, żując kawałek chleba.

– Może wyślij też wezwanie?

– Na dodatek, już po antybiotykach – kontynuowała. – Apteczka zamokła i rozpuściły się na błotko.

– Może da się zebrać tę masę i wysuszyć, a potem podzielić na porcje?

– Będzie trudno: prawie wszystko wypłynęło i wsiąkło w plecak. Może uzbiera się na dwie porcje...

– To je przygotuj i podaj Marion.

– A ty? – skinął głową w stronę Sheilli.

– Boli, jak cholera. Przez bandaż przesiąka wydzielina.

– Jaka wydzielina?

– Przezroczysta i nie śmierdzi. To nie jest ropa.

– To dobrze. Trzeba będzie zmienić opatrunki.

– A poza tym chciałybyśmy się też umyć – powiedziała z naciskiem Marsha. – Nie tylko twoja ulubienica musi być czysta...

– Wszystkie – jesteście moimi ulubienicami – odpowiedział. – W przeciwnym razie nie byłybyście ze mną. Jeśli mamy tu dłużej pozostać –

zmienił temat – będzie sporo roboty. Musicie mi pomóc. To znaczy ty, Marsha...

Marion przygotowywała porcje antybiotyku. Gdy nikt nie patrzył, wylizywała i wysysała tkaninę plecaka, żeby więcej wchłonać. Widziała ludzi umierających w wyniku infekcji wywołanych lekkimi odmrożeniami. Wierzyła, że nabawiła się lekkich odmrożeń.

Don wspiął się przez otwór w dachu i korytarzem śnieżnym wyszedł na powierzchnię.

Było niezbyt zimno. Kłębiły się szare chmury. Wokół cicho, spokojnie, ani śladu życia. Na zboczu widniały ślady ich męczeńskiej wędrówki. Tylko ślady przypominały wczorajszą walkę o przetrwanie. Na zboczu widać było miejsce drugiego upadku Marion, a nieco wyżej upadku Sheilli, a także ślady innych upadków, mniej groźnych. Spokojnie wędrował wzrokiem wczorajszą drogą. Ile jeszcze dni zdobyli dla siebie wczorajszą walką?

W głębokiej dolinie nie było sensu robić namiaru; a Don nie zamierzał wspinać się aż na grzbiet. Poza tym nie podzielał zdania Marshy, że powinni kontaktować się z innymi.

Planował co innego. Zaczął łopatać drażyć głęboki szyb do komina. Był dobrym specjalistą. Korzystając z niewiele ponad dwudziestu litrów wody podgrzanej na zaimprovizowanym piecyku z garnka i podawanej przez Marszę w litrowym garnku, wykonał głęboki na kilka metrów szyb o ścianach wygładzonych i dokładnie oblodzonych. Następnie pociągnął boczną sztolnię łączącą otwór wejściowy z szybem kominowym, umożliwiającą usuwanie śniegu w razie zamieci. Nad szybem wzniósł zmyślną, zwiniętą z arkusza blachy konstrukcję wspartą na deskach włodzonych w ścianę szybu i przykrytą daszkiem chroniącym od zamieci. Gdyby ktoś obserwował dolinę przy użyciu lornetki, spostrzegłby jedynie ledwie wystający ponad powierzchnię komin z daszkiem. To nie był

wielki powód do obaw, gdyż było mało prawdopodobne, że akurat jacyś ludzie będą szli tą doliną, a z grzbietu dym powinien być niezauważalny.

Przełknął zimny posiłek i wrócił do pracy. Koniecznie chciał dzisiaj uruchomić piec. Teraz drążył drugą, szerszą sztolnię, prowadzącą w dół do dachu i następnie niżej, do okien. Chciał przez to zmniejszyć groźbę zaccadzenia, gdy rozpalą piec; chociaż pogarszało to izolację cieplną budynku. Pracował pośpiesznie, zgrzany i spocony. Gdy w oknie pojawiły się nogi Dona, do wnętrza budynku po latach wróciło światło. Sheilla otworzyła okno i przekop był gotowy. Potem przedłużył tunel aż do drzwi.

Przyszło nam, jak polnym myszom, drążyć chodniki – pomyślał. Don mógł uważać się za wytrawnego wędrowca śnieżnego. Stracił rachubę dni, od kiedy wędruje. Dziesiątki noclegów – w jamach śnieżnych, w opuszczonych, splądrowanych chałupach lub odkopanych szałasach. Najpierw na zachód, a teraz po ostatecznej awarii, gdy wszyscy musieli opuścić miasto – na południowy wschód. Rozproszyli się, gdyż wtedy nie konkurowali w zdobywaniu żywności. Z rzadka wymieniali zamiary radiowe, aby ułatwić sobie orientację.

W razie spotkania z grupką innych ludzi musiał liczyć się z walką o posiadane dobra. Walka mogła zakończyć się śmiercią, lub ranami, które z reguły pociągały za sobą powolną, ale nieuchronną śmierć.

Należało przetkać przewód komina. Najpierw, małym garnkiem przywiązanym do długiego kija usunął sporo śniegu z przewodu. Następnie do wnętrza pieca wsadził piecyk z garnka. Wkrótce cegły rozgrzały się i z komina zaczął osuwać się śnieg. Wygarniał go tak, aby nie zagasić ognia. Obecnie najgorszą rzeczą byłoby przerwanie ogrzewania, gdyż utworzyłby się czop z lodu i trwale zatkałby przewód kominowy. Don uprzątał kolejne porcje śniegu zsuwające się do paleniska. Z góry ściekała strużka wody.

– Z ciebie jest niezły szczur kominowy – powiedziała uśmiechnięta Marion. Światło dzienne odmieniło ją – policzki zaróżowiły się, nie miała gorączki. W pracy wyręczały ją Sheilla i Marsha.

Don wyszczerzył zęby.

– Zaczekaj z pochwałami. Tam jest jeszcze sporo śniegu. Jednak nic nieoczekiwanego się nie stało i wkrótce przewód kominowy był przetkany. Dym przestał dławić i zamiast snuć się po izbie, zniknął w kominie. Uruchomienie pieca nadało życiu nową jakość.

Zapadał zmrok kiedy Don zakończył te prace.

Sheilla dokładała do ognia węgla przyniesionego przez Marszę w zardzewiałym wiadrze. Żar palił odmrożoną twarz, ale Sheilla nie chciała zrezygnować z przyjemności wygrzewania się. W garnku ochoczo topniał śnieg na ziemniaki. Marion przykuśtykała, wspierając się na kijku narciarskim i aluminiową łyżką wybierała co większe paprochy z garnka. Nasypała soli, żeby przyspieszyć topnienie. Don strugał z gałęzi kule, aby mogła wygodniej chodzić. Marsha obierała ziemniaki.

– Pokazało się dzisiaj słońce? – zapytała. Don potwierdził skinieniem głowy.

Spojrzały na niego wszystkie trzy.

– Nic z tego... – mruknął, nie patrząc na nie. – Bez zmiany. Nadal jest pomarańczowe. Widać na nim plamy. Jak dotąd.

Trochę zwarzył ich nastrój. Szyby zaczynały zamarzać.

Długo można by chwalić zalety tego miejsca. Niemalże wszystkiego było pod dostatkiem. Wyglądało, jakby właściciele opuścili dom, nie zabierając niemal nic ze sobą. Marsha naląła wszystkim po dużym kieliszku wódki. Don oglądał pod światło kieliszek ze rżniętego szkła kryształowego.

Kiedyś stwierdziłby, że jest w złym guście, teraz podziwiał kształt. Uśmiechnął się: taki kieliszek powinien służyć do wina.

– Cuchniecie jak barany – powiedziała Sheilla, opróżniwszy swój kieliszek. – Zróbcie z tym coś, bo będziecie musieli przenieść się na zewnątrz...

– Mała jest cholernie bezczelna – powiedziała Marsha, która nie kupiła nieudanego dowcipu Sheilli.

– Zmienimy opatruneczek, to się uspokoi – powiedział zjadliwie Don.

Ta uwaga uspokoiła Sheillę i nieoczekiwanie podziwiała na Marion, która jednym haustem wychyliła kieliszek i nalała następny. Ziemniaki już się rozgotowały. Marsha przygotowywała jakieś jarzyny i konserwę jako omastę. Nastawiła wodę na herbatę.

Zgodnie z zapowiedzią, Don zmieniał Sheilli opatrunek. Jej twarz wyglądała przerażająco. Policzki i nos pokrywały pęcherze surowicze..

– Spróbujemy je przekłuć – powiedział. Zaostrzył i wygotował drut do robótek, następnie odkaził go w wódce. Z przekłuwanych pęcherzy ściekała bezbarwna surowica. Don nie miał doświadczenia w pielęgnowaniu odmrożeń. Należało to do kobiet, ale akurat żadna nie umiała tego robić, nawet Marion.

Próbował odkazić jej twarz wódką, ale tak wyginała się z bólu i syczała, że zaprzestał. Marsha podawała jedzenie.

– Oczy masz nie zagrożone – powiedział. – Pęcherze nie sięgają tak wysoko. Może się to zagoi bez śladu... Jej oczy zmały pod zapuchłymi powiekami, choć błyszcząły jak zwykle.

– Obiad gotowy! – przerwała Marsha. – Przestańcie tam gruchać... Marion opatrzysz po jedzeniu.

Smakowało wyśmienicie: mięso z puszki, którego znajomy, niewyszukany smak skutecznie maskowały dodane przyprawy i cudowne,

sypkie, żółte ziemniaki.

– Dobre te ziemniaki – powiedział Don. – Nawet nie są sine, nie przemarzły.

Marsha była dumna. Chwilami nie umiała skrywać myśli.

– Mięso też – podchwyciła Sheilla. – Wcale nie czuć, że to konserwowe... To chyba ten twój pomysł z warzywami?

Don uśmiechnął się nieznacznie – przecież Sheilla była obecnie niemal pozbawiona węchu, zatem i smaku. Te pochwały były zapłatą za zgodę na nowy biustonosz.

Siedzieli na dwóch zestawionych kanapach – tę drugą przenieśli z sąsiedniego pokoju i ustawili przy piecu. Siedzieli z podciągniętymi nogami, gdyż pomimo uszczelnień strumień przejmująco zimnego powietrza snuł się przy podłodze.

Marion; podpita i najedzona, zapadła w lekką drzemkę. Wtedy Don i Marsha odwinęli jej bandaż. Ogromne pęcherze sięgały pod kolana, zaś stopy, wprawdzie wolne od pęcherzy, były zupełnie czarne. Don przekłubał i odkażał je.

– Hej, wy tam!... – powiedziała głośno Sheilla. – Marsha, zostaw Dona. Nie musisz się tak stale na niego gapić...

Właśnie bandażowali stopy Marion, która cicho chrapała. Marsha machnęła ręką, jakby oganiała się od muchy.

– Cicho bądź, Sheilla. Nie przeszkadzaj.

– Zdrowie! – Sheilla uniosła kieliszek. – Zdrowie nas wszystkich!

– No i co o tym myślisz? – Marsha nie zwracała na nią uwagi.

– Sama widziałas – odrzekł. – Nic nie myślę... Oboje sączyli alkohol. Nagle Marion zbudziła się i uniosła na łokciach.

– Chyba umieram. Dławi mnie. – powiedziała. – Nie mogę oddychać.

Zaczęła rzezić i rzucać się na łóżku. Oddychała z trudem, chrapliwie.

– Może jej zrobić sztuczne oddychanie? – podsunęła Marsha.
– Bez sensu... Przecież oddycha.
– Ona zażywa antybiotyki – powiedziała Marsha. – Nie wolno jej było pić dzisiaj.

Spojrzały na niego.

– Nie wiem. Nic nie wiem. Nawet nie znam nazwy tego leku... Może trochę histeryzuje... – plątał się w domysłach. – Trzeba czekać.

Marion oklapła. Jej pobladłą twarz pokrył zimny pot.

– Zimno mi – powiedziała. – Bardzo zimno... Przykryjcie mnie.

Otulili ją kocem, nadal siedząc wokoło. Atak mijał. Powiedziała, że już jej lepiej, choć nadal drżała. Wszyscy troje zaczęli pić.

– Mam czarne stopy, prawda? – zapytała nagle. Milczeli.

– Możecie powiedzieć. Trochę znam się na tym – mówiła dalej. – Chcę wiedzieć, żeby znać swoje szansę... Z czarnych stóp można jeszcze wyjść. Widziałam, jak z tego wychodzili.

– Masz czarne stopy – potwierdziła Marsha. – Bez pęcherzy. Pęcherze są na łydkach.

Marion spokojnie skinęła głową.

– Najgorsze, że dotąd nie wróciło mi czucie. Tylko lewa pięta jakby reagowała... Ale jestem dobrej myśli... bo gdy chodzę, nie jest całkiem źle. Mam wrażenie, że są mi posłuszne. Poprzednio torował mi drogę; facet o czarnych stopach. Robiłam mu opatrunki, ale szedł.

Marsha przyniosła radio i znalezione przez siebie baterie.

– Były tak zimne, że muszą działać – powiedziała i włożyła je do plastikowej obudowy. Odbiornik był bardzo zużyty. W najczęściej dotykanych miejscach, przy pokrętkach były charakterystyczne, ciemne i tłuste zacieki; Przekręciła wyłącznik. Głośnik zatrzeszczał. Marsha powoli,

z namaszczeniem obracała pokrętko strojenia. Trzask nie zmieniał się. Nagle przez trzaski dała się słyszeć muzyka, a potem gardłowy głos spikera.

Już mieli łzy w oczach. Odbiór się poprawił, głos stał się bardziej czysty. Spiker spokojnie odczytywał komunikaty. Po chwili odbiór pogorszył się, muzyka stała się ledwie słyszalna. Innej stacji nie udało się złapać.

– Znowu radio Benha? – zapytała Marion.

– Nie wiem... Chyba tak – Don wzruszył ramionami. – Mówili po arabsku. Może Benha jeszcze nadaje...

– Jak tam daleko, jak tam jeszcze daleko – westchnęła Marion.

– Gdy tam dotrzemy, będziecie moim haremem – Don z uśmiechem objął ją. – Ty do reszty opalisz się na „Murzynkę”... Stopy już masz czarne...

– Myślisz, że tam dojdziemy? – Marsha splotła ręce pod kolanami.

– Ty i Sheilla będziecie robić za cudowne, niebieskookie hurysy z Północy... Wszędzie ciepło, jak dawniej – mówił ciszej, do swoich myśli. – Jesteście takie piękne...

Nagle otrząsnął się.

– Co mówiłaś? – zwrócił się do Marshy. Nie, nie będzie źle... Co dnia jest tak samo. Może już nie oziębia się... A noce?. – mówił chaotycznie. – Trudno powiedzieć, bo są już tak zimne, że trudno ocenić. Nie mamy termometru. Dzisiaj tarcza słoneczna wyglądała tak samo jak dotąd.

Zapadła cisza. Nie oczekiwały wyводу na ten temat. Popijali swoją wódkę.

– Nie pamiętacie, co mówili? – spytał, jakby chciał rozproszyć nastrój. – Ilość energii dochodzącej ze słońca spada wolno i, jak dotąd spada niewiele... To następuje powoli... Może już się zatrzymało? Jestem przekonany, że na południu jeszcze ktoś zajmuje się astronomią... Może

gdyby złapać Abidżan... Oni mówią po francusku. Marsha by coś zrozumiała.

Zbudził się z uczuciem znajomego pieczenia, Nie powinien wypić tak wiele. Przecież nadal był bez formy. Poruszył się w ciemności. Próbował przetrzymać bez budzenia ich, ale atak był zbyt poważny. Na szczęście, Sheilla nie spała. Przysunęła się.

– Co jest, Don? – szepnęła.

– Znowu mnie bierze – powiedział cicho.

– Cholera – poszukała świecę. Marsha również się zbudziła i szukała kropli.

Szum w uszach narastał. Don zapadł w niebyt.

– Znowu? – Marion usiadła na posłaniu.

– Jest nieprzytomny – powiedziała Marsha. – Nie można mu podać tych kropel. Mówiłam wam, że on jest już do niczego. Ten poprzedni tydzień go dobił, on już z tego nie wyjdzie. Pompa mu wysiadła.

Marion i Sheilla słuchały z uwagą. Nie potakiwały, ale i nie przeczyły.

– Teraz już będzie tak do końca... – kontynuowała Marsha. – Może za parę dni będzie z nim nieco lepiej i przestanie go brać tak często... Ale on nas nigdzie nie doprowadzi. Jest za słaby. Im szybciej się skończy, tym lepiej dla nas wszystkich. Ostatecznie, nie był taki wyjątkowy.

– Ten dom... – włączyła się Marion – to przecież przypadek, a nie jego wiedza. Tylko przypadek.

– Ale to jest Don – powiedziała Sheilla. Wpadła na pomysł, aby zwilżać lekarstwem palec, a następnie lekko wycierać w jego wargi. Pracowała cierpliwie.

– Nie jest taki nadzwyczajny – Marsha wydeła usta. – Trzy takie, jak my, mogą mieć dowolnego faceta. Tam było przynajmniej trzech mężczyzn, którzy nie mieli swoich kobiet. Każdy z nich patrzył na nas łapczywie.

– Szczególnie ten taki wysoki... Wyglądał jak Sallambo – ho... – Sheilla nadal zwilżała lekiem wargi Dona.

– Ten łysiejący blondyn z wielkim łbem? – zapytała Marsha. – Nie, ten drugi...

– Sallambo – ho nie śpiewa już od lat, a poza tym wyglądał inaczej – powiedziała Marion. – Zresztą, czy naprawdę musi być ten Chudzielec? Nawet nad grobem Don wygląda lepiej od niego.

– Zagłodzona pokraka w łóżku to jakby spać z pajakiem – Marsha i Marion solidarnie miażdżyły marzenie Sheilli. – Wyobraź sobie potwornie długie gnaty, a na końcu szorty jak balony. Pająk domowy.

– Naprawdę to był typowy Brojler – zauważyła Marsha. Co?... Jaki brojler?

– To ty nie wiesz? – Marsha znowu była górą. – Dawniej hodowali kurczaki. I żeby rosły szybciej, pakowali w nie hormony wzrostowe. Oficjalnie, tylko dorośli mogli je jeść. Niektórzy rodzice karmili tymi kurczakami dzieci i wyrastały takie pokraki, jak ten twój ulubieniec... Ręce i nogi półtora raza dłuższe niż u normalnego człowieka. Kości długie tak rozrastały się. Sheilla słuchała z uwagą.

– On wcale nie jest zagłodzony, on inny być nie może. Biedna ofiara przemysłu spożywczego... – kontynuowała Marsha. Sądząc z szerokości ramionek, powinien być jakieś trzydzieści pięć centymetrów niższy, tak gdzieś metr sześćdziesiąt... Tobie do czubka nosa. To jego miarka biologiczna. Taki właśnie Brojler – podsumowała.

– Zjadłabym kurczaka – powiedziała Marion.

– Tobie i tak już nic nie urośnie – ścięła ją Marsha.

– A z tym, co teraz? – Sheilla podbródkiem wskazała na Dona.

– Dajmy mu szansę... Jeszcze raz, co? – powiedziała Marion. Obie spojrzały na nią zimnym wzrokiem cudownych, ciemnobłękitnych oczu.

– Nie przesadzaj, Marion – skarciła ją Marsha. Jako najstarsza miała autorytet. – Mężczyzna jest po to, żeby ci torował drogę na południe. Ty za to śpisz z nim od czasu do czasu, żeby się nie rozmyślił. Nie za często, żeby znał swoje miejsce...

– A gdy już będziemy na południu, to będziemy się obywać bez?... – spytała ironicznie Marion. Obecnie ona trzymała głowę Dona na kolanach i łagodnie wycierała w jego wargi palce zwilżone lekarstwem.

– Nie bądź głupia – powiedziała Sheilla. – Południe jest daleko. Będzie czas się martwić.

Don poruszył ustami Otworzył oczy i uśmiechnął się szeroko.

– No i co? – zapytał cichym, niskim głosem, ale, tym swoim nieco bezczelnym tonem, że aż drgnęły. – Nie idziecie spać?

Marion zmierzwiła mu czuprynę.

– Jesteś nieznośny – powiedziała.

– Jak się czujesz?... – Sheilla całą sobą wyrażała chęć pomocy.

– Zjadłbym coś – powiedział i znowu się uśmiechnął do nich. – Jest w porządku.

Obie wstały z posłania, aby coś przygotować. Marion lekko gładziła jego włosy. Przygotowały słodczy i chleb z mięsem.

– Właściwie też jestem głodna – powiedziała Marsha i roześmiała się. Wszyscy czworo zgodnie jedli ten nie przewidziany posiłek, a potem usnęli, tuląc się do siebie jak koty.

Poranek poznali po zastąpieniu ciemności przez ciemną, a potem nieco jaśniejszą szarość. Okno było zasłonięte kawałkiem tektury i dlatego świat musiał skończyć się kolorem szarym. Don podniósł się pierwszy i odsłonił zalodzone okno. Zrobiło się jaśniej. Dziewczyny gramoliły się z posłania.

Postanowił zbudować toaletę, jednak wyjście na zewnątrz było poświęceniem, ponieważ doliną była magazynem zimnego powietrza, zaś wykopany szyb był w tym magazynie najzimniejszą półką. Cóż, skorzystać z toalety musiał. Ubrał się grubo i znalazł kompromis – skorzystał z toalety dokładnie tam, gdzie zamierzał ją wykopać. Wziął się do roboty. Łopata wymagała solidnego drzewca. Wspiął się na powierzchnię, aby wyszukać odpowiedni drąg.

Bezchmurne niebo miało przyjemny, ciemnobłękitny kolor oczu Sheilli.

Dni są długie – pomyślał – Środek lata, ale zimno jak zeszłej zimy... Gdy nadejdzie zima, to nawet w dzień nie będzie można wędrować.

Spojrzał w kierunku tarczy słonecznej. Mrużąc oczy, można było wyróżnić słabiej świecące obszary, choć koło południa blask był silny. Odniósł wrażenie, że znów jest gorzej i pogarsza się stosunkowo szybko.

Mówili, że rozbłysk wywołała kosmiczna katastrofa. – Wielki obiekt, może glob, uderzył w Słońce, Nikt tego nie widział w Europie, a nikt na zachodniej półkuli nie przeżył tego błysku. Katastrofa była hipotezą w którą Don nie wierzył, gdyż uważał, że przygasanie to naturalny, cykliczny proces. Po prostu nową epoką lodowa.

Potem, gdy słońce weszło nad Azją i Europą, nie wydawało się zmienione, ale wkrótce zaczęło się jego słabnięcie i trwa to nadal. Chyba to przygasanie nie doprowadzi do następnego rozbłysku?...

Spokojnie, ale z rzetelnością doświadczonego stolarza, przycinał nowe stylisko do łopaty. Długie i masywne, wygodne. Słońce świeciło przyjemnie jasno, lecz nie grzało. Omiótł wzrokiem okoliczne pola śnieżne i otaczające grzbiety gór.

Aleśmy mieli szczęście... – myśl była trywialna, ale wracała nieodparcie po każdym wyjściu na powierzchnię. Szansa znalezienia tego dachu to było takie solidne zero eksperymentalne, solidne zero... z niezłą dokładnością...

Dziś jest dobry dzień, aby wysłać komunikat, bo dobrze, gdy ktoś przyjazny wie, gdzie jesteś... Ale kto pozostał przyjazny?... A tak: przyjdą jacyś... Ze mną będą walczyć... Jak przegram, zabiją... Dziewczyny pewnie też zabiją, żeby zdobyć jedzenie... Może któryś z nich zdecyduje się na nie, ale musiałyby walczyć z pozostałymi... To mało prawdopodobne.

Łopata została mocno osadzona na grubej i prostej gałęzi, nie brakowało nawet poprzecznego drzewca przybitego solidnym gwoździem.

Zszedł na śniadanie. Chleb skończył się, ale były jeszcze ziemniaki i mocna, aromatyczna herbata.

– Przydałby się kibelek – powiedziała Sheilla. Oblizywała palce z sosu.

– Po śniadaniu zrobię kibelek, że palce lizać – powiedział – To znaczy, że palce wycierać. To znaczy, że papierem wycierać...

– Świnia – skwitowała Sheilla.

Marion chodziła, używając kul. Niosła właśnie repetę dla siebie.

– Powinnaś leżeć, Marion – powiedział. – Nie forsuj stóp, niech się goją.

– I tak nic nie czuję... Nie bołą, ale mnie słuchają. Skończył jeść i wrócił do pracy. Nową łopatą sprawnie drażył korytarz w kierunku, który wczesnym rankiem oznakował na żółto. Strop umacniał, polewając wodą donoszoną przez Marszę. Tworzyła się szklista polewa. Po kilku metrach drażenia skręcił, by zapewnić przyszłym użytkownikom nieco dyskrecji. Śnieg usuwany z tego rejonu był bardzo czysty i Marsha wynosiła jego kolejne wiadra do stopnienia. Na końcu korytarza wydrażył niewielką komorę. Sheilla przyniosła znaną, płaską łyżkę do tortów, która miała służyć zamiast spłuczki. Toaleta była gotowa.

Ciekawe, kiedy te warstwy przekształcą się w lodowiec?... A jego ruch zniszczy to muzeum działalności człowieka, obecnie zamrożone i zachowane pod śniegiem – pomyślał.

Dokopał się do stodoły i obory. W oborze odnalazł zamrożone trupy konia i trzech krów. Sądził, że ich mięso nada się do spożycia. W stodole był duży zapas siana, które mogło służyć na rozpałkę. Zbił z desek zasłonę do zastawiania korytarzy na noc, aby ograniczyć gromadzenie się nocnego powietrza. Przypadkiem natrafił na studnię, w całości zasypaną śniegiem. Nie było sensu jej odkopywać, gdyż poziom wód gruntowych opadł tak nisko, że musiała wyschnąć, nawet jeśli nie została uprzednio zatkana czopem lodu.

Przed obiadem wykąпали Marion. W dużej balii. Było to trudne zadanie z uwagi na stan jej nóg. Rozebranie Marion wywołało eskalację fetoru nie mytego ciała. Obecnie Marion była dziewczyną równie piękną, co brudną. Chwyciła Dona mocno za szyję, Marsha podtrzymała jej pośladki, zaś Sheilla ujęła ją za kolana. Delikatnie zanurzyli w wodzie. Marion mruknęła z zadowolenia. W ciepłej izbie kąpiel była przyjemnością, a nie pasmem wyrzeczeń. Marion bawiła się, wprawiając biustem wodę w lekkie falowanie.

– Muszę się odmoczyć. Muszą się odkleić – wyjaśniła, siedząc w balii, z zabandażowanymi nogami zwisającymi na zewnątrz. Marion umyła się od pasa. Aby umyć ją dalej, posadzili ją na krawędzi balii. Pomogli jej namydlić się, a następnie ponownie zanurzyli w zmętniałej wodzie.

– Nienawidzę brudu – powiedziała. – Mogę tu siedzieć przez cały dzień.

Wspólnymi siłami podnieśli ją i postawili na bezwładnych stopach. Syknęła z bólu. Don spojrział na nią z niepokojem.

– Coś mnie dzisiaj tam boli – powiedziała.

Pomogli jej częściowo się ubrać i posadzili ją na krześle.

Marion odchyliła głowę, zaś Marsha i Sheilla myły jej przetłuszczone włosy.

- Przestań się tak wypinać, Marion – skarciła ją Marsha.
 - Może, może... To i tak nie ma znaczenia – dołożyła Sheilla.
 - Co ci się tam tak trzęsie? – kolejny cios należał do Marshy.
- Don przyniósł tę część odzieży, która przypadła Marion.
- Wszystkie nosicie ten sam numer majtek – zauważył z uśmiechem.
 - Różnice są u góry – powiedziała Marsha z dumą.
 - I we wzroście, maleńka – Sheilla zmieniła front. Chyba zauważyła, że Marion czuje się źle.
- Ja się nie mieszczę do twoich biustonoszy – nadąsała się Marsha.
 - To dlaczego podbierasz mi moje numery?... Ostatnio krzyczałaś, że jestem młoda świnka.
- Należało wysuszyć włosy Marion i skrócić je. Marsha przyniosła nożyczki.
- Skrócimy teraz panienkę – powiedziała zawistnie – To, co masz na głowie, jest niepraktyczne. Bo kiedy znowu będziesz mogła umyć?
 - Może nie strzyć?
 - Ależ tak! Przy samej skórze, dla higieny... – powiedziała Sheilla.
 - Nie przy skórze... dłużej i Don będzie mnie strzygł, nie wy – broniła się Marion.
 - Dzisiaj strzyżemy wszystkie panie! Na tę samą długość! Sprawiedliwie – wyrok był salomonowy i trudno było z nim dyskutować.
 - Żadnej z was nie można oszpecić... zanadto – dodał; – Na ile palców?
- spytała Marion tonem skazańca. Don spojrział na swoją masywną dłoń.
- Na cztery. Trudno inaczej odmierzyć – powiedział – twoją czarną mierzwę.
 - Czy nie przesadzasz z tymi słodkościami? – powiedziała Sheilla. – Tu jest nie tylko Marion.

– Twoja złotopopielata burza też pójdzie na cztery palce... – odrzekł. – A złoto – złota Marshy też na cztery!

Nie było odpowiedzi. Były chwilowo rozbrojone.

Wyczuwał niechęć między Marion i nimi, ale nie brał tego poważnie, gdyż tu fronty zmieniały się z dnia na dzień. Może to dlatego, że właśnie Marion miała w tej chwili piersi na wierzchu.

Najpierw uczesał mokre włosy Marion, aby ułożyły się w cienkie pasma, a następnie zaczął je ścinać.

– Don oszukuje! – powiedziała Sheilla. – To nie jest na cztery palce, to jest znacznie więcej.

– Złapałem taką miarkę – Don zabawnie ułożył dłoń. – To będzie sześć albo siedem palców. Nie znoszę kobiet ostrzyżonych zbyt krótko. Was obie też właśnie tak przytnę...

Nie zaprotestowały. Zwykle Sheilla i Marsha tworzyły wspólny front przeciwko Marion, co mogło wynikać z ich podobieństwa fizycznego. Jednak wszystkie występowały zgodnie przeciw niemu.

Marion wysuszyła włosy ręcznikiem, a następnie ubrała się w rzeczy znalezione w szafie; podwinęła nogawki od męskich spodni, aby odsłonić bandaż. Marion miała smukłą sylwetkę jak Sheilla czy Marsha. Długie wędrówki w głębokim, kopnym śniegu, nawet przetorowanym przez mężczyznę, znakomicie wysmuklają i wypiękniają biodra.

– Chcesz waty do wypchania biustonosza? – spytała Sheilla.

– Obejdzie się... I tak ci jej już zabrakło – powiedziała. – Miseczki są w sam raz na mnie. To chyba tobie wykopiało górą... – nabierała impetu. – A Marshy i wykopiało górą, i wylało się dołem...

– Chciałabym zobaczyć twoje flaczki, gdy będziesz w moim wieku. To będzie ubaw... – riposta Marshy była szybka i celna. Wygrywała na tym, że zachowała znakomitą sylwetkę, pomimo iż była rówieśniczką Dona.

– Może by tak obiadek, co? – wtrącił się najważniejszy w tym momencie Don. Walka toczyła się o niego i to łechtало jego próżność.

Naprawdę podobały mu się wszystkie trzy i to tak zupełnie. Stanowiły dla niego zbiorowy ideał, tak różne, a przez to tak... zupełnie. Pomimo męki, jaką było torowanie w nie kończącej się drodze na południe, często wydawało mu się, że jest w męskim raju. Kiedy indziej myślał, że jest w męskim piekle.

Obiad był kulinarnym świętem. Ze skromnych surowców – ziemniaków, konserw mięsnych, jakichś suszonych warzyw i przypraw znalezionych w kuchni, umiały stworzyć znakomitości.

Może smak mi spowszedniał od tego ubóstwa – pomyślał – a może to jest naprawdę tak dobre...

– Jutro będziemy jeść świeże mięso – powiedział. – Wytniemy wymię z tamtej krowy.

Sheilla skrzywiła się z obrzydzeniem. Zdziwiło go to.

– Nie wiesz, że wśród starożytnych Celtów zdarzali się tacy, co jedli piersi kobiet i pośladki mężczyzn? Myślę, że Germanie i Słowianie robili to samo, jedynie używając innych przypraw. Dlatego nie powinnaś się brzydzić... Tradycja przodków. A poza tym, krowa to nie człowiek.

– Świnia. Nie mogę jeść – powiedziała Sheilla.

– Nie przejmuj się nim – Marsha starała się rozładować sytuację. – On tak zawsze. To cholerny żarłok. Gada bez sensu, żeby dla niego zostało najwięcej...

– Ja miałam innych przodków. Nie tylko tych, których wymieniłeś – włączyła się Marion.

– Nie zaczynaj znowu – przygasiła ją Marsha. – Doskonale wiemy, że miałaś babcię z Maxi-co.

– Także to, że twoja matka cudem uniknęła katastrofy na wakacjach we Fra–nco... – teraz uderzyła Sheilla.

– Widziałam zdjęcia lotnicze z Us–sei po tym wszystkim – Marion nie dała się wytrącić z równowagi.

– I z Maxi–co. Znamy tę historię. Myśmy też widziały – przerwała jej Marsha.

– Ziemia miała sporo szczęścia – wtrącił się Don. – Bo spaliła się tylko zachodnia półkula pokryta głównie wodą. Życie w oceanie i tak przetrwało. Woda nie zdążyła nawet zagotować się na powierzchni.

– Pieprzysz... Kto to mógł widzieć, jeśli wszyscy zginęli? – spytała Sheilla.

– Zostało kilka satelitów. Były zdjęcia powierzchni, już po paru godzinach.

Don zmienił opatrunek Marion. Z dwóch palców odeszły paznokcie. Było jasne, że straci stopy. Granica martwicy przebiegała na wysokości kostek. Trudno ją było dokładnie określić, ponieważ wyżej skórę pokrywały ropiejące pęcherze. Cały ten obszar był gorący – proces zapalny toczył się wewnątrz tkanek. Wczoraj skończyła się resztką antybiotyku. Pozostała jedynie wódka.

Na piecu dymił gar wody na kąpiel dla Marshy, a na suszarce zrobionej z gałęzi przez Dona parowały wyprane łachy Marion. Wilgotno i ciepło – atmosfera małej pralni.

– Teraz jest lato, prawda? – zapytała Sheilla. Skinął głową, starannie bandażując nogę Marion.

– To przecież w zimie będzie dopiero cholernie zimno... Nie damy rady.

– Zanim nadejdzie zima, będziemy już w Benha – odpowiedział. – Benha nie jest tak daleko. Gdy tam już dotrzemy, wyjdę ubrany w kwieciste

szorty i podkoszulek z krótkimi rękawami i obejdę w kółko radiostację...

Dziewczyny się roześmiały.

– Ja zrobię to samo o kulach – dodała Marion. Marsha rozbierała się do kąpieli, więc wokół niej rozpoczął się sabacik.

– Cóż to za stara koza – pierwszy strzał należał do Sheilli i padł, gdy tylko rozszedł się charakterystyczny smród.

Marsha nie przejmując się zbyt, układała ubranie w zgrabny stosik.

– Coraz bardziej ci zwisa – zauważyła Marion. Nadszedł czas odwetu. Marsha w odpowiedzi chwyciła swój biust i nieco uniosła, mruczając z radości.

Don uważał, że jest to prądawny gest kobiet, jak unoszenie ramion z napiętymi bicepsami przez mężczyzn albo bębnienie pięściami w klatkę piersiową goryli.

– W sumie obie nie macie takich piersi – uznała za stosowne się obronić.

– Nie wciągaj brzucha – powiedziała Sheilla. Sama miała brzuch płaski i twardy. Marsha z lubością pluskała się w gorącej wodzie. Don właśnie zmieniał opatrunek Sheilli i dlatego na chwilę ucichły zwykłe docinki. Marion samotnie nie próbowała atakować Marshy. Z pęcherzy na twarzy Sheilli sączyła się surowica. Nie zropiała jeszcze. Kalka pęcherzy na granicach obszaru uszkodzonego zanikło bez śladu.

Marsha myślała więc w spokoju. Nie padały zwykłe uwagi o jej drobnej sylwetce i dziecinnym wyrazie twarzy. Marion krzywiła nieco twarz, podciągając nogi; większość czasu spędzała na kanapie.

– Ale ty masz małą klatkę piersiową – powiedziała w ciszy Marion, gdy Marsha stała już i wycierała się. – Ten biust cię ratuje.

Marsha nie była przygotowana na taki atak.

– W ogóle to się ślicznie starzejesz – zwycięstwo zostało przypieczętowane.

– Możesz umyć włosy – powiedział do Sheilli, mieszając się do słownej potyczki. Skinęła głową.

– Najpierw ja umyję – powiedziała Marsha, która właśnie ubierała się w czystą bieliznę.

– Nie boisz się, że te majtki rozlecą się na twoim tyłku? – z nowymi siłami wkroczyła Sheilla.

– Lepiej niech cię Don ostrzyże przed umyciem głowy – zauważyła Marion. – Kiedy masz mokre włosy, to prawie ich nie ma.

– Marsha ma typowo celtycką urodę – Marion zwróciła się teraz do wszystkich. – Widziałam taką rzeźbę w muzeum...

– To znaczy? – jadowicie zainteresowała się Sheilla.

– Krótkie, krzywe kończyny i długi tułów... – to mogło skończyć się bójką, ale Marsha zachowała kamienny spokój, świadczący, że kontroluje sytuację. Spokojnie nalewała wodę do miednicy.

– Germański typ to białe rzęsy i rzadkie włosy? – uderzyła.

– Jestem mieszaniną słowiańsko – germańską – Sheilla czuła się pewnie, bo Don był Słowianinem. – Ty też masz rzadkie włosy.

– To umy mi włosy, mieszanino – powiedziała Marsha i usiadła na krześle, wypinając się nieco, co świadczyło, że ataki rywalek odniosły jednak efekt. Sheilla powoli i dokładnie myła jej włosy.

– Byłaś kiedyś w muzeum? – Don zwrócił się do ze śladem ironii.

– To była taka książka historyczna... Bardzo stara, bo wszystkie kartki wylatywały – odpowiedziała.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, z lubością popijając świeżo zaparzoną herbatę, którą przygotowały dla niego. Marsha Wycierała włosy, zaś Sheilla spokojnie rozbierała się do kąpieli, pewna swojej urody. Marion zszywała czyjeś ubranie, potem wzięła się do naprawiania plecaka.

Don przypatrywał się ślicznym dziewczynom, ale myśli jego nie były tak przyjemne, jak widok przed oczyma. Wprawdzie od trzech dni nie padało, ale dotąd regułą były silne opady śniegu. Nieustannie pogarszały się warunki marszu, ale opady oznaczały, że nadal istnieją wody nie pokryte lodem, zatem dalszy marsz ma sens.

Pamiętał jeszcze geografię tej części Europy i wiedział, że mają do sforsowania wiele pasm górskich, gdzie nie znajdą noclegów ani pożywienia. Nie wyobrażał sobie marszu przez Morze Śródziemne. Zbyt wiele wątpliwości. Don z troską patrzył na kruche piękno swoich kobiet.

Marsha opatrywała swoje stopy, wcierając w łuszczącą się skórę sproszkowaną siarkę. Mieli jeszcze ten środek przeciwgrzybiczy..

Jak dotąd, kąpiel Sheilli przebiegała bez wściekłej awantury, co oznaczało, że wszystkie trzy ostrzą pazury na niego. Postanowił się przewietrzyć i wyszedł na powierzchnię. Niebo było ciemnoszare. Dużymi, rzadkimi płatkami prószył śnieg. Gdy wrócił, Sheilla właśnie skończyła płukać włosy i można je było skrócić.

Pomylił się. Dały mu wykapać się zupełnie spokojnie i nie było zwykłych uwag o tym, że się starzeje i flaczeje, albo że mu zanikają mięśnie, albo że najlepiej by go było wsadzić do lodowatej wody, to byłby dopiero ubaw. Wszystkie trzy siedziały w milczeniu i pomagały mu, gdy tego potrzebował. Nie było to normalne. Nie przypuszczał, żeby aż tak stęskniły się za nim. Sam więc zainteresował się swoim wyglądem i stwierdził, że wygląda jak barczysty szkielet wyposażony w chude, żyłaste mięśnie. Zaczął wciągać i wydymać brzuch, co go rozśmieszyło.

– Jesteśmy na takim etapie, że wy wyglądacie jeszcze pięknie, a ja już zaczynam przypominać trupa przez to cholerne torowanie... – powiedział wesoło ale nie podjęły tego. Marion kiwała się, siedząc z podkurczonymi nogami.

– Chcesz, to ci wytrę plecy – powiedziała Sheilla, która jeszcze nie ubrana, rozczesywała się po strzyżeniu.

– No to do roboty – powiedział Don, podniósł ramiona i napiął bicepsy, uznał, że i on powinien wykonać rytualny gest należny jego płci.

– Przestań, Don powiedziała znużonym głosem Marsha. – Wszystkie doskonale wiemy, że jesteś muskularnym mężczyzną.

– Coście takie zgaszone? – zapytał. – Na którą dziś kolej? – ponowił, nie otrzymawszy odpowiedzi na poprzednie pytanie.

– Na Marion – odpowiedziała Sheilla, wycierając mu plecy. I rozmowa urwała się.

Marsha podała kolację. Zdziwiło go, gdyż wszystko było na słodko. Jedli w milczeniu i dość pośpiesznie.

– Nie ma już mięsa? – zapytał.

– Jest jeszcze, ale zrobiłam odmianę – odpowiedziała. Potem podeszła i pocałowała go. Don był równie zaskoczony, co rozbrojony nieoczekiwaną czułością. Nic nie powiedział, ale jego wychudła i zarośnięta twarz rozpromieniła się.

– To dlatego, że nas świetnie prowadzisz – powiedziała Sheilla, przesunęła się na kanapie, przytuliła się i również mocno go pocałowała.

– Don, chodź tu do mnie – powiedziała Marion. – Ja też chcę...

Podniósł się z kanapy i pochylił ku siedzącej Marion. Teraz ona mocno przywarła do niego. Na twarzy poczuł, że ona ma wilgotne rzęsy. I jej pocałunek smakował mokro, łzawo. Zrozumiał, że ona wie o tym, że jutro koniecznie trzeba będzie obciąć jej stopy. Pomyślał, że sporządzi dla niej tobogan i będą ją ciągnąć po śniegu. Gdyby umiał zrobić rakiety śnieżne... Ale Don tylko słyszał o nich, nie widział ich nigdy.

Przysiadł się do Marion.

– Słuchaj, mała... – objął ją ramieniem. – Mam niezły pomysł. Zrobimy sanie dla ciebie tobogan.

– Mogę iść o własnych siłach – uwolniła się z jego uścisku. – On też szedł na czarnych stopach... Moje stopy tylko trochę swędzą.

– Mam też inny pomysł – zmienił temat. Nie zamierzał jej tłumaczyć, że są różne rodzaje czarnych stóp. – Będziemy szli dolinami.

– Przecież nikt nie jest w stanie torować w takim puchu... Nawet ty – powiedziała z ożywieniem Marsha.

– To nie tak... Nie będziemy się w ogóle zapadać – mówił z zaangażowaniem. – Zrobię rakiety śnieżne. Tu jest wszystko, co potrzebne: sprężyste drewno, sznur. Domyślam się, jak powinny wyglądać...

Ożywiony tą myślą, szkicował na świstku papieru projekt. Marsha przyjrzała się krytycznie.

– To będzie niepraktyczne – powiedziała. – Trzeba będzie chodzić jak kaczka. Bardzo niewygodnie. No, bo muszą być wystarczająco duże, żeby się nie zapadać...

Don uważnie przyjrzał się projektowi.

– Rzeczywiście. Trzeba to przemyśleć – mruknął.

– Sheilla, może by coś otworzyć? – uśmiechnął się do zaklejonej piękności. Przyjęły to bez entuzjazmu.

– Może dzisiaj nie – powiedziała Sheilla.

– To jedna z niewielu przyjemności, które nam pozostały – zauważył.

– Chyba nie największa? – leciutko się uśmiechnęła.

– Nie, to druga.

Marsha przyniosła butelkę. Z trzaskiem odkręcił nakrętkę i rozlał do kieliszków. Marsha obejrzała ordynarną naklejkę. Starła się przeczytać napis.

– Rozumiesz, co tu jest napisane? – podała mu butelkę.

– Wódka czysta..
– Rozumiesz to? Skinął głową.
– Jesteśmy niedaleko moich stron.
– To co robiłeś na zachodzie? – zdziwiła się Marion. – Przecież stąd bliżej do Benha.

–. To nie takie proste: Najpierw, dopóki ocean nie zamarł, fale mrozu przysły od kontynentu. Nasze miasta, po rosyjskich, wymarły najszybciej. Więc najpierw szedłem na zachód, jak Sheilla z rodzicami. Potem i u was stało się zbyt zimno i teraz idziemy razem do Benha...

Rozlał butelkę do końca. W milczeniu sączyli piekący płyn.

– To powinienesz znać te tereny – zauważyła Marion, wypijając jednym haustem swoją część. – Przynies jeszcze.

Czuł się niezbyt dobrze, a pomimo to przyniósł drugą butelkę. Ta miała dwie etykiety: jedną zmiętą i przyklejoną napisem do szkła; drugą nalepioną krzywo, ale za to napisem we właściwą stronę. Tylko on miał jeszcze nieco w kieliszku, więc dopił i nalał wszystkim.

– To był jeden z tematów dla dowcipów – stuknął palcem w etykiетkę. – Teraz rozrzewnia.

– To się nazywa słowiańska dusza? – Sheilla była cięta jak zwykle.

– Przynajmniej robili szczelne zamknięcia: – zauważyła pojednawczo Marion. Pił, nie czując działania alkoholu, choć robiło mu się coraz gorzej. Zauważył, że one przypatrują mu się uważnie. Wtedy przyszedł kolejny kryzys. Don wstał, chcąc wyjść, żeby się przewietrzyć, ale zatoczył się i runął na podłogę. Szum w uszach był nie do wytrzymania. Leżał bezwładnie i trzął się z zimna. Gorąca kąpiel i alkohol zadały celny cios jego sercu.

– Chodźcie szybko! Razem! – powiedziała Marsha. Sheilla podeszła; a Marion zsunęła się z posłania na podłogę, sycząc z bólu. Marsha przyniosła

łopatę Dona umocowaną na nowym, solidnym stylisku.

– Marion! Łap go za nogi – zakomenderowała Marsha. Marion mocno chwyciła nogi Dona w kostkach.

Słowa dziewczyn docierały do niego przez mgłę gęstą jak wata. Wiedział, że musi jak najszybciej dostać środek nasercowy.

– Sheilla, ręce!

Sheilla posłusznie przysiadła mu na brzuchu i uchwyciła jego dłonie. Marsha postawiła mu łopatę na grdyce i z całej siły oparła się na poprzecznym drzewcu styliska. Don był słaby, zaczął jednak kurczowo wyrywać się na boki. Z jego gardła wydobywał się chrapliwy dźwięk. Marsha naciskała z całej siły, sapiąc z wysiłku. Don zdołał przekręcić głowę w bok i łopata przecięła mu tętnicę szyjną. Siknęła jasna krew i nadal bluzgała w rytm słabnącego serca.

– Sheilla, szybko, pomóż mi! – wrzasnęła Marion. – On się wyrwie!

Sheilla puściła ręce Dona, zerwała się i z całej siły uwiesiła na stylisku łopaty. Don obiema rękami uchwycił fatalne drzewce, ale był już zbyt słaby. Jego chwyt rozluźnił się, a ręce opadły. Ciałem wstrząsały drgawki, tym razem agonalne. Dziewczyny jęczały z wysiłku, nie zmniejszając nacisku, póki jeszcze drgał. Marion puściła jego nogi. Wszystkie trzy ciężko dyszały.

– Masz zachlapany opatrunek – powiedziała Marsha do Sheilli.

Powoli zapadał zmierzch.

W świetle latarki Sheilla z Marsha drążyły jamę na ciało Dona. Nie chciały grzebać go w toalecie. Pracowały na przemian. Łopata zazgrzytała jak kiedyś. Tym razem o blachę. Odśloniły karoserię zasypanego samochodu. Gospodarze nie zdołali daleko odjechać... Na przednich siedzeniach siedziały trupy kobiety i mężczyzny. Zdjęły z trupów kożuch i futro. Nie

było to proste, gdyż ciała były sztywne jak skamieniałe. Ręka mężczyzny ułamała się, ale nie odpadła. Na tylnym siedzeniu siedział trup małej dziewczynki trzymający w rękach oszronionego, martwego kotka. Zwierzątko miało otwarty pyszczek i szczyrzyło zębki jak szpileczki.

Pochowały ciało Dona na tylnym siedzeniu samochodu obok trupa dziewczynki. Podparły go tak, aby głowa nie opadała na bok.

W tym Czasie Marion zbierała szmatą kałużę z podłogi. Sheilla zauważyła, że na mrozie policzki i nos pod opatrunkiem boleśnie pieką. Nastawiły wodę do mycia.

– Nie musisz tak starannie ścierać – powiedziała Marsha. – Przez noc podłoga zamarźnie i rano da się to wykruszyć.

Usiadły wszystkie na kanapie, oczekując, aż zagrzeje się woda.

– Jestem gównem – powiedziała Sheilla. Marion cicho popłakiwała.

– Ja byłem z nim najdłużej – powiedziała Marsha. – Ja, z nas wszystkich, znałam go najlepiej. Ale to było jedyne wyjście... Myślę, że on to rozumiał. Tak być musiało.

– Chciał obejść wkoło radiostację – powiedziała Marion.

– Dotrzemy tam... do Benha i obejdziemy radiostację w kółko... dla niego – powiedziała Marsha i już zrobiło się im lżej.

Popijały wódkę. Następnie starannie zmyły chłodną wodą krew z odzieży, zaś ręce umyły w cieplejszej. Potem znowu po łyku. Marsha wyciągnęła z kieszeni jego paszport. Chwilę oglądała godło na okładce.

– Bez sensu te symbole – mruknęła. – Ciekawe, ilu ludzi jeszcze żyje?

– Myśmy mu prawie odcięły głowę – zaszlochała Marion.

– Tak mu odskakiwała, jak go ciągnęłyście.

– Daj wreszcie spokój – powiedziała Marsha głośniej.

– Donald Alfred Kortez – przeczytała z paszportu. – Nie brzmi słowiańsko.

– Może przepisali z błędem z oryginalnego paszportu – podsunęła Sheilla.

– Żegnaj, panie D.A,K. – dodała Marsha po chwili milczenia.

– Trzeba paszport pochować razem z nim. Może kiedyś ktoś go zidentyfikuje – powiedziała Marion.

– Nie będzie żadnego kiedyś. Nikt nikogo nie zidentyfikuje – powiedziała Marsha, – Zrobi się lodowiec i zacznie to spychać i zgniatać. On tak mó...

– Lepiej przynieś nową butelkę – dorzuciła po chwili milczenia.

Marion posłusznie zwiesiła nogi z kanapy i zrobiła kilka kroków o kulach, potem upadła. Pierwszy raz.

– Cholera! – krzyknęła. – Nie mogę na nich iść. Doczołgała się do kanapy i wciągnęła na nią. Chwyciła nogi nad kostkami.

– Bolą jak cholera! – syknęła. – Już nie dam rady tego ukrywać.

– Gdzie cię bolą? – zapytała Marsha.

– Tu... gdzie trzymam... pod dłońmi.

Marsha rzuciła szybkie spojrzenie, ale nie odpowiedziała. Marion wypiła duszkiem kolejny kieliszek.

– Ale jak mi tu przywołasz tego pająkowatego syfa, to jemu i tobie rozwalę łeb tą samą łopata! – zmieniła nagle temat. – Nie znoszę zniewieściałych mężczyzn. Mają twarze starych kobiet – dodała i ułożyła się do snu. Dzięki działaniu alkoholu ból był mniej dokuczliwy.

Sheilla nie broniła swojego pokracznego ulubieńca.

– Ja właściwie też nie lubię – powiedziała i ułożyła się do snu. W nocy krzyczała przez sen.

Wprawdzie poranek był zimny, ale zamarznętej krwi nie dało się wykruszyć spomiędzy desek podłogi, gdyż wsiąkła głęboko w szpary i była

ciągle widoczna jako ciemna plama. Czoło Marion było rozpalone, a oczy błyszcząły. Nie miały termometru, by zmierzyć jej gorączkę, Marsha zmieniła jej opatrunek. Nie mogła powstrzymać się od obrzydzenia – paznokcie odchodziły bez oporu, skóra w ich sąsiedztwie pękała, ciekła jakaś wydzielina.

– Co z palcami? – zapytała zaniepokojona Marion. Spojrzenie Marshy było zbyt wymowne.

– Wiem, co należy zrobić! – Marion ożywiła się. – Trzeba uciąć palce, żeby nie poszło zakażenie. Jemu też to zrobili. Jakieś nożyczki, albo coś...

– Robiłaś kiedyś coś takiego? – zapytała Sheilla. Marsha pokiwała przecząco głową.

– Trzeba koniecznie wysłać sygnał – zauważyła Marsha.

– Potem to zrobicie – Marion się niecierpliwiła. – Chcę rozstać się z tymi palcami. Zaraz.

– To jest najważniejsze – powiedziała z naciskiem Marsha. – Dla nas wszystkich. Musi tu jak najszybciej dotrzeć jakiś mężczyzna.

– Zdążymy, mała. Może nie będzie tyle roboty z tymi palcami – powiedziała Sheilla. Marsha nie znosiła, gdy podkreślano jej niepozorność.

Trzeba było przygotować dużo gorącej wody. Wśród narzędzi znalazły nożyce do cięcia blachy i zwykłe nożyczki krawieckie. Nie mogły się zdecydować, więc na wszelki wypadek wygotowały obydwie pary. Niestety z nożyc do blachy wypłynął rozgrzany smar i zabrudził wszystko w naczyniu.

Trzeba było zacząć od nowa. Wybrały duży nóż kuchenny. Sheilla trzymała nogi Marion nieco powyżej ropiejących ran na goleniach, a Marsha odcinała po kolei jej palce od stóp. Było to łatwiejsze, niż myślały. Marion nie czuła bólu, nawet nie trzeba było pobijać noża młotkiem. Wystarczyło trafić pomiędzy kości. Tkanka była martwa i zmieniona.

Sączyła się cuchnąca wydzielina. Operacja nie była trudna, jednak gdy palce Marion jeden po drugim odskakiwały od stopy, Sheilla zakryła usta i wybiegła. Przed drzwiami zwymiotowała na śnieg.

– Obrzygąłeś sobie włosy – powiedziała Marsha, gdy Sheilla wróciła. – Umyj się.

Dociskając nóż obiema rękami, właśnie odcięła ostatni palec od lewej stopy Marion.

– Wiesz, tam nie jest dobrze – powiedziała do Marion. – Po stronie stopy wygląda tak samo, jak te palce... i leje się takie świństwo. Chyba martwica poszła dalej...

– Nie... Nie ucinaj mi dalej – ożywiła się Marion. – Muszę na czymś chodzić! Może da się to wymyć?

Żeby ją odkazić, nalały wrzątku do miedniczki i dopełniły przegotowaną wodą. Zanurzyły okaleczone stopy Marion i próbowały je przemyć. Wyciekło wiele wydzieliny i wypłukało się dużo jakichś strzępów, ale nie wydawało się, żeby to pomogło. Marsha odkaziła ranę wódką i zabandażowała stopy Marion. Palce zawinęły w gazetę i zakopały w śniegu pod samochodem. Don zdążył już pokryć się szronem.

Po operacji stan Marion nie poprawił się. Ból nie ustąpił. Marsha i Sheilla poszły nadać sygnał. Na grzbiet podchodziły długo i mozolnie w sypkim, kopnym śniegu: Było ledwie kilka stopni poniżej zera, ale twarz Sheilli nieznośnie piekła pod opatrunkiem.

Mimo pomocy kijka narciarskiego podejście wymagało wiele wysiłku. Zajęło dwie godziny. Na grzbiecie rozwinęły antenę, nie zauważając rozpościerającego się dookoła pięknego widoku. Marsha umiała uruchomić nadajnik.

– Halo! Halo! Nasz znak: Orlice! Odezwił się! – kilkakrotnie powtórzyła wezwanie, co chwila przełączając się na odbiór. Obie ubrały się zbyt lekko i zaczęły marznąć.

– Teraz ty – Marsha dała mikrofon Sheilli, a sama zaczęła przestępować z nogi na nogę i zabijać ręce. Sheilla wykrzykiwała hasło do pudełka..

– Aleś wymyśliła te orlice – powiedziała, przełączając się na odbiór. – Chyba niedźwiedzice albo słonice...

Powtarzały wezwanie tak długo, aż w słuchawce zachrobotło i rozległ się cichy, niewyraźny głos z obcym, śpiewnym akcentem.

– Hallo! Hallo! Mój znak: Cygarniczka, czego Orlice chcesz?...

– Jesteśmy w dobrym miejscu. Zmarł nasz chłopak. Trzy dziewczyny sprawne i wytrenowane. Potrzebujemy pomocy. Możemy czekać nawet trzy, cztery dni. To nietknięty wcześniej i zasobny nocleg...

– Cygarniczka do Orlic – usłyszały w odpowiedzi. – Podajcie wasz zamiar i sygnał standardowy.

– Tu Orlice: nie wiemy, jak się to robi. Kiedy tu dotrzesz? Marsha bezradnie obróciła w rękę plastikowe pudełko.

– Nie wiem, nie ma oznaczenia. Don sam to zrobił – powiedziała. – Kiedy do nas dotrzesz?

– Ja, siostró, prowadzę najpiękniejszego rudzielca, pod tym pieprzonym słońcem i równie pięknego blondasa – usłyszała w odpowiedzi. – I nie zamierzam ich wymienić na byle trzy koty w worku. O zamiar prosiłem, żeby was odwiedzić, jeśli macie tak dużo żarcia. Jeśli chcecie naszej wizyty, a mamy sporo lekarstw do wymiany, to nadawajcie jutro o tej samej porze. Wyłączam się. Buźka!

Marsha przekreśliła wyłącznik.

– Gówno! – powiedziała. – Tylko baterie się wyładowują! – Schodźmy już – powiedziała Sheilla, której dokuczała rana na twarzy. Na polanie

zsuwały się po śniegu, w lesie schodziły ostrożnie, aby nie upaść.

– No i co? – przywitała je Marion, która zwlekła się z posłania i obrała ziemniaki.

– Złapałyśmy jeden kontakt, ale nieciekawym – powiedziała Sheilla otrzepując się ze śniegu. W kuchni było ciepło i wilgotno. Marion klęcząc, doglądała gotujących się ziemniaków.

– Jeden beznadziejny facet – dodała Sheilla. – Obstawiony babami. Ale może tu przyjdą. Mają dużo lekarstw... a my ziemniaków.

– Dobrze. To dobrze. Może zdążą – powiedziała Marion. – Przydadzą się jakieś antybiotyki. A poza tym?

– Zupełnie nic. Zimno. Dlatego tak szybko wróciłyśmy.

– Szybko? Nie było was pół dnia – obruszyła się Marion.

– Piłaś? – Marsha poznała zapach.

– Trochę – przyznała Marion – Nie mogę stać.

– Zostało tylko dwanaście butelek – zauważyła Sheilla. – Trzeba oszczędzać.

– Jedenaście i pół – poprawiła ją Marion.

– Pochowałam paszport Dona razem z nim – dodała. – Rękę miał jak żywy. Założyłam mu na palec mój pierścionek... Na zawsze.

– Jak tyś to zrobiła? – obie były zdumione.

– Na kolanach. I przysypałam te ślady krwi w tunelu. Było dużo czasu...

Na obiad było to, co od kilku dni: ziemniaki, wołowina z puszki i mocna herbata.

– Co z tym mrożonym mięsem? – zapytała Sheilla, łykając niesmaczną mielonkę.

– Jutro – Marsha dławiała się suchym mięsem.

Po obiedzie, jak zwykle, siedziały na kanapie i popijały wódkę. Marion miała rozpalone czoło. Marsha nastawiła radio, ale przez szumy nie

przedostał się ani jeden sygnał. Potem znów mówiły o tym, co zwykle.

– W tamtej norze, tydzień temu – zaczęła Marsha – żaden z facetów nie wyglądał sensownie. Jeden niski i tłustawy... może silny, ale łysy i stary... Ten drugi, ten wysoki blondyn z okrągłą mordą na wielkim, łysiejącym łbie, był chory... A ten twój Brojler, Sallambo – ho, to chyba był pedał utrzymujący się z obsługi wędrujących facetów.

Milczały.

– Beznadzieja... Może jedynie w Wars-loo można by co wybrać... Tam było ich więcej.

– W Wars-loo było wyśmienicie. Tyle jedzenia – rozmarzyła się Marion.
– Tyle odkopanych pomieszczeń. Prawie jak miasto.

– Nie przesadzaj. Najwyżej z pięćdziesiąt osób, wielu chorych – przerwała Sheilla. – Poza tym, myślę, że możemy mieć każdego faceta, na którego będziemy miały ochotę – wypięła biust. – To tylko kwestia, żeby nas zobaczył...

– Bez sensu – Marsha wydeła usta. – Teraz tylko takie zostały, rozumiesz?... Reszta wymarzała. Pieprzony dobór naturalny, jak powiedział Cygarniczka.

Sheilla została wytrącona z uderzenia. Wzięła się do pracy. Topiła cukier na karmel.

– Za dużo zużywamy węgla – powiedziała Marsha. – Trzeba oszczędzać.

– Przecież niedługo wyruszymy – przerwała Sheilla – z facetem, który tu przybiegnie, jak obiecywałaś...

– Wyruszymy na raki... Na moich kulasach – włączyła się Marion.

– Swoją drogą, właściwie dlaczego pozwoliłaś nam iść z Donem? – zapytała nieoczekiwanie Sheilla.

– Wtedy? – Marsha była zaskoczona. Obie patrzyły na nią w napięciu.

– No właśnie, dwie prawie – rówieśnice – powiedziała Marion.

– Bo tak – Marsha wzruszyła ramionami. – I tak by sobie jakąś znalazł.
Wolałam was.

– Nie bałaś się konkurencji? – napierała Sheilla.

– Nie, właśnie dlatego. Don był lojalny. Zawsze. Poza tym, tak naprawdę nie stanowiłyście konkurencji. Może piękne, ale dzieciaki!..

– No dobrze – mówiła dalej Sheilla. – Ale dlaczego namówiłaś go aż na dwie naraz?...

– Żeby miał więcej, niż mógł chcieć. Stał się bezbronny, bo zaspokojony.

–: Chciałaś powiedzieć: podporządkowany – poprawiła Sheilla.

– Nazywaj to, jak chcesz, A co, było ci źle?

–? – Właśnie nie, było dobrze – powiedziała Marion. – Było dobrze, jak już dawno nie. I dlatego nie daruję ci tego... tego gówna... Ja tego nie chciałam.

– Ani ja – powiedziała Sheilla. – A twój Sallambo – ho?

– Odpieprz się wreszcie. Tak mi się wtedy tylko powiedziało i już mi nie darujecie.

– No i co? To tylko ja sama? – Marsha się zdenerwowała. – Kto go trzymał? Ja? Kto trzymał łopatę? Tylko ja? No co?...

– Znajdź odpowiedniego faceta, to będzie w porządku – powiedziała Sheilla.

– Będzie trudno po Donie – zauważyła Marion i przykryła się kocem. Miała dreszcze, gorączka wzrastała. Wkrótce zasnęła uśpiona wypitą wódką.

Sheilla i Marsha piły w milczeniu.

– Mogłyśmy mu zrobić balecik na koniec – Sheilla przerwała milczenie. Marsha nic nie odpowiedziała.

– Patrzył na nas jak na olśnienie. Mógłby sobie popatrzeć jeszcze raz...

– Na patrzaniu by się nie skończyło, a wtedy ciśnienie do góry, i koniec – powiedziała Marsha.

– I tak był koniec. A może chciałaś, żeby obraz twojego ciała niósł jako ostatni pod powiekami? Taka wysublimowana zazdrość? – zapytała kąśliwie Sheilla.

– Odpięprz się ty! – warknęła ostro Marsha.

Obie były już pijane. W rozgrzanej kuchni rozchodził się dławiący smród stóp Marion.

– Ona gnije! – krzyknęła Sheilla. – To trzeba usunąć! Zerwała się z posłania i chwyciła łopatę. Marsha siedziała ze wzrokiem utkwionym w kubek z wódką.

– Nie zniosę tego smrodu! Trzeba to odciąć Zanim Marsha wyrwała łopatę z jej rąk, Sheilla zdążyła raz uderzyć nią pionowo w dół w stopy Marion. Rozległ się zgrzyt. Ostrze przejechało po kości. Marion targnęło, ale nie zbudziła się.

– Przestań! – krzyknęła Marsha. – To nie ma sensu. Ona i tak umrze. Już raz zrobiliśmy taki błąd.

Marion leżała nieruchomo. Łopata nie przecięła całkiem bandaża, choć wcisnęła się głęboko w gnijącą, rozpulchnioną tkankę: Marsha zdjęła bandaż, wyrywając zwoje ze szramy zostawionej przez łopatę. Sączyła się z niej jasnobrązowa, cuchnąca wydzielina. Następnie zawinęła – rozkładającą się tkankę w świeżo wyprany, czysty bandaż.

Może rano tego nie zauważy... – pomyślała.

Sheilla oprzytomniała. Wymiotowała do śniegu w tym samym miejscu, co wczoraj. Radio Benha nadawało zawodzącą muzykę.

Poranek wstał równie szary jak poprzednie. Marion była półprzytomna. Jej bandaże całkiem przemokły. Po posiłku Marsha i Sheilla ponownie

wyruszyły na grań, aby nawiązać łączność. Nie zmieniły opatrunku Marion. Odmrożenia Sheilli zaczynały się goić, a przynajmniej nie ropiały. Znów męczące, znane podejście; znów ból odmrożonej twarzy Sheilli. Tym razem pogoda była inna. Ciężkie chmury wlekły się po niebie.

Rozpoczęły nadawanie, ale długo odpowiadał im tylko równomierny szum głośnika. Tym razem miały ze sobą wódkę i popijały ją, żeby nie zamarznąć.

W końcu usłyszały. Na kolejne wezwanie Orlic, w głośniku zachrypiało: – Tu wasz Cygarniczka. Co u was nowego, siostry?... – zaśpiewał obcym akcentem Cygarniczka. Jego głos sprawiał wrażenie, jakby długo wahał się, czy odpowiedzieć.

– Tak się złożyło, że nie poszliśmy dalej. Po prostu, znaleźliśmy z moimi dobrymi duszkami genialne miejsce. Żarcia potąd... Rozumiecie, że w tej sytuacji nie chcemy uszczuplać naszych zapasów lekarstw? Wyłączam się na dobre. Do zobaczenia w ciepłym kraju. Buźka!

– Skurwiel! – skwitowała go Sheilla. – Słuchaj, co teraz będzie z Marion?...

– Sama widziałaś wczoraj. To jest żywy trup – odpowiedziała Marsha. – Ma przed sobą najwyżej parę dni. Chyba idzie zakażenie krwi. Jej stopy to gnijące mięso; Może pomogłaby amputacja i dużo antybiotyków. Cygarniczka ją dobił...

– Bez stóp można żyć – powiedziała Sheilla.

– Nie można żyć, bo nie można iść.

– Don chciał dla niej zrobić tobogan i ją ciągnąć.

– Don i Don... Nie możemy się uwolnić... Zwykły facet, może bardziej pomysłowy i rozsądny.

– Sama mówisz: może bardziej. Właśnie, bardziej... – powiedziała Sheilla.

– Ten pomysł z toboganem był bez sensu. Ciągnięcie go wykończyłby nas wszystkich, a raket śnieżnych nie widziałam w życiu. Nie wiem, co to jest.

– To czemu nie dałaś mu szansy jeszcze przez jeden dzień?...

– On nie miał szans. Gdyby się przespał z którąś z nas, to byłby sztywny... Najślabsze było w nim serce.

Ponowiły wezwania w eter. Bezskutecznie. Sączyły wódkę. Marsha zaniepokoiła się, czy nie za dużo – przecież miały przed sobą drogę powrotną. Nareszcie w głośniku rozległ się obiecujący chrobot.

– Halo! Tu Orły!... – zamruczał męski głos.

Marsha powtórzyła formułkę o nich i zasobnym noclegu.

– To jest coś. – A zaraz potem: – Jest was trzy? Marsha potwierdziła.

– To jesteśmy stworzeni dla was – rozległo się znowu. – Ale najpierw towar na stół. Mówcie o sobie.

Marsha precyzyjnie informowała o wyglądzie fizycznym każdej w nich.

– No dobra. A ta czarnula jest z Maxi-co?

– Tak. Przyjdziecie?

– No pewnie!... Nie opuścimy takich ciał. Kierunek mamy złapany, ale jutro możecie powtórzyć komunikat.

– A ilu was tam jest? – włączyła się nieoczekiwanie Sheilla.

– Sześciu! – w słuchawce rozległ się rechot i wszystko ucichło. Radiostacja przestała działać. Marsha próbowała ją ponownie uruchomić. Kręciła gałkami, stukała w obudowę, wreszcie zajrzała do środka.

– Cholera! Baterie się wylały i wszystko skorodowało na zielono. Dziwne, że tak długo działało – powiedziała. – Same tego nie naprawimy.

– Cholera, że teraz... Te Orły mogły nie złapać dobrego namiaru – strapiła się Sheilla.

– Może dobrze – odrzekła cicho Marsha.

– Myślisz?

– To już koniec? – znowu ni to zapytała, ni stwierdziła Sheilla.

Obie spojrzały w dół do doliny, gdzie w ich skrytej ostoi leżała nieprzytomna, umierająca Marion.

Marsha wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk z butelki. Robiło się chłodniej pod wieczór.

Po kolejnym wieczorze utopionym w oparach alkoholu nadszedł poranek zaznaczony znaną szarością. Marion leżała jak kłoda; co jakiś czas rzucała się w malignie. Już wieczorem bredziła, a obecnie nie było ani trochę lepiej. Kilka razy mówiła o gigantycznych kotach jeżdżących spychaczami i odgarniających śnieg, oraz o tym, że jej ciało rozrasta się nieustannie, a bandaże uniemożliwiają jej wypuszczenie nowych pędów zakończonych stopami. Bezsensowne wypowiedzi i zwierzęcy strach, żeby nie zrobiły jej potajemnie amputacji wprowadziły ponury nastrój. Marsha uważała, że tak późno amputacja nie miałaby sensu. Obie z Sheillą przycupnęły na kanapie nieruchome jak dwa osowiałe, markotne ptaki. Po prostu oczekiwały tego, co musiało nadejść.

Radiostacja była uszkodzona nieodwracalnie, obwód drukowany pokrywała gruba warstwa wykwitów salmiaku.

Nawet nie rozpały pod kuchnią. Puszki z mięsem skończyły się już, pozostały ziemniaki jako podstawa menu, cebula i zamrożone zwierzęta w stajni. Przy gotowanie posiłku wymagało jednak aktywności, do jakiej nie były w stanie się zmusić. Nie mówiły od rana do siebie, ale obie rozumiały, że teraz to będzie już tylko oczekiwanie na koniec Marion, którego nie można było oddalić i którego nie chciały przyspieszać.

Sheilla instynktownie omijała Marion, obawiając się zakażenia swojej gojącej się twarzy, W końcu zmusiła się i rozpała ogień, obrała ziemniaki i

postawiła posolony śnieg do stopnienia. Marsha ograniczyła się do otwarcia kolejnej butelki. Sheilla pozostawiła kuchnię pod jej opieką i wyszła na powierzchnię. Pogoda od kilku dni nie zmieniła się – ciągle sunęły bure kłęby, ani razu nie ukazując skrawków czystego nieba; – Dobrze, że prawie nie padało, odkąd tu przyszliśmy – pomyślała. – Widać nasze ślady. To pomoże nas odnaleźć.

Twarz piekła na mrozie, lecz mniej niż wczoraj. Rany goiły się, lecz takie rany lubią się otwierać ponownie.

Przemierzyła wzrokiem ścieżkę prowadzącą na grzbiet. Wpatrywała się z wysiłkiem. Po chwili nie miała wątpliwości – ich trasą schodziło kilka osób. Pięć lub sześć szarych punkcików. Serce podskoczyło do gardła. Wszystko nabierało sensu. Perspektywa Benhanie była tak odległa, jak choćby przed godziną. Sheilla policzyła punkciki. Nie miała wątpliwości: nadchodziło sześciu mężczyzn.

Orły... – pomyślała. Serce tłukło się jak opętane, jakby chciało wyskoczyć przez gardło. Zbliżali się powoli, z wysiłkiem; głęboko zapadali się, mimo przetorowanej drogi.

Mogłaby powiedzieć o nich Marshy, ale nie wydawało się to w tej chwili ważne. Pomyślała, że będzie to dla małej miła niespodzianka. Wkrótce byli już blisko.

Trzej mieli na sobie wielokrotnie pozszywane i połatane kurtki nylonowe, dwóch szło w równie zniszczonych waciakach, a jeden był w długim, czarnym płaszczu, owiniętym tekturą falistą związaną sznurkiem. Niscy, masywni i krępi z wyjątkiem tego w tekturze, nieprawdopodobnie wysokiego i wąskiego w ramionach jak tyka.

Sheilla stanęła w pozie uwydatniającej wszystkie zalety jej budowy. Podeszli do niej. Rozpoznała, tych mężczyzn: trzech z nich spotkali w tamtej norze tydzień temu. Inni byli nie znani, ale równie nieatrakcyjni.

Sallambo – ho był zarośnięty rzadkim, nieprzyjemnym zarostem. Oczy, sztucznie powiększone szklami dalekowiedza, wyglądały nienaturalnie. Inaczej go zapamiętała.

Żałosna ofiara przemysłu spożywczego – pomyślała.

– Cześć, Orlico – powiedział pierwszy z nich. – Gdzie to wasze rozkoszne gniazdeczko?

Uwodzicielski uśmiech Sheilli zmarnował się pod opatrunkiem. Wskazała palcem na tunel. Mężczyzna uważnie oglądał konstrukcję komina.

– Niezła robota – powiedział. – To ten wasz owczarek?...

– To zrobił Don – potwierdziła.

– Przyszedł na byczka koniec – skwitował go tamten. Gdy się poruszał, jego ortalionowa kurtka szeleściła na mrozie.

– Gdzie jego spluwa? zapytał niski i barczysty, wyglądający na przywódcę.

– Marsha położyła ją na kanapie. Mieli obcy akcent, mówili niewyraźnie.

– Może byśmy się przedstawili i innym Orlicom – zauważył tamten.

Sheilla wskazała im wejście. Ostrożnie schodzili śnieżną sztolnią. W kuchni nieznośnie cuchnęło.

Zdumiona Marsha zerwała się z miejsca.

– Jednak trafili – wyrwało się jej.

– Co mieliśmy nie trafić – zarechotał jeden z nich. – Idziemy za wami już od tygodnia, a do tego mieliśmy jeszcze zamiar z wczoraj.

– Są tylko te trzy. Obszedłem wszystkie pomieszczenia – powiedział, wchodząc ostatni, szósty mężczyzna. – Wydrążyli niezły labirynt.

Ten zawinięty w tekturę zobaczył pistolet Dona, wziął go i otworzył magazynek.

– Gdzie naboje? – zapytał.

– Nie było naboii. Don nosił go za pasem tak dla fasonu, gdy spotykaliśmy innych. Mówił, że to upraszcza kontakty międzyludzkie... – tłumaczyła Sheilla.

– Tośmy byli głupi wtedy – wyrwało się blondynowi w połatanej, czerwonej kurtce ortalionowej.

– No to dobra – powiedział ten wyglądający na szefa. – Teraz to odrobimy.

Podszedł do kanapy, na której leżała nieprzytomna Marion i jednym ruchem zerwał koc. Rozszedł się wstrętny smród. Lekko trącił grubą laską jej stopy.

– To jest już trup, chociaż przypadkiem jeszcze żywy. Trzeba to załatwić zaraz – powiedział.

Zamachnął się z całej siły uderzył ją laską w głowę. Chciał uderzyć ponownie, ale Marsha skoczyła ku niemu jak lwica i zatrzymała cios. Bez trudu wyzwolił się z jej uchwytu i twardą pięścią trzasnął ją w twarz.

– Hej Tedd! Nie przesadzaj... Dostaniesz je na koniec, ale na razie są nasze – powiedział rudy w waciaku.

Dalej rozmawiali w niezrozumiałym języku.

Marsha powoli zbierała się z podłogi, niezdarnie rozmazując rękawem krew po całej twarzy. Sheilla stała nieruchoma z przerażenia.

Tedd podszedł ponownie do kanapy i zaczął okładać po głowie Marion swoją drewnianą laską. Robił to systematycznie i dokładnie dopóty, dopóki jej ciało jeszcze drgało. Sheilla zerwała się, chcąc uciec, ale dwaj z nich schwycili ją za ramiona i wykręcili jej ręce do tyłu.

– Zabandażowana też do piachu – powiedział wysoki jak tyka, uśmiechając się kościanie.

– Nie tak szybko, Tasiemiec, w swoim czasie – rudy znowu szczyrzył zęby. – Ta mi się bardziej podoba zawinięta niż ty goły...

Przywódca podszedł do Sheilli i silnym ruchem zdarł jej z twarzy opatrunek.

Sheilla krzyknęła głośno.

Z rozerwanej rany pociekła krew.

– Ta też do niczego – powiedział gniewnie, – Pokancerowany towar. Gdzie się tak urządziły przez ten tydzień?

Dziewczyny milczały. Podszedł starszy, łysawy, w waciaku, i trącił Sheillę kantem dłoni w twarz. Spojrzała mu gniewnie w oczy i wyprostowała się.

– Są bezwartościowe. Szybko się z nimi zabawimy i pogonimy naprzód. Tego Cygarniczkę też mamy namierzonego. Może będzie co wybrać od niego.

– No, to zaczynajcie chłopcy – powiedział Tedd. – Potem ja skończę.

Rozsiadł się wygodnie. Rozerwał srebrzone opakowanie, wyjął miękką, różowawą masę i starannie utkał nią uszy, żeby nie słyszeć rozzierającego krzyku dziewczyn. Obok usiadł patykowaty Sallambo – ho i przecierał okulary o popękanych szklach. Miał brzydką, nieruchomą, ponurą twarz starej kobiety. On też czekał na swoją kolej.

Kraków, listopad 1987

ABSOLUTNY POWIERNIK
ALFREDA DYJAKA

I

Było przykre, ciemnawe popołudnie listopada. Przynajmniej przestało padać. Na razie. Jak co dzień Alfred Dyjak przemierzał Śląską zwykłym, szybkim krokiem, nieznacznie pochylony do przodu. Na ramieniu miał przewieszoną torbę z brązowego skaju, nieco rozerwaną wzdłuż zamka błyskawicznego. Z rozpiętej torby wystawała butelka mleka z aluminiowym kapslem zabezpieczonym plastikową nakładką. Czuł się źle i wszystko wydawało mu się jeszcze bardziej obce i wrogie niż zwykle. Nie lubił siebie ani otoczenia, w którym się obracał: ludzi, przedmiotów. Kac po wczorajszym wieczorze wzmagął tę niechęć.

Mijając mały sklepik, zdobył się na spostrzeżenie, że obecnie nie sprzedają w nim płyt gramofonowych, lecz nadali mu zabawną nazwę „Drewno”.

Trochę wcześniej o mało co nie został przejechany przez pomarańczowego malucha i właśnie teraz to sobie uświadomił. Brodaty kierowca wychylił się i krzyknął. Dyjak sądził, że kierowca powinien być wąsaty, a fiat złoty. Po chwili zapomniał o tym. Przeciągnął językiem po suchych wargach.

Był wykończony, jakby nie spał od niepamiętnych czasów; przynajmniej wszystkie lekcje przebiegły spokojnie. Dyjak uczył starsze dzieci tak zwanych robót ręcznych, czyli parodii pracy rzemieślnika, zaś najmłodszych nieszczęśników – tak zwanego nauczania początkowego, czyli wszystkiego po trochu. Udręka była wzajemna, gdyż ostatnio szkoła otrzymała w darze mikrokomputer „Meritum”, który trafił pod opiekę Dyjaka, uznanego szkolnego specjalisty od techniki. Niestety, instrukcje

zostały napisane niezrozumiale i Dyjak nie mógł sobie z nimi poradzić. To poniżało go; tym bardziej, że niektórzy z jego znienawidzonych podopiecznych umieli już biegle obsługiwać nieznośną maszynę.

Jego wyobraźnię opanował natrętny, wyrazisty obraz. Dyjak poczuł rzadkie powietrze, zimne i czyste; jak w górach – przypomniał sobie ostatnie wczasy spędzone w Zakopanem i instynktownie wchłonął nozdrzami ciężkie i wilgotne powietrze jesiennego miasta. Chodniki były jeszcze mokre po deszczu.

Istniały dwie współbieżne rzeczywistości: to chłodne i zatęchłe popołudnie i tamto również chłodne, lecz rozświetlone i rześkie. W mroźnym, rozrzedzonym powietrzu lekko opadało niewielkie, brunatne ziarno, owalne i pobrużdżone. Wydawało się tak lekkie, że gdyby dmuchnął, zmieniłoby tor swego lotu. Blask zmieniał ziarno, wolno, lecz zauważalnie: pęczniało i rozkładało pomarszczone dotąd powłoki. Wkrótce przestało spadać; szybowało na niedużych i smukłych skrzydełkach z pożyczkowanej i przeświecającej błony.

Dyjak przyśpieszył, dokładnie stawiając stopy. Uważał, że na chodniku są miejsca, na które powinien stawać, by było dobrze. Chciał przeczekać niezrozumiałe, natrętne obrazy. Obiekt widziany oczyma duszy próbował sterować swoim lotem: nieporadnie zakręcał, zwalniał lub przyśpieszał, jakby uczył się manewrowania.

Wizja znikła, ale to go nie ucieszyło, gdyż nadal czuł się podle. Doszedł do skrzyżowania; zauważył, że drzewa na skromnym pasku zieleni dzielącym jezdnie Alej prawie zupełnie straciły liście. Wszedł do sklepu spożywczego. W kolejce stały dwie starsze kobiety z siatkami. Dyjak unikał nieoczekiwanych ruchów, bojąc się naruszyć delikatną równowagę świata. Spokojnie stanął w kolejce. Wygląd tego sklepu zależał od Dyjaka. Gdy przyszła jego kolej, zdążył jeszcze powiedzieć: – Proszę wino Regal –

i rzeczywistość załamała się. Sklep stał się ciemną, pustą, zrujnowaną salą. Szyby potłuczone; z sufitu zwieszały się girlandy jakichś łańców czy pajęczyn. Na półkach pył, kawałki gruzu. Wokół panował półmrok. Dyjak zacisnął szczęki, aż zęby zgrzytnęły; przymknął powieki. Chciał, aby to zniknęło i wiedział, że zależy to od jego wysiłku. Po chwili otworzył oczy, ale ponury obraz znikał opornie. Powoli, naprzeciw niego, za odtwarzającą się ladą pojawił się widmowy kształt. Przypominał szkielet, ale wkrótce potem stał się kobietą w białym chałacie i czepku na rudawych i pokręconych włosach. Sprzedawczyni podała mu butelkę. Zawahał się.

Za dużo piję... cholerne zwidy – pomyślał, jednak sięgnął do kieszeni swoich marmurkowych džinsów, z których był dumny; wyciągnął kilka zmiętych banknotów. Odliczył i położył je na ladzie. Marudził jeszcze chwilę, więc sprzedawczyni spojrzała nań wyczekująco. Dyjak przeciągnął spoconą dłoń po przerzedzonej blond czuprynie. Zaprzeczył ruchem głowy. Nie chciał kupować niczego więcej. Wsadził butelkę z Regalem do torby, obok butelki z mlekiem i wyszedł ze sklepu. Starał się nie rozglądać, w zabobonnej obawie, aby wizja nie powróciła.

II

Poszedł Alejami ku Prądnickiej. Po drodze wstąpił do sklepu z narzędziami. Chciał kupić kilka kołków rozporowych, aby w swoim mieszkaniu zawiesić na betonowej ścianie nowe dzieło. Przez mgłę przypominał sobie, że jego hobby to malowanie obrazów. Najtańszymi farbami olejnymi i zawsze w tym samym formacie, ponieważ zawsze rozpinał płótno na rysownicy kreślarskiej. Gdy farby wyschły, trudno było oderwać obraz od deski, gdyż oleje przesiąkały i płótno przyklejało się.

Mroczne wnętrze sklepu wyglądało zwyczajnie: krótka, a pomimo to stłoczona kolejka rolników z pobliskiego placu warzywnego i bazaru na Kleparzu.

Ustawił się w kolejce, oczekując na następną porcję udreki. Za nim stanął zwałisty mężczyzna o czerwonej, nabrzmiałej twarzy i chuchał mu w kark odorem przetrawionej wódki. Dyjak podrapał się po prześwitującym ciemieniu. Wiedział, że natręctwo powróci.

Tym razem wizja nie była przykra, emanowały z niej nieokreślona życzliwość i ciepło. Znow ten uskrzydłony przedmiot; znowu zmieniony: dłuższy, z niedużymi stabilizatorami – jak samolot. To skojarzenie przywiodło przed oczy panoramę wokół lecącego przedmiotu. Gdzieś nisko, ginąc w mętym błękiecie, płynęły fantastycznie postrzępione, białawe kształty.

Dyjak raz w życiu leciał samolotem: do Warny. Wtedy przypatrywał się chmurom. Te wyglądały podobnie. W samolocie do Warny jadł szynkę z plastikowej rynienki, a stewardesa miała oczy zbyt blisko siebie. Teraz czuł nieznośny odór oddechu stojącego za nim mężczyzny. Wiszące lub leżące

na półkach narzędzia wydawały się nierealne: zbyt równe, błyszczące; zbyt dobrze wykonane.

Tracę poczucie rzeczywistości... powinienem zgłosić się do lekarza – kolejny raz przetarł dłonią spocone czoło.

Pasek rozluźnił się i torba spadłaby mu z ramienia, ale zdołał ją przytrzymać. Jedynie klasówki, które niósł do domu, do poprawy, sypnęły się na podłogę. Schylił się i pozbierał je z zabłoconego lastryka. Zdumiał się: to były wyłącznie podpisane, puste kartki, niektóre pobrudzone błotem. Gorączkowo przeglądał kartkę za kartką. Wszystkie puste, bez wyjątku, nawet te podpisane przez najlepszych uczniów.

Co to? Bunt? – zakołatało. – Przecież tematy nie były zbyt trudne...

– Dla pana?... – zamyślenie Dyjaka przerwał głos sprzedawcy w granatowym chałacie. Sprzedawca był wysokim i przeraźliwie chudym brunetem o siwiejących skroniach.

Dyjak podrapał się w bok. Miał na sobie szarą bluzę z wypukłymi, naszywanymi kieszeniami i nadrukowanym na prawej kieszeni czarnym orłem z rozpostartymi skrzydłami i napisem „Montana” oraz „Hamburg, Berlin, Paris, New York” poniżej orła. Był dumny z bluzy, chociaż nieco mniej niż z dzinsów, ponieważ była z butiku, a dzinsy z importu. Sprzedawca patrzył na niego z ledwie zauważalną odrobiną wyższości, wynikającą z przekonania, że taki facet jak Dyjak nie potrafi nawet fachowo nazwać tego, co chce kupić.

– Proszę rurkę do umywalki... taką w kształcie litery s – powiedział Dyjak, potwierdzając opinię sprzedawcy. Przeciągnął dłonią po przerzedzonej czuprynie. Bateria ciekła. Należało dokupić do niej nową rurkę. Dyjak odruchowo spojrział na dłoń: były dwa włosy.

– Chodzi panu o wylewkę?... – w głosie sprzedawcy nuta wyższości zabrzmiała wyżej o ton. Nazwa była umiarkowanie cudaczna, ale nieźle

oddawała rolę rurki, więc Dyjak przytaknął skinieniem głowy. Zdołał przyzwyczaić się do najdziwniejszych nazw różnych akcesoriów, choć nie był pewien, czy to sprzedawca nie wymyśla tych nazw wyłącznie po to, by gnębić klientów.

Znowu ogarnęło go znajome uczucie. Przeląkł się, że wróćą halucynacje. Sprzedawca zawijał wylewkę w brązowy papier pakunkowy. Dyjak przypomniał sobie o kołkach rozporowych.

– Na stoisku narzędziowym – sprzedawca wskazał głową na drugą kolejkę. Dyjak stanął w niej zrezygnowany. Wiedział, że nie wytrzyma i natrętne wizje wróćą. Kolejka była długa. Starał się zająć myśli, aby nie wpaść w sidła wyobraźni. Poprawił i nieco głębiej wetknął wylewkę pomiędzy mleko i wino Regal. Nie pomogło. Obraz przed oczyma zafalował i sklep zniknął. Dyjak stał w miejscu otoczonym spiętrzonymi belkami; pod fioletowym niebem, takim jak o zachodzie słońca. Wokół gruz, ziemia i te belki. Wprawdzie nie widział ludzkich szczątków, ale obrazy rozpadu były bardzo przykre.

Powrót do rzeczywistości zaczął się od czyjś głośnego kichnięcia. Znów stał w mrocznym sklepie, zatłoczonym mężczyznami o czerwonych twarzach i sękatych, masywnych dłoniach. Poczul się niezbyt dobrze i oparł o stojący obok, mocno przerdzewiały kaloryfer.

Cholerne majaki... Piję za dużo, o wiele za dużo... – pomyślał i już pojawił się nowy obraz: skrzydlaty przedmiot wolno szybował nad szarą powierzchnią ziemi, przypominającą nieregularną, ale wyraźną szachownicę. Na prostokątnych lub kwadratowych, szarych polach wznosiły się niewielkie, nieregularne ruiny. Te kwadraty poprzedzielane wąskimi, prostymi liniami ulic kojarzyły się z widokiem znanym i czasem oglądanym w telewizji.

Lecący przedmiot w kolejnych wizjach był coraz większy i bardziej rozbudowany. Jeśli nawet nie miał napędu, to potrafił precyzyjnie sterować swoim lotem. Dyjak darzył ten przedmiot sympatią, ale i lekkim respektem. Wizja stopniowo traciła na intensywności.

Przy drugim stoisku sprzedawała starsza, tęga kobieta w granatowym chałacie.

– Sześć kołków rozporowych fi siedem... – powiedział z wystudiowaną obojętnością. Teraz i wylewkę mógłby kupić jak fachowiec. Zapłacił za kołki i wcisnął je do torby obok poprzedniego zakupu. Wyszedł ze sklepu.

Przyszło mu do głowy, że właściwie zamiast od razu wsiadać do tramwaju przy Kleparzu mógłby najpierw zajrzeć do księgarni na rogu Długiej i Szlaku. Myśl ta wywołała w jego mózgu niechęć i sprzeciw, głowa aż chciała pęknąć. Odczucie pojawiło się nieoczekiwanie i gwałtownie jak uderzenie pałki. Dopiero gdy Dyjak zrezygnował ze swego zamiaru, nacisk ustąpił.

To nie jest moja myśl. Zupełnie, jakby w mojej głowie siedział ktoś obcy...

Przejechał dłonią po karku. Namacał coś lepkiego i spojrzął na dłoń. – Osmarkał mnie skurwiel – pomyślał z odrazą i strzepnął rękę. Wyciągnął chustkę do nosa. Pośpiesznie pościerał szarawy śluz, w którym widać było czarne kropki – skondensowane zanieczyszczenia wdychanego powietrza. Zwinął mokrą chustkę w ciasny tłumok i schował do kieszeni. Podrapał się w ciemność. Za paznokciami znalazły się porcje tłustego łupieżu. Obojętnie mijał tłum stojący na przystanku autobusowym. Czuł, że jego trasa stanowi wytyczoną linię, a pomimo to poszedł nieco inaczej niż mówił wewnętrzny nakaz. Potrącił wysoką dziewczynę w jaskrawo niebieskiej, ortalionowej kurtce i o długich szaroblond włosach. Stała z niewiele wyższym od niej

mężczyzną w jasnobieżowej kurtce, trzymającym białą, plastikową teczkę. Potrącona dziewczyna syknęła z bólu.

– Chyba pierdoła idzie i śpi... – usłyszał niezyczliwą uwagę mężczyzny.

Dyjak przeczuwał nadejście kolejnych wizji. Wpatrywanie się w wilgotną powierzchnię bruku nic nie mogło zmienić. Każda myśl, że jednak mógłby wstąpić do księgarni, wywoływała udrękę. Mogłem dostać po mordzie za tę dziewczynę – zdążył pomyśleć i znów wpadł w sidła swoich schorowanych myśli.

Znajomy przedmiot krążył bardzo nisko. Omijał wyniosłości o nieregularnych kształtach, brunatne, porowate, spękane. Zakręcał pomiędzy nimi, czegoś poszukiwał, badał. Widok tych pagórków był przykry: przypominały ruiny, chociaż bez drapieżnej, świeżej ostrości – znacznie łagodniejsze, wygładzone przez czas.

Dyjak zacisnął zęby, aż zazgrzytały. To pomagało. Wysilek woli mógł osłabić natrętne obrazy. Dyjak przeklinał wczorajszą popijawę, przeklinał siebie i swoją słabość. Od dawna zamierzał skończyć z nałogiem, bezskutecznie. Odruchowo poprawił pasek na ramieniu.

Zza zakrętu, z Prądnickiej wyjechało długie, nieporadne cielsko autobusu. Z piskiem gumy w przegubie oraz wysilonym rżeniem silnika wtaczało się w Aleje. Pomyślał, że tłumek na przystanku zostanie wchłonięty; może wsiądzie dziewczyna, którą potrącił i towarzyszący jej mężczyzna. Dyjak stał na przejściu dla pieszych, oczekując na zmianę światła. Zaczęło nieco mżyć i oziębilo się jeszcze. Zapiąłby zamek kurtki, przypominającej krojem kurtkę mężczyzny na przystanku, ale chciał, żeby czarny orzeł na jego bluzie był widoczny. Dlatego jedynie skulił się z zimna i zgarbił. Wkrótce światła zmieniły się na zielone i Dyjak z tłumem innych ludzi przekroczył ulicę, brudną i moką. Zatrzymały go kolejne światła, przy pierwszej nitce Alej. Strumień samochodów szybko się skończył.

Jezdnia była pusta, chociaż nadal paliło się czerwone światło. Jakaś dziewczyna, niska brunetka w obcisłych spodniach do pół łydki, przypominających kalesony, przebiegła ulicę. Dyjak bezmyślnie ruszył za nią.

Naraz dotarł do niego dźwięk milicyjnego gwizdka. Stali za budkami telefonicznymi, niewidoczni z przejścia. Dopiero teraz, gdy nie było już odwrotu, wyszli z ukrycia. Jeden z nich skinął ręką na Dyjaka. Drugi pogroził palcem przechodzącej dziewczynie, która odwróciła się.

– Pani, to co?... daltonistka?... – rzucił za nią. Dziewczyna odpowiedziała szerokim uśmiechem uszmiłkowanych ust, ale nawet nie zwolniła.

Obaj milicjanci byli młodzi, wysocy i barczyści. Spoglądali na drobnego Dyjaka z góry.

– Dowodzik, proszę... – powiedział jeden z nich.

Dyjak z pośpiechem wyciągnął czarny portfel i wyjął z niego sfatygowany dowód osobisty, jeszcze starego typu, z twardą okładką. Milicjant odpisywał dane personalne.

– Pan chyba dyrektor szkoły? – powiedział z protekcyjną wesołością ten, co notował.

Dyjak niepewnie zacierał ręce.

– No, niezupełnie – wybąkał.

– To co, płacimy teraz, czy na kolegium? – zapytał z udaną surowością drugi z milicjantów, a ten, co notował, parsknął śmiechem.

– Kobiety to mają szczęście – powiedział Dyjak. Miał jeszcze w zanadrzu stwierdzenie, że szedł jako drugi, za tą dziewczyną.

– Takie już jest życie – zauważył milicjant, który notował.

– No, wie pan... – plątał się Dyjak – nie mam przy sobie. W szkolnictwie płacą niewiele.

Milicjant skończył notować i oddał mu dowód. Obaj zaszalutowali, zawrócili na pięcie i skryli się za budkami telefonicznymi, aby łowić następców Dyjaka.

III

Przy drugiej nitce Alej nie próbował przebiegać. Zaczekał na zielone światło. Gdy przypomniał sobie o planowanym wstąpieniu do księgarni przy Szlaku, ból głowy wrócił. Ale nie zmieniło to jego decyzji. Zewnętrzny nacisk nasilał się. Ktoś obcy lub coś obcego, co wdarło się do głowy Dyjaka, domagało się, aby nie szedł do księgarni. Może poprzednio właśnie to coś zmuszało go do trzymania się ściśle wytyczonej, choć niewidocznej linii.

Przeszedł jezdnię i zaraz za kałużą i zniszczoną ławką miał zamiar skręcić w lewo i stanąć na przystanku, by czekać na tramwaj jadący do centrum. Tak chciało to obce w jego głowie, które może zwało się kac... Dyjak zmusił swe nogi do ruchu, przeszedł przez tory tramwajowe i skierował się w Długą, ku księgarni. Presja ustała nagle, tak jak się pojawiła. Zwyciężył. Czuł się lekko i rześko.

Pieprzone męki pijaka... – pomyślał, a jego postanowienie niepicia umocniło się. Minął przystanek w kierunku przedmieść. Jak zwykle, tłumek oczekiwał na tramwaj. Od czasu jak przedłużyli linię na Osiedle Trzydziestolecia, tylu ich tu stoi, że trudno przejść – pomyślał z niechęcią. Lawirował pomiędzy stojącymi. Nie chciał kogoś potrącić. Znikła linia, której winien się trzymać. Obce zostało pokonane, a ta wolność była owocem zwycięstwa.

Zatrzymał się przy kiosku, by kupić żyletki. Obejrzał uważnie witrynę, szukając czasopism, które zwykle czytywał. Kioskarka podała mu małe, jasnobrązowo–ciemnobrązowe opakowanie Polsilverów Iridium. Zapłacił i niedbale schował resztę do kieszeni, żyletki wrzucił do torby, naciągnął

kołnierz na kark i ruszył szybkim krokiem, bo znowu zaczęło się śnieżyć. Minął mur oddzielający zapuszczony i rozległy ogród przytułku od szarej, zabłoconej ulicy. Przeciął ulicę Helclów. Każda przecznica manifestowała się w mózgu swą nazwą. Dyjak z wysiłkiem weryfikował w pamięci ich poprawność. Myliły się te nazwy, choć przecież była to jego codzienna trasa.

Pomyślał o swoich rojeniach i przywołane wróciły. Wizja była tak sugestywna, że zatracił poczucie rzeczywistości. Ukazało się fioletowe niebo pogodnego, mroźnego wieczoru. Znów sceneria zmurszałych ruin lub przykrytych pyłem pagórków. Atmosfera spokoju i ciszy miejsca, do którego chce się uciec. Znany mu z poprzednich wizji, skrzydlaty przedmiot czy może żywe stworzenie, kroczył po ziemi na kilku wysokich i cienkich, pieszczelowatych odnóżach, z zaznaczającymi się grubszymi przegubami. Już nie przypominał małego samolotu, lecz owada, jętkę lub złotooka ze złożonymi nad grzbietem skrzydłami i skrzydełkami sterującymi. Na boki od podłużnego korpusu wystawał szereg szypulek czy wyrostków. Niektóre z nich, te przypominające brunatne liście, kierowały się ku światłu; inne wysuwały się do przodu, gdy kroczył. Tak ogromny owad mógłby się wydać odrażający, lecz Dyjak wiedział, że jest przyjazny i to pozwalało nie odczuwać obrzydzenia.

Zrozumiał, że to coś w rodzaju udzielonej mu kolejnej lekcji. Zgodnie z domysłem, wizja rozmyła się i zniknęła. Dalej szedł brudną i zabłoconą ulicą. Minął kapliczkę stojącą w miejscu, gdzie łączą się obie nitki ulicy Długiej, obejmujące bazar na Kleparzu. Pomyślał, żeby później pójść coś zjeść do obskurnego baru naprzeciwko księgarni. Jak zwykle szedł dość szybko ze zwieszoną głową, patrząc pod nogi.

Nagle z całej siły uderzył głową o coś i odbił się tak mocno, że upadł na bruk. Podniósł się, myśląc, że przez nieuwagę wpadł na słup. Z rozbitej

butelki wylało się mleko. Regał ocalał. Dyjak próbował jakoś wytrzeć swoje spodnie i ręce z błota w wilgotną jeszcze chusteczkę do nosa. Starannie wytrzepeł z teczki rozlane mleko. Znów przed oczy nasunęły mu się zawałone klasówki. Pościerał z nich mleko i wepchnął je do torby. W końcu doprowadził się do jako takiego porządku. Założył na ramię skajową teczkę i ruszył dalej. Tym razem uderzył z mniejszym impetem. Zachwiał się, lecz nie upadł. Aż serce skoczyło mu do gardła: uderzył w pustkę. Przed nim nie było nic oprócz powietrza, żadnego słupa, żadnej przeszkody, a jednak nie dało się przejść. Wyciągnął ręce: niewidzialna zaporą przegradzała chodnik. Była sprężysta i elastyczna. Dyjak macał w powietrzu jej przebieg. Szedł w poprzek jezdni, zgodnie z przegrodą. Powierzchnia była wszędzie równa, płaska i dawała się minimalnie uginać. To była rzeczywistość, nie efekt kaca. Biegał po jezdni jak szczur po klatce, wodząc wyciągniętymi rękoma po przeszkodzie. Nie zwracał uwagi na przejeżdżające samochody, jakoś nie zauważając, że dla nich bariera nie istniała. Już do pół łydki ochlapał swoje marmurkowe dzinsy. Po drugiej stronie ulicy znalazł miejsce, w którym bariera dochodziła do muru i nie bacząc na to, że paprze sobie ręce i rękawy kurtki, odkrył, że sięga od bruku, przynajmniej tak wysoko, jak zdołał sprawdzić w podskoku rękami. Założył na ramię nieodłączną torbę, którą odstawił w czasie podskakiwania. Ubłocone denko torby zostawiło na jego jasnoszarej kurtce brunatną pręgę. Brudnymi rękami przejechał wzdłuż bariery, wracając tam, gdzie zderzył się z nią pierwszy raz. Jego dłonie zostawiły w powietrzu kreskę, brunatny ślad wyznaczający zasięg świata; ślad kreślił się tak długo, jak starczyło błota na upapranych dłoniach. Zaraz potem bez najmniejszego wysiłku przeciął kreskę nieogolony, szary facet na rowerze.

Kolejna wizja dała wytchnienie od zdumiewającej rzeczywistości. Przyjął nadchodzące z głębi mózgu obrazy jak ulgę. Znajoma sceneria:

łagodne światło, pogodny wieczór i brunatne, podobne do owada stworzenie. Jego skrzydła zmieniły się w talerzowate anteny uniesione ku światłu. Stało nieruchomo na szczudłowatych, zakotwiczonych w gruncie odnóżach i brunatnymi, smukłymi ramionami powoli, metodycznie rozgarniało jeden z kopców. Pomimo przesadnej smukłości ramiona były wystarczająco silne, aby przynosić spore, brunatne grudy. Zagłębiało się coraz bardziej w brązową glebę. Wizja otrzeźwiła Dyjaka.

Postanowił działać. Pobiegł w boczną przecznicę, w ulicę Helclów, w nadziei, że może tamtędy uda mu się wydostać. Po kilkunastu metrach jego wyciągnięte ręce trafiły na identyczną przeszkodę. Niewidzialna powierzchnia rozciągała się od kamienicy po prawej stronie ulicy do muru otaczającego ogród przytułku po lewej stronie. Postanowił próbować przy każdej przecznicy. Aby zyskać na czasie, chciał nieco podbiec, ale potknął się o krawężnik i runął na bruk, tym razem na wyciągnięte dłonie. Silny ból stłuczonego kolana upewnił, że to jawa, nie koszmarny sen. Wino Regal przetrwało i ten upadek, chociaż klasówki nadawały się już tylko do wyrzucenia. Wrócił z powrotem do bariery idącej w poprzek Helclów i zaznaczył w powietrzu jej istnienie, wycierając sobie w nią rękę.

– Przydała się do czegoś – szepnął z satysfakcją.

IV

Z dumą pomyślał, jak wielka jest jego odporność nerwowa. Świadomość znajdowania się w klatce i pewność, że to ponura jawa, nie zdołały wywołać u niego obłądnego strachu, lecz tylko zdumienie. Stać go było nawet na żarty.

Wracał, aby poszukać wyjścia ze swej klatki od strony Alej lub Prądnickiej. Z drgnieniem niepokoju minął kiosk, w którym poprzednio kupował żyletki. Coś w tym kiosku dojrzane kątem oka, zaintrygowało go, nie dało spokoju. Przyjrzał się uważniej i zamarł z rozdziawioną gębą: kiosk nie miał jednej ze ścian, tylnej. Ogłupiały Dyjak podszedł bliżej i zajrzał do środka. Wewnątrz kiosku nie było nic. To znaczy, ściany od wewnątrz istniały, ale powielały dokładnie kształt kiosku widziany od zewnątrz. To tak, jakby ktoś w miejsce kiosku postawił jego kopię odcisniętą w niezwykle cienkiej folii i pomalował ją odpowiednimi farbami, które przesiąknęły na wewnętrzną stronę folii. Jedynie w miejscu podłogi była mętna, kłębiąca się szarość. W odbiciu frontowej ściany coś poruszało się. Dyjak przyjrzał się uważniej i tym razem nogi się pod nim ugięły: to była odcisnięta, ruchoma forma górnej połowy kioskarki. W miejscu, gdzie kobieta miała usta, pojawiał się wystający nieco kształt w chwili, gdy coś mówiła do klientów. Było to widoczne wycelowane wewnątrz jej ust. Tego było Dyjakowi za wiele, cofnął się, czując grozę. Wszystkie poznane w młodości niesamowite historie ożyły, wywołując gęsią skórę na grzbiecie, przykrytym bluzą „Montana”. Obszedł kiosk i od frontu ujrzał zwykłą kolejkę klientów i krzątającą się, niemłodą kobietę wewnątrz. Znowu zajrzał od tyłu – tam nadal widać było wycelowane

wnętrze. Wrócił i stanął w kolejce za ładną dziewczyną, dość wysoką. Chciał sprawdzić, czy wydrażona kioskarka obsłuży go normalnie. Obserwował witrynę. Wzrokiem omiół wnętrze cal po calu, ale wszystko było w porządku. Tytuły czasopism, które widziane od wewnątrz, wydawały się odbite zwierciadłanie, obecnie mógł czytać normalnie. Wszystko zdawało się wskazywać, że jest to zwyczajny, brudny kiosk.

Uwagę jego przykuł policzek dziewczyny. Miała drugi podbródek nieharmonizujący ze zgrabną sylwetką. Intrygowało coś innego: od strony kiosku granica pomiędzy kołnierzem kurtki i włosami była zamazana, jakoś tak niewyraźnie zarysowana. Gdy odwróciła się do okienka, Dyjak poczuł dreszcz: jej prawy policzek i włosy ponad nim stanowiły rozmazaną, niewyraźną plamę z ledwie zarysowanym, nieco ciemniejszym okiem. Właśnie tak Dyjak wyobrażał sobie ducha.

– Ma pani jeszcze „Echo”? – zapytała niskim altem. Gdy usłyszała przeczącą odpowiedź, zamierzała odejść, ale Dyjak był szybszy: musiał to wyjaśnić. Tak błyskawicznie, jak na to pozwoliła dyndająca na ramieniu torba, doskoczył do dziewczyny i złapał ją za ramiona. Odwróciła ku niemu zdumioną, lewą stronę twarzy. Dyjak wyczuwał przez materiał kurtki jej krągłe, wąskie ramiona, ale wykonał gwałtowny ruch, jakby próbując przez nią przejść. Zderzył się z nią gwałtownie, trafiając podbródkiem w jej nos.

– Aaaa! – krzyknęła głośno. – Proszę mnie zostawić! Chuligan! Puść mnie! – jej krzyk przypominał koleżankę uczącą języka rosyjskiego.

– Na pomoc! Zboczeniec napastuje kobietę! Pomocy! – krzyczała przeraźliwie kioskarka.

Dwóch mężczyzn z pobliskiego przystanku ruszyło ku nim, głośno krzycząc i wygrażając. Nie zważając na szarpanie się dziewczyny i jej krzyki, Dyjak zdołał ponowić próbę. Jedną ręką trzymał ją nadal, zaś drugą wsadził w ten jej rozmazany policzek. Tym razem nie omylił się. Jego dłoń

przeniknęła do wnętrza głowy nieznajomej. Wyczuł też od wewnątrz jej włosy, ciepłą skórę twarzy, nawet poruszającą się szybko, wklęsłą i wilgotną gałkę oczną. Cofnął z obrzydzeniem rękę i odepchnął dziewczynę.

Jeden z mężczyzn był już blisko. Dyjak nie próbował uciekać. Mężczyzna był wyraźny tylko od jednej strony. Drugiej ręki ani drugiego ramienia nie miał wcale, a pomimo to próbował walczyć jak ktoś, kto ma obie ręce. Dyjak wykorzystał to i po pierwszym, zresztą niezbyt silnym ciosie w szczękę, którego nie dało się uniknąć, przeszedł do ataku, pomimo że napastnik był wyższy. Kilka razy mocno trafił tamtego, a na dodatek pięść Dyjaka kilka razy przeniknęła do wnętrza mężczyzny. Drugi z nich nie włączał się do starcia, widząc niepowodzenia pierwszego. Istniał podobnie: tylko z jednej strony. Kioskarka, widząc nieoczekiwany rozwój sytuacji, ucichła i skryła się w kiosku. Dziewczyna uciekła. Gdy Dyjak przestał bić, mężczyzna wycofał się na bezpieczną odległość, krzycząc coś pod jego adresem. Razem z tym drugim wzywali na pomoc milicjantów. To spłoszyło Dyjaka – sprawa musiała skończyć się na kolegium. Pozostała ucieczka. Poprawił teczkę na ramieniu.

Zaraz jednak ich zauważył, biegnących pośpiesznym truchtem. Ci sami dwaj milicjanci, którzy go wcześniej spisali. Za nim byli: pobity i ten drugi mężczyzna. Też zauważyli nadbiegających. Dyjak stwierdził, że nie ma szans i biegiem rzucił się do ucieczki tam, gdzie nie było przeciwników – na jezdnię, wprost pod dojeżdżający do przystanku tramwaj.

Uderzył głową w burtę wozu, ale oparł się ręką. Nawet go nie zamroczyło i byłby się odbił jak piłka, wychodząc bez szwanku, jednakże rękawem kurtki zahaczył o drucianą kratkę łączącą oba wagony. Szarpnięcie było tym razem straszne. I niestety kurtka mimo że rozpięta nie zsunęła mu się z ramion. Tramwaj wlokł go przez moment i Dyjak zdążył jeszcze zobaczyć obu milicjantów stojących z rozdziawionymi ustami, a

jego wzrok spotkał się z ich przerażonym wzrokiem. Zaraz potem druga ręka wplątała się w coś i Dyjak poszedł pod koła. Poczł najpierw jedno, potem drugie bolesne uderzenie. Zdołał jeszcze usłyszeć przeraźliwy zgrzyt hamulców wozu i przeleciał na drugą stronę.

Towarzyszył temu krótki, żółty błysk jak przy nokaucie i na tym się skończyło. Dyjak leżał na zabłoconej jezdni po drugiej stronie stojącego wagonu. Kurczowo obmacywał swoje ciało. Był cały i zdrowy. Nieco szumiało w głowie po uderzeniu o burtę wagonu. Spojrzał na stojący tuż obok tramwaj i dopiero teraz zrobiło się mu niedobrze. To był taki sam obiekt jak kiosk: cienka powierzchnia naśladowująca rzeczywisty tramwaj, zaś od drugiej strony ukazująca jego wynicowane wnętrze z przerażającymi odbiciami postaci pasażerów i wyglądającymi szczególnie obrzydliwie, poruszającymi się, wklęsłymi gałkami oczu. Każdy z wozów tramwaju miał koła tylko po jednej stronie i stał tylko na jednej szynie. Przypominał groteskową dekorację teatralną, ruchomą i żywą. Dyjak ze wstrętem patrzył, jak odbicia pasażerów tłoczą się przy oknach, żeby zobaczyć ofiarę wypadku. Zebrał się i założył nieodłączną torbę na ramię. Wino Regal przetrwało i tę katastrofę.

Ostatnie wydarzenie wytrąciło go z równowagi. Pobiegł przez bazar na Kleparzu, roztrącając kłębiący się tłum kupujących i straganiarzy. Słyszał lecące za sobą wiązanki przekleństw. Z jednego ze stoisk potoczyły się żółte, dorodne jabłka.

– Będiesz płacił za każde z osobna, gnoju! – rozległ się wściekły krzyk przekupki. Na pierwszy rzut oka ona i inni, kręcący się po placu, nie sprawiali wrażenia wydrażonych powłok. Jednakże wystarczyło, by przebiegł kilkanaście metrów, a całe to skupisko krzątających się i zajętych praktyczną działalnością ludzi ukazało swą prawdziwą naturę: postaci uformowanych z powierzchni cieńszych niż skorupki jajka. Jedne z postaci

brały leżące na fantomach straganów wydrążone skorupy owoców. Inne pakowały wydrążonymi, pustymi w środku rękoma te puste skorupy do fantomów toreb lub plastikowych reklamówek. Jedynie odbicia pustych, plastikowych reklamówek nieco przypominały normalny wygląd, to znaczy taki, jaki jest dany do widzenia zwykle. Jedynie napisy reklamowe były zwierciadlanie odbite. Dyjak roztrzącał w panice przeklinających go ludzi, którzy zaraz potem, z drugiej strony stawali się tak cienkimi, że ledwie zarysowanymi w powietrzu sylwetkami. Za wszelką cenę chciał wyrwać się z tego. Biegł w dziwacznych podskokach; kulał, gdyż uderzając o burtę wagonu rozbił kolano, które teraz piekło coraz bardziej. Wyciekająca leniwie krew przemoczyła już spodnie. W końcu osiągnął murek po drugiej stronie bazaru. Postawił na nim nogę i zeskoczył z wysiłkiem na chodnik drugiej nitki ulicy Długiej. Jak i wszystko inne, niewysoki murek istniał tylko z jednej strony. Dyjak był pewien, że gdyby klęknął na bruku, schylił się i zajrzał pod spód, to ujrzałby od drugiej strony negatyw zwykle oglądanej powłoki. Minał inny kiosk istniejący jedynie jako tylna ściana i jeden z boków i wybiegł na jezdnię Alej. Widział przed sobą przesuujące się znajome już sylwetki wydrążonych samochodów z fragmentarycznymi wydrążeniami sylwetek pasażerów. Dyjak zatoczył niemal pełne koło na swej drodze. Po drugiej stronie Alej przedzielonych skwerem był przystanek autobusu. Szedł w poprzek jezdni, nie zważając, że przez niego przejeżdżają widmowe samochody. Wiedział już, że groźne mogą być jedynie od tej strony, od której istnieją naprawdę, a on właśnie szedł od przeciwnej. Ominął sylwetki drzew, które od drugiej strony wydawały się drzewami i fantom ławki, która od drugiej strony wyglądała zwyczajnie. Spokojniejszy, zatrzymał się przy ławce, na skwerze oddzielającym obie jezdnie Alej.

Cholera – pogładził się po przeredzonym ciemieniu – zaczynam rozumieć to wszystko... Dawno podejrzewałem, że tak naprawdę to istnieją tylko ja. Że inni są jedynie odbiciem moich myśli... stworzonym przeze mnie.

I to jest tak naprawdę... oni wszyscy istnieją tylko od jednej strony, tak, żebym ich widział przechodząc. Właściwie, żebym ich widział, kiedy szedłem poprzednio na przystanek tramwajowy. Ale kac spowodował, że w porę nie stwarzam ich obróconych we właściwą stronę. To znaczy, właściwą stroną ku mnie.

Wszystko: ludzie, rzeczy... ma naturę powierzchni. Istnieje bardzo oszczędnie, tylko tak, abym ja widział... jest stworzone dla mnie. Ja... ja jestem podmiotem! To tylko cienie moich myśli... Więc muszą być stworzone przeze mnie! Bo któż inny niż ja stworzyłby to właśnie dla mnie, a nie dla siebie? Ja sam stworzyłem to wszystko!

Zrozumienie pozwoliło mu ochłonąć. Usiadł na ławce.

– Jeśli tak jest, jeśli taki jest świat, to trzeba go umiejętnie używać. Jestem przecież jego panem i stwórcą... jedynym prawdziwym człowiekiem...

Złapał się na tym, że odruchowo przeciera ciemię i sprawdza, ile włosów mu wypadło. Tym razem trzy. Zapiął ubłoconą kurtkę. W związku ze swoim odkryciem nie miał potrzeby dbać o wygląd zewnętrzny. Przecież to on narzucał kryteria piękności. Zawsze narzucał, sam nie wiedząc... Jedyne rozbite kolano pulsowało i mrowiło. Postawił sobie na kolanach torbę i zajrzał do środka. Na pierwszy ogień poszły klasówki.

– Przecież to nie ma sensu – pomyślał i zaczął nimi wycierać swoje ubłocone kolejno raz, dłonie. – Ależ zrobiłem dla siebie niewygodny świat. Nigdy już nie będę poprawiał tego syfa... – rozrzucił wokoło kartki – chyba mam naturę masochisty, że wymyśliłem sobie takich kretynowatych

uczniów... przecież nie jestem złym nauczycielem. Jestem najlepszy. Ja! Bóg ich wszystkich, Alfred Dyjak.

Właściwie jestem jak w domu... dlaczego nie tu?... – pomyślał, obracając flaszkę w dłoniach – ale jak to otworzyć?... Wymyślę sobie scyzoryk.

Wpadł jednak na inny pomysł i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Spróbował jednym z nich podważyć plastikowy kapturek. Tworzywo broniło się i stawiało opór, rozciągając się i bielejąc. W końcu pękło.

No pewnie – pomyślał – przecież musiało, przecież jest tylko dziełem moich myśli. Oderwał palcami kapturek do końca. Dużego korka nie było, a jedynie pozostał w środku dość płytki, plastikowy występ uszczelniający butelkę.

Korka nie mogło być, bo bym sobie z nim nie poradził – pomyślał z uznaniem o swojej pomysłowości. Powąchał butelkę i wyczuł delikatny aromat wina, kontrastujący z prostacką etykietką. Pociągnął łyk. Wino było bardzo słodkie i bardzo mocne. Poprawił drugim łykiem i obtarł usta rękawem. Lubił wina tego typu, chociaż zawsze miał po nich kaca. Było samo przez się zrozumiałe, że wino jest dobre, przecież musiało takie być.

Oglądał uważnie białą etykietkę z soczyście czerwonym napisem Regal na czarnym pasku. Ciekawe, skąd mi się to wzięło w głowie... – namyślał się. – Taka cudaczna nazwa?... Może to od regału?

Dyjak odłożył już prawie na cały regał, gdy nagle ogłosili możliwość zakupów na raty. Poczł się tym oszukany, gdyż jego wysiłek niejako poszedł na marne. Obecnie mógł dorobić się regału bez tak starannego kolekcjonowania wizerunków na banknotach. Wniosek ten go zdemobilizował tak, że dotąd nie zdobył się, aby coś wybrać w „Gigancie” albo innym sklepie meblowym. „Gigant” jest najlepiej zaopatrzone... – pomyślał. – Bez sensu... ten będzie najlepiej zaopatrzone, który ja zechcę. W ogóle to wymyślę sobie jakiś regał już w mieszkaniu.

Przestało go to interesować, znowu pociągnął łyk i obejrzał etykietkę do końca. Powinno już zmięchać, ale było jeszcze dość jasno, aby mógł czytać. Proszę, proszę... Centralne Piwnice Win... na Kamiennej... – zdziwił się. – To tuż obok... Inteligentnie to wymyśliłem. Niezła podświadomość. Wpadnę tam potem po więcej. Przecież to też moje.

Sięgnął do torby po numer „Problemów”, pożyczony z biblioteki szkolnej. Na okładce był powtarzający się wzór z butelek. Pokiwał głową z aprobatą.

Zdrowie redakcji! – wychylił kolejny łyk.

Egzemplarz ten wcisnęła mu koleżanka ucząca rosyjskiego; był w nim pasjonujący, według niej, artykuł o płci. Dyjak kartkował czasopismo, ale co innego rzuciło mu się w oczy. Na stronach poświęconych przedrukowi przeczytał tytuł: „Wskrzeszanie jaźni – przedłużanie istnienia”. Było tam napisane, że ślady przebiegów prądów czynnościowych kory mózgowej w sprzyjających warunkach zostają zapisane jako stabilna modyfikacja struktury tkanki kostnej formującej sklepienie czaszki. Może to mieć miejsce, gdy impulsy czynnościowe osiągają wysokie wartości, w szoku albo przy śmierci osobnika. Dodatkowym warunkiem zapisu jest zachodzenie względnie szybkiej wymiany materiałowej organizmu, przynajmniej jakiś czas po śmierci. Następnie autor snuł rozważania, że analiza mikroskopowych defektów struktury kostnej czaszki pozwoli czytać myśli.

– To jakieś brednie – skwitował i wyrzucił „Problemy” za siebie. Nie zwrócił uwagi na szybkość, z jaką przyswoił sobie treść artykułu. Znowu kolejny łyk. Dyjakowi nie było już zimno. Sięgnął teraz do torby po wylewkę i kołki rozporowe.

– No to lecimy... w siną dal! – Wylewka, a za nią kołki poszybowały na trawnik. Zajrzał do środka. Torba była już pusta.

– Mogę cię przenicować! – zwrócił się do niej. – Nie jesteś mi już potrzebna... stara torba... – roześmiał się i szerokim zamachem wyrzucił torbę w ślad za wylewką i kołkami rozporowymi. Myśl jego skierowała się na temat kobiet i oblizał się obleśnie. Jakoś dotąd nie miał do nich zbyt wiele szczęścia.

To ta moja pieprzona, masochistyczna natura – pomyślał, znowu wypił łyk i dumnie wypiął indyczą, wąską pierś. – Wszystkie będą moje... jak tylko zechcę. Bo to tylko moje wymysły. A naprawdę istnieję tylko ja.

Nabrał odwagi i pewności siebie.

V

Postanowił dostosować się do sytuacji, to znaczy używać życia w pełni. Wstał, obciągnął kurtkę i przygładził włosy. Zatkaną butelkę małym dekielkiem pozostałym po odarciu kapturka i wcisnął ją w kieszeń kurtki. Przechodzący obok staruszek z laską uważnie mu się przyglądał. Dyjak zainteresował się nim.

– Dziadek, napij się ze mną.

– Nie. Ja nie mam czasu. Muszę się zająć swoimi sprawami – bronił się staruszek zupełnie jak jeden z rodziców na ostatniej wywiadówce. Dyjak silnie złapał go pod ramię i przemocą posadził na ławkę.

– Jak cię, dziadek, wymyśliłem, żebyś tu przyszedł, to siedź... – taka logika zdawała się Dyjakowi nieodparta.

Tamten był zbyt przerażony, żeby oponować. Przypominał kogoś. Dyjak otworzył zębami butelkę.

– To jest wino Regał, wykończenie ciemny orzech... – roześmiał się z własnego dowcipu, a następnie wciągnął nozdrzami zapach z szyjki butelki – ten bukiet to też mój pomysł. No, dziadek, teraz twoja kolej – dodał, płucząc usta kolejnym łykiem wina.

Starzec odpychał butelkę słabą dłonią. Każde spojrzenie na niego przywodziło Dyjakowi kogoś na myśl. Próbował tłumaczyć się, że nie może, że jest chory.

– Nic ci nie będzie, dziadek. Pij, jak dają. Bez mojej woli nic ci się nie stanie. Ja jestem twój władca. Stwórca prawdziwy...

Staruszek bronił się z uporem, co w końcu rozzłościło Dyjaka. Ponownie zatkał butelkę i wcisnął na stare miejsce do rozepchanej kieszeni.

– No, spadaj, dziadek. Nie chcesz, to nie... Ty bezsensowny wymyśle – szturchnął starego ze złością. Powstał z ławki i kopnął kosz na śmieci. Blaszone pudło zadudniło, wywracając się i rozsiewając odpadki. Starzec kulił się na ławce, nie usiłując nawet wzywać pomocy. Był mały i zasuszony.

– Ty! – pogroził mu Dyjak i odwrócił się. Nitką Alej sunął korowód widmowych samochodów.

– Za szybko chodzisz, Fredziu i wyobraźnia nie nadaża z wytwarzaniem tych skorupki – podsumował sytuację Dyjak; świat znów odwrócił się doń stroną nie przeznaczoną do oglądania. Skierował się w stronę staruszka, który zdołał powstać i zamierzał odejść.

– No, nie tak szybko, dziadek – powiedział i wyrwał mu z ręki laskę. – Będziesz wolniej chodził, żeby się nie poślizgnąć – zachichotał i kilkakrotnie z całej siły uderzył laską w drzewo, żeby ją złamać. Nie udało się, gdyż zrobiono ją z twardego i sprężystego drewna. Obszedł więc drzewo i z drugiej strony wrzucił laskę w pusty obszar. Powoli, nie całkiem w zgodzie z grawitacją, laska opadała w szarą, mglistą nicość. Przypatrywał się jej majestatycznemu lotowi jak urzeczony.

– Fizyka. He... he... – zarechotał – atomy se wymyśliłem. – Bez sensu. A fizyczka tłoczy to w głowy tych biednych głupoli. Albo to przelewanie ze szklanki do szklanki – chemia... Ciężkie bzdury. Substancja. A naprawdę to skorupki. Moje myśli obleczone w powierzchnię. Pofałdowana, kolorowa folia... Tylko po to, żebyśmy żył w ciekawej scenerii.

Znudził się filozoficznymi rozważaniami, więc znów przytrzymał się do starego, który stał obok ławki i bezradnie kiwał się na boki. Dyjak podszedł do niego, złapał za ramiona i ponownie posadził na ławce.

– Masz szczęście, dziadek, bo istniejesz ze wszystkich stron. Dziękuj mi za to, swojemu stwórcy.

Przycisnął starego do ławki.

– Teraz siedź tu grzecznie i obserwuj kreatora, jak sobie chodzi.

– Będę obserwował kreaturę, jak chodzi – powiedział cicho staruszek.

Dyjak pogroził mu palcem.

– Ty, dziadek, uważaj, bo ja jestem nie z takich. I rozumiem twoje aluzje. Wrzucę cię w drzewo i po zabawie. Odfruniesz, jak twoja laska.

– Ja i tak stoję nad drewnianą trumną. Drzewem mnie nie przestraszysz. Chuliganie jakiś!

Dyjak przyjrzał mu się z uwagą. Urażona godność starego człowieka? Też coś!

– Dobra, dobra – machnął ręką. – Teraz zajmę się kobietami. Co mi tam jakiś strupiesz... Ciepła, miękka baba, nie z ekranu – to jest coś.

Poszedł przez trawnik ku przystankowi autobusu. Lekko zataczał się. Bariereka z łańcucha zachowywała się dość niesfornie, w końcu przelazł przez nią. Przez jezdnię kroczył z rękoma wyciągniętymi do przodu jak ślepiec. Był przekonany, że zdumiewające, nienormalne samochody jadące ciągłą strugą nie mogą mu zrobić nic złego, lecz pamiętał ból zderzenia z tramwajem i nieco obawiał się tych wklęsłych kształtów.

Skierował się ku tłumowi na przystanku. Znowu się zatoczył. Wino działało.

Przecież wsiadali do 164 – pomyślał, widząc tych samych ludzi, których wcześniej mijał. – No, ale są przecież w mej władzy... widać chciałem, żeby zostali. Tłum na chodniku stał nieruchomo. W oczy wpadła mu najładniejsza na przystanku wysoka blondynka, którą poprzednio potrącił. Skierował się ku niej. Szedł równo i starał się zająć ją od tyłu. Tymczasem ona i jej towarzysz przypatrywali mu się uważnie.

– Zaraz zobaczymy, z której strony nie istniejesz, słodkie wymyślátko...
– mruknął pod nosem Dyjak.

Dziewczyna istniała jedynie z przodu i obu boków, zaś wewnątrz była pusta. Dyjak wsadził jej rękę do środka i wyciągnął z obrzydzeniem. W miejscu piersi, dziewczyna miała niewielkie poduszeczki z miękkiej i żółtawej masy, która przykleiła mu się do dłoni. Nagle poczuł, jak czyjaś ręka chwyta go za kołnierz. Gwałtowne pchnięcie rzuciło nim o mur. Mężczyzna stojący obok dziewczyny z pewnością istniał z każdej strony, a mur też był aż nadto realny. Dyjak upadł źle: uderzył łokciem w mur, a potem stłuczonym kolanem o bruk. Skulił się od gwałtownego bólu, ściskając prawą, rozbitą rękę.

– Co za cholerna menda przypieprzyła się do ciebie – powiedział mężczyzna, oglądając nie istniejące plecy dziewczyny. – Zupełnie wybrudził ci kurtkę tą wybloconą łapą. Jak chcesz, to go jeszcze kopnę w dupę. Takie gównno, a taki agresywny.

Pierwsze podejście do kobiet zakończyło się niepowodzeniem. Dyjak zbierał się z wysiłkiem, przyciskając do piersi bolącą rękę, przygotowany do ucieczki w razie, gdyby tamten ponowił atak. Oni jednak już się nim nie interesowali. Mężczyzna wykonywał dziwne ruchy chusteczką, czyszcząc z błota nie istniejące plecy dziewczyny. Dyjak szedł wzdłuż muru, oddalając się od przystanku co tchu. Od strony muru widział, który spośród przechodniów jest wydrażony, który nieco zmętniony, a kto istnieje i od tej strony. Gdyby wracał wzdłuż tej samej linii jak przed godziną, a nie przemykał pod murem, to wszyscy ci ludzie mieliby normalny wygląd. Byli stworzeni tak, aby wyglądać normalnie jedynie od strony poprzedniej drogi Dyjaka.

Mam oszczędną naturę – pomyślał – a chodzę za szybko. Nie nadążający za sobą stwórcy – uśmiechnął się.

Zaraz potem obejrzał się z obawą, ale odetchnął, widząc, że tamten nie zamierza go ścigać, tylko zajmuje się swoją wydrażoną znajomą.

Ależ ja jestem skomplikowany... – pomyślał z sarkazmem, ściskając bolący łokieć. – Całkiem porozbijałem się o ten mój kochany świat. Cholerny intelekt, cholerna podświadomość. Gdybym był prymityw, to i świat byłby prostszy. Bez takich...

VI

Rozmyślania przerwała kolejna wizja. Potężniała jak brudna, spieniona woda, nie wróżąc nic dobrego. Znów to samo znajome stworzenie. Niewiele się zmieniło: wystawione do góry, duże, talerzowate anteny; smukłe, lecz silne, podzielone wieloma stawami odnóży; brunatny, podłużny, nieco pomarszczony korpus. Skończyło już rozkopywać brunatny pagórek i wzrok Dyjaka spoczął na trzymanym przez stworzenie obłym przedmiocie, dziwnie przykrym i podświadomie znajomym. Zaraz potem ukazały się spróchniałe nadkruszone oczodoły, otwór na nozdrza, pojedyncze zęby trzymające się jeszcze w górnej szczęce. Dyjak nieraz widział czaszkę ludzką, choćby w gabinecie biologicznym z nieodłącznie narysowanym przez uczniów krzyżem lub gwiazdą na czole i zakiepowanym papierosem pomiędzy szczękami. Ta jednak przyciągała wzrok z nieodpartą siłą. Dyjak patrzył i łzy cisnęły mu się pod powieki. Zrozumienie przyszło samo jakby z wnętrza mózgu: to była jego czaszka, jego własna. Nikt mu tego nie powiedział, ale był tego pewien. I to było nie do zniesienia.

– Nie! Nie chcę! – krzyknął i wizja prysła wraz z jego krzykiem. Myśli nadlatywały natłokiem nie do wytrzymania.

– Ja nie żyję! Więc to tak jest... To namiastka świata, jaka mi została. Dlatego ludźmi nie władam. To jasne. – Ukląkł na bruku, skręcony jak embrion i ścisnął skronie. – Teraz wiem: ten dziadek to był mój nauczyciel. On uczył mnie robót ręcznych... Pamiętam go. On już nie może żyć. Już wtedy był bardzo stary. Widziałem ducha... Aaa! – krzyknął przerażony.

– Te nazwy minione, ten dawny sklepik, cała ta mieszanina detali z różnych lat...

– Więc jak? To inni też są duchami? Ten facet, co mi przyłożył... On też tu trafił. A inni? Ci puści? – wkradła się wątpliwość. – Może dostali karę za to, jak żyli. A ta dziewczyna, za co?... Sam nie wiem.

Od jego strony samochody wyglądały zwyczajnie. Podniósł się. Nie wypadło tarzać się po bruku.

– No jasne – pomyślał – to dlatego trzymało mnie, żebym szedł wytyczoną trasą, żeby wszystko wyglądało normalnie. Żebym nic nie zauważył. Miałem wsiąść do tramwaju. To jest moja kara: widzę drugą stronę rzeczy znanych. Ale za co? Po szarym, bezbarwnym życiu... taka sama wieczność. Szara i bezbarwna. A jak się wychylę, to kara na raty. Jak regał na raty.

Dyjak przypomniał sobie o butelce. Wiernie tkwiła w kieszeni. Pociągnął dwa potężne łyki, do dna. Z całej siły rzucił pustą butelkę w szybę sklepu spożywczego, w którym przed godziną kupił wino. Odbiła się od szkła jak od ściany i poszybowała na jezdnię.

– Dlaczego ta szyba nie trzasnęła?! – krzyknął przez łyki. – Przecież powinna! Żadna szyba nie wytrzyma takiego uderzenia. Też jakiś substytut szkła. Nędzne piekło cholерnej mendy... małego gówna. Po zasranym życiu i piekło z zastępczych materiałów. Za co? Nie chcę tak.

Postanowił wrócić do sklepu i wziąć inną butelkę. Ta myśl uspokajała, choć dalej analizował swoje życie, by odkryć, za co trafił właśnie tu.

– Przecież nie biłem uczniów. Tylko raz jeden uderzyłem tego z ósmej ce. To za to? Tylko za to?

W sklepie kilka kupujących kobiet obrzuciło go wzrokiem, w którym mieszały się niechęć i obawa. Wyglądał mało atrakcyjnie, ubłocony i pokrwawiony po tyłu upadkach i starciach. Wino Regał czekało na ladzie.

Kobiety rozstępowały się w milczeniu. Sprzedawczyni też nic nie mówiła. Dyjak wcisnął rękę do kieszeni spodni w poszukiwaniu pieniędzy, ale zaraz wyjął z powrotem: przecież płacenie nie miało sensu.

– Za co tu siedzisz, siostrze? – zwrócił się do sprzedawczyni, która ignorowała go milczeniem.

– A wy co? Tak mnie wpuszczacie do kolejki? Pieprzone skorupki... Może jakiś tekścik, że się wpycham na chama?

Kobiety milczały, tłoczyły się jak kury na grzędzie, jakby starając się zejść mu z pola widzenia.

– Cholerna dekoracja! Jesteście tylko cholerną dekoracją mojego własnego piekła, a nie ludźmi! – krzyknął. – Istniejecie tylko z jednej strony.

Pięścią strącił rząderek różnych słoiczków z aromatami i przyprawami.

– Nie wiecie nawet, co mówić, bo się wasze istnienie skończyło, jak wyszedłem z tego sklepu przed godziną. Kukły cholerne!

Wziął butelkę z lady i skierował się ku wyjściu. Nie zamierzał płacić.

– Pani Stasiu, proszę zadzwonić na milicję. Ten typ może się wrócić – usłyszał przyciszoną uwagę.

Wzruszył ramionami. Wetknął butelkę w kieszeń kurtki, wyszedł ze sklepu i skręcił w prawo. Po niecałych dwudziestu metrach mocne uderzenie głową w barierę uświadomiło mu, że w tym kierunku świat kończy się boleśnie blisko sklepu. Obiema rękami oparł się o niewidzialną przegrodę i zaczął płakać. Siąpił drobny, listopadowy deszczyk.

I wtedy obraz ulicy i domów za barierą zaczął się zmieniać. Domy obniżały się i zapadały. Wkrótce ulica przypominała już tylko niewyraźne pagórki czy zerodowane ruiny. Widział je w poprzednich wizjach. Tylko niebo stało się inne, pogodne, może wiosenne. Widok ten nie trwał długo. Dyjak nadal płakał.

– Rozumiem Cię – powiedział, spoglądając w niebo – to miał być taki przerywnik, chwila wytchnienia. Ukazałeś mi na chwilę piekło przeznaczone dla kogoś innego. Żebym pomyślał, że gdzie indziej, w innych pieklach może być jeszcze gorzej... bo tylko ruiny.

To znaczy, że śmierć jest taka właśnie? – zapytał sam siebie. – Niby normalnie żyjesz, robisz to, co zwykle, nagle wpadasz pod tramwaj i otaczający świat pokazuje ci się jako kupa nonsensownych dekoracji. Po śmierci przeżywasz jeszcze raz to samo co wcześniej, ale z innego punktu widzenia?... A tam stoi dwóch przechodniów, dwóch milicjantów, kioskarka spogląda z okienka i razem obserwują leżące pod wagonem zmasakrowane zwłoki Alfreda Dyjaka?... A ten sam Alfred Dyjak trafia do piekła, które polega na uwięzieniu w namiastce resztki świata z ostatnich minut życia?

VII

Refleksja przyszła natychmiast: przecież na barierę natknął się przed nieszczęsnym wypadkiem. Nędzną naturę świata–atrapy też ujrzał wcześniej. To kiosk i dziewczyna z dwoma podbródkami, a nie tramwaj i targowisko skorupki były na początku. Więc z tym piekłem to nie tak... Coś tu się nie kleiło, gdzieś tkwił błąd logiczny. Jeśli nie było to piekło, powinno być gdzieś wyjście poza barierę.

Intuicyjnie przeczuwał, że bariery blokują wszystkie ulice, że granica otacza mniej lub bardziej ściśle ulicę Śląską, potem sklep spożywczy na rogu Śląskiej i Alej, krótki odcinek Alej do skrzyżowania z Prądnicką, przystanek tramwajowy, nieco ulicy Długiej, aż poza odejście Helclów i cały otoczony dwiema nitkami Długiej i Alejami trójkątny bazar na Kleparzu. Nazwy ulic myliły się jak słabo wyuczona lekcja. Jak na klatkę, to całkiem sporo, jak na świat, to cholerna klatka. Trójkątna klatka z frędzlami odchodzących ulic. Bez wyjścia. Bez ucieczki.

Nagle zrozumiał: mogło być wyjście z pułapki. Szara otchłań – tam, gdzie nie działa grawitacja! Ruszył ku swojej szansie. Kolejny raz przekroczył Aleje – znów czekając, aż w przejeżdżającej gromadzie samochodów pojawi się luka, aby uniknąć zderzenia nawet z takim widmowym, połowicznym kształtem, zwłaszcza od strony, od której ten jednak istniał.

Stał przed kioskiem, który miał jedynie dwie ściany. Niestety, w jego wnętrzu nie było już otchłani, lecz chodnik, równy i poprawny.

– Świeżo załatane! – parsknął. Pozostawał jeszcze tamten pierwszy kiosk przy przystanku tramwajowym, gdzie po raz pierwszy odkrył naturę

przedmiotów—atrap. Musiał wrócić przez plac Kleparski, tym razem od wklęsłej strony fantomów kupujących i straganiarzy.

Jego marsz napotkał nieoczekiwany, silny opór. Powróciła opaska uciskająca boleśnie mózg.

Jeśli Ty tego nie chcesz, to może właśnie tamten kiosk jest moją szansą!?... – pomyślał udręczony Dyjak. Pokonywał kolejne metry jakby wbrew wiejącemu wichrowi. Miał w sobie dość siły, aby roztrącać atrapy stoisk i stojących ludzi. Nie zważał na ich krzyki. Widział już kiosk i krzątającą się wewnątrz kobietę. Siąpiący kapuśniaczek rozmywał sylwetkę narysowaną kredą na jezdni i ciemną kałużę.

Obejrzał to uważnie.

– To taka zmyłka, prawda? – powiedział spoglądając w niebo. – Dodałeś to, jak dodałeś bruk wewnątrz tamtego kiosku, bo koniecznie chcesz, bym uwierzył w swą śmierć?

I wtedy ustał opór wewnętrzny i ustał ból głowy. Walka była skończona.

– Znowu wszystko zniszczyłeś, Alfredzie! Chwilami ogarnia mnie wątpliwość, czy mi się uda – rozległ się głos dochodzący zewsząd jakby z megafonów rozstawionych na placu; jakby mówiły płyty chodnika, stragany, drzewa, jakby mówiły szare chmury listopadowe.

– Kim ty jesteś? – powiedział Dyjak rozglądając się wokoło.

– Jestem twoim powiernikiem. Powierzyłem sobie – to chyba będzie właściwy zwrot w twoim języku – powierzyłem sobie wszystkie twoje myśli. Jesteś... istniejesz we mnie.

Dyjak rozglądał się niepewnie, stojąc na opustoszałej jezdni obok narysowanej kredą swojej sylwetki.

– Nie szukaj mnie, nie mieszczę się w twoim świecie. Zdawałeś sobie sprawę z mojego istnienia, nazywając mnie podświadomością. Wiesz, to wtedy, gdy zgadywałeś rozwiązania bez liczenia; gdy trafiałeś rzucanym

kamykiem bez celowania; gdy nie traciłeś równowagi idąc kompletnie zamysłony.

– Bez sensu – mruknął Dyjak. – Odbija mi od wody – odruchowo sięgnął po butelkę, ale opuścił rękę.

– Nie przypuściłbyś, że podświadomość może być rośliną, żywą sondą międzygwiazdną? – ciągnął niewzruszenie głos. – Wytworzoną przez rasę, która może nie istnieć od dawna. Ja wędrowałem jako ziarno; jako niewiele więcej niż niezbędna informacja. Obudziło mnie do życia światło Słońca. Ujrzałeś mój rozwój i działanie. Zostałem twą planetą martwą; zastałem morze zerodowanych ruin i ani jednego organizmu żywego. Odnalazłem twoją czaszkę, zdołałem odtworzyć fragment twojej osobowości, trochę przeżyć, wspomnień... Próbowałem wyjaśnić jak, ale ty zauważyłeś tylko butelki na okładce.

Dyjak obracał się w kółko, nie rozumiejąc.

– Uczyniłem tobą część mojego mózgu – głos ciągnął dalej. – Istniejesz we mnie, a dzięki tobie istnieją ta dziewczyna w niebieskiej kurtce, mężczyzna z białą teczką, ta inna dziewczyna z dwoma podbródkami i staruszek, i policjanci.

Błysk zrozumienia był nagły, jak uderzenie pałki.

– Pieprzę! – wrzasnął Dyjak. – Ja nie chcę! Więc moje życie to program? Prawda?... Zwykły program komputera? Takiego pieprzonego „Meritum” z klawiszami naciskanymi spoconymi paluchami ucznia, co przed chwilą dłubał nimi w nosie? Po cholere to zrobiłeś? Nie chcę!

Pod Dyjakiem zmiękły kolana i uklęknął na mokrej jezdni. Pozycja embriona pomagała mu.

– Alfredzie, nie mogłem inaczej. Celem mojego istnienia jest poznanie. Mam zrozumieć przyczyny waszego wyginięcia. A ty masz mi w tym

pomóc. Dotąd wiem, że koniec waszego świata nastąpił wtedy, gdy tramwaj wiozący ciebie dojechał prawie do odejścia ulicy Helclów od Długiej...

– Jaki tramwaj? Przecież szedłem pieszo... bzdura!

– Bo nie wsiadłeś, tym razem – powiedział niepewnie Powiernik – przez to zmusiłeś mnie do ryzykownej ekstrapolacji otoczenia. To, w czym się obracasz, jest konglomeratem wspomnień z różnych lat. Tyle pamiętałeś. W tym mieście nie mieszkałeś od dawna. W kluczowym dniu przebywałeś tam przypadkiem, nie byłeś już wtedy nauczycielem... Nie chciałeś pamiętać późniejszego okresu życia.

– Wyrzucili mnie za pijaństwo, co? – zgadywał Dyjak.

– Starąłem się oszczędzić ci szoku, ale nie dałeś mi szansy – głos Powiernika wprawiał w drganie powietrze ulicy.

– Dlatego te błędy, anachronizmy? – zapytał Dyjak. – Ale i ja częściowo odgadłem prawdę – kontynuował. – To, że nie żyję, i to, że ten świat jest moją własnością!

Powiernik milczał.

– Zaraz, ale przecież mnie i tak nie ma! Tylko przebieg prądu w obwodzie. To tylko ciąg zer i jedynek w pamięci komputera.

– Alfredzie, każdy z nas to ciąg impulsów jego mózgu... ja też.

– Nie! To tylko ja! Tylko ja wiem to na pewno – urwał Dyjak. – Dla ciebie... dla innych to przypuszczenie, jedna z hipotez. Ja nawet nie dowiem się, ile we mnie pozostało z prawdziwego Alfreda Dyjaka. Okrutnie mnie okaleczyłeś, Powierniku.

– Dałem ci niemal nieśmiertelność, Alfredzie.

– Dałeś substytut nieśmiertelności substytutowi człowieka. Pozbawiłeś mnie nieśmiertelności, cholerny substytucie Boga!

– Dlaczego wszystko to nazywasz substytutami?

– Może masz trochę racji – odpowiedział po namyśle Dyjak. – Ciebie nie odróżnię od Boga: stworzyłeś mnie i władasz mną. Ale... ale nie dałeś mi, no, duszy, jeśli coś takiego istnieje.

– Duszę? – Powiernik szukał chwilę odpowiedniego pojęcia w pamięci.

– No, nie mogę jej mieć jako obiekt programu.

– Wiesz, wyodrębniłem cię z siebie – odpowiedział po namyśle Powiernik. – To tak jak urodzić. Albo może jak przy rozdwojeniu jaźni.

– Jednak jestem tylko ciągiem liczb. Czy duszę można zastąpić ciągiem liczb?

Powiernik znów namyślał się.

– A jeśli ten ciąg jest niezwykle długi? – odpowiedział pytaniem. – W liczbach jest wszystko... I spontaniczność. I decyzja. I myśl. Ja tak rozumiem duszę.

– Nie wierzę ci. Czuję się obcy. Jestem tu obcy. To nie moje miasto, takie mroczne. Płatanina nieznanymi mi ulic... Mylą mi się ich nazwy. To tak, jakby mnie tego wyuczono. Nieznane szczegóły sprzed lat. To wszystko jest mi tak obce. To miasto Alfreda Dyjaka, nie moje – umilkł.

Znowu milczenie.

– Proszę cię, pozwól mi odejść tam, gdzie odeszli inni ludzie!

– Czy wierzysz, że odejdiesz tam, gdzie i oni?

– Nie wiem, ale czuję się jednym z nich. Chcę sprawdzić, czy jestem człowiekiem, to znaczy, czy byłem człowiekiem. Nie chcę istnieć jako namiastka. Nie jestem w stanie ci pomóc, nie pamiętam żadnej katastrofy... Pozwól mi odejść za nimi – poprosił ciszej.

– Na to masz zawsze czas – zauważył Powiernik.

– Hm – mruknął Dyjak. – Niby racja – dodał po namyśle. – Powierniku, czy tylko mnie odtworzyłeś?

– No wiesz, znalazłem sporo czaszek. Ale po odtworzeniu okazało się, że większość z tych ludzi nie nadawała się do nawiązania kontaktu. Dla nich do końca pozostałem podświadomością. Inni oszaleli zanim ich program dobiegł końca nie mogąc wytrzymać prawdy.

– Czy jeśli ze mną ci nie wyjdzie, to odtworzysz kogoś innego?

Powiernik chwilę milczał.

– Mam jeszcze kilka niezłych czaszek – odpowiedział.

– To dlaczego nie dasz mi spokoju? Zaczynaj z nimi.

– Niewykluczone, że kiedyś tak zrobię. Chociaż obecnie myślę, że raczej nie... Ty rokujesz zbyt dobrze.

– Zawrzyjmy umowę: umieść tych wszystkich ludzi w moim świecie. Tych normalnych – no, odtworzonych – ludzi. Pomogę ci dogadać się z nimi jako taki pośrednik. Może ktoś z nich będzie coś pamiętał.

– Nie, nigdy tego nie zrobię – odpowiedział po namyśle Powiernik. – Przekroczyłyby to pojemność mojej pamięci. To nie jest możliwe.

– Więc aż po wieczność mam pozostać sam? Otoczony tylko moimi wymysłami? – głos Dyjaka stwardniał.

Nie było odpowiedzi.

– Powierniku! Powiedziałaś, że działasz, aby poznać prawdę.

– Tak.

– Co zrobisz, gdy ci nie uda się z żadną ze znalezionych czaszek? To znaczy, jeśli nie dowiesz się niczego? Czy zabierzesz się wtedy w przestrzeń? Na inną planetę? Wskrzeszać innych?

– Nie jestem już zdolny do lotu. Pozostanę tu na zawsze. Będę szukać innych czaszek.

– A inne, cholerne globy? Pogodzisz się z brakiem wiedzy o nich?

– Wyślę w przestrzeń swoje nasiona. Swoje kopie.

– A jak powiadomisz swoich twórców o swoich odkryciach?

– To pytanie jest źle postawione. Ja gromadzę wiedzę. To jest moim celem. Mówiłem ci o tym.

– On jest stuknięty – powiedział do siebie Dyjak. – To nie ma sensu: ten sen o świecie wygenerowany przez szalonego boga; podświadomość, która jest zepsutym komputerem; ta samotność... To za dużo – podjął decyzję. Wiedział, co zrobić.

Rzeczywistość mieszała się i łamała. Chwilami otaczało go morze ruin, wśród których stało to dziwne stworzenie – Powiernik, niosące w swoich pischelowatych ramionach czaszkę Dyjaka. Chwilami Dyjak znów klęczał na jezdni ulicy Długiej. Domyślił się, że są to skutki przeładowania pamięci Powiernika, która musiała być bliska zatkania. Gdy „Meritum” się zablokowało, należało je wyłączyć i programy były przerywane. To dawało szansę pokonania Powiernika: zakończenia programu, śmierci Dyjaka. Pamięć Powiernika była ograniczona, świadczyło o tym oszczędne otoczenie – istniejące tylko od strony, którą Dyjak powinien ujrzeć. Zatem wystarczyło tak rozbudować otoczenie, aby zajęło całą pamięć, i tym samym zmusić go do przerwania programu. Rozwiązaniem była szara otchłań wewnątrz kiosku.

– Nie rób tego! Nie jestem w stanie rozszerzać twojego świata bez końca! – zawołał Powiernik, potwierdzając trafność myśli Dyjaka. – Nie niszczy siebie!

Dyjak w kilku susach dobiegł do kiosku. Był wydrążony jak poprzednio: wewnątrz nadal szara czeluść. Nie zdołał zakleić – pomyślał. Złożył się do skoku i runął jak pływak na główkę w szarą mgłę wewnątrz. Zapadając się z rozpostartymi ramionami w nicość, usłyszał głos Powiernika: – Nie myśl, że wygrałeś, Alfredzie. To była głupota. Po co? I tak wkrótce musiałbym sam przerwać realizację. Po prostu ten ostatni dzień twojego życia trwałby nieco dłużej. Nie ustane w moich próbach. A ty dostaniesz w prezencie

kolejny, ostatni dzień życia. Stworzę dla ciebie tyle światów, ile dni upłynie, zanim Słońce, które mnie zasila, nie wypali się do reszty. Stopniowo poprawię błędy i niedokładności, które popełniłem tym razem. Ja jestem cierpliwy. W końcu się porozumiemy, a wtedy naprawdę stanę się twoim absolutnym powiernikiem, Alfredzie.

VIII

Alfred Dyjak, jak co dzień, wracał pośpiesznym krokiem z pracy do domu. Mijając skrzyżowanie Śląskiej z Lubelską gwałtownie zatrzymał się, gdyż przed nosem przejechał mu żółty, mały fiat.

Wariat! – pomyślał Dyjak. Przepuścił jeszcze mikrobus policyjny i poszedł dalej. Po chwili jednak jego myśli skierowały się ku pracy w szkole. Przypomniawszy sobie, że uczniowie wyprosili dzisiaj, żeby nie robił klasówki.

Jak im się to udało? – pomyślał o nich z uznaniem. – Nigdy nie zgadzam się na coś takiego. Może to i dobrze: nie będę musiał tego poprawiać.

Był zmęczony i pomyślał, że mógłby na wieczór kupić butelkę wina. Zaczął się bawić, stawiając stopy na umyślane miejsca na płytach chodnika, mokrych po drobnym i chłodnym deszczu listopadowym.

KARA WIĘKSZA

I

Rud starał się leżeć bez ruchu, chociaż ból od dawna nie był ostry ani przeszywający, lecz zmienił się w pulsujące gorąco, tylko czasami odzywając się tępym echem stalowego przedmiotu wbitego w ciało. Domyślał się, że pozostawili niektóre ze swoich narzędzi w rozrytych ranach. Podnieść się nie mógł; mocne, skórzane obręcze nadal trzymały jego dłonie, stopy i szyję. Starał się leżeć nieruchomo, gdyż prześcieradło przylepiło się do powstałych strupów, a każdy gwałtowniejszy ruch ponownie otwierał rany; budził ostry ból przypominający poprzednią serię męczarni.

Leżał biernie, oczekując na kolejne przesłuchanie. Obecnie było dobrze, bo nie bili. Jedynie pozostawiona lampa, nieznośnie błyskała wprost w oczy. Z jej powodu Rud miał zapuchnięte i piekące powieki; każde spojrzenie okupywał różnym bólem i łzawieniem. Nie mógł stale trzymać oczu zamkniętych, gdyż po kolejnych przesłuchaniach, przed podpisywaniem, zawsze zmuszali go do czytania tasiemcowych protokołów. Zaciskał powieki, aby choć trochę ochronić oczy. Bał się, że w końcu oślepie, i podejrzewał, że oni tego chcą. Kolejne błyski o sile flesza fotograficznego uwidaczały się przez zaciśnięte powieki jako nagłe rozczernienia lub, te szczególnie silne, jako rozbielenia ciemności. Powieki piekły, zwłaszcza gdy je kurczowo mrużył, ale wołał już to niż oślepiające uderzenia światła.

Leżał, myśląc, że wołałby nie istnieć: każde poruszenie było bólem. Pulsowanie pokaleczonej tkanki świadczyło o desperackich wysiłkach organizmu zmagającego się z uszkodzeniami i zniszczeniami. Niemal czuł,

jak siły organizmu walczą z licznymi zakażeniami i krwotokami, jak życie stara się wrócić do zniszczonej tkanki. Nie próbował nawet odgadnąć skali obrażeń. Wiedział, że mu zerwali paznokcie, bo to widział. Był przekonany, że strzaskali mu szczękę; domyślał się, że wybili mu wiele zębów, gdyż pamiętał, jak nimi pluł. Całe ciało musiało być jedną raną i Rud bał się wiedzy o tym, jak wygląda.

Najbardziej bał się powrotu wykonawców. Każdym nerwem starał się wyłować najłżejsze odgłosy, wibrowanie podłoża świadczące o tym, że znów nadchodzą. Wiedział, że podlega procedurze zwykłej i musi przejść przez wszystkie jej stopnie. Śledczy używali przy nim tego określenia kilkakrotnie.

Dawniej przychodzili regularnie. Rud wykręcał szyję, aby zobaczyć tarczę dużego, ściennego zegara elektrycznego. Dzięki temu wiedział, kiedy wróca. Dawało to czas na wytchnienie. Zorientowali się i zaczęli przychodzić o różnych porach – a może po prostu zmienił się rozkład ich zajęć. Obecnie i tak nie miało to znaczenia; kiedyś w czasie przesłuchania krew chlupnęła aż na zegar, a sprzątaczką zmywająca szlauchem pokój przetarła tarczę zbyt mokrą szmatą. Mechanizm przestał działać, widocznie nieco wody dostało się do środka i zrobiło się spięcie. Zegar zdjęli do wymiany, a na ścianie pozostało jaśniejsze kółko z dwoma nierówno wywierconymi otworami pod podtrzymujące haki. Między nimi zwiisał ze ściany przewód elektryczny.

Błyski lampy następowały teraz w równych odstępach. Zawsze oznaczało to, że ktoś już nadchodzi korytarzem. Ogarnął go zwierzęcy strach. Ciało napięło się, aby zerwać więzy i uniknąć męczarni. Wkrótce usłyszał kroki na korytarzu. Zgrzyt klucza w nie naoliwionym zamku spowodował reakcję fizjologiczną – W Rud zlał się pod siebie. Towarzyszył temu straszny ból zmasakrowanych i popalonych genitaliów.

Kroki nadchodzącego dźwięczały pod czaszką Ruda jak uderzenia młotem w kowadło. Napiął się kurczowo w oczekiwaniu pierwszego ciosu. Pragnął przyznać się do wszystkiego – chciał wykrzyknąć swoją gotowość, ale spuchnięte wargi nie chciały się poruszyć, a roztrzaskana szczęka odpowiedziała ostrym bólem na jego wysiłki.

– Śmierdzi jak skunks. Nalane jak w chlewie – usłyszał czyjś głos! – Trzeba posłać raport na Blicynę. Obija się ta cholerna baba.

Rud chciał zaprotestować, że to nie jej wina, tylko jego słabości, ale słowom nie udało się pokonać bariery zmiążdżonych warg. Jedynie z za zapuchłych powiek wyciekło kilka łez, ale i one tylko zwilżyły oczy i żadna nie ściekła po twarzy. Wiedział, że sprzątaczką Blicyna będzie się złośliwie mścić za ten raport. Będzie szczególnie długo zlewać jego umęczone ciało piekącym płynem dezynfekcyjnym, nastawiając sikawkę na maksymalny strumień, aby ten rozrywał i wysalał rany. Będzie też, niby przypadkiem, potraćać leżącego Ruda, wiedząc, że sprawia mu tym nieoczekiwany ból. Będzie, niby niechcący, zawadzać szmatą o jego pogruchotane palce albo stukać końcem miotły w poparzoną papierosami skórę.

Gdy nie było na nią karnego raportu od śledczego, Blicyna znęcała się mniej, pracowała niedbale, śpiesząc się do swoich spraw. Raport był zawsze, gdy Ruder zdefekował pod siebie; więc raport powtarzał się periodycznie, gdyż Rud nie schodził ze stołu do przesłuchań. Mimo to wizyty Blicyny Rud przyjmował z ulgą, gdyż oznaczały, że przesłuchanie zostało zakończone. Gdy na dodatek nie znęcała się nad nim szczególnie, Rud był bliski szczęścia. Najwspanialszą chwilą było, gdy przykrywała jego zmasakrowane ciało prześcieradłem.

Lampa przestała regularnie błyskać i pod powiekami zapanowała ciemność. Spróbował otworzyć oczy, ale powieki sklejone były ropą. Przez

złamany nos, pełny zaschłych skrzepów, dotarł do Ruda zapach ordynarnego tytoniu.

– Milenkowicz, nie śpijcie! Obudźcie się! – ktoś szarpnął prześcieradło, zrywając jednocześnie dziesiątki strupów. Rud tylko głucho stęknął, choć pod czaszką ból eksplodował przeraźliwym błyskiem. Ktoś zdarł prześcieradło do reszty. Rud konwulsyjnie targnął się w więzach.

– No, już dobrze – usłyszał. Głos brzmiał jakoś inaczej niż zwykle szczenięcia wykonawców czy natarczywe pytania śledczych. Nie niósł ze sobą groźby. Rud płakał. W każdej chwili oczekiwał czegoś gorszego. Łzy wreszcie przelały się ponad zapuchłymi powiekami i ściekły po skroniach.

– Aha, przecież wy nie możecie otworzyć oczu. Czemu sami nie powiecie, Milenkowicz?... – znów ten sam, nieco ospały głos.

Ależ chcę, chcę, powiedziałbym... – pragnął wykrzyczeć Rud, a serce samo wyrywało się do gorliwej współpracy ze śledczym.

– Poczekajcie no – dorzucił tamten, podszedł do oszklonej szafy z lekarstwami i nabrał jakichś kropli.

Rud poczuł przejmujący ból, jakby tamten wbił mu w oko śrubokręt i obracał nim w kółko. Przeszło. Mógł już otworzyć oczy.

Ujrzał nad sobą brutalną, jakby stężałą twarz śledczego Neuheufela. Neuheufel był sam. Wykonawców z nim nie było. Neuheufel uczestniczył w niemal wszystkich przesłuchaniach, chociaż nie wyróżniał się szczególnie. Raz tylko, rozwścieczony, wsadził Rudowi ołówek do lewego ucha, przebijając błonę bębenkową. Czasami, rzadko, przypalał mu papierosem skórę między palcami.

Uderzyła zmiana w wyglądzie śledczego: w miejsce płomienistego pentagramu miał na czapce pentagram błękitny. Czapka miała również błękitny otok, a nie krwawy; wyłogi munduru wyglądały podobnie.

– Jesteście w Niebie, Milenkowicz. Kara większa dobiegła końca. Załatwiłem dla was skrócenie kary o dwie sesje – powiedział Neuheufel, jednocześnie rozluźniając pasy krępujące Ruda.

– Wstańcie. Zaprowadzę was do medycznego – Neuheufel pomagał podnieść się Rudowi, który syczał, gdy palce śledczego odziane w gumowe rękawiczki zgniatały zaschłe rany na ramionach. Każdy ruch był bólem, bezruch też. Rud nie mógł usiedzieć na odbitych, gnijących pośladkach, ale nie mógł tego powiedzieć Neuheufelowi, który zyczliwie, lecz stanowczo przytrzymał go w siedzącej pozycji.

Neuheufel wepchnął mu zapalonego papierosa między nabrzmiałe, rozpulchnione wargi.

– Sztachnijcie się – powiedział. – Dacie radę iść?

Dym szarpał obolałe gardło. Usta piekły nieznośnie. Podrażniona tutką papierosa nie zgojona warga pękła i strużka krwi ściekła Rudowi na brodę. Zaczął krztusić się i kaszleć. Każde kaszlnięcie wywoływało paroksyzmy bólu odbitych kiszek.

– No, Milenkowicz, weźcie się w kupę... – mruknął niezadowolony Neuheufel. – Taki młody facet jak wy... i taka galareta.

Rud zbyt słabo widział przez zapuchnięte oczy, aby ocenić swój obecny wygląd. Zauważył jedynie, że złamana w czasie jednego z przesłuchań prawa goleń zrosła się krzywo. Ciało miał w strupach i nie mógł rozróżnić ran.

Neuheufel pomógł mu powstać. Rud nie miał zdrętwiałych kończyn. Może było to zasługą różnych chemikaliów, które mu wstrzykiwali do żył po każdym przesłuchaniu. Stał krzywo, prawa noga była krótsza; starał się nie opierać na zgruchotanych palcach ani odbitych piętach. Pozostawały tylko zewnętrzne skraje stóp.

Neuheufel narzucił na Ruda szarą, więzienną koszulę bez rękawów. Widocznie regulamin zabraniał prowadzić korytarzem nagiego więźnia. Koszula miała na plecach wielki, płomienisty pentagram i dziesięciocyfrowy numer porządkowy. Rud nie pamiętał swojego numeru.

– Pójdziecie za mną. Tylko nie zróbcie mi wstydu i nie posrajcie się po drodze, Milenkowicz – powiedział Neuheufel. Otworzył drzwi pokoju przesłuchań i ruszył korytarzem.

Sycząc z bólu i utykając na potrzaskanych stopach, Rud pokuśtykał za nim. Przed oczyma migwały mu wyglansowane oficerki Neuheufela. Nie mógł nadążyć za sprężystym krokiem śledczego.

– Coś wam się nie spieszy, Milenkowicz. Widać, niepotrzebnie starałam się o podarowanie wam tych ostatnich sesji. Wcale nie macie ochoty ruszyć dupy z pokoju przesłuchań – burknął Neuheufel przez ramię.

Nie mogąc zaprzeczyć, Rud zaczął płakać. Posądzenie o niewdzięczność zabolowało go jak zapałka wepchnięta za paznokieć.

– Nie... nie... ja po prostu nie mogę szybciej – wybąkał pierwsze słowa.

Zatrzymali się przy windzie. Neuheufel z namaszczeniem nacisnął duży, niebieski guzik.

– Jedziecie na samą górę, Milenkowicz. Czy naprawdę was to nie cieszy? – zarechotał Neuheufel i lekko klepnął go w plecy. Rud głucho jęknął. Plecy były jedną rozrytą i zaropiałą raną.

II

Komisja lekarska już czekała na Ruda. Umundurowana pielęgniarka ustawiła go na środku pokoju, na niewielkim podeście naprzeciwko dużego lustra. Z lewej stał stół nakryty zielonym płótnem. Na stole stała archaiczna maszyna do pisania; na talerzyku leżały pączki; obok stały szklanki z zaparzoną kawą. Zielone sukno było obficie posypane cukrem pudrem od pączków. Komisja składała się z czterech lekarek. Wszystkie były w furażerkach i białych kitlach włożonych na mundury. Zauważył, że wszystkie mają na czapkach błękitne pentagramy, żadna nie nosiła płomienistego znaczka. Odetchnął z ulgą.

Lekarki były czerstwe, rumiane, w nieokreślonym wieku, mocno umalowane. Jedna z nich, pełniąca funkcję maszynistki, poprawiała sobie manicure jaskrawoczerwonym lakierem. Ostry zapach acetonu mieszał się z zapachem kawy i ordynarnych perfum. Widok tyłu kobiet, tryskających zdrowiem i natarczywą seksualnością oszołomił Ruda. W pokoju przesłuchań już dawno stracił rachubę czasu. Teraz wydawało mu się, że od niepamiętnych czasów nie widział kobiety.

Druga z lekarek, chyba najpiękniejsza, ogniście ruda, z rumieńcami silnie zaznaczonymi różem i wiśniowo-czerwonymi ustami, przyglądała się Rudowi z widocznym zainteresowaniem. Trzecia, siedząca obok rozpięta mundur i kitel niemal do pasa, ciągle poprawiała i przesuwała dłonią piersi. Co chwilę pomiędzy jej ręką i tkaniną ukazywały się fragmenty gładkiej skóry. Nie zwracając uwagi na Ruda, rozmawiała z sąsiadką o pielęgnacji piersi i ich jędrności. Wreszcie wyciągnęła jedną jeszcze bardziej i niby zasłaniając się przed Rudem, pokazywała koleżance brodawkę, chwając się

idealnie kolistym kształtem i kolorem aureoli, co podobno było efektem długich masaży i maści sporządzonych według specjalnego przepisu. Rudowi kręciło się w głowie z wrażenia. Anielice... – myślał z zachwytem...

Czwarta lekarka wysłuchiwała opowieści koleżanki o piersiach, gryząc świeżutkiego pączka posypanego cukrem pudrem i cicho siorbiąc, popijała kawę ze szklanki.

– No, wreszcie przysłali nam z dołu kogoś sensownego – powiedziała wiśniousta, biorąc teczkę z aktami – bo zwykle to zasuszone dziady, napuchłe grubasy albo embriony. Ho, ho, ho – okazała zdumienie, przeglądając akta – ale był z niego kobieciarz... Tyle kobiet... – zamilkła, wczytawszy się w dokumentację. – Hm... – mruknęła i z zainteresowaniem przyjrzała się Rudowi. Leciutki, zmysłowy uśmiezek dodawał wdzięku jej nieco agresywnej urodzie.

– Nazywacie się Rudolf Milenkowicz? – zapytała po chwili znaczącego milczenia.

– Ruder nie Rudolf – sprostował. – Ojciec był emigrantem.

– Niech będzie. Rozbierajcie się – zakomenderowała. Zanim zaskoczony Rud zdołał zareagować, strażniczki zdarły z niego więzienną koszulę. W lustrze przed sobą z przerażeniem ujrzał swoje zrujnowane ciało. Makabrycznie nabrzmiałą twarz ze szparkami oczu w sinych, napuchniętych oczodołach. Złamany nos, wargi rozdęte i zniekształcone. Potwornie wychudzone kończyny pokryte zaschlą krwią, potem i brudem; otwarte rany i pokracznie, krzywo zrosniętą prawą nogę. Zwisające, strzępy uszu...

Dopiero po chwili, jakby czekając, aż Rud zdąży się dokładnie obejrzeć, lekarki gruchnęły śmiechem.

– Przecież mężczyzna ma w tym miejscu co innego, a nie takie strzępy – wypaliła ta, co piłowała paznokcie, a inne wybuchły głośnym śmiechem.

– Czy to w ogóle jeszcze jest mężczyzna? Jest gorszy niż jakiś dziad albo zawałowiec! – rechotały jedna przez drugą. – Ale nędza fizyczna! – zarumienione i ożywione, lekarki przekrzykiwały się, kipiąc płciową kobiecością..

– Zobaczmy, co się z tego da zrobić – stwierdziła najpiękniejsza i podeszła do Ruda.

– No, nasi chłopcy zdrowo nad nim popracowali – powiedziała, trącając ołówkiem resztki genitaliów Ruda. – Porozrywane i popalone strzępy; teraz zupełnie zakażone, zropiało – powiedziała. – Zaprotokołować: nadaje się do całkowitego usunięcia.

– Podłączali mi elektrody... szarpali haczykami... – wybąkał głucho Rud.

– Zgadza, się. Dlatego skóra jest zwęglona – odpowiedziała. – Nic się nie martw. Założymy ci fajną rurkę. Będziesz sikać bez bólu.

Serce Ruda szarpnęło się jak uwięziony ptak.

– Czujesz coś? – zapytała, dla odmiany zagłębiając ołówek w obszernej, gnijącej ranie, sięgającej od obojczyka do barku. Musiała go głęboko wcisnąć, zanim Rud syknął z bólu. Długo zastanawiała się nad jego nogą, w końcu stwierdziła, że kość gnije i nogę trzeba obciąć pod kolanem.

Powolny stuk archaicznej maszyny pieczętował wyrok nad nieszczęsnym ciałem Ruda. Protokolantka myliła się, klęła i narzekała, że pisanie niszczy jej lakier na paznokciach.

Lekarka dłużej zastanawiała się nad jego twarzą.

– Małżowiny chyba usuniemy do reszty, bo niewiele z nich zostało... – zawahała się. – Nos też by się przydało...

Widocznie zrobiło się jej żal Ruda, gdyż dodała: – Ciężka sprawa z tobą... Jest bardzo mało zdrowej skóry do uzupełnień.

– Bili mnie, aż skóra pękała – powiedział. – Polewali kwasem pod pachami...

– Przestańcie skomleć, Milenkowicz – rzuciła twardo, a jej piękna twarz nieoczekiwanie stwardniała w wyrazie widywanym u Neuheufła. – To jest zwykła procedura przesłuchań. Bez powodu tam nie trafiliście.

Zaraz jednak znowu zmieniła ton.

– Mogę zrobić małżowiny uszne, ale wtedy nie starczy na rurkę do sikania... – powiedziała bardziej życzliwie. – Zrobię ci dziurkę jak dziewczynie, ale będziesz musiał sikać na siedząco.

– Może zrobić z niego dziewczynę – zachichotała ta, co bawiła się piersią. – Zrobimy mu dziurkę do sikania i piersi wypchane gąbką. Wtedy starczy skóry, żeby mu odstawić buziaka na cacy.

– Nie... nie możecie... nie zgadzam się – gwałtownie zaprotestował Rud.

– Jeśli się nie zgodzicie na operację, to w ogóle nie będziemy was leczyć, Milenkowicz – powiedziała twardo najpiękniejsza. – Wolna droga! Z gnijącymi genitaliami i gnijącą raną na barku niedługo pociągniecie. Najwyżej dziesięć dni. Już się wywiązuje ogólne zakażenie.

Rud skulił się.

– Wasza zgoda na wszelkie zabiegi operacyjne i amputacje jest warunkiem rozpoczęcia leczenia. Macie absolutną wolność wyboru. Proszę bardzo, wybierajcie – prychnęła.

Chwilę odczekała na jego odpowiedź. Rud ścierpł ze strachu.

– No – powiedziała z wyraźnym triumfem. – Nie zrobimy z niego kobiety. W papierach pisze, że to mężczyzna, to ma być mężczyzna. Musi się zgadzać.

– Można mu uciąć nogę ponad kolanem, to będzie z tego trochę skóry na naprawę twarzy – podsunęła jedząca pączki.

– Szkoda stawu – myślała na głos piękna lekarka. – Chyba nie jest zniszczony. Będzie łatwiej zamontować protezę.

– Chyba nie ma na składzie krótkich protez – nie ustępowała jedząca pączki, oblizując słodki puder z warg – tylko te długie, na pełny wymiar.

– Przecież protezę dopasowuje się do nogi, do kikuta, a nie odwrotnie – ośmielił się powiedzieć Rud.

– Nie wtrącajcie się, Milenkowicz – warknęła bawiąca się pierśią i jak rewolwer wycelowała w niego okazałą brodawkę – i tak wyglądacie jak ostatnia ruina. Dwadzieścia centymetrów krótszy kikut nie zrobi wam różnicy. Ładnie by wyglądało, gdyby nasz przemysł musiał robić każdemu protezę indywidualnie. Nigdy byście sobie nie kupili takiej indywidualnej protezy, tyle by to musiało kosztować. Czy wy w ogóle słyszeliście o taśmowej produkcji?

Rud przestał wtrącać się do dyskusji nad swoim ciałem. Nie protestował, był przecież w Niebie.

III

Przed, operacją, dla zaleczenia otwartych ran umieszczono go w szpitalu. Pokryty gęstym żelem, który wywoływał nieznośne swędzenie skóry, Rud szaleńczo podskakiwał i miotał się po zastawionej piętrowymi łózkami, zatłoczonej sali. Rozwścieczało to innych chorych. Niektórzy z nich, ci z górnych łóżek, oblewali go herbatą albo resztkami zupy. Jeden z nich poparzył Rudowi skórę na głowie gorącym mlekiem. Do reszty wyszły mu wtedy włosy. Inni chorzy, którzy lepiej pamiętali, co sami przeszli, zachowywali się życzliwiej. Na ogół byli to słabi, zmęczeni życiem, pomarszczeni starcy, którzy obawiali się kulejącego wprawdzie, ale silniejszego fizycznie Ruda.

Przygotowanie do operacji obejmowało także codzienne płukanie żołądka, od którego aż skręcały się wnętrzności, oraz codzienną lewatywę.

– Pewnie chcą ci rozwalić ten mięsień okrężny, co się nie zrasta... – komentował epileptyk Tony. – Wtedy zrobią ci sztuczną dupę na brzuchu. Żebyś stale śmierdział gównem. Tak robią każdemu... A tobie przez przypadek zapomnieli rozwalić dupę podczas przesłuchań. Włączali ci kompresor do dupy?

– Nie.

– A widzisz. To nawet flaki rozrywa.

Pokryte starczymi wykwitami, o gruzłowatych, reumatycznych stawach, dłonie Tony’ego trzęsły się bezradnie próbując zwinąć skręta. Cenny, drobny jak kurz tytoń rozsypywał się na podłogę. Rud próbował mu pomóc swoimi zgruchotanymi, usztywnionymi palcami. Na trzech z nich znowu kielkowały paznokcie. Rud obserwował nowe uszy Tony’ego wstawione w

miejsce rozerwanych podczas przesłuchań. Były niekształtne, pozbawione charakterystycznych wgłębień i wypukłości; rosły na nich siwe włosy. Widocznie wzięto na nie skórę z przedramion. To były jedyne włosy na głowie Tony'ego. Czaszkę miał łysą i błyszczącą.

– Te salowe i pielęgniarki są takie szorstkie i brutalne w obejściu – zauważył Rud.

– To jest zwykła rutyna – powiedział Tony. – Też rutynowo na oddziale męskim pracują wyłącznie lekarki, a na kobiecym wyłącznie lekarze mężczyźni. To samo z pielęgniarkami, pielęgniarzami i resztą personelu.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z chorymi z oddziału kobiecego. Rud miał tak zdumiony wyraz twarzy, że Tony dodał: – Przed operacją nie wolno się z kobietami kontaktować. Po operacji będzie ci wolno. Nawet w Niebie trzeba rozsądnie dozować wolność: stopniowo, żeby rozum nie pomieszał się od nadmiaru szczęścia.

IV

Rany powierzchowne goiły się, pomimo, a może właśnie dlatego, że były często otwierane przez pielęgniarki, które zawsze zmieniały opatrunki, gwałtownie zrywając przyschniętą gazę. Wycinały też martwą tkankę z ran, kilkakrotnie przez przypadek odcinając kawałki żywej skóry. Było to tym bardziej przykre dla Ruda, że nie chciał tracić, nawet żałosnych, resztek swoich genitaliów.

Szaleńczo bał się operacji. Z przerażeniem obserwował, jak na karcie chorobowej zygzakowaty wykres codziennej temperatury nieuchronnie dąży na spotkanie pionowej, fioletowej kreski oznaczającej planowany termin.

Bał się tych chwil, w których ktoś inny będzie decydował o jego ciele, a on sam nie będzie miał na to wpływu. Bał się, żeby dla kawału nie zrobiły z niego kobiety. Oglądał swoją prawą nogę, starając się zgadnąć, w którym miejscu postanowiły ją obciąć. Noga nie bolała. Skóra na niej ładnie się goiła. Jedyne podudzie miało cudaczny, zgięty kształt od krzywo zrosniętej kości. Pomimo to mógł chodzić, chociaż mocno utykał. Bał się, że poobcinają mu znieruchomiłe palce. Przeglądając się w po – pstrzonym przez muchy lusterku wiszącym nad urny walką, starał się wyobrazić siebie, jak będzie wyglądał z dziurą zamiast nosa. Obecnie miał nos, wprawdzie w większości pokryty ropiejącą raną i z nozdrzami zwisającymi w strzępach, ale zawsze.

V

Z operacji przywieźli Ruda zabandażowanego od stóp do głów. Dodatkowo, jego głowę osłonięte specjalnym parawanikiem, aby nie mógł obejrzyć reszty ciała.

Przez pierwsze godziny czuł się koszmarnie, po eterze wymiotował, na co strasznym bólem odpowiadała pocięta i pozszywana tkanka. Ból sprawiał każdy ruch, każda próba chrząknięcia.

Chorzy snuli się po sali i zaglądali do niego. Gdy tylko Rud mógł już mówić, poprosił, aby Galahar, który się właśnie nad nim nachylał, sprawdził, dokąd obcięli mu prawą nogę. Stary Galahar laską odchylił kołdrę.

– Wygląda jakbyś był w całości, z dwiema nogami. Zabandażowali cię od stóp do czubka głowy, tylko oczy widać, gębę i dziurki w nosie. Ale widzisz... jak komu utną nogę, to protezę też starannie bandażują, żeby nie było widać. To jest taka etyka lekarska, żeby nie niepokoić chorego. Spróbuj poruszyć tą nogą..

Rud nie był w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą; mógł tylko przetaczać głowę z lewa na prawo i to w ograniczonym zakresie.

– Mogę cię uderzyć laską po palcach, może poczujesz ból – zaproponował Galahar.

– Na nic to się nie zda – włączył się Tony, który od pewnego czasu przysłuchiwał się rozmowie. – Nie odróżni tego bólu. Obcięta kończyna boli jakby była i jakby wszystko w niej bolało, mimo że jej nie ma. Mogli mu poobcinać obie ręce i obie nogi, a w ten sposób tego nie sprawdzi.

– Aaa! – szarpnął się ze strachu Rud i zaraz głucho jęknął, płacąc bólem za gwałtowność tego ruchu.

– To co mi pozostaje? – wydusił z siebie, gdy stłumił płacz, a ból zmniejszył się do zwykłego nasilenia.

– Niepewność – rzucił Toni.

Wkrótce parawan usunięto. Odtąd rozstawiano go wokół głowy Ruda tylko, gdy zmieniano opatrunki lub zdejmowano szwy. Podkreślano, że jest to robione specjalnie, aby go bez potrzeby nie martwić. Leżąc bezwładnie, bezskutecznie próbował dociec, co zrobili i co robią z jego ciałem. Jediną wskazówką był ból nasilający się w coraz to innych miejscach ciała w miarę przeprowadzanych zabiegów. Zabiegi wykonywała zawsze któraś z lekarek, które badały go wcześniej. Pamiętał doskonale każdą z nich; choć nie wiedział, jak się nazywają, z wyjątkiem tej rudej, najpiękniejszej z nich, na którą chorzy mówili Panfilowa. Lekarki, zmieniając opatrunki, często żartowały z Ruda. Ta, która kiedyś bawiła się piersią, stwierdziła, że odstawiły Ruda na całkiem ładną dziewczynę z bardzo kuszącym biustem, tak że ona sama mu zazdrości. Narzekała tylko, że biodra zrobiły mu za wąskie; ale go podtuczą i wtedy nieco tłuszczu przeniosą z brzucha na uda i pośladki, to będzie lepiej wyglądał. Mówiła to wszystko pół żartem, pół serio i Rud nie potrafił wywnioskować, jak jest naprawdę. Bał się nadal, choć powoli obojętniał. Strach nie poparty bólem wyradza się w przyzwyczajenie.

Kiedyś nawet odważył się spytać Panfilowa, jak wysoko obcięli mu nogę..

Spojrzała na niego badawczo.

– Zdziwisz się, jak zobaczysz – powiedziała i mocno poklepała go po policzku.

Innym razem odwiedził go Neuheufel. Rud drżał na jego widok. Nie potrafił tego powstrzymać. Neuheufel kazał mu odpowiadać na dziesiątki pytań tasiemcowej ankiety. Siedział na brzegu łóżka i wypełniał arkusz za arkuszem, paląc papierosa za papierosem. Rud nie znosił zapachu tytoniu. Po wizycie Neuheufela wymiotował.

Bez końca nie mogli go trzymać zabandażowanego i skrępowanego; kiedyś niepewność musiała się wyjaśnić. Wszystkie bandaże zdjęto za jednym razem i też od razu pozwolono mu chodzić. Rud najpierw nieufnie obejrzał swoje ciało, następnie poprosił o lustro. Nie było źle, było daleko lepiej niż oczekiwał.

Nogi mu nie obcięli. Była prosta i równej długości z lewą. Jedyne różowymi ściegami zaznaczały się świeże blizny. Rurka do sikania też nie wyglądała zupełnie źle: była podobna do tego, co zastępowała. Co ważniejsze, mógł sikać bez silnego bólu. Nos odrobili Rudowi dość zgrabnie. Wyglądał jak miękki nos boksera, ale dało się wytrzymać. Uszy też były, choć brzydkie, źle ukształtowane, za duże. Na ramieniu pozostała dziura, ale prawie wygojona. Na ciele miał cały szereg czerwonych, świeżych blizn i rozległe płyty bibułkowatej, różowej skóry świeżo narosłej w miejscach wcześniej poparzonych albo w miejscach, skąd wzięto skórę do przeszczepów kosmetycznych. W szczególności, pod pachami miał taki różowy pergamin zamiast skóry. Dostał więc specjalny puder do częstego posypywania, żeby uniknąć odparzeń i ran. Palce zginały się, jedynie niektóre nieco słabiej. Większość paznokci wzięła się do kiełkowania.

– Dlaczego? Dlaczego musiałem żyć w niepewności? – spytał Panfiłową, naciągając po kolejnym badaniu szarą, szpitalną pidżamę z błękitnym pentagramem i numerem porządkowym na plecach.

– Przejście od kary musi być stopniowe, aby było bezpieczne dla psychiki – odpowiedziała – a poza tym nie chcemy budzić w pacjentach

złudnych nadziei. Operacja może się nie udać... Dlatego wstępne badanie podaje rezultaty w przypadku najmniej pomyślnym. Musimy przecież uniknąć rozczarowania pacjenta. Co powiedzielibyście, gdybym wam obiecała, że nogę da się uratować, a obudzilibyście się bez nogi?

Rud nie odpowiedział. Panfiłowa wrzucała niepotrzebne bandaże do kubła. Pracowała sama, na popołudniowej zmianie nie było zbyt wiele pielęgniarek. Sprawiała wrażenie bardzo znużonej. Nie miała makijażu, jej twarz wyglądała przez to blado, choć młodziej. Zaznaczały się delikatne zmarszczki wokół oczu. Była to zupełnie inna Panfiłowa niż zwykle, choć równie, a może nawet bardziej piękna niż zwykle. Chciał zapytać, czy nie jest chora, ale pomyślał, że może to być kac, i nie odważył się.

– A teraz co będzie ze mną?

– To, co z każdym – wzruszyła ramionami. – Przeniosą was do ośrodka przystosowania. Musicie się odbudować wewnątrz. Naprawa następuje stopniowo. To jest ta sama reguła co przy operacjach.

VI

Ośrodek przystosowania zajmował rozległy obszar otoczony szarymi wzgórzami z jednej, a rachitycznym laskiem z drugiej strony. Szaroniebieskie niebo, widziane po raz pierwszy od niepamiętnego czasu, zapierało dech.

Na ośrodek składały się stojące rzędami baraki, wzniesione z przegniłego, szerniałego drewna. Baraki pooddzielane były uliczkami wydeptanymi w gliniastej glebie. W suche dni pokrywał je kurz, w czas deszczu zamieniały się w śliskie błoto. Dalej była fabryczka, w której pracowali przyjezdni; wychodząca zza wzgórz bocznic kolejowa, którą przybywali, i szereg budynków gospodarczych. Od strony lasku była zona, budki strażników i ogrodzenie. Przystosowanie do Nieba winno być stopniowe, toteż w trosce o zdrowie psychiczne lokatorów przejściowo ograniczano ich wolność. Jednym z budynków gospodarczych było niewielkie krematorium, w którym palono zużyte opatrunki, wydzieliny oraz amputowaną tkankę – wszystko, co składa się na odpadki szpitalne. W bezwietrzne dni gęsty dym snuł się po ulicach i drapał w gardło. W szpitalu leczono tych, których – podobnie jak Ruda – przywiozła winda z dołu. Niektórzy żartowali, że w krematorium pali się tymi, którzy nie zdołali przystosować się do Nieba; ale nie była to prawda.

Barak, w którym zamieszkał Rud, nie wyróżniał się niczym: Idący środkiem mroczny korytarz z wiszącymi na przewodach, popstrzonymi żarówkami, wokół których krążyły z bzykiem muchy. Korytarz wypełniał zatechły smród butwiejącego, rozgrzanego, wilgotnego drewna. Po bokach korytarza znajdowały się dwa szeregi spaczonych drzwi wiodących do

kolejnych sal. W przypadku jeśli wszyscy wychodzili, drzwi należało zamykać na kłódkę. Wówczas starszy sali – zwykle najstarszy wiekiem, zniedołężniały starzec – brał klucz ze sobą. Było to niewygodne.

Na końcu korytarza znajdował się wychodek. Dwie kabiny. W każdej deska z dziurą, pod spodem szambo i natrętne, tłuste muchy z niebieskimi brzuchami. W instrukcji pisali, żeby przed zasięgnięciem dokładnie spryskać deskę, także od spodu, mocnym środkiem owadobójczym, gdyż pod deską lubiły się czaić jadowite pająki. Podobno było kilka wypadków ukąszenia i napuchłe ofiary trzeba było hospitalizować. Zwykle jednak pojemnika z aerozolem brakowało na półeczce z nieheblowanej deski. Wypadały tylko dwie ubikacje na barak i co rano zbierała się przed nimi długa, cuchnąca kolejka. Cuchnęli ci, co nie potrafili utrzymać stolca. Wszyscy tłoczyli się, nie zwracając uwagi na smród, gdyż wprawdzie każda sala miała umywalkę, ale sikanie do umywalk było surowo wzbronione, pod groźbą uzupełnienia kary większej, co odstraszało wystarczająco.

Umywalnie umieszczono na zewnątrz, przy ścianie baraku – długie, blaszane koryto z rzędem kranów. Rano, gdy wszyscy myli się przed wyjściem do pracy i wszystkie krany były w użyciu, ciśnienie wody spadało w kolejnych kranach w miarę zbliżania się do końca rury. Najsilniejsi, z reguły, grupowali się przy kranach, z których najlepiej ciekło.

Prysznic był również na zewnątrz: jedna kabina osłonięta parawanem z blachy, zasłaniającym od ramion do łydek. Z prysznicza korzystali rzadko, gdyż woda była lodowato zimna, podobnie zresztą jak woda w umywalkach: Od zimnej wody drętwiały i czerwieniały dłonie. Obowiązkowo należało myć je dwa razy dziennie, a kąpać się co drugi dzień. Za brudne dłonie, stopy lub uszy groziło pozbawienie przydziału papierosów lub masy czekoladopodobnej. Dlatego wszyscy myli się i kąpali zgodnie z regulaminem. Nikt nie kąpał się częściej.

Połowę baraku, tę dalej od wychodka, zajmowali nienarodzeni Rud nie lubił nienarodzonych. Sądził, że uważają się za lepszych od innych. Nawet w baraku zajmowali tę część, gdzie mniej śmierdziało.

– Pierwszy raz napotkał nienarodzonego na trawniku przed barakiem. Rud spodziewał się, że napotka kogoś maleńkiego, filigranową istotkę. Tymczasem, nienarodzony był spory – wielkości normalnego noworodka, brzydki i jakiś taki przezroczytawo – wodnisty. Później Rud dowiedział się, że czasami bywają nawet ośmiomiesięczni nienarodzeni.

Przyjrzał się mu. Zauważył delikatną, jakby zbyt miękką skórę, słabo zarysowane paznokcie i bezrzęse oczy o wielkich, szarobłękitnych tęczęwkach; niemal przezroczyste, delikatne małżowiny uszne i nozdrza. Nienarodzony wpatrywał się w Ruda nieoczekiwanie mocnym, natarczywym, hipnotyzującym wzrokiem. Rud spuścił oczy – trudno wytrzymać wzrok nienarodzonego. Obaj mieli na sobie szare, płócienne kurtki i także spodnie. Obaj mieli na plecach błękitne pentagramy i swoje numery generalne. Kurtki były w tym samym fasonie, dość proste w formie, ale praktyczne. Tropy nienarodzonego były miniaturową kopią obozowych tropów Ruda. Zdrowe, przewiewne, na drewnianych podszwach.

Ale maleńkie stopki – pomyślał zdumiony Rud. – Spadaj, zmyj mi się z drogi – załomotało pod czaszką Ruda. Nienarodzeni nie mają całkowicie wykształconych ośrodków mowy i porozumiewają się taką dziwną, bezpośrednią metodą. Rud posłusznie odsunął się ze ścieżki. Nienarodzony podreptał drobnymi kroczkami, cicho klapiąc drewnianymi obcasami.

Na sali, oprócz Ruda, byli sami starcy. Z niektórymi trudno było się dogadać. Drewniane prycze nie były piętrowe, gdyż żaden ze starców nie potrafiłby wdrapać się po drewnianej drabince.

Połową sali, tymi, którzy spali na pryczach od strony okna, opiekował się śledczy Neuheufel. Był ich kuratorem i opiekunem. Pozostałymi zajmował się nadporucznik Holzbucher, który bardzo rzadko zaglądał do baraku. Neuheufel wyciągnął z dołu wszystkich swoich podopiecznych przed upływem terminu kary więziennej. Przynajmniej oni tak twierdzili, i on także. Czasami Neuheufel przynosił dla nich z kantyny pasztetową albo salceson. Przyniesione skarby, owinięte w przemoczony papier pakunkowy, wyjmował z kieszeni munduru i kładł na stole, który jeden z podopiecznych zdążył już usłuźnie przetrzeć rękawem. Oni wszyscy stawali wtedy wokół stołu i z nabożeństwem wpatrywali się w jego dłonie rozwijające przyniesiony skarb. Podopieczni Holzbuchera skręcali się z zazdrości i ze swoich prycz przypatrywali się obrzędowi podziału. Neuheufel dzielił wędlinę według wkładu w pracę i resocjalizację. Ci, którzy zgodnie z jego decyzją nie zasłużyli, zgaszeni odchodzili od stołu. Pozostali rozkoszowali się poczęstunkiem. Neuheufel z reguły wyróżniał Ruda. Przy podziale porcja salcesonu dla niego była najokazalsza.

– Wkurza mnie to stare próchno – zwierzył się kiedyś Neuheufel – ale co zrobić, teraz tylko takich przysyłają. Co jakiś czas po tamtej stronie robią akcję i wtedy stamtąd przychodzą całe tłumy. Kobiety, dzieci, starzy, młodzi. Jakich zamarzy. Odrobić się nie można, tyle tego.

– Ale ja lubię robotę – popatrzył badawczo na Ruda. – Lepsze to niż taki bezruch jak obecnie... Chociaż może znowu się coś ruszy. Na razie przychodzą stare dziady. Rzadko się zdarzy ktoś młody, z wypadku, jak wy, Milenkowicz.

Rud dowiedział się, że trafił tu w wyniku wypadku.

VII

Rzucona od niechcenia uwaga Neuheufela kiełkowała w czasie bezsennych godzin. Przy najbliższej okazji Rud wrócił do tej rozmowy. Zapytał wprost, dlaczego trafił na karę większą.

– Ja też się dziwię – stwierdził Neuheufel, kolorując kredką wykresy do sprawozdania. – Trzeba być niezłym skurwielem, żeby dostać karę większą. Wy na takiego skurwiela nie wyglądacie, Milenkowicz.

Rud oczekiwał innej odpowiedzi, oczekiwał wyjaśnienia. Wiele dni bezskutecznie szperał w pamięci. Niemal bezskutecznie. Właściwie tylko jedna sprawa wracała we wspomnieniach.

Twarz Neuheufela wykrzywiała się w dziwnym wyrazie, jakby nabrzmiwała, tak łapczywie oczekiwał na słowa Ruda. Temu zaś wydawało się, że Neuheufel stara się mu pomóc, jakby natężeniem swej woli pomaga mu wyłowić z pamięci właściwą przyczynę.

– Właściwie była jedna taka sprawa. Chodziło o dziewczynę – zaczął niepewnie Rud, lecz w miarę mówienia coraz składniej wiązał słowa. – Pracowała przy kasie w domu towarowym. Taka drobna, szczupła, zgrabna, niepozorna, tylko twarz miała piękną.

– Reszta była brzydka? – wtrącił śledczy.

– No nie, ale twarz miała niezwykłą. Na twarzy wszystko było ładne: brwi, rzęsy, rumieniec dokładnie taki jak brzoskwinia i też taki delikatny meszek na policzkach. Może trochę zbyt wystający nos. Oczy miała badawcze, wyraziste, zielononiebieskie. Nigdy nie zapomnę jej oczu. Do tego jasne włosy. Świetny zestaw. Potem dopiero wyszło, że włosy tlenione.

Ale to tak bardzo nie przeszkadzało... Zawsze ten rumieniec... usta też niepotrzebnie malowała.

Neuheufel cierpliwie słuchał.

– I takie śmiesznie zaznaczone, maleńkie bicepsiki i ciemne włosy na przedramionach. Tych włosów bardzo się wstydziła i gdy zrobiło się ciepiej, to je zgoliła. Wtedy jej odrosły jeszcze gęstsze – Rud mówił do swoich myśli.

– Zacząłem stale chodzić do tego sklepu – kontynuował – a potem to już poszło samo. Już gdy pierwszy raz do niej zagadałem, byłem pewny wyniku. Kilka razy złapałem jej spojrzenie, a spojrzenie potrafi powiedzieć niemal wszystko. Takie badawcze spojrzenie niebieskozielonych oczu. Czasem woda ma taki kolor.

Neuheufel głośno siorbnął kawę z półlitrowego, metalowego garnka. Następnie splunął fusem.

– Nie widzę tu powodów, żeby skazali na karę większą – stwierdził z niewinną miną, jeśli twarz Neuheufela w ogóle była w stanie przybrać wyraz niewinności.

– No, bo... – zająknął się Rud, czerwieniąc się – potem było to, co zwykle.

– Co zwykle? – nieubłaganie podchwycił Neuheufel.

– No, wiadomo... Nawet mieszkaliśmy razem. Potem musiałem wyjechać, bo zacząłem studia – wykrztusił Rud.

Neuheufel uważnie wpatrywał się w twarz Ruda, a jego twarz powoli zaczynała składać się do znajomego uśmiechu.

– I ona była w ciąży. Nawet przyjechała za mną. Tam, gdzie studiowałem. Ale ja już interesowałem się inną – Rud męczył zdanie za zdaniem.

– Urodziła?.

– Chyba nie. To znaczy na pewno nie – Rud był spocony z wysiłku. Wyznanie nie przyniosło mu żadnej ulgi.

– Przejrzę wasze akta, Milenkowicz. Zobaczy się, co się da z tym zrobić – ton Neuheufela był oficjalny. – Jak ona się nazywała?

– Dianna. Dianna Felden. Taka dziwna pisownia imienia. Neuheufel pokiwał głową i odwrócił się do okna. Nie chciał, aby Rud ujrzał, że śmieje się do swoich myśli.

VIII

Do sali Ruda przybył Tony, wiekowy epileptyk o błyszczącej łysinie pokrytej dziesiątkami rudych piegów i drżących rękach pokrytych plamami i kalafiorowatymi naroślami. Rud poznał go jeszcze w szpitalu.

W miarę rekonwalescencji Ruda, czas spędzany na ćwiczeniach rehabilitacyjnych ulegał skróceniu. Rud nienawidził tych obowiązkowych męczarni, kiedy najpierw musiał moczyć ręce, nogi lub moczyć się cały w gorącym roztworze soli, a następnie muskularne, szorstkie masażystki wyłamywały jego zastępe stawy, aby przywrócić im sprawność. Nie znosił ich ironicznych komentarzy. Podobno robił zaskakująco duże postępy, choć sam uważał inaczej. Blizny zbladły, a papierowa, różowa skóra stała się grubsza, bielsza i mniej drażliwa.

Ponieważ Rud miał obecnie nieco więcej czasu, Neuheufel zaproponował mu pracę. Zapewniała dodatkowe kupony na papierosy i nieco lepsze jedzenie. Rud nie palił, ale za papierosy można było dostać niemal wszystko, stanowiły powszechny towar wymienny.

Dostał pracę na boczniczy kolejowej, przy wyładunku przybywających z tamtej strony nowych lokatorów. Stara, parowa lokomotywa, sapiąc z wysiłku, pchała na bocznicę kilka wagonów bydłowych. Z kabiny wychylała się umorusana twarz kolejarza w wojskowej czapce z płomienistym pentagramem. Transportem z tamtej strony zajmowali się funkcjonariusze pracujący zwykle na dole.

Drużyna Ruda miała za zadanie rozładować transport. Przodownik, nosił czapkę z błękitnym pentagramem oraz czarną, policyjną pałkę, ale nigdy tej pałki nie używał, ponieważ wszyscy pracowali z ochotą. Pracy było mniej

niż chętnych. Od dłuższego czasu transporty przychodziły rzadko i były stosunkowo nieliczne. Dawniej zdarzały się okresy, że bocznicą była zatłoczona wagonami, drużyny pracowały w dzień i w nocy, a i tak nie mogli nadążyć z rozładunkiem. Wtedy przyjeżdżało bardzo wielu młodych mężczyzn w transportach, a w ostatnim okresie szczególnego nasilenia dostaw – nie tylko młodych mężczyzn. Pałki przodowników bywały wtedy w użyciu, chociaż za dniówkę płacono wówczas znacznie więcej niż obecnie, a za noc była dodatkowa stawka.

Drobny, śniadoskóry Jose wspominał te czasy. Palił mocnego skręta. Miał niski numer, niemal o połowę niższy niż Rud. Jose był kiedyś buntownikiem czy partyzantem. Nie pamiętał dokładnie albo nie chciał powiedzieć.

– Szli całymi gromadami, w pasiastych piżamach – wspominał Jose. – Jeden taki, chudy jak wieszak, o zapadłych, ale aż gorejących oczach, zatrzymał się, wlepił we mnie te swoje gały i mówi: Tam była bocznicą kolejowa i tu też jest bocznicą kolejowa”. Potem wciągnął nosem powietrze, nie?, i wzdycha: „Eli, Eli, i dym tak samo śmierdzi. Czy to, bracie, nie ironia?” Nie zrozumiałem tego. I poszedł, taki zgarbiony z wystającymi łopatkami. Nie mogę go zapomnieć. Potem go nie spotkałem, chociaż chciałem pogadać z facetem – Jose poruszył płaskimi, smoliście czarnymi wąsikami, wyssał resztki dymu i zdeptał peta.

Gdy odplombowano wagony, okazało się, że w środku stoją rzędami spore kadzie ze szczelnie dopasowanymi, zabezpieczonymi pokrywami. Każda z kadzi miała dwie ręczki do przenoszenia. Gdy przenoszono kadzie z wagonów i ustawiano po dwie na wózkach akumulatorowych, wewnątrz kadzi chlupotała woda. Praca była męcząca, kadzie ciężkie, a dzień wyjątkowo upalny. Rud był zlany potem. Pracował z Josem, który wprawdzie niewysoki, był jednak silnym mężczyzną. Znacznie gorzej było

starcom, którzy sapali i jęczeli z wysiłku. Ale pokusa przydziału papierosów była zbyt silna, więc przodownik nie musiał wymachiwać pałką.

Przodownik Eckhardt był wysokim mężczyzną o mięśniach kulturysty i twarzy aktora grywającego w westernach. Przechadzał się wolnym krokiem wśród pracujących. Czasem pomagał, gdy kadź niesiona niezdarnymi rękami przechylała się niebezpiecznie.

Ten transport nie dawał Rudowi spokoju. Przecież mieli być ludzie, a przyszły wielkie kubły z wodą. W nocy, gdy zmęczone mięśnie przyjemnie mrowiły, zasypiając, miał przed oczyma szeregi szarych, numerowanych kadzi.

Następnego dnia miał wolne. Neuheufel siedział przy biurku i przygotowywał kolejne sprawozdanie. Rud przepisywał dla niego długie tabele z rzędami liczb. Popijał czarną kawę z cykorii słodzoną sacharyną. Neuheufel popijał prawdziwą kawę słodzoną cukrem. Rud spytał go o tajemnicze pojemniki.

– To nienarodzeni – skrzywił się niechętnie Neuheufel. – Zawsze tak przychodzą. Wylewają ich kubłami do kibli, to i do nas przychodzą w kubłach. Osobno ręce, nogi, głowy... Rozumiesz?... Te łyżeczki chirurgiczne rozwalają takiego na kawałki. Potem dziewczyny z działu medycznego muszą od nowa składać, zszywać. Syf, nie robota. Takie małe rączki, delikatna tkanka...

– Lekarki zszywają?

– Gdzie tam, za dużo tego przychodzi. Podopieczne zszywają. Wyskrobała jednego, to zszywa jednego; dwóch, to zszywa dwóch.

– Każda swoje dziecko?

– Nie wiem. Raczej nie... ze względów praktycznych: Nieważne. Ważne co innego: żeby nie pomylić jednej ręki od jednego, drugiej od drugiego,

boby dopiero było – zarechotał rubasznie.

Biały, porośnięty rzadkimi, czarnymi kudłami, opasły brzuch Neuheufła wylazł z rozpiętej, mundurowej koszuli i podskakiwał w takt śmiechu. Rud wylał kawę do zlewu. Chciało mu się rzygać.

IX

Pomimo pierwszego wrażenia Rud polubił pracę przy odbieraniu transportów. Wymógł tylko, żeby Neuheufel nie wysyłał go do pracy, gdy przychodziły transporty szczelnie zamkniętych pojemników. Nadal bał się ich. Natomiast gdy przychodziły inne transporty, praca była przyjemna. Lubił patrzeć, jak przerażone starcze twarze rozpogadzały się, widząc po tej stronie błękit nieba i słońce. Potem prowadził ich posłusznych, pokornie zgarbionych, kurczowo trzymających w dłoniach ulubione przedmioty. Tłumaczył im po drodze, żeby odrzucili od siebie, co przynieśli, bo i tak nie zdołają nic zachować z tego, co przynieśli z tamtej Strony. Niektórzy słuchali, inni nie, tym trzeba było odbierać ulubione przedmioty przemocą. Czasami wynikała z tego niepotrzebna szamotanina. Potem nowo przybyli szli na komisję, która rozstrzygała, kto udaje się na karę większą. Jose twierdził, że komisja o niczym nie rozstrzyga, jedynie dostaje gotowe decyzje z góry i tylko administruje i rozdziela transporty. Ruda peszyły kobiety, jeśli tylko nie były zgrzybiałymi staruszkami. Wydawało mu się za każdym razem, że czyta w ich wzroku stwierdzenie, że się nie liczy, bo przestał być mężczyzną, gdyż sika przez zastępczą rurkę.

Do ich drużyny dołączył Fiala. Bardzo młody chłopak, świeżo po karze większej. Rud nie był w stanie patrzeć na jego twarz. Była wyjątkowo źle i niestarannie odtworzona. Uszy nierówne, jedno przyszyte nieco wyżej niż drugie. Nos za krótki, odsłaniający wielgachne dziurki, jakby małpie. Skóra na szczęce pogrużłowana i nierówna. Liczne mosty tkankowe na szyi, niezliczone różowe pręgi blizn przebiegające przez twarz. Płaty łysej skóry na czaszce i przerażające palce przypominające kości szkieletu obciągnięte

mocno napiętą błyszczącą, różową bibułą. Fiala mówił, że w czasie śledztwa z upodobaniem kropili go benzyną i podpalali. Popalili mu prawie całą skórę. Podobno był to pomysł śledczego Neuheufła. Rud nie chciał w to uwierzyć. Fiala nic nie mógł nosić w zniszczonych dłoniach, więc tylko odprowadzał przybyłych i namawiał ich do pozostawiania przyniesionych przedmiotów. Na Ruda spadał obowiązek odbierania mienia przemocą. Rud nie był zadowolony z takiego pomocnika. Fiala przeciwnie, obdarzył Ruda nieoczekiwanym zaufaniem.

– Najokropniejsza była potem komisja medyczna – zwierzył się kiedyś Rudowi, gdy siedzieli na nasypie, czekając, aż lokomotywa odtransportuje opróżnione wagony. – Myślałem, że się zapadnę pod ziemię – Fiala czerwieniał ze wstydu, aż blizny pęczniały jak krwawe pręgi. – Przez pół godziny ryczały ze śmiechu, że nic mi nie zostało... Cholera, co mi miało zostać, jeśli wszystko dokładnie wypalili, żeby ani śladu nie było. Tak samo spalili mi nos, uszy, powieki; aż się dziwię, że nie oślepiłem. Rud pokiwał ze zrozumieniem głową. Wypluł przezutą gumę. Ostatnio dostawał od Neuheufła nikotynowe gumy do żucia. Najpierw powinien przyzwycząć się do nikotyny, aby później zainteresować się papierosami. Neuheufel chciał go nakłonić do palenia papierosów, żeby Rud bardziej zainteresował się pracą w nadgodzinach, za które płacono papierosami.

– To jest zwyczajna procedura adaptacyjna, ten śmiech – powiedział. – Podobno uodparnia. Nie przejmuj się, chłopie. Wprawili ci chociaż rurkę do sikania?

– Wprawili.

– Nie boli, jak sikasz? Bo jeśli co, to zgłoś się do medycznego. Muszą ci zrobić poprawkę – Rud przypalił papierosa dla Fiali.

– Jest w porządku. Rurka działa, tyle że stale z niej kapie. Bez przerwy. Kropla za kroplą.

– To zgłoś. Niech poprawiają. Nie ma się co z nimi pieprzyć.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Rud żuł nową porcję gumy, choć nie lubił jej smaku. Przypomniawszy sobie, jak sam peszył się swym kalectwem, dopóki nie dowiedział się, że większość jest w podobnej sytuacji. Fiala palił. Na sąsiednim torze rozładowywano transport.

– Przystojniak znowu niesie walizkę jakiejś dziewczynie – prychnął Fiala z zazdrością. – Ten to świetnie wylądował.

– Podobno nie był na karze większej – powiedział Rud – to nie ma problemów.

Mówili o przodowniku Eckhardzie, który uwijał się wśród nowego transportu.

Neuheufel coraz częściej wykorzystywał Ruda do pomocy. Rud sądził, że Neuheufel uczęszcza do czegoś w rodzaju szkoły średniej, o dość niskim poziomie nauczania. Rud musiał mu odrabiać zadania z matematyki, na ogół proste kombinacje czterech działań. Kiedyś zbuntował się i stwierdził, że woli pracować przy transporcie. Neuheufel z rozmachem uderzył go w twarz, aż głośno plasnęło. Kimający na pryczach starcy popodnosili głowy.

– Ty cholerny, wstrętny niewdzięczniku – krzyknął z wyrzutem Neuheufel. – To ja się dla ciebie poświęciłem, wyciągnąłem cię z kary O trzy... o pięć sesji przed końcem, chociaż wcale się dobrze nie sprawowałeś i nie wykazywałeś szczególnej gotowości do współpracy... Swoją karierę zaryzykowałem, aby takiemu ulżyć, a to gówno... Tfu! – Neuheufel splunął z rozmachem na świeżo wyszorowaną podłogę z desek.

Cała twarz nieznośnie piekła. Policzek napuchł jak poducha, a przynajmniej tak się wydawało. To uderzenie natychmiast przypomniało męki z okresu odbywania kary większej; obudziło drzemiący strach przed Neuheuflem. Rud skulił się i zgarbił, zgnieciony wewnętrznie. Wydawało mu się, że wszyscy patrzą na niego, niewdzięcznika, z wielką dezaprobatą.

– Nawet słowem nie przeprosi – powiedział Neuheufel urażonym tonem. Rudowi wydawało się, że oczy Neuheufela zwilgotniały. Teraz dopiero zrobiło mu się przykro.

– Przepraszam – wybąkał, spuścił oczy i wziął się do pisania. Liczył bardzo uważnie, bo zadania Neuheufela były oceniane surowo i jeden błąd dyskwalifikował całe rozwiązanie.

Nie zauważył, że na twarz śledczego wypełzł nieprzyjemny uśmiech zadowolenia. Tylko oczy nie brały udziału w tym uśmiechu.

XI

Neuheufel miał chyba egzaminy, gdyż nie pojawiał się od paru dni. Za to częściej przychodził Holzbucher. Jednemu ze swoich podopiecznych, Tony'emu zrobił awanturę, bo odkrył u niego książkę pod poduszką. Głupi, nielogiczny kryminał. Rud zdążył ją już przeczytać. Podarty, wytłuszczony, pozbawiony okładki egzemplarz wydrukowany na pożółkłym papierze gazetowym. Holzbucher krzyczał, że stary niszczy sobie oczy, czytając, ale nie bił starego, nawet ani razu nie uderzył go w twarz. Ograniczył się tylko do uroczystego spalenia książki. Włożył ją do miski na zupę, z której stary jadał, i podpalił zapalniczką. Stary jak urzeczony wpatrywał się w pełgający płomień. Gdy płomień się rozszerzył, na krótki czas dodał blasku jego zgasłym oczom. Ponieważ Rud nie musiał obecnie zajmować się rachunkami dla Neuheufela, więcej pracował przy transportach. Zgromadził sporo zarobionych papierosów i wymienił za nie od strażnika Mykołowa prawdziwe buty z masy skóropodobnej. Buty były wysokiej brązowe i błyszczące, ale niepraktyczne, bo stopy pociły się w nich bardzo i potem nieznośnie śmierdziały. Z powodu butów zaczęli w drużynie nazywać Ruda – Elegant. Drugą połowę zgromadzonych papierosów ktoś mu ukradł. Rud nie zdążył wymienić ich na wojskowe spodnie. Nie zrażony, nadal regularnie chodził do pracy.

Tego dnia była wspaniała, słoneczna pogoda. Gnane chłodnym wiatrem, pierzaste chmury przemykały po nieboskłonie. Transport składał się niemal wyłącznie z nienarodzonych. Rud pracował przy jedynym wagonie, w którym nie było kadzi. Zwykły transport: starcy, nieco rakowców, sapiący zawałowcy.

Nieoczekiwanie z tego szarego, nijakiego, udęczonego tłumu wyłoniła się postać zaplątana tam jakby przypadkiem. Młoda dziewczyna niosąca płócienną torbę o długich uszach. Jej widok urzekł Ruda, gdy wiatr rozwiął jej bardzo jasne włosy o niezwykłym, szarawym kolorze. Cerę miała białą, a płatki uszu wpadające zwykle w róż, u niej wydawały się nieznacznie kremowe, jakby podskórny tłuszcz przeświecał przez bladą skórę i nadawał jej ten nieporównany odcień żółtości. Dziewczyna nie była wybitnie piękna, miała zbyt kwadratową, wystającą szczękę i zielone oczy, matowe, przypominające nieco rybie oczy nienarodzonych. Jej urodę ratował fakt, że mimo tak jasnej karnacji, wręcz bladej, miała ciemniejsze rzęsy i brwi. Była dużo niższa od Ruda i dość szeroka w biodrach, choć nogi miała proste i zgrabne. Była pierwszą atrakcyjną, młodą kobietą, którą Rud widział od niepamiętnych czasów, a poza tym wiatr bawił się jej długimi, gęstymi, zaczesanymi do tyłu włosami, nadając może nieco zbyt zaciętej twarzy niezrównaną oprawę. Na dodatek w jej spojrzeniu uderzał dystans, widoczne przekonanie o własnej wyjątkowości i piękności, co utwierdzało Ruda w przekonaniu, że widzi skończony ideał. Przez wymownie długą chwilę w milczeniu patrzyli na siebie. Gdy potem rozmyślał nad tym spotkaniem, doszedł do wniosku, że mogła myśleć, że właśnie strażnik dokonuje selekcji i decyduje, gdzie ją zakwalifikować. Przecież miał na nogach wysokie, wojskowe buty.

Gdy wreszcie oprzytomniał i wyciągnął rękę, aby pomóc jej nieść torbę – nie myśląc nawet, że powinna pozbyć się bagażu – mocna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Ktoś szarpnął go i odepchnął na bok.

– Te, Elegant, spierdalaj! – usłyszał donośny głos przodownika Eckharda. – To nie jest twoja sprawa! No, już! Spierdalaj do tych starych dziadów. Pilnuj, żeby nie pomylili drogi. Głos Eckharda wibrował w powietrzu, a Rud kulił się i garbił ze wstydu. Twarz mu nabrzmiała i piekła

bardziej niż wtedy, gdy oberwał po głowie od Neuheufła. Chciał zapaść się pod ziemię, uciec, gdzieś pobiec. Odszedł w kierunku innych nowo przybyłych, nie oglądając się za siebie.

– Panienska pozwoli. Ta torba jest ciężka. Pomogę nieść – jeszcze dobiegł go kipiący męskością, niski głos Eckharda.

Tego dnia Rud był szorstki. Kilku osobom wyszarpnął torby. Jednego, szczególnie upartego starca uderzył, a następnie zdeptał odebrane mu zdjęcia.

XII

Przy okazji odrabiania zadań dla Neuheufła, Rud zagadnął o Eckharda. Pisał długie wypracowanie, czy może większą pracę kontrolną; zestawiał szeregi liczb z roczników statystycznych. Chodziło o proporcje różnych grup wiekowych wśród nowo przybyłych na przestrzeni ostatnich lat. Temat trudny, gdyż trudno było wyłowić jakąkolwiek ogólną prawidłowość. Poza tym musiał uważać na najłżejsze ślady myśli lęgnących się w ospałym, umyśle Neuheufła i natychmiast każdą z nich chwalić, jakby była objawieniem. W przeciwnym razie Neuheufel obrażał się. Zresztą, mimo najlepszych chęci ze strony Ruda, Neuheufel i tak uważał go za krętacza i niewdzięcznika. Szczególnie złościło go, gdy Rud wytykał mu błędy, rewanzował się wtedy prymitywnymi i brutalnymi docinkami, które Rud musiał w milczeniu przełykać. Z drugiej strony, musiał korygować przynajmniej najgrubsze błędy, gdyż nie chciał, aby wypracowanie Neuheufła zostało odrzucone albo ocenione zbyt nisko. Wiedział przecież, że zawdzięcza Neuheufłowi skrócenie kary większej. Tym razem Neuheufel nie musiał się wyzłośliwiać. Praca szła jak po grudzie. Rud, mimo najlepszych chęci, nie był w stanie dostrzec historycznie nieuniknionych prawidłowości w kupie przypadkowych liczb. Żeby chociaż odgadnąć życzenia nie znanych nauczycieli Neuheufła. Niesforne myśli uciekały od statystyki. Neuheufel głośno siorbał herbatę, palcem przytrzymując tkwiącą w szklance łyżeczkę, żeby nie wybić sobie oka. Rud spytał go o Eckharda.

– Temu to; się udało – powiedział. – Facet wielki, przystojny, opalony. Wyszedł z kary bez uszczerbku, ani jednej blizny nie ma. Żadna dziewczyna mu się nie oprze. Neuheufel zachichotał.

– Gdzie tam... Przecież on sika na siedząco... Ma ledwie dziurkę – powiedział. Właśnie dlatego, że mu taką przystojną gębę odstawiły, nie zostało skóry na naprawę czego innego.

Rud był zdumiony. Takiej odpowiedzi nie spodziewał się.

– To co on robi z tymi wszystkimi dziewczynami, które podrywa? – zapytał w końcu.

– Może robi miłość lesbijską – wybuchnął głośnym rechotem Neuheufel, a jego masywny brzuch, drgając, potracił blat stołu. Rozlała się kawa.

Rud z początku rechotał z Neuheuflem, ale pomyślał, że Eckhardt jest jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż on sam, i wyśmiewając się z niego, jakby gardził też sobą samym. Przestał się śmiać. Widząc to, Neuheufel również spoważniał, przypatrując mu się badawczo.

XIII

Rud chadzał na spacery wokół baraków. Zapuszczał się nawet daleko w stronę obozu kobiecego, miał bowiem nadzieję jeszcze raz spotkać Białą Nieznajomą.

– Przywidziało ci się – mówił mu Fiala. Nikt młody nie przybywa tutaj w całości. Nigdy. Bez wyjątku.

Rud dreptał z założonymi do tyłu rękami, co chwilę przystając i czekając na kulejącego kolegę.

– Zapamiętaj sobie, że każdy młody idzie na sekcję Fiala bezlitośnie zabijał marzenie Ruda – a tam kroją plasterki po plasterku, żeby – określić przyczynę zgonu. Potem szyją, byle jak, do trumny, żeby rodzina nie narzekała. Wnętrznosci wkładają jak leci, bez składu i ładu. Tu, bracie, trafiają wyłącznie albo starcy, albo pokrojeni w plastry. No, albo nienarodzeni, rozerwani na krwawe strzępy przez wyłyżeczkowanie. Innej możliwości nie ma.

Usiedli na ławce z nie heblowanych desek, stojącej przy studni. Ławkę ocieniała schnąca brzoźka. Dzień był upalny i Fiali było nieznośnie gorąco, także z powodu czarnych spodni. Zawsze nosił czarne spodnie, żeby nie było widać śmierdzącej, mokrej plamy w kroku. Już dwa razy wyznaczali mu termin operacji poprawkowej, ale za każdym razem wynikało nieprzewidziane opóźnienie.

Przykry zapach moczu wzmocniony upałem i miażdżąca logika wywołu, którym Fiala odbierał mu złudzenie, powodowały, że Rud pragnął uwolnić się od jego towarzystwa. Czuł się jakby uwięziony. Uświadomił sobie, że ośrodek przystosowania to właściwie jak więzienie: druty

kolczaste, budki strażników. A za drutami – zwykły lasek, zwykła łąka, zwykłe wzgórza. Może właśnie tam spotkałby Białą Nieznajomą.

– A jednak ona była cała, bez żadnych szwów, ani nie pocięta – powiedział z naciskiem. – Jestem tego pewien, Fiala. To musiał być wyjątek. Jej się udało – Rud miał nadzieję, że upór zniechęci Fialę do rozmowy i zmusi do zmiany towarzystwa.

– Na mnie nie widać, bo skóra popaloną, ale popatrz do lustra. Zobaczysz na swojej twarzy blizny po szwach, jak cię szyli po sekcji – nie rezygnował Fiala.

– Teraz już nie wiem, które blizny są po sekcji, a które po karze większej – mruknął Rud. Smród moczu narastał.

Fiala też musiał to poczuć. Był coraz bardziej skrepowany. Pod błahym pozorem pożegnał się i pokuśtykał na swych popalonych stopach. Po chwili również Rud podniósł się z ławki, gdyż po Fiali pozostała cuchnąca plama na desce.

Spacerował wzdłuż wewnętrznej zony. Właściwie nikt nie mówił, że nie wolno się zbliżać do tego pasa ubitej ziemi, oznakowanego czerwonymi chorągiewkami. Senni strażnicy drzemali na swoich gniazdach. Rud obserwował lasek rosnący za drutami. Miał wielką ochotę dostać się do tego lasku.

Dlaczego nie może być po prostu Niebo? – myślał – a nie najpierw jakiś ośrodek przygotowawczy. Od bocznic dobiegł gwizd lokomotywy – przyszedł nowy transport.

Nagle rozległ się trzask i głośny łomot. Rud odwrócił głowę, Jedna z budek strażniczych zawałiła się, zrywając przy okazji drut kolczasty. Belki rusztowania zupełnie zbutwiały przez lata. Zbity z desek kosz budki leżał na zewnętrznej, zaoranej zonie. Dochodziły z niego, jęki i krzyki poturbowanego strażnika. Jakoś nikt nie zainteresował się wypadkiem.

Właściwie można by uciekać – pomyślał Rud. Zwalone belki zupełnie przygniotły zasieki, otwierając drogę do ucieczki. Strażnicy z sąsiednich budek prawdopodobnie też nie strzelaliby, gdyż mogli się pomylić. Oglupiały Rud stał bez ruchu.

Dopiero po minucie któryś ze strażników zbudził się z drzemki. Rozległy się gwizdki. Poschodzili się opiekunowie i strażnicy. Rud oczekiwał, że będą biegali, tymczasem wszyscy snuli się ospale i sennie. Nie było sanitariuszy na dyżurce, musiano dopiero ściągać ich z dołu. Przyszli dwaj z noszami. Na czapkach przepisowe płomieniste pentagramy jakie noszą na dole. Rudowi wydawało się, że mrużą oczy, nienawykli do światła. Sprawnie załadowali i odnieśli jęczącego strażnika, który podobno złamał nogę. Kilkoro nienarodzonych stało zbitych w ciasną grupkę, uważnie obserwując niezwykle wydarzenia. Oni sami stanowili niecodzienny widok, gdyż normalnie chronią się przed silnym światłem słonecznym, mając skórę bardzo wrażliwą na poparzenia słoneczne. Dla odmiany, w dni pochmurne lub wczesnym rankiem czy wieczorem snuli się dziesiątkami, badawczo się wszystkim przypatrując. Trzeba było uważać, żeby nie wpaść na takiego maleńkiego człowieka, choć obawa była zbędna, gdyż już z odległości paru metrów namolnie ładowali się do, psychiki przechodnia, wykrzykując pod jego czaszką, żeby uważał i nie zrobił im krzywdy.

Schodziło się coraz więcej podopiecznych i opiekunów. Trzeba było naprawić rusztowanie i poprawić zasieki. Niektórzy opiekunowie zaczęli zbierać chętnych do pracy, ktoś przecież musiał przytransportować belki. Oczywiście, starców i nienarodzonych omijali. Rud początkowo chciał się zmyć, ale doszedł do wniosku, że właściwie nie ma nic ciekawego do roboty; w baraku czekało do poprawienia kolejne wypracowanie Neuheufła.

Na myśl, że znowu będzie musiał męczyć się i głośno zachwycać marnymi pomysłami śledczego, skierował się ku zbiegowisku.

– Nie pchaj się tam, chłopcze – powiedziała bezzębna staruszka – bo będzie na ciebie... Na pewno będą szukali winnego. Budują takie dziadostwo, a potem winę zwalają na przypadkowych ludzi!... – ożywiała się coraz bardziej. Zaczęła nawet nieco wymachiwać laską. Przeszła zaraz, gdyż było to ponad jej wątłe siły.

Rud nie zamierzał się wycofywać. Wyróżniał się z tłumu zgarbionych, zeszlęch postaci i szybko został wyłowiony. Jeden ze śledczych skinął na niego. Rud posłusznie podszedł.

– Potrzebni są ludzie do roboty – powiedział śledczy, uważnie patrząc na numer Ruda na jego drelichu.

Ciekawe, czy już zapamiętał?... – przemknęło przez głowę Ruda.

– Będziemy nosić drewno. Ustawcie się tam, przy ogrodzeniu. – Mam wyjść poza zonę? – udał głupiego Rud.: – Nie. Na dach baraku – prychnął śledczy z ironią. – Jak mówię, to macie wykonać, Milenkowicz – dorzucił.

Ruda zmroziło. Skąd znał jego nazwisko? Widocznie śledczy kontaktują się ze sobą, podobnie jak nienarodzeni, i ten zdążył już dostać dane Ruda z centralnej kartoteki. To było sensowne wyjaśnienie. Bez słowa, z satysfakcją przekroczył rozpiętą linkę z czerwonymi szmatkami, przeszedł przez ubity pas i ustawił się z grupką wybranych ludzi. Chwilę czekali, zanim skompletowano potrzebną liczbę. Śledczy przynieśli siekiery i piły.

Ruda ogarnęła radość, gdy zorientował się, że pójda po drewno akurat do tak utęsknionego lasku. Perspektywa ciężkiej pracy fizycznej nie zniechęcała. Dostał do niesienia siekierę osadzoną na długim stylisku. Uzbrojeni, jedni w piły, inni w siekiery, ruszyli dwójkami. Ze wzruszeniem przebył zaoraną zonę zewnętrzną, zostawiając głębokie ślady. Szli ochoczo, niektórzy zaczęli nawet pogwizdywać.

Towarzyszył im tylko jeden nie uzbrojony śledczy. Przedstawił się jako Schulz. Właściwie, można by go łatwo obezwładnić – pomyślał Rud. – Cios obuchem i po problemie. Trzeba tylko zaczekać, aż znikniemy w lesie, aż przestaniemy być widoczni z ośrodka – analizował sytuację. Zanim odkryją ucieczkę, będziemy już daleko. Z pewnością inni myślą to samo.

Las nie był daleko i po, kilkunastu minutach energicznego marszu weszli pomiędzy pierwsze drzewa. Schulz wybierał drzewa do ścięcia. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie bał się podopiecznych.

Wtedy się zaczęło: Rud poczuł swędzenie w nosie. Kichnął raz, drugi, dziesiąty. Z nosa polało się ciurkiem. Czuł się koszmarnie. Jego cielesna powłoka stała się mieszkaniem nie do zniesienia. Odnosił wrażenie, że głowa nabrzmiewa.. Nie mógł myśleć. Nie miał wcześniej kataru siennego i nieznośne odczucia, jakie ta dolegliwość przynosi, były dlań czymś nowym, chociaż nie czymś bardziej męczącym, gdyż objawy kataru siennego są jednakowo nie do wytrzymania, obojętne, czy jest to pierwszy atak, czy setny.

Wszyscy inni cierpieli podobnie. Niektórzy nawet puchli. Nieubłagany Schulz poganiał do pracy. Ścinali pnie piłami, a następnie siekierami obcinali gałęzie.

– Bierzcie się do roboty. Będziecie tu siedzieć, aż zetniemy wszystkie potrzebne bele. Nikt za nas tego nie zrobi – pokrzykiwał. On jeden nie cierpiał z powodu alergii.

– A co wy myślicie, do cholery? – krzyknął z odcieniem szyderstwa – że te budki i druty kolczaste są po to, żebyście nie mogli uciec? Gówno prawda. One są po to, aby właśnie was ochronić przed otoczeniem!

Po paru godzinach męczeńskiej pracy, męczeńskiej z powodu dolegliwości wywołanych alergią, nos Ruda był czerwony i bolesny i kilka razy nawet krwawił. Schulz rozdał im po jednej tabletkie leku

antyhistaminowego. Więcej nie miał. Tabletki pomogła na kwadrans, potem zaczęło się od nowa.

Ścięte, przygotowane pnie brali po dwóch, kładąc je na ramionach. Pomimo ciężaru wracali szybkim krokiem w akompaniamencie kichnięć i przekleństw. Byle szybciej z powrotem do zony. Rud z ulgą wrócił za druty, Objawy kataru siennego ustąpiły, gdy stanął na terenie ośrodka.

XIV

Neuheufel zaczekał, aż Rud skończy pisać rozdział. Semestralna; praca kontrolna była już niemal gotowa. Statystyczne obliczenia korelacji regionów geograficznych z rodzajem i liczbą ludzi przybywających do ośrodka sprawiały Rudowi dużą trudność. Z niezrozumiałych wzorów, które Neuheufel zanotował na lekcji, wychodziły mętne wyniki; te same dane, obliczane wielokrotnie, dawały zupełnie różne rezultaty. Neuheufel jakby tego nie zauważał, witając każdy wynik z jednakowo ponurą twarzą. Natomiast Rud przejmował się bardzo, w myślach już słysząc awanturę, która zbliżała się nieuchronnie.

Wręczył Neuheuflowi kilka zapisanych, mocno pokreślonych stronic i wygodniej rozsiadł się za stołem. Zmęczone oczy łzawiły. Śledczy długo, jakby sylabizując, czytał kolejne zdania. Przysuwał się do okna, żeby lepiej widzieć tekst. Rud w milczeniu oczekiwał na zwykłe uwagi Neuheufła. Uwagi bez polotu, często bez sensu, jakby wymęczone z nieopisanym wysiłkiem. Czekał go zwykły, przykry trud okazywania zachwyty nad każdym pomysłem, a jednocześnie dyskretnego korygowania największych bzdur. Milczenie przeciągało się. Był to zwykły rytuał. Czytanie było dla Neuheufła ciężkim zadaniem, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie.

Tym razem stało się inaczej. Neuheufel starannie złożył kartki i schował do mapnika.

Pewnie będzie te pięć stron przepisywał przez cały wieczór, z wywieszonym jęzorem, a jutro mi to przyniesie jako swoje własne pomysły, i będę musiał poprawiać błędy ortograficzne, jakie zrobił, przepisując mój tekst... – pomyślał Rud. Zacierał spocone dłonie.

– No dobrze – powiedział Neuheufel – dość to słabe, ale spróbuję poprawić ten tekst... dużo błędów.

Podsumowanie takie następowało po ślamazarnym, wlekącym się godzinami roztrząsaniu kolejnych zdań, gdy Neuheufel zrozumiał już, co Rud wymyślił. Tym razem znaczyło, że dyskusji nie będzie lub została odłożona. Toteż Rud milczał.

– Przeglądałem waszą dokumentację – powiedział Neuheufel.

Rud zdrętwiał.

– To gruba teczka – ciągnął Neuheufel. – Nazbierało się wam tego wszystkiego.

Rud słuchał z uwagą.

Neuheufel też umilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, co powiedzieć, zaś jego grubo ciosana, jakby nabrzmiała twarz coraz bardziej składała się w wyraz powstrzymywanego na siłę śmiechu.

– Ta twoja Dianna była całkiem niezła – zaczął jeszcze poważnie. – Taka rozkoszna potrawa miłosna. Albo raczej smakowita zakąska, bo taka mała – Neuheufel już rechotał. Dłużej nie był w stanie powstrzymać śmiechu. – Przeglądałem wszystkie kasety z wami. Ależ w niej siedział dynamit... Jak ona to wszystko wymyślała... Albo wtedy u niej... Wtedy, co to robiła. – rechotał dalej. – Albo wtedy jak się cała spaliła na słońcu na różowo i obłaziła ze skórki; mnie się dalej podobała, nie wiem, dlaczegoś narzekał – Neuheufel wyraził swoją opinię. Rud bladł i czerwieniał na przemian.

– Z ciebie też był niezły kogut – Neuheufel klepał się po udach. – Ale teraz się skończyło, Milenkowicz – dodał, poważniejąc.

– Miałem fajny wieczór – ciągnął po chwili. – Skrzynka piwa i kasety z wami. Holzbucher też uważa, że były niezłe.

Rud miał ochotę zapaść się pod ziemię. Przez pewien czas. Potem ogarnęła go wściekłość. Jakim prawem ten skurwiel wywleka

najintymniejsze detale z jego życia. Miał przecież dowiedzieć się czegoś o wyroku.

Nieoczekiwanie Neuheufel urwał i kazał Rudowi wyjść. Powiedział, że przez przypadek omal nie ujawnił tajemnicy służbowej.

Wzburzony Rud wybiegł przed barak. Na ławce siedział Jose otoczony kłębem dymu tytoniowego.

– Zakurzysz, Milenkowicz? – zapytał spokojnie. Pod wpływem jego głosu wzburzenie Ruda zaczęło opadać.

– Nie – odpowiedział – ale mogę powdychać trochę tego twojego syfa.

Usiadł obok Josego.

– Wyleciałeś, jakby ci Neuheufel podłączył do dupy propeler – stwierdził Jose i zdeptał nie dopalonego skręta. Nie chciał podtruwać kolegi.

– Prawie. Zaczął mi dokładnie opowiadać najintymniejsze detale z mojego życia. Co robiłem z Dianną, Wszystko miał na kasetach, skurwieli.

– Zgadza się. Wszystko mają na kasetach. Wszystko z detalami. Każdą sytuację z paru ujęć. Od przodu, z boku, z tyłu. Widziałeś wcześniej taką kasetę?

– Nie.

– Zupełnie jakby ci kamera zaglądała do dupy. Mnie pokazywali też inne kasety, ze służby... – urwał nieoczekiwanie.

– Skąd to biorą?

– Biorą. W ciągu życia wszystko jest zapisywane. Pijesz piwo? Już trzy ujęcia. Tulisz dziewczynę? Zaraz nagranie. Na kasetach mają wszystko, jako materiał dowodowy do kary większej. Inne rzeczy nie tylko to, co spowodowało karę większą.

– Ale kiedy podglądali? – zastanawiał się Rud. – Raz byliśmy przez sobotę i niedzielę w domu rodziców Dianny, jej rodzice pojechali gdzieś.

Byliśmy zupełnie sami. Nic. Nawet telewizor wyłączony, rozumiesz?

Jose pokiwał głową ze zrozumieniem, wydobyl z kieszeni zawiniątko i zaczął mozolnie robić nowego skręta. Nałóg był silniejszy od przyjaźni.

– Opowiedział mi z takimi szczegółami, jakby siedział obok i się nam przyglądał, skurwiel – ciągnął Rud. – Właściwie nie powinienem tak mówić. To, mój dobroczyńca – zreflektował się.

– Zgadza się. Na kasetach mają taką zdolność rozdzielczą, że widać każdy włos, nawet cień, jaki ten włos rzucał na skórę albo na inne włoski – przytaknął. – Widzą lepiej niż ty wtedy widziałeś. Swoją drogą, po cholere się wypierałeś? Oni zawsze mają rację; nigdy się nie mylą: jeśli dostałeś karę większą, znaczy, że się należała.

– Nie wypierałem się. Zresztą, co to ma do rzeczy?

– Tylko wtedy mogą zajrzeć do dokumentacji. Oni nie mają prawa przeglądać tych kaset, chyba że na twoje polecenie.

– Prosiłem go tylko, żeby dowiedział się, za co dostałem karę większą.

– Aleś głupi. Nigdy ci wprost nie powiedzą, za co siedzisz, a tylko dzięki twojej prośbie mogli sobie pooglądać te materiały.

Rud już nie słuchał. Bardzo daleko stały drewniane stoły i ławy, obok kiosku, w którym sprzedawano papierosy i niedosłodzoną oranżadę. Nie miała smaku pomarańcz, lecz była osłodzoną wodą, dość słabo nagazowaną. Rud nie lubił tej oranżady, gdyż często na dnie butelki pływały pajęczyny. Obecnie uważnie wpatrywał się w odległe ławki.

– Spotkałeś tutaj tę swoją Dianę? – zapytał Jose otoczony dymem.

Rud nie odpowiedział. Ani razu nie pomyślał, że mógłby tu szukać Dianny. Pożegnał się i szybkim krokiem, niemal biegiem, podążył ku kioskowi. Wydawało mu się bowiem, że w oddali, przy jednym ze stołów zamajaczyła znajoma, jasna plama.

Biała Nieznajoma siedziała na ławce w otoczeniu kilku bezzębnych staruszek, które sączyły oranżadę. Miała na sobie zwykły strój noszony w ośrodku: brunatną – bluzę, także spodnie i drewniane trepy. Sposób, w jaki nosiła bluzę, sposób, w jaki zakładała nogę na nogę, w jaki zsuwała drewniany trep z kształtnej stopy, wszystko to nadawało wdzięku topornym, ośrodkowym łachom. Spojrzała na niego tak, jakby właśnie na niego czekała, choć może i z domieszką lęku. Mógł wydać się jej którymś ze śledczych, bo w tym czasie dorobił się wąskich, zgrabnych, zielonych spodni strażnika oraz służbowej czapki z daszkiem. Odpruł tylko z czapki pentagram, gdyż jako podopieczny nie miał prawa nosić go na czapce, a jedynie na plecach przy numerze generalnym.

– Cześć. Cieszę się, że wreszcie udało mi się ciebie znowu spotkać – powiedział, bez pytania siadając na wolnym miejscu obok. Bezzębne staruszki, mocno sepleniąc, żywo się sprzeczały, Nie dało się zrozumieć, o co im chodziło.

Przesunęła się, żeby Rud mógł usiąść wygodniej.

– Jak masz na imię?

– Maria.

Rud stracił koncept. Miał przy sobie nieco tytoniu i mógł go w kiosku wymienić na co innego.

– Masz ochotę na oranżadę? – zaproponował.

– Wszyscy przodownicy zawierają znajomość za pomocą oranżady? – odpowiedziała pytaniem. Miała bardzo bladą cerę, cienie wokół oczu i nawet przedwczesne zmarszczki świadczące o przemoczeniu. Nigdzie na twarzy, szyi czy dłoniach, żadnych blizn po sekcji.

– Nie jestem przodownikiem – zdziwił się.

Spoczął na nich obojgu cień. Rud odwrócił głowę – przodownik Eckhardt właśnie wrócił z kolejki, niosąc butelkę z; gazowaną wodą i dwie

musztardówki. Stał z poczerwieniałymi oczyma i wściekłością na twarzy, jeszcze podkreślającą męskość jego rysów. Przypominał teraz wilka.

– Elegant, ty tutaj? – zasyczał, stawiając szklanki i butelkę na stole. – Zmywaj się. Nie zrażony Rud bezczelnie odkorkował butelkę Eckhardta, która rachitycznie syknęła, i rozlał słabo nagazowaną wodę do musztardówek. Jedną z nich podsunął Marii, z drugiej ostentacyjnie pociągnął łyk.

– Dziękuję wam, Eckhardt – powiedział. Tamten był przodownikiem tylko w czasie pracy, obecnie obaj byli sobie równi. – Zwrócę wam w tytoniu. Dymi się z was jak ze starego komina.

– Ty palisz? – zwrócił się do Marii.

– Nie.

– Dostaniecie funt tytoniu za przyniesienie oranżady – ciągnął dalej do Eckhardta to dobra cena... No, zmyjcie się wreszcie, Eckhardt. Śmierdziejcie potem, i to czuć. Gdyby się wam chciało sikać, to kabina dla pań jest za kioskiem z prawej strony, tylko się nie pomylcie i nie pójdźcie z lewej strony, bo tam jest kabina dla panów.

Rud zrobił kilka błędów. Zlekceważył przeciwnika. Eckhardt może był wolniejszy, ale wyższy, masywniejszy i silniejszy, a na dodatek Rud, siedząc, miał mocno ograniczone ruchy. Liczył, że znieważony i skompromitowany Eckhardt sam się wycofa. Pomylił się: zdążył nawet podnieść do ust szklankę z oranżadą, gdy Eckhardt, zapieniony z wściekłości, wyszarpnął służbową pałkę i zdzielił nią Ruda po głowie. Rozlana oranżada chlapnęła po zdumionych staruszkach. Maria krzyknęła z przerażenia. Kolejny cios pałki pozbawił Ruda przytomności.

XV

Rud znów trafił do szpitala. Jednakże obrażenia, które odniósł, nie były zbyt poważne. Tym razem nie krępowali go, więc mógł obserwować postępy leczenia. Operacja plastyczna twarzy, którą mu przy okazji zrobiły, udała się i bardzo poprawiła wygląd. Szwy zostały tak zręcznie założone, że nie było widać czerwonych blizn. Przestał wyglądać jak potwór. Zgodził się też na kosmetyczne zderzenie trzech paznokci, które rosły rozszczepione na całej długości. Wprawdzie bez znieczulenia, ale poznał już większy ból. Gdy paznokcie odrosną, jego ręce powinny wrócić do normalniejszego wyglądu. Jedynie przy dwóch palcach brakowało dwóch ostatnich członów.

W sumie, miał dużo szczęścia. Rozwścieczony Eckhardt byłby go zabił, gdyż nie przestał bić, pomimo że Rud leżał nieprzytomny i zalany krwią. Próbowала go powstrzymać Maria, ale ją odepchnął i dopiero jej krzyk sprowadził strażników, którzy obezwładnili napastnika. Cały oszczędzony tytoń, jaki Rud trzymał po kieszeniach, gdzieś przepadł. Nie wiedział, czy to Eckhardt zdążył przeglądnać jego kieszenie, czy okradzione go dopiero w szpitalu.

Pobył w szpitalu okazał się dla Ruda bardzo miłym okresem. Wyżywienie było znakomite. Codziennie litr zupy z brukwi z solidną wkładką mięsną: grubym plastrem pasztetowej, w której zdarzały się litery tekstu, lub grubym plastrem nieco podśmierdującego salcesonu. A do tego pół kilo czarnego chleba. Wieczorem ćwiartka chleba i spodeczek bardzo słodkiej marmolady z buraków. Mocnej, gorzkiej kawy z cykorii, ile dusza zamarzy. Kawę można było dostać nawet między posiłkami, gdy zaszło się ze swoim garnkiem do kuchni. Kucharka Marusia, tęga i ciężkopierśna,

niby gderając, podnosiła przykrywą z ogromnego kotła i wielką chochlą pokrytą zaschłymi zaciekami nabierała ciemnej, letniej lury. Muchy trzeba było wyławiać samemu. Ich tabuny nieustannym wirem kłębiły się wokół garów w kuchni.

Rud nie był w stanie przejeść całej porcji i, wymieniając z innymi, szybko dorobił się niezłego zapasu tytoniu i trzech paczek gumy do żucia, co wystarczyło, aby załatwić sobie przeniesienie do Panfilowej. Nie podobała mu się jak dawniej, gdyż obecnie myślał o Marii, ale miał do Panfilowej zaufanie. Była znakomitym fachowcem, a wygląd Ruda wymagał jeszcze wielu poprawek.

Następne oszczędności wymienił na skórzaną kurtkę od strażnika. Była to dobra transakcja: kurtka wprawdzie dość stara, skóra zetlała i tu i ówdzie popękana, ale pasowała na Ruda jak ulał. Regulaminowe litery ZP, numer na plecach oraz zgrabny, nieduży, obowiązkowy pentagram przy numerze wyhaftowały mu staruszki z oddziału kobiecego. Troskliwie pozszywały też wszystkie pęknięcia. Zrobiły to za tytoń i kwiatki z ogrodu szpitalnego. W ich salach śmierdziało nieznośnie, kwiatki nie były w stanie zabić tego smrodu, ale stare lubiły patrzeć na kwiaty. Trzymanie kwiatów w salach szpitalnych było wzbronione i chore dokonywały cudów przemyślności, ukrywając bukiety w czasie wizyt lekarskich. Rud nie rozumiał tej miłości kobiet do umierających kwiatów, zauważył jedynie, że nie słabnie ona z wiekiem. Ponadto, dzięki tej miłości, zamiast szarej kurtki podopiecznego, nosił skórzaną kurtkę strażnika. Nie mógł opuszczać terenu szpitalnego, więc wymiana handlowa odbywała się na skraju ogrodu szpitalnego, gdzie Rud przesiadywał na ławce o parę metrów od ścieżki, którą mogli przechodzić zdrowi. Przesiadywał na tej ławce także z innego powodu: ciągle miał nadzieję, że spotka tam przechodzącą Marię. Nigdy nie

przechodziła tamtędy. Miał dla niej odłożoną gumę do żucia; nikotynową, bo innej nie było.

Na ławce mogli siadywać również zdrowi, ale z reguły tego nie robili, prawdopodobnie obawiając się zarażenia. Jednak tym razem na ławce siedziała nienarodzona. Usiadł obok.

– Przesiądź się na drugą stronę, żeby zasłonić mnie od słońca, bo znowu będzie ze mnie schodzić skóra – usłyszał pod czaszką.

Spełnił jej prośbę i małego człowieka spowił cień.

– Opowiedz mi, jak: chodziłeś do szkoły – rozległo się w głowie. Małeńka dziewczynka zerkała na niego ciemnozielonymi, jakby rybimi oczkami, i ssała niemal przezroczysty, różowy paluszek. Rud zauważył, że ma już paznokietki.

– Mało pamiętam – powiedział. – Nie lubiłem szkoły. Raz przyniosłem żabę w kieszeni, ale uciekła. Siedziałem w ławce z takim jednym, co obrywał muchom skrzydła, a następnie Spuszczał na każdą muchę kroplę atramentu. Nieszczęśnice zakreślały takie różne granatowe łuki i kreski po ławce. Potem nabijał je na stalówkę. Później nastąpiła epoka długopisów. Much nie dało się tak dobrze nabijać na długopisy. Tylko historyk zabraniał pisać długopisem – mówił, że to takie rysiki.

– Dziewczyny też nabijały muchy na długopisy?

– Nie. One zawsze odrabiały zadania. Podobno były poważniejsze od nas. W następnych klasach było już inaczej.

– Zaczęły nabijać? – Nie to miałem na myśli... Raz taki jeden odpowiadał z historii właśnie. Powbijałem w złożoną kartkę chyba ze dwadzieścia pinezek. Rozumiesz? Zrobiłem taką matę jak dla fakira i mu podłożyłem. Usiadł i natychmiast powstał. Historyk wygłosił wtedy długą mowę, a następnie wyrzucił mnie na korytarz. Byłem dumny. Chciałem się

popisać przed taką jedną i chyba odniosłem sukces. Potem była przerwa i musiałem stoczyć walkę. Urwałem mu kołnierzyk, a on mi dwa guziki.

– Mam problem – przerwała mu nienarodzona dziewczynka.

– Jaki?.

– Mam wybrać sobie wiek, w którym pozostanę na zawsze. Nie mogę się zdecydować. Sprawa nie jest szczególnie pilna, ale kiedyś będę musiała podjąć tę decyzję.

– To chyba jasne – odpowiedział bez zastanowienia. – Wybierz wiek, w którym kobieta jest najpiękniejsza. To znaczy, kiedy ty byłąbyś najpiękniejsza... – poprawił się.

– Właśnie tego nie chcę – usłyszał odpowiedź. – Widzisz, Ruder, kobiety właśnie wtedy, gdy są najpiękniejsze, zabijają nas. Ja nie chcę tak wyglądać.

Chwilę się zastanawiał, co odpowiedzieć, ale nie podjął tego tematu.

– Skąd znasz moje imię? – spytał.

– Ty jesteś ten strażnik, Ruder, którego zmasakrował inny strażnik, i leczysz się po tej napaści. Maria mi opowiadała.

– Nie jestem żadnym strażnikiem ani śledczym, ani przodownikiem. Ja tylko kupiłem sobie strój pracownika, bo jest ładniejszy niż strój podopiecznego. Powiedz o tym Marii. Koniecznie. Proszę cię.

Pokiwała nieproporcjonalnie dużą główką embriona.

– Powiem jej – usłyszał w środku swojej głowy.

– Może zdecyduje się na wygląd dziewczynki ze szkoły podstawowej albo sympatycznej starszej pani: siwe skronie, okulary, zadbana sylwetka, wypielegnowane dłonie. To może być fajne – kontynuowała.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Wybrałam sobie Patrycja, bo takie dziwne.

– Widzisz, Ruder – kontynuowała po chwili – największe świństwo, jakie mi zrobili, to to, że pozbawili mnie dzieciństwa. To musi być fajny okres. Każdy, kogo pytam, opowiada ciekawe rzeczy, nawet ci, co narzekali, że ich dzieciństwo było nieszczęśliwe. Będę mogła zawsze wyglądać jak w wieku, który sobie wybiorę, ale to przecież może każdy. Tylko, że inni przeżyli swoje życie, już kiedyś tak wyglądali, wcześniej byli młodszy, później starsi. A ja jakoś tak dziwnie, sztucznie, jakbym musiała przeistoczyć się w obcą osobę...

Ruder pomyślał, że widocznie wybrał sobie ten wiek, w którym był. Tylko te następstwa kary większej...

Poprosiła, aby zestawił ją z ławki. Ujął w dłonie małą istotę. Mieściła się na jednej dłoni. W przepisowym, brązowym kubraczku, spodkach i małych trepacach. Położył dłoń na ścieżce, żeby mogła zejść.

– Dziękuję – usłyszał pod czaszką.

– Patrycja – powiedział za nią – a kto cię postawił na ławce?

– Taki jeden staruszek – wyjaśniła. – Lubię przesiadywać na ławkach i rozmawiać z narodzonymi. Mówią ciekawe rzeczy. Jak spotkam Marię, to jej przekażę. Cześć, Ruder.

Otworzyła mały parasol, który osłaniał przed słońcem jej łysą główkę i podreptała w swoją drogę. Rud przeciągnął się, aż strzeliły stawy.

XVI

Ta ławka powinna nosić nazwę Ławki Ciekawych Spotkań. Przy okazji wymiany handlowej można było poznać tylu nowych ludzi. Rud był jedynym chorym z całego oddziału, który mógł chodzić swobodnie. Korzystał z tego. Przez jego ręce przechodziła cała wymiana pomiędzy chorymi a światem zdrowych. Był uczciwym pośrednikiem, sobie brał tylko niewielką część od każdej wymiany, ale i tak gromadził w wielkich ilościach wszelkie dobra dostępne w ośrodku. Doszło nawet do tego, że nie miał co z tym zrobić. Przeżył niezwykle uczucie posiadania wszystkiego, co jest możliwe do posiadania. Było go stać na dowolny przedmiot, który był w ośrodku, oprócz broni. Mógł nawet kupić psa od strażników, gdyby chciał. A może i broń, gdyby zaryzykował. Brakowało tylko Marii, żeby się przed nią pochwalić posiadaniem bogactwem, Jakoś nie przychodziła.

Spotykał za to innych ludzi. Przechodzili ścieżkę, zagadywali. Starał się unikać zgrzybiałych starców, gdyż częstokroć byli sklerotyczni i nie rozmawiało się z nimi ciekawie. Nienarodzeni też nudzili, Wprawdzie nie darzył ich niechęcią, jak poprzednio, ale z reguły wypytywali o to samo, o różne, najbliższe nawet detale z codziennego życia. O wszystko to, czego nie pozwolono im zaznać. Przychodził nienarodzony chłopczyk imieniem Albert i godzinami zamęczał go pytaniami o narciarstwo. Rud nieopatrznie na wstępie znajomości wygadał się, że jeździł kiedyś na nartach, Chciał się tylko pochwalić, gdyż już niewiele z tego pamiętał. Od tej pory musiał opisywać Albertowi różne rodzaje stoków, śniegu, sprzęt; wszystko, co miało związek z nartami. Mały był bardzo bystry i natychmiast wyławiał wszelkie próby zmyślenia nieodmiennym: „Nie nawijaj stary, mów, jak

było naprawdę”. Albert był pasjonatem narciarstwa, interesowało go wszystko z tym związane, czasami wymyślał historyjki o tym, jak to on sam jeździł na nartach i opowiadał je Rudowi. Wypytywał potem, czy nie robi błędów rzeczowych i czy tak można by było jeździć. Rud potakiwał, czasem coś uzupełniał.

Nie mógł się natomiast doczekać, kiedy przyjdzie Brązowy Kapturek, jak w myślach nazywał Patrycję.

Kiedys przyszedł młody człowiek. Rudowi wydał się skądś znajomy. Bardzo przypominał mu kogoś, nieco niższy od Ruda, nieco drobniejszy.

– Cześć, Ruder. Wychodzę stąd. Przyszedłem cię zobaczyć i pożegnać się – powiedział.

– Skąd my się znamy? Przypomnij mi – Rud zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć i pomóc pamięci.

– Nieważne. Ja cię znam. Nie chciałeś nauczyć mnie łowić ryb. Byłeś dobrym wędkarzem i ja też mogłem być dobrym wędkarzem.

– Tu nie ma ryb – odpowiedział Rud, nie mogąc sobie przypomnieć, skąd go zna. Tamten wzruszył ramionami.

– Właśnie dlatego. Teraz jest już za późno. No, to cześć. Ciekawe, czy do zobaczenia – powiedział, odchodząc.

– Jak się nazywasz? – rzucił za nim Rud.

– Rolf. Nic ci to nie powie, sam wybrałem sobie to imię. Rud długo za nim patrzył. Sylwetka, wygląd były znajome.

Dopiero goląc się przed lustrem, dokonał odkrycia: Rolf wyglądał niemal jak kopia Ruda, może nieco drobniejszy, nieco młodszy. Jediną różnicą były zielononiebieskie oczy, jak oczy Dianny.

Maria nie przychodziła nadal. Kiedys wysiadując swoją ławkę, dostrzegł charakterystyczną, tuptającą sylwetkę w brązowym kapturku i pod małym parasolem.

– Patrycja! – zawołał.

Odwróciła bezwłosą twarzączkę embriona, krzywiąc się, bo właśnie zawiąło słodkawym dymem od szpitalnego krematorium.

– Masz ochotę posiedzieć ze mną? – zapytał.

– Tak, ale niedługo. Śpieszy mi się – usłyszał w swojej głowie.

Podeszła bliżej, a on podstawił jej dłoń, następnie uniósł jak kruszynę i pozwolił zejść na siedzenie ławki.

– Gdzie się tak śpieszysz? – zapytał, przesiadając się tak, aby ją osłonić od słońca. Znowu zapomniał usiąść z, właściwej strony.

– Oglądam przychodzące transporty. Lubię patrzeć na nowo przybywających.

– Oglądasz? – zdziwił się Rud. – Nigdy nie widziałem, żeby nienarodzeni przyglądali się transportom.

– Jest takie miejsce, z którego nas nie widać. Tam jest galeria widokowa dla nienarodzonych, ale mało kto przychodzi... To jest na dachu tego budynku, do którego oni wchodzi; galeria jest zaraz za rynną.

– Oni idą na komisję, która ustala, kto ma iść na karę większą, a kto nie musi – powiedział Rud.

– Komisja decyduje?

– Nie, dostaje skądś gotowe papiery z decyzjami. Komisja administruje – tego dać tu, tego tam i tak dalej... Kupa papierkowej roboty.

– Nigdy nie widziałam, jak przychodzą nienarodzeni – usłyszał uwagę Patrycji.

– Są w tych blaszanych kubłach zamykanych na zatrzaski – odpowiedział i zaraz ugryzł się w język.

– Dlaczego przywożą nas w tych kubłach? – zapytała odruchowo, ale zaraz dodała – Myślałam, że nas zszywają gdzieś wcześniej... – umilkła. – Powiedziałaś Marii, o co cię prosiłem? – przerwał po chwili ciszę.

– Tak – Patrycja spuściła główkę, choć i tak nie potrafiłby niczego wyczytać z jej twarzyczki.

– Co powiedziała? – nalegał.

– Maria jest dość biedna. Chce oszczędzić trochę jedzenia, żeby ci przynieść jakiś prezent.

– Jedzenie?... Prezent? – nie rozumiał. Bez sensu... Nie mogło mu się to pomieścić w głowie – Słuchaj, Patrycjo, powiedz Marii, że jedzenia mam pod dostatkiem. Ją chciałem zobaczyć, nie prezenty. Mogę ją zaopatrzyć, w co tylko będzie chciała. Żarcia mam potąd – zaznaczył dłonią poprzeczny ruch na wysokości gardła.

– Już pójdę. Zestaw mnie na ścieżkę.

– Proszę cię, nie zapomnij jej tego powtórzyć – powiedział za odchodzącą Patrycja. Pokiwała główką w brunatnym kapturku i odeszła w kierunku budynku przyjęć.

Rud zaczął czyścić paznokcie. Był po kolejnej operacji plastycznej, którą kupił sobie za zarobioną żywność. Obecnie miał wszystkie palce u rąk i każdy z nich ze zgrabnym paznokciem. Przed karą nie miałem ładniejszych paznokci – stwierdził z uznaniem, gdy czarne obwódki zamieniły się na białe.

XVII

Maria przyszła po paru dniach. Rud nie wiedział, jak zacząć rozmowę, gdy ujrzał ją z bliska: Była taka delikatna, taka kobieca i taka inna, nie pasująca do otoczenia.

– Cześć – powiedziała i usiadła obok na ławce.

Nadal nie odzyskiwał pewności siebie. Zauważył, że Maria ma szarawą, niezdrową, bladą cerę.

– Nie mogłem się doczekać twojego przyjścia – powiedział wreszcie. – Źle wyglądasz.

– Rzadko wychodzę z baraku – odpowiedziała po chwili milczenia.

– Nie pracujesz?

– Nie muszę.

– Maria, czy nie potrzebujesz jedzenia? Nie wyglądasz dobrze. – Chwilę się zastanawiała.

– Dobrze – powiedziała po namyśle. – Wezmę jedzenie. – Tego nigdy dość. Kiedy mogę po nie przyjść?

Mroził go jej ton pełen lęku. Nadal mi nie ufa, czy co? – pomyślał.

– Maria, ja nie jestem żadnym strażnikiem ani przodownikiem, ani nigdy nie byłem – powiedział z naciskiem.

– Wiem. Mówiłeś mi to już wcześniej – Znów ten ton i nieufna mina. Zaczęło go to złościć dalej mi nie wierzy, czy co?

– Przyjdź jutro, to przyniosę jakieś jedzenie – powiedział głośno.

– Dobrze – odpowiedziała i pożegnała się pośpiesznie.

XVIII

Następnego dnia przyszła punktualnie. Rud dał jej cztery bochny czarnego chleba – niemal cały zapas, jaki miał odłożony, dołożył dwa grube plastry salcesonu, zawinięte w szary papier pakunkowy. Nie chciała przy nim jeść, lecz wszystko zawinęła do dużej chusty. Tytoniu ani gumy do żucia nie wzięła w ogóle. Pomógł jej założyć tobół przez głowę tak, że ładunek wypadał na plecach, a węzeł miała pod szyją. Rud był rozżłoszczony: chciał z nią chociaż porozmawiać, a spotkanie ograniczyło się do przepakowania żywności. Uraziło to jego dumę.

Było jeszcze kilka takich spotkań. Za każdym razem podobnie. W sumie, nie zamienili więcej niż dwieście słów. Przypuszczał, że ona wie, jak został okaleczony w czasie odbywania kary większej, i zdołał pogodzić się z tym, że ich spotkania muszą ograniczać się do wymiany towarowej. Wystarczał mu jej widok, przelotnie uchwycony zapach włosów, błysk oka, sposób poruszania się.

Raz spytał ją o przeszłość.

– Nic szczególnego – wzruszyła ramionami. – Osiemnaście lat życia spokojnej dziewczyny. Takiej samotniczki. Nic szczególnego dla ciebie.

Nie nawiązał rozmowy, choć wkrótce doszedł do wniosku, że to właśnie było czymś szczególnym.

Innym razem zapytał ją, co robi zjedzeniem.

– W naszym baraku głodują – odpowiedziała. – Wiesz, jak oni kaleczą kobiety podczas kary większej? Jakie strzępy ludzi wracają? Jak zmasakrowane? I jeszcze tutaj nie dają im jeść... – urwała, jakby w obawie, że powiedziała zbyt wiele.

– Ja byłem na karze większej, Maria – powiedział z naciskiem. – Mężczyzn też tam kaleczą.

– Pracowałeś przy przesłuchaniach?... – znów wrócił na jej twarz znajomy wyraz strachu.

Pokręcił przecząco głową: Chyba nigdy nie zdołam przekonać tego głuptasa... – pomyślał.

– Maria, ja odbyłem karę większą – mówił może zbyt stanowczo. – Wróciłem stamtąd zmasakrowany i okaleczony.

– Nie widać.

Pomyślał, że trudno by było ją przekonać, gdyż obecnie na jego ciele ślady okaleczenia zostały starannie usunięte przez szereg operacji plastycznych. Nawet rurka do sikania, kilkakrotnie poprawiana przez chirurgów, nie różniła się od tego, co zastępowała. Stare blizny zdążyły już zblednąć, a blizny po operacjach plastycznych były tak wąskie i tak zręcznie poukrywane w naturalnych zmarszczkach skóry, że trudno je było odszukać. Może zęby były zbyt równe i białe; może układ małżowin usznych nie był idealny, ale i tak skrywały je długie, gęste, czarne włosy, które po serii przesadzeń znakomicie pokrywały czaszkę. Właściwie są obecnie gęstsze, niż miałem je pod koniec pobytu po tamtej stronie... – pomyślał, gładząc się dłonią po włosach.

– Ależ masz śmieci we włosach – zmienił temat i zaczął lekko wyczesywać z pasm jej włosów jakieś źdźbła trawy czy suche listki. Nie broniła się, nawet przysunęła bliżej, aby nie musiał sięgać zbyt daleko. Jednocześnie wyczuł, że stała się jakoś tak wewnętrznie napięta, zeszywniała.

– Skąd tyle tego masz – powiedział, układając jej na dłoni kolejne źdźbła.

– Pewnie poduszka ma dziurę i siano z niej wyłazi – wyjaśniła – albo sypie się ze siennika, z pryczy nade mną. Tam leży taka staruszka, która kaszle całymi nocami i co kaszlnie, to sobie popuści, a rano zawsze na jej sienniku jest nowa, wilgotna plama... – Maria mówiła innym tonem. Zauważył, że była po raz pierwszy rozluźniona.

– Nigdy nie kapie, ale zawsze przemoknie – powiedziała. – Ma miarkę w oku, ile wypić przed snaniem...

– Ma miarkę w pęcherzu – stwierdził. Po raz pierwszy się roześmiała.

– Milenkowicz! – rozległ się za nimi głos Panfiłowej. – Rozmowa ze zdrowymi jest zabroniona. Czas wizyt jest kiedy indziej. Macie natychmiast zgłosić się do rejestracji.

Sprawa musiała być ważna, skoro Panfiłowa osobiście się po niego pofatygowała. Odszedł z Panfiłowa. Raz odwrócił głowę, by popatrzeć na Marię odchodzącą w przeciwnym kierunku i nieco zgarbioną pod zawiniątkiem; Ona również się wtedy odwróciła za nim. Złapał spojrzenie jej zielonych oczu. Zwykle przygasłe, teraz błyszcząły. Za bardzo rysowała się jej wydatna szczęka.

XIX

Póki handlował żywnością, nikomu to nie przeszkadzało. Gdy bezinteresownie zaczął dostarczać jedzenie dla współmieszkanek baraku Marii, natychmiast został usunięty ze szpitala. Wypisano go karnie. Od dawna nic mu nie dolegało, ale robił sobie jedną po drugiej kosmetyczne operacje, z których każda kosztowała wiele tytoniu, gumy do żucia, chleba i pasztetówki. Widocznie ktoś obawiał się, że sprawa stanie się zbyt znana i jeszcze tego samego dnia Rud znalazł się w swoim dotychczasowym baraku.

Neuheufla nie było, inni, aktywniejsi poszli, do pracy, a na pryczach, leżeli jedynie zgrzybiali, zdzięcinniali starcy. Kilku z nich, siedząc w kuczki na pryczach, kiwało się rytmicznie. W nie wietrzonej od rana sali smród był nie do wytrzymania. Większość z nich robiła pod siebie. Rud zdążył odwyknąć od tego zwykłego, barakowego zapachu. W szpitalu leżał w sali zaledwie ośmioosobowej.

Nie wytrzymał długo w tym smrodzie. Poszedł pod kiosk napić się oranżady. Miał wątplą nadzieję, że może spotka tam Marię.

Wokół kiosku, jak zwykle, panowało ożywienie, choć rozmowy prowadzono starczym mamlaniem warg. Jak oni potrafią się tak porozumiewać... – zastanawiał się Rud wielokrotnie.

Dzień był upalny. Rud stał w kolejce za otyłym, spoconym i dyszącym jak ryba zawałowcem. Za nim ustawiły się dwie pięćdziesięcioletnie, potwornie wychudzone kobiety. Rozmawiały o nowych transportach ze śledczą w furazerce z pentagramem. Śledcza mówiła, że lada dzień spodziewają się olbrzymich transportów w różnym wieku: młodych,

starych, kobiet, dzieci, ale najwięcej młodych mężczyzn.. Wówczas i w ośrodku zaczęło się dziać więcej. Rud z niechęcią patrzył na odległy las za drutami. Na samo wspomnienie wyprawy po drewno wierciło go w nosie. Jedna z chudych kobiet zadarła bluzę i pokazywała drugiej potwornie długą bliznę w poprzek pleców. Mówiła, że to po usunięciu zrakowacialej nerki.

Ktoś zerwał się od stolika i ruszył ku niemu.

– Elegant! – rozległ się ryk. – Wreszcie cię mam, ty skurwielu!

Eckhardt, czerwony z wściekłości, sunął ku Rudowi, jak rozjuszony byk.

– Ty skurwielu! Zachciewa ci się cudzych dziewczyn? To ci się odechce!

– Eckhardt zamachnął się obszernym cepem. Kolejka rozbiegła się na boki. Śledcza nie próbowała interweniować; nie była uzbrojona.

Rud zanurkował pod potężnym ramieniem, lecącym jak serce dzwonu. Zrobił to tak zręcznie, że Eckhardt nie zdążył wyhamować ciosu i z rozmachem palnął w drewnianą ścianę kiosku. Zadudniły deski. Zaciekawiona sprzedawczyni wychyliła się i zaczęła krzyczeć. Eckhardt skrzywił się z bólu, ścisnął stłuczoną garść. Jego przystojna twarz wykrzywiona cierpieniem nabrała bardziej myślącego wyrazu. Przeczekał pierwszy ból i znów się zamachnął. Nie wyciągał pałki, gdyż poprzednio za użycie służbowej pałki w prywatnej kłótni został ukarany pozbawieniem funkcji przodownika na miesiąc i ograniczeniem racji żywnościowej. Rud wiedziało tym i nie obawiał się czarnej, gumowej pałki tkwiącej za służbowym pasem Eckhardta.

Przez cały czas lżył Ruda i wykrzykiwał po to, aby go przestraszyć, a sobie dodać odwagi. Nazywał go „szpitalnym prominentem”, „nienasyconym dziwkarzem”, „wszą, co się podszywa pod strażnika”. Wykrzykiwał też szereg mniej skomplikowanych wyzwisk. Rud nie dawał się sprowokować i wyprowadzić z równowagi. Eckhardt machał ramionami

jak cepami ale niezbyt precyzyjne ciosy albo mijały Ruda, albo dawały się lekko parować. Rud nie uderzał silnie, aby nie angażować się w jeden cios. Parę razy celnie skontrował lewą, aż kształtna głowa Eckhardta odskoczyła do tyłu trafiona w podbródek. Jednakże nieustannie musiał cofać się pod naporem cięższego, silniejszego, choć wolniejszego przeciwnika.

Czekał na swój moment przez parę minut. Wreszcie, po kolejnym, skontrowanym ciosie Eckhardt odsłonił szczękę. Tym razem Rud pozwolił sobie na zamach. Potężny cios zatrzymał Eckhardta; półprzytomny zdołał machnąć bezsensownie ręką, usiłując jeszcze uderzyć. Drugi, jeszcze potężniejszy cios skosił go na ziemię.

Sycząc z bólu, Rud trzymał swoją prawą kiść w lewej. Potrzaskał sobie kości o szczękę przeciwnika. Żałował, że Maria nie widziała tego zwycięstwa.

XX

Rud nie miał przykrych konsekwencji z powodu bójki z Eckhardtem. Uratowały go zeznania śledczej, która widziała początek awantury. Śledcza nazywała się Kohlengruber i była protokółantką przy oględzinach Ruda, zaraz po przeniesieniu go z dołu na górę.

– Zmieniście się nie do poznania, Milenkowicz – powiedziała po zakończeniu rozprawy wyjaśniającej, gdy zamienili ze sobą parę słów. – Zupełnie nie widać, że macie protezę.

– Nie obcięli mi wtedy nogi – odpowiedział.

Kohlengruber mocno pachniała perfumami. Miała jaskrawoczerwone, długie paznokcie. Maria obcinała paznokcie krócej i nigdy ich nie malowała.

– Coś podobnego – zdziwiła się. – Nawet tak zmasakrowaną nogę zdołały uratować... Jaka to oszczędność. Wiecie, ile teraz kosztuje dobra proteza? Majątek. Nie wypłacilibyście się z tego – odpowiedziała na swoje własne pytanie.

Szurnięta baba – pomyślał – dobrze, że chociaż zeznawała z sensem.

Po dłuższej przerwie znów musiał zajmować się wypracowaniami Neuheufła, chociaż nie miał najmniejszej ochoty tego robić. Nie śmiał jednak zbuntować się otwarcie. Zdobyta w szpitalu pewność siebie nie wystarczała na Neuheufła. Rud mozolił się z niechlujnie wydrukowanymi tabelami. Skomplikowane metody wyliczeń wydawały się mętne i niepotrzebnie zawikłane.

– Nieźle wróciliście do normalnego wyglądu sprzed kary większej – powiedział Neuheufel, przyglądając mu się uważnie.

– Nie widać dosłownie żadnych różnic... żadnych blizn. Świetna robota. Wyciągnął z teczki duże, kolorowe zdjęcie Ruda.

– Podnieście no głowę znad papierów – powiedział, a następnie starannie porównywał twarz Ruda z fotografią. – Nie ma żadnych różnic – powtórzył. – Kara przeszła bez śladu.

– Jest ślad, i to zasadniczy – wypalił Rud. – Sikam przez doprawioną rurkę.

Zgodnie z niepisaną regułą nigdy nie wspomniano o tym. Nawet zgrzybiali starcy starali się unikać tego tematu i udawać, że jest jak przedtem, pomimo że z przodu na ich spodniach tworzyły się osady mocznika z zasychających kropel moczu. Niektórzy dodatkowo śmierdzieli kałem wydobywającym się nieustannie z zastępczych odbytów.

– Dalej macie tę samą rurkę co przedtem? – zapytał ironicznie Neuheufel.

– No nie... zrobili mi parę operacji plastycznych – przyznał Rud.

– Właśnie. I co? I jak teraz wygląda? Inaczej niż przed karą?

– Wygląda znakomicie. Identycznie jak przed karą, ale przecież nie tylko o to chodzi... – Rud nieco się speszył.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się Neuheufel. – Pewnie, że nie będzie wam się niczego chciało, jeśli zrecie brom garściami. Marusia sypie to świństwo do kawy łopata. A co wy myślicie, do cholery, Milenkowicz? – powiedział z naciskiem Neuheufel. – Że po co wszystkim daje się kawę? A po to, by żarli brom. Ładnie by to było, jakbyście jeszcze tu nam wszyscy zaczęli ganiać za babami, a baby za wami... Do tego nie można dopuścić w ośrodku.

Rud milczał zdumiony. Neuheufel, widząc, że go nie przekonał, powiedział z naciskiem: – Obecnie jesteście zupełnie zdrowym, normalnym mężczyzną, znakomicie wyprowadzonym medycznie z następstw kary

większej. To są znowu normalne części waszego ciała, nie przeszczepy i protezy. Wyglądacie identycznie jak wtedy, kiedy mieliście trzydziestkę, gdyż ten wiek i wygląd najbardziej wam odpowiada. Prawda, że odpowiada?

– Tak – odpowiedział Rud. Wydawało mu się, że skrzydła rosną mu u ramion.

– To znaczy, że nie tylko mój wygląd fizyczny, ale i stan powrócił już do normy? – upewnił się.

– Znaczy dokładnie tyle, co powiedziałem.

Zapanowało, milczenie. Rud wrócił do pracy. Chciał jak najszybciej spotkać się z Marią i powiedzieć to, co usłyszał. Chciał wykrzyczeć, że znów jest zdrowym człowiekiem. Starannie przepisywał kolumny liczb, a, następnie mnożył je lub dodawał.

– Właściwie, to wasze okaleczenie nie było sprawą obiektywną... – bąkał Neuheufel – To wy tak odbieraliście, było to waszą karą...

Rud nie odzywał się; nie zrozumiał.

– Zresztą... Myślałem, że domyśliliście, się tego sami, Milenkowicz – ciągnął Neuheufel – Goniliście jak opętani za tą małolatą z baraku 971 C.

– Za Marią?... – wyrwało mu się.

– Nie lubię tego imienia – Nauheufel skrzywił się niechętnie. – Nie powinni go nadawać nikomu.

– Zresztą to wyjątkowo nieładna dziewczyna – dodał, grzebiąc w teczce, – Taka blada, ta skóra aż szarawa i przezroczyta, jakby przeświecał przez nią podskórny, tłuszcz... Te włosy takie nijakie, właściwie bezbarwne, jeśli, zapomni je sobie rozjaśnić... – ciągnął z pogardą w głosie, – A ta wysunięta szczena, to musi być niezły charakterek... Rybie oczy i takie matowe, bez połysku, nieruchawe jak u embriona... Usta blade, sutki blade... – ciągnął dalej, jakby sobie przypomniawszy – zbudowana koszmarnie dupa jak

komoda, jeszcze do tego taka przetrącona... Lewy cycek dwa razy większy niż prawy. Jeden celuje w górę, drugi w dół... – zachichotał obleśnie Neuheufel, kciukami pokazując kierunki wskazywane przez sutki.

– Kłamiesz, ty cholerna świni! Odpieprz się od niej! – wrzasnął Rud i jak dziki kot rzucił się ku Neuheufłowi, chcąc złapać go za gardło. Gdzieś w bok poleciało krzesło, posypały się papiery z biurka. Przerażeni starcy kulili się na pryczach.

Neuheufel lekko machnął ręką, trafiając Ruda w trakcie skoku.. Rud jak piórko odskoczył w bok i potoczył się po podłodze.. Siła ciosu Neuheufła była nieprawdopodobna.

– Ty? Do mnie? Do śledczego? – powiedział. Nawet nie podniósł głosu.

Rud potłuczony i obolały zbierał się z zaszczanej podłogi. O drewniany bok pryczy rozciął sobie skórę na skroni.

– Chodź tu, gównu – zakomenderował Neuheufel. – Ty też sobie pooglądaj.

Dał mu dużą kartkę. Rud milczał. Miał przed sobą duże kolorowe zdjęcie nagiej Marii. Zapewne jedno z takich zdjęć dokumentacyjnych, o których wspominał kiedyś Jose. W górnym rogu był mały pentagram i numer Marii. Zdjęcie przedstawiało stojącą w lekkim rozkroku Marię; z przodu, z obu boków i z tyłu. Była zbudowana brzydko: nierównej wielkości piersi o nieproporcjonalnie dużych brodawkach, szerokie, bardzo niezgrabne biodra. Pomimo to Rud przyglądał się zdjęciu z wielkim zainteresowaniem: pierwszy raz widział Marię nagą. Jej twarz miała w sobie coś nieuchwytnie odpychającego, jakiś obrzydliwy półśmiech tłumionej, nieposkromionej, zwierzęcej żądz – Wystarczy – powiedział Neuheufel i odebrał odbitkę Rudowi. To jest z archiwum. Teraz możecie: tu posprzątać, Milenkowicz; postawić krzesło i poukładać papiery.

XXI

Za atak na Neuheufela został ukarany zakazem opuszczania baraku przez tydzień. Kara wydała mu się nieoczekiwanie niską.

Odsiedział tydzień w smrodzie i półmroku. Obrażony Neuheufel nie pojawił się w ciągu całego tygodnia. W. zamian przychodził regularnie Holzbucher i z reguły zlecał Rudowi szorowanie podłogi. Rud nie protestował, gdyż spodziewał się czegoś gorszego, a i lepiej pielęgnowana podłoga zyskała, bo stała się jaśniejsza i mniej cuchnęła moczem.

Dopiero teraz zauważył, że starcy głodowali. W czasie posiłków byli często pomijani albo dostawali rzadką zupę z wierzchu kotła. Szczególnie tracili ci którzy nie mogli się ruszać ze swoich prycz.

Po siedmiu dniach Holzbucher zignorował obecność Ruda na sali i nie wydał mu żadnych poleceń. Oznaczało to, że areszt się skończył. Rud postanowił odszukać Marię. Szczęśliwie, zapamiętał numer baraku, który wymienił Neuheufel.

Przebrał się w swoją najlepszą kurtkę strażnika, także spodnie, buty z dermy i wojskową czapkę. Chciał wyglądać jak najlepiej. Odnalezienie baraku 971C nie powinno być trudne, gdyż rzędy baraków numerowano kolejnymi liczbami i oznaczano w widocznym miejscu.

Dzień był słoneczny, ale dość chłodny, po niebie mknęły pierzaste, białe obłoki. Wiał silny wiatr, który wznosił obozowymi ulicami tumany pyłu, gdyż od dawna nie padało. Rud szedł ponad godzinę, zanim dotarł do rzędu 971. Dopiero teraz zrozumiał, jak mało prawdopodobne było tamto spotkanie przy oranżadzie. Postanowił spytać Marię, dlaczego wtedy odeszła aż tak daleko od swojego baraku. Przez całą następną godzinę

szukał baraku C; pytał spotykane kobiety, strażniczki. Wszystkie patrzyły na niego podejrzliwie, gdyż niewielu mężczyzn zapuszczało się w rejon obozów kobiecych, a jego strój budził dodatkowe wątpliwości.

Do baraku kobiecego nie wolno mu było wejść, więc poprosił, zgodnie z regulaminem, którąś ze snujących się podopiecznych, aby wywołała kuratorkę.

Wyszła tęga, niska kobieta o szerokiej twarzy, jeszcze dopinając ostatnie guziki bluzy munduru. Jedną z szybek okularów miała pękniętą. Na widok Ruda poprawiła furażerkę, wciśniętą na brunatne włosy i chyba nawet chciała zsalutować, zanim zorientowała się, po braku pentagramu na jego czapce, że nie ma przed sobą strażnika.

- Czego chcecie? – burknęła niezycyliwie, nabierając pewności siebie.
- Chciałem mówić z Marią. Skrzywiła się na dźwięk tego imienia.
- Mamy ich tu kilkanaście. Z którą? – zapytała. – Jak się nazywa?
- Nie wiem – stropił się Rud. – Taka młoda...
- Nienarodzona?
- Nie. Młoda, znaczy najwyżej osiemnaście lat. Piękna.
- Bez śladów sekcji? Nie odbywała kary większej? – strażniczka spojrzała bystro.
- Raczej tak... – tego też nie był pewien.
- No to wiecie czy nie wiecie, z kim chcieliście mówić, Milenkowicz? – powiedziała twardo.
- Chcę mówić z Marią. Mogę opisać, jak wygląda...
- Nie trzeba – przerwała strażniczka. – Ja tu jestem kuratorką i chyba lepiej wiem, o kogo chodzi. Ona przynosiła kradzione jedzenie ze szpitala, prawda?

Rud nie odpowiedział, ale oznaczało to potwierdzenie.

– To nie było kradzione jedzenie – powiedział po chwili, zrozumiałwszy, że jego milczenie może zaszkodzić Marii. – Ona dostawała to jedzenie ode mnie.

– Nieważne. To już nie ma znaczenia. Jej tu nie ma.

– Jak to, nie ma? Co jej zrobiliście za to przynoszone jedzenie?

– Uspokójcie się, Milenkowicz. Nic jej nie zrobiliśmy. Po prostu zakończyła okres przygotowawczy.

– Zakończyła... – niepewnie powtórzył, jakby to jeszcze do niego nie dotarło.

Kuratką wzruszyła ramionami.

– Do kobiecego baraku wchodzić wam nie wolno, pamiętajcie – rzuciła przez ramię i zniknęła we wnętrzu.

XXII

Jednak próbował tam się dostać, ale było to niemożliwe: Nie był w stanie sforsować progu. Każda próba napotykała opór wewnętrzny; Rud pocił się, dostawał zimnych dreszczy, ale nie mógł przekroczyć krytycznej linii.

– Zahipnotyzowali mnie, czy co... – myślał, nie mogąc uwierzyć. W końcu zrezygnował ostatecznie.

Załamany powlókł się zapyłoną drogą wśród baraków z przegniłych, czarnych desek.

– Ruder! – rozległ się okrzyk w środku jego mózgu. Ruder drgnął i rozejrzał się.

– Spaceruję już ponad godzinę, ale jeśli posadzisz mnie na ławce, to chętnie z tobą pogadam – znowu mówiło wewnątrz głowy.

Dopiero teraz dostrzegł charakterystyczną, maleńką sylwetkę Brunatnego Kapturka stojącą w cieniu baraku.

– Patrycja! – ucieszył się.

Mała istotka wspięła się na jego, dłoń. Usiadł na ławce, a Patrycję ustawił obok siebie. Tym razem ułożyła się, skręcając się w kłębuszek.

– Zmęczona jestem tym łożeniem, to sobie poleżę – wyjaśniła.

Nienarodzeni nigdy nie przyjmowali pozy embriona przy narodzonych, w ten sposób starali się podkreślić swoje człowieczeństwo. To, że tak się ułożyła przy Rudzie, świadczyło o dużej zażyłości.

– Powiedz mi, co jest z Marią – zaczął. – Koniecznie chcę ją zobaczyć.

– Niestety, Ruder. Marii już tu nie ma. Skończyła pobyt w ośrodku – dźwięczało w jego mózgu. – Wczoraj się ze mną pożegnała.

– O mnie zapomniała – powiedział głucho Rud. – Potrzebny jej byłem tylko, żeby załatwić żarcie dla koleżanek.

– Nie krzywdź jej – skarcił go głos wewnątrz własnej głowy. – Maria przez tydzień, dzień po dniu przychodziła pod twój barak, żeby cię zobaczyć, i ani razu nie wyszedłeś, nawet przypadkiem. Dwie godziny w jedną, dwie w drugą stronę... pamiętaj.

– Tak blisko była... – zdziwił się. – A ja odsiadywałem karę, właśnie tydzień aresztu. Dzisiaj skończyłem odsiadkę. Gdyby chociaż podeszła do okna, mógłbym ją zobaczyć...

– Gdyby wiedziała, że chcesz ją zobaczyć.

– Co ci skurwiele – uniósł się – co ci skurwiele nagadali Marii? Że co? Że nie chcę jej widzieć?

– Maria mi powiedziała, że prawdopodobnie miałeś nieprzyjemności o to wynoszenie jedzenia i obraziłeś się na nią.

Rud milczał.

– Jestem zaskoczony – powiedział po chwili – że mogła tak myśleć. Przecież zrobiłbym wszystko, czego by chciała. Dla niej.

– Byłeś zawsze taki pewny siebie, stanowczy, zdecydowany... – mówiła Patrycja. – Po prostu mówiłeś, czego od niej chcesz, i dostawałeś. Bała się tego. Widzisz Maria dużo mi się zwierzała. Ona się w tobie zakochała ód pierwszego wejrzenia od razu. Walczyła z tym uczuciem, gdyż uważała, że jesteś jednym ze strażników, a ona nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Dlatego i cię próbowała z początku unikać, chociaż było to ponad jej siły. Tak mówiła.

– Przecież ja nie jestem strażnikiem nigdy nawet nie byłem przodownikiem. Tylko noszę ich strój, bo jest ładniejszy od łańców ośrodkowych.

– Kto tam dokładnie teraz wie. Śledczy, strażnicy czy kuratorzy stosują różne metody. Skąd miała wiedzieć, zanim sam jej nie powiedziałeś.

– Ja też zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie zdążyłem jej o tym powiedzieć.

– Tego nie wiadomo. Wiem, że Maria ciebie kochała. A ty, Ruder? Wczoraj Dianna, dzisiaj Maria, może jutro przywiozą w transporcie jakąś inną dziewczynę.

– Jak możesz? – uniósł się. – Jak możesz tak do mnie mówić?... A kim ty właściwie jesteś, że tak mówisz o mnie?

–: Masz rację... – Patrycja spuściła główkę. – Jestem nikim. Dziewczynką, której nie pozwolono się urodzić; embrionem rozerwanym na strzępy przez łyżeczki chirurgiczne. Nie mani prawa sądzić ludzi, których serca zostały okaleczone przez walkę z innymi ludźmi. Z pewnością sama nie byłabym lepsza.

– Przepraszam cię. Nie chciałem cię dotknąć, Patrycjo – zrobiło mu się jej żal – Neuheufel mówił, że już niemal zakończyłem okres przystosowania, więc z pewnością wkrótce opuszczę ośrodek. Wtedy odszukam Marię i powiem to, czego nie zdążyłem powiedzieć.

Patrycja milczała.

– Bo, widzisz... Ja myślałem, że ona mnie unika, gdyż zostałem okaleczony podczas kary większej, dlatego nie chciałem się narzucać. Teraz – znowu jestem normalny i chciałem jej o tym powiedzieć.

– Bez sensu, Ruder. Każdy wraca z kary większej tak samo okaleczony.

Twarz Ruda wyrażała bezbrzeżne zdumienie. – ...i każdy wolniej lub szybciej wraca do stanu normalnego. Ci, którzy nie byli na karze większej jak ja albo ona, to wiedzą. Nie trzeba tego mówić. To jest zwykłe, ale mijają; Zresztą, my możemy więcej, na przykład możemy widzieć, jak taka

pozszywana gojąca – się twarz wyglądała przed karą i jak będzie znów wyglądała po tej karze.

– Czyli wtedy, gdy ją zobaczyłem pierwszy raz, to ona nie widziała tej mojej koszmarnej zmasakrowanej gęby, tylko normalną twarz?... – zapytał.

Nie wiem. Jeśli chciała, mogła widzieć normalną twarz. Nie wiem; nie mówiła mi o tym.

Znowu milczeli.

– Wiesz, ci śledczy mają swoje sposoby. Neuheufel, żeby mnie do niej zniechęcić, pokazywał mi zdjęcia rejestracyjne nagiej Marii. Takiej jakości, że widać każdy szczegół. Żebym widział wszystkie wady jej budowy. Wiesz, że jedną pierś miała znacznie większą niż drugą i że miała takie załamane, bardzo niezgrabne biodra – powiedział. – Ale jakoś...

– To nieprawda – przerwała mu stanowczo Patrycja. – Maria miała jednakowe piersi. Na pewno.

– Skąd wiesz?

– Wiem, bo je widziałam – zawstydzila się. – Prosiłam ją, żeby mi pokazała, jak wyglądają piersi kobiety... Muszę to wiedzieć, bo opuszczając ośrodek, będę decydować, w jakim wieku chcę mieć ciało.

Rud siłą po wstrzymywał się, aby jej nie wypytywać, jak tamte piersi wyglądały.

– Jeszcze z jednego powodu... – słowa docierały do jego głowy cicho i jakoś tak niepewnie, jakby Patrycja bardzo się wstydzila. – Chciałam, żeby mnie pottrzymała przy piersi jak matka niemowlę... żeby zobaczyć, jak to jest.

– I co?

– I nic. Nie udało się, bo koniuszek piersi nie chciał się zmieścić w moich ustach.

– Chyba też nie była tak niezgrabna. Przecież gdyby miała przetrącone biodra, to bez trudu bym zauważył... przecież widziałem jej sylwetkę, jak chodzi, jak się rusza...

– Pewnie podsunęli zdjęcie innej dziewczyny, Maria nie mówiła mi, że komuś pozwoliła fotografować się nago.

– Nie. Twarz była Marii – zaprzeczył. – Chociaż ta twarz też jakaś obca, taka obrzmiąta, obleśna, aż napuchła od tłumionej, nienasycalnej żądz.

– Chciała w sobie stłumić uczucie do ciebie. Z tym walczyła – powiedziała Patrycja: – A w ogóle, to co to były za zdjęcia?

– No, takie z rejestracji i z przepisowym pentagramem i numerem ewidencyjnym – odpowiedział.

– Nie daj się ogłupić, Ruder. Przecież oni żadnych takich zdjęć nie robią, bo nie mają prawa robić. Sądzę, że Neuheufel to sfabrykował, żeby obserwować twoją reakcję. Gdyby była wyzywająca i rozwalona jak na zdjęciach pornograficznych, to byś nie uwierzył, więc zrobił inteligentniej.

– Sądziś, że celowo sprowokował bójkę, żeby mieć pretekst do zaareztowania mnie, bym nie mógł zobaczyć się z Marią? – powiedział do siebie. – Ale skurwiel... I to ma być Niebo – dodał z ironią.

– Ach, Niebo... – westchnęła Patrycja. – Wiesz, że niedługo stąd wychodzę?

– Tak?

– Chciałam przedtem zobaczyć moich... tych dwoje, co nie chcieli zostać moimi rodzicami... podobno są tu jeszcze.

– Naprawdę chciałybyś ich widzieć?

– Wiesz, Ruder, właśnie tak mówi niemal każdy nienarodzony. Każdy się zarzeka, że nie. Ale pod koniec niemal każdy idzie ich spotkać... tak jakoś... żeby wiedzieć. Żeby ich zobaczyć. Oboje.

– Będziesz z nimi rozmawiać?

– Parę przypadkowych słów – wzruszyła ramionami. – Nie chcę, żeby się domyślili.

Ruder zamilkł.

XXIII

Rud doszedł do wniosku, że nie, ma sensu awanturować się z Neuheuflem, gdyż mogło to jedynie zaszkodzić. Nie warto było zadzierać, by nie opóźnić spotkania z Marią. Ostatecznie śledczy był w jakimś stopniu jego dobroczyńcą. Nawet zdobył się na to, aby przeprosić Neuheufła za swój wybuch. Przeprosiny zostały przyjęte ze zrozumieniem. Nieokrzesany śledczy najwyraźniej na swój sposób lubił tego podopiecznego. Rud znów pisywał wypracowania Neuheufła lub rozwiązywał jego problemy arytmetyczne. Jedynie stał się ostrożniejszy, bardziej skryty. Zdarzało się nawet, że dzielił się swoim jedzeniem z niedołącznymi starcami, którzy nie wstawali ze swoich pryczy. Nie robił tego z litości, lecz dlatego, że Maria tak robiła.

– Wiecie, Neuheufel, inaczej wyobrażałem sobie Niebo – kiedyś zaczął rozmowę ze, śledczym. Zbyt długo gryzły go wątpliwości i w końcu nie wytrzymał. – Przede wszystkim brakuje mi tu...

– Tu nie może ci nikogo brakować – przerwał mu Neuheufel. Był w dobrym nastroju; syty, sączył przez zęby mocną kawę i, swoim zwyczajem, spluwał fusami na podłogę. Wypracowanie zyskało wysoką cenzurę i był życzliwie nastawiony do Ruda. – Każdy tu kiedyś był...Galilejczyk też... Doskonale pamiętam ten dzień, chociaż to było tak dawno – Neuheufel zamyślił się. – Przywieźli Go w piątek po fajerancie. Wszyscy, chłopaki się zlecieli, żeby zobaczyć. Sam komendant prowadził przesłuchanie. Ja, tam, nie mogłem przyjść, bo miałem służbę na dole, ale potem chłopaki opowiadali... Holzbucher sam widział... A potem, nie?, jak stąd wychodził, to dopiero było, chłopie – zamyślony Neuheufel zwracał się do Ruda jak do

kolegi, nie do podopiecznego. – Jakie światło poszło... mówię ci... takie białe. Wszystko było przez ściany widać. Nie dało się pracować. Musieliśmy przerwać wszystkie przesłuchania, co do jednego. Potem zaczęły się zwolnienia. Póki nie dostali uzupełnień, było mniej roboty. Wiesz, przesłuchiwałem jednego z tych dwóch, co przyszli z Nim. Dotąd siedzi. Drugi zaraz dostał wypis. Wyszedł prawie równo z Galilejczykiem: – Jego... Jego... On... On... – powtarzał z wysiłkiem Rud – Neuheufel, ja nie mogę wymówić Jego imienia...

– Tu nie możesz – powiedział Neuheufel – nikt nie może.

– Neuheufel, przecież w Niebie wszyscy mają słać Jego imię – to był niemal szloch.

– A kto ci powiedział, że tu Niebo, głupcze – twarz Neuheufela tężała w znajomym wyrazie.

– Wy powiedzieliście, Neuheufel, w sali przesłuchań, jeszcze na dole – wypalił Rud.

Neuheufel wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Och – powiedział – każdemu się tak mówi. To jest zwykły punkt procedury. Chodzi o poprawienie samopoczucia podopiecznego. Zresztą, czuliście się tu jak w Niebie, prawda? Zwyczajnie: odbywacie teraz karę mniejszą.

– Karę mniejszą?

– Tak, dla was kara mniejsza to upokorzenie, kara większa to ból. Nie można bez końca kary większej, bo mógłbyś się przyzwyczaić, a nie o to chodzi. Dlatego okresy kary większej muszą być przeplatane okresami lżejszymi, kary mniejszej, abyś nie utracił skali cierpienia.

– Jak długo trwa kara? – rzucił Rud, czując jak strach zaczyna ścisnąć go za gardło.

– Różnie. Wiesz przecież, że dla jednych będzie trwało na zawsze, dla innych się skończy, jeszcze inni idą tylko na karę mniejszą. Każdy okres kary mniejszej jest dla nich szansą, z której nie korzystają. Widzisz, to tkwi w nich samych – obserwuję ich od wielu pokoleń – oni tutaj są dokładnie tacy sami, jakimi byli po tamtej stronie, ani trochę lepsi. Gdy ból ustanie, wracają do starych nawyków. Nie chcą być inni. Popatrz na samego siebie: ledwie bezpośredni ból fizyczny ustał, wróciłeś do tego samego, od razu te twoje kombinacje, machinacje i gonitwa za babami. Gdybyś się wcześniej zorientował, że znów jesteś w formie, to byś pewnie zdążył uwieść tę swoją... I wy chcecie stąd wyjść, Milenkowicz? – zakończył pytaniem.

– Neuheufel, czy ja stąd kiedyś wyjdę? – zaszlochał Rud.

– Co wy?! Co wy, Milenkowicz?! – ryknął odmieniony Neuheufel. – Chcecie, żebym naruszył tajemnicę służbową? Sami poszukajcie odpowiedzi w swoim sercu, a nie pytajcie mnie...

– Kiedyś powiedzieliście, że okres mojego przystosowania dobiega końca, to znaczy kara mniejsza dobiega końca. To co teraz będzie ze mną?

– Rud odważył się zadać kolejne pytanie.

– Dzisiaj to już nie jest tajemnica – Neuheufel obojętnie wzruszył ramionami. – Pójdziecie znowu odbywać karę większą. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Ile mi jeszcze zostało czasu? Kiedy mnie wezmą na dół? – – Jutro.

Waterloo, Kwiecień – maj 1990

OSTATNI, KTÓRZY WYSZLI Z
RAJU

I

W pokoju komputerowym paliły się trzy przepisowe żarówki czterdziestowatowe. Prawie wystarczały, gdyż od świetlistych znaków rysujących się na ekranach szła mocna, złota lub sinawa poświata; jedynie kartki z notatkami trzeba było zadzierać pod sam nos, żeby coś dojrzeć. Oszczędności energetyczne dotknęły też Uniwersytet w Maratheon, a niedawne cięcia budżetu uczelni dodały się do tych ograniczeń.

Przynajmniej w ciemnościach nie widać, że budynek wydziału potrzebuje generalnego remontu: nie widać brudnych ścian, szczelin w murach czy wiszących nitek pajęczyny, których nikt nie sprzątał, bo większość pracowników obsługi dawno już pozwalniano.

Graham Jager usiadł na wolnym stanowisku. Drewniany stołek kiwał się na wszystkie strony, grożąc, że lada moment rozsypie się. Przy sąsiednim stanowisku pracował profesor Ebahlom. Stary i tłusty, na uporządkowanym, zadbanym Grahamie sprawiał wrażenie niechluja: zawsze jakby w tej samej kraciastej koszuli flanelowej; zawsze rozchełstanej pod szyją i ukazującej skłębione siwo – czarne kudły na szerokiej piersi, przypominające futro; koszuli desperacko walczącej rozciągniętymi dziurkami od guzików, by spaśle brzuszysko Ebahloma zupełnie nie wylazło na wierzch. Przez rozłazące się poły koszuli i tak wyzierały gęste włosy porastające brzuszysko profesora. Wrażenia włochości dopełniała broda: choć przystrzyżona, wyrastała niemal spod samych oczu starego i nawet wąskimi szlaczkami łączyła się z brwiami. Jednakże wyżej włosy Ebahloma szybko rzedły, odsłaniając masywny czerep z mocno sklepionymi łukami nad oczyma i idącym przez środek, nieznacznym karbem kostnym. Całą tę

okazała, śniadą łysinę gęsto pokrywały czarne piegi. Jak to emigrant, Ebahlom sączył tajemnicze wonne ziółka, które wcześniej zaparzył w swoim biurze; też jak emigrant zajmował się astrofizyką.

Graham skinął przyjaźnie.

– Od paru dni nie biegales przed śniadaniem – zauważył Ebahlom. Zawsze lubił głądzić, w sumie było to przyjazne, ale męzące; również bieganie w towarzystwie stękającego, sapiącego i nieustannie gadającego Ebahloma było męzące. Graham zwykle starał się go unikać, chociaż nie zawsze było to możliwe.

– Złapałem wirusa. Przeziębilem się, Gino – odpowiedział.

Ebahlom skinął głową, nie przestając patrzeć w ekran. Oznaczało to, że zbyt pochłania go praca i nie zamierza rozpoczynać pogawędki. Jego krótkie, masywne palce wprawnie biegały po klawiaturze. Graham dotąd nie nauczył się pisać dziesięcioma palcami i zazdrośnie łytał na tempo pracy Ebahloma. Zauważył, że wierzch dłoni tamtego porastają gęste, czarne kudły. Na palcach, nawet koło paznokci, miał siwo – czarne kępkę szczeciny.

Przy sąsiednim stanowisku usiadł Heevers z wydziału biologii. W ramach oszczędności, a także dlatego, że stale ubywało sprawnych komputerów, wszystkiej jeszcze czynne zgromadzono w jednym pomieszczeniu. Zwykle tworzyła się długa kolejka oczekujących naukowców, ale około północy na ogół można było znaleźć wolne stanowisko.

Słabo syknęła otwarta przez Jagera puszcza coli. Dała się pić, ale miała wstrętny, metaliczny posmak rozkładającego się opakowania. Odkąd ekolodzy wymogli szerokie stosowanie opakowań przyjaznych dla otoczenia, puszczy robiono z blach szybko korodujących. Opakowania przyjazne dla otoczenia przestały być przyjazne dla użytkowników.

Ebahlom sapał i stękał, pracując. Widać, były to jego nieodłączne odgłosy. Przez aromat ziółek przebijał się nieznaczny sztych zapachu jego potu.

Bardzo wysoki i nieprawdopodobnie suchy jak tyka, Heevers pośpiesznie chłeptał gorzką kawę z rozłażącego się papierowego kubka. Każdy z nich pił, by pokonać ogarniającą senność i jak najefektywniej wykorzystać cenne minuty przy klawiaturze. Jager już rano wykorzystał dzisiejszą kartkę na kawę i teraz musiał wysadzić się na colę. Heevers też był łysy jak Ebahlom, ale bez tej rozległej masywności; jego mała, różowa łysina wystawała spomiędzy rzadkich, płowych, piórkowatych kosmyków, jak głowa sępa. Ten, dla odmiany, obdarzał Jagera smrodem swoich przeпоconych po całodzienniej pracy skarpetek. Przy wejściu utworzyła się już kolejka kilku oczekujących osób; rozmawiali półgłosem. Chytrusów, którzy przewidują pustki w pokoju komputerowym w nocy, było coraz więcej. W kolejce rozmawiano o kolejnej podwyżce cen biletów komunikacji miejskiej; codzienna „Maratheon Chronicle” także podróżowała o kolejne dwanaście dolarów.

Jager starał się pracować jak najszybciej. Każda minuta pracy obciążała jego i tak już mocno okrojony grant naukowy. Dobrze, że armia nadal interesowała się badaniami powierzchni metali. Dzięki temu jego zespół mógł jeszcze jako tako funkcjonować, podczas gdy wiele innych grup praktycznie zaprzestało badań naukowych. Rozpędzał się w pracy. Sporządzał roczny raport ze swoich wyników. Za tydzień mieli po odbiór przyjechać szefowie Narodowej Akademii w towarzystwie nieodłącznego „ucha” z Rady Naukowej Uniwersytetu, może też kilku oficerów z lotnictwa, albo nawet jakiegoś jajogłowego z Sił Przestrzennych. Jager wprawnie kreślił rysunki i tabelki. Normalnie nie użyłby do tego komputera, ale papier i ołówek, lecz roczny raport decydował o dotacjach

na rok przyszły, dlatego musiał wyglądać korzystnie, bez względu na koszty.

Nagle rozległ się żaloszny pisk, a obraz na ekranie zbiegł się w złocisty punkt i zniknął. Zrobiło się całkiem ciemno. Rozległy się przekleństwa. Ktoś zaklął, ktoś zapalił zapałkę. Ze skrytki bezpieczeństwa wydobyto kilka ogarków i zaraz się rozjaśniło. Nie było wiadomo, czy to awaria, czy może nowe oszczędnościowe ustalenie rektora.

– Idziesz na przystanek czy jeszcze popracujesz u siebie w biurze, Graham? – rzucił Heevers; – Pewnie zgasło na całym kampusie. Idę do domu, wyspać się. Oczy mnie bolą, nie chce mi się ślęczyć przy świeczce. Zresztą ta cola nic nie pomogła, Joften.

– Pewnie bezkofeinowa. Nalewają do takich puszek, jakie mają na składzie, i potem tylko biją pieczętkę z informacją, co jest w środku. A taka pieczętka ściera się w transporcie – zauważył Heevers.

Ebahlom spokojnie, przy świetle świec kończył swoje ziółka. Jager naciągnął na siebie połataną, plastikową kurtkę, Heevers używał solidnego waciaka. Trzeba było uważać, bo od tygodnia wspólna praca słońca, wiatru i mrozu przykryła cały kampus uniwersytecki szklistą, lodową pokrywą. Heevers ślizgał się i stukał butami, w które ponabijał od spodu szereg pinezek. Jager dwa lata temu zrujnował się na wysokie, wutowane walonki o głęboko karbowanej podeszwie i dzięki temu szło się mu znacznie lepiej. Co parę kroków musiał czekać na Heeversa. Przystanek autobusowy był niemal dokładnie na przeciwnym krańcu kampusu, co budynek fizykochemii, gdzie mieścił się pokój komputerowy.

– Wiesz, że emigrantki mają po sześć sutek? – rzucił Heevers. – Miałeś już jakąś?

Jager nie odpowiedział. W milczeniu wzruszył ramionami. W jego życiu nie było obecnie miejsca ani na emigrantkę, ani na żadną inną kobietę. Od

pięciu lat, od wypadku Jeanette. Heevers zorientował się, że popełnił gafę.

– Większość z nich ma ogony. I to zarówno kobiety, i jak mężczyźni. Słyszałeś o tym? – Heevers mówił, jakby ogłaszał sensację. Dla Jagera było oczywiste, że biolog powinien znać takie fakty. A praca w nauce przyzwyczajała do większych sensacji. – Ten nasz Ebahlom jest porośnięty sierścią jak zwierzę.

– Kto? Gino? – obudził się Jager. – To są zwyczajne kudły, ludzkie, a nie sierść. Chociaż nawet szyję ma zarośniętą.

– Naprawdę nazywa się Addahlabgin, a Gino to ledwie końcówka.

– Barbarzyńskie imię, tak jak i wygląd – zgodził się Jager.

– Ale facet jest błyskotliwy jak piorun – dodał po chwili.: – Prawie wszyscy teoretycy potracili granty, a jemu dalej płacą.

– Są lepsi od niego. Może ma znajomych w Akademii... Emigranci pchają się do nauki i popierają nawzajem, szczególnie obsadzili astrofizykę i astronomię.

Ma specjalny grant z Sił Przestrzennych.

Już obaj trzęśli się z zimna. Na bezchmurnym niebie jaśniał lodowato księżyc. Mróz leciutko przytrzymał nozdrza, jakby chciał, żeby się skleiły.

Przystanek autobusowy, do którego wreszcie dotarli, był pusty. Większość profesorów mieszkała w bursie na terenie kampusu i tylko pięćdziesięciu kilku młodszym uniwersytet wynajmował pokoje na mieście. Uniwersytet pokrywał jedynie część kosztów pokoju oraz dostarczał kupon tylko na jeden przejazd autobusem dziennie. Jager godził się na to, gdyż o pracę w nauce było coraz trudniej, a uzyskanie miejsca w bursie oznaczałoby usunięcie któregoś ze starszych kolegów, gnieźdzących się w pojedynczych pokojach z całymi rodzinami. Jedynie w przypadku śmierci któregoś z profesorów rodzina musiała zwolnić pokój, a na to miejsce

wprowadzał się ktoś z listy oczekujących. Nazwisko Grahama było gdzieś tak w trzech czwartych tej listy.

Obaj z Heeversem niecierpliwie oczekiwali na spóźniający się ostatni, nocny autobus. Heevers wysiadał pięć przystanków wcześniej, więc płacił nieco mniej za bilet, Graham płacił więcej. Heevers wyprzedzał go również o kilkanaście miejsc na liście oczekujących. Studentów nie stać było na autobus, więc gdy tylko było dość ciepło, chodzili pieszo lub jeździli rowerami. Na przystanku nie czekał żaden z nich, widocznie tej nocy dla studentów było jeszcze wystarczająco ciepło.

Heevers próbował ostrożnie przytupywać – ostrożnie, żeby nie runąć na upstrzoną wmarzniętymi niedopałkami lodową skorupę. Graham starał się oddychać wyłącznie nosem, by nie doprowadzić przeziębionego gardła. Gapił się na rzesze gwiazd na nieboskłonie. Ich gęstszą wstęgą zaznaczała się Droga Mleczna.

– Wokół jednej z nich krąży Heddehen – zauważył.

– Jeśli to prawda, co mówią, to już jej nie widać – poprawił Heevers. – Podobno niedługo przestaną przylatywać. Czytałem w dzisiejszej „Chronice” – zakończył. Fakt, że stać go na kupowanie gazet codziennie, a nie tylko sobotniego numeru z programem telewizji, świadczył o niezłych dochodach. Heevers nie musiał się chwalić: był przecież profesorem trzeciej rangi, a Graham ledwie piątej.

Ale nawet to nie pomogło mu w przedterminowym uzyskaniu pokoju w bursie... – pomyślał złośliwie Graham.

Wokół otworów włóczkowej kominiarki Heeyersa tworzyły się białe sople.

Wreszcie zza zakrętu wywlókł się parskający i sapiący, rozklekotany autobus.

Żeby tylko do reszty nie zepsuł się po nocy, bo kto go naprawi – pomyślał Graham. – Przynajmniej w środku będzie ciepło, chociaż pewnie będzie śmierdziało spalinami.

II

Graham był raz w przestrzeni kosmicznej. Piętnaście lat temu, Jako rekrut o dobrych warunkach fizycznych i wysokim ilorazie inteligencji został powołany do oddziałów specjalnych B, Sił Przestrzennych – takich komandosów kosmicznych.

Przeszedł twarde szkolenie: sześć miesięcy męki w pyle, gorącu, pocie lub przeciwnie – w przerażającym mrozie; następne sześć miesięcy nauki zabijania gołymi rękami, bronią białą lub palną, używania najróżniejszego sprzętu. Gdyby miał więcej szczęścia i dostał się do oddziałów specjalnych typu A, nauczono by go może nawet kierować promem kosmicznym. Niestety, odpadł przy selekcji i usiłowano z niego zrobić jedynie sprawną maszynę do zabijania. To też się nie udało: Graham nie przejawiał szczególnego zainteresowania ani zabijaniem, ani służbą zawodową i nie robił należytych postępów. W czasie ćwiczeń starał się oszukiwać i ruszać jak najmniej, co owocowało coraz gorszymi wynikami sprawdzianów, W końcu wyrzucono go w ogóle. Jednakże wyniósł z armii znakomitą formę fizyczną, przynajmniej do czasu aż nie sflaczał; wprawdzie nie spał się ani nie wyłysiał, ale lata spędzone za biurkiem zniszczyły jego muskulaturę.

Jeanette uważała, że miał duszę myśliciela, nie wojownika. Z twardej służby w oddziałach specjalnych typu B zostało mu tylko to, że czasami, gdy jeszcze żyła Jeanette i razem nudzili się przed telewizorem, – gdy na ekranie ukazał się jakiś młody, utalentowany oficer Sił Przestrzennych, w Grahamie odżywało wspomnienie i wołał: – Przecież to Don Aziz. Był w naszym plutonie.

Albo gdy pokazali jakiegoś groźnego generała o siwych skroniach, Graham mówił: – Ale spierniczał ten Michaelis. Pamiętam go, gdy był jeszcze majorem.

Kiedyś Jeanette spytała go wprost, dlaczego nie został w armii. Właśnie w telewizji pokazywano podniosłą uroczystość odznaczenia wyróżniających się oficerów.

– Widzisz, w armii naprawdę ważny jest ten, co order wręcza, a nie ten, co order otrzymuje – powiedział Graham, celując palcem w ekran. – Siedzi za biurkiem i tylko wstaje, żeby jakiemuś młodemu napaleńcowi wręczyć order. Ale żeby siedzieć za biurkiem, musiał wysłać na śmierć wielu młodych napaleńców. Ja nie musiałem nikogo wysyłać na śmierć, żeby móc potem siedzieć za biurkiem.

Z armii wyniósł też wspomnienie lotu w przestrzeń. Przylatywał kolejny statek z Heddehen. Wtedy jeszcze przejmowano je gdzieś tak w okolicach orbity Marsa, a z Ziemi podrywano przynajmniej ze cztery promy.

Tak się jakoś złożyło, że przylatywały naraz dwa statki, czy może część oddziałów specjalnych brała udział w tłumieniu powstania w Nowym Jorku, a może było to po prostu czyjeś niedopatrzenie. Dość, że niedoszkolony oddział zaokrętowali na leciwy prom „L. B. Johnson”. Wprawdzie upłynęło już wiele lat od przyłączenia Kanady, ale Graham wolałby lecieć na startującej z sąsiedniego stanowiska „Manitobie”. Zapakowali ich pięćdziesięciu dwóch do pasażerskiej kapsuły promu. Na orbicie do akcji nadawało się czterdziestu. Pozostali, zarzygani, zaszczani bądź zasrani, by nie splamić na dodatek honoru sił specjalnych typu B, spędzili akcję na orbicie, nie odpinając pasów foteli kapsuły pasażerskiej promu.

Statek Heddenich miał symulowaną wirową grawitację, tak że na jego pokładzie stale dokuczały mdłości. Każdy z oddziału dostał po kartoniku

tabletek środka przeciwwymiotnego. Mieli opanować ten statek, sprawdzić, czy przybysze nie mają wrogich zamiarów, i pomóc przy przeładunku: podobno większość ładowników statku była uszkodzona i Heddeni przesiadali się na podstawione promy pasażerskie – tysiąc osób, jeden prom.

Gdyby Heddeni mieli jakiegokolwiek wrogie zamiary, nie wpuściliby po prostu załogi promu na pokład swojego statku, więc akcja była pozbawioną sensu. Z pewnością myślało tak nawet dowództwo, ponieważ podstawiono nieuzbrojone, niezdolne do samodzielnego desantu jednostki, jak „LBJ” czy „Manitoba”; niestety, nie myśleli tak niektórzy elewi z sił specjalnych typu B. Doprowadziło to do tragedii: gdy statki połączyły się i żołnierze przeszli do środka, elew Burton otworzył ogień do nadbiegających Heddenich. Zaraz obezwładnił go jego własny sierżant, ale Burton zdążył ciężko zranić jednego z Heddenich. Tamten dostał ze cztery kule. Graham pomagał sanitariuszowi opatrzyć obcego. Tamten był stary, pomarszczony i całkiem łysy, przy każdej dłoni brakowało mu po kilka palców. Przez szary, samodziałowy kubrak szybko przesiąkały czerwone plamy krwi. Widać było, że nie pociągnie długo. Głupio było tak spojrzeć w oczy facetowi, który po setkach lat podróży w stalowym pudle, za którą zapłacił tylko paroma palcami, umierał przed samą metą, zastrzelony przez niedoszalonego komandosa – idiotę.

Potem przybiegła dziewczyna Heddeni, chyba córka tego umierającego. Też w szarym kubraku, też zupełnie łysa. Uklękła obok starego i jakoś tak, ni to prosząc, ni to żądając, gestem przejęła jego głowę w swoje dłonie. Miała śniadą cerę, szerokie kości policzkowe i trochę za szeroki nosek. I przepastny błękit oczu, jaki czasami bywa błękit nieba, którego dawno, a może nigdy nie widziała. Zaraz ten błękit spłynął łzami. Jej piękną twarz wykrzywił boleśnie zrozumiały grymas: „dlaczego?” Nie powiedziała

słowa, bo przecież nie rozumieliby się. Graham, oczywiście, nie odpowiedział; zresztą, gdyby oboje mówili tym samym językiem, też nie miałby nic do powiedzenia. Czuł to, czego nie da się opisać, i naprawdę właśnie to spowodowało, że potem zrobił wszystko, by wycofać się z sił specjalnych typu B, choć to, co przeżył nieco później, było porównywalne. Nie powiedział słowa, ale z jego oczu lały się łzy, chyba pierwszy raz, odkąd stał się mężczyzną.

Potem Heddeni odciągnęli dziewczynę i zabrano ciało starego. Incydent jakoś udało się załagodzić. Dowódcy Heddeni łatwo wykazali zrozumienie albo byli zbyt pasywni by zareagować, albo jedno i drugie...

Potem Graham przeżył przesiadkę przybywających: wlokący się nieskończenie sznur łąsych kalek idących o kulach bądź wiezionych przez innych na wózkach. Przez przestrzeń wędrował naród, do celu dotarły jego okaleczone resztki. Graham kurczowo ścisnął w garści pistolet maszynowy zaopatrzone w granatnik, a jednocześnie czuł, że gdyby powiedział choć jedno słowo, wybuchnąłby płaczem. To było inaczej niż kilkanaście minut wcześniej, kiedy łzy ściekały jakby wbrew woli. Był wdzięczny dowódcy, że tamten milczy, chociaż może on też na siłę powstrzymywał łzy.

To potworne, masowe okaleczenie było wynikiem technologii: Heddeni, aby umożliwić przetrwanie podróży międzygwiazdnej, zastosowali skomplikowane przystosowanie chemiczne, a potem zaawansowaną dehydratację – suszenie ciała. Dopiero po takim przygotowaniu pasażerów ochłodzono, by zapadli w sen. Podobno wielokrotnie próbowali różnych metod i dopiero to rozwiązanie zapewniło wystarczający sukces. Tylko wystarczający. Oznacza to setki utraconych ramion, nóg, palców, uszu czy nosów. Dehydratowane kończyny nie zawsze przyjmowały wodę na powrót, coś niedobrego działo się z odwodnioną tkanką. Trzeba było przeprowadzać dziesiątki amputacji, setki. Robili to lekarze Heddeni:

najpierw na sobie nawzajem, potem, gdy mieli już dość siły, na innych; szybko, by nie dopuścić do zakażeń.

Bardzo wiele zależało od transportu. Były transporty, w których niemal wszyscy dotarli cało. Transport, który odbierał Graham, należał do najgorszych. Jak się dowiedział, ponad osiemdziesiąt sześć procent okaleczonych.

Sprawnie podchodziły promy pasażerskie. Każdy na tysiąc osób. Dokładnie wyliczona ilość powietrza, dokładnie wystarczająca, aby zejść z orbity na lądowisko. A potem dla przybyłych radosny szok: błękitne niebo, żółte słońce, dźwięki, zapachy – wszystko to, co może dać planeta.

Potem dowiedział się, że oni wszyscy wyłysieli od radiacji, że nie było to typowe. Jeszcze przez długi czas emigranci kojarzyli mu się z łysymi, kalekami ludźmi, pomimo że większość z nich była kudłata nad miarę.

Gdy głosowano poprawkę do konstytucji, przyznającą Heddeni prawa ludzkie, głosował za. Gdy głosowano zakaz obraźliwej nazwy Heddeni i zastąpienie jej słowem „emigranci”, głosował za.

III

Przerwa w dostawie prądu do uniwersytetu trwała trzy dni. Został ponownie włączony akurat w takim momencie, by Graham w największym pośpiechu zdążył ze swoim sprawozdaniem. Raport spodobał się: fundusze na rok przysły zostały ścięte zaledwie o trzydzieści procent. Wystarczało na funkcjonowanie grupy i jeszcze zostawało na zatrudnienie jednego studenta albo na zakup jakiejś aparatury. Zakup nie wchodził w grę, bo od kilku lat na rynku nie było nic interesującego. Za to kandydatów na studentów było pod dostatkiem. Jeszcze tylko ludzi nie brakowało w tym kraju.

Grant Gino Ebahloma, jako jedyny, nie został ani trochę ograniczony. Dzięki temu stary emigrant stał się raptem najlepiej opłacanym profesorem na całym Uniwersytecie Maratheon.

– Mówiłem ci, że emigranci tworzą mafię – powiedział Heevers, przełykając swoją porcję kaszy z kapustą, gdy spotkali się kiedyś na stołówce dla profesorów. W całym pomieszczeniu unosił się nieprzyjemny, ciężki zapach rozgrzanej kapusty kiszanej.

– Popierają się, gdzie tylko mogą. Spróbuj pracować jako astrofizyk czy astronom, czy ewolucjonista – w mojej branży – i nie być emigrantem. Zaraz cię wykończą. Nie masz żadnych szans. Trzeba wreszcie coś z tym zrobić.

Graham wybierał skwarki, rozgryzał, wysysał tłuszcz i połykał suchą skorupkę. Następnie starannie mieszał kaszę ze stopionym smalcem. Lubił skwarki. W stołówce dla studentów wszystkich rang podawali kaszę bez omasty.

– Właściwie ten cały kryzys zaczął się, odkąd przylecieli ze swojego zasranego kosmosu.

– Oni przylatują już przynajmniej od stu dwudziestu lat, Joften – wtrącił Graham. – A nawet ja pamiętam, jak jeszcze nie było kryzysu. Jeszcze dwadzieścia lat temu każdy ich statek przejmowała eskadra pięciu naszych promów. A jeszcze wcześniej, pamiętam, jak mój ojciec miał własny samochód. Uruchamiał go w każdą niedzielę i wyjeżdżaliśmy poza miasto.

– Akurat z tymi promami to bardzo dobrze. Loty kosmiczne były cholernie kosztowne. Kogo było na to stać? I to tylko po to, żeby ich komfortowo zwozić z orbity na Ziemię. Bez sensu. Niech sami troszczą się o siebie, jeśli chcą u nas mieszkać.

– Podobno Republika Środka ma trzy albo cztery działające promy. Jeden z nich stacjonuje tuż za granicą, w Kalifornii.

– Pewnie przez to głodują: ryż i woda, i znowu ryż i woda, i tak w kółko... – roześmiał się Heevers.

– Przynieś mi budyń – dodał, widząc, że Graham zbiera się z pustym talerzem. Podał mu dzisiejszą kartkę na deser.

Graham nie lubił tego zwyczaju Heeversa, ale posłusznie przyniósł dwa talerze z szarą, półpłynną, gorącą masą.

– Wiesz, wśród profesorów zawiązuje się taki komitet – powiedział Heevers, łypiąc na Grahama. – Chodzi o lepsze kontrolowanie poczynań emigrantów. W przeciwnym razie oni nas zjedzą z kopytami... – Uśmiechnął się blado. – Wpadnij na któreś zebranie. Co wtorek, w świetlicy w bursie.

Graham odmruknął coś niewyraźnie.

IV

Graham kimał na siedzeniu pierwszego porannego autobusu. Było bardzo ciepło; ogłuszał klekocący silnik wozu. Pokrywa silnika we wnętrzu autobusu podrygiwała i podskakiwała w takt podrygów i podskoków kół na dziurawej drodze.

Wypadało dojeżdżać na uniwersytet pierwszym autobusem, a wracać ostatnim. Wprawdzie profesorowie mieli nienormowany czas pracy, ale Rada Naukowa mogła ograniczyć grant na badania, jeśli naukowiec nie wykazywał należytego zaangażowania. Poza tym należało być w pracy równo z tymi mieszkającymi w bursie. Codziennie trzeba było udowodniać, że gorsze warunki zakwaterowania nie obniżają wydajności pracy.

Graham uważał, że to idiotyczne, bo o jakości jego wyników decyduje pięć czy sześć dobrych pomysłów, które powinien mieć w ciągu roku. A dobry pomysł mógł przyjść obojętnie: czy przy biurku, czy w łóżku przed zaśnięciem, czy w kąpielni, albo nawet na sedesie. Graham, pomimo że uważał te zwyczaje za idiotyczne, respektował je bez sprzeciwu.

Przynajmniej potem, po dwugodzinnym pozorowaniu pracy, można było zdrzemnąć się za biurkiem. Oczywiście, bez opierania głowy o blat; Spanie na siedząco było trudne, ale nie niemożliwe. Przed świtem Graham nie był w stanie pracować, a kartkową kawę, jak mógł, starał się oszczędzić na noc, na piętnaście minut pracy przy komputerze, które można było wystać w kolejce.

Godzinę po świcie było śniadanie, ale wcześniej trzy okrążenia kampusu truchtem. Graham marzył, nie był odporny na zimno, ale profesor powinien udowodniać swoją sprawność fizyczną.

Znów otrzeźwiał na siedzeniu autobusu. W mijanych, małych, drewnianych domkach, w większości przypominających rudery, paliły się światła. Z reguły w jednym pokoju – elektryczne, w innych charakterystycznie pełgały kaganki. Z domów wylęgały jakieś niezdarne poczwary, pozawijane, zakutane w pledy, kufajki, waciaki. To studenci szykowali się do dwugodzinnego marszu na uniwersytet lub do godzinnej jazdy na zardzewiałych, skrzypiących rowerach.

Gnieżdżą się w tych swoich norach, suterenach, w małych, zbitych ze sklejki boksach – pomyślał Graham. – Co ich ciągnie do uniwersytetu? Wczesnie rano ćwiartka chleba albo miska ryżu – dobrze, że Republika Środka jeszcze chce nam ten ryż sprzedawać – do tego garnek herbaty albo osłodzonej wody, albo tylko gorącej wody. Cały dzień na kampusie – tam rzeczywiście może być ciekawie, można nawet poszpanować i kupić puszkę coli, potem na wieczór to samo żarcie, może jeszcze puszka grochu z boczkiem co trzeci dzień, jeszcze szklanka albo dwie samogonu, albo, jak kto woli, działka haszu, którego setki ton przenikają przez nieszczelną, południową granicę, parę godzin chorego snu i od nowa. Co ich ciągnie?

Nie bez powodu pomyślał o studentach. Miał dziś wybrać kogoś do swojego programu. Właściwie już wcześniej wstępnie przesiał teczki. Zdumiewała liczba kandydatów emigrantów. Trzy czwarte wszystkich zgłoszeń. Dlaczego tak się pchają do nauki? – Pieniądze żadne. Możliwości zatrudnienia jeszcze gorsze niż w biznesie.

Graham wybrał dwie teczki: Najlepszą ze wszystkich, emigrantkę, Agnes Hawahhahenne (okropne nazwisko!), która miała znakomite opinie i najlepszą średnią ocen, a ponadto była studentką pierwszej rangi (a Graham mógł oczekiwać, że do profesora piątej rangi, jak on, zgłosi się student co najwyżej trzeciej rangi, nie wyższej). Niestety, Agnes Hawahhahenne była dość stara, nawet jak na studentkę pierwszej rangi; miała trzydzieści dwa

lata. Drugim kandydatem był najlepszy spośród swoich, Kennedy Hsiu, student trzeciej rangi, który w papierach napisał, że przeniósł się do Ameryki z Republiki Środka.

Jak to się dzieje, że pomimo zamkniętej granicy tak wielu młodych ludzi przekracza Góry Skaliste i studiuje w Ameryce, a ze Zjednoczonej Europy pomimo otwartych granic nie przyjeżdża nikt – zastanawiał się Graham. – Widać sami robią lepszą naukę i nie ciągnie ich do naszego dziadostwa. Nadęci skurwiele!

Jednak autobus się zepsuł. Jager musiał pokonać piechotą ostatni przystanek do uniwersytetu.

Hsiu mówił bardzo słabo po amerykańsku: cicho, niewyraźnie; brakowało mu słów. Trudno było go zrozumieć. Graham nie miał też pewności, czy aby tamten go rozumie. Ostatecznie facet ledwie pięć lat temu przeniósł się do Ameryki. Dla porządku, zapytał go, dlaczego interesują go te badania i cierpliwie wyczekał, aż Hsiu wystęka, co urzekło go właśnie w fizykochemicznych badaniach powierzchni metali. W zasadzie nie było wątpliwości: studenci z Republiki Środka by li solidni, uporządkowani, systematyczni. Pracowali wytrwale jak woły. Dla formalności powiedział panu Hsiu, że ostateczną decyzję ogłosi za dwa dni, chociaż panna Agnes nie raczyła się zgłosić.

Zabrał się za żmudne przeliczenia. Mozolnie kręcił korbą ręcznej maszyny rachunkowej. Użycie komputera było zbyt kosztowne, by wykonywać na nim zwykłe, codzienne rachunki. A zresztą o tej porze nie dopchałby się pewnie do Stanowiska.

Przyszła po godzinie, usiadła bez pytania na krześle obok Grahama, po tej samej stronie biurka co on i zamiast przywitania lekko skinęła głową. W długim, czarnym płaszczu, głęboko nasadzonym na czoło, zasłaniającym włosy wełnianym berecie i zawinięta pod brodę długą, brunatnym

szalikiem. Miała dość szerokie kości policzkowe, nieznacznie skośne oczy, które często mrużyła i nieco za szeroki nosek. Jej poowijana, zakutana twarz sprawiała wrażenie pucołowatej, ale taka nie była.

– Agnes Hawahhahenne – powiedziała, nieco rozplątując szalik. Rozpięła parę guzików skorupowatego płaszcza.

– Domyśliłem się. Spóźniła się pani godzinę – mruknął Graham.

– Pomyślałam, że najpierw przyjdzie pan Hsiu i będzie załatwiał sprawę około godziny, jak u każdego profesora – Agnes leciutko sepleniała, nieznacznie akcentując spółgłoski szeleszczące. Jakoś tak inaczej je wymawiała; Marszczyła przy tym skórę przy nosku i pod oczyma, co zapalało świetliki w jej zmrużonych oczach.

– Skąd pani wiedziała o panu Hsiu? – zdziwił się Graham.

– Od tygodnia po kampusie krążą legendy o tym, że profesor Jager szuka studenta na nowy program – prychnęła. – Trudno było nie wiedzieć. – Jej logika przytłaczała.

– Dlaczego tak późno zaczęła pani studia? – zadał nieuniknione pytanie.

– Wcześniej pracowałam, żeby oszczędzić pieniądze na studia. Z pewnością widział pan w moich personaliach, że studia rozpoczęłam dopiero w wieku dwudziestu trzech lat. Musiałam utrzymywać rodzinę.

Wbrew woli zdumienie wylazło na twarz Grahama.

– To znaczy starego ojca... – dodała z ironicznym uśmiechem.

– Macie okropnie trudne nazwiska – spróbował być miły Graham. – Hawahhahenne.

– Ależ to znaczy zwyczajnie: Córka Ewy – powiedziała. – Tak jak u was Johnson, to syn Jana. Mężczyźni z mojej rodziny, dziadek, tata czy brat, gdybym go miała, nazywaliby się Hawahhahelli, czyli syn Ewy.

Ściągnęła z głowy wysoki, wełniany beret i rozsypały się jej kędzierzawe, brązowawe włosy. Była szatynką. Śniadą cerę miała jaśniejszą

niż etniczny Azjata, Hsiu.

– Ciepło tu – powiedziała, tonem wyjaśnienia.

– Rozumie pani, że przy pani średniej ocen i rekomendacjach, Hsiu nie ma żadnych szans?

Wtedy po raz pierwszy Graham ujrzał, jak rozszerzają się jej oczy i otwiera się błękit w nich ukryty.

– Mogę wycofać swoje podanie. Ja rozumiem, że obecnie zbyt wielu emigrantów zatrudnia się na uniwersytecie... – powiedziała.

– Bez sensu, proszę pani. To – jest mój problem, nie pani – warknął Graham.

Spuścił głowę nad notatkami. Potrzebował chwili do namysłu.

– Czy powinnam sobie pójść? – zapytała, tłumocząc się na nowo czapką i szalikiem.

– Proszę przyjść za dwa dni – patrzył za nią, gdy wychodziła. Ruszała się z gracją mimo sztywnej skorupy płaszcza. Kogoś mu przypominała. Szybko spuścił głowę, bo mogła się odwrócić, a nie chciał, by zauważyła, jak głęboko trafiły go dwa błękitne ostrza jej spojrzeń.

Później, ślęcząc nad hałaśliwym kręciołkiem do liczenia, skojarzył: ta twarz, ten kolor oczu, gdy wreszcie przestała je mrużyć, nawet ten nosek – to tamta dziewczyna sprzed lat, rozpaczająca nad umierającym ojcem. Tylko tamta była łysa i dlatego potrzebował aż dwóch godzin, żeby dojść do tego. A może tak nie było, tylko on chciał dostrzec takie podobieństwo, dość że do wieczora praca szła jak z płatka.

VI

Wiedział, co ma zrobić, ale nie było to miłe. Swoją wypowiedź starannie ułożył w pamięci, chociaż wiedział, że i tak powie co innego niż zaplanował: Budynek wydziału fizyki wznosił się na skraju campusu. Dolegał do muru, którym kiedyś otoczono cały campus uniwersytecki; wtedy gdy rozpętała się plaga uniwersytetów: fala napaści, rabunków i kradzieży mienia. Obecnie aparatura nie stanowiła jakiegokolwiek wartości dla rabusiów, bo mało kogo było stać na prąd do zasilania komputera, a co dopiero na sam komputer, i plaga skończyła się. Mur w wielu miejscach zwalił się, w innych podpadał tynk. Wszędzie śnieg poprzecinany był ściegami wydeptanych, codziennych ścieżek. Ścieżki to wznosiły się, to opadały, przecinając płaskie wzgórki i dolinki – obecnie przysypane śniegiem, stare, dobrze osiadłe kupy gruzu, przykrywające ruiny jakichś zabudowań; których przeznaczenia już nikt nie pamiętał: Może były to jakieś baraczki gospodarcze, może magazyny, czy może warsztaty?

Graham ślizgał się i potykał w wydeptanych kiedyś w topniejącym śniegu, a następnie zamrożonych głębokich śladach.

Budynek wydziału fizyki rozlatywał się, nawet bardziej niż inne, co Graham stwierdził z satysfakcją: tynk odpadł już w dominującej większości; W różnych kierunkach mur przecinały szczeliny, niektóre tak szerokie, że aż cegły na brzegach były przesunięte. Wewnątrz, na ciemnych korytarzach, cuchnęło charakterystycznym, obrzydliwym zapachem kloszarda. Choć może to tylko przesiąknięty moczem mur tak cuchnął.

Widocznie jakiś bezdomny opłaca się portierowi i tu nocuje – pomyślał Graham. – U nas, na chemii, taka rzecz byłaby nie do pomyślenia. Toaleta

jeszcze działa.

Biuro Ebahloma znajdowało się na drugim piętrze, jedne z dziesiątek identycznych drzwi w korytarzu oświetlonym żarówką wiszącą na drucie. Różniły się tylko dużą, świeżą plamą czarnego tuszu na brązowym, odpryskującym lakierze.

Ebahlom siedział za wielkim biurkiem otoczony stertami notatek. Coś mozolnie liczył. Graham spodziewał się smrodu potu czy czegoś podobnego, tymczasem panowała przyjemna korzenna woń.

Pali jakieś trociczki czy kadzidło? – pomyślał Graham.

Wokół, na szafach, na półkach stały różne tajemnicze przedmioty, może rzeźby, może talizmany, może obiekty nieznanego kultu; na trójnogu podgrzewał się mały kociołek.

Ebahlom, jakby wyrwany ze snu, łypnął sponad okularów zmęczonym, przekrwionym wzrokiem.

– Graham? Siadaj – wskazał mu wyściełany, starannie połatany fotel. – Zaczekaj sekundę... Chyba mam wynik... – urwał i znowu zagubił się w pracy.

Graham wygodnie rozsiadł się w fotelu, rozpiął kurtkę. Na biurku Ebahloma stało kilka tych niezrozumiałych przedmiotów, które zwykle kojarzą się z emigrantami, jakichś takich przenikających się struktur, goniących się przecinków czy drzewek fraktalnych. Graham zawsze chciał dowiedzieć się, co oznacza każdy z tych symboli, ale jakoś nie było okazji spytać.

– Eeee! – jęknął zawiedziony Ebahlom. – Myślałem, że puści, a znowu się zakućkałem... – z rozpaczą odsunął notatki.

– Taak? – założył ręce i wpatrzył się w Grahama swoim jasnym, badawczym wzrokiem.: – Mam problem, Gino.

– Ach, kto ich nie ma – Ebahlom zrobił gest natychmiast zdradzający emigranta. Nie było wątpliwości, że Wychował się w środowisku ziomków. Graham wiedział, że Gino urodził się jeszcze w Heddehen, lecz z podróży wyszedł bez szwanku: nie był okaleczony; dzieci lepiej znosiły dehydratację. – Jaki problem? – dodał Ebahlom.

– Finansowy, Gino.

Przez włochatą twarz Ebahloma przebiegł nerwowy tik.

– Mów dalej, Graham.

– Mam znakomitą kandydatkę na program studencki. Średnia ocen z poprzednich kursów, referencje, wszystko bez zarzutu.

– To ją przyjmij, jeśli masz na to pieniądze.

– Właśnie o to chodzi... Pieniądze mam, ale na pół jej programu. Myślałem o wspólnym programie z tobą. Takie badania wpływu przestrzeni kosmicznej na powierzchnie niektórych stopów. Doktorat po połowie na nasze konta. Myślę, że w przyszłości Siły Przestrzenne mogłyby zrefundować w części albo w całości taki projekt. Może znasz tę dziewczynę? Nazywa się Agnes Hawahhahenne... – przeczytał z kartki.

Wykaże solidarność ze swoimi, chłopie – pomyślał Graham. – O której wszyscy tyle gadają.

– Wiesz, Graham, ja właściwie nie potrzebuję już studentów do dorobku... Ostatecznie, dochrapałem się tego, że zrobili mnie profesorem pierwszej rangi...

Graham zrobił taki nieokreślony gest, który miał oznaczać: „nie zamierzałem cię urazić, Gino”.

– Ale ten temat mnie interesuje – mówił dalej Ebahlom. – Zresztą kiedyś gadaliśmy o takim projekcie. W stołówce, przy kapuście... – uśmiechnął się i podrapał po brzuchu. – Nawet mam na to forszę.

– No, więc co? – wyrwało się Grahamowi.

– Widziałeś tę plamę na moich drzwiach? Ktoś oblał je wczoraj tuszem. Coraz trudniejsze czasy dla Heddeni na uniwersytecie.

– Ale przecież w zeszłym roku cała społeczność akademicka surowo potępiła wydarzenia w Buxford i w Dunbark...

W Buxford zeszłej wiosny zamordowano na kampusie uniwersyteckim studenta emigranta. W Dunbark podpalono dom zamieszkały przez nowo przybyłych emigrantów; trzy osoby spaliły się żywcem, osiem ciężko poparzonych udało się odratować.

–. Wiesz czasy się zmieniają. Ta dziewczyna jest Heddeni, jak podkreśliłeś. Nie chcę, żeby mówiono, że tworzymy mafię, która nawzajem się wspiera. Przykro mi, Graham. Nie mogę ci pomóc. Nie mogę jej pomóc. Och, Haddam.

– A gdyby tak nie chodziło o emigrantkę, a o kogoś innego?

– Nie byłoby sprawy. Forsa po połowie. Doktorat po połowie. Ja decyduję o tym, jakie czynniki oddziałują i w jakim natężeniu, ty wybierasz stopy, z jakich miałyby być poszycie tego cholernego statku kosmicznego. Student bierze się do roboty.

Graham próbował się uśmiechnąć, ale zrobił aż tak głupią minę, że Ebahłom parsknął śmiechem.

– Łgałem – powiedział z żalną miną Graham.

– Łgałeś? Coś mi się tak wydawało.

– Chciałem wziąć dwoje studentów, a pieniędzy mam na półtora. Dziewczynę biorę i tak, bo jest świetna. Ten drugi nazywa się Kennedy Hsiu i jest stąd, znaczy się z Republiki Środka. To jego przewidywałem do tego łączonego programu. Językowo jest cienki, ale powinien być pracowity. Zgadzasz się na niego, Gino?

Ebahłom chwilę milczał, mrugał oczami, łypał na sufit i drapał się po brzuchu.

– Zgadzam się. Napijesz się naszych paskudnych, heddeńskich ziółek?
Trzeba opić transakcję.

Graham uśmiechnął się i skinął głową.

Gino zdjął z trójnoga bulgocący kociołek i nalał kubek Grahamowi i kubek dla siebie.

Ziółka były niesamowicie gorzkie i pachniały jak pokój, w którym Heevers przechowywał zielniki.

– To ja właściwie pomagam swoim czy nie? – zapytał Ebahlom.

– Jak powiedziałeś: i tak, i nie.

VII

Pan Hsiu miał obie lewe ręce i obie pozbawione kciuków, a przynajmniej posługiwał się nimi, jakby takie były. Wszystko wylatywało mu z tych, lewych rąk i tłuło się, jeśli tylko mogło się stłuc. Trzeba mu było tłumaczyć najbardziej oczywiste punkty dowolnej procedury, które z reguły nie były dla niego oczywiste. Wolał swoje dziwaczne rozwiązania, które nieodmiennie kończyły się zniszczeniem próbki lub uszkodzeniem sprzętu. Nad swoimi pomysłami dyskutował zawsze z nerwowym zapałem, trzęsły mu się te jego lewe ręce, czasem trzepało nim całym. Nie można mu jednak było zarzucić braku wytrwałości i solidności w pracy. Był już w laboratorium, gdy Graham przyjeżdżał, i pozostawał nadal, gdy Graham wychodził. Męczył się, nawet czasami popłakiwał przy komorze próżniowej albo wyprazarce, ale nie odstępował od stanowiska pracy. Zresztą niemal cały pierwszy tydzień spędził, czyszcząc instalację pompy próżniowej, którą już za pierwszym albo drugim razem, kiedy do niej podszedł, zapaskudził olejem.

Drugim jego minusem była słaba znajomość języka. Bardzo trudno było się z nim dogadać. Graham powtarzał po dwa, trzy razy każde polecenie, a Hsiu potakiwał z miłym uśmiechem i kilkakrotnie potwierdzał, że rozumie. Następnie robił tak, jakby nie zrozumiał częściowo albo wcale. Przynajmniej był bardzo grzeczny i dobrze wychowany. Mówił niewyraźnie, dziwnie akcentując. Słowa w jego ustach zmieniały się w inne lub przeradzały w dziwaczne potworki językowe.

Raz, wieczorem, Graham zszedł z biura do pracowni, tak po prostu, by jeszcze przeczytać gazetę pożyczoną przez Tonkine. Pan Hsiu właśnie

założył kurtkę i zamierzał iść do domu. Stał tyłem do Grahama, ale go zauważył –: pewnie, w odbiciu, w kącioku okularów, i zniknął za półką z książkami. Zaraz potem pojawił się już bez kurtki i zaczął długą, ożywioną dyskusję.

O preparowaniu próbek blachy i poprawnym symulowaniu wpływu nitu na poszycie statku. Znudzony Graham wysłuchał Hsiu, pokiwał głową i zabrał się do czytania gazety.

Jeśli Hsiu chciał grać ze swoim szefem w pozory, to jego sprawa. Ostatecznie Jager też grał w tę samą grę z Radą Naukową i kolegami profesorami. Tylko że Jager musiał, a Hsiu – nie.

Inna rzecz, skąd miałby biedak wiedzieć... – pomyślał Graham, Agnes była inna niż Hsiu: nie próbowała udawać, że pasjonuje ją przesiadywanie w laboratorium. Z reguły przychodziła w godzinę po świcie. Co drugi, co trzeci raz przeproszała, że zasnęła. W ciągu dnia zniknęła na godzinę lub dwie, za to wieczorem regularnie Graham, spotykał ją na przystanku autobusu. Stała, przytupując z zimna w tym samym ciężkim, czarnym płaszczu prawie do kostek, głęboko nasadzonym na głowę mięsistym, włóczkowym berecie i dokładnie zawinięta w swój dwumetrowy, też włóczkowy szalik. Graham nigdy nie widział, jak ona zawija się w te metry dzianiny, bo z reguły na sam koniec pracy wychodził do pokoju komputerowego; gdzie pił kartkową kawę i spotykał Ebahloma, Hymana albo Heeversa, albo Zuriaqu, półzwierzęco wyglądającego antropologa.

Zuriaqu robił jakieś obszerne analizy statystyczne wśród przybyłych emigrantów. Podobno rasy, które przybyły na Ziemię, na ogół wymierały. Zuriaqu opracował jakąś metodę kompensacyjną, która umożliwiała oddzielenie innych przyczyn zgonów. Zawsze lubił głośno dyskutować ten swój pomysł z każdym pracującym przy sąsiednim stanowisku. Mówił gardłowym, zduszonym głosem, wysuwając do przodu małą zuchwę.

Graham uważał, że nie jest on całkowicie pewien swojej koncepcji i stara się ją zweryfikować przez dyskusję.

W ogóle jakby przybyło emigrantów w otoczeniu Grahama. Do Agnes przychodziło codziennie po kilka koleżanek emigrantek. Niektóre wyglądały jak zwyczajne ziemskie dziewczęta, może na ogół miały nieco gęstsze brwi czy grubsze warkocze, inne były dziwne, ich buzie przypominały skrzyżowanie kociego pyszczka z twarzą dziewczyny, lub nawet gorzej: małpiej mordki z twarzą dziewczyny. Niektóre wyglądały jak tłuste kluseczki czy wałeczki, w zapinanych na guziki szlafroczkach czy kubraczkach i niebieskich z reguły chusteczkach, inne były równie smukłe i zgrabne jak Agnes.

Agnes bowiem, gdy tylko wyplątała się ze swojego mrozochronnego, pokracznego tłumoka, przeobrażała się w czarującą, zgrabną, delikatną dziewczynę, która mozolnie krząta się po laboratorium. Lubiła chodzić w czarnym golfie, ciemnoszarej spódniczce i czarnych, grubych pończochach lub rajtuzach albo nosiła połatane błękitne dżinsy, czasami zaś ubierała się w fioletowy, obszerny sweter zrobiony z kilku rodzajów włóczki o różnych odcieniach. Graham złapał się na tym, że zna już wszystkie warianty jej strojów. Nie miała tego zbyt wiele. Za to buty nosiła zawsze te same: czarne, ponad kostkę, na wysokiej, karbowanej podeszwie, dokładnie w tym fasonie co jesienne buty Grahama, tylko mniejszy numer.

Graham ubierał się podobnie ciemno – w wyciągnięty sweter i wytarte dżinsy, bo nic innego jakoś sobie, nie kupował. Na ich brunatno – szarym tle odbijał elegancki Hsiu. Zawsze w coraz to innych jasnych spodniach i bluzie, zawsze czysto wypranych, odprasowanych i troskliwie pocerowanych przez panią Hsiu.

Widać mieli jeszcze sporo kolorowej konfekcji i yuanów przywiezionych z Republiki Środka.

Agnes miała naturalną smykałkę do aparatury. Od początku sobie radziła, często uczyła Hsiu, jak on sam powinien posługiwać się instalacjami. Chodziła, ruszała się z taką dziwną, miękką kocią gracją, że Graham wodził za nią wzrokiem. Zaczął znacznie więcej czasu spędzać w laboratorium, rzadziej przesiadywał w swoim biurze.

Czasami zastanawiał się, czy ona rusza się tak spontanicznie, czy to jest tylko taniec obliczony na jego oczarowanie. Ostatecznie Hsiu grał, żeby zrobić lepsze wrażenie, a Jager też.

VIII

Głośny terkot dzwonka telefonicznego oderwał Grahama od pracy.

– Słucham – mruknął.

– Tu Heevers. Wpadnij do bursy. Zaraz mamy zebranie. W świetlicy. Nie może cię zabraknąć – rozległ się stuk odkładanej słuchawki. Rozmowy musiały być krótkie, bo naładowany korbką akumulatorów nie wystarczał na długo.

Graham gapił się długą chwilę w czarne pudło telefonu, w końcu założył kurtkę i wyszedł. Chyba wypadało być na tym zebraniu.

Nie pomylił się. Sala była niemal pełna i ciągle przybywali nowi. Zdążył usiąść na jednym z ostatnich wolnych miejsc. Ostatecznie, siedzący na ławie nie mogą ścieśniać się do woli. Na małej scenie, gdzie zwykle występowały zespoły wędrownie, ustawiono stół i parę krzeseł. Siedzieli na nich profesorowie z różnych wydziałów: Jones, Appelbaum z chemii, Biezdomyj z nauk politycznych, Fiedle z psychologii, kilku nieznanymi i Heevers ze swą różową łysiną. Przewodził rektor drugiej rangi, Martinez. On też zagaił: – Chciałbym, aby nasze zebranie zostało potraktowane wyłącznie jako informacyjne. Mile widziałbym na nim również naszych kolegów emigrantów. Wszyscy oni zostali osobiście zaproszeni. Niestety, żaden z nich nie zjawił się, nad czym ubolewam.

Ostatnim zdaniom rektora towarzyszył szmer.

– To jest oznaka lekceważenia. Zebranie ma być właśnie im poświęcone – odezwał się Tonkine. To był głos z sali.

– Zaczniemy od statystyki – powiedział spokojnie Martinez i wskazał na jednego z siedzących obok niego.

– Skjelvoh, z wydziału ekonomii – przedstawił się tamten.

– Sporządziłem proste zestawienie danych dotyczących emigrantów – zaczął. – W czasie ostatniego spisu powszechnego, przed osiemnastu laty, liczba emigrantów w Ameryce wyniosła jeden milion osiemset trzydzieści tysięcy osobników, przy czym liczba ludności zasiedlającej cały nasz kraj od Kanału Panamskiego do Terytoriów Arktycznych wyniosła sto siedemdziesiąt sześć milionów osób. Zatem emigranci stanowią nieco ponad jeden procent ludności, zaledwie. Wydawałoby się, że jest to nic nie znacząca grupa. Jednakże na naszym uniwersytecie, na sumaryczną liczbę stu pięćdziesięciu dwóch profesorów, aż trzydziestu czterech to emigranci, co stanowi ponad dwadzieścia procent wszystkich! Wśród studentów udział emigrantów jeszcze bardziej zadziwia: wynosi aż pięćdziesiąt procent – dokładnie jeden emigrant na jednego naszego. Proszę państwa, nasz przykład wcale nie jest odosobniony – na wszystkich dwudziestu ośmiu uniwersytetach Ameryki jest bardzo podobnie. Emigranci obsadzają stanowiska w nauce, podobnie jest w medycynie, prawie i bankowości. Proporcjonalnie do liczby osobników stanowią grupę umieszczoną chyba najwyżej w drabinie społecznej.

– Dlaczego uporczywie unika pan nazywania ich ludźmi? – ktoś z sali, chyba Agnew Turpick, ubiegł Grahama pytaniem.

– Proszę nie przerywać referentowi. To nie więc – natychmiast zareagował Martinez.

– Kto powiedział, że to ludzie? – odparł jednak Skjelvoh.

– O ile pamiętam, żaden z miarodajnych czynników nie stwierdził tego jednoznacznie. Nawet parlament, gdy głosował zakaz nazwy „Heddeni”, uniknął określenia „ludzie” – Skjelvoh rozpędzał się w dyskusji, pewny, że ma interlokutora pod obcasem.

– A nawet... – tu na moment zawiesił głos jak dobry prawnik wygłaszający miażdżącą mowę – ...tenże sam parlament, głosując dla nich prawa obywatelskie, też ani razu nie użył słowa „ludzie”.

– Papież stwierdził, że Heddeni to ludzie. Potwierdził to swoim autorytetem już sto... osiem lat temu – powiedziała.

Norma Chomsky z filozofii. – Zresztą to samo powiedział główny rabin Jerozolimy i główny imam, ajatollah...

– Papież niech się martwi, czy zachować łacinę. Kanclerz Zjednoczonej Europy mocno naciska, żeby w korespondencji watykańskiej używać wyłącznie języka europejskiego.

– Coś takiego... – parsknął ktoś śmiechem. – Kanclerzowi nie chce się nawet wydawać pieniędzy na uczenie swoich chłopców z wywiadu języków obcych...

– Proszę zebranych!... – donośny głos Martineza przytłumił wymianę zdań. – Proszę nie sprowadzać dyskusji na te tory. Doskonale pamiętamy wszyscy skłócenie i podział naszego środowiska po decyzji o likwidacji wydziału teologii. Nikt z nas nie chce wracać do tamtych sporów i do tamtej atmosfery. Granice religianctwa zostały wtedy jednoznacznie określone.; – Myślę, że poruszone zagadnienie człowieczeństwa emigrantów, przypominam państwu właściwe określenie, należycie wyjaśni biolog – tu zwrócił się do Heeversa.

Heevers, który już od chwili domyślał się, że zaraz będzie musiał wypowiedzieć się, kiwał się rytmicznie do przodu i do tyłu na krześle, a jego łysina poczerwieniała jak wole indyka, Nerwy zjadały go, zanim jeszcze zaczął mówić.

Dla tego faceta każdy wykład musi być potworną męką... – pomyślał Graham. – A studenci mają okropny ubaw albo nudzą się okropnie...

– Emigranci niewątpliwie są istotami rozumnymi... – zaczął niepewnie.

– Wiemy. Jest ich wśród nas trzydziestu paru... – rozległy się śmiechy. Heevers wyczekał, aż hałas ucichnie. Łysina bielą samaistnie. Widocznie najbardziej denerwował się przed startem. Własna wypowiedź uspokajała go.

– Właśnie... – powiedział. – Niezależnie od rasy, zdarzają się wśród nich intelektualiści będący nawet profesorami pierwszej rangi...

– Z drugiej strony, fizjologicznie niektórzy nawet dość sporo różnią się od nas – kontynuował, przełknąwszy ślinę, – Znamy wszyscy profesora Zuriaqu. Wydaje się, że jest on neandertalczykiem... Zresztą, może ktoś z antropologów...

– To prawda, Joften. Prosiłem kiedyś Zuda, żeby pozwolił się przebadać. Można go uważać za odmianę neandertalczyka... – wtrącił się stary Martimus Uijthof. – Ciągnij dalej, Joften.

– Wśród przybyłych jest wiele ras jeszcze mniej podobnych do nas. Niektórzy z nich nie chcą poddawać się badaniom i chyba dotąd nie ma w pełni kompletnych, całościowych studiów mówiących, jak dalece niektórzy z nich różnią się od nas. Z pewnością każdy z nas poczynił obserwacje... – Tak, tak, cysatki, ogoniaste albo kudłatki... Wystarczyło, aby Martinez groźnie łypnął przez wielkie jak naleśnik szkło dalekowiedza, by żartowniś umilkł.

Z pewnością znowu piąta ranga... – pomyślał Graham o tamtym. – I bez szans na awans.

– Właśnie o takich badaniach chciałem powiedzieć – uśmiechnął się rozluźniony Heevers. – Wczoraj przeglądałem wszystkie doniesienia naukowe dotyczące możliwości krzyżowania się ich ras między sobą i z nami. Statystyka nie jest aż tak duża, jakby się mogło wydawać. Jest ich czterdzieści osiem ras stwierdzonych...

– Gatunków... – podpowiedział ktoś z sali.

– Właśnie, nie. Właśnie – ras, ponieważ płodne potomstwo stwierdza się dla większości kombinacji pomiędzy sobą lub z nami, a w każdym razie dla każdej, podkreślam – każdej kombinacji przechodnie. To znaczy, na przykład obserwowano dla ras A i B oraz B i C, choć dotąd nie ma danych dla A i C. Materiał statystyczny obejmuje ponad trzy pokolenia. Wydaje się, że wszyscy jesteśmy jednym gatunkiem.

Potem wystąpił ktoś z wydziału historycznego. Odpowiadał na pytania na temat rzekomego pochodzenia z Heddehen życia na Ziemi jak i wszystkich ludzi. Znów wypowiadał się Heevers.

– To sami emigranci lansują tę teorię – powiedział. – Gdyby rzeczywiście Ziemia była planetą kolonizacyjną dla Heddehen i życie na Ziemi pochodziło wyłącznie z importu, to proces etapowej kolonizacji musiałby trwać setki milionów lat.

– Oni twierdzą, przynajmniej tak się słyszy, że zastali pierwociny życia na Ziemi, ale wszystko zniszczyli i przywieźli wybrane gatunki z Heddehen. Że prawdziwe istoty pochodzenia ziemskiego pozostały jedynie w wykopaliskach sprzed setek milionów lat. Co pan o tym sądzi, Heevers? – zapytał Uijthof.

– Do czego w ogóle prowadzi cała ta dyskusja? – zerwał się Appelbaum. – Zebraliśmy się, aby podjąć konkretne decyzje dotyczące emigrantów, a dyskusja rozłazi się, rozmywa w ogólnych tematach.

– Właśnie po to: jeśli mamy cokolwiek zadecydować, musimy dokładnie poznać zagadnienie – wtrącił Turpick.

– Prawdą jest, że trudno znaleźć tak zwane ogniwa pośrednie – powiedział Heevers. – To znaczy, są główne grupy zwierząt czy roślin – świadomie unikał fachowej terminologii.

– Ssaki, gady, ptaki, płazy, ryby, mięczaki, owady. W ich obrębie łatwo prześledzić, jak jedne gatunki czy większe jednostki systematyczne

wywodziły się z innych. Ale bardzo trudno znaleźć stadia pośrednie pomiędzy wielkimi jednostkami systematycznymi... na przykład pomiędzy gadami a ptakami, czy, analogicznie, pomiędzy innymi grupami... Hipoteza, że pochodzą z importu, byłaby bardzo kusząca. Rozumiecie państwo, co mam na myśli?

Joften Heevers nie był złym wykładowcą. Miał tylko kłopoty ze startem.

– Sprowadza się na Ziemię dwa, trzy, może pięć, może dziesięć gatunków ssaków – kontynuował. – A one potem różnicują, tworząc obecne bogactwo gatunków czy może bogactwo gatunków, jakie mieliśmy dwieście lat temu... – urwał z kwaśną miną.

– Ale ta hipoteza ma zasadniczą słabość – kontynuował po chwili znaczącego milczenia. Obecnie Heevers znakomicie wyczuwał zainteresowanie sali, nawet nie gestykulował, co w jego wykonaniu zawsze przypominało machanie kijem. – Gdyby tak rzeczywiście było, to kolejne fale kolonizacji musiałyby docierać na Ziemię w odstępach dziesiątek milionów lat. Takie solidne, powolne przygotowanie pod zasiedlenie... Wiemy, że ich rasy są stare, ale żeby aż tak...

– Może kiedyś opanowali umiejętność podróży w czasie? – zapytał Khalid. – I poprowadzili kolonizację w przeszłość?

– Bez sensu. To jest niemożliwe.

– Trzeba by było spytać Gino Ebahloma – zaproponował Turpick. – To jest najlepszy spec od czasoprzestrzeni na tym uniwersytecie.

– Co? Tego edeńca? Wykluczone! – krzyknął ktoś z audytorium.

Korzystając z wynikłego zamieszania, Graham wymknął się z dusznej sali.

W laboratorium Hsiu przygotowywał eksperyment, zaś Agnes siedziała przy biurku nad książką. Czoło oparła na dłoniach i co jakiś czas nerwowo

przeczesywała dłońmi kędzierzawe, szaro – brązowe loki. Podniosła na niego wzrok znad tekstu.

– Graham, proszę cię, pomóż mi. Próbuję przegryźć się przez ten tekst od dwóch godzin, i nic. To ledwie dwie strony – obdarzyła go najbardziej błękitnym ze swoich uśmiechów.

Jager dbał, aby w jego grupie mówiono sobie po imieniu, chociaż coraz więcej zespołów odchodziło od tej tradycji. Jedynie, wyrosły w tradycji Republiki Środka, Hsiu zwracał się do niego „profesorze Jager” albo zabawnie: „profesorze Graham”.

IX

Następnego dnia Agnes zapomniała się z nim przywitać. Przez pół dnia unikała Grahama, a gdy już musiała siedzieć w tym samym pomieszczeniu, to przynajmniej unikała jego wzroku.

– Panie Ken, czy coś zrobiłem niewłaściwego, że Agnes od rana tak dziwnie zachowuje się?

Hsiu wyszczerzył w uśmiechu białe zęby, następnie machnął bezradnie rękoma.

– Wczorajsze zebranie. Chodzi o wczorajsze zebranie, profesorze Graham.

Graham zachnął się: Poszedł, bo nie mógł nie pójść. Nie odezwał się ani słowem. Urwał się przy najbliższej nadarzającej się okazji. Nie czuł się winny. Zresztą zebranie było wyłącznie informacyjne, nawet zaproszono na nie wszystkich emigrantów.

– Panna Agnes jest wściekła – Hsiu dalej dukał. – Powiedziała, że ma... – szukał chwilę w pamięci odpowiedniego idiomu – ...wszystko gdzieś.

– W porządku, panie Ken. Proszę kontynuować eksperyment – naprawiona wreszcie pompa próżniowa zaczęła działać. – Proszę nie dawać zbyt wysokich napięć. W poszycie pańskiego statku będą trafiać również cząstki o mniejszej energii. Ich badanie też jest ważne.

Wcale nie było ważne. Graham po prostu obawiał się znowu wysadzić rzeźący ostatkiem sił transformator uniwersytecki. Już raz mu się to zdarzyło i konto jego grantu zostało obciążone bardzo wysokimi kosztami naprawy transformatora, co praktycznie zatrzymało wszelkie badania na pół roku.

Wezwał Agnes do swego biura. Usiadła naprzeciwko biurka.

– Od rana wyczuwam, że masz coś do mnie. Czy możesz to wyjaśnić?

Chwilę milczała, strzelając spojrzeniem to w okno, to na półkę z książkami, i wyłamując palce od rąk.

– Nie, nic – powiedziała w końcu, krzywiąc twarz w najbardziej ironiczny i niemiły ze swoich uśmiezków.

– Ken powiedział, że chodzi o wczorajsze zebranie. Przecież było czysto informacyjne. Nie podjęto żadnej uchwały.

Chwilę jeszcze zbierała myśli.

– Nie – przerwała ciszę. Potrafiła być apodyktyczna. Jej „nie” mogło zastopować rozpędzony pociąg, a w każdym razie stopowało Kena Hsiu i jej profesora. – Właśnie że podjęto uchwałę.

– Taak?... Jaką?

– Przecież byłeś na zebraniu – jej oczy zwężyły się do szparek, z których bił blask. Nadal były ozdobą ironii, która przelewała się po jej twarzy.

Urwałem się w połowie. Skorzystałem z pierwszego zamieszania. No, przecież siedzieliśmy razem wczoraj nad drugim tomem Cullena, nie pamiętasz?...

– Urwałeś się?... – wreszcie traciła pewność siebie. – Podjęto uchwałę, aby za wszelką cenę ograniczyć znaczenie i wpływy profesorów emigrantów... To znaczy, inaczej sformułowali, ale myśl była właśnie taka. Jako wzór przytoczono profesora Grahama Jagera; który odebrał część finansów edeńcowi Ebahlomowi; pomimo że nawet nie jest z tego wydziału co on. Były gromkie brawa.

– Cco?...

– Do wieczora cały grant Ebahloma został rozdzielony pomiędzy innych profesorów. Bez jego sprzeciwu – kontynuowała. – A dzisiaj z rana zrobiono to samo z graniami wszystkich innych profesorów emigrantów.

– Cholera.

– Rzeczywiście nie wzięłaś tych pieniędzy? – jej twarz nadal wykrzywiał grymas ironii, chociaż o innym, troszkę niepewnym odcieniu.

– Oczywiście, że wzięłam. Dawniej robiłem to wielokrotnie. Ebahlom też brał moje pieniądze. To był rodzaj pożyczki, taki wspólny program, wtedy kiedy jeden z nas miał upatrzonogo studenta, ale za mało forsy. Później oddawało się na tej samej zasadzie.

– Wzięłaś na mnie?

– Chciałem, ale się nie zgodził, żeby nie wyglądało na popieranie swoich. Ken jest opłacany w połowie z tej forsy.

– Cholera, nie wiedziałam.

– Właśnie. Myślałaś, że przez zwykły pech trafiłaś do profesora rasisty?

– Nie pech – wreszcie otworzył się błękit jej oczu. – Przez trzy lata goniłam jak głupia, żeby najlepiej zdawać egzaminy, które będą się liczyć przy aplikacji na twój program.

– Przecież za trzy lata, jeśli twój program się powiedzie, sama zostaniesz profesorem piątej rangi. Nie warto było gonić za takim zwierzchnikiem.

Zmilczała.

– To właściwie, co złego w tym, że grant Ebahloma i granty innych zostały rozpożyczone? – zmieniła temat.

– On ma własny temat. Jeśli rozpożyczy całą forszę, to nie zrobi swojej roboty, na przyszły rok nie dostanie nic i będzie skończony. Wiesz, on ma sporo forsy od lotnictwa, od Sił Przestrzennych, a z wojskiem lepiej nie zadzierać.

Czyli wszystko zaczęło się ode mnie? – Na to wygląda. Muszę pogadać z Gino, bo wiesz, może ta cała sprawa nie ma znaczenia. Program Kena mieści się w ramach jego grantu i może ci inni profesorowie też pożyczyci na takie badania, które Gino później wykorzysta do rozliczenia...

– Wygłupiłam się, co?

– Och, to nie tylko przywilej profesorów piątej rangi. Musiałem wyjść na niezłego skurwiela, jeśli tak tam gadali, jak mówisz. Swoją drogą, skąd wiesz o brawach, o rezolucji? Przecież na zebraniu nie było ani jednego emigranta...

– Podśluchiwali za zakrętem korytarza...

– Studenci pierwszej rangi?

– Wszystkich rang: od pierwszej do piątej.

X

Ebahloma zastał w jego biurze. Stary siedział po ciemku, przy oknie czytał jakiś maszynopis. Na widok Grahama odłożył papiery.

– Przyszedłem w sprawie wczorajszego zebrania, Gino. Dowiedziałem się, co zaszło – zaczął. – To znaczy, dla jasności sprawy: byłem na pierwszej części, ale potem wyszedłem.

– Wiem, że wyszedłeś, Uijthof mówił mi o tym. Prawdopodobnie wykorzystali to, że cię nie ma i nie możesz się sprzeciwić. To wyglądało na zaplanowaną akcję.

– Dlaczego się zgodziłeś i oddałeś im tę forszę?

– Zwyczajnie. Dałem się zastraszyć. Jak dziecko. Gdybym został wcześniej ostrzeżony, zareagowałbym mądrzej. Wstyd mówić.

– Co teraz zrobisz?

– Przez rok mnie nie wyrzucą. Forsy starczy mi na piętnaście minut komputera codziennie przez dwa miesiące. To nie jest mało. Może ten twój Kennedy Hsiu robi jakieś wyniki. Jeśli ostro wezmę się do roboty, może nie być całkiem źle.

– Ale że Martinez nie utrzymał tego pod kontrolą. Myślałem, że to jest rozsądny facet.

– To nie jest rozsądny facet. Jak stracę grant, to Uniwersytet straci z tego swoje pięćdziesiąt procent. Będzie musiał zwolnić paru urzędników. Choć może Martinez jest zwyczajnym tchórzem, jak ja.

– Powiedz, co się stało? Dlaczego nagle tyle nienawiści?

– Ogólny kryzys. Wiesz, kiedy jest mniej do podziału, to każdemu bardziej patrzy się na ręce. Ty wiesz, co musiało się dziać na Heddehen,

kiedy odlatywały ostatnie statki? Ja urodziłem się jeszcze w Heddehen, podróżowałem jako małe dziecko i nic stamtąd nie zapamiętałem. Ale wychowywałem się w zamkniętej społeczności mojej rasy i nauczono mnie bardzo wiele z historii Heddeni. Już wtedy, gdy wylatywałem, stosowano selekcję, kwalifikację kandydatów do lotu, chociaż nikt nie wiedział, jakie cechy mają znaczenie w przetrwaniu lotu międzygwiazdowego. Przez to kryteria zmieniały się w zależności od tego, która grupa nacisku miała większe wpływy. Ostatnie statki jeszcze nie doleciały do Ziemi, ale na samą myśl, kto z nich wsiądzie, ogarnia mnie zgroza.

– Bardziej oskarżasz Heddehen niż to, co się tutaj wyprawia.

– Wszyscy pochodzimy z Heddehen, wy także, choć teraz jakbyście o tym zapomnieli.

– Nigdy tak nie myślałem.

– Tak. Ta planeta robi z nami wszystkimi coś niedobrego.

– Planeta?

– No, Ziemia. Wiesz, z początku wysyłano statki z kolejnymi rasami, o których sądzono, że lepiej sobie poradzą z aktualnie zastanym środowiskiem i przygotowują grunt następnym. I co się okazało? Rasy, które zgodnie koegzystowały na Heddehen, na Ziemi wyrzynały się do nogi. Tylko, wiesz, przekaz informacji z powrotem trwał bardzo długo i późno się zorientowano. W końcu sztucznie wytworzono kilka ras przystosowanych do różnych rodzajów klimatu i zdecydowano osiedlić je w odseparowanych rejonach globu.

– Sztucznie wytworzono!?

– Tak. Nie uczyli was w szkołach tego? Oczywiście, że sztucznie.

– Jak? W jaki sposób?

– A jak tworzy się rasy? Zwyczajnie: krzyżuje się ze sobą osobniki o pożądanych cechach, a wyłącza z selekcji osobniki o cechach

niepożądanych.

– Ależ to zezwierżenie, niesamowite barbarzyństwo!

– Wiesz, Graham – Ebahlom zamyślił się. Potem podszedł do nieodstępного kociołka i nalał filiżankę ziółek. – Masz ochotę na trochę goryczy z Heddehen?

– Tak, chociaż po tym, coś powiedział, będzie inaczej smakowało.

– Hu, hu, hu... – zaczął tubalnie chichotać Ebahlom. Pierwszą czarę podał Grahamowi, drugą nalał sobie.

– Pisana historia Heddehen liczy kilkaset tysięcy ziemskich lat. Sama lista najważniejszych postaci historycznych, nie mówię nawet – władców państw, jest zbyt długa, by którekolwiek dziecko było w stanie jej się nauczyć. To dość czasu na najwspanialsze wzloty i najhaniańskie upadki, i na najdziwniejsze systemy społeczne. I ty mi mówisz, że sterowane wytwarzanie ras ludzkich było czymś barbarzyńskim? A jeśli nie był to żaden przymus, jeśli oni wtedy byli dumni, że mogli płodzić dzieci bardziej zbliżone do zamierzonego celu: do mocno upigmentowanego mieszkańca tropiku czy albinotycznego mieszkańca północy? A jeśli wierzyli, że to jest właśnie rozwiązanie, które na zawsze zabezpieczy ich dzieci przed wzajemną agresją? Przed wzajemnym wyrzynaniem się? A jeśli Ziemia była marzeniem pokoleń? Wymarzonym Nowym Światem, na którym zaczniemy od nowa? Dla którego dobieraliśmy gatunki roślin i zwierząt najlepsze spośród tych, co żyły w Heddehen.

– Gino, to są fakty czy twoje domysły? – Graham łypnął na niego krytycznie.

– Hm, wiesz przecież, ile faktów zachowuje się po stu latach. Pomnóż te lata przez tysiąc. Nie wiem... Sztuczne wytworzenie waszych ras jest faktem, motywacja – moją hipotezą. Ale jeśli chcesz faktów, popatrz, co zaszło potem: Te troskliwie wytworzone rasy, szczególnie predestynowane

do życia na Ziemi, od czego zaczęły? – Od bezlitosnego wymordowania rasy Zurlei przybyłej w poprzedniej fali kolonizacyjnej. Inna rzecz, że Zurlei w między czasie mocno podupadli; oni z natury są powolni i pasywni. Ugięli się przed przyrodą Ziemi. Zurlei nie byli głupi, mają mózgi półtora raza większe niż wy. Znasz przecież osobiście profesora Zuda Zuriaqu, tego statystyka? To mózg pierwszej klasy, no nie?...

Graham skinął głową.

– A jednak nie dali rady.

– To jaki był mechanizm? – zapytał Graham. – Że co? Że mała grupa ludzi przeniesiona w nowe, wrogie środowisko, natychmiast zdobywa własną tożsamość i działa znacznie bardziej solidarnie niż wcześniej, gdy była umieszczona w dużym społeczeństwie – ziomków?

– Może to właśnie tak – jest.

– I właśnie dlatego robicie takie kariery i tak wysoko lokujecie się na naszej drabinie społecznej? Praca, walka ponad siły? Taki „syndrom emigranta”?

– Syndrom emigranta. Dobrze brzmi.

– Czyli że mają rację ci rasiści, co tak gardłowali na tym zebraniu? Że musimy się przed wami bronić, jak powinni byli neandertalczycy, czy jak ich zwiecie – Zurlei, bronić się przed ludźmi?

– Może masz rację, Graham. Po prostu nie wiem. Gdy byłem dzieckiem, sierotą, bo rodzice dobrowolnie zrezygnowali z – podróży, aby móc wysłać mnie na Ziemię, i zmarli, gdy ja przeczekiwałem lot, był we mnie taki ogień, żar, zapamiętanie, tak bardzo chciałem wiedzieć, rozumieć. Dlatego uczyłem się bez przerwy. Może ten pęd do nauki, do wiedzy, to była taka podświadoma agresja; chęć zdobycia, podboju?... Dość, że szybko Wyciągnęli mnie z getta emigrantów w Bostonie. Wiesz, stypendium rządowe dla nieprzeciętnie utalentowanych dzieci... Wtedy była moda na

pomaganie emigrantom. Widzisz, wiele zawdzięczam Ziemi i dlatego nie czuję solidarności z Heddeni też dlatego nie chciałem przyjąć panny Hawahhahenne, Dopiero to, co się dzieje, uświadomiło mi, że jednak jestem obcym – umilkł. – Och, Haddam.

Widząc jednak, że Graham nadal oczekuje na odpowiedź, podjął znowu..

– Z ręką na sercu, uważam, że Ziemi nie grozi tym razem nowa fala kolonizacyjna. Tym razem przybyły i nadal przybywają niedobitki z Heddehen, a nie najlepsi, najsilniejsi, najdzielniejsi. A przybyli Heddeni na Ziemi wymierają. Dotąd przybyły pięćdziesiąt dwie rasy, cztery z nich już całkowicie wymarły.

– Ludność Ameryki stale zmniejsza się. Wprowadź dane z Republiki Środka są mocno przestarzałe, ale i tam występuje ta sama tendencja. I myślę, że to tylko fluktuacja.

– Wiesz, znając historię Heddehen; to może być całkiem duża fluktuacja, naprawdę duża... – powiedział poważnie Ebahlom. – Zresztą pogadaj z Zudem. Ach... – roześmiał się i zabawnie machnął sękatymi ramionami. – Oczywiście; trudno się słucha tego – nieporadnego rżężenia dobywającego się z jego niedostosowanego do mówienia gardła.

– Profesor Zuriaqu jest dość gadatliwy.

– Mniejsza... Zud prowadzi staranne obliczenia statystyczne, z których wynika, że liczba Heddeni zmniejsza się szybciej niż liczba innych mieszkańców Ameryki. Dla większości ras Heddeni Zud potrafił wyliczyć estymowaną datę wymarcia. Zapewniam cię, że na ogół nie są to odległe daty.

– Ja natomiast zauważam co innego – Ebahlom przejechał dłonią po spoczonej łysinie. – TQ ludzie zjednoczyli się przeciw Heddeni. Natychmiast. Zobacz, na tym zebraniu w komitecie obrony znaleźli się przedstawiciele wszystkich ras, narodowości. Byli tam wszyscy, nawet ci,

których tutaj kiedyś prześladowano, Żydzi, Murzyni, wszyscy razem zgodnie utworzyli wspólny front Ziemi przeciw Heddeni.

Graham chwilę milczał.

– Dlaczego mówisz „Heddeni” zamiast „emigrantom”? Przecież wywalczone dla was to określenie. Po co się celowo ponizasza?

– Tu nie ma poníženia. Byliśmy dumni z tej nazwy. Zabrano nam ją z rozmysłem.

– Myślałem, że nie chcecie być tak nazywani, że jest ona używana w formie obraźliwej...

– Widzisz, Heddeni to znaczyło coś ważnego, to mieszkańcy Heddehen, czyli, jak wy mówicie – Edenu, Raju. A was przecież kiedyś uczono, że wywodzicie się z Edenu. To tworzyło wspólnotę nas wszystkich. A określenie: „emigranci” zmętniło, zaciemniło sprawę. Od razu zrodziło podział: z jednej strony – swoi, ci z Ziemi, z drugiej strony – emigranci, przybłądy gdzieś z kosmosu. Niektórzy z nas uznali to za pierwszą zapowiedź nadchodzących konfliktów.

– A ja w dobrej wierze głosowałem za zakazem nazwy „Heddeni”...

– No cóż, taka jest potęga telewizyjnej propagandy...

– Jest jeszcze coś, na podstawie czego myślę, że Heddeni wyginą wkrótce – dodał Ebahlom i zgramolił swoje cielsko – z fotela – Popatrz, Graham.

Podał mu jeden z tych dziwnych, tajemniczych przedmiotów stojących na półkach jego biura. Przypominał smukłego ptaka o rozpostartych skrzydłach drącego niemal pionowo do góry. Słabe promyki zimowego dnia, docierające od zapyziałego okna, łagodnie rozświetlały jego wnętrze. Tu migały białą iskierką, gdzie indziej wydobywały czerwone czy błękitne żyłki. Przedmiot przyjemnie chłodził dłoń.

– Piękna robota szklarska. Szkło kryształowe – ocenił Graham.

– To jest Znak Nadziei, bardzo stary symbol z Heddehen. Symbol oczekiwania.

Gino postawił przedmiot na stole.

– A to pamiętasz? – obok postawił prosty, czarny, drewniany krzyż, niemal takiej samej wysokości jak statuetka. Uderzało podobieństwo proporcji.

– Zwariowałaś, Gino? – zachnął się Graham. – Za trzymanie tego na uniwersytecie mogą cię natychmiast zwolnić. Propaganda religiancka została zabroniona, ponieważ mogłaby naruszyć wolności osobiste. W domu możesz to trzymać, nie tutaj.

– Jak będą zwalniać Heddeni, to i mnie wyrzucą. A on stoi sobie z tyłu na półce, za moimi przedmiotami z Heddehen, które wolno mi tu trzymać, gdyż w przeciwnym razie naruszałoby to moje uczucia etniczne – zachichotał stary.

– No dobrze. Do czego zmierzasz?

– Widzisz, jakie są podobne? Graham, myśmy czekali na niego prawie wieczność, a On nie przyszedł do nas, lecz do was. Wolał was, prostych, brutalnych, agresywnych emigrantów, bo to właśnie wy najpierw wyemigrowaliście z Heddehen, od starej, bogatej kultury, niemal zbudowanej na oczekiwaniu na niego. Dlatego my wyginiemy, nie wy. Chociaż tego właśnie nie rozumiem... – powiedział Gino, chowając krzyż gdzieś w ciemność na szafie, za kilka rzędów tajemniczych statuetek..

– Wolał naszą nędzę duchową, co?

– Właśnie, błogosławieni ubodzy w duchu.

– Tak, ale nie sądzę, by wielu ludzi jeszcze myślało o tym, co on kiedyś powiedział.

– Jeszcze myślą Heddeni. Ostatni, którzy się wreszcie dowiedzieli.

– Ostatni będą pierwszymi, co?... – uśmiechnął się Graham. – Może – pokiwał głową Ebahlom. – Mówisz o Nim, zaczynasz mówić Jego słowami...

– Pójdę lepiej do siebie, bo pomyślą, że zakładamy tajną organizację...

– Wpadnij jeszcze kiedyś na ziółka i nie uzasadniaj tego wcześniej jakimś spektakularnym wystąpieniem rasistowskim.

Obaj parsknęli śmiechem.

– Graham – odezwał się Ebahlom, gdy Graham był już przy drzwiach. – Przyznaj, że pierwszy raz w życiu zdarzyło ci się, żeby profesor piątej rangi nauczył się czegoś od profesora pierwszej rangi. Przyznaj, że właśnie tak pomyślałeś.

– Czytasz w myślach, czy co?

– Ha; trafiłem! – stary aż zatarł ręce, a jego tłuste brzuszysko podskoczyło z radości.

– Jeszcze jedno. Po kampusie kiedyś krążyło takie powiedzonko, że profesor jest wartościowym pracownikiem nauki przynajmniej tak długo jeszcze, jak długo nie zapomina utrzymać stolca. I ty jesteś autorem tego powiedzonka?

– Skąd, do cholery...

– Spróbowałem wyobrazić sobie autora. Pasował tylko młody, błyskotliwy profesor piątej rangi, a takich nie ma zbyt wielu w Maratheon.

– A inni?

– Studenci mają swój świat studentów. A profesorowie wyższych rang... przecież to o nich... Znaczący o nas:

XI

Zebranie informacyjne w sprawie emigrantów przerodziło się w regularne spotkania Komitetu Obrony, i Czujności. Komitet utworzyła niemal połowa profesorów i stanowił on poważną siłę nacisku w organach uczelni. Również studentom zezwolono zapisywać się do komitetu i wkrótce utworzono kilkusetosobową sekcję studencką.

– Każdy sposób jest dobry, żeby zwiększyć swoje szanse na załapanie – się na wyższą rangę – skwitował to Graham.

Na razie jednak komitet, oprócz zbierania się, nie robił nic. Nawet ci, co rozdrapali granty swoich kolegów emigrantów, czuli się jakoś głupio. Wkrótce okazało się, że projekty badawcze wyznaczone dla studentów są na ogół zbliżone do tematyki okradzionych profesorów i ich wyniki będą mogły być jakoś wykorzystane do ich ratowania przy przyszłorocznym rozliczaniu. Wspólnota uniwersytecka wracała do równowagi, jakby w naturalny sposób próbowała sama, oczyścić się z tej dziwnej, przypadkowej fali gnoju, która na nią chlapnęła.

W kraju działo się gorzej. Na porządku dziennym zdarzały się napaści na emigrantów. Znow jak przed kilku laty, zginęło kilka osób i co tydzień, co dwa przybywała nowa ofiara pogromu. Agnes po przerwie na obiad przynosiła nową gazetę. Zwykle nie całą, tylko kilka najważniejszych stron i z oskarżycielską miną rzucała ją na biurko. Zawsze robiła to, gdy Graham już wrócił z obiadu i pracował z Kenem, który nadal potrzebował jego pomocy. Potem zaczynała na głos czytać o kolejnej tragedii, Jeśli Graham jeszcze nie zdążył wrócić do laboratorium, zwykle siadywała obok Kena i głośno odczytywała mu wiadomości, powtarzając dwa razy z użyciem

innych słów, aby mógł łatwiej zrozumieć. O pogromach emigrantów, bez wyjątku, zaczynała czytać dopiero, gdy Graham już wrócił. Graham nad swoim biurkiem przypiął pinezkami duży napis: „Nie zatrudniaj studentki pierwszej rangi”, ale natychmiast go odpiął, gdy pomyślał, że Agnes mogłaby przyjść do jego biura. Ostatecznie, zbyt często musiałyby tę kartkę przypinać i odpinać; w końcu rozzłoszczony wrzucił ją do dolnej szuflady biurka.

Zdarzało się, że przychodziły jej koleżanki, emigrantki, siadały wokół niej i wysłuchiwały wiadomości. Im też wszystko kilkakrotnie powtarzała, gdyż większość z nich słabo mówiła po amerykańsku. Jednak gdy któraś z nich odezwała się w jednym z narzeczy Heddeni, Agnes natychmiast płoszyła się, ponieważ znała w języku swoich przodków ledwie kilkanaście słów. Pochodziła z mocno zasymilowanej rodziny. Jej rodzice urodzili się już na Ziemi.

Gdy wrócił z obiadu, natknął się na kolejne wystąpienie Agnes.

– „W Mazatlan, w stanie Stary Meksyk, podpalono dom, w którym zakwaterowano rodziny emigrantów przybyłych jednym z ostatnich statków. Większość z przybyłych stanowili bardzo poważnie okaleczeni wskutek trudnej podróży. Mocno ograniczona zdolność poruszania się emigrantów spowodowała, że aż szesnaścioro z nich spłonęło żywcem, a troje nadal walczy ze śmiercią w miejskim szpitalu w Mazatlan. Siedem osób zostało wyniesionych z płomieni dzięki bohaterskiej akcji straży pożarnej”.

Graham chciał zrobić parę dowcipnych uwag, jak zwykle drocząc się, z Agnes, ale tym razem zbladł i nie odezwał się. Przeraziła go skala tego łajdactwa. Przed oczy wrócił szereg łysych, okaleczonych postaci o oczach pełnych smutku i zdumiewającej beznadziei. Obraz prześladowający go od piętnastu lat.

Hsiu zwiesił głowę i kiwał nią przecząco.

– To być nie może – powtarzał ze swoim akcentem. – Tak być nie może.

– Może by Uniwersytet Maratheon wysłał petycję do parlamentu, panie Graham? – Hsiu wyszczerzył zęby do swojego szefa. – Przecież trzeba wreszcie to powstrzymać. Jesteśmy akademikami i powinniśmy się sprzeciwić.

– Kto wyśle, panie Ken? Ci skurwiele z Komitetu Obrony i Czujności? – Graham wzruszył ramionami.

Albo jest lojalny tej połowie swojego grantu, jaką dostał od Ebahloma, albo rzeczywiście jest wrażliwym facetem, albo jedno i drugie – pomyślał.

Tym razem do Agnes przysły dwie koleżanki emigrantki. Jedna z nich to taka typowa emigrancka kluseczka: równy, tłusty wałeczek w fartuszku laboratoryjnym i niebieskiej chusteczce, o tłusciutkiej śniadej buzi. Druga była niezwykłą, fascynującą pięknnością: pociągła twarz o bardzo jasnej, niemal bladej karnacji, okolona gęstymi jak materac, atramentowoczarnymi włosami rozczesanymi na środku głowy; wilgotne, głęboko czarne, duże oczy, obrysowane długimi rzęsami i podkreślone gęstymi brwiami; do tego prosty, wąski nos i mięsiste, pięknie wykrojone usta – twarz, która mogła tężeć w klasyczną maskę. Było coś posągowego w tej twarzy, chociaż ten typ urody nie całkiem odpowiadał Grahamowi. Tak właśnie wyobrażał sobie piękne księżniczki czy królowe Heddeni przed dziesiątkami tysięcy lat, kiedy ich cywilizacja kwitła.

Gdy spoczęły na nim wyczekująco mroczna, choć przeplatana iskierkami czerni spojrzenia księżniczki Heddehen, dobrze znany jak niebo, a przez to jeszcze piękniejszy głęboki błękit spojrzenia Agnes oraz nieoczekiwanie jasne, jak błękitny lód lodowca spojrzenie tej małej w niebieskiej chusteczce, Graham niemal się zarumienił. Musiał coś powiedzieć; musiał im odpowiedzieć.

– Słucham niemal codziennie, jak czytasz o tych kolejnych aktach mniejszego lub większego łajdactwa i ciągle nie rozumiem jednej rzeczy: jak napastnicy rozpoznają ofiary? Rozumiecie? – przeciągle odpowiedział spojrzaniu każdej ze słuchających. – Skąd napastnicy wiedzą, że atakują emigranta lub emigrantkę?

– Przecież to oczywiste, Graham. To się wie – prychnęła Agnes.

– Jak? Popatrz – lekko podciągnął rękaw jej swetra i zestawił ich przedramiona. – Widzisz?

– Tak, mam krótszą rękę niż ty...

– Eeh... przestań. Masz skórę nieco jaśniejszą niż ja. To znaczy, kudły powodują, że moje ramię wydaje się dużo ciemniejsze niż twoje, ale gdyby zapomnieć o włosach i tak jesteś sporo jaśniejsza. Dla postronnego obserwatora moglibyśmy wyglądać jak brat i siostra...

Nie odpowiedziała.

– A pani?... – zwrócił się do ciemnowłosej piękności.

– Przepraszam: Atta – odpowiedziała grzecznie. – Attolyod Kessalomhahenne – przedstawiła się.

– Tak... Proszę przysunąć swoje ramię do naszych, i pani też – zwrócił się do małej.

Okazało się, że mniemana księżniczka ma rzadkie, ale długie i czarne włoski na przedramieniu, za to, w odróżnieniu od Agnes i tej małej, ma bardzo długie, smukłe palce i piękne, migdałowe paznokcie. Agnes miała małe dłonie i smukłe palce zakończone małymi, dziecinnymi paznokietkami. Tamta mała – to samo, choć w jej przypadku tak powinno być, bo wyglądała jak dziecko.

– Rozumiecie?

– Wiesz, nie całkiem... – odpowiedziała przytomnie Agnes.

– Moja skóra jest najciemniejsza. Nie ma wątpliwości, prawda?

– No tak – tym razem odezwała się Atta. – I co z tego? – To, że fizycznie wyglądacie tak jak my. Przynajmniej większość z was.

– Ja się różnię – odezwała się mała bezbłędną amerykańszczyzną. – I to poważnie..

– No dobrze – nie ustępował Graham. Ostatecznie, lata pracy dydaktycznej wyrobiły w nim dobrą odporność na argumenty innych. – Różnisz się trochę, ale większość Heddeni wyglądem wcale nie różni się od Ziemiaków.

– Powiedzmy, połowa – Agnes nie byłaby sobą, gdyby go nie poprawiła.

– Powiedzmy, połowa – przytaknął skinieniem głowy. – Ale napastnicy atakują bezbłędnie, obojętnie, czy Heddeni różni się od Ziemiaka, czy nie. Skąd wiedzą?

– Znają na co dzień, obserwują... Co w tym dziwnego? – powiedziała Atta.

– Nie... – skrzywił się Graham. – Te opisy, które czyta mi Agnes, wcale nie sugerują czegoś takiego. To są napady najczęściej podejmowane przez kogoś nie znanego ofierze, rozumiesz? – dalej zwracał się do pięknej Atty, która patrzyła na niego nieruchomo i chyba nieco obojętnie. – Musi istnieć ośrodek, który tym wszystkim steruje; wskazuje ofiary, wyznacza napastników.

– Tajna organizacja? – wyraz twarzy Agnes oznaczał, że nieco nadwerżył jej pewność siebie. W ogóle, ostatnio rzadziej marszczyła twarz w ironiczny uśmieszek, raczej uśmiechała się szczerze, szeroko, częściej ukazując niezrównany błękit swych oczu.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Może nawet rząd? – aż sam przestraszył się swojego stwierdzenia, choć wyszło to naturalnie.

Emigrantki milczały, patrzyły po sobie. Hsiu wziął się za przygotowanie nowego eksperymentu, na który mogło już nie starczyć pieniędzy. Zresztą,

jeśli mu Agnes nie pomoże, eksperyment i tak się nie uda.

– Przecież to tylko cztery kartki z „Maratheon Chronicle” – przerwał milczenie Graham. – I na dodatek – tylko wiadomości sportowe i ogłoszenia o wolnych pokojach i boksach. Skąd wzięłaś tę wiadomość o spaleni emigrantów, Agnes? Przecież tego tu nie nia...

– Och, Graham, przecież gazeta jest tak droga. Jeden egzemplarz kupuje dziesięć osób; najpierw go czytamy, a potem rozdzielamy na części. Dzisiaj na mnie wypadł sport, co mnie kompletnie nie obchodzi. Notatka o spaleni to była wiadomość dnia i nauczyłam się jej na pamięć, żeby przekazać przyjaciołom.

Gdy koleżanki poszły Agnes nadal kręciła się wokół Grahama. Wyczuł, że czegoś chciała.

– Masz ochotę na moje ziółka? – zaproponowała. Widać, nie bardzo wiedziała, jak zacząć rozmowę.

Sama jesteś nieznośne ziółko:... – pomyślał.

– Pewnie – powiedział na głos. – Lubię od czasu do czasu zakosztować tej waszej goryczy. Jeśli do picia, oczywiście... – uśmiechnął się.

Zakrzętnęła się przy palniczku gazowym. Graham dawno już obliczył, ile kosztuje jego grant codzienne gotowanie wody w celach towarzyskich. Dawno już zamierzał z tego zrezygnować, ale jakoś nie mógł się zdobyć, żeby im to powiedzieć Agnes z reguły przynosiła te swoje heddeheńskie ziółka, Ken parzył herbatę, a Graham często ograniczał się do gorącej wody.

– To jest jedna receptura czy różne zestawy? – zapytał Ken, który spodziewał się, że też zostanie poczęstowany.

– Skądże, panie Ken – wtrącił się Graham. – Gdzieżby miała jeszcze ze sobą zestaw oryginalnych ziół z Heddehen. To zwykle ziele zbierane w

lecie na łąkach wokół miasta, albo nawet na kampusie i potem suszone, dokładnie według książki „Zdrowa kuchnia” Bomberga.

– Część jest zbierana przeze mnie, część kupowana w specjalnym sklepie zielarskim – Agnes leciutko się naburmuszyła. – Obojętne, czy byłaby to jedna, czy więcej receptur, nie rozpoznałibyście swoimi ziemskimi językami, dla was to zwykła gorycz...

– Założę się, że ty też nie poznajesz. Tylko pachnie inaczej – zachichotał Graham, obserwując jak ona krząta się ze złością, ale i z wdziękiem wokół dymiącego kociołka, z którego już rozchodził się przyjemny aromat.

– Za to dzisiaj poznałeś stuprocentową Heddeni, tysiącprocentową powiedziała, nieco zbyt gwałtownie stawiając przed nim kubek z gorącym płynem.

– Tę czarnowłosą piękność? – zaciekawił się – Zdumiewająca twarz: piękna, ale łatwo ją sobie wyobrazić w gniewie jako straszliwą maskę... Mogłaby – być księżniczką, to kapryśną, to despotyczną, to znów piękną...

– W Heddehen pewnie by była... – burknęła niezadowolona Agnes. – Pochodzi z rodu, który wydał przynajmniej kilką tysięcy księżniczek i kilka tysięcy książąt dla ludu Urhenn, także sporo królów i królowych w ostatnich kilkudziesięciu tysiącach lat.

– To dało się wyczuć. Jeszcze nigdy nie spotkałem autentycznej królowej – ucieszył się Graham. – Nawet tylko potencjalnej.

Wypił kilka gorących łyków, starannie odcedzając przez zęby rozmoczone zielsko. Zamyślił się.

– Kobiety z rodu Kessalom i wszystkich rodów książęcych, które wydawały władców narodowi Urhenn, nie mają piersi – Agnes przerwała jego rozmyślenia.

– Jak to, nie mają?

– Zwyczajnie – przycisnęła lekko dłońmi sweterek na piersiach, niby je spłaszczając, ale naprawdę tylko podkreślając, jak wiele się pod tym porozciągającym sweterkiem kryje. – Tu są zupełnie płaskie. Jak ty albo Ken.

– No, wiesz, wszędzie rodzą się dziewczyny z małymi piersiami...

– Nie tak. Żadna z nich nie ma piersi. Żeby podkreślić, że są władczyniami i nie muszą karmić swoich dzieci.

– Okaleczali je?...

– Nie i nie. One takie się rodzą. Tak zostały wyselekcjonowane w rodach władców Urhenn. Na uroczystościach oficjalnych występowały rozebrane do pasa jak mężczyźni, żeby podkreślić swoją przynależność do rodów, z których pochodzą władcy.

– Cię... Słyszałeś, panie Ken?

– Emigrantów lepiej nie pytać – Ken jak zwykle szczyrzył zęby. – Mogą za wiele powiedzieć...

– Słyszałem, że są emigrantki z sześcioma piersiami, ale żeby wcale...

– Ta mała, Havannanah, co przyszła z Attą, ma sześć piersi, dlatego wygląda jak tłusty wałeczek, chociaż wcale nie jest aż tak tłusta. Wyobrażasz sobie sześć równych, foremnych piersi u jednej dziewczyny, jaka frajda... – uśmiech Agnes należał do najzjadliwszych. W wąskich szparkach jej zmrużonych oczu migąły iskielki.

– Sześć obok siebie? – Graham był niezrażony.

– Nie, po dwie, tak coraz niżej... – pokazała palcami na sobie. Dociekliwość Grahama najwyraźniej peszyła ją lub złościła. Ostatecznie, sama zaczęła ten temat.

– I te, co miały po sześć, karmiły dzieci tym, co nie miały wcale?... – dalej dopytywał się.

– Gdzie tam – parsknęła śmiechem. – To zupełnie inne narody, żyły na innych kontynentach oddzielonych oceanem...

– Wypiłeś już, panie profesorze? – sięgnęła po jego kubek. – Chcę to posprzątać.

– A twój naród jak się nazywał, Agnes?

– Mój naród wywodzi się wprost od Hawy, czy jak wy ją tam zwiecie, Ewy. Nie ma swojej nazwy...

– Gdzie tam, panie Graham, Agnes po prostu zapomniała – roześmiała się Ken. – Tak jak zapomniała języka emigrantów.

– Nic nie zapomniałam – wydeła usta. – Nigdy nie umiałam. Rodzice starali się wychować mnie na Ziemiankę, dlatego uczyłam się tylko po amerykańsku, a w szkole trochę języka europejskiego. Sami też nauczyli się po amerykańsku i starali się tylko w tym języku mówić przy mnie. Nawet nadali mi tylko ziemskie imię. Myśleli, że najlepiej będzie, gdy stanę się kimś z was. Myślę, że pomylili się, zakładając, że pozwolicie na to...

– Mam nadzieję, że oni mieli rację, nie ty – powiedział Graham. – Ty należysz do jednej z wymierających ras, które bada Zuriaqu?

– W tym samym stopniu, co ty albo Ken, albo profesor Hyman, który jest czarny jak węgiel. To właśnie z mojej rasy przed dziesiątkami tysięcy lat wyselekcjonowano wasze, ziemskie rasy.

XIII

Akurat trwał okres największego nasilenia wystąpień przeciw emigrantom. W miastach wybrzeża emigrantów celowo przesiedlono do zamkniętych kolonii, aby łatwiej można było zapewnić im bezpieczeństwo. W większych miastach zdarzało się nawet, że osoby o rzucającym się w oczy wyglądzie emigranckim były nakłaniane przez policjantów do pozostawania w gettach nawet w ciągu dnia. Oczywiście, dla własnego, dobrze pojętego bezpieczeństwa. Potem, gdy fala tych ekscesów opadła, emigranci pozostali w wydzielonych gettach.

Sprawa petycji, nieoczekiwanie, nie okazała się beznadziejna. Graham zaczął ją sondować wśród przyjaciół, jak zwykle, przy kapuście na stołówce. Zarówno Uijthof, jak i Tonkine, a także – nieoczekiwanie Heeyers, zapalili się do tego pomysłu. Heevers był jednocześnie w zarządzie Komitetu Obrony i Czujności. Widocznie uważał, że należy nieco utemperować emigrantów, unikając jednak niepotrzebnej przesady.

– Myślę, że nasz uniwersytet mógłby dać bardzo dobry przykład rozsądnej i wyważonej postawy – powiedział Heevers, energicznie pałaszując kapustę, aż trzęsły się skromne siwe piórka okalające jego łysinę – Zdajemy sobie sprawę zarówno z istnienia zagrożenia ludzi przez emigrantów (i dlatego założyliśmy jako jeden z pierwszych uniwersytetów, komitet obrony), jak i jesteśmy w pełni za uszanowaniem ich podstawowych praw obywatelskich, w szczególności najbardziej fundamentalnego prawa do życia... Tak, tak, podoba mi się ta inicjatywa petycji... Na pewno ją podpiszę... – jego wypowiedź dzieliły chwile, kiedy żuł i łykał kolejne kęsy. – Wiesz, Graham, chyba wszyscy ocknęli się w

porę. Czujność ludzi wobec emigrantów zbudziła się również w Republice Środka i prawdopodobnie też w Zjednoczonej Europie, chociaż zarozumiali skurwiele z Europy nie zadają sobie nawet tyle trudu, żeby informować resztę świata o tym, co się u nich dzieje.

– No, wiesz, i tak ludzie przenoszą się do Europy, a nie z Europy. Europejczycy musieliby być ostatnimi durniami, żeby – się jeszcze reklamować. To oczywiste.

– Podobno ostatnio jeszcze bardziej ograniczyli komunikację: zmniejszyli liczbę lotów między kontynentalnych.

– Jak tak dalej będzie szło, to wszyscy do nich zwieją, nawet przez Republikę Środka, choć podobno tamtędy to niezmierny dystans, bezludzie, bagna, śniegi. Zresztą przez Pacyfik nie ma lotów.

– Nigdy nie było.

W większości uniwersytetów przeprowadzono weryfikację profesorów, z reguły wysyłając na emeryturę bądź degradując profesorów pierwszej i drugiej rangi, jeśli byli emigrantami. Zaś w Maratheon Graham, a w jego zastępstwie Uijthof, przesiadywali w świetlicy bursy nad petycją skierowaną do rządu, w której domagano się energicznych działań powstrzymujących falę przemocy i zastraszania, skierowaną przeciw emigrantom. Udało się zebrać kilkadziesiąt podpisów profesorów, na ogół osób nie należących do komitetu obrony. Heevers należał do nielicznych wyjątków, ale jego dziwactwo było powszechnie znane i nikt specjalnie nie dziwił się jego obecności i tu, i tu. Natomiast profesorowi Jagerowi nie wybaczone nadmiernej aktywności w sprawie petycji. Profesor piątej rangi nie ma prawa do dziwactw.

XIV

Na razie fala nienawiści do emigrantów jakoś nie opadała. Podsycił ją przyłot dwóch kolejnych statków z Heddehen. Były wyposażone w kompletny zestaw ładowników. Spowodowało to, że Ameryce przybyło trzydzieści sześć tysięcy nowych obywateli, w większości poważnie okaleczonych.

Powszechnie narzekano na dodatkowe koszty, które będzie musiała ponieść, z tytułu opieki nad nimi, niedoinwestowana służba zdrowia. Poważnie dyskutowano problem, czy w ogóle należy się nimi opiekować. Na razie nieszczęsnych przybyszów rozlokowano w obozie przejściowym niedaleko Denver, Colorado, zbudowanym kiedyś za pieniądze Narodowej Agencji Kosmicznej. Ośrodek był kiedyś zaplanowany jako połączenie szpitala z hotelem na dwadzieścia tysięcy miejsc. Obecnie, od biedy był w stanie pełnić jeszcze funkcję ambulatorium dla nie zagojonych amputantów. W ośrodku pomieszczono trzydzieści tysięcy kalek, dla pozostałych sześciu tysięcy zdrowych rozbito namioty.. Aby nie marzli z powodu zimy, w namiotach zapewniono kosiaki.

– No i mamy trzydzieści sześć tysięcy nowych kłopotów – powiedział przy śniadaniu profesor Appelbaum. Wokół unosiły się opary przypalonej zupy mlecznej. – Ile jeszcze takich przyłotów wytrzyma nasza waląca się gospodarka?

Graham nie znosił zupy mlecznej, a szczególnie pływających w niej kożuszków. Zawsze odsuwał je na skraj talerza aluminiową łyżką. Sypał też dużo cukru, aby jakoś przytłumić nieprzyjemny smak przypalonego mleka.

Appelbaum, który w tym semestrze miał wyznaczone miejsce obok Grahama, zawsze stwierdzał to samo: – Robi pan naraz dwie niewłaściwe rzeczy, młody kolego: usuwa pan z pożywienia wartościowe białko i dodaje sporo niezbyt potrzebnych węglowodanów.. Tak nie można. Każdy profesor powinien być wzorem pod każdym względem.

Dla Grahama Appelbaum nie był wzorem pod każdym względem. Choćby dlatego, że w uszach rosły mu długie, rude kudły, chociaż na głowie już zupełnie osiwiiał.

– Tak, coraz trudniej ponosić koszty za przybywających – przytaknął Graham, rad, że może bezkarnie wyłowić kozuchy i dosłodzić nie lubianą zupę. – Ale chyba powinniśmy tak robić. Jesteśmy ich nadzieją.

– Ma pan na myśli, że mają prawo do Ziemi, bo przygotowali ją sobie? – Appelbaum siorbnął zupę.

– Coś w tym stylu, choć może nie dokładnie tak.

– A nie pomyślał pan, jak mało troszczyli się o swoich wysłanników? Przecież ich to tak mało obchodziło, czy się tu zagryziemy, czy nie. A zagryzaliśmy się i dziczeliśmy tak bardzo, że niemal zapomnieliśmy, skąd się wywodzimy.

– Odległość ograniczyła ich możliwość ingerencji. Starali się... Poświęcili szczęście wielu swoich ludzi, żeby wytworzyć lepiej przystosowane rasy...

– Co? – obruszył się Appelbaum – Trzy króliki doświadczalne? Białe, żółte i czarne? Jeden na pomoc, drugi w środek, a trzeci na południe? Że zmusili swoich ludzi, by się tak parzyli, żeby powstały te króliki? To jest to ich poświęcenie?

– A co mogli więcej? – Grahamowi płatki owsiane jakby pęczniały w ustach. Zupy nie ubywało. Cieszył się, że dzięki tej rozmowie nie musi pośpiesznie przełykać nieznośnego płynu. Appelbaum był profesorem

drugiej rangi i rozmowa z nim wystarczająco uzasadniała nadmierne przedłużenie posiłku.

– Jeśli nie dało się nic więcej, nie powinni, do cholery, brać się za kolonizację planety tak odległej od Heddehen..

– Jeśli to prawda, co mówią, to w takim przypadku już dawno przestalibyśmy istnieć. Zamarzlibyśmy, gdy zgasło słońce Heddehen.

– Cholera ich wie, czy to prawda, co mówią.

– Do tego zmierzam, profesorze Appelbaunu Wiedza wypchnęła nas z Heddehen, owoc Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Może oni też nie oparli się jego smakowi.

– Chcieli wiedzieć? – Appelbaum łypnął szelmowsko. – I, do licha ciężkiego, nie pan powinien mnie o tym pouczać – burknął. – To właśnie mój naród przechował wiedzę o Drzewie Wiadomości. – Nawet wspólnego języka nie zdołaliśmy zachować, co? – znowu łypnął do Grahama.

– Oni nazywają wszystkie nasze języki językiem czynnościowo – pojęciowym. Większość z ich języków to języki sytuacyjne – jedno słowo to cała sytuacja, a jej wersje to fleksja tego słowa. Hyman podobno skrobnął na ten temat ponad dwadzieścia publikacji – wyjaśniał Graham, a Appelbaum cierpliwie słuchał.

– Z pewnością dziwił się pan, że właśnie ja byłem w Komitecie organizacyjnym tego pierwszego zebrania, a teraz jestem w zarządzie komitetu obrony, co? – zapytał, gdy Graham skończył.

– Tak. Jest pan przecież jednym z największych autorytetów naszego uniwersytetu – odpowiedział szczerze Graham.

– Bo uważam, że oni powinni zapłacić należną cenę. Myśmy zapłacili znacznie większą cenę za opuszczenie Edenu niż oni obecnie płacą. Dlatego nadal będę działał w Komitecie.

– Mam nawet pomysł, co zrobić z nowo przybywającymi: po niezbędnie potrzebnej, elementarnej pomocy medycznej, pan rozumie – amputacje, leczenie zakażeń, gojenie ran – należy ich od razu przesyłać do tych ich wspólnot czy komun...

– Gett – Graham podsunął niemile brzmiący wyraz.

– ...by na koszt swoich współbraci przyzwyczajali się do życia na Ziemi. Żadnych hoteli, specjalnego programu przystosowania... Tylko leczenie... Reszta już za pieniądze ich współbraci.

Pomysł był surowy, ale wyglądał na sprawiedliwy – ostatecznie kraj tonął w kryzysie, a emigranci stanowili bardzo dobrze sytuowaną grupę ludności. Graham nie zaproponował.

– Ale białka spożywczego nie powinien pan marnować, młody kolego – Appelbaum wskazał łyżką na zaschłe na rąbku talerza Grahama starannie odsunięte kożuchy.

Do jego łyżki też przyschły – pomyślał Graham. – Nie byłby sobą, gdyby mi nie przyłożył na deser.

XV

– Na terenie kampusu zdarzyło się parę napaści na studentów emigrantów. Zawsze po zmroku lub przed świtem i za każdym razem w takich miejscach, aby nikt nie mógł pomóc ofierze. Wyglądało to na reżyserowaną działalność. Ktoś nawet spróbował napaść późną nocą na profesora Zuriaqu. Zakończyło się to żalosną klęską napastnika: atletyczny Zuriaqu zmasakrował go, ale, niestety, nie ujął – pozwolił uciec pechowemu agresorowi. Ujęty bandyta mógłby wiele wyjaśnić.

Jedna z napaści zakończyła się tragicznie. Pobity student zmarł w szpitalu. Pochodził z rasy Kocich Pyszczków, jak Graham ich nazywał. Tym razem społeczność akademicka zareagowała solidarnie; nikt nie musiał warować przy petycji, podpisali ją niemal wszyscy profesorowie i ponad dwa tysiące studentów, czyli także przygniatająca większość.

Graham w czasie wspólnej kapusty obiedniej usiłował podsunąć godniejszym kolegom wyższych rang pomysł utworzenia straży studenckiej czy profesorskiej, ale jakoś nikt się tym nie zainteresował. Co innego współczuć ofiarom, a co innego samemu włączyć się godzinami na mrozie po nierówno wydeptanych w śniegu drózkach kampusu.

Obawiał się bardzo o Agnes. Znacznie bardziej niż powinien obawiać się o swoją pracownicę. Oddychał z ulgą, gdy wreszcie przyjechała do pracy. Znacznie cierpliwiej znosił jej kąśliwości, które uwielbiała. Kiedyś próbował ją namówić, aby przyjeżdżała pierwszym autobusem, jak student powinien.

– Wolę pospać godzinę dłużej i wiedzieć, że martwisz się o mnie... – powiedziała.

Nie odpowiedział..

– Wystarczy, że zawsze wracamy razem, tym samym autobusem –
spojrzała badawczo na niego.

– Myślisz, że byłyby jakieś plotki o nas?

– Ciągłe słyszę – wydeła usta. – Wszystkie moje koleżaneczki tylko o
nas trąbią.

XVI

Niestety, petycja nie przerwała fali napaści. Kolejnym obiektem napadów stały się emigrantki. Doszło do tego, że bały się samotnie opuszczać zabudowania.

Tego wieczora Graham nie wytrzymał nerwowo. Właśnie dowiedział się, że brutalnie zgwałcono kolejną emigrantkę. Tym razem nie na kampusie, lecz w samym Maratheon.

Wieczorem nie poszedł pracować na komputerze. Zrezygnował nawet z oszczędzonej od rana kawy, pomimo że bon był ważny tylko przez jeden dzień, a potem przepadał.

Spokojnie czekał, aż Agnes zawinie się w metry swego szalika. Radziła sobie nieźle: zwój za zwojem, a potem długi jeszcze koniec zarzuciła na plecy.

Oboje poszli dróżką, czyimiś nierówno wydeptanymi zmrożonymi śladami. Po odwilży znów nastąpiły silne mrozy. Znów z zimna nieprzyjemnie zaklejały się skrzydełka nosa. Agnes męczyła się i potykała. Nawet garbiła się z wdziękiem, choć przez zasłonę jej okropnego płaszcza mógł to dostrzec tylko wtajemniczony. Graham umiał spojrzeć na nią wzrokiem wtajemniczonego.

– Specjalnie nie poszedłeś na komputer i czekałeś, żeby mnie odprowadzić? – spytała, gdy zrównali się w szerszym miejscu dróżki. Wokół jej twarzy unosiły się kłęby pary z oddechu i tworzyły białe szron na zwojach szalika.

– Tak.

W świetle latarni ulicznej na przystanku autobusu jej twarz była blada – trochę bladoróżowych plamek i słabymi, sinawymi kreseczkami zaznaczone, nozdrza, powieki i kilka przedwczesnych zmarszczek. Agnes wyglądała na kompletnie przemęczoną.

W pobliżu snuły się te same osoby co zwykle. Z tego przystanku oprócz Grahama odjeżdżali zazwyczaj: Heevers, Ebahlom, Lee Pock, Hyman, Tonkine i jeszcze paru innych. Zwykle coś tam do siebie gadali, choć od pewnego czasu Heevers i Ebahlom nie rozmawiali ze sobą. Do Grahama też nie podchodzili, odkąd przychodził z Agnes. Profesorowi wypadało rozmawiać ze studentem wyłącznie służbowo. Nawet jeśli student był rówieśnikiem profesora.

– Popatrz, jesteś jedyną studentką o tej porze – powiedział Graham. – Inni już dawno pojechali do domów.

– Gdzie tam: dalej siedzą i pracują albo pozorują pracę. Potem pojedą na rowerkach albo pójdą pieszo. Potem, to znaczy w dziesięć minut po odjeździe tego właśnie autobusu, kiedy już „ich” profesorowie nie będą widzieli. Wrażenie się liczy.

– Pan Ken poszedł do domu już godzinę temu.

– Wreszcie się zorientował, że olewasz takie pozory. A poza tym ma żonę w ciąży.

– A dlaczego ty nie wracasz wcześniejszym autobusem?

– No, bo... – urwała. – No, bo wtedy nie mieliby o czym plotkować na kampusie – dokończyła.

– To może lepiej... – zaczął i ugryzł się w język, bo przecież mógł niechcący spowodować, że ona przestanie z nim wracać.

– Przyzwyczaiałam się do tych plotek – odpowiedziała jednak. – Brakowałoby mi czegoś.

– Dlatego wydajesz tyle na autobus?

– Plotki nie są aż tyle warte – zachnęła się. – Mam tylko jeden płaszcz, który nie nadaje się do rowerka, a i na rowerek mnie nie stać. A gdybym chodziła pieszo, po miesiącu wyglądałabym na tyle lat, ile mam. Dlatego rujnę się na autobus.

– Przecież wiem, ile masz lat. Czytałem twoją dokumentację.

– Nie szkodzi. Wystarczy, że nie rozpowiadasz.

Rozzłościł się. Oczekiwał innej odpowiedzi. Akurat podjechał autobus. Nie zatrzymał się, lecz wolniutko jadąc, otworzył drzwi. Kierowca obawiał się, że gdy raz się zatrzyma, będzie miał kłopoty z ponownym ruszeniem. Po krótkim truchcie profesorowie według rang znikali we wnętrzu. Graham pomógł Agnes wspiąć się do wnętrza. Nie było to łatwe na jezdni pokrytej skorupą lodu.

– Co za syf – burknęła, lekko sapiąc z wysiłku. – I to za taką forszę.

Zmieścili się na pojedynczym, ostatnim wolnym siedzeniu.

– Nie musisz tak bardzo dbać o te plotki – powiedziała. – I bez tego stale o nas gadają...

– Po prostu, było jedno miejsce wolne. Gdybyś sama siedziała, to by pierdy krzywo się patrzyły, że student siedzi, a profesor stoi.

– Mimo że student starszy od profesora?

– No, nie całkiem, ale niedaleko...

– Mógłbyś wymyślić mądrzejsze wyjaśnienie.

– Osłaniam cię przed napaścią jakiegoś rasisty.

– To jest rekordowa bzdura – zaczęła się tak głośno śmiać” że kilku czcigodnych; starszych, kolegów spojrzęło na nich karcąco. Kierowcy nie wolno przeszkadzać, pomimo że jezdnia była zupełnie pusta o tej porze. Skarcona para młodych naukowców potulnie umilkła.

W miarę mijanych przystanków profesorów ubywało. Najpierw zniknęła trzecia ranga, potem czwarta, następnie zaczęło ubywać piątej.

Przesiedli się na podwójne siedzenie. Trudno jest długo gnieździć się na połowie krzeselka, pomimo że z początku wydaje się, że miejsca jest dość. Graham od pewnego czasu trzymał się oparcia.

Dojechali do przystanku Grahama. Ten jednak, zamiast zebrać się do wyjścia, nadal rozmawiał z Agnes.

– Pośpiesz się – szturchnęła go lekko. – Nie zdążysz wysiąść. On zatrzymuje się dosłownie na moment.

– Nie wysiadam – powiedział i dalej ciągnął wywód na temat tego, co Agnes będzie robić przez tydzień.

– Zwariowałaś? – przerwała mu nieco rozdrażniona.

– Odprowadzę cię pod drzwi, a potem wrócę pieszo te dwa przystanki. Dobrze mi robi dwadzieścia minut spaceru. Nie jest zbyt zimno. A nie chcę, żeby ci się przydarzyło to, co tej biednej dziewczynie z wydziału inżynieryjnego. – Zainwestowałem w ciebie zbyt dużo pieniędzy...

– Tak będzie teraz codziennie?

– Przez jakiś czas – znowu wrócił do swoich wywodów i zaleceń.

– Potrafisz czarująco nudzić – powiedziała po chwili, gdy umilkł dla nabrania powietrza.

– Wiem. Nudzenie to jest moja mocna strona – łypnął zbójecko i wrócił do omawiania eksperymentu planowanego na sobotę. Praca w sobotę przyjęła się już od dawna, w wielu grupach pracowano również w niedzielę, choć krócej. Graham przesiadywał w pracy co niedzielę, bo nie miał nic innego do roboty. Nie zmuszał studentów, by przychodzili. Ani Ken, ani Agnes nie pojawiali się nigdy w niedzielę.

Wysiedli, a za nimi jeszcze dwóch innych ludzi. Przystanek usytuowano w nie zabudowanym miejscu, wśród pól przykrytych zlodowaciałą warstwą śniegu. W odległości kilkuset metrów, może kilometra, ciemniały pierwsze

niskie zabudowania, z rzadka rozświetlane wąłymi, pełgającymi światełkami.

– Ależ ty mieszkasz. Gdybym wiedział, wcześniej zacząłbym cię odprowadzać.

– To takie przewężenie miasta. Kiedyś były tu jakieś domy. Dalej zaczyna się South Maratheon. Tam mieszka większość studentów. Później pokażę ci drogę na skróty, którą wrócisz. Nie trzeba iść z powrotem aż na przystanek. W sumie wyjdzie, jakbyś szedł te dwa przystanki szosą.

Zauważył, że Agnes co chwilę ogląda się do tyłu.

– Coś nie w porządku?

– Zwykle oprócz mnie nikt nie wysiada. A tu jakichś dwóch nieznanych, rosłych facetów.

– Może tu mieszkają.

– Wiesz... Mieszkańcy już dawno śpią, bo elektryczność kosztuje. Jedynie studenci i profesorowie wracają o tej porze.

– Może nowi studenci.

– Wiedziałabym. Plotki rozchodzą się zanim jakiś przybędzie na campus. Obawiam się ich. Są jeszcze więksi od ciebie. Weź mnie pod rękę, będziemy wyglądali jak małżeństwo.

Wsunęła rękę pod jego ramię, pomimo ciężkiego płaszcza jakoś tak nieśmiało, niepewnie, za lekko. Tamci dwaj mężczyźni zwolnili, przestali się zbliżać. Najwyraźniej zorientowali się, że są obserwowani i albo na razie zrezygnowali ze swoich zamiarów, albo nie chcieli wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń.

Po dziesięciu minutach doszli do jednego z typowych, drewnianych, parterowych domostw. Graham rozcierał zmarznięte uszy. Mróz zdążył dokuczyć.

Agnes rozejrzała się wokoło uważnie, spojrzała na niego i zaproponowała: – Może wpadniesz na herbatę albo ziółka.

– Pewnie. Może tata jeszcze nie śpi – powiedział. Mam nadzieję, że jest głuchy jak pień albo śpi jak kłoda, albo najlepiej jedno i drugie... – pomyślał.

Przez króciutki, ciemny korytarzyk zawalony niesamowitą ilością najróżniejszych gratów przeszli do kuchni. Na szafce palił się kaganek. Ciemność dodatkowo rozjaśniała rozżarzona płyta kuchenki elektrycznej. Krzątała się tam okropnie gruba dziewczyna w wystrzępionym szlafroku.. Gotowała w dużym aluminiowym garnku makaron.

– Cześć, Święta – rzuciła do Agnes. – Wreszcie sprowadziłaś tego swojego profesora?

– Cześć, Donna, to druga czy trzecia kolacja dzisiaj? – odpaliła Agnes. – Mogę wziąć swój kaganek?

– Zaczekaj jeszcze chwilę, już odcedzam. Franko! – krzyknęła w ciemność. – Wyjdźże wreszcie i przywitaj się – wyraźnie grała na zwłokę, by zdążyć z robotą.

– Cały wieczór leży pod kołdrą, ogląda telewizję i żre makaron – powiedziała.

Z ciemności wytoczył się niski, gruby jak Donna, mężczyzna o błyszczących jak u gryzonia oczkach, szczeciniastych wąsach i mocno przerzedzonych włosach. Buchnęła para; Donna odcedziła makaron, wrzuciła do niego pół kostki margaryny i starannie mieszała topniejący tłuszcz z kluskami.

– Franko Tarcza, student czwartej rangi wydziału inżynierii – przedstawił się grubas.

Margaryna rozpuściła się zupełnie, wsiąkając w makaron. Donna nałożyła dwie kopiate miski.

– Miłego wieczora – powiedziała, biorąc swoją miszkę i dużą aluminiową łyżkę. – Dalej głodujesz wieczorami? Chodzić piechotką, to będzie forsa na kolację – dodała na odchodnym.

– Donna lubi pożartować – Franko wziął bliźniaczą miszkę i łyżkę.

– Dobry program? – zapytał grzecznie Graham.

– Świetny. Od dwóch godzin leci koszykówka. Superpuchar. Oderwać się nie można od ekranu.

– Nastawię wodę – powiedziała Agnes, rozluźniając szalik, bo gorąc bił od kuchenki. – Jak płyta ostygnie, to potem rozgrzewa się przez pół godziny – wrzuciła do otworu dwie monety dwudziestodolarowe. – Kuchenka często zacina się i kradnie bilon – powiedziała, stawiając garnek z wodą na płycie.

– Chodź, zdejmiesz płaszcz – powiedziała. Przecisnęli się wąziutkim korytarzykiem, mijając dwoje drzwi.

Agnes otworzyła kłódkę wiszącą na drzwiach.

– Zaczekaj, sprawdzę coś najpierw – pośliniła palec i zgasiła kaganek.

Weszli do pokoiku, którego dwie ściany narożne stanowiły okna.

– Popatrz, oni nadal tam stoją – powiedziała, wskazując na dwa ciemne kształty kryjące się w mroku bramy domu naprzeciwko. Teraz czekają na ciebie.

– Może przez cały czas chodziło im o mnie?

– Nie – czasami to słowo w ustach Agnes brzmiało szczególnie, nieodwołalnie, bezdyskusyjnie. – Przyszli tu za mną, a teraz chcą wiedzieć, kim ty jesteś.

– To w porę zdecydowałem się, żeby cię odprowadzić... – nawet nie spróbował spierać się z nią.

Zasłoniła okno jakimiś nierówno wiszącymi szmatami i zapaliła trzy świece.

Pokoik był maleńki: dwa na dwa i pół metra. Łóżko, stołek, biurko i mała półeczka, na ścianie wieszak na ubrania, na podłodze sterta książek, na drzwiach wiszące dwa ręczniki.

– To tyle?, – wyrwało mu się. – A gdzie tata?

– Umarł pięć lat temu. Zaraz potem, gdy zaczęłam studia. Powieś kurtkę na wieszaku.

– To dzięki tym facetom załapałem się na herbatę?...

– W zasadzie... tak. Widziałam, jak stali w bramie, i pomyślałam, że mogą cię zaatakować. Zaczekaj. Zaparzę herbatę. A może chcesz jakieś zioła?

– Znowu będzie cuchnęło tym edeńskim gównem – doszedł ich głos zza ściany. Zawtórował mu chichot.

– To nasi znajomi? – zapytał Graham.

– Nie, to Spence sprowadził zdobycz. Co parę dni sprowadza nową – wypaliła Agnes.

W odpowiedzi usłyszeli szelest, szamotaninę i stłumione głosy. Nie było więcej złośliwych uwag. Widać, Agnes mogła jeszcze wiele ujawnić na temat Spenca.

– Tak wszystko słyszać? – zapytał Graham, gdy byli w kuchni. Bez wierzchniego okrycia łatwiej było zmieścić się w wąskim korytarzyku, choć trudno byłoby się w nim minąć.

– Właściciel podzielił salon na cztery boksy przepierzeniami ze sklejki, dlatego słyszać – wzruszyła ramionami. – Bierze sześćdziesiąt dwa tysiące miesięcznie od boksu z oknem i pięćdziesiąt cztery tysiące bez okna. W suterenie wynajmuje boksy też po pięćdziesiąt cztery tysiące, bez okien, większe niż te na górze, ale przechodnie. Nie chciałam ryzykować pokoju przechodniego.

– Co za syf. Ciężki syf... – powiedział Graham. – Pięć lat temu zostałem profesorem. Wcześniej wynajmowałem cały, samodzielny pokój w piwnicy za czterdzieści dwa tysiące dolarów miesięcznie. Całe trzy i pół, na trzy i pół metra, no, może odliczając ścienną szafę na ubrania, która trochę wystawała.

– Tak, co roku jest drożej i gorzej.

– Jest gdzie umyć ręce?

– Tu, w zlewie. Jest tylko prysznic i oddzielna toaleta. – Dla tylu osób?

– Dla ośmiu. Ale ja wstaję najwcześniej i nikomu nie przeszkadzam.

Weź to, tylko się nie sparz – podała mu dymiący kubek. – Chodź.

Znów przecisnęli się ciasnym korytarzykiem.

– Zabarykaduj starannie drzwi.

– Po co?

– Póki są trzeźwi, wszystko jest w porządku. Można nawet łązić w szlafroku i z ręcznikiem na głowie. Ale jak są na prochach, albo nachlani, nie można stąd wyjść. Nie ma nocy, żeby jakiś nie próbował się dostać. Wszystkie się barykadujemy na noc, oczywiście oprócz tych, które z nimi chleją lub ćpają.

Można było usiąść albo na kulawym, kiwającym się krześle, albo na łóżku. Usiadł na łóżku, blisko niej, opierając się plecami o ścianę.

Stojący na biurku kaganek ledwie rozświetlał ciemność. Zgasły już dwie z trzech świeczek. Knoty paliły się zbyt szybko.

Pochyliła się ku niemu, więc lekko spróbował ją objąć, ale ona odszukała ustami jego ucho.

– Mów szeptem – usłyszał. – W tym momencie słucha nas ze sześć albo siedem osób.

– O, nie! – wyrwał mu się jęk.

Agnes zachichotała bezgłośnie.

- A czego się spodziewałeś? – znów ten leciutko łaskoczący szept.
- Że wynajmujecie pokój z tatą.
- Wolałbyś tatę w łóżku lub w fotelu wpatrującego się – w nas lub gładzącego przez cały wieczór?
- Sam już nie wiem.
- Lepiej skosztuj ziółek. To zestaw specjalny.

To rzeczywiście był zestaw specjalny. Niby zwyczajnie gorzkie, niemal bezwonne, ale zawierały jakiś halucynogen. Łagodny, bo nie traciło się całkiem kontaktu z rzeczywistością. Pokój wydawał się większy, jaśniejszy; szmaty wiszące na oknach nie aż tak obskurne. Profil Agnes wydawał się sylwetką wyciętą z czarnego papieru obwiedzioną delikatną, świetlistą koroną.

Jakoś tak wtulili się w siebie mocniej, jego ręce gdzieś tam pobłądziły pod jej sweterek.

– Ostrożnie się ruszaj, bo łóżko okropnie trzeszczy – szepnęła. Rzeczywiście, każde większe poruszenie wywoływało głośny, jękliwy skrzyp drucianej ramy łóżka.

- Też mam wokół siebie aureolę? – zapytała.
- Tak. Po co nas tym nafaszerowałaś? I tak mam mało mózgu, po co jeszcze niszczyć tę resztkę chemikaliami? I tak byłoby fajnie.
- Tu nigdy nie jest fajnie. Zwykle wypijam pół kubka, żeby zasnąć w tym syfie. Chyba że uda mi się kupić butelkę samogonu, wtedy wypijam setkę.

Powoli przechodziło oszołomienie. Wszystko wracało do należytych proporcji, a pokój do zwykłej brzydoty. Tylko Graham nie miał szczególnej ochoty wyciągać dłoni spod sweterka Agnes.

- To jest wyciąg z jakiegoś grzyba. Słabsze niż alkohol.
- Każde parę łyków to parę minut oszołomienia.

Zza ściany dochodziły rytmiczne, donośne odgłosy trzeszczącej ramy drucianej żelaznego łóżka.

– Co to jest?

– Sąsiedzi przestali się nami interesować, lecz zajęli sobą. Przez grzeczność starają się być cicho. Rozumiesz teraz, dlaczego nie mogę się obejść bez tego grzyba czy samogonu?

– To Tarcza?

– Gdzie tam. Franko nie jest w stanie odwrócić wzroku od telewizora i od talerza. – Nie dziwię się mu bardzo...

– Donna pewnie znowu krząta się w kuchni nad następną porcją makaronu i jest niepokieszona, że nie może wypalać mojego kaganka.

Chwilę nasłuchiwała.

– Tood Corey i Wilmy. Widocznie mają gości. To znaczy, Wilma sprowadza, a Corey jest zbyt skąpa, żeby wynająć samodzielny boks, więc musi to znosić.

Zza ściany doszedł mocno podejrzany, gromki odgłos. – To może być Tarcza – zawyrokowała ze swoim uśmiechem. – Pojadł sobie. Teraz trawi.

Graham duszkiem wypił resztę naparu. Coś kręciło się mu w głowie, wibrowało, próbowało okłamać paskudną rzeczywistość, ale czy to temperatura ziółek była za niska, czy może magiczna substancja zdążyła się już rozłożyć, czy może wyparować, dość że efekt był mizerny. Nie wystarczał, by uciszyć przykre wspomnienia fizjologii sąsiadów.

Z Agnes działo się coś innego: mruzczała jak kot, tuliła się do niego coraz bardziej, robiła się senna.

Cholerne świństwo, jednak jakoś tam uzależnia – pomyślał.

Tulił ją w ramionach, póki nie wróciła do rzeczywistości. Wyplątał się z jej objęć i wyjrzał na ulicę. Tamci dwaj już dawno sobie gdzieś poszli. Stracili nadzieję na dostanie Grahama.

– Chodź. Zbieramy się. Idziemy do mnie. Weź swoje bety.

– Tyle zachodu, tyle kłopotów, żeby poradzić sobie ze starzejącą się świętoszką – bąkała niezbyt przytomnie.

Przyjrzał się jej uważnie. Trzeba było jeszcze odsiedzieć kilkanaście minut, żeby oprzytomniała.

Zebrała się posłusznie. Zamknęła swój boks na kłódkę.

Gdy wyszli, uderzyła w nich fala zimnego wiatru, któremu trudno było przeciwstawić się. Tym razem on zawinął ją w ten monstrualny szalik, że tylko oczy błyszczały sponad jego zwojów. Sam nasadził czapkę głęboko na oczy.

Po pół godzinie walki z lodowatym wichrem i zalodzoną nawierzchnią drogi czekała nagroda – ciepły pokój, oświetlony żarówką, normalne ściany, łazienka, szeroki, wygodny tapczan.

XVII

Rano zbudzili się dobrze po świcie. Nie było szans zdążyć na śniadanie w stołówce na kampusie.

Biedna zupa mleczna, co ona zrobi beze mnie... – pomyślał Graham...

Uniósł się na łokciu i przysunął do Agnes. Zafascynowany, leciutko powiódł palcem wzdłuż łagodnych krzywizn jej ciała.

– Więc zawdzięczam cię tym dwom facetom, co szli za nami... – powiedział.

– Przestań, bo mnie łaskocze.

– Mhm... Wszystkie dobre Heddeni są takie?

– Ja nie jestem dobra Heddeni. Zaczęłam przed ślubem.

Zaczął się śmiać.

– Ty nie jesteś dziewczyną Heddeni. Jesteś bezbłędnie zbudowana. Ślicznie. Przyznaj, że to wszystko wymyśliłaś, żeby być oryginalniejsza.

– Jestem Heddeni. Mam nawet ślady dodatkowych sutek. O, takie dwie pary maleńkich kropeczek. Tu, poniżej piersi, i tu para na brzuszku.

– Zaznaczyłaś je szminką.

– Przestań! To mnie łaskocze.

– To są pieprzyki. Wcale nie są symetrycznie rozmieszczone. Znowu mnie nabrałaś.

– Są różne rasy Heddeni. Mam przecież dokumenty... Rodzice byli Heddeni. Nie mogę się różnić, skoro z mojej rasy wywodzą się Ziemianie, no nie?

– Masło maślane, to znaczy masło z kluskami, to znaczy dalej ci nie wierzę...

– Przestań bredzić.
– Trochę jeszcze pobredzę. Za dużo dobrego mnie dzisiaj spotkało.
– To już nie masz problemów?
– Mam: jak tego nie stracić. Znaczy ciebie.
– Znaczy mnie?... Fajnie zabrzmiało.
– Tak długo na ciebie polowałem..
– To ja na ciebie polowałam.
– Widzisz, najtrudniej było się zorientować, że oboje na siebie polujemy...

Roześmiała się..

– Zbierajmy się, Graham. Bo wyrzucą cię z uniwersytetu, a mnie z tobą
– usiadła na łóżku. Graham przyglądał się jej, leżąc z rękami pod głową.

– O czym marzysz?

– Nie marzę. Patrzę na ciebie. Nie muszę marzyć.

– A gdy nie patrzysz?

– Wtedy muszę: marzę o tobie.

– Wstańmy już, proszę. Naprawdę trzeba iść do pracy.

– Tak – podniósł się.

– Trzeba zacząć oszczędzać na ślub – powiedział. – Co ty na to?

Chwilę nie odpowiedziała.

– Dobrze – odezwała się wreszcie. – Chociaż nie wiem czy zdążysz.
Lada dzień mogą wprowadzić zakaz małżeństw mieszanych.

– Nie sądzę, żeby posunęli się aż do tego. – Takie krążą słuchy wśród emigrantów...

Poranne ubieranie się zajęło im więcej czasu niż wieczorne rozbieranie się. Okolica domu w świetle słonecznym wyglądała odmiennie niż przed świtem czy po zmroku. Od lata zdążył już zapomnieć to wrażenie obskurnej

nędzy, jakie stwarzało domostwo, w którym wynajmował pokój. Za to było cieplej niż zwykle. Zanim doszli do przystanku, spocili się oboje.

Na uniwersytecie wszystko już było zwyczajnie. Jakoś nie zauważono podwójnego spóźnieni a. Ken był pogrążony w pracy, a nikt nie szukał wcześniej Grahama.

Wieczorem pojechali zabrać rzeczy Agnes i przenieść je do Grahama, Wystarczyło, że powiedziała: – Wiesz, oni wiedzą, że jestem Heddeni i że spałam poza domem. Nic nie powstrzymałoby ich przed wyłamaniem drzwi dzisiejszej nocy.

Specjalnie wyszli wcześniej, jeszcze o zmroku. W norze, gdzie mieszkała Agnes, nikogo nie było – współmieszkańcy zajmowali się prawdziwą lub pozorowaną aktywnością na kampusie.

Zebrali jej odzież do jednej płóciennej torby i połatanego plecaka; łącznie z pamiątkami rodzinnymi – paroma fotografiami za szybką, nie było tego dużo. Najwięcej ważyły książki; Graham spakował je do plecaka i wziął na plecy. Wiele tytułów już miał, ale książki można było nieźle sprzedać, więc mimo że plecak przygiął go do ziemi, wziął je wszystkie. Właściciel nieoczekiwanie nie chciał zgodzić się na drugą osobę w pokoju Grahama. A to, że będą zużywać więcej energii, a to, że więcej wody i w ogóle zniszczą mu ten pokój.. Lecz przestał się upierać, gdy Graham zgodził się na spisanie nowej umowy. Domagał się żeby podwoić opłatę za pokój, na co Graham już nie mógł się zgodzić. Po prostu nie miał pieniędzy. W końcu, kompromisową liczbą okazało się dziewięćdziesiąt sześć tysięcy dolarów miesięcznie, plus, jednorazowo, dwadzieścia tysięcy zaliczki za ewentualne wyrządzone szkody. Graham obiecał zapłacić kaucję dopiero przy okazji następnej pensji.

Oczywiście, wkład jaki dopłacał uniwersytet, to znaczy trzydzieści sześć tysięcy miesięcznie (trzecia część poprzedniej ceny), pozostał bez zmian.

Sumarycznie, Graham i Agnes zyskiwali na tym. Z wyjątkiem pierwszego miesiąca, kiedy należało wpłacić właścicielowi kaucję, oszczędzali na przeprowadzce trzydzieści osiem tysięcy miesięcznie.

Lekko zaciskając pasa, to znaczy rezygnując ze śniadania lub kolacji, co drugi dzień każde, mogli już w trzy miesiące uciąć na opłatę ślubną.

XVIII

Nieoczekiwanie, książki Agnes nie sprzedawały się tak dobrze, jak przypuszczali. Był środek semestru i studenci już zdołali zaopatrzyć się w podręczniki. Również sprawy na uniwersytecie nie szły tak dobrze, jak dotąd. Sprawa ich związku stała się znana. Podważyło to zaufanie do kwalifikacji studentów, którą przeprowadził Graham. Na dodatek Agnes była emigrantką. W stołówce czy w świetlicy w bursie, wyczuwał, że unika się go. Nawet Appelbaum, mimo że nadal musiał siedzieć obok Grahama, zaprzestał swoich uwag o zupie mlecznej. Koleżanki nadal odwiedzały Agnes. Coś tam rajcowały w swoim niezrozumiałym, emigranckim języku, zerkając na Grahama, gdy tylko Agnes gdzieś się oddaliła. Zwrócił jej uwagę na to.: – Oceniają cię – odpowiedziała. – Podobasz się im. Oceniają to, co ja zrobiłam. Wiesz, jak to jest: jedne mówią, że zrobiłyby to samo, inne, że nie.

– W sumie, lepiej to przyjęły niż niektóre stare pierdy z mojego otoczenia.

– Raczej nie. Straciłam większość przyjaciółek. Przestały mnie znać...

– Poczekaj, tylko zbierzemy tę cholerną forszę na ślub.

– Możemy nie zdążyć. Ustawa zakazująca mieszanych małżeństw za dwa tygodnie wchodzi pod obrady parlamentu. Niewykluczone, że będzie miała działanie wstecz.

– To znaczy, że chcą unieważniać, już zawarte małżeństwa?!

– Nie wiem. Ale cały wydział prawa o tym trąbi.

– Pewnie znowu będzie petycja, znowu jakiś młody, napalony profesor będzie siedział przy niej, a ustawa i tak przejdzie – uśmiechnął się

ironicznie. – I to w najbardziej paskudnej formie.

Graham podjął decyzję: Akurat wypłacono miesięczne pobory. Był piątek po południu. Pojechali najbliższym autobusem do miasta. Urzędnik spisujący personalia zawahał się przy Agnes.

– Mam wyraźne zalecenie, aby wstrzymać śluby mieszane.

– Pisemne zalecenie? Mogę je zobaczyć?

– Nie; Ustne, telefoniczne.

– Kiedy przyszło?

– Dziś, w południe.

–: Domyślam się, o co chodzi: w poniedziałek wchodzi pod obrady ustawa zakazująca małżeństw mieszanych: Prawdopodobnie przejdzie i prawdopodobnie będzie obowiązywać od chwili wniesienia pod obrady. Przynajmniej tak twierdzą prawnicy na uniwersytecie. Proszę posłuchać: my musimy zawrzeć ten ślub, musimy zdążyć...

Urzędnik przyjrzał się im z sympatią.

– Ale zalecenie...

– Czy odmówił już pan jakiejś parze?...

– Gdzie tam, od miesiąca nie było żadnej pary mieszanej, a dzisiaj w ogóle nikogo nie było. Młodzi znakomicie obywają się bez tego. Sto tysięcy dolarów to, było nie było, kupa forsy...

– Więc my przyszedliśmy jeszcze przed południem...

Stary uśmiechnął się figlarnie.

– No dobrze, załatwię jeszcze tylko waszą sprawę i idę na lunch – powiedział i zabrał się do wypełniania personaliów.

Agnes nalegała też na ślub wobec Kościoła. Z tym były trudności od czasu, kiedy zakazano reklamy religianckiej i zgodnie z tą ustawą usunięto z książki telefonicznej numery wszystkich instytucji kościelnych.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Przestań, Graham. Ja nie mogę inaczej postąpić. Przecież myśmy na Niego czekali od zawsze. Rozumiesz? Myśmy czekali, a do was przyszedł, a i tak niektórzy z was go przeoczyli, a inni ominęli. Myśmy trafili do niego dwa tysiące lat później, nie mamy czasu na wahania... Małżeństwo to teraz jedyna możliwość włączenia się...

– Mówisz to samo, co Ebahlom...

– To samo usłyszałam od rodziców.

– Najprościej będzie trafić do Kościoła przez twoją wspólnotę.

– Nie da się. Przecież wiesz, że jest zakaz zgromadzeń religijnych. Religia jest sprawą wyłącznie prywatną. Ojciec przekazał mi tylko adres z Cambridge, gdzie wcześniej mieszkaliśmy. Już nieaktualny.

Wieczorem właściciel zgłosił się po należną mu kwotę pieniędzy.

– Wydałem wszystko na ślub, panie Koring. Mogę panu zapłacić dzisiaj pięćdziesiąt dwa tysiące – dwadzieścia jako zastaw i trzydzieści dwa jako ratę czynszu. Resztę, czyli sześćdziesiąt cztery tysiące oddam w dwóch kolejnych miesiącach po trzydzieści dwa tysiące,; plus osiemnaście tysięcy procentu dla pana, czyli dwa razy po pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Może pan to zaakceptować albo nas wyrzucić od razu. Wtedy straci pan czynsz przynajmniej za miesiąc, bo trudno będzie znaleźć lokatora tak w środku semestru – wyrzucił z siebie jednym tchem Graham. Koring chwilę milczał, coś tam rachował w pamięci. Procent zaproponowany przez Grahama był bardzo wysoki: osiemnaście od trzydziestu dwóch tysięcy, to była roczna, a nie miesięczna stopa kredytowa. Właściwie mógłby w lombardzie uzyskać pożyczkę na korzystniejszych warunkach, ale nie miał czego oddać pod zastaw.

– Dobrze – odpowiedział Koring. – Zgadzam się na to, ale biorę pod zastaw telewizor, lampę z biurka i te trzy fotografie – wskazał na rodzinne fotografie w ramkach, stojące na biurku. – Do pierwszej raty. Po pierwszej

racie zwrócę wszystko, a tylko zatrzymam telewizor do wpłacenia drugiej raty.

Musieli, się zgodzić.

– Cholerny złodziej, zrobił na zakwaterowaniu mnie świetny interes, a na dodatek będzie zużywał nasz telewizor i wyświecał żarówkę – warknęła Agries, gdy Koring wyszedł, taszcząc łup. – Będziemy musieli – palić żarówkę na suficie. Podskoczy rachunek za prąd.

– Chociaż, świnia mógł nie brać zdjęć. Telewizora i tak nie oglądali już od dawna. Program wypełniały wyłącznie reklamy, sport i tasiemcowe, idiotyczne seriale. Jeśli ktoś potrafił jeszcze myśleć, oglądanie tego chłamu było nie do wytrzymania.

XIX

Telefon do kościoła podsunął Grahamowi Heevers. Wprawdzie przekazywanie adresu wspólnoty religijnej było karalne, ale Heevers miał zaufanie do Grahama i zaryzykował. Zgadali się o tym przy kapuście, gdy sprawa ślubu Grahama zaczęła robić się znana.. Tym bardziej że zgodnie z oczekiwaniami ustawa wprowadzająca zakaz małżeństw mieszanych została wniesiona pod obrady parlamentu w poniedziałek i bardzo szybko została zatwierdzona. Motywowana była ochroną genetyczną ludzkości, w uzasadnieniu powoływano się na badania statystyczne profesora Zuda Zuriaqu z Uniwersytetu Maratheon. Jeśli emigranci sami twierdzą, że wymierają, to tym gorzej dla nich!

Uchwalenie ustawy spowodowało ustanie fali zamieszek i napaści. Usatysfakcjonowani nieznani sprawcy przestali bić, gwałcić czy zabijać. Tylko Komitet Obrony i Czujności nadal regularnie się zbierał. Krążyły słuchy, że ostatnio komitet ogranicza się do picia kawy i jedzenia placków owsianych na koszt uniwersytetu, ponieważ stał się oficjalną agendą uczelni. Istnienie takich komitetów przy każdej instytucji gwarantowała ustawa.

Kościół urządzono w wynajętym, małym, prywatnym domu, niczym nie odróżniającym się od setek podobnych. Zakaz propagandy religijnej jasno mówił: miejsca kultu nie mogą rzucać się w oczy. Już dawno zburzono wszystkie świątynie nie przedstawiające wartości zabytkowej.

Przyjął ich urzędnik rządowy opłacany ze składek wiernych. Nie zniechęcał ich, ponieważ propaganda antyreligijna również była

zabroniona, lecz podsunął bardzo długie formularze do wypełnienia. Należało wypełnić wiele drobiazgowo sformułowanych rubryk.

– Po co to wszystko? – zapytała Agnes. – My po prostu chcemy zawrzeć ślub.

– To najniezbędniejsze formalności sprowadzone do minimum. Chodzi o wykluczenie możliwości wywierania nacisku na kogoś z państwa – powiedział urzędnik.

– To dałoby się poznać po tym, co napisaliśmy w ankiecie? – zapytała Agnes.

– Mniej więcej. Tu mam taką siatkę – przyłożył misternie powycinany kartonik do ankiety. – Niektóre kombinacje odpowiedzi mogą sugerować, że na kogoś z państwa wywierany jest nacisk. W takim przypadku para kierowana jest najpierw do psychologa.

– O, w pani przypadku są pewne wątpliwości – zamyślił się.

– Czy oznacza to, że odmawia pan zawarcia przeze mnie ślubu? – powiedziała zdecydowanie Agnes. – Związek formalny został już zawarty, a to jest związek zwyczajowy i nie dotyczy go ustawa zakazująca małżeństw mieszanych.

Graham spojrzał na nią z podziwem.

– Oczywiście, że nie – wycofał się urzędnik.

Sparzył sobie skurwiel łapy – pomyślał z satysfakcją Graham: – Proszę przyjść za miesiąc, za dwa i za trzy, aby potwierdzić swoją wolę – urzędnik wypełniał jakieś swoje papiery.

– Pań żartuje! – wyrębał Graham. – My przyszliśmy, żeby zawrzeć ślub teraz, nie za kilka miesięcy. To jest utrudnianie dostępu do czynności religijnych. Podlega zaskarżeniu jako propaganda antyreligijna.

– To jest zwykła procedura, panie profesorze Graham – powiedział urzędnik, patrząc w papiery. – Wypracowana przez dziesiątki lat

praktycznego stosowania ustawy, powinien pan to wiedzieć, pracując na uniwersytecie. Zdziwiłby się pan, wiedząc, jak mało par wraca po tym miesiącu czy dwóch...

– Musi być jakiś tryb przyspieszony, jeśli jedna z osób jest nieuleczalnie chora i musi umrzeć...

Urzędnik podniósł znad okularów wodniste, nieprzyjemne oczy.

– Czy rzeczywiście taki przypadek zachodzi?

– Tak. Chodzi o mnie. Ja mogę umrzeć w każdej chwili – powiedział Graham, a Agnes spojrzała na niego i pobladła.

Urzędnik dał się przekonać bez okazywania świadectwa lekarskiego, zresztą Graham był w stanie łatwo wydębić takie zaświadczenie od Turpicka z wydziału medycznego. Udało się przyspieszyć datę ślubu – za trzy dni, to była najlepsza możliwość.

– Graham, nie powiedziałeś mi wszystkiego – rzekła, gdy wyszli z kościoła. – Co ci dolega?...

– Nie wiem. Każdy z nas może umrzeć w każdym momencie. Nie kłamałem – wzruszył ramionami.

XX

Trzy dni później wszystko odbyło się jak trzeba. Był ksiądz. Zostali małżeństwem. Urzędnik nawet się nie pojawił. Widocznie jego rola skończyła się wcześniej.

Od tego momentu sprawy nabrały przyspieszenia. Okazało się, że Uniwersytet w Maratheon musi zmniejszyć liczbę zatrudnionych profesorów i studentów o jedną czwartą. Wiązało się to z nieoczekiwanym, dodatkowym okrojeniem budżetu. Za utrzymanie dodatkowych trzydziestu sześciu tysięcy obywateli, którzy właśnie przylecieli z kosmosu, musiał zapłacić budżet państwa. Spowodowało to obcięcie innych wydatków.

Powstała komisja weryfikacyjna w przyspieszonym tempie przeglądała dokumenty pracowników.

Graham wraz z innymi kolegami piątej rangi wezwany został w kolejności alfabetycznej.

W skład komisji wchodził rektorzy wszystkich rang, dwóch przedstawicieli rady naukowej uniwersytetu, trzech facetów z zewnątrz: dwóch z Akademii Naukowej, jeden z rządu – jakiś senator niższej rangi.

Poprosili Grahama, żeby usiadł.

Od razu wywlekli sprawę petycji. Blauburg, rektor trzeciej rangi, który referował sytuację naukową i finansową Grahama, dokładnie wyliczył, ile czasu pracy naukowej stracił Graham na siedzenie przy petycji. Obliczenie było dokładne i pozostało tylko się zgodzić; Graham nie próbował argumentować, że jego praca nie polega na odsiadaniu godzin na krześle, lecz na myśleniu. Uważał, że wysiadanie krzesła może być pomocne w

badaniu odporności tkanin na ścieranie, a nie w badaniach fizykochemii powierzchni metalicznych, ale z pierdami nie było dyskusji...

Blauburg kłapał zębami, błyskał białkami oczu i czerwieniał na twarzy w trakcie mówienia. Sprawiał wrażenie, jakby chciał odgryźć ofierze ucho.

Sprawy naukowe wyszły stosunkowo najlepiej: Nie było zaległości w ich realizacji. Grant badawczy, wprawdzie okrojony, ale pozwalał na dalsze działanie. Dwoje niedawno przyjętych studentów spisywało się niezle – już były pierwsze wyniki naukowe. Inne też, i to zostało wywleczone za chwilę. Stronę zawodową Blauburg skwitował tak: – Profesor Jager ma bardzo dobre osiągnięcia naukowe, ale na naszym uniwersytecie pracują wyłącznie znakomici i bardzo dobrzy naukowcy. Chlubimy się tym.

Na koniec wyszła sprawa Agnes. Uznano ślub ze studentką za niedopuszczalny.

– Przecież ona jest młodsza ode mnie zaledwie o dwa lata... To naprawdę stara studentka. Gdyby zaczęła studia w normalnym terminie jak wszyscy, byłaby już profesorem, jak ja – ten argument nie dotarł do komisji.

Profesorowie i studenci podzieleni na rangi stanowili dwa oddzielne, nie mieszające się światy. Możliwy był jedynie awans ze świata studentów do świata profesorów.

– Człowiek, który idzie zawrzeć małżeństwo do kościoła, synagogi czy cerkwi, nie może uczyć innych. To jest propaganda religiancka uprawiana własnym przykładem. To jest niedopuszczalne podważanie światopoglądu naukowego. A przecież jest on racją bytu każdego uniwersytetu – powiedział Blauburg, kłapiąc wyjątkowo żarłocznie.

Więc o to naprawdę chodziło... – Graham zdenerwował się.

– Zapomniał pan dodać, że nie dość, że studentka pierwszej rangi, to na dodatek emigrantka, profesorze Blauburg – palnął. – A to z pewnością też nie poprawia, mojej sytuacji.

- Rektorze Blauburg – poprawił go Martinez.
- Rektorze trzeciej rangi Blauburg –. powtórzył Graham. Nie miał wysokiej opinii o pracy naukowej Blauburga.
- Nie poprawia, ale i nie pogarsza – Martinez wyręczył Blauburga. – Chociaż gdyby zostało zawarte po tym, gdy zaczęła obowiązywać ustawa, to pogarszałoby..!
- Nie byłem jasnowidzem. Ustawa działa wstecz. – Ustawa nie działa wstecz, lecz od momentu wprowadzenia pod obrady parlamentu. Był pan jasnowidzem, bo zdążył pan w ostatnim dniu przed jej wejściem w życie –. Martinez gniótł nieubłaganie, jak toczący się walec parowy.

Blauburg łypał przekrwionymi białkami i w milczeniu kłapał zębami, jakby inny drapieżnik ubiegł go i schwytał ofiarę.

Kazano Grahamowi poczekać na decyzję komisji weryfikacyjnej. Po półgodzinie wywołano go z grona oczekujących na weryfikację innych kolegów piątej rangi.

– Z powodu wydatnego ograniczenia budżetu Uniwersytetu w Maratheon grupa profesora piątej rangi Jagera zostaje zawieszona w działaniu. Otrzyma on stosowną profesorską odprawę w wysokości czterech pensji miesięcznych, a jeśli zdecyduje się nadal pozostać w Maratheon, po czterech miesiącach aż do roku wypłacać mu się będzie zasiłek w wysokości trzeciej części pensji profesora piątej rangi. W przypadku pojawienia się jakichkolwiek dodatkowych możliwości finansowych grupa badawcza profesora Jagera zostanie w pierwszej kolejności przywrócona do działania – z namaszczeniem odczytywał decyzję rektor pierwszej rangi, Muriec.

Dalej następowało szczegółowe wyliczenie, jaką aparaturę i jakie pomieszczenia Grahama przejmie która grupa.

– Proszę tu podpisać – zakończył Muriec, podsuwając spisany ręcznie protokół Grahamowi.

– Przecież to nie ma sensu... Uniwersytet traci w ten sposób wszystkie pieniądze z mojego grantu – wyrwało się Grahamowi. – To nie ma nic wspólnego z oszczędnością...

– Podpis oznacza przyjęcie do wiadomości, a nie akceptację – wyjaśnił Martinez.

XXI

Przed drzwiami rektoratu otoczyła Grahama grupka kolegów. Prowadzili statystykę. Wszyscy uważali, że Graham dostanie przedłużenie. Dzięki temu, że przepadł, kilka osób z typujących wygrało spore sumki.

– Wszystko przez tych cholernych edeńców. Trzeba ich utrzymywać – powiedział jeden ze zwolnionych profesorów.

– Mam ci to policzyć? – odezwał się Graham. – Albo lepiej sam sobie policz, ile naprawdę oni nas kosztują. Trzydzieści sześć tysięcy ludzi – społeczeństwo stu siedemdziesięciomilionowe? Myślę, że chodzi o coś innego.

– O co?

Wzruszył ramionami w milczeniu. Właściwie sam nie wiedział. Nie rozumiał zasad weryfikacji: wywlekli jakieś nie związane z pracą sprawy, dyskusji merytorycznej nad wartością jego badań w ogóle nie było.

Poszedł na fizykę do Ebahloma. Bo było po drodze, bliżej niż do siebie, na chemię. Przyszła nagła odwilż i cały campus tonął w rozmięklej bryi, a głębokie kałuże stały na ścieżkach. Spod rozmiękłego śniegu wyłaziły przyzmy gruzu, odłamki cegieł, potłuczone szkło, zardzewiałe pręty stalowe, przegniłe papiery.

W ciemnych korytarzach starego budynku śmierdziało jeszcze bardziej niż dawniej.

Gino, w głębi swego długiego jak kiszka gabinetu z jednym okienkiem, stał schylony nad otwartą walizą. Coś w niej starannie układał. Na biurku stały rzędkami jego tajemnicze heddeheńskie figurki czy talizmany, wśród nich prosty, czarny krzyż.

– Cześć, Gino. Co? Ciebie też?... – wyrwało się zdumionemu Grahamowi.

– Witaj w klubie – odzyskał pewność siebie.

– Siadaj, Graham – sapnął Ebahlom. – Heddeheńskie trucizny czy zwykła, ziemską kawę?

– Może być kawa, ostatnio nie brakuje mi tych heddeheńskich trucizn...

– Wyrzucili cię przez tę twoją „heddeheńską truciznę”? – zapytał Ebahlom.

– Na to wygląda. To znaczy przez nią też.

– Ale niezbyt żałujesz?

– Jeszcze się nie zastanowiłem, czego mam żałować. Nie zdążyłem się zastanowić. Wracam prosto z weryfikacji, wpadłem po drodze – z Ebahlmem nie wypadało inaczej rozmawiać o swoich kłopotach, jak z nonszalancją. Narzucał taki styl. Ostatecznie sam tracił jeszcze więcej – był autorytetem, starym profesorem pierwszej rangi.

Sposób bycia Ebahloma pomógł Grahamowi odzyskać cenny dystans do swoich kłopotów.

Cały pokój wypełnił się aromatem kawy. Zrobiło się jakoś tak bardziej swojsko wśród tych przedmiotów pochodzących z odległej planety.

– Zaraz, zaraz, Gino. Przecież na razie weryfikują profesorów piątej rangi – przypomniał sobie Graham. – Jeszcze nie doszło do... – urwał.

– Pierdów – dopowiedział Ebahlom. – Jeszcze nie, ale wiadomo, kto poleci. Krąży po kampusie taka lista. Też jesteś na niej. Wczoraj dostałem ją do rąk.

– Więc ta komisja to zwykła fikcja?

– Na to wygląda – Przede wszystkim polecą profesorowie Heddeni, ale nie tylko. Niektórzy inni też. Z Heddeni pierwszej rangi ma pozostać tylko Zuriaqu; Ostatecznie, jego badania uzasadniły tę ustawę...

– Co będziesz robił?

– Nie wiem. Tobie będzie łatwiej, jesteś młodszy, bardziej elastyczny, poza tym stąd. Ja, prawdopodobnie, zostanę nauczycielem fizyki elementarnej w jakiejś szkole, w jakimś getcie. Przeniecę się stąd, bo Maratheon jest za mały, nie ma społeczności emigranckiej, żeby utworzyła getto. Co to jest tysiąc stu studentów? Rozlecą się, jak pył rozniesiony przez wiatr. Zbyt rzucam się w oczy, żeby przetrwać samotnie. Nie chcę, żeby ktoś mnie ukatrupił. Póki mieszkam w bursie i za często nie ruszam się z campusu, jestem prawie bezpieczny.

– Nie liczysz na tę szansę przywrócenia?

– Liczę. Przez trzy miesiące tu pozostanę. Może obudzą się jacyś faceci z Sił Przestrzennych. Ostatecznie, potrzebowali moich badań.

– Jak ostatni prom pójdzie na złom, to i Siły, Przestrzenne zlikwidują.

– Wiesz, to jest moja szansa pozostania na Uniwersytecie. Ostatecznie, byłem dobry, cholernie dobry, i oni to wiedzą. Może oni traktują te redukcje jako taki prztyczek i ostrzeżenie, a potem wszystko wróci do normy i odwieszają mnie?...

– Jesteś marzycielem, Gino.

– A ty? Masz jakiś pomysł?

– Nie, nic. Może coś wymyśli moja „heddeńska trucizna”. Mnie raczej nie odwieszają. Byłem dobry, ale jednocześnie za młody, żeby być dobry. Wielu to się nie podobało.

– Nie ostrzegła cię „trucizna”? – Pozrywały się jej kontakty towarzyskie na kampusie, plotki nie docierają do niej już tak szybko. Gdy zaczęliśmy być razem, większość koleżanek odwróciła się od Agnes, a kiedy pobraliśmy się, niewiele to zmieniło. Jakoś tak już nie powiązały się zerwane nici.

– Tak, złamała parę reguł. Ale nawet wcześniej, zanim ją poznałeś, była uważana za kogoś spomiędzy.

– Znałeś ją wcześniej?

– Nie, ale kiedy usiłowałeś wcisnąć mi ją na łączony program, rozpylałem wśród znajomych.

– Niedobrze dzieje się w kraju – powiedział Graham, popijając kawę. – To wszystko rozwija się w złym kierunku.

– Czternaście lat temu Reinefart wygrał wybory pod hasłem: „przerzucić pieniądze z programu kosmicznego na program socjalny” i wyszło tak, że ani na jeden, ani na drugi nie ma pieniędzy.

– Prawdopodobnie w następnych wyborach otrzyma trzecie przedłużenie. Myślę, że wspiera go silne lobby antyemigranckie.

– Ja myślę, że jest odwrotnie. To jego grupa nakręca te nastroje. Myślę, że najpierw wywołali zamieszki, żeby zobaczyć reakcję społeczeństwa i ocenić stopień niechęci do emigrantów, a potem, w zależności od tej reakcji, podejmą odpowiednie działania. Ustawa przeciwko mieszanym małżeństwom to tylko nozdrza krokodyla, który dopiero wy lezie z wody i poogryza nam tyłki. Reinefart chce na barkach emigrantów wjechać na piątą kadencję. Jako ten, co oczyścił Amerykę...

– Nie wygląda to różowo.

– Popatrz, Graham: jak ma wyglądać ten uniwersytet, jeśli wyrzuca się z niego najlepszych facetów. Kto będzie robił nową technologię? Powiem ci, gorzej: kto utrzyma już posiadaną wiedzę dla następnych pokoleń, jeśli rozpędzi się facetów z mózgami? Przecież przeciętny obywatel niedługo nie będzie potrafił obsługiwać urządzeń technicznych, ponieważ styka się z nimi coraz rzadziej, a całymi dniami przesiaduje, gapiąc się w ten czarno – biały, mrowiący ekranik, stopniowo upijając się lub ładując w siebie prochy. Nawet we łbie mu się nie zalęgnie, że jego dziadek miał choćby

telewizor w kolorach i dźwięk stereo, a komputer był w co drugim domu. A dziś mamy ich osiemnaście działających na całym uniwersytecie.

– Dobijają te twoje teksty. Nie wierzysz, że przewyżczamy kryzys?.

– To nie kryzys, to regres. Trzeba to zauważyć i zrozumieć, a następnie nauczyć się żyć w takich warunkach, w jakich przyszło ci żyć.

– Co masz na myśli?.

– Trzeba zachować to, co najlepsze z dorobku. To najważniejsza sprawa. Zachować dla przyszłych pokoleń, a może dla innych narodów, które będą chciały kontynuować drogę. Wiesz, w historii Heddehen zdarzało się wiele okresów zastoju, wiele głębokich upadków. Wymierały całe kontynenty. Ale zawsze po kilku, czasem nawet po kilkunastu stuleciach inne narody podejmowały pałeczkę wiecznej sztafety. Jakaś grupa dochodziła do wniosku, że to ona jest najlepsza, to ona niesie jakieś szczególne wartości, i koło postępu ruszało na nowo. Zabawne, jak proste idee mogą wydać niezwykle owoce. Ale wyścig się kończył, gdy grupa, kultura nie chciała być nadal odrębna, zechciała roztopić się w tle, w innych, tym samym dając wszystkim wokół do zrozumienia, że nie niesie z sobą już niczego szczególnego. Wtedy motor rozwoju zatrzymywał się, przez pewien czas czerpano namiastkę postępu z łamania tego, co decydowało o odrębności, ale w pewnym momencie nie było już nawet czego łamać. A to był nieodwołalny koniec.

– Osiągnęliśmy już ten stan?

– Ciągłe wierzę, że jeszcze nie. Od z górą stu lat trwa to łamanie – wyrywa się ludziom z serc zasady, wiesz, takie generalne reguły: „rób to, bo to dobre, nie rób tego, bo to złe”; zastępowanie namiastką; zmętnianie. Na ile to jest trwałe, na ile wsiąkło w ludzi i stało się już ich częścią? Nie wiem, Graham. Wiem, że są ogłupieni przez mass media. Popatrz, przez

lata gwałskano i wychwalano emigrantów nad miarę i było dobrze, teraz się ich niszczy i opluwa i też jest dobrze, ludzie zupełnie zubożeli.

– Czyli że to co robi Reinefart, żeby zjednoczyć wszystkich przeciw Heddeni, ma sens? Chce obudzić poczucie odrębności, wprawić w ruch motor postępu?

– Nie. To jest szamotanina społeczeństwa pozbawionego serc i mózgów. Gdzieś tam kołace się jeszcze poczucie, że odrębność jest do czegoś potrzebna, a wynikiem jest atak agresji, bo jest coraz gorzej, a obiektem tej agresji stają się ci, którzy próbują się jeszcze jakoś bronić przed rozkładem i przez to sprawiają na innych wrażenie podejrzanie zaradnych i aktywnych. To konwulsje trupa, który nie pamięta już, co trzymało go przy życiu.

– To, co powiedziałaś, dobija bardziej niż komisja weryfikacyjna.

– To pogadajmy o przyjemniejszych rzeczach. Kto prowadzi przesłuchanie?

– Nie ma przesłuchania. Zwyczajnie, referują twoją sprawę, ty wysłuchujesz, potem wychodzisz, a oni się naradzają, potem oznajmniają ci decyzję, a ty podpisujesz, i to wszystko. Nie da się za wiele powiedzieć bo ucinają dyskusję.

– Kto referuje?

– Ludożer.

Ebahlom instynktownie złapał się za ucho.

– Kłapie i czerwienieje?

– Pewnie. Jest w świetnej formie. Na dodatek, łypie ślepiami.

– Martinez też jest?

– Ten jest jeszcze gorszy. Dusi powoli. Jak buldog.

– Muszę się dokładnie przygotować do swojej walki. Pewnie mnie zjedzą, ale będzie długo trwało, bo jestem tłusty.

XXII

Hsiu akurat majstrował coś przy instalacji. W zasadzie było obojętne, czy zniszczy coś tym razem czy nie.

– Panie Ken, zamykamy firmę – powiedział do niego Graham. – Może pan wyłączyć Instalację. Jesteśmy zwolnieni.

– Dlaczego, panie Graham? Dlaczego właśnie teraz? Przecież idzie mi już wszystko znacznie lepiej. Nie może pan mi tego robić właśnie teraz!

– Nie ja pana wyrzucam – Graham machnął ręką. – Wywalili nas wszystkich. Likwidują naszą grupę. To, że się pan nauczył obsługiwać instalację, w niczym panu nie pomoże... Nawet to, że jest pan opłacany w połowie przez Ebahloma nie pomoże, bo Ebahloma też wywalają. Wszyscy zgodnie lądujemy na bruku.

– Likwidują całą grupę? – zapytał Hsiu z niedowierzaniem.

Graham skinął w milczeniu głową. – Gdzie Agnes?

– Wyszła godzinę temu na campus.

Graham obszedł swoje laboratorium: jedna instalacja próżniowa, sporo bałaganu, dwa stanowiska preparatyki próbek, jedno dygestorium, dwie szafy z odczynnikami, dwa biurka studentów, trochę drobiazgów – wszystko, co zdołał zgromadzić w ciągu pięciu lat pracy w randze profesora. W sumie nie warto, żeby spojrzeć na to dwa razy. Chociaż z każdym elementem wyposażenia, nawet z każdym meblem była związana historia walki o uzyskanie go, o wyciągnięcie z gardła skąpej administracji potrzebnych pieniędzy.

Poszedł do swego biura. W zasadzie nie lubił swojego biurka, swojego krzesła, koślawej szafy na książki. Zaraz potem, gdy wprowadził się do

tego gabinetu, zginęła Jeanette i odtąd stale te meble kojarzyły mu się z tym faktem. Pamiętał, jak razem cieszyli się, gdy uzyskał pozycję profesora, jak cieszyli się z tego gabinetu i pustego laboratorium, a zaraz potem ona zginęła w wypadku i został sam. Przez dziesięć godzin dziennie sam na sam z tymi brzydkimi meblami w pustym laboratorium.

W zasadzie pogodził się już z utratą pracy, jednak zupełnie nie wiedział, co powinien zdecydować, co powinien zrobić. Trzymiesięczna odprawa i zasiłek korciły, by pozostać w Maratheon i poczekać – może decyzja zostanie zmieniona. Z drugiej strony, po roku bezskutecznego oczekiwania będzie musiał i tak wyjechać, bo innej pracy tu nie znajdzie, a wtedy nie będzie miał pieniędzy na rozpoczęcie czegokolwiek nowego, gorzej – nie miałby nawet pieniędzy na podróż. Ponadto nic nie wskazywało, że decyzja podjęta przez komisję zostanie zmieniona.

Wyciągnął się wygodnie, kładąc nogi na biurku zawalonymi notatkami, i podłożył pod głowę splecione dłonie. Różne myśli chodziły mu po głowie, ale ta najważniejsza: jak wybrnąć z sytuacji, jakoś nie chciała przyjść.

Przyszła natomiast Agnes: Taka jak wtedy, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Teraz była lekko ubrana: w swoim sweterku i połatanych dżinsach, ale też usiadła tak jak wtedy – po tej samej stronie biurka i też jak wtedy spojrzeniami – i gestem zdradzała mieszanie się wrodzonej pewności siebie z niepokojem. Jakoś tak niepotrzebnie poprawiała sweter, obciągała rękawy, mrużyła oczy ni to ironicznie, ni to bezradnie.

Nie, wtedy była bardziej pewna siebie... – pomyślał.

– Co zrobimy, Graham? – powiedziała wreszcie.

– O, jest wiele możliwości: możemy zejść do laboratorium i zaparzyć herbatę albo kawę, albo twoje ziółka...

Swoją drogą nie dorobiłem się przez te lata palnika, trójnogu i jakiegoś garnka w swoim gabinecie... – pomyślał.

– ...możemy iść na lunch do stołówki, bo już zaczęli wydawać – dalej nudził. – Albo iść na giełdę i pokibicować, jak idzie moim kolegom, chociaż podobno jest jakaś lista i wszystko zostało już dawno ustalone, albo możemy pojechać do miasta i połączyć za dnia wśród ruder, albo pojechać do siebie i spędzić popołudnie na kanapie. Dużo tych możliwości.

– Mów poważnie. To nie są żarty.

– Pewnie, że nie. To są słabe dowcipy.

– Mówisz, jakbyś był załamany – odzyskiwała pewność siebie i rzeczowość.

Zaraz pewnie zaczniesz mi lekko docinać... – pomyślał. – Zresztą, pewnie wszystkie kobiety są takie. Jeanette była jeszcze gorsza: kiedy mi coś nie szło, robiła awanturę, jakby usiłowała mnie dobić. Niechcący.

– Pewnie trochę jestem załamany, ale nie tak bardzo jak pomyślałbym, że będę, gdybym wyobraził sobie taką sytuację tydzień temu.

– A mówiąc poważnie: co zrobimy, Graham?

Huśnął się z fotelem, co groziło tym, że krzesło straci równowagę i Graham runie do tyłu.

– Siądź porządnie. Jeszcze tylko tego brakuje, żeby coś złego ci się stało. Zignorował jej uwagę.

– Możemy pozostać i czekać na odmianę losu lub wyjechać i szukać szczęścia gdzie indziej...

– Nic szczególnego mnie nie wiąże z tym miejscem – powiedziała. – Brzydkie miasto na równinie. Tyle że dobry uniwersytet. Tu umarła moja matka, a potem mój ojciec. Nie lubię tego miasta.

– Tu zginęła moja pierwsza żona – dopowiedział. – Wciąż z uniwersytetem łączy mnie sentyment, bo tu robiłem w miarę szybką karierę. Do dzisiaj.

– Ale prawdopodobnie na innych uniwersytetach też przeprowadzą albo już robią redukcję – powiedziała. – Będzie trudno o pracę.

Jakoś tak szybko zgadało się i rozważali tylko jedną możliwość – wyjazd.

– Mogę pracować w szkole, ty też. Ale gdzie naraz potrzeba aż dwóch nauczycieli chemii? Z jednej pensji trudno będzie wyżyć...

– Mogę pracować gdziekolwiek.

– Nie chcę, żebyś pracowała gdziekolwiek. Myślałem, żeby przenieść się zupełnie daleko.

– Wyemigrować?

– Właśnie. Wiesz, w tym kraju robi się coraz gorzej... Nie to chciałem powiedzieć – robi się coraz paskudniej... Coraz trudniej być dumnym z tego kraju, wiesz?...

–: Rozumiem, o co ci chodzi. Wiesz, mnie przez cały czas wychowywano tak, abym wtopiła się właśnie w to społeczeństwo.

– A ono teraz stara się ciebie odepchnąć – odpowiedział. – Jak woda odpycha kawałek korka.

– Ale ja nie chcę być całe życie emigrantką.

– Już jesteś. A ja też się nim stanę. Chwilę oboje milczeli.

– Do Republiki Środka? – podsunęła.

– Nie. Stamtąd przenoszą się do Ameryki, żeby studiować, czyli że tam są jeszcze gorsze uniwersytety albo jest ich mało, albo jedno i drugie. Żadna z tych możliwości mnie nie pociąga. Za dobry jestem, żeby rezygnować łatwo ze swoich szans – urwał na chwilę dla wzmożenia efektu.

– Do Zjednoczonej Europy, Agnes – powiedział głośno. – Tam powinniśmy spróbować. To może być kraj wielkiej szansy. Wiele dobrych uniwersytetów, ostra konkurencja, to coś dla nas.

–: Może masz rację, chociaż tak mało wiadomo o Zjednoczonej Europie oprócz przemówień jej miodoustych kanclerzy –. urwała na chwilę. – Ale czy starczy nam pieniędzy na bilety? – zatroskała się.

XXIII

W ciągu kilku dni przekonał się, jak mało wiąże go z Maratheon i tamtejszym uniwersytetem, jeśli nie przysługuje mu dofinansowana stołówka i talony na miejski autobus.

Agnes została oficjalnie powiadomiona o tym że jej program został zawieszony i wypłacono jej dwumiesięczną odprawę. Przeniesienie wszystkich swoich rzeczy z laboratorium i opróżnienie biurka zajęło jeden dzień. Nie było tego tak wiele. Książek nie niósł do siebie, lecz na kiermasz studencki na kampusie.

Zaczęli zgłaszać się różni koledzy, którym przekazano aparaturę i wyposażenie Grahama. Podobnie działo się z wielu innymi grupami badawczymi, ale jeszcze nikt inny nie zdecydował się na opuszczenie Maratheon.

Z początku, z przyzwyczajenia, od świtu do zmierzchu przesiadywali na kampusie, ale wkrótce okazało się, że Agnes może lepiej gotować i jest to o wiele tańsze niż pełnopłatny posiłek w uniwersyteckiej stołówce. Zaczęli więc przebywać znacznie rzadziej w likwidowanym laboratorium. Weryfikowano właśnie profesorów czwartej rangi.

Pan Hsiu, załamany, też coraz rzadziej pojawiał się na kampusie. Graham próbował znaleźć mu gdzieś miejsce, ale dopóki oficjalnie nie wyrzucono Ebahloma, Hsiu był związany połową umowy i tematyką pracy i nikt nie chciał zgodzić się na takie warunki. Inna rzecz, że obecnie nikt na wydziale nie miał pieniędzy, żeby zatrudnić studenta.

Sprzedawali wszystko, czego nie zamierzali wziąć ze sobą, ale nie było to zbyt łatwe. Właściciel nie chciał zgodzić się na jakąkolwiek zmianę

umowy. Dopiero gdy Graham wprost powiedział mu, że opuszczają kraj i nie zdoła im nic zrobić, zgodził się za pięćdziesiąt tysięcy zwrócić fotografie, ale zażądał z powrotem ramek i szybek, ponadto zatrzymał telewizor i lampę.

Część książek udało się sprzedać znajomym z wydziału, część w klubie studenckim, resztę pozostawili. Okazało się też, że mają znacznie więcej walizek niż rzeczy do wzięcia. Wiedzieli, że linie lotnicze bardzo mocno ograniczają wagę przewożonego bagażu, więc starali się ograniczyć go jeszcze bardziej. W końcu byli gotowi do wyruszenia.

W tym czasie akcja weryfikacji zwolniła tempo, rozeszły się słuchy, że ktoś gdzieś usiłuje zrobić z tego skandal, ale były to tylko plotki. Dzień, który wybrali na wyjazd, zbliżał się bardzo szybko.

Obecnie Eurolinie utrzymywała tylko kilka regularnych linii do Ameryki. Dawno już zamknięto wielkie porty lotnicze jako nieopłacalne. Ruch na liniach krajowych zamarł zupełnie, bo mało kto miał pieniądze na latanie samolotem, a kilka połączeń międzynarodowych nie było w stanie utrzymać tych wzniesionych kiedyś, monstrualnych kompleksów architektonicznych. Nie konserwowane instalacje szły w ruinę, nie można było też używać pasów startowych większości lotnisk. Wiele z nich zniszczyły lądowania zbyt ciężkich promów, inne zgryzł ząb czasu.

Stosunkowo najbliższej Maratheon był działający jeszcze Reinefart Field w Toronto, nazwany tak na cześć obecnego prezydenta, który wysupłał fundusze niezbędne dla podtrzymania działalności lotniska. Dojazd tam autobusem powinien potrwać dwie pełne doby.

Dzień wcześniej byli już zupełnie przygotowani do wyjazdu, tak dalece, że spali przykryci kurtkami, bo pościel też udało się sprzedać. I też dzień wcześniej pożegnali się ze wszystkimi, chociaż tak naprawdę nie bardzo było kogo żegnać jeśli nie liczyć grobów.

Ebahlom powiedział: – Nie myślałem, że właśnie tak zrozumiesz moje proste prawdy. Szkoda cię, Graham. Cały czas wydawało mi się, że twoje miejsce jest tu.

– To jest właśnie pierwszy rezultat błędów – Heevers nawiązał do poprzedniej rozmowy z Ebahlomem. Właśnie się pogodzili. Szaleńczo przechyliła ta weryfikacja: Heevers wściekł się i zaczął montować coś w rodzaju komitetu profesorów. Dobierał do niego ludzi według autorytetu i wyników naukowych, a nie według słynnej kartki ze spisem przeznaczonych do wyrzucenia.

– Myślę, że się pospieszyłeś, Jager – powiedział. – Trzeba było zostać i walczyć tu razem z nami. Wierzę, że nasza społeczność akademicka obroni się.

– Już kupiliśmy bilety, Jofthen. Wydaliśmy na nie kupę forsy.

– Wiesz, Gino. On chyba wietrzy dużą forszę w Zjednoczonej Europie. Kiedy nam się nie uda i wywalą mnie razem z wami, wyemigrujemy jego śladem. Ameryka nie potrzebuje mózgów.

Ebahlom prychnął jak kot.

– Gwarantuję ci, że Europa też nie potrzebuje. Tylko się tym tak bardzo nie chwali jak my. To nie jest kolejny Eden...

– Zgadza się, z Edenu łatwo się wychodzi, trudniej jest wrócić – zachichotał złośliwie Heevers.. Na cmentarzu zatrzymali się chwilę przy dwóch nagrobkach – nieforemnych płytach z wykutymi imionami, nazwiskami i datami. Agnes przeżegnała się bardzo szeroko i starannie, akcentując ruchy.

Wreszcie doczekali się, po dwóch tysiącach lat. Chociaż uwzględniając czas podróży, to jej rodzice urodzili się jakieś dwa tysiące lat temu, a ona jest drugim pokoleniem, więc jako naród nie czekali aż tak dużo dłużej... – zastanawiał się, patrząc na obco brzmiące imiona i nazwiska, i daty, z

których jedna – urodzenia – była sześciocyfrowa, a druga – śmierci – tylko czterocyfrowa.

Potem podeszli przed nagrobek znajdujący się w innej części cmentarza; znów Agnes bardzo dokładnie przeżegnała się, a Graham usiłował przypomnieć sobie słowa jakiegokolwiek modlitwy. Nieoczekiwanie długo nie mógł odejść z tego miejsca, a oczy nieznośnie piekły.

XXIV

Autobus przyjechał z dwugodzinnym opóźnieniem, co ucieszyło wszystkich, bo spodziewali się większego, Dzień był słoneczny, niebo błękitne z małymi kłaczkami chmur.. Panował leciutki mroziak, tak ze dwa, może trzy stopnie. Wiatr nie wiał, więc było przyjemnie, zacisznie. Graham wystawił twarz do słońca, choć podobno było to bardzo niezdrowe ze względu na sięgającą na południe aż poza Maratheon dziurę ozonową. Agnes swoim zwyczajem zawinęła się w swój kilometrowy szalik. Obok tłoczyła się grupka kilkorga podróżnych z walizkami, z zawiniątkami i tłumoczkami.

Kierowca otworzył brudny bagażnik, a pasażerowie wcisnęli swoje tobołki w wolne miejsca pomiędzy bagażem innych podróżnych a jakimiś brudnymi, wypapranymi smarem szmatami i narzędziami kierowcy. Potem kierowca kasował bilety, jednocześnie przesadzając z miejsc zarezerwowanych pasażerów zabranych z przydrożnych przystanków. Powodowało to rozgardiasz, a czasem nawet kłótnie. Graham i Agnes mieli miejsca obok siebie w przedniej części wozu, ale usiedli dopiero wówczas, gdy kierowca znalazł inne, równie wygodne miejsce suchemu jak tyka farmerowi, który dotąd je zajmował. Farmer, wrogo pomrukując, wziął swój podręczny tłumoczek z jedzeniem i zwlókł się z siedzenia.

Potem wsiedli pasażerowie nie mający rezerwacji. Niektórzy z nich musieli stać w przejściu. Wreszcie zatłoczony i przeciążony wóz ruszył. Wkrótce opuścił znajome zabudowania Maratheon.

Graham lubił jazdę autobusem. Lubiał zmieniający się za oknami krajobraz. Odbierał go, jak odbiera się program telewizyjny. Otoczenie:

fotele, wewnątrz wozu, wszystko sprawiało wrażenie stabilności, jak nieruchomy, no, może trochę podrygujący pokój, zaś krajobraz za oknem zmieniał się jak ruchomy spektakl.

Agnes siedziała niemal z nosem przyklejonym do szyby. Od ośmiu lat nie wychynęła poza Maratheon. Większość studentów W czasie przysługujących im sześciu tygodni wakacyjnych z reguły zatrudniała się do pomocy farmerom w okolicy miasta. Stanowili tanią i efektywną siłę roboczą. Zwykle godzili się pracować tylko za strawę, ale często dostawali niewielką premię pieniężną.

Agnes zatrudniała się w uniwersyteckiej bibliotece. Z reguły za darmo, to znaczy za prawo do zniżki na stołówce, bilety i uniwersytecką dopłatę do mieszkania. Pozwalał jej na to oszczędny tryb życia. W ciągu roku odkładała ze stypendium, a dodatkowo oszczędzała, wyszukując tańsze oferty mieszkaniowe w martwym sezonie. Natomiast dzięki dostępowi do biblioteki mogła całymi tygodniami pracować.

Dlatego obecnie wpatrywała się jak zaczarowana w okno, mimo że mijany krajobraz był jednostajny i ponury – nieustannie ciągnęły się rozległe płaszczyzny zszarzałego śniegu bądź farmy z charakterystycznymi, wysokimi silosami. Na ogół domostwa były zrujnowane, a przeżarte rdzą silosy świeciły dziurami, ale zdarzały się nadspodziewanie dobrze utrzymane gospodarstwa.

Autobus zatrzymywał się często. Na ogół wsiadali lub wysiadali pasażerowie zajmujący miejsca stojące. W wozie często rozbrzmiewało gdakanie lub kwakanie przewożonego drobiu, czasami kwik prosiąt. Śmierdziało kurzym łajnem, czasem odorem nie mytych ciał.

W małych miasteczkach starali się nie wysiadać, aby ktoś nie zajął ich miejsc. Co parę godzin autobus zatrzymywał się przy jakimś hotelu lub oberży przy stacji benzynowej. Można było rozprostować nogi, wysiąść za

wstrzymywaną godzinami potrzebą albo kupić herbatę, bo jedzenie tam, z reguły, było zbyt drogie i przewidując to, wzięli ze sobą kanapki. Wieczorem zmienili się kierowcy. Ten, który dotąd prowadził, ułożył się do snu na przednim siedzeniu. Zmiennik przepchał się przejściem wzdłuż siedzeń, sprawdzając rezerwację i notując siedzących bez miejscówki. Pojechali dalej. Potem ściemniło się.

Niemal nie spali tej nocy. Silnik hałasował, trudno było utrzymać głowę na zagłówku, bolały kolana. Próbowali usnąć: to tulili się do siebie, to układali się sobie nawzajem na kolanach, to znów próbowali nieruchomo klinować się pomiędzy swoim fotelem a fotelem z przodu. Ich ciasny pokój ze zdezelowaną kanapą wydawał się rajską sypialnią. Dopiero koło czwartej nad ranem zaczęli zapadać w bezbarwne, pozbawione marzeń okresy nieświadomości. Taki sen nie niósł wypoczynku, a pozostawiał tylko przykry, nieświeży smak w ustach albo złane potem grzbiet i czoło.

Z tylnych siedzeń dochodziła woń alkoholu, chociaż było spokojnie. Widocznie ktoś bardziej doświadczony w podróżowaniu autobusami fachowo pomagał sobie w odpychaniu męczącej rzeczywistości. Pasażerowie w przejściu drzemali na stojąco, co chwilę budzeni wstrząsami wozu. Ktoś głośno chrapał.

Powoli, leniwie świtało. Pomimo to coraz łatwiej było zasypiać. Do gorszych rzeczy można się przyzwyczać. Tylko te promienie budzącego się słońca tak nieznośnie wciskały się pod powieki. Pomagały poły płaszczka i kurtki. W końcu usnęli w pełnym świetle słonecznego dnia. Mogłoby chociaż być pochmurno...

Krajobraz nie był już tak jednostajny jak wczoraj. Przejeżdżali przez większe miasta, wszystkie przesypiając. Nie robiła wrażenia wysoka zabudowa – przeszklone kiedyś, obecnie na ogół zrujnowane wieżowce z mozaiką potłuczonych szyb i pogiętymi, pordzewiałymi elementami

konstrukcji. Przez miasta autobus z reguły przejeżdżał z pełną szybkością, zatrzymując się tylko na dworcu. Raz obrzucono autobus kamieniami, ale wtedy akurat drzemali. Graham obejrzał się i zauważył siatkę pęknięć na jednej z szyb wozu.

Przespali niemal cały dzień. Wieczorem dotarli do Buffalo, a stamtąd przeprawili się po moście do Windsoru. Zapamiętali to, ponieważ trzeba było wysiąść i pieszo przejść przez most, a pusty autobus ostrożnie przejechał po dziurawej nawierzchni. Ze względu na bezpieczeństwo, bo most groził zawaleniem.

Ten spacer nieoczekiwanie poprawił ich samopoczucie i odświeżył, pomimo że wiatr gwizdał na przęsłach i balustradach. Gdy ponownie wsiedli, wóz ruszył i znów wewnątrz rozgrzało się; zapadli w kamienny sen, nie budząc się niemal ani razu przez całą noc. Rano dojeżdżali już do przedmieść Toronto. Na dworcu musieli przesiąść się do mikrobusu dowożącego na lotnisko; za dodatkową, nieoczekiwaną opłatą.

XXV

Lotnisko Reinefart Field stanowił bardzo długi barak mieszczący oprócz normalnych pomieszczeń lotniskowych, również hotel dla podróżnych. Graham i Agnes zapłacili w nim za gorącą kąpiel.

Autobus spóźnił się na dzisiejszy lot i musieli wynająć miejsce w hotelu na jedną noc, chociaż nie było wykluczone, że przyleci jeszcze dziś drugi samolot. Reinefart Field obsługiwało wyłącznie samoloty przylatujące ze Zjednoczonej Europy i zapewniało im lotniskową obsługę. Drobne naprawy wykonywali europejscy technicy mieszkający w pobliskich domostwach. Parking przed barakiem zajmowały ich samochody, lśniące chromowaniami. Nad lotniskiem powiewał rękaw wskazujący aktualny kierunek wiatru. W oddali ciemniały ruiny starego dworca lotniczego spalonego w czasie zamieszek przed trzydziestu dwu laty.

Wzięli ten pokój, bo Agnes chciała przeprać bieliznę przed dalszą podróżą. Wyłonił się jednak znacznie poważniejszy problem: brakowało im sześćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów do normalnej ceny biletów. Nie było to dużo, jeśli dwa bilety kosztowały czterysta osiemdziesiąt tysięcy. Kasjerka poradziła, żeby po prostu czekali, aż przyleci samolot. Jeśli nie będzie miał kompletu miejsc sprzedanych, to na godzinę przed odlotem Eurolinie obniżą cenę, czasem dość znacznie. Sporo osób czeka już na taką okazję, a warto mieć przy sobie trochę gotówki, zaczynając nowe życie w Europie...

Graham szybko przeliczył: pokój hotelowy kosztował ich siedem tysięcy pięćset za dobę, mogli więc czekać nawet dość długo.

Okazało się, że w cenę noclegu wliczone jest pranie rzeczy. Po prostu przysłała pokojówka, zapytała, co jest do prania, i wzięła wszystkie rzeczy.

– Nie chcemy, żeby goście sami prali i suszyli po pokojach, bo robi się grzyb – odpowiedziała, gdy Graham wyraził swoje zdziwienie, – Będzie gotowe na wieczór – dodała.

– Cieszę się na ten wyjazd, wiesz – powiedziała Agnes, gdy kobieta zamknęła za sobą drzwi. – Czuję się uwolniona. Wreszcie daleko od tej dusznej atmosfery, w której trwałam tyle lat. Nikt tu nie mówi o emigrantach. Jest tak jakoś jasno, pogodnie.

– Nie daj się nabrać, to ten sam kraj. Kupię gazetę, to poczytamy nowinki o emigrantach – burknął. – Nogi mi spuchły od tej jazdy. Krew nagromadziła się w kończynach, trzeba mieć trochę ruchu – powiedział, unosząc i opuszczając stopy. Roześmiała się.

– Wykąp się lepiej – powiedziała.

– Za godzinę, wiesz, bo moglibyśmy zemdleć. Na razie trzeba trochę połązić, żeby ulżyć sercom.

– Nie musimy kąpać się razem. Nie płacimy za kąpiel, tylko za pokój.

– Przyjemniej mdleć razem: dwie głowy razem, bęc na posadzkę. Jak romantycznie, jak malowniczo...

– Co?

– No, jak kolorowo...

– No dobrze, to chodź na ten spacer.

Właściwie nie było gdzie chodzić: barak nie był aż tak duży, na polu było mroźno, a w stronę pasa startowego nie można było się przedostać.

Kupił numer „The Globe”: „Trzy statki Heddeni zbliżyły się do Ziemi. Za tydzień miały wejść na orbitę. Wszyscy prosili o możliwość lądowania w Ameryce”.

– Urwali się, czy co?... – zdziwiła się Agnes. – Czemu tak wszyscy naraz?... Gdzie się pchają? Trzeba ich jakoś ostrzec.

– Są niezależnie informowani przez Amerykę, Zjednoczoną Europę i Republikę Środka. Na niezależnych kanałach.

– Jak to się odbywa?

– Zwyczajnie. Wszędzie są emigranci, znaczy Heddeni. Znają częstotliwości odbioru, więc są słyszani, a mówią w ich własnym języku.

– Nasi najlepiej się reklamują?

– To już taka tradycja tego kraju – Graham pokiwał głową.

– A co jeszcze piszą?

– Takie tam duperole... Aż roi się od morderstw i zamieszek. Toronto wkrótce wymrze, jak nie przestaną się mordować...

– To nie dowcip. Wielkie miasta wymierają; ludzie opuszczają je.

– Oczywiście, że to nie był dowcip.

– Ale o nas... Czy piszą coś o Maratheon? Chwilę zwlekał.

– Piszą, że zawieszono akcję weryfikacji profesorów, że odbyła się debata w parlamencie.

– A piszą coś o odwieszeniu profesorów? – nalegała.

– Tak. Tymczasowo odwieszono wszystkich.

– Ciebie też?

– Piszą, że wszystkich. Bez wyjątku. Chwilę milczeli.

– Więc co?... – zapytał.

– Co?

– No, czy wracamy?

– Nie – to było „nie” w stylu dawnej Agnes, takie jak smagnięcie batem.

XXVI

Zdążyli wrócić ze spaceru i wziąć wspólny prysznic. Dwie godziny później jeszcze leżeli sobie w pościeli, gdy usłyszeli niezwykły gwizd i łomot, a przez barak przeszły mocne wibracje. Okno wychodziło na przedmieścia, a poza tym trzeba by było coś na siebie włożyć, więc Graham nie podniósł się z łóżka.

Zaraż potem rozległo się pukanie do drzwi, pokojówka przyniosła rzeczy z pralni.

– Proszę otworzyć swoim kluczem – powiedział Graham, a Agnes naciągnęła kołdrę pod samą szyję.

Zza drzwi przez chwilę dochodziły gniewne pomruki i szczękanie pęku kluczy. Potem znalazła właściwy i weszła ta sama, starsza, masywna kobieta.

– Część rzeczy została wyprasowana, reszta nie – złożyła stertę na stoliku. – Właśnie przyleciał dodatkowy samolot z Europy. Jeśli nie macie biletów, możecie się nim zabrać. Powinny być duże zniżki, bo nie ma wielu chętnych. Większość zabrał ten, co poleciał rano. Odlot samolotu planują o północy. Ma być dzienny lot.

– Jak to – dzienny? Przecież startuje o północy?...

– Nie wiem. Tak wszyscy mówią.

Nie pozostało nic innego, jak się spakować. Taka okazja mogła nie powtórzyć się prędko.

Sala odlotów była pełna. Przedstawiciele Eurolinie starannie sprawdzali bilety. Pasażerowie pojedynczo znikali za drzwiami wyjściowymi, oddając

bagażę pracownikowi, który ważył je na wadze towarowej, a następnie ładował na wózek.

W pewnym momencie kolejka pasażerów do drzwi ze świecącym napisem „odlot” skończyła się, choć sala pozostała nadal dość wypełniona.

– Liczyłem, ilu weszło – odezwał się stojący obok mężczyzna. – Sto dwanaście osób. Nie mają ani połowy obsady, powinni dać jakieś zniżki. Spokojnie usiadł na swoich tobołkach i związał skrzęta. Graham podał mu ogień.

Zgodnie z tym, co powiedział, wkrótce przysła pracownica Eurolinie i powiesiła na gwoździu dużą tablicę z napisem: „Udzielamy zniżki – czterdzieści osiem tysięcy dolarów od biletu”.

Ludzie znów zaczęli tłoczyć się wokół okienka kasowego. Ustawiła się długa kolejka. Każdy, kto kupił bilet, szedł od razu do drzwi odlotów i oddawał bagaż. Graham i Agnes stali daleko od kasy i gdy wywieszono informację, nie mieli szans, żeby zająć dobre miejsce w kolejce; znaleźli się dokładnie na jej końcu.

– Znowu nas wyrolowali, co? – Graham zrobił kwaśną minę.

– Polecimy nie tym, to następnym – wyraziła to, co i on czuł: najchętniej pomieszkaliby trochę w tym przytulnym, świeżo lakierowanym pokoju hotelowym.

Kolejka wolno przesuwała się.

– Popatrz, nie wszyscy stoją w kolejce – powiedziała cicho. – Ten facet, co do nas zagadał, dalej siedzi sobie w kącie i ćmi papierosa.

Spojrzeli na siebie i spokojnie odeszli z kolejki. Co szkodziło trochę poobserwować sytuację?

Kolejka skończyła się, ale nadal kilka osób nie podchodziło do kasy. Pracownica Eurolinie rozejrzała się uważnie po sali i zamieniła kilka słów z

koleżanką. Nie było szans, żeby w krótkim czasie przyjechał mikrobus z nowymi pasażerami.

Po chwili wróciły z nową tablicą: „Osiemdziesiąt tysięcy zniżki od biletu”. Jeden z mężczyzn podniósł się i podszedł do kasy, a potem z biletem do wyjścia.

– Wiesz, większość z nich po prostu nie ma pieniędzy – powiedziała. – Z drugiej strony, Eurolinie nie będzie przewozić za darmo...

Za chwilę wisiała tablica o zniżce, w wysokości stu tysięcy.

– Czekamy? – mrugnął do Agnes.

– Tak.

Zza okna doszedł hałas: nowy mikrobus przywiózł pasażerów. Zanim zdążyli podbiec z bagażami do kasy, jedna z urzędniczek ustawiła się na końcu błyskawicznie uformowanej kolejki, a druga usunęła tablicę. Okazja minęła. To nie byli ubodzy, lecz chytry pasażerowie. Graham cieszył się w duchu, że to właśnie z powodu decyzji Agnes zaprzepaścili okazję. W przeciwnym razie musiałyby wysłuchiwać jej zrzędzenia. A tak milczała jak trusia.

Większość z osób w pośpiechu podbiegła do kasy i kupiła bilety za pełną cenę. Kilkoro jednak pozostało i znów zaczęto proponować zniżki. Przy stu tysiącach tylko oni oboje pozostali na sali.

– Gdyby tak zobaczyć, skąd nadjeżdża mikrobus, wiesz. Można by podbiec do kolejki w ostatniej chwili – powiedział.

Zamierzał dokładnie rozejrzeć się, aby zobaczyć, co widać przez okno. Jednak w tym momencie podeszła do nich pracownica Eurolinie. Dość wysoka, płoworuda, z białymi rzęsami i twarzą pokrytą rudymi piegami.

– Państwo chcą lecieć do Europy?

– Tak.

– Hę państwo mogą zapłacić za bilety?

– Po sto dwa tysiące dolarów – wypalił Graham.

– Hm... – pokiwała niechętnie głową. – Tak dużej zniżki moglibyśmy udzielić wyłącznie dla rodziny – urwała, jakby się namyślając. – Jesteście małżeństwem? – zapytała po chwili.

– Tak – odpowiedział, choć w duchu był przekonany, że dla niej potrzebny był jakikolwiek pretekst, bo Eurolinie wolała uzyskać jakąkolwiek cenę za bilet niż przewożenie pustych foteli za darmo.

– Proszę podejść do kasy i wykupić bilety.

XXVII

– Tu, za tą linią kończy się Ameryka i podlegacie rozporządzeniom Zjednoczonej Europy – powiedział oficer, trzymając w ręku ich paszporty.

– Tak – powiedział Graham, patrząc na urzędnika.

– Jedyne, co chciałem powiedzieć, to że warto decydować się po namyśle. Nie nakłaniam państwa do pozostania, ale od dwunastu lat nikt nie wrócił ze Zjednoczonej Europy. Nikt spośród tych, którzy opuścili Amerykę. Nawet nie to, żeby ktoś wrócił, bo się tam nie udało czy coś takiego. Nie... Nikt nawet nie przyjechał z wizytą do rodziny czy znajomych. Mamy wiadomości ze wszystkich portów lotniczych Ameryki..

– Czy ktoś z wyjeżdżających dzisiaj zrezygnował z wyjazdu? – zapytał Graham.

– Nikt. Od dwóch lat nikt nie zrezygnował z wyjazdu.

– Proszę wbić nam wizy wyjazdowe.

Oficer pokiwał głową i odcisnął w paszporcie wielką czerwoną pieczęć, której tusz przesiąkł na drugą stronę.

Następnie urzędniczka Eurolinie odprowadziła ich do części baraku wynajmowanej przez jej firmę.

– Najmocniej przepraszam, ale muszą się państwo poddać rewizji osobistej. Chodzi o wykluczenie możliwości ataku terrorystycznego. Niestety, Reinefart Field nie posiada odpowiednich urządzeń wykrywających broń. Przepraszam za to, choć to wina rządu Ameryki. Rewizja zostanie przeprowadzona z zachowaniem dyskrecji.

Wskazała Grahamowi kabinę, gdzie czekał na niego odpowiedni funkcjonariusz, sama z Agnes weszła do sąsiedniej kabiny.

– To upokarzające, kiedy jakaś obca baba zagłąda ci do tyłka – powiedziała rozzłoszczona Agnes, gdy potem siedzieli w poczekalni. – Nie znoszę tego i za stara jestem, żeby się zmienić.

– Rzeczywiście aż tak było?

– Nie całkiem, ale niewiele brakowało.

– Ostatecznie, to nasza wina, Ameryki.

– Już raz zostałam o tym pouczona – wydeła usta. – Nie powinni aż tak zadzierać nosa. Kiedyś w Ameryce też ludziom wiodło się nieźle.

W oddali widać było zgrabny, srebrzysty kształt liniowca transoceanicznego.

– Skąd ci przyszło do głowy akurat te sto dwa tysiące? – zachichotała.

– Gdybym powiedział sto, nie uwierzyłyby. A tak nabierało to wiarygodności. Ludzie wierzą liczbom, które mają mało zer na końcu.

– A dlaczego sto?

– Bo pomyślałem, że przy tej liczbie sami byśmy się zdecydowali. Nie wytrzymałybyśmy nerwowo dłużej, a tak, oni nie wytrzymali.

– A gdyby tak przyjechał nowy mikrobus?

– Wiesz, tak naprawdę, to chciałem przespać tę jedną noc na tym szerokim tapczanie, zaścielonym tymi wielkimi poduchami i tą lekką kołdrą.

– Ja też. Bardzo.

– To czemuś nie powiedziała słowa?

– To czemuś ty nie powiedział słowa?

Eurolinie serwowała poczęstunek dla oczekujących pasażerów. Stewardesy jeździły z wózkiem, na którym stał duży kocioł z herbatą i chochlą nalewały ją do fajansowych kubków. Herbata była zbyt słodka, ale mocna i gorąca.

W oddali, do liniowca podjeżdżały ciężarówki – cysterny i tankowały paliwo przez gumowe węże wyglądające stąd jak czarne spaghetti.

Zapadał zmierzch. Niebo na wschodzie nabierało coraz głębszego błękitu, choć od zachodu było jeszcze w fioletach. Kilka samotnych chmurek snuło się nad horyzontem.

XXVIII

O wpół do jedenastej podjechał po pasażerów autobus. Stewardesy wpuściły pięćdziesiąt osób. Potem autobus wrócił po następnych i jeszcze raz. Graham i Agnes zabrali się w pierwszej turze.

Z bliska liniowiec wyglądał imponująco: piękny, wymuskany, srebrzysty kształt z aluminium, jak zjawia wychynął z ciemności, oświetlany reflektorami autobusu i światłem księżyca. Przechodzili obok masywnych opon podwozia wysokości człowieka. Następnie po długiej i stromej, kilkumetrowej drabinie, opartej o kadłub trzeba było wspiąć się do wnętrza. Znow przepraszano ich, ale rząd Ameryki nie był w stanie zapewnić zwykłych przysuwanych schodów lotniskowych i trzeba było korzystać z drabiny strażackiej.

Graham kłął przez zęby, wspinając się zaraz za Agnes. Uważał, by przytrzymać ją, gdyby osunęła się ze szczebli. Kilka starszych kobiet wzdragало się przed drabiną, ale w końcu wyszły.

Wnętrze wyglądało imponująco okazałe – po sześć blaszanych foteli w każdym rzędzie. Agnes usiadła przy oknie, Graham obok niej.

Gdy wszyscy pasażerowie zajęli już miejsca, nadal było wiele miejsc wolnych. Wkrótce rozległ się ogłuszający huk i świst silników. Start odczuli jako gwałtowne przyspieszenie wduszające w siedzenie i coraz gwałtowniejsze uderzenia amortyzatorów podwozia o nierówności pasa startowego. Samolot świecił swoimi mocnymi reflektorami, ale to nie rozbijało ciemności za oknem, a ciemność pozbawia skali. W pewnym momencie uderzenia i wstrząsy ustały; liniowiec ostro darł do góry. Gdy osiągnął pułap i wyrównał lot, stewardesy zaczęły rozdawać herbatę oraz

środki nasenne. Dbali, by każdy przełknął swoje dwie tabletki i popił łykiem gorącego płynu.

XXIX

Zbudzili się koło południa. Większość pasażerów spała, inni tłoczyli się w kolejce do toalety. Właściwie trudno powiedzieć, jaka była pora dnia, bo na tej wysokości było tak jasno, jakby stale było południe. Blask oślepiął, ale gdy oczy zdołały przywyknąć, oboje przeżyli zwykły zachwyt kogoś, kto pierwszy raz widzi chmury poniżej siebie. I to nie tylko chmury burzowe czy deszczowe, czy mgły, jakie czasem widzi się, stojąc na wierzchołku góry, lecz chmury najróżniejszych typów, a szczególnie te, które ujrzeli zaraz po obudzeniu – najpiękniejsze, piętrzące się karkołomne blanki i pinakle ulotnych fortec na widmowych wzgórzach, cumulusy.

W kolejce do ubikacji nawet nieźle się rozmawiało. Podróżni byli w dobrych humorach, wyczuwało się optymizm; ujmowała grzeczność stewardes; czarował widok za oknami, choć ogłuszał gwizd silników i skręcało z głodu. Wszyscy spodziewali się poprawy losu, choć wielu bardzo słabo albo w ogóle nie mówiło po europejsku. Wśród podróżnych przeważali Heddeni.

Potem rozdano smakowity posiłek – gorącą zawieszistą grochówkę z mięsem.

Graham i Agnes rozmawiali bardzo niewiele, natłok wrażeń skłaniał raczej do zamknięcia się w sobie, do izolacji.

Stewardesy roznosiły napoje, namawiały na alkohol, który poprawiał samopoczucie w czasie lotu na wysokości.

Graham poprosił o dwie kawy i dwie szklaneczki oryginalnej wódki. Następnie wlał ją do kawy.

– No, ja – stewardesa z uznaniem pokiwała głową.

– Takie kopyto dobrze nam zrobi.

– Zwariowałaś? Serca nam wyskoczą przez obojczyki!

– Co chcesz, dawniej ludzie tak pili, to kawa po polsku. Jeszcze lepsza była z koniakiem, po francusku, ale już od dawna nie sprowadza się koniaku do Ameryki. – Może uda się nam wypić kiedyś taką kawę – dodał.

Wzmocniona kawa rzeczywiście podziałała. Przeszło osłabienie i ospałość.

– Wiesz, u nich wszystko wygląda jak należy – powiedział. – U nas wszystko sypie się, rozlatuje, powoli idzie w ruinę, a tu popatrz: czysto odprasowane, szare bluzeczki, dystynkcje, czarne spodnie... Czyste naczynia. Nawet sufit nie obłazi z lakieru...

– Ale te stewardesy jakieś takie brzydkie, chorobliwe, włosy mają bezbarwne – nie byłaby sobą, gdyby tego nie powiedziała. – A poza tym, w Ameryce nikt mi nie kazał urzędowo rozbierać się.

– Ach, tak... To też prawda... Może znak.

Za oknami już zmierzchało. Akurat teraz, kiedy najchętniej pooglądałoby się widoki, najchętniej podzieliło się wrażeniami.

Właśnie odezwał się kapitan. Zapowiedział, że osiągnęli już Wyspy Saksońskie. Właśnie przelatują nad West Walln, a wkrótce będą lądować na Saxn w porcie lotniczym Hermannhaffn. Tam odbędzie się odprawa, rozmowy w urzędzie imigracyjnym i, w zależności od decyzji, pasażerowie odbędą resztę podróży innymi samolotami do wybranych miast na kontynencie lub pociągiem, jeśli zdecydują się na pozostanie na Wyspie. Powiedział ponadto, że lądowanie odbędzie się za trzy godziny, podał także temperaturę na zewnątrz i dystans, który pozostał do przebycia.

– Denerwuje mnie ten gardłowy akcent – powiedziała.

– Nie szkodzi. On lepiej mówi po amerykańsku niż my po europejsku.

– Widzisz, jak sensownie oni to urządzili – odezwał się po chwili. – Wybrali port przesiadkowy, gdzie wszystkich rozdzielają i rozsyłają już wedle woli.

– Pewnie zasięg tego srebrnego cuda jest za krótki i musi wylądować dla nabrania paliwa – zwęziła oczy w szparki.

– H... h... h... – zachichotał cicho. – Myślisz? Uśmiechnęła się po swojemu, odsłaniając ten szczególny błękit oczu.

– Ostatecznie, my mamy prom kosmiczny – powiedział.

– Oni, pewnie całą eskadrę promów. Teraz to już nie dni.

– Właśnie.

Wzmocniona kawa nie wystarczyła na długo. Znowu drzemali, choć było to niewygodne. Ostatecznie, w autobusie było jeszcze gorzej, a jednak spali.

Kapitan kazał zapiąć pasy, samolot podchodził do lądowania. W końcu znajomy turkot i twarde, krótkie uderzenia oznajmiły ponowne zetknięcie z ziemią.

XXX

Transport do dworca lotniczego odbył się autobusami, podobnie jak w Toronto, z tym że zamiast drabiny podsunięto schody na kółkach. Na płycie lotniska stało przynajmniej dwadzieścia pięć samolotów różnych typów i wielkości. Pomimo ciemności były oświetlone i widoczne. Po sennym bezruchu pustej płyty lotniskowej W Toronto, Hermannhaffn sprawiało przyjemne wrażenie. Coś się działo, panowało ożywienie, paliło się wiele świateł.

Nad barakiem dworca lotniczego wywieszono transparent: „Witamy w Wielkiej Rzeszy Europejskiej”. Mocny reflektor rozświetlał napis.

- Coś z tą nazwą nie bardzo – zauważył Graham.
- Może w międzyczasie zmienili.

Pasażerów wprowadzono do dużej poczekalni, przypominającej salę odlotów w Toronto, każdemu wydano plastikowy numerki porządkowy oraz deklarację wjazdową Rzeszy. Poproszono, by usiedli na przygotowanych ławach i wypełnili deklaracje. Wokół snuli się żołnierze z ochrony lotniska. Byli w czarnych mundurach, niektórzy prowadzili psy do wykrywania narkotyków. Co chwilę wywoływano po dwa, po trzy numery.

– Popatrz, co oni tu wypisują – powiedziała Agnes, która pierwsza wzięła się za studiowanie deklaracji.

- Taak?...
- Wwóz broni, narkotyków, roślin i zwierząt... – czytała.
- Co chcesz od tego?
- ...pornografii i symboli religijnych jest wzbroniony. Proszę zdać wszystkie rzeczony przedmioty, rośliny lub zwierzęta właściwym urzędom

na granicy.

– Chyba trochę przesadzają...

– Chyba że stale będą ci zaglądać pod spódnicę, bo uważają, że ciało nie jest strefą prywatną.

– Mnie nie mogą zaglądać pod spódnicę – uśmiechnął się. – Mówiąc poważnie: nie wierzę, żeby posunęli się do czegoś takiego.

– Ja, w każdym razie, nic nie zdam – od ślubu Agnes nosiła krzyżyk. – Nie spieraj się z nimi. Zrób, jak każą – burknął, chociaż sam nie był zadowolony z tego, co powiedział.

– Jak mnie zmuszą – wydeła usta. – Przy kolejnej rewizji. Żadnej rewizji nie było. Agnes i Grahama poproszono w jednej turze, ale uprzejmy żołnierz wskazał każdemu z nich dwojga inne drzwi.

– Proszę bardzo, to nie potrwa długo – powiedział.

Graham zamknął za sobą drzwi. Pokój umeblowano bardzo prosto, ale meble były dobrej jakości – biurko, fotel, krzesło dla petenta, lampa stojąca na biurku, szafa na książki, na ścianie portret jakiegoś faceta z zaciętą twarzą. Przy drzwiach stali dwaj żołnierze.

– Proszę usiąść – powiedział umundurowany urzędnik, podnosząc głowę znad papierów. Ze smagłą, pociągłą twarzą kontrastowały blade, wodniste tęczówki.

– Proszę wypełnić ankietę i podpisać. To jest zarazem podanie o przyznanie obywatelstwa Rzeszy Europejskiej – podał Grahamowi kilkustronicowy zeszycik.

– A deklaracja wjazdowa?

– To odda pan później. Najpierw obywatelstwo.

Pytań było kilkaset, niektóre bardzo drobiazgowo: o przodków aż do trzeciego pokolenia wstecz, o ich pochodzenie społeczne, o rasę, o zawód; szczegółowy przebieg kariery zawodowej aplikanta; choroby, które

przeszedł; to samo o współmałżonku. Wielu danych dotyczących rodziny Agnes nie zdążył poznać, wiele danych o rodzinie Jeanette zdążył zapomnieć.

– Czy to nie przesada, ta wnikliwość? Urzędnik spojrzał na Grahama pytająco.

– No... dla nas Europa była zawsze symbolem demokracji, równości, wolności i tolerancji. Zawsze z uwagą słuchałem przemówień kanclerzy europejskich, którzy tak trafnie i precyzyjnie formułowali te zasady. W moich oczach to był wzór, do którego Ameryka powinna zmierzać. A tutaj? – Graham ujął w dwa palce plik papierów, które mozolnie wypełniał od pół godziny. – Mam odpowiedzieć na... – zajrzał na ostatnią stronę – ...pięćset siedemnaście pytań, wśród których są takie, jak: jakiej rasy byli rodzice żony mojego stryja... A może nawet bardziej intymne, tylko nie zdołałem się do nich dokopać. Takie rzeczy chce demokratyczne państwo wiedzieć o swoim obywatelu?... Gdzie są prawdy, sztandarowe prawdy europejskie, głoszone przy każdej okazji przez waszych kanclerzy?... – wypalił.

Urzędnik wziął ankietę z rąk Grahama.

– Przez dwanaście lat zdążyliśmy odpocząć od bombastycznych przemówień naszych kanclerzy. Tu się bardzo wiele zmieniło, odkąd ostatni kanclerz został skazany za zdradę i rozstrzelany – panie Jager.

Szybko przejrzał rubryki wypełnione przez Grahama.

– To, co pan wypełnił, wystarczy. Proszę tu podpisać, panie Jager.

Następnie sam skreślił zdanie na końcu, podania, złożył pod nim podpis i przyłożył małą, metalową pieczętkę.

– Gratuluję. W tym momencie stał się pan obywatelem Wielkiej Rzeszy Europejskiej. Zostanie panu wydana karta identyfikacyjna oraz nadany numer obywatelski. Potrzebujemy wykształconych ludzi, czystych rasowo.

Proszę... – wykonał nieokreślony ruch ręką, a jeden z wartowników podszedł, wziął dokumentację Grahama i poprowadził go z sobą.

Następnie niemal błyskawicznie sfotografowano Grahama, wypisano jego kartę identyfikacyjną, wklejono do niej zdjęcie, na drugiej stronie odbito odciski palców i wszystko razem zaplastyfikowano w zgrabną, sztywną całość. Przeszedł do pomieszczenia, gdzie przyjezdni rozpoznawali swoje bagaże. Agnes jeszcze nie było. Wśród sterty tobołków wyszukał ich dwa skromne pakunki. Przychodziły coraz to nowe osoby, zabierały rzeczy i odchodziły. Tylko ona nie przychodziła.

W kasie wymienił pozostałe dolary na ecuny. Po trzysta dolarów za ecun. Zebrało się nieco ponad siedemset ecunów. Nie miał pojęcia, ile to było warte.

Agnes nadal nie pojawiała się. Wprawdzie pozostała jeszcze wysoka sterta bagażu, ale od dawna już nikt nie wychodził. Pojawili się natomiast dwaj robotnicy, którzy załadowali pozostały bagaż na wózek i gdzieś odwieźli.

Zaniepokojony Graham wrócił tam, skąd go przyprowadzono; znalazł pokój, gdzie przeprowadzono z nim wywiad imigracyjny. Zapukał i wszedł. Siedział jeszcze ten sam urzędnik, który go przyjmował. Właśnie składał papiery, zabierał się do wyjścia.

– Przepraszam, gdzie jest moja żona? – powiedział Graham. –: Czekam na nią przy wydawaniu bagażu już ponad godzinę, a jej nie ma. A przecież została poproszona na wywiad równocześnie ze mną.

– Jak się nazywa?

– Agnes Jager.

Urzędnik podniósł słuchawkę. Powiedział parę słów po europejsku, chwilę słuchał, potem w papierach odszukał ankietę Grahama.

– Przecież to edenka – powiedział. – Edeńcy nie mają wstępu do Europy. Europa jest dla Europejczyków, to znaczy dla rasy, która wywodzi się z Europy. Agnes Jager została deportowana w trybie natychmiastowym do Ameryki.

– Co?...Deportowana?...Muszę się z nią natychmiast zobaczyć.

– To niemożliwe. Samolot odleciał pół godziny temu.

– Co?... Pan kłamie! Nie było słychać żadnego startu.

– Proszę liczyć się ze słowami, panie Jager: Ściany dworca są dźwiękochłonne.

– Ja muszę polecieć zaraz za nią! Z powrotem! Mam pieniądze.

– Na co nam pańskie dolary?! Mamy waszych wszawych dolarów pod dostatkiem! Wkrótce przerwiemy w ogóle loty do Ameryki, bo za te wasze dolary nie można od was nic kupić!

– Mam ecuny. Wymieniłem.

– To nie ma znaczenia – urzędnik machnął ręką. – Obywatel Europy nie może opuścić Europy, byłaby to zdrada ojczyzny. Kto raz stał się Europejczykiem, już nim pozostanie, i pozostanie w Europie.

– Gadaj!... Gadaj!... Coście jej zrobili?! – Graham rzucił się na urzędnika.

Nie zdążył nawet przebyć połowy drogi: strażnicy byli czujni. Został błyskawicznie obezwładniony i skuty kajdankami. Zabrakło mu dawnej szybkości i formy, wyniesionych z Sił Przestrzennych. By niepotrzebnie nie hałasował, usta zalepiono mu plastrem. Nawet nie bili.

– Agnes Jager została wydalona, a pańskie małżeństwo z nią zostało unieważnione. Po odebraniu bagażu powinien pan udać się do komisji profesjonalnej, która wyznaczy panu miejsce osiedlenia, zawód i miejsce pracy. Po tym, co pan tutaj zademonstrował, proszę nie oczekiwać, że będzie to interesujące miejsce i ważne stanowisko pracy.

– Wyprowadzić – rzucił do wartowników, a sam znów, podniósł słuchawkę telefonu.

Cienkie, drewniane ściany baraku drżały od huku lądującego samolotu.

Waterloo, styczeń – luty 1993

KOCIA OBECNOŚĆ

I

W poprawnie urządzonej ciemni fotograficznej jest jasno. Po paru godzinach bez szczególnego żalu zapomina się o innych barwach, prócz pomarańczowej i czerwonej. Przyjemna, spokojna, siedząca praca, której towarzyszy metaliczny zgrzyt maskownicy, plusk roztworów czy delikatny syk dobywający się z kuwety przerywacza zaraz po wrzuceniu doń odbitki. I nawet nie śmieszna pensja wzbudza półświadomy żal, tylko niejasne przekonanie, że traci się coś nieodłącznie przynależnego życiu – może nierównomierny blask słońca, może widok za oknem, może szare, deszczowe chmury. W zamian dostaje się czarno – białe obrazy z życia innych ludzi.

L. ta rekompensata wystarczała. Ciemnia była dla niego nie klatką, ale norą, w której czuł się bezpieczny. A podglądane, czarno – białe chwile stanowiły bezpieczny kontakt z rzeczywistością. Nieustanny korowód ślubów, chrzcin, wesel, niemowląt i zabytków nużył dopiero wówczas, gdy ręce omdlewały, gdy dobiegał już końca dzień pracy. A przecież zdarzały się bardziej oryginalne migawki, czasem nawet z plaży. L. przedkładał toporną prawdziwość obrazów z ciemni nad preparowaną, błyszczącą, kłamliwą papkę wizualną płynącą z ekranu czarno – białego telewizora. Zresztą ostatnio atrakcyjność telewizora spadła do zera, bo się zepsuł.

Mimo pancerza odludkowości, w jaki się wtłoczył L., co jakiś czas, choć ostatnio coraz rzadziej, odczuwał samotność. Bolesny brak bliskiej osoby z latami stępsiał i osłabł, jakby bolesna drzazga tkwiąca w ciele otorbiła się i wrosła w tkanę, tylko z rzadka, nieoczekiwanie manifestując swą obecność.

II

Jednak czasem w ciemni trzeba zgasić światło. To wtedy, gdy przekłada się filmy z kaset do koreksów, za to reszta procedury, wywoływanie, odbywa się przy świetle dnia. Tę pracę L. niezbyt lubił, bo dzień natrętnie przypominał o realnym świecie. Podobnie jak chwile, gdy brzęczek wzywał go do biura, kiedy trzeba było odebrać zlecenie bądź wydać zrealizowane zamówienia.

W zupełnej ciemności L. pracował szybko i zręcznie, dotykem bezbłędnie rozpoznając karby na szpulach i sprawnie nawijając taśmę. Usłyszał cichy, mrużący odgłos.

Burczy mi w brzuchu, jakby kot miauczał... – pomyślał ubawiony.

Chwilę potem burknięcie powtórzyło się.

Pora coś zjeść...

Ale zaraz potem coś łagodnie i jakby przeciągle otarło się o nogę L.

– Cię... Kto go tu wpuścił!? – wyrwało mu się. Nie przerwał jednak pracy. Pomieszczenie ciemni było dość duże, kot mógł wcześniej wleźć tu i spokojnie siedzieć ukryty. L. prosił jedynie w duchu nieznanego zwierzaka, żeby przypadkiem nie zachciało mu się wskoczyć na ladę i porozrzucać rolki z filmami klientów. Dopóki wszystkie przedmioty były na swoich miejscach, L. pewnie odnajdował kolejne szpule, miski i zakrętki koreksów; a po lewej – po kolei poukładane kasety z filmami. Koci spacer natychmiast zburzyłby ten misterny ład, a zaświecenie lampy zniszczyłoby filmy w nie zamkniętym koreksie.

Kot jednak snuł się wokół stóp L, przyjaźnie ocierając się i mrużąc. Nie przejawiał ochoty, by wskoczyć na kolana albo na blat.

– Ty cholerny draniu – powiedział L. – Pojawiłeś się jak Kot z Cheshire.
– No, nie tak... Bo najpierw zamiauczałeś...

Pomyślał, że właściwie mógłby zatrzymać sobie kudłatego przyjaciela, gdyby właściciel zakładu zgodził się na przynoszenie go do pracy i gdyby kudłaty przyjaciel nauczył się, że nie wolno łązić po stołach i sikać do odczynników fotograficznych.

Gdy L. skończył cykl roboczy, chciał pogłaskać niewidoczny, ale przyjemnie ciepły kształt, lecz kształt zareagował gwałtownym susem, aż dał się słyszeć odgłos miękkich łapeczek, zwykle stykających się z ziemią bezgłośnie.

L. zaświecił lampę. Kota nie było. Nie znalazł go w żadnej z szaf, ale nie szukał starannie, bo roboty było dużo.

III

Następnego dnia nie miał czasu myśleć o Kocie z Cheshire, jak go nazwał. Miał więcej reklamacji niż w ciągu trzech poprzednich lat pracy. Pod wieczór, przed zamknięciem zakładu, kilku klientów wróciło z odebranymi wcześniej odbitkami. Wszyscy z taką samą reklamacją: na odbitkach znajdowały się przezroczyście, często nieostre sylwetki ludzkie. Snuły się jakby obojętnie, przypadkiem uchwycone obiektywem. Już wcześniej dziwił się ich obecności na odbitkach i z początku sprawdzał negatywy, ale zgadzało się: słabo naświetlone, niewyraźne sylwetki były także na nich. Za każdym razem wahał się, czy robić z tego powiększenia: zasada „po jednej z każdego dobrego negatywu” wydawała się w tym przypadku szczególnie mętna.

Miał rację. Opłacił to minutami wściekłej kłótni.

– Podwójnie naświetlił pan papier! – przytłoczył właściciel zakładu. – Na drugi raz obciążę pana kosztami materiału.

L. nie mógł wykluczyć, że takie roztargnienie mogło mu się wcześniej zdarzyć. Ale wcześniej, zanim nie wrócił jeszcze do siebie, a nie obecnie. Poza tym, przynajmniej pierwsze z inkryminowanych negatywów osobiście sprawdził. Jednakże nie mógł wykluczyć, że trafiła się paczka tak dziwnie zaświetlonych papierów. Niestety, nie mógł ponownie obejrzeć kwestionowanych negatywów, by obronić swoją rzetelność.

– Widzisz, draniu, jak dają w kość w tej robocie?... – zwrócił się w ciemność, gdy ładując negatywy do koreksów w ciemności, poczuł znajome, ciepłe dotknięcie kociego futerka.

– Gdybym chociaż dostał do ręki te cholerne negatywy, to nie – żalił się.
– Przed klientem mnie obronił, a potem opierniczył, kiedy ja nie mogłem się obronić.

Mógłby się założyć, że obecnie o jego kostkę ocierał się kudłaty buziaczek. L. pracując w ciemni, ściągał skarpetki, by nogi mniej pociły się.

– Chyba zamierza mnie zwolnić i zbiera argumenty. Coraz mniej roboty. Wszyscy przestawiają się na kolor. A tam jedna automatyczna maszyna, i cześć.

Odpowiedział mu cichy pomruk.

– Zresztą sam sukinsyn zbankrutuje, bo nie stać go na maszynę. A swoją drogą, którądy tu wchodzisz, wstrętniaku? Muszę to wycząić.

Spróbował gwałtownym ruchem sięgnąć do wyłącznika, ale zryw i tupot miękkich łapeczek był jeszcze szybszy. Niezadowolone miauknięcie zawisło w powietrzu.

L. postanowił dokładnie przeszukać całe pomieszczenie po zakończeniu pracy, ale zmęczony zapomniał o tym. Za to kupił butelkę i wieczorem w samotności upił się.

IV

L. nie nazwałby siebie alkoholikiem. Co drugi lub co trzeci wieczór kończył z butelką, ale był przekonany, że gdyby zechciał albo gdyby mu zabrakło pieniędzy, mógłby z tego łatwo zrezygnować. Alkohol nie potrafił przebić pancerza obojętności, jak tego nie potrafiło życie codzienne.

L. pomyślał, że kot może być halucynacją alkoholika. Może jednak pił za dużo? – W końcu lepiej, że kot niż myszki...

Niestety, przez kilka dni kudłaty gość nie pojawiał się, pomimo że L. starannie ścierał skarpetki, a nawet zdarzyło mu się podwijać nogawki, by ciepłe futerko przytuliło się mocniej. Znowu poczuł się zdradzony i porzucony. Odrzucił też koncepcję halucynacji – ostatecznie, nie pił ostatnio więcej niż przedtem.

Wreszcie znowu w zupełnej ciemności pojawił się kot. L. ucieszył się, jakby odzyskał przyjaciela.

– Gdzieś się włóczył, kudłaty wstrętniaku? – zagadał przyjaźnie, sprawnie ładując koreksy. – Burych dziewczyn ci się zachciewa na jesieni? Do marca jeszcze daleko – rozgadał się.

– Wiesz, jak właściciel w końcu skwitował te spieprzone odbitki? – zachichotał. Kot wskoczył mu na ramię i zaczął miękko ocierać się o kark. – Że w Dzień Zaduszny nie należy robić odbitek, bo może na nich pojawić się więcej niż było na negatywie. Dobrze, nie?... – i urwał, a skórę jego pokryła gęsia skórka: Właściwie, to czemu nie... Właściciel przecież mógł mieć rację...

– A może i ciebie nie ma, co?, mały draniu – wymyślał nowe określenia dla swojego przyjaciela, ale nie nadał mu jeszcze nazwy, myśląc o nim: Kot

z Cheshire.

W odpowiedzi na te uwagę usłyszał gniewne miauknięcie – taki koci wrzask – i coś ostro drasnęło go w szyję.

– A żesz ty, kocia cholero! – wrzasnął L. i szarpnął się gwałtownie. Kot skoczył gdzieś w ciemność, a po zaświeceniu żarówki znów nie było po nim śladu.

– Co za niewdzięczny koci drań – narzekał L., oglądając przed lustrem trzy długie draśnięcia nabiegające krwią. – Ostatecznie sam jestem sobie winien. Mógł poczuć się obrażony, kiedy zwątpiłem w jego istnienie. Zresztą, Kot z Cheshire musi mieć długie pazury – głądził, opatrując zadrapania.

Postanowił przygotować pułapkę: Umieścił w ciemni lampę stołową z wyłącznikiem w zasięgu ręki. Chciał wreszcie zobaczyć, chociaż jaki kolor futerka i oczu ma ów nieśmiały gość, a przy okazji, prostym sposobem wyśledzić jego drogę ucieczki.

L: zwyczajnie przystąpił do pracy, żeby nie spłoszyć kota. Gdyby zachowywał się nienaturalnie, z pewnością zaniepokoiłoby to płochliwego gościa. Wkrótce niewidoczne futerko zaczęło ocierać się o stopy L. Niemal czuł, jak mały zwierzak jest naelektryzowany. Łaził i mruczał; jak zwykle, gdy łąsił się do L.

W czasie jednej z przerw w pracy, gdy właśnie zakręcił wieko załadowanego koreksu, L. szybko zaświecił lampę. Za szybko, żeby kot był w stanie czmychnąć.

Niczego nie zauważył. Po prostu, nie było żadnego kota. Jedyne w uszach pozostał gniewny, koci wrzask.

L. przeszedł dreszcz, ale nie aż tak mocny, jakby się mógł spodziewać. Może dlatego, że tak do końca nie był pewien, czy tajemniczy ulubieniec istnieje naprawdę. Ostatecznie, szramy na karku niemal się zagoiły...

Czego bał się najbardziej, to ponownego zgaszenia światła. Bał się, że tajemnicza halucynacja wróci. Cóż, pracę trzeba wykonać. Z lękiem wyłączył światło i nieco zmrożony zabrał się do roboty. Pracował zdenerwowany i roztrzęsiony. Mylił się. Filmy nie chciały posłusznie wsuwać się w szczeliny szpul koreksów. Dłonie pociły się ze strachu.

Niepotrzebnie, bo tajemnicza obecność, niewidzialny kot nie ujawnił się. Natomiast na kilku wywołanych negatywach były wyraźne odciski spoconych palców L. Znów dwie reklamacje i cierpkie uwagi szefa. Tym razem L. nie próbował dyskutować.

Tylko czekać na wymówienie... – pomyślał L. – Z drugiej strony, nie wyobrażam sobie, jak on sam będzie przesiadywał w ciemni po dziewięć godzin dziennie...

VI

Można zatęsknić do urojenia. Bez niewidzialnego kota praca w ciemni nie wydawała się już tak zupełna jak dawniej. L. celowo pił co wieczór, by halucynacja wróciła. Wytrzymał tak przez tydzień, potem zrezygnował, bo za każdym razem kac był potężniejszy, a na dodatek zaczęła dolegać wątroba. Jak na złość, nawet odbitki, które trzeba było powiększyć, były wyjątkowo nudne i jednostajne.

Za to szczególne zainteresowanie L. wzbudzało ładowanie negatywów do koreksów. Mógłby to robić przez cały dzień. Oczywiście nie można było tego przedłużać w nieskończoność, a potem znów trzeba było pracować naprzeciw okna, za którym – listopadowa szarość, mżawka lub mgła.

Zdążyły już zmarznąć stopy, bo ciemnia była słabo ogrzewana, gdy poczuł znajome dotknięcie.

– No, wreszcie przylazłaś, ty kocia poczwaro – westchnął L. z taką ulgą, że musiało to zostać zauważone przez gościa. Kot przyjaźnie ocierał się o jego goleń, a potem zaczął ciągnąć za sznurówkę i lekko uderzać łapeczkami w stopę L.

– Ani śladu poczucia winy – mruknął zadowolony L. – Nie było cię tydzień. Wytłumaczyłbyś się chociaż... – wybaczył już nierealność halucynacji.

Zabawa ze sznurówką L. rozwijała się – W najlepsze. Parę razy złapały go za skórę maleńkie ząbki, parę razy nawet zawadził go przypadkiem ostry pazurek. Ulubieńcowi, nawet urojonemu, można przebaczyć wiele. A dziś, zrzedliwy zwykle L., cieszył się z odzyskanego przyjaciela.

– Słuchaj, kocia poczwaro – odważył się L., czując bez żalu, że sznurówki zostały już stracone. – A gdybyś tak przestała bać się światła, co?

Ciepłe, małe stworzenie rytmicznie waliło swoimi łapczkami w nogawkę spodni L.

– Popatrz, przecież i tak wiem, że cię nie ma... Au! – wrzasnął ugryziony, ale nie przestał przekonywać. – To znaczy, jesteś, ale cię nie widać... – wysyczał. – Przestańże gryźć, kocia cholero! – energicznie machnął nogą.

– Jesteś, jesteś. Nie mam żadnych wątpliwości – L. usiłował załadować kolejne taśmy do koreksu. – Widzisz, gdybyś też ujawniał się, kiedy robię powiększenia, to byłoby fajnie – mruknął L. – Wiesz, ja mogę nawet nie sprawdzać, czy ugina się moja nogawka pod twoim dotknięciem, ale bądź, znaczy – spróbuj być wtedy, kiedy ja pracuję przy odbitkach... – Ja mogę nie patrzeć, czy obgryzasz moje stopy, czy targasz nogawki, ale przecież możesz się pojawić chociaż trochę! No nie, poczwarniaku?

Nie uzyskał bezpośredniego potwierdzenia, bo nie mogło go być, ale ciepła obecność ułożyła się na stopach L. Odebrał to jako akceptację. Ostatecznie, niewidzialny kot mógł przecież rozumieć więcej niż zwyczajny kot.

– Słuchaj, Kocie Poczwarocie – powiedział L. – Teraz zaświecę lampę, a ty nie znikniesz. To znaczy... – zająknął się – mam na myśli, że pozostaniesz tak, jak dotąd jesteś... – Halucynacją – dodał w myśli. – Ale już tak drogą...

Aktywność w pobliżu stóp jakby się zmniejszyła. Wyczuwał bicie małego serduszka okrytego ciepłym futerkiem.

– No, przecież wtedy będziesz mógł dłużej siedzieć na moich stopach – przynaglił L. – Obiecuję, że nie spojrzę na ciebie.

Nic. Brak reakcji.

L. nacisnął wyłącznik i zmrużył oślepienie oczy. Ciepłe coś, widmowy Kot Poczwarot najwyraźniej nadal pozostał. Chyba nadal leżał, bo wskazywało na to ciepło jego futerka, ale spokojnie, leniwie drapnął łydkę L., tak powoli, ospale, jakby od niechcienia.

– Ty kocia cholero! – wzdrygnął się i strzepnął nogą. Kot zerwał się i uciekł. Ale tajemnica mroku została zerwana.

VII

Ustaliła się taka subtelna równowaga. Poczwarniak czy Kot Poczwarot pojawiał się często, także wówczas, a nawet najczęściej wtedy, gdy L. pracował nad odbitkami w przyjemnym, pomarańczowym świetle lampy ciemniowej; L. zaś nie spoglądał na swoje stopy zawłaszczone przez Poczwarniaka. Nie patrzył, by przypadkiem nie przekonać się, że to czysta imaginacja, że naprawdę niczego nie ma, a jest tylko płód chorej jaźni, może efekt nałogu.

Takie małe, chociaż niewidzialne stworzenie może znaczyć naprawdę wiele w życiu samotnego człowieka. Ciemnia stała się ważniejsza od reszty otoczenia; L. z radością przychodził do pracy i pozostawał długo po godzinach.

Właściciel zakładu, T., był raczej zadowolony. Chociaż nie zawsze. Kiedyś T. wściekł się, gdy L. wkroczył do ciemni, wrzeszcząc do wojskowej melodyjki podsłyszanej na jakimś filmie: – Kot Poczwarot chodzi sam, wszystko zjada, am, am, am!...

Trzeba to było wywrzeszczyć, bo brzmiało dobrze tylko gdy wrzeszczane.

– Panie L., tego już za wiele! – T. wkroczył do ciemni za teatralnie maszerującym L. – Nie jestem zadowolony z pańskiej pracy – powiedział. – Kupa reklamacji, a teraz takie wrzaski... Cholery można dostać!

L. przyjrzał się uważnie swojemu szefowi. Tamten łyślał, a siwizna już zdrowo rozjaśniła resztki jego włosów. Dupek.

– Liczę się ze zwolnieniem, bo liczba zleceń spada z miesiąca na miesiąc, panie T. – powiedział L. Precyzyjnie ważył butę w swoich

słowach, by pozostawić furtkę dla kompromisu. – Ale gwarantuję, że póki co, będę pracował solidnie, panie T., a ceną za to jest choćby moje śpiewanie – zakończył.

– Hm – prychnął właściciel. – Śpiewaj pan. Właściwie usłyszał więcej niżby chciał.

– Lutek, znaczy Ludwik, możesz pan mówić – rzucił za nim L. – Ostatecznie znamy się już sześć lat.

– Ale mu przyłożyłem, no nie, Kocie Poczwarocie? – mruknął. – Razem damy w kość wszystkim skurwielom.

Kot Poczwarot przez całą dniówkę to łąsił się do L., to obgryzał paski jego sandałów (L. przyniósł do pracy lekkie obuwie), to leciutko drapał w nogawki spodni.

L. odebrał to jako akceptację swojej odwagi. On też doceniał niewidzialnego przyjaciela: To tak, jakby mieć ulubione zwierzątko, ale nie mieć żadnych przykrości z tym związanych – kup na podłodze czy obsikanej ścianie za biblioteczką. Ceną za tę wygodę było jedynie to, że nie mógł ujrzeć Kota Poczwarota, i to, że mógł cieszyć się nim tylko w miejscu pracy.

Praca aż paliła się w rękach. To, co musiał wykonywać – te ratowane przemocą, ze wszystkich sił, odbitki fotograficzne były nędzne, bo na miarę przypadkowych fotografów – dlatego za każdym razem, gdy to robił, L. czuł, że sam uchwyciłby te same sytuacje znacznie lepiej, lepiej o kilka klas, a przy tym cały czas czuł fizyczny kontakt z życzliwą istotą, która ufnie drzemała na jego stopach. To rozbiło skorupę jego samotności i L. był z tego zadowolony.

Niewidzialny przyjaciel jakby nabrał zaufania, bo w domu zdarzało się, że kiedy L. zbudził się w środku nocy, czuł, jak wokół szyi otulą się nieznana, ciepła, kudłata, kocia obecność. Był przekonany, że przyjazna,

choć czasem budził się przerażony. Tak jak każdy jest przerażony tą obecnością, budząc się w środku nocy, w mocy małych, kudłatych łapeczek. A przecież tak zdarza się każdemu. Problem, aby znieść tę groźbę i pogodzić się z tym czymś, ciepłym i życzliwym.

VIII

Poczwarniak stał się jedynym przyjacielem L., ponieważ zaprzyjaźnienie się z T. było niemożliwe, a z innymi osobami L. nie stykał się. Dlatego też tak dotkliwie odczuł, gdy Kot Poczwarot przestał się pojawiać. Próbował dociec, dlaczego tak się stało, ale bezskutecznie. Próbował zmienić styl swoich zajęć, ale to nie pomogło. Widać subtelna równowaga pomiędzy światłem i ciemnością została zaburzona i gość przepadł. A może odwrotnie: może właśnie jakaś równowaga została odzyskana i mały gość z tamtej strony utracił możliwość przechodzenia na naszą, tę stronę.

Ostatnio L. musiał zajmować się wszystkim: nie dość, że robić całą robotę ciemniową, ale także odbierać zamówienia i nawet fotografować klientów. T. zostawiał na jego głowie zakład na całe dni. Prawdopodobnie usiłował rozkręcić jakiś inny interes, co wiązało się z licznymi wyjazdami, tym bardziej przykrymi, że pogoda zupełnie zesobaczyła się, spadł śnieg i ulice pokryła beznadziejna, topniejąca bryja. T. jakby zaczął bardziej mu ufać, a nawet kilka razy L. nakrył go na podśpiewywaniu bezsensownej pioseneczki o Kocie Poczwarocie.

Przed południem przyszedł bardzo blady facet zamówić zdjęcia legitymacyjne. L. zapisał nazwisko Olegoff, zwrócił na nie uwagę, bo pisało się przez dwa f. Wprawdzie w zakładzie tylko T. miał dyplom fotografa, ale L. umiał równie dobrze ustawić oświetlenie, chociaż obawiał się, że chuda gęba tego bledziucha wyjdzie za płasko, a cienie zbyt kontrastowo. Ta bladość była jakaś taka szarawa czy sinawa, zupełnie inna niż karnacja jasnych blondynek, która tak świetnie rysuje się w gamie delikatnych światłocieni. L. postanowił nie męczyć się z Bładym,

tylko klapnąć standardowe ujęcie. W ostatniej chwili natura perfekcjonisty kazała jednak dostawić ekran i parasol.

Wieczorem w ciemni okazało się, że było jeszcze gorzej niż L. myślał: jednolicie czarny negatyw, bez śladu twarzy Bładego.

Cholera, prześwieciłem dziada? To niemożliwe – deliberował Ł. Nie, z pewnością nie przeświecił, było to zwykłe, białe tło, nie różniące się zaczernieniem od tła na sąsiednich zdjęciach. Puste tło bez Olegoffa.

Cholera, kolejna reklamacja... – burknął L.

Wieczorem upił się.

IX

– Przykro mi, ale zdjęcie musi zostać powtórzone – zaczął L., kiedy nazajutrz, pojawił się Olegoff po odbiór zamówienia. – Zostało przypadkiem zaświetlone. Zresztą sam nie wiem, jak to się stało – L. wzruszył ramionami.

– Nie wyszedłem na zdjęciu?

L. bezradnie machnął rękoma.

– Myślałem, że już powinienem pojawiać się na emulsji...

– Cco? – L. spojrzał na niego bardzo okrągłymi oczyma.

– No... Właśnie... – tym razem to Olegoff wyglądał bezradnie. Jak chodząca, blada bezradność. – Kota potrafił pan zaakceptować – mruknął z wyrzutem.

– A co, pan też stamtąd? Też ktoś, kto przemknął z tamtej strony?

– Tak. W zasadzie tak. Ma pan sporo racji.

– Jest pan trupem czy duchem? Czy może wampirem? – L. zaczął nieznacznie wycofywać się w stronę drzwi ciemni, chociaż z ciemni można było wydostać się tylko przez okno, ale przynajmniej mógłby zyskać chwilę czasu na przygotowanie obrony.

– Po co takie mocne słowa? – skrzywił się Olegoff. – Żadnym wampirem z całą pewnością nie jestem – uśmiechnął się. – I nie zamierzam zrobić panu nic złego. Może się pan nie bać, jeśli potrafi pan nie bać się... – dodał, patrząc podejrzliwie na L.

– Sam pan mówił, że nie przestraszyłem się niewidzialnego kota – L. odzyskał pewność siebie. – Więc jeśli tylko nie będzie pan zachowywał się

agresywnie, to w zasadzie... – urwał, nie przeszło mu przez gardło określenie, że „wszystko w porządku”.

– Gdzie tam, jaka agresja – Olegoff wyglądał na zaskoczonego. – No, chyba, że uzna pan za przejaw agresji, jeśli odpadnie mi palec albo cała dłoń...

L. parsknął śmiechem.

– Przestań pan robić sobie jaja. Nabrał mnie pan skutecznie. Powtarzamy zdjęcie?

– Rozsądniej będzie mi uwierzyć. Niby skąd wiedziałem o pańskim niewidzialnym kocie?

– T. mógł panu powiedzieć. Mógł podsłuchać moje monologi w ciemni.

– Nie potrafię rozsypać się na zawołanie. Zresztą, nie chcę. Może pan powtórzyć zdjęcia. Przekona się pan, że znowu nic nie wyjdzie, chociaż bardzo bym chciał, żeby cokolwiek jednak się na nich pojawiło.

– Dobrze. Powtórzmy zdjęcia.

– Tak będzie najlepiej. Przyjdę jutro. Może jednak potraktuje mnie pan poważniej.

Zdjęcia znów nie udały się. L. zrobił duże powiększenie, 24 na 30, i starannie obejrzał. Nic. Jasne tło o nieznacznie zmieniającym się zaszarzeniu. Tylko wylazło ziarno, chociaż dość przyjemne, ostre. Ale przy tej skali powiększenia musi być widoczne.

Olegoff przyszedł po południu. Wyglądał jeszcze gorzej niż wczoraj. Jedną dłonią zasłaniał policzek, drugą trzymał w kieszeni.

– I co? – zaczął bez zbędnych wstępów.

L. przyniósł z zaplecza, wielką odbitkę i położył ją na biurku.

– Nic. Proszę uważnie to obejrzeć – pochylił się nad arkuszem. – Widać wyraźnie poprawnie naświetlone tło. Jedyne niejednorodności to ziarno.

– Przekonał się pan?

– W zasadzie...

– Mogę zrobić bardziej sugestywną demonstrację, ale nie wiem, czy pan wytrzyma... – mówił niepewnie Olegoff. Jego spojrzeniu brakowało nieodłącznego blasku, nawet pojedynczych błysków.

– To znaczy?

– Paskudnie schodzi mi skóra z policzka. To jest przykry widok. Zresztą, z lewej dłoni też... Może tę dłoń lepiej pan zniesie, co?

L. nie wiedział, co odpowiedzieć, wykonał tylko jakiś niewyraźny gest.

Olegoff wyciągnął przed siebie dłoń, grzbietem do góry. Cały grzbiet dłoni pokrywała rozległa rana: skóra odchodziła, zawijając się na brzegach jak odklejona kartka papieru. Spod niej wyzierały ścięgna i żyły, niektóre z nich też zwisały jak frędzle.

– Ooch! – wzdrygnął się L. – To przecież trzeba opatrzyć.

– Nie trzeba. Nie widzi pan, że krew nie cieknie?... Rzeczywiście, rozchylona rana wyglądała jak model anatomiczny czy zakonserwowany preparat. Właśnie krwi brakowało.

– Twarz wygląda podobnie – powiedział Olegoff ośmielony spokojem L. Odślonił prawy policzek.

– O, nie – L. pokiwał głową.

Olegoff miał paskudnie rozkwaszoną twarz. Ledwie trzymająca się skóra odsłaniała blade mięśnie, a nawet widoczne spomiędzy nich, pokryte brązowymi plamami zęby.

– Dalej pan myśli, że robię sobie jaja? – rzucił kwaśno Olegoff, ale szybko podtrzymał dłonią odrywający się płat skóry na policzku. Starannie przyglądał ranę, a następnie równie starannie przyklepał rozłazącą się rękę.

– Mógł pan wyrwać się z dermatologii – L. spojrzał na niego badawczo.
– Taką ranę nie jest trudno ucharakteryzować.

Olegoff zniechęcony pokiwał głową.

– To prawda, konsekwentny sceptycyzm jest w stanie podważyć bardzo wiele. Czyżbym właśnie przez to przegrał? – mruknął. – Jednak, czy nie za wiele tych koincydencji? – dorzucił.

– To prawda, wiele. W takim razie dlaczego pan przyszedł, skoro zdjęcia i tak nie mogły się udać?

– Przeszedł pan „próbę kota”, a to, czy wyjdę na zdjęciu, miało akurat dla mnie znaczenie. To też test.

– Przeszedłem „próbę kota”?

– Tak. Kot Poczwarot był próbą, próbą odporności psychicznej... No, wie pan, przydatności dla nas...

– To jest jakaś organizacja? Wywiad?

„– Aaa... Bez sensu – zachnął się Olegoff i zaraz przyglądał odstającą skórę. – „Próba kota” miała pokazać, na ile histerycznie reaguje pan na takie sytuacje.

– Wielu ludzi poddaje się „próbie kota”? – Obecnie coraz więcej.

– Fotografów? – uśmiechnął się L.

– Nie. Wielu ludzi zaraz po zbudzeniu ma wrażenie, że na szyi przysiadł mu kot, nieznany i przez to groźny, gotowy podrapać twarz. To jest właśnie ich próba. Zwykle są przerażeni, pocą się. Po sekundzie obecność kota znika, przegrali swą próbę.

– Poczwarniak dopiero po jakimś czasie zaczął przyłazić do mnie do łóżka i drzemać przy mojej twarzy.

– Właśnie dlatego, że pracuje pan w „zupełnej ciemności, poradziłem Poczwarniakowi, żeby spróbował inaczej.

– Jest tylko jeden taki kot?.. – Nie.

Olegoff nieoczekiwanie ożywił się, nawet uśmiechnął. Jeszcze raz energicznie przyglądał przerażająco uszkodzony policzek i dłoń.

– Bardzo panu dziękuję, L. – powiedział życzliwie.

- Za co?
- Tak po prostu. Chce się panu ze mną rozmawiać, z takim monstrem.
- Chcę w zamian więcej wiedzieć – L. nie dodał złośliwie, że lepsze takie towarzystwo niż żadne.
- Dobrze. Tak – Olegoff zamyślił się. – Ale to wymaga czasu. Stopniowo. Czy mogę przyjść znowu?
- Pewnie. Możemy przejść na ty? Oczywiście, bez brudzia. Nigdy nie byłem na ty z duchem... – L. wpadł w dobry humor.
- Raczej – z trupem... No, może z trupem – duchem. Oczywiście. Oleg. Ale bez uścisku dłoni, wolę ja wziąć ze sobą...
- Pewnie – odetchnął L., uświadomiwszy sobie możliwe konsekwencje swojej propozycji. – Lutek – skinął głową.
- Wiem od kota. Do jutra – jeszcze raz przygładził skórę na policzku.

XI

Zamknięcie się w skorupie samotności jest zabiegiem może pożytecznym, ale bardzo podatnym na zniszczenie przez otaczający świat. Wystarczyły dwie wizyty tajemniczego Olegoffa, by przez cały wieczór L. rozmyślał, co przyniesie trzecia.

– Słuchaj Lutek – powiedział rano właściciel. – Mam dla ciebie propozycję – popchnął palcem w jego stronę puszkę piwa. Pierwszą od czasu, kiedy L. został przez niego zatrudniony.

– Oo! W godzinach pracy? – L. uśmiechnął się, ale skwapliwie otworzył piwo. Przyjemne syknięcie uczyniło rozmowę miłszą.

– Tak... – T. skwitował uwagę L. – Roboty tu coraz mniej. Chcę, żebyś kierował tym punktem – nawiązał. – Rozumiesz? – Wszystko: przyjmowanie klientów, robota, zbieranie forsy, prowadzenie księgi rachunkowej. Jak będę zadowolony, to – wspólnictwa jak się wykopyrtniesz, to zwijasz ten punkt. Idziesz na to?

– A mam to wybór?

– Ha, ha, ha... Lubię ten pragmatyzm... – zarechotał T. – Ten sceptycyzm, kompletną niewiarę i nieufność.

Tym razem zachichotał L.

– Gdzie tam. Mam bardzo dużo wiary – trzął się ze śmiechu, aż pryskało piwo.

T. spojrzał na niego poważnie.

– To co, zgadzasz się?

– Tak. Przecież to jedyny sensowny wybór.

– To chlapiemy – T. wyciągnął puszkę w jego stronę.

- Chłapiemy – L. stuknął swoją, aż plusnęło.
- Chłapiemy i spisujemy.

XII

Olegoff przyszedł w świetnym nastroju: mimo bladości był wesoły, rozmowny. Upiorna rana na policzku zgoiła się od wczoraj. Lewa dłoń też wyglądała bez zarzutu.

– Zrobisz mi zdjęcie? – zaczął. – Dzisiaj jestem w świetnej formie. Na pewno coś wyjdzie na zdjęciu.

– Dobrze... dobrze... Może byś zaczął płacić za te swoje nieudane podobizny?

– Czyżbyś został wspólnikiem tej firmy? – Olegoff spojrzał z ukosa.

– Właśnie.

– Gratuluję.

– Nie ma czego. Interes i tak zdycha.

– Ale jednak. W moich stronach jedyną firmą to była karczma.

– Przynajmniej dochodowa. Bo jeść trzeba, tyłka korkiem nie zabijesz.

– Nie całkiem. Można prawie nie jeść... – powiedział Olegoff. – Ale nie chcę wspominać moich stron.

L. nie przestał sortować odbitek. Rozdzielał je do małych kopertek.

– Tylko ty masz pecha i nie wychodzisz na zdjęciach – rzucił do Olegoffa.

– Nie tylko ja. Nie przeszkadzam dzisiaj?. – dodał po chwili, widząc, że L. nie przerywa pracy.

– Oczywiście, że nie. Lubię prowadzić te dziwne rozmowy. Słuchaj Oleg, przyprowadź kogoś z twoich białych kolegów – uśmiechnął się. – Jeśli będzie miał na to ochotę, oczywiście.

– Będzie, będzie, sam ci to chciałem zaproponować. To jest właśnie to, o co chciałem cię prosić, L.

– Bardziej będę ci wierzył – powiedział L. – Albo myślał, że do reszty zwariowałem, bo otacza mnie cała organizacja tajemniczych agentów – dodał w myśli.

– Tylko że... – Olegoff zawahał się i urwał. – Tylko że ta osoba będzie w znacznie gorszym stanie niż ja... Czy zdołasz to wytrzymać? – zatroskał się.

– Wytrzymałem już wiele, no nie?

– Dobrze.

– Powiedz mi w zamian, co z twoim policzkiem? Odkleiła się dekoracja?

– Nie. To się ukonstytuowało. Możesz myśleć, że się zgoiło. To wynik naszej wczorajszej rozmowy. To może by tak zdjęcie na koszt firmy, co?

– Dobra, usiądź na tamtym krześle, Oleg.

XIII

Na zdjęciu Olega widniał wyraźny zarys szkieletu ludzkiego, tym bardziej makabryczny, że z gałkami oczu w oczodołach.

– Uee... Ale potwór – mruknął T., oglądając odbitkę. – Aleś to odstawił, Lutek. Rysowałeś na kliszy, nie? Albo na odbitce, co nie?

– No... – L. wykonał nieokreślony ruch ręką, który w zasadzie miał potwierdzić domysł T.

– Poślij to na jakiś konkurs, wyszło świetnie sugestywnie.

– Zastanowię się. Chociaż może popracuję nad tym jeszcze... Wtedy właśnie, niestety, Olegoff wszedł do zakładu fotograficznego; L. przyjaźnie uśmiechnął się do niego i skinął dłonią. T. odwrócił się.

– Ten cholerny kościotrup przylazł tu! – wrzasnął. Olegoff, spłoszony, zmył się.

– Też to widziałeś, Lutek? Jak zamykało drzwi? – gorączkował się T.

– Klient zajrzał – mruknął L. – Ale wrzasnąłeś tak głośno, że pewnie nieprędko wróci. – Nie zapamiętałeś wczoraj sprawy, co? Stary?...

– Trochę, ale nie tyle, żeby... – urwał T. Nadal trzymał w ręku odbitkę. – Niech to cholera weźmie! Pierniczę! Prowadź tę firmę sam, nie muszę tutaj aż tak często przyjeżdżać.

– Pewnie, że nie. Chociaż mógłbyś czasem odwiedzić wspólnika.

Gdy Olegoff zajrzał drugi raz, wieczorem, obaj uśmieali się.

– To ty widzisz mnie zwyczajnie. Inni widzą właśnie coś w rodzaju makabrycznego kościotrupa – powiedział Olegoff.

– Powiedz szczerze, to coś niedobrego ze mną?

– Nie, właśnie nie. Dzięki tobie widać chociaż kościotrupa. Bez twojej pomocy nie byłoby nawet kościotrupa. Dlatego jesteś tak ważny dla mnie...

– Bo przeszedłem „próbę kota”... – L. łypnął nieufnie.

– Żebyś wiedział.

– Co dzisiaj nowego?

– Nie pomógłbyś jeszcze komuś innemu? – pobladła twarz Olegoffa wyrażała kompletną niepewność. Czarne włosy okalały blade, spoczone czoło.

– Pora się ostrzyc, Olegoff. Masz za długie kudły – mruknął L.

– W porządku. Postaram się. To co z tą drugą osobą? – rzucił niepewnie.

– Słuchaj, stary – L. był pewny siebie, jak nigdy dotąd. – Przychodzisz codziennie, mówisz, że bajdurzenie ze mną ci pomaga, a dla innych wyglądasz jak kościotrup z jajkami na twardo w oczodołach, i jeszcze...

– Na każdym z tych jajek jest kropla budyniu czekoladowego... – przerwał Olegoff.

– Co?

– No, mam ciemne oczy.

– No tak! – L. machnął ręką. – I jeszcze chcesz mi sprowadzić drugiego takiego... kogoś. Bądźże przytomny.

– Cholera – westchnął Olegoff. – Wiedziałem.

– CO wiedziałeś? – parsknął L. – Oczywiście, niech przyjdzie z tobą. Tobie pomagam, jak twierdzisz, to czemu nie mogę pomóc i temu drugiemu? Wygląda jeszcze gorzej? Może jajka na miękko wylewają mu się z oczodołów, co?

– Cholerny dupek z ciebie, – palnął Olegoff, a L. po raz pierwszy dojrzał jasny błysk w jego ciemnych oczach. – Ależ ty potrafisz tłamsić innych, kiedy już wyleziesz z tego swojego prywatnego stłamszenia.

– Trupy i duchy tłamszę? – przyciął L.

– Trupy i duchy.

– A ty nie pomyślałeś, że ja się tego po prostu cholernie boję? Tej obłazącej skóry, tych kościotrupów na kliszach? I tego, jak temu skurwielowi T. gały wyłazą na wierzch ze strachu, kiedy na ciebie patrzy? Po prostu jestem blisko granicy wytrzymałości swoich nerwów i dlatego zachowuję się jak dupek.

– Przepraszam.

– Dobrze już. Oczywiście, sprowadź tego swojego kolegę.

– Będzie wyglądać naprawdę źle, licz się z tym.

XIV

To nie potrafiło się nawet ruszać. Ot, leżało pod murem zakładu. L. musiał wyjść na ulicę za Olegoffem, żeby zgodnie z obietnicą patrzeć na to. Brunatna, rozlazła masa, słabo przypominająca swym zarysem leżącego człowieka. Olegoff badawczo przyglądał się L.

- Możesz tego dotknąć? – zapytał. L. wzdrygnął się.
- Brzydzę się tego i boję.
- Bać się nie musisz. Gwarantuję ci.
- Przecież policja zarzuci mi, że dotykałem tego. Jeszcze mnie oskarżą.
- Nikt tego nie widzi oprócz nas.
- I mnie – odezwał się przechodzący, starszy mężczyzna.

L. gwałtownie się odwrócił. Dostrzegł we wzroku nieznanego tę samą pustkę i mętność, co zwykle w oczach Olegoffa tę samą ubogą mimikę twarzy i automatyzm ruchów.

- Stefan – przedstawił, się nieznanomy. L. skinął głową.
- On też jest blady, jak ja – Oleg wskazał na niego dłonią.
- Przecież widzę.
- To świetnie – Oleg uśmiechnął się.
- Dobrze pan robi – powiedział blady nieznanomy. – To jest dobre.

Dobrze dla niej.

– Ach! – L. machnął ręką. – A czy mogę ubrać rękawiczkę? – zapytał, cofając się jednocześnie.

– Nie, chyba nie – zawahał się Olegoff. – Chociaż spróbuj. Może też działać. Zupełnie nie wiem.

- A powinienem dotknąć dłonią?

– Tak, wtedy na pewno będzie dobrze.

Przemógł się i położył dłoń na masie przypominającej fakturą zbutwiałe drewno zmieszane z błotem. Nawet nie była lepka. Jeśli odczuł jakieś ciepło czy kontakt, to było uczucie intensywnością równe temu, jakie odczuwa brydżysta od swoich kart w dłoni, gdy spodziewa się, że przyniosą mu dograną, choć licytacja jeszcze się nie rozpoczęła.

Olegoff uśmiechnął się.

– Wiesz, wystarczy. Tu chodziło głównie o twoją akceptację, a nie o czas.

– Gdzie Stefan?

– Poszedł sobie.

– Zniknął?

– Bez sensu. Możesz go widzieć albo nie, ale znikania i pojawiania się nie ma.

Później L. długo mył dłonie. Następnie przetrął je starannie watką umoczoną w spirytusie salicylowym i znowu mył.

– Kim ty w ogóle jesteś, że każesz mi to robić? – rzucił do siedzącego Olegoffa. – Jakie moce tu się rozpętują?

– Nie jestem diabłem. Staram się go unikać, jeśli mogę.

– To: dlaczego się tu do nas – z powrotem przepychacie – ty, Stefan, to pod ścianą?

– Tak ma być.

– Robi się ze mnie cholerne medium, czy co?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Jeśli przez medium rozumiesz kogoś, kto może kontaktować was z nami, to nie. Na razie nie mogę powiedzieć ci więcej. Pójdę sobie już.

– L. nie pytał nawet, czy Olegoff powróci, bo był pewien, że będzie wracał, dopóki L. nie zareaguje strachem czy niepowstrzymaną odrazą.

– Czy Poczwarniak mógłby wrócić? Polubiłem go – rzucił za wychodzącym Olegoffem.

XV

Przez dwa kolejne dni Olegoff nie pojawił się. Wrócił natomiast Poczwarniak. Kocia obecność umilała długie godziny samotności w ciemni. Ale ta mała, kudłata radość nie była obecnie najważniejsza.

Najważniejsze stały się wyprawy przed drzwi zakładu fotograficznego, pod ścianę sąsiedniego budynku, ledwo dwadzieścia kilka metrów. Z początku rzadko, a potem coraz częściej, wykorzystując każdą przerwę w pracy, wychodził ku kupie czy stercie, czy przyzmiu – jak najlepiej to nazwać – i kładł na tym czymś dłoń, tak jak polecił Olegoff.

Potem kładł dłoń tam, gdzie wyodrębniła się wypukłość głowy, potem na białej czaszce.

Ten powstały szkielet był zbyt czysty, jakiś taki jasny, przypominał bardziej model anatomiczny niż doczesne szczątki. Nie zburzyło tego wrażenia, kiedy po jego kolejnej wizycie kości okazały się powiązane chrzestnymi więzadłami i zaznaczyły się torebki stawowe.

To był zbyt nierealny proces, by się go bać, zbyt widowiskowy. To, co się odtwarzało, było na każdym etapie perfekcyjne, skończone; bez cieknącej krwi czy ran albo limfy.

Po dwóch dniach szkielet obrócił w stronę L. puste oczodoły. To było nieracjonalne, a przynajmniej tak wtedy pomyślał L., bo włókna mięśniowe oplatające szyję były nieliczne i cienkie jak tasiemki.

Równie absurdalnie szkielet wyciągnął ku L. swą dłoń.

Prosi, by go podnieść... – pomyślał L.

Łagodnie ujął w dłonie wątłą strukturę. Mniej brzydził się tego, co powstawało, obawiał się raczej, by ta kupa kości słabo powiązanych

niektórymi ścięgami i śladami mięśni nie rozsypała się na kawałki. Wziął to na ręce, zauważając niezwykłą lekkość, przecież oczywistą, bo brakowało niemal wszystkiego. Posadził to na krzesło, tak łatwiej było pracować w pobliżu. Co chwilę podchodził i kładł dłoń na gładkiej czaszce. Fascynowało go obserwowanie, jak struktura odtwarza się. Przybywało wtedy, gdy L. zajęty był rutynową pracą w ciemni; nigdy wówczas, gdy na to patrzył.

Z początku wyobrażał sobie, że czuje to, co Stwórca, lub przynajmniej artysta – myślał o sobie jako o rzeźbiarzu. Potem pierwsze absurdalne ruchy czaszki naprowadziły na rozsądniejsze określenie: „znów dusza obleka się w ciało”, ale i taką wykładnia była fascynująca.

– Olegoff, możesz opisać to, co widzisz na tym krzesle? – zapytał L., gdy Olegoff przyszedł z kolejną wizytą.

– Wiem, kogo widzę, Lutek – odpowiedział spokojnie Olegoff – ale tego nie mogę powiedzieć. Lepiej powiedz, co ty widzisz, to jest ważne.

– Lepiej nie. Po co cię szokować?

– Mnie? – parsknął Olegoff.

– No, jeśli znasz tę osobę... Olegoff nieoczekiwanie zmarkotniał.

– To aż tak źle? – mruknął.

– Przyzwyczailem się. Było gorzej.

– Mam lepsze wiadomości dotyczące ciebie – powiedział L. Uważnie przypatrując się Olegowi, zauważył, jak zasmuciła go poprzednia informacja.

– Tak? – Olegoff ożywił się.

– Na ostatnim zdjęciu nieźle wyszedłeś... To już nie szkielet czy coś takiego. Masz chłopie komplet mięśni, nawet tłuszcz podskórny. Proces wyraźnie dobiega końca.

– Wiem – Olegoff pozostał niepokieszony. – Paru pijaków zemdlało na mój widok. Podobno najgorsze jest właśnie przedostatnie stadium. Wiesz, kiedy różnice nie są tak wielkie... Wtedy właśnie one są szczególnie akcentowane. To jest syf. Wiesz, odkąd jestem widzialny... Te sztuczki z garbieniem się, zawijaniem w szalik... Rzygać mi się chce.

– Słuchaj, Oleg, przecież udało ci się przebić z tamtego świata z powrotem! Ciesz się, chłopie, i płac swoją cenę...

– Och, żebyś ty wiedział wszystko... – westchnął Olegoff. – Ale masz sporo racji, cholernie dużo racji – dodał, zwieszając głowę. – Ale czasem trudno się cieszyć, trudno...

– Chyba się przyzwyczałeś, że jesteś trupem czy duchem, czy jak tam chcesz...

– O, tak. Już dawno, chociaż to jeden, długi dzień. Nie wyciągaj ze mnie wszystkiego, Lutek...

– Jesteś Rosjaninem, Oleg?

– Nie, dlaczego?

– No, Oleg i Olegoff...

– To skandynawskie imię, było popularne w mojej rodzinie; a to drugie wymyśliłem sobie, nie jest prawdziwe.

– Kłamałeś?

– Nie mam wyjścia, Lutek. Muszę tak robić dalej. Nie mogę powiedzieć ci prawdziwego imienia i nazwiska. Mógłbyś to przecież sprawdzić, mógłbyś wykorzystać to, co niedozwolone...

– Czy wszystko to, co mi mówisz, jest takim samym kłamstwem?

– Nie. Tylko personalia.

XVI

L. nieświadomie zaczął unikać Olegoffa. Nie powiedziałby mu, że jego wizyty stały się niemiłe, nie powiedziałby tego komukolwiek innemu. Ale tak było.

Czuł, że wyrywa coś ze świata Olegoffa i świata małego Poczwarota i wyrywa to wyłącznie dla siebie.

Obecnie, mały, kudłaty przyjaciel nie był już dla niego tym, czym ten słaby, ledwie powleczonej tkanką szkielet, a przynajmniej tak myślał L.

L. potrafił co kwadrans przerwać pracę, by położyć dłonie na przyjaznej czaszce. A ulubionemu szkieletowi przybywało. Najpierw tchawica i płuca. Wtedy ujrzał regularne ruchy płuc, jakby kurczących się periodycznie.

Dusza lepiej oblekła się w ciało... – pomyślał.

Naczynia krwionośne utworzyły dobrze rozbudowaną sieć, zaś gdy pojawiło się bijące serce, L. nie mógł powstrzymać się, by nie położyć na nim dłoni. I poczuł coś, czego nie czuje nawet chirurg, bo dotknął serca W naturalnej sytuacji, nie bezlitośnie obnażonego cięciami skalpela i przez to okrwawionego.

Poczuł też, jak to serce nieco przy spieszą, może ze zdenerwowania czy podniecenia tym; że właśnie on położył swą dłoń na nim. To było niezrównane odczucie.

A całą tę radość tworzenia czy odtwarzania osiągał tak łatwo – po prostu kładąc dłonie na czaszce. Mógł obserwować wypełniające się wnętrza ciała. – Co, gdzie miało być i jak działało.

Poczwarot ocierał się o łydki L. jakoś tak gniewnie, jakoś tak nachalnie akcentując swoją obecność.

– Nie czuj się jak zdradzona miłość – zachichotał L. – Nie ma sprawy. Po prostu muszę tak robić – przełożył stopniowo odbitki do kolejnych roztworów, wstał i znowu położył dłonie na białej czaszce. Jak dotąd nie pokryła jej sieć naczyń krwionośnych. Ale trudno było nie myśleć o rozpartym w fotelu żywym modelu anatomicznym jak o żywej istocie. L. uważnie obserwował proces odtwarzania się Kosteczki – bo pamiętał, jak Olegoff wspominał, że to kobieta.

Serce biło, płuca pracowały periodycznie uciskane żebrami, przełyk wiódł ku żołądkowi, a dalej reszty nie sposób było wyłowić, bo skrywała ją biaława błona otrzewnej. Mięśni też przybywało; nadawały jej przyjemniejszy kształt, jeśli kształt czegoś takiego mógł być przyjemny.

XVII

Właściciel T. nie był w stanie zauważyć czegokolwiek; zawracał głowę bieżącymi drobiazgami, ale wyraźnie cieszyło go, że L. samodzielnie prowadzi tę firmę.

Próg czułości... – myślał L.

Natomiast wizyty Olegoffa nie sprawiały mu przyjemności. Zadawał zbyt wiele dociekliwych pytań, jakby chciał odebrać L. to, co należało wyłącznie do niego.

– Czy jej ciało jest jak chleb a krew jest jak wino? – rzucił Olegoff i badawczo przyjrzał się L.

– Czy coś takiego może mieć znaczenie? – L. chciał zbyć to pytanie.

– To może mieć znaczenie. Dla niej.

– Ciało, znaczy mięśnie? – upewnił się L.

– No tak.

– Jasne, przyjemnie ciepłe, w dotyku może raczej jak ośrodka chleba, nie jak skórka.

– A krew?

– Skąd niby mogę wiedzieć?

– Podobno najpiękniejszy widok podczas czyjegoś powrotu jest wtedy, kiedy krew już krąży, a naczynia krwionośne jeszcze nie powróciły. Tylko Przewodnik może to zobaczyć. A ty jesteś jej Przewodnikiem.

– I niektórzy chłeptali taką sikającą w powietrzu krew?

– Nie wiem. Ale może jakoś posmakowali. Podobno może być jak wino. I wcale nie sika, tylko płynie powietrzem, jakby płynęła w żyłach...

– W takim razie przegapiłem to widowisko. Wieczorem jeszcze nie miała serca, tętnic i żył, a rano już wszystko było w komplecie. Trzeba było mnie uprzedzić.

– Nie mogłem. Tylko ty sam mogłeś na to zasłużyć.

– Cholera, więc partolę tę swoją robotę – L. poczuł się nieprzyjemnie zawiedziony.

– Z pewnością nie partolisz. Bądź tego pewny. Ale jest gradacja.

– Podoba mi się ta nazwa: Przewodnik. Chociaż tyle – powiedział i po chwili dodał: – Jak ona ma na imię, to znaczy jak miała?

Natychmiast zauważył nerwowy tik na twarzy tamtego.

Znowu chce się wymigać? – pomyślał niechętnie L. Obecnie, Olegoff powinien objawiać się wszystkim jako normalny, powleczony skórą, przystojny facet. I to wszystko dzięki dobrej woli i życzliwości L. Powinien czuć się zobowiązany i odpowiedzieć.

– Słuchaj, stary, przecież wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć wprost – wydusił wreszcie Olegoff.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz... Nie wolno ci dotrzeć do niej, do rzeczywistej scenerii, dat, miejsc, ludzi którzy ją otaczali... Czasem jest to ważne, czasem nie... Wiesz, ważne wtedy, gdy mogłoby to coś zmienić – Olegoff wikłał się i plątał.

– Dobra, powiedz chociaż imiona, które są podobne fonetycznie – przerwał te wysiłki L. – Ostatecznie, winien mi jesteś coś za ten twój udany powrót...

– Marta, Anna.

– Nie bardzo pasują do siebie – zauważył przytomnie L.

– Tyle mogłem powiedzieć – wzruszył ramionami Olegoff.

XVIII

Świat trupów otaczał L. Może na ironię, przez to, że unikał żywych, w pobliżu odnaleźli się inni. Nauczył się bezbłędnie ich rozpoznawać. Kręcili się wszędzie. Snuli się po ulicach, ale unikali miejsc zatłoczonych, najłatwiej można było natknąć się na nich na pustych ulicach. L. wiedział, dlaczego.

Z początku, gdy zaczął ich rozpoznawać w tłumie, przeraził się, jak wielu z nich zdołało powrócić, przedostać się z powrotem. Inwazja czy co? – pomyślał.

Przez dwa dni łąził po ulicach miasta do późnego wieczora, by przekonać się, czy może oni wszyscy zgromadzili się wokół jego domu czy wokół zakładu fotograficznego, w którym pracował. Ale stwierdził, że nie, niestety, nie jest on kimś aż tak szczególnym. Błędnych było bardzo wielu i to różnych, zbyt różnych, by wszyscy stale łązili dokoła wędrującego po mieście L. Odważył się ich zaczepiać. Podchodził i zagadywał do nich. Reagowali bardzo naturalnie.

– Niestety, można mnie jeszcze rozpoznać? Szkoda – mówili jedni.

– Ach, gratuluję! To pan jest jednym z tych niewielu... Bardzo nam pomagacie, wasza życzliwość... – mówili inni.

Snujących się szkieletów nie zauważał, choć gdyby mocniej wyteżył wzrok, może coś udałoby się wyłowić z ciemności. Nie miał wrażliwości zupełnej, by widzieć wszystko...

Gdy próbował kogoś z nich wyciągnąć na dłuższą rozmowę, zρέcznie zmywali się.

Co oni tacy bystrzy?... – zżymał się. – Sami inteligentni „wrócili, czy co?

Jedyną pociechą było to, że nie pomylił się ani razu i ani razu nie zaczepił żywego człowieka.

Spośród trojga najbliższych, Kosteczki, Poczwarota i Olegoffa, L. witał z niechęcią tego ostatniego. Olegoff wydawał się zbyt natrętny, zbyt spokojny, zbyt zdecydowany. Było w nim coś, czego L. nie lubił, w szczególności gdy Olegoff rozmawiał z nim w ciemni, gdzie w fotelu siedziała Kosteczka. L. czuł, że nawet mały, kudłaty Poczwarot woli łąsić się do tego cholernego trupa.

Rozwój Kosteczki cieszył, bo był bierny; to znaczy, zależał wyłącznie od tego, jak często L. położył dłoń na jej ciepłej, bo rozgrzanej ciepłem wewnętrznym, czaszce. Kosteczka chodziła po ciemni, a często zaglądała do biura. To mogło szokować klientów. Tak jak zszokowało T., który wszedł, jego oczy, tak samo jak kiedyś, zrobiły się okrągłe jak kulki i natychmiast wyszedł. L. wziął pod rękę, czy może pod pizczel, Kosteczkę i zdecydowanie wyprowadził z biura.

– Oj, stary – burknął T., gdy wrócił po paru minutach. – Piję i piję, a interesy diabli biorą. Znowu mi się szkielety zwidują. Zwariować można.

– Szkielety?

– No, takie z flakami. Nie do wytrzymania. – Widziałeś coś takiego?

– Takie coś, jak kiedyś narysowałeś na zdjęciu.

– Przepraszam, stary. Nie przypuszczałem, że cię to tak zasugeruje.

– Gdybyś coś takiego zobaczył w rzeczywistości.

– Pewnie tak... – L. zdawkowo kiwnął głową. Zdążył go znudzić komizm takich wypowiedzi.

XIX

Tworzenie, czy może powrót, Kosteczki następowało w błyskawicznym tempie. Miała niemal wszystkie mięśnie, charakterystyczny bladoróżowy kształt macicy zasłonięty został przez pasma mięśni, a na żebrach pojawiły się zgrabne półkule, blado – żółto – bladoróżowe, pokryte ornamentem naczyń krwionośnych. Było to piękne, bo nie wyglądało jak odsłonięta rana, lecz jak naturalny kształt żywego organizmu.

Ona za każdym razem jest skończona... – znalazł trafne określenie. L. – Za każdym razem mogłaby istnieć właśnie w takiej formie. Może gdzieś istnieją takie istoty.

Poczwarniak ugryzł go w łydkę.

– Ty kudłaty wstrętniaku!... – mruknął, ale odruchowo zaczął bawić się z niewidzialnym stworzeniem. – Mógłbyś i ty się wreszcie pokazać. Czy masz białe, czy płowe, czy fioletowe futerko... – męczenie niewidzialnego przyjaciela opłacił pogryzionymi palcami. Ale pogryzionymi lekko, choć dotkliwie, jakby Poczwarniak wiedział, że to może boleć, tylko że miał źle ustawiony celownik i gryzł nieco za mocno.

Może był zazdrosny o wszystko oprócz siebie i dlatego tak gryzł, a może tylko o Kosteczkę.

– Robisz, Lutek, wspaniałą robotę – powiedział Olegoff, oglądając ostatnie swoje zdjęcia i zdjęcia Kosteczki. – Tyle serca.

– Ostatnio naoglądałem się pracującego serca.

– Nie żartuj. Rzadko który z was potrafi być taki. Nawet jeśli jest Przewodnikiem.

– Jeśli tak mówisz, to upewnij mnie: czy robię dobrze? Po prostu, dobrze?

– Tak. Robisz dobrze. Po prostu, dobrze.

– Nie rozumiem dlaczego.

– Chociaż nie rozumiesz dlaczego – uśmiechnął się Olegoff. Znowu był taki denerwująco swobodny, pewny siebie. Tego zawsze brakowało L. Teraz znowu wyszedł na zastrachanego dzieciaka. Było to zawstydzające, tym bardziej że Kosteczka siedziała rozparta w fotelu i swoimi odsłoniętymi gałkami oczu wpatrywała się w Olegoffa. Te oczy miały atramentowe tęczęwki. Taki ciemny błękit, że aż nieprawdopodobny.

– Dlaczego nie rozmawiacie ze sobą? – L. wskazał na Kosteczkę.

– Przecież wy też nie... – Olegoff lekko odgarnął włosy z czoła. – Lutek, Lutek – znów wpadł w ten nieznośny ton. – Mówię ci to, co mogę. Czasem nawet nieco więcej. Gwarantuję...

– Zrób mi kawę – dodał po chwili, uśmiechając się bezczelnie. L. miał ochotę go wyrzucić, jak nigdy dotąd. Powstrzymał się jednak i zrobił kawę trupowi.

– Jakie ona ma naprawdę włosy?. – wskazał głową za siebie.

– Dość ciemne – uśmiechnął się Olegoff. – Ale to blondynka.

Lekko pociągnął łyk kawy.

– Chłopie, to cudowne, kocham kawę – mruknął. – Mmm... zawsze gorzką.

– Jak długo będziesz do mnie przychodził?

– No, wiesz... – Oleg wykonał taki nieokreślony ruch dłonią.

– Masz mnie łagodnie doprowadzić do śmierci?

– Mam nadzieję, że wręcz przeciwnie.

– Mówiąc metaforą, no nie? – L. łyknął badawczo.

– Akurat nie to... – Olegoff machnął ręką. – Dość w tobie życia i dla siebie, i dla mnie, i dla niej...

– A kot? Co z kotem? – zaniepokoił się L. – Dlaczego Poczwarniak nie staje się widoczny?

– Los kota kończy się z jego śmiercią. Dusza zwierzęcia. Nie zobaczysz go.

– Poczwarniaka?! – jakoś nie mogło to dotrzeć do L. – Kota Poczwarota? Przecież czuję, jak tu się łasi i mnie obgryza.

– Niestety, Lutek.

– Bardzo mnie zraniłeś, Oleg, bardzo pokochałem tego niewidzialnego ktosia... Przecież w Niebie nie może nie być kota, bo byłoby tam troszkę za mało szczęścia.

Olegoff zwiesił głowę.

– Mogę ci więcej powiedzieć o tym kocie – powiedział. – Chcesz?

– Tak.

– Naprawdę mieszkał w Cheshire. Nazywał się Adriennee Boverman. Spalił się wraz z... – urwał Olegoff, a jego ciemne oczy znieruchomiały.

– Z Kosteczką? – dopowiedział L., ale ściśnięte gardło jakoś tak wolało, by pociekły łzy, byle nie usłyszeć zbyt trudnej odpowiedzi.

– Och, stary – westchnął Olegoff i jakoś tak przygarbił się, zaklął w sobie...

XX

Poczwarniak zniknął. L. płakał, zasypiając, i nie wstydził się tych łez. Jak myślał, utracił kogoś kochanego i szczerze oddanego.

Starannie kontrolował proces odtwarzania się Kosteczki; co dziennie kilkakrotnie ją fotografował; na kliszy zawsze rysowało, się to samo, co widział gołym okiem. Proces powrotu był szybki, nie tak jak w przypadku Olegoffa, kiedy L. widział niejako z wyprzedzeniem, co dopiero odtworzy się. Dlatego starannie chronił Kosteczkę przed wzrokiem T.

Od paru dni Kosteczka była już odtworzona włącznie z podskórnym tłuszczem. Wyglądało to dziwacznie, ale mniej obco niż poprzednio. Żółtawa sylwetka, obficie przyozdobiona drobnymi, czerwonymi żyłkami. Nie tylko piersi, ale ona cała. Czekał na moment, kiedy Kosteczka już cała odtworzy się, ale jeszcze nie jej odzież.

Stało się inaczej. Gdy, jak co dzień, pracował nad nudnymi odbitkami, zerknął odruchowo ku fotelowi w kącie.

Siedziała przed nim piękna dziewczyna, lekko podpierała dłonią głowę i uważnie przypatrywała się L. Była piękna i, niestety, dokładnie odziana. Jakoś tak delikatnie uśmiechała się.

– Tak sobie mnie wyobrażałeś?

Jej ładną twarz o regularnych rysach okalały ciemne, falujące włosy. Lekko odgarnęła kosmyk, odsłaniając regularny owal twarzy. Ciemne oczy błyszczały nawet w słabym świetle lampy ciemniowej.

– Słabo widać – odpowiedział. Trudno było ukryć, że jest zafascynowany.

– Mógłbyś powiedzieć coś miłszego.

– Twoje oczy przyjemnie błyszczą, nie tak jak matowe spojrzenie Olegoffa.

– To dzięki tobie.

– W pomarańczowym świetle wszystkie kolory są nieprawdziwe.

– Mam brązowy sweterek i też brązową, ale nieco jaśniejszą bluzeczkę – wzruszyła ramionami. – Myślałem, że twoje ubranie odtworzy się znacznie później niż ciało – nigdy wobec żadnej kobiety nie pozwolił sobie na tyle bezczelności, ale Kosteczkę uważał za swoją własność, swoje dzieło.

– Nie chciałbyś za wiele, Lutek? – uśmiechnęła się znowu.

– Opowiedz mi o sobie – przełożył odbitkę do utrwalacza. Za parę minut będzie można zaświecić lampę. Starał się jakoś zatuszować poprzednią niezręczność.

– Mój życiorys?

– No, może.

– Był krótki. Mało ciekawych zdarzeń. Może, chcesz usłyszeć o mojej śmierci? Bardzo, cierpiałam.

– A potem?

– Jeden długi dzień. Bardzo wiele zdarzeń.

– Zrobię ci zdjęcie. Dla sprawdzenia.

– Wierzę, że na zdjęciu będę wyglądać tak samo, jak mnie widzisz.

– Skąd wiesz?

– Intuicyjnie. No, zrób to zdjęcie.

– W porządku – wytarł ręce, zaświecił lampę, wziął się do rozstawiania świateł w atelier.

Była dość blada, ale naturalnie, nie przesadnie. Miała ciemnobłękitne oczy i ciemnoblonde włosy, chociaż ten kolor był jakiś taki niezdecydowany.

– I co z tymi kolorami?

– Jesteś piękna, Kosteczko. Bezbłędnie.

– Kosteczko? – zdziwiła się. – Przecież wiesz, że nie jestem za chuda.
– No tak, ale kiedyś właśnie tak wyglądałaś.
– A dzisiaj wyglądam właśnie tak, jak widzisz. To dzięki tobie. Wiesz o tym.

Zrobił kilka ujęć.

– Dotąd robiłeś zdjęcia jak do legitymacji.
– Ale teraz widzę, jak wyglądasz. Oczarowałaś mnie.
– Fotografuj.

L. wytrząsał pół filmu. Bardzo chciał, żeby się rozebrała, ale nie miał odwagi jej tego zaproponować. Widział ją bardziej niż mógł ktokolwiek, ale tego szczególnego widoku jej całej nie zostało mu dane zobaczyć.

– Wiesz, nie o to mi chodzi... Jestem, jaka jestem. Możesz mnie fotografować albo nie – wzruszyła ramionami.

– Wiesz, ale...

– Może skończ z tym fotografowaniem, co? – uśmiechnęła się tak, że musiał usłuchać. A propozycja, o której przed chwilą myślał, nie mogła już mieć miejsca. Pogodził się z tym, że Kosteczka przestała być jego własnością. Zresztą, przecież nigdy niebyła.

– Masz rację – mruknął. – Chcesz kawy?... – Skąd wiesz, że lubię kawę?
– Oleg lubi. Pomyślałem, że wy wszyscy lubicie.
– Mhm. Wiem, że lubi. Ja też.

Popijali razem kawę, gdy przyszedł Olegoff. Był denerwująco przystojny. L. doskonale to zauważał; już nie mógłby go odróżnić od żywego człowieka. Widywał codziennie dziesiątki bladych, ale ten wyglądał inaczej, zbyt dobrze.

– Lutek, jesteś znakomity – powiedział Olegoff. – Nie znam przypadku, żeby ktoś powrócił tak szybko jak Anna – Marta. Bardzo się zaangażowałaś. Jestem ci bardzo wdzięczny.

– Ty? – zdziwiła się Kosteczka.

– Chyba się domyśliłaś – Olegoff spojrzał na nią tak, że lodowaty powiew ścisnął serce L.

– Nie zrobisz mu kawy? – zwróciła się do L. Mówiła spokojnie, z dystansem.

– Może już nie. Powinienem popracować.

– Masz rację. Czy powinniśmy już iść? – zapytała Olegoff a. – Dopij i pójdziemy.

L. był tak zdumiony, że nie odezwał się. Nie brał czegoś podobnego pod uwagę. Nie wiedział, jak zatrzymać Kosteczkę, choć bardzo chciał.

Już duszkiem dopiła swoją kawę.

– No, ale... – L. próbował nieśmiało wtrącić się.

– Dziękuję ci, Lutek – powiedziała, odwracając się, już w drzwiach.

Olegoff lekko otoczył ją ramieniem. To ramię tak boleśnie oddzieliło ją od L.

XXI

W nudne dni. L. mocno odczuwał samotność. Cała misterna konstrukcja jego otoczenia zwała się wraz z odejściem Kosteczki. L. czuł się bezwzględnie wykorzystany, potraktowany jako narzędzie przez Olegoffa. Najpierw został poproszony o przeprowadzenie z powrotem znajomej czy przyjaciółki Olegoff a, potem gdy przyzwyczał się do niej, jak do nikogo wcześniej – bo do tego, że zakochał się jak nigdy w życiu, nie chciał przyznać się nawet przed samym sobą, Olegoff po prostu przyszedł i zabrał ją ze sobą.

L. nigdy nie poznał kobiety tak dokładnie, każdy jej miesiąc, każde ścięgno; tak dziwnie. W miarę – upływu dni uświadamiał sobie coraz bardziej, jak mocno się zakochał. Po prostu potrzebował czasu, aby sobie to wprost powiedzieć, bo dotąd dla niego było to tak nieznanne i nie na miejscu.

Ale jakoś tak się układało. Najpierw stracił małego, niewidzialnego przyjaciela, potem stracił miłość, zanim sobie ją uświadomił.

Jednego był pewien cały czas: Olegoff powinien dostać w mordę. Obojętne, że wyższy i silniejszy; obojętne, że potem on mu dołoży; ale pierwszy cios będzie należał do L.

L. próbował wypytywać spotykanych białych, ale nawet nie wiedział, jak ona się nazywa. Nikt nie znał Olegoffa, przecież to nie było prawdziwe nazwisko. Starał się jak najdokładniej opisywać wygląd dziewczyny o ciemnobłękitnych oczach i wysokiego, opalonego, ciemnowłosego faceta. Już sam fakt opalenizny wyróżniał Olegoffa od wszystkich białych, ale nikt

z nich nie potrafił sobie przypomnieć. L. nie miał wątpliwości, że przynajmniej niektórzy z nich kłamali.

Wreszcie Olegoff sam przyszedł. Wyglądał denerwująco zdrowo; wysoki, silny, opalony. Nieźle zakotwiczył się już w tym świecie. Trudno byłoby wygrać walkę z takim przeciwnikiem, zresztą akurat w tym momencie L. nie był w nastroju do walki.

– Po co przyszedłeś?! – warknął. – Czego jeszcze chcesz?! Komu mam oddać następny kawałek mojego serca? Masz jakąś inną? Nie wystarczy ci Kosteczka?

Olegoff ciężko westchnął.

– Masz dużo racji w swoim gniewie – powiedział. – Tylko, że ja kochałem ją długi czas, a ty ledwie sobie to uświadomiłeś.

– Uważasz, że masz do niej aż takie prawo, że wolno ci było tak postąpić ze mną? Przecież to cholernie brutalne.

– Wiem, chociaż rzeczywiście tak uważałem.

– To po co jeszcze przychodzisz? Przecież dopiąłeś swego.

– To jest część mojej kary. Teraz to zrozumiałem.

– Kary?

– Tak. Nie mogę być z nią.

– Z nią?

– Tak. Ona do mnie także nie należała. Tu musi być inaczej między ludźmi.

– Widzisz, straciłem więcej niż ty – po chwili milczenia znów odezwał się Olegoff. – Dla ciebie to było krótkie zabujanie, a dla mnie kawałek życia. A tu długa szamotanina...

– Po co to wszystko było? – L. zwiesił głowę.

– Żeby ona powróciła.

– Już zniknięcie małego Poczwarota zraniło mnie, a teraz...

– Właściwie z tym przyszedłem – powiedział Olegoff. – Myślałem, że choć trochę cię to pocieszy...

– Tak?

– Z Poczwarotem nie jest całkiem tak, jak mówiłem poprzednio. Masz szansę spotkać Poczwarota. Później.

– Pogadać z nim? Chyba powinny rozplatać się tam wszystkie języki...

– No, tak, tak. Tylko znowu nie spodziewaj się zbyt wiele.

– To znaczy?

– Wiesz, jak łązi ci koło stóp taki kudłaty głupaczek, to jest fantastycznie, ale... on będzie mówił właśnie takie głupaczkowate rzeczy...

– Nie rozumiem.

– Jeśli mały ktoś, patrząc w ekran telewizora, wymrukuje czy wymiaukuje słyszana melodię, to jest czarujący, no nie?... Ale wysłuchiwanie godzinami potoku słabo powiązanych słów może udręczyć. Dlatego zwykle unikają tu kotów czy innych braci mniejszych.

– A Kosteczka? Czy ją też tam spotkam?

– Niewykluczone, ale spotka cię to, co mnie. Tu relacje między ludźmi są zupełnie inne niż u was. Pogódź się z tym wcześniej, bo poczujesz gorycz. Tak jak ja poczułem.

XXII

– Mówisz tyle, Olegoff, to powiedz, dlaczego coraz więcej was wraca, dlaczego akurat ja jestem tym, który to zauważa?

– Jednym z tych, którzy to zauważają. Bardzo pomogłeś i mnie, i jej. Oboje jesteśmy ci za to wdzięczni.

– Dlaczego wracacie?

– To zostało przecież napisane. Miało kiedyś nadejść.

– Koniec dziejów? Armageddon? Ale dlaczego nie tak jak wszyscy myśleli?

– Bo zmartwychwstanie to jest dar, ale każdy musi sam włożyć pracę, wysiłek i cierpienie, by z niego skorzystać. Myślę, że to też jest jakaś część kary. Dla każdego zachodzi to inaczej, niektórym towarzyszą Przewodnicy; dlatego myślę, że jest to zarazem część kary osobistej.

– Jej powrót był chyba dość łatwy?

– Tak. Ale dzięki twojej pomocy.

– No, to nie chodzi tu wyłącznie o karę – zauważył przytomnie L.

– Właśnie, wyłącznie. Pomagałeś akurat jej, bo widocznie dla niej ten etap kary był łagodniejszy.

– Dlaczego mówisz, że to część kary? Można też powiedzieć, że to konieczna praca, żeby zyskać nagrodę.

Olegoff badawczo przyjrzał się L.

– Wiesz, niektórzy z nas tutaj podobnie uważają – powiedział po chwili.

– Ja myślę, że to raczej kara.

– A ja? Dlaczego mnie to spotkało?

– Sam sprostales strachowi. Moze doczekasz zywy konca dziejow, nie wiem... – platal sie Olegoff.

– Jesli to prawda, to wracaja wylycznie nasi, nie widzialem wsród bladych ani muzulmanow, ani innych.

– Oni tez wracaja. Po prostu ich droga jest inna. Nie moga sie na razie z nami kontaktowac. Rodzisz sie w roznych czesciach swiata i spoleczenstwo okresla droge, ktora pojdziesz, i wymagania tej drogi. Zmiana tej drogi to takze zmiana wymagań. Nasza droga jest prosta, ale sa inne, dluzsze.

– A tacy buddyści, przeciez oni nawet nie wierza w osobowego boga? – L. nie byl zbyt mocny z filozofii, ale cos kiedyś czytala. – – A co oni chca osiagnac?

– Uwolnienie od cierpienia. Nieistnienie.

– Moze to wlasnie bedzie im dane? Wlasnie to, czego chca. – To ich pech.

– To nie moj problem – Olegoff wzruszyl ramionami. – Moj problem to jak zostane oceniony. Bo mam nie najlepsze przeczucia.

– Wiesz, Oleg – usmiechnal sie L. po raz pierwszy od dlugiego czasu, – Gdy tu przyszedles, mialem ochote dac ci w mordę.

– To dlaczego mi nie przylozyles? – Jesteś za wysoki i zbyt muskularny. Olegoff parsknal smiechem.

– I tak nie moglbym ci oddac...

– Cos takiego...

– Ale to trzeba gloscić, ostrzegac, wyjasniac... – wroutil do poprzedniego tematu.

– Sprubuj, i tak nikt nie uslycha – Olegoff wzruszyl ramionami. – Kazdy musi sam zrozumiec. Tylko agitatorzy wierza, ze potrafią kogokolwiek przekonac.

– Czy w ogole moga zrobic cos dobrego?

– W tym momencie, tak. Zrób mi kawę – roześmiał się Olegoff. –
Przepadałem za kawą i to mi zostało.

– A jak wygląda Poczwarot? – rzucił L., nalewając wodę do czajnika.

– Taki duży pers z długimi, jasnymi kudłami. Okropny leniuch i śpioch.

Kraków, listopad 1993

K. MIAŁ ZWYCZAJ...

K. miał zwyczaj drzemać po posiłku. Tak się przyzwyczał, że zaczął zasypiać już przed jedzeniem. Przez pewien czas wydawał na żywność znacznie mniej, potem zmarł.

Kraków, kwiecień 1993



AKT SZKICOWANY OŁÓWKIEM

I

Spotkał ją na ulicy, przypadkiem. Szła drugą stroną, ale poznał natychmiast. Równocześnie on skierował się ku niej i ona ku niemu. Minione lata nie zmieniły bardzo Maryli, przynajmniej oglądanej z odległości kilkunastu metrów. Obcisłe, wzorzyste majtko–spodnie podkreślały nadal zgrabne uda kulminujące w nadal foremnych chociaż szerokich biodrach. Luźna biała koszulka z jakimś dowcipno–anglosaskim napisem skrywała, czy te lata zniszczyły linię brzuszka Maryli. Obecnie tleniła długie włosy.

Zbyt zacięta twarz rozjechała się w wyraz kochanej zabki. Wymienili parę zdawkowych zdań i już szli razem – delikatnie stykały się ich ramiona. Niby przypadkiem, ale zawsze dłużej o sekundę niż powinny.

To niewiarygodne: wracając z pracy do domu Janusz spotkał poznaną przed dziesięciu laty nad jeziorem dziewczynę, choć ta mieszkała nadal o kilkaset kilometrów na północ od jego miasta. Wprawdzie nie wspominała o swojej sytuacji, ale czuł, że nadal jest wolna. Kiedyś ją stracił, bo nie powiedział właściwych słów we właściwym momencie – a raczej powiedział zbyt wiele niewłaściwych słów. Przez dziesięć lat nie zdążył zapomnieć tylko dlatego, że nie znalazł kobiety na całe życie – pozostał sam w ładnie urządzonej, za dużym mieszkaniu.

Spotkanie zburzyło jego plany na nudny wieczór, a ona też poszła nie tam, dokąd zmierzała. W chwilę później lekko trzymał ją w pasie, a ona to odwzajemniła, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Właściwie zawsze widziałam cię tak ubranego. W myślach widziałam.

– Przebierałaś mnie z dżinsów w garnitur?

– Starszego, solidniejszego. Pewnie dlatego, że i mnie lat przybywało.

– Wstyd powiedzieć, ale ja cię rzadko przebierałem w myślach. To znaczy rzadko do końca. Kończyłem na rozbieraniu.

– Musiałeś wyteżać wyobraźnię, aby wypełnić niespełnienie.

– Zostałaś poetką? – Ich spojrzenia się spotkały. Miała piwne oczy. Długie odrosty zbyt jasno tlenionych włosów. Właściwie była trochę zaniedbana.

– Gdzieś to czytałam.

– Nadal dużo czytasz?

– Ale już nie tyle, żeby nie mieć czasu na spotkania z tobą.

– Obraziłaś się na mnie, kiedy chciałem cię narysować na golasa. Właściwie nigdy nie rysowałem tak dziewczyny. Palnąłem, licząc, że może się uda i w ogóle. Byłem, oczywiście, idiotą, ale uświadomiłem sobie to niestety zbyt późno. Tak się traci miłość.

– Traci, ale niekoniecznie zabija. Dziś bym nie odmówiła.

Chwilę milczał jak zamurowany.

– Parę ulic dalej jest sklep dla malarzy. Potrzebuję sprzętu do spełnienia marzenia. Potem wpadniemy do mnie. I dogonimy czas.

Uśmiechała się.

– Nie dogonimy. To pomysł z dzisiaj, nie spełnienie niespełnionego marzenia. – Zająknęła się, bo trudno nie zająknąć się, wymawiając coś takiego. Podkreśliła to uśmiechem.

Właściwie wpadł w popłoch. Nie rysował od paru lat. Praca w banku spowodowała, że ekscytującym hobby stało się kolekcjonowanie pieniędzy. Rysowanie wydawało się stratą czasu.

– Nie chcę widzieć, jak mieszkasz. – Gdy się dąsała, opadające kąciki ust upodabniały jej ładną twarz jeszcze bardziej do żabki.

II

Trzydzieści kilometrów od miasta był zajazd czy hotel wiejski. Standard terenowy, podwyższony. Godzina jazdy pekaesem, bo w pracy wypił dwie szklaneczki koniaku; potem wynajęcie dwóch jedynek.

Zastanawiał się, jak ukryć przed nią wiążący się brzuszek, gdy nasyceni siedzieli na łóżku, popijając wino i nie próbując rozpleść łydek. Ostatecznie, nie spał się, to tylko mięśnie osłabły. Powinna przecież to zrozumieć. Przynajmniej łysiał tak, że nawet wysoka dziewczyna nie powinna tego zauważyć. Maryla była wysoką dziewczyną.

Nadal potrafiła spleść nogi niemal w kwiat lotosu. Oparła plecy o boazerię.

– Nie myśl, Janusz, że jestem taka. – To jednak ona bardziej chciała się tłumaczyć. – Dotąd to tylko z mężem – powiedziała, lekko odrzucając włosy do tyłu i przeczesując je dłońmi.



Walnął go piorun. Ale jeden z tych mniejszych.

– Co robi twój mąż?

– Pracuje w Niemczech. Na czarno. Zwykle saksy. Czasem przyjeżdża na święta.

Jedno z marzeń umarło.

– Za nasze spotkanie po latach. – Wzniósł toast. Wykosztował się na wytrawne Martini.

Stuknęła się kieliszkiem, ale upiła tylko mały łyżeczek i odstawiła na półeczkę.

– W tym niewiarygodnym dniu spełniania nieprawdopodobnego pora na następne marzenie – powiedziała. – Rysuj ten akt. Może być tak? – Uniosła ramiona w górę i wypięła się, opierając o ścianę i półkę w boazerii.

Niewiele z tego rysowania wychodziło. Janusz kreślił, mazał. Martini na przemian z Żytnią, na dodatek pite za szybko, odebrało pewność ręce i ostrość widzenia oku. Jej cierpły zbyt mocno zaplecione nogi.

– Co sądzisz o mojej figurze?

– Masz niezwykle piersi.

– Opadły po dziecku.

Znów mały piorun.

– Ale zawsze były za długie i za chude. – Wydęła wargi. – Nawet dziesięć lat temu.

– Świetnie wychodzą na rysunku.

– Rzeczywiście chciałeś mnie rysować? Wtedy i teraz...?

– Wtedy chciałem się z tobą ożenić, a teraz pewnie nic z tego rysowania nie wyjdzie, bo im bardziej próbuję wpatrywać się w ciebie...

– ...Tym bardziej rośnie ochota, aby odłożyć szkicownik i rozpleść mój kwiat lotosu – z uśmiechem dokończyła za niego.

Przysłonił się ręką.

– To najwspanialszy dzień od lat. Zupełnie różny od innych. Jestem dziś bliski szczęścia – powiedział.

– No tak, pan urzędnik bankowy wypadł ze schematu. Nie pracuje jak wół, to znaczy, jak co dzień. – Oglądała swoje paznokcie. Były długie, chociaż foremne; nie malowała ich.

– Ale w świetnym stylu wypadłem z tego schematu – uśmiechnął się zbójcko. Wypiął pierś i napiął mięśnie brzucha. Muskulatura wprawdzie

podupadła, ale nie było jeszcze całkiem źle.

– Zadzwoń do domu. Dowiesz się, jak sobie radzą bez ciebie – zaproponowała. W jej oczach igrały promyki zachodzącego słońca.

– Do domu? Kompletnie bez sensu. Przecież mieszkam sam. Nikt nie odbierze.

– Nigdy nie dzwoniłeś, wiedząc, że nikt nie odbierze...?

– Nigdy. Po co?

– Ja właściwie też nie. To zadzwoń.

Machnął ręką i uśmiechnął się. Wziął ze stolika aparat. Zero, miejski i domowy.

Zacwierkało międzymiastową. Następnie rozległ się sygnał. Po pierwszym chciał odłożyć.

– Zaczekaj na cztery dzwonki – powiedziała Maryla.

W trakcie czwartego sygnału ktoś podniósł słuchawkę.

– Tak, słucham. Kto dzwoni? – rozległ się niski, kobiecy głos.

Właściwie nie było to nieprawdopodobne. Jeden klucz awaryjnie trzymał sąsiad, chociaż nie zdarzyło się, aby z niego kiedykolwiek skorzystał.

– Janusz – odpowiedział.

– To dobrze. Nie zastałam cię tu. Gdzie teraz jesteś?

Januszowi kojarzył się ten głos z kimś z banku. Na pewno jakaś pilna sprawa, dlatego szukają go wieczorem.

– W Paportnej. Zajazd Pod Turem czy jakoś tak.

– Dobrze. To znajdę cię tam.

– A właściwie kto mówi? – spytał wreszcie.

– Śmierć.

Zakopane, marzec 1997

TRZEBA PRZEJŚĆ GROBLĄ

I

„Nie mogę uwolnić się od tego natrętnego dźwięku, sygnału karetki”, pomyślał M. Podskoki ambulansu na wybojach już odpłynęły w niepamięć. Uśmiechnął się do swojej myśli.

Karetką gnała po trawnikach i nierównych chodniczkach rozległego blokowiska. Nie był to reanimacyjny mikrobus, lecz mała jednostka transportowa o twardych resorach; szybko zorientowali się w sytuacji, kierowca włączył koguta.

– Zmień pan kwalifikację na wypadek – sanitariusz rzucił do niego. Przyśpieszyli, rezygnując z kluczenia w pajęczynie drózek osiedlowych. Bezpański pies pierzchnął spod kół.

Ojciec leżał nieruchomo, zakutany po szyję. Na głowę wciśnięto mu starą wełnianą czapkę narciarską z pomponem. Tylko taką udało się odnaleźć w jego zagraconym, zaniedbanym mieszkaniu. Ojciec od lat mieszkał samotnie. Mimo trzech prób, z żadną kobietą nie zdołał związać się na dłuższy czas.

Póki nie włączono sygnału karetki, M. słyszał chrapliwy oddech Ojca. Teraz trzymał w dłoni jego dłoń. Czuł, jak on leciutko odwzajemnia uścisk.

Zaraz za osiedlem skończyła się droga, ład urwał się pionowym klifem. Gdzieś w dole, w mroku, leniwe, smoliste fale uderzały w plażę z czarnego piasku.

„Żeby tylko kierowca nie zauważył braku drogi”, pomyślał M.

Zanim kierowca zdążył się zorientować, szczęśliwie dotarli na klinikę.

Ojciec leżał nieruchomo, tylko słaby uścisk dłoni upewniał, że jeszcze żyje. M. siedział obok łóżka szpitalnego, patrząc na Ojca. Czekał,

obserwował. Nie należało spodziewać się szczególnej aktywności lekarza. Przyjechali przecież w niedzielę, a tu nie było ostrego dyżuru.

Na sąsiednich łózkach tkwiło kilka nieruchomych ciał. Spod kołder zwisały worki nylonowe zbierające mocz. Leżący przy drzwiach sąsiad o zapadniętych powiekach, policzkach i wargach, oraz opadłej szczęce, bez wątpienia był trupem. Na kołdrze ułożono jego bladą rękę – widać było na niej karminowe plamy opadowe. Ktoś uniósł zwisające bezwładnie ramię martwego i ujawnił znamię śmierci.

Leżący bliżej pacjent miał wbity głęboko w gardło półprzezroczystą plastikową rurkę, oczodoły niknęły w cieniu, jakby oczy mu wyjęto. Też nie poruszył się ani razu. „Ten może być żywy”, pomyślał M. „Wargi i policzki się zapadły, bo wyjęto mu sztuczną szczękę. Gałki oczne ma, tylko że są małe, starcze”. W rurce usuwającej wydzieliny chorego regularnie podnosił się i opadał poziom brunatnej cieczy. „Oddycha”, ucieszył się M., chociaż pierś chorego nie unosiła się.

Na łóżku obok Ojca leżała na wznak ciemnowłosa kobieta w nieokreślonym wieku. Do pasa przykryto ją prześcieradłem. Na piersi założono jej elektrody elektrokardiografu. Wyglądała znacznie lepiej niż pacjenci na łózkach przy drzwiach. Mimo woskowej, żółtej cery nadającej jej wygląd posągu, można było powiedzieć, że kobieta jest piękna. Miodowy monitor pokazywał fluktuującą krzywą. Regularnie pykał głośnik.

„Jak można było tak ustawić łóżka”, pomyślał M. „Przecież pielęgniarki muszą kluczyć między nimi”. Gdy przechodził obok ciemnowłosej, jej spojrzenie śledziło go spod w półprzymkniętych powiek. Teraz nieruchomo patrzyła w sufit.

– Łełelele – powiedział Ojciec.

M. lekko poprawił jego głowę.

Ojciec spojrzał sennie. Jego powieki nie chciały się unosić.

M, nachylił się. Ojciec był silnym krótkowidzem. Odpowiedział mu spojrzeniem przestraszonego dziecka.

– Poznajesz mnie?

Ojciec skinął potakująco oczyma, ale zaraz je zamknął. Zaczął regularnie, cicho oddychać. Usnął.

„Będzie dobrze”, pomyślał M. Przez chwilę zamierzał wyjść po lekarza, aby powiedzieć, że Ojciec odzyskał świadomość. Po namyśle zrezygnował – przecież korytarz mógł być niezmierną rozpadliną. Zawsze trzeba wiedzieć, co aktualnie wolno zrobić. Przynajmniej pielęgniarki krzątały się w dyżurce, widocznej z sali chorych przez oszkloną ścianę. Jedna przeglądała jakieś wykazy, druga popijała herbatę. Co jakiś czas zamieniały się miejscami i czynnościami. Nie rozmawiały ze sobą.

Wystarczyło spojrzeć w innym kierunku, by twarz pielęgniarki bezpowrotnie uciekła z pamięci. Nawet gdy celowo się im przypatrywał, a następnie przymykał oczy, nic w głowie nie zostawało.

W kącie pokoju salowa prześcielała łóżko chorego o opuchłych jak walce nogach i rękach szczelnie owiniętych bandażem. Również jej twarz nie znajdowała miejsca w pamięci.

Ktoś zaciągnął suwak zamka przed oczyma M. We wnętrzu czarnego plastikowego worka zapanowała całkowita ciemność.

II

– Nie ma powodu dłużej go tu trzymać – powiedziała lekarka. – Właściwie nie wiemy, co się stało, ale obecnie stan wrócił do normy.

„Jakże go przetransportuję do domu?“, pomyślał M. „Drogi może nadal nie być. W krótkim czasie nie da się zasypać tak głębokiej rozpadliny, a pewnie nikt się jeszcze do tego nie zabrał“. A przecież niżej było morze o niezmierzonej głębokości.

– Miały być wyniki skaningu. – M. grał na zwłokę.

– Przecież panu mówiłam, że nie było kolejnego zawału. Są rozległe zniszczenia kory w porównaniu ze zdjęciem czerwcowym. To tyle. – Lekarka była już zniecierpliwiona. Nie lubiła dzielić włosa na czworo. Szczególnie w przypadkach beznadziejnych. Miała ładne, brązowe oczy i ciemnoszare włosy. Spoglądała spod współprzymkniętych powiek. Wiedziała, że wygląda za młodo i obawiała się, że przez to ktoś może nie traktować jej poważnie.

„Łatwo się domyślić, że rozpadlina odcięła sale po drugiej stronie korytarza“, pomyślał M. „Nie mają dokąd przenieść chorych z tamtych sal. Nie może mi przecież tego powiedzieć“.

– Taki epizod może się powtórzyć? – spytał.

– Oczywiście, w każdej chwili.

Trzeba więc zatrzymać tu Ojca jak najdłużej. Ostatecznie, chorzy z sal po drugiej stronie szczeliny mogą siedzieć na skraju klifu, nad brzegiem morza. Bryza zawiera wiele jodu, inhalacje też leczą.

Wrócił na salę chorych. Ojca przywiązano paskami do łóżka. Podobno targał pieluchy, rozrywał pidżamę, a rano boleśnie poranił sobie nos

paznokciami. Na szafce nocnej leżał skrwawiony kawałek ligniny, chociaż rany na nosie Ojca nie dało się zauważyć.

„Na twarzy nawet powierzchowne zranienia obficie krwawią”.

– Poznajesz mnie?

– No, pewnie – powiedział Ojciec. Jego głos nabrał dawnej głębi brzmienia.

– A pamiętasz wczorajsze?

Ojciec skinął powiekami. Ostatnio mówił mało.

– Byłeś cały czas świadomy?

Znowu potwierdzające mrugnięcie.

– Wiedziałem, że żyjesz. Cały czas czułem, jak ściskasz moją dłoń – powiedział M. – Specjalnie to robiłeś?

Ojciec przytaknął oczyma i zaczął bezgłośnie popłakiwać.

– Przez jakiś czas będziesz tutaj leżał. Trzeba wyjaśnić, co się wczoraj stało. Przy okazji cię podleczą. Był ktoś z wizytą rano?

– Tak.

– Z pracy?

Skinienie wzrokiem.

– Bukowiak?

– Oni po wojnie przenieśli się z Afryki.

– Ktoś jeszcze był? Ojciec zaprzeczył wzrokiem.

– Najważniejsze są długofalowe zależności... – reszta zdania przerodziła się w bełkot.

Znów suwak plastikowego worka zmienił pole widzenia w ciemność.

III

Sytuacja w szpitalu komplikowała się. Klif został poważnie nadwyrężony, dalsze osuwiska powodowały, że cofał się w stronę drzwi. Chorym z sal po drugiej stronie korytarza zabroniono siedzieć na skraju przepaści. Nawet chorym zabandażowanym w całości. Mówiono, że ktoś spadł do oceanu i nawet ciała nie dało się odnaleźć. Konserwator zabezpieczył skraj klifu drucianą siatką, bo w dodatku pojawiły się stada węgorzy płynących na tarło. Żarłoczne zwierzęta zręcznie wspinały się w górę stromą powierzchnią klifu. Podobno dotkliwie kąsały, jeśli kto siedział ze zwieszonymi nogami.

„Jakże to węgorze, skoro nie mają ani oczu, ani skrzeli. Ani też płetw. Tylko rozżarte paszcze z ostrymi zębami na końcu glistowatego cielska”.

Lekarka szybko wychodziła, jakby chciała uciec przed M. Była drobna i miała zbyt długie stopy.

– Zrobimy dodatkowy test gastrologiczny – rzuciła ku niemu z korytarza i pośpiesznie pożegnała się.

Ona po prostu chodziła w płaskich pantoflach gimnastycznych, miała stopy normalnej długości. Przy ścianie stał wózek ze zwłokami nakrytymi prześcieradłem. Na prześcieradle, w okolicy podudzi i stóp leżącego, zaschły brunatne plamy.

„Zagryzły go węgorze. Pewnie się wykrwawił”, pomyślał M.

Ojciec mozolnie skubał skraj pidżamy. Zbyt niedbale przywiązano mu prawą rękę. Do kroplówki, szczęśliwie, nie mógł dosięgnąć. Podobno dziś rano znowu ją sobie wyszarpnął.

M. usiadł przy łóżku. Ojciec spojrział na niego przytomnie. Nie odezwał się jednak. Zaraz zamknął oczy. Przestał drzeć tkaninę. Znowu spojrział na M.

– Po co tak to skubiesz? Potem trzeba zszywać.

Ojciec spojrział na niego bezradnie. Pozwolił przykryć się pod szyję.

– Coś dzisiaj nie chcesz mówić. Zamyśliłeś się.

– Zaniemyśliłem się.

– Zaniemyśliłeś się?

Ojciec zaczął się bezgłośnie śmiać. M. chciał mu opowiedzieć swoją ostatnią przygodę z pociągu, ale udaremnił to zaciskający się suwak.

IV

– Proszę zaczekać na korytarzu – powiedziała pielęgniarka. – W tej chwili lekarz bada nowo przyjętą chorą.

Po korytarzu należało chodzić ostrożnie, starannie omijając mroczne dziury w parkiecie, pod którymi ziała otchłań. Jeśli klif cofnął się jeszcze bardziej, to całe pudło szpitala może w każdej chwili przeważać się i runąć w przepaść.

„Pewnie utykają czymś dziury na sali chorych i dlatego każą czekać”, pomyślał M.

Łóżko z nowo przybyłą tarasowało wejście. Jej rzadkie, siwe włosy przypominały watę cukrową. Nieruchomo patrzyła w sufit, a usta miała otwarte. Wokoło pacjentki bez przerwy krzątało się kilka osób. Wśród nich brakowało znanej mu lekarki.

„Od razu ustawili ją przy wyjściu”, zauważył M. „Widocznie nic dobrego nie wynikło z badania”.

Wreszcie zdecydowali się wpuścić go na salę. Podłoga była w wielu miejscach przykryta deskami. Niektóre z nich lekko drgały, jakby popychane paszczami prących w górę bezokich węgorzy.

Ojciec przywiązany do łóżka bezradnie zerkał na M. Kroplówka się skończyła, ale pielęgniarka pozostawiła w żyłę wenflon. Na drugim przedramieniu miał kilka rozległych, sinych wylewów.

- Skłuli ci te ręce – powiedział M.
- Ee... – skrzywił się Ojciec, że to niby bez znaczenia.
- Chcesz trochę babki? – M. podał mu plasterek babki piaskowej, nie za słodkiej i nie za wiele. Ojcu groziła przecież stale cukrzyca.

Nie zareagował.

– Chcesz tej babki?

– Tak – powiedział z wysiłkiem, ale głośno i dźwięcznie.

Przełknął pierwszy kęs i drugi, do następnego nie otworzył ust, zerkając na M.

– Niedobra?

– Do dupy.

M. uśmiechnął się. – To zostanie na potem.

Ojciec wpatrywał się w niego badawczo. Złudzenie: mając minus pięć w obu oczach, nie mógł widzieć twarzy M. wyraźnie. „Gdzie przepadły jego okulary?” pomyślał M.

– Jacy są chorzy na tej sali? Nie przeszkadzają ci? – Nie było przecież sensu niepokoić go informacjami, że podłoga jest podziurawiona jak ser, a te dziury sięgają gdzieś do nieskończoności.

– To nie jest kreatywne towarzystwo.

– Noo, ty dzisiaj dobrze mówisz. Trenuj, Tato, mówienie.

Ojciec rozejrzał się wokoło. – Kiedy przyjechaliśmy do Warszawy? – spytał ośmielony.

– Tato, nie jesteś we Warszawie. Leżysz na neurologii, bo zasłabłeś w niedzielę. Zostaniesz tu jeszcze parę dni. Przy okazji wybadają cię całego. Raz na pół roku warto się przebadać.

– Dobrze.

– Pójdę już – powiedział M.

Ojciec skinął głową. – Pozdrów wszystkich warszawiaków – rzucił za nim.

„Przecież nie mówiłem mu o tym napadzie w pociągu z Warszawy. Czy on się domyślił?”

Lekarka miała poranione stopy. Starła się ukryć bandaż, nadmiernie podciągając za krótkie skarpetki. Nie zabandażowane płytsze draśnięcia sięgały wyżej na łydki.

„Ona musi często przechodzić korytarzem. Nie opędzi się od węgorzy”.

– Jutro już będzie przygotowana grobla dla pana – oznajmiła. – Może pan odebrać swojego tatusia. – Kiedy starała się być szorstka, wychodziło to mało przekonująco. Zauważała to i złościła się naprawdę. A to, że jej się przerywa, a to, że nie słucha się dość uważnie jej wypowiedzi. Teraz jej słowom towarzyszył grymas bólu, którego nie mogła przecież okazywać, gdyż poznano by, że nie jest zdolna do pracy i odesłano do domu, a obecnie ze szpitala wyjść się nie dało.

M. widział sypanie grobli – strach było iść czymś takim: ziemia osuwała się, zbyt strome ściany groziły zawaleniem.

– Przecież do jutra nikt nie zdąży wywalcować korony tej grobli.

– Nikt nie będzie jej walcował. Czy wie pan, ile by to kosztowało? Ziemia szybko sama osiada.

– Mój Ojciec wyjątkowo późno poszedł na emeryturę. Płacił składki ubezpieczeniowe dłużej niż inni chorzy.

Lekarka zmilczała. Nie musiała nic dodawać, nadeszła pora na plastikowy suwak.

V

Ojciec leżał pod kroplówką. Przykładnie skrępowany rzemieniami, nawet nie próbował swojej codziennej działalności.

M. ucałował go w czoło.

– Wiesz, gdzie jesteś? – spróbował.

– No pewnie. Na neurologii w Krakowie.

– Tato, znakomicie. – Twarz M. rozjaśniła się.

– Otwarły się wrota – powiedział Ojciec i zapłakał swoim sposobem: bezgłośnie i bez łez. Tylko powieki mu poczerwieniały.

– Pamiętasz, jak w zeszłym roku byłeś nad Amazonką?

– Tak – Ojciec mówił z wysiłkiem, słowa wydobywał niewyraźne, bełkotliwie, w zbyt długich odstępach. – Spałem na plaży. Bałem się, żeby mnie nie okradli... – Po ostatnich słowach rozpłakał się w głos.

Jego łóżko przesunięto bliżej drzwi. Na starym miejscu ziała mroczna dziura, z której wiało chłodem. Jeszcze nie nakryli jej deską.

– W zeszły wtorek byłem w Warszawie – zaczął M.

Ojciec znów patrzył z zainteresowaniem. Do końca nie było wiadomo, ile z tego rozumie.

– Wyobraź sobie, że mnie napadli.

Ojciec uniósł brwi, ale jednocześnie cofnął zuchwę, czyniąc cały grymas niezrozumiałym.

– Jak wracałem, w nocnym pociągu... – M. uśmiechnął się do niego – ...koło Radomia wtargnęli trzej faceci z brzytwami. Puścili mnie w slipach. Zabrali forszę, dokumenty i nawet całe ubranie. – M. roześmiał się na głos. – Napadli mnie, bo jechałem w pustym przedziale. Całkiem sam. Potem

spisali protokół na policji i na tym się skończyło. Sokiści z psami patrolują ten pociąg dopiero koło Kielc.

– Ty nic nie pisz, tylko powiedz Marii, żeby kupiła gęś.

– Na święta? – domyślił się skołowany M.

– No, pewnie – Ojciec wypowiedział te słowa dosadnie. Spojrzał stanowczo. – Niech ją upiecze i będziemy jeść... – Następne słowa przetworzyły się w bełkot.

Nie było sensu ich słuchać. Lepiej skryć się za suwakiem.

VI

M. siedział strapiony na łóżku Ojca. Ten spał, jak zwykle, na lewym boku z dłonią podłożoną pod policzkiem. Leżał cichy i nieruchomy.

Grobla była wyjątkowo wąska, z pewnością z tego powodu osypywała się. „Przecież są jakieś reguły sypania gruntu”, pomyślał M. zirytowany. Co chwila małe lawinki czarnej ziemi osuwały się ku mrocznej tafli oceanu. Widać było nieregularną, ciągle zmieniającą się mozaikę jasnej piany. Tu było zbyt wysoko, by usłyszeć fale.

„Żaden wózek po tym nie przejedzie”, pomyślał M. „Koła natychmiast utkną w sypkiej ziemi”.

M. wyszedł na korytarz szpitalny. Ciemność była tu niemal zupełna, jeśli nie rozjaśniało jej światło dochodzące z sali chorych.

„Niebo całkiem czarne. Czy to okna szpitalne oświetlają tę pianę na falach? Jak znaleźć drogę w ciemności? Przecież nawet grobla zniknie w mroku... Jeśli nawet uda się go podnieść i poprowadzić, to dokąd iść? Jeden fałszywy krok i osuniemy się w grzędawisko na skraju morskiej głębiny, albo wprost w toń”.

Ujrzał jakby światełko. Nie za wysoko, tak na ich wysokości, ale daleko. Prędko się zbliżało.

Motyl, nie motyl – trzepotało błoniastymi skrzydłami. Było wielkości gołębia, ale frunęło jak zawisak czy ważka.

„Ten fruwały stworek ma przecież ludzki korpusik!” zauważył.

Wysunął ramię przed siebie. A nuż usiądzie na nim. Najwyżej pokąsa rękę...

Wylądowała, złożyła skrzydła i usiadła na grzbiecie dłoni, krzyżując podudzia. Małeńka ludzka postać. Dziewczyna, tyle że cała – prócz twarzy, dłoni i stóp – porośnięta włoskami. Zresztą te włoski wyglądały jak zgrabny sweterek i spodnie z dzianiny. W ręce trzymała lampion, który wcześniej stanowił ten świetlny punkt w oddali. Skręciła knot. Światelko przygasło. Już nie oślepiało. Spoglądała wyczekująco na M.

Ten, przybliżając dłoń do oczu, obejrzał małą postać z różnych stron. Gęsta powłoka włosów udatnie naśladowała odzież. Nawet golf od sweterka, nawet końce nogawek i kieszenie w spodniach.

Ona przyjrzała się mu przeciągle i skrzywiła buzię w uśmiech. Miała duże oczy o ciemnożółtych tęczówkach. Z pewnością nie była człowiekiem, lecz istotą człekopodobną. Oczy przecież za duże, przedramiona i ramiona zbyt szczupłe, podobnie uda i podudzia, choć miała piękną dziewczęcą buzię.



- Może się przedstawiś – odezwał się.
- Przecież widać. Jestem Wróżką o Miodowych Oczach. Może dam radę oświetlić waszą drogę. Lampion jest dość wydajny.
- Zostałaś skierowana przez szpital?
- Nie przez szpital. Firma Ojca mnie skierowała. – Złożyła teraz skrzydła inaczej: nie jak motyl – nad grzbietem, lecz płasko na plecach –

jak ćma.

– Inne wróżki nie chciały przylecieć?

– Była jeszcze jedna, ruda, kędzierzawa, ale to nie była jego wróżka. Powiedziałam jej o was, ale ona nie przyleciała. Tylko ja z nim odejdę, jeśli on musi odejść. Innym powrót na razie nie grozi, lekarka nie nalega na wypis. No, więc idę za nim.

– Każdy ma wróżkę, która odchodzi, kiedy on musi iść?

– Nie każdy, ale Ojciec miał.

Mówiąc, zbytnio pochylała się do przodu i jak mały ptaszek przekrzywiła głowę w bok.

– Nie garb się – zauważył M.

Uśmiechnęła się ciepło. Jej oczy miały kolor ledwie jasnego miodu, nie spadziowego.

– Trochę się garbię, bo jestem za wysoka.

– Za wysoka...? – M. wyszczerzył zęby w uśmiechu, – No, tak. A powiększona do twojej wielkości, byłabym za chuda.

– To tym bardziej się nie garb.

Mówiła wysokim, ale przyjemnym, nie piskliwym, głosem.

– Pewnie przy mojej wielkości miałabyś za niski głos.

– Jasne, skoro tak twierdzisz.

– Masz owadzie czułki? – zwrócił uwagę na wyrostki nad jej czołem.

– Skądże. Włosy tak ułożyłam na żelu. Będąc mojej wielkości i latając na błoniastych skrzydłach, wypada wyglądać choć trochę owadzio. Ludzi mniej irytuję.

Zauważył ciemniejsze odrosty na jej główce.

– Rozjaśniasz włosy.

– Widać? – spłoszyła się.

– No, trochę.

– Płukam w ziółkach. Myślę, że jasne lepiej pasują do miodowych oczu. Zresztą, ta ruda dopiero wyprawia cuda ze swoimi włosami. Nikt nie wie, jaki mają naprawdę kolor.

Umilkła na chwilę.

– Długo jeszcze będziesz wypytywał o mój wygląd? – zagadnęła wreszcie.

– Dziwisz mi się? Pierwszy raz widzę skrzydlatą dziewczynę.

– Jak komu skrzydła nie urosną do czterdziestki, to już nigdy. – Roześmiała się.

– Tobie urosły.

– Nie przesadzaj... Jeszcze mi daleko do czterdziestki. Ale zawsze dobrze się uczyłam. Najpierw byłam dobrą uczennicą, potem dobrą studentką. Nauka przychodziła mi z łatwością.

– Z dziewczynami tak często jest, chociaż później też często mają kłopoty. Wcale nie wyglądasz za chudo, wyglądasz ładnie. Ta szczupłość jest odpowiednia dla motyli i dla wróżek.

– Dziękuję. Już pora, żebyśmy poszli.

– Ale Ojciec śpi. Gdyby miał dość siły, żeby iść, toby się zbudził.

– To gdzie ja się schowam przed węgorzami? – stropiła się.

– Polują na ciebie?

– Jeszcze gorzej. Niektórzy wędkarze niedowidzą i łapią wróżki jako przynętę dla węgorzy. To okrutna śmierć, zostać nadzianym na hak.

M. pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Już wiem! – rzekła z mocą wróżka. Skręciła całkiem płomyk lampionu i rozpostarła skrzydła. Sfrunęła z jego dłoni prosto w ciemność.

Był prawie pewien, że przycupnęła na ziemi, gdzieś przy nogach łóżka. „Żeby jej tylko przypadkiem nie rozdeptać”, pomyślał. „To takie kruche i bezbronne stworzenie”.

Niepokój przerodził się w ból. Najpierw tępy w klatce piersiowej, potem w serię uderzeń bólu w brzuch i jelita.

„Jak schować się pod suwak?”

Ciemność przyszła sama, bez suwaka.

VII

Ojciec co chwilę otwierał lub przymykał oczy. Jego łóżko ustawiono już przy samych drzwiach – każdy z sąsiadów z pewnością był trupem. Wszystkim im szczęki opadły, półotwierając usta. Oczy, wyglądające przez szparki przymkniętych powiek, zmętniały. Śledzące ich monitory rysowały płaskie miodowe linie i cichutko, równomiernie piszcząły. Bliższego ktoś przewrócił na brzuch, odsłaniając plecy pokryte rozległymi plamami opadowymi. Plamy drugiego ujawniały się na ramionach i na odsłoniętych łydkach.

„Chyba nie przywieźli nikogo nowego, skoro tych jeszcze nie odłączono od aparatury”, pomyślał M.

Ciemnowłosa siedziała na łóżku, jakby chciała zebrać się do wyjścia. Kurczowo ścisnęła dłonią prześcieradło, może chcąc nim lepiej zasłonić podolek, jednocześnie wysuwając za łóżko szczupłe podudzia. Wyglądała jak posąg siedzącej kobiety – cała jej skóra miała barwę wosku. Elektrody pozsuwały się, zostawiając nieznacznie ciemniejsze krążki na skórze. Niektóre zwisały na drutach pod łóżkiem. Kobietę podparto wysoko ułożoną poduszką. Niestety, nowa poza ujawniła na jej plecach i na podudziach karminowe znamiona. Podobnie jak plamy opadowe, jej stan zdradzała opadnięta szczęka.

„Nawet ona już nie żyje”, westchnął M. Jej łóżko stało dziś na poprzednim miejscu Ojca. Łóżka w tym szpitalu przestawiano z żelazną konsekwencją.

– Ona była z nami – powiedział Ojciec, widząc, że M. zerka na siedzącą sąsiadkę.

- Pomogłaby nam pójść...?
- Poszłaby z nami, ale ją zatrzymali. Ona zbyt nas kochała.
- Czy zabraniają pomagać także z innych powodów?
- Nie, chociaż czasem mówią co innego. Naprawdę, to zabraniają tylko wtedy, gdy ktoś za bardzo kocha.

Wróżka gdzieś się zawieruszyła. Przynajmniej w sali było jasno. M. wyjrzał na korytarz szpitalny: tam, niestety, żadne światło nie rozbijało mroku. Grobla ginęła w ciemności. „Dzisiaj trzeba już tam pójść”, westchnął M. „Nie da się uzasadnić dalszego pobytu Ojca w szpitalu”.

Lekarka nie pojawiała się. Zresztą, czy ona wyraziłaby zgodę na wyjście Ojca? Wprawdzie ostatnio nalegała na wypis, ale gdyby doszło co do czego, to może wbrew rozsądkowi piętrzyłaby trudności?

- Spróbujesz wstać? – spytał M.
- Tak – powiedział Ojciec z wysiłkiem, by jak najstaranniej wypowiedzieć to słowo. – Ale ty nie uciekaj pod suwak – dodał, jakby podwijając wargi, by wyszło bardziej zrozumiale. Leżał na lewym boku, z dłonią pod głową.

M. spróbował go przesunąć. – Nie będę uciekał – powiedział.

Ojciec skrzywił się, miał odleżynę na lewym biodrze.

- Boli cię?
- Jak cholera – znowu ta dziwna wymowa, kiedy jego wargi jakby zawijały się do wnętrza ust.

M. opuścił nogi Ojca z łóżka. Obok stały sandałki plażowe, granatowe plastikowe wsuwki z napisem „Zico”. M. założył je na stopy Ojca. „Trzeba obciąć mu paznokcie”, pomyślał. „Ale dopiero po namoczeniu, znowu wyrosły te żółte szpony”.

Musiał teraz Ojca podnieść, by ten usiadł na łóżku. M. podtrzymywał bezwładne, ciężkie ciało, gdy przechylało się do tyłu. Ojciec zamykał oczy

i otwierał je znowu.

– Słyszysz mnie? – spytał M.

Ojciec uniósł powieki. – Tak. Pora... iść... – mówił z przerwami.

„Jak trzeba, to nikogo nie ma w pobliżu”, pomyślał M., rozglądając się za salową. W dyżurce pielęgniarek było ciemno.

Ojciec pochylił się do przodu, próbując wstać. M. podtrzymał go, a następnie spróbował podnieść pod ramię. Udało się to nieoczekiwanie łatwo. M. przytrzymał kiwającego się Ojca, nie chciał, by ten runął na plecy.

– Jesteś ciężki.

– Ważę za mało.

– Teraz ważysz tyle co ja, siedemdziesiąt osiem kilo.

– Ale powinienem ważyć z dziewięćdziesiąt, prawda...? – Ojciec spojrział na M. porozumiewawczo, ale zaraz wlepił niewidzący wzrok w swoje stopy.

Najpierw wysunął lewą, zaraz potem prawą. M. zdziwiła jego sprawność. Powłócząc nogami, trzymany pod ramię, Ojciec stawiał krok za krokiem. Mocno uchwycił oparcie mijanego łóżka. Badawczo spojrział na nieruchome ciało nakryte prześcieradłem. Przez płótno przesiąkły bladoróżowe plamy w miejscu oczu, ust i kroku.

– Siwa mocno śpi – powiedział Ojciec.

Zwłoki były przeznaczone do wywiezienia, bo monitory już odpięto. Ciało mocno przykrępowano do łóżka skózanymi paskami, które nieco zsunęły prześcieradło, wydobywając kosmyk siwoszarych włosów.

– Na korytarzu będzie ciemno. Musisz stąpać uważnie. – M. trzymał Ojca pod ramię. – Nie możemy spać z grobli, bo nas pożrą węgorze.

Nisko, na wysokości kolan, rozległ się twardy furkot owadzych skrzydełek. Wróżka przyfrunęła bez lampionu. Uderzenia były mocne,

jakby metaliczne, czasem skrzydełka zawadzały o nogi, drapiąc w skórę.

– Przynieś lampion – powiedział do niej M. – Tak nam nie pomożesz, w korytarzu jest całkiem ciemno.

Furkot oddalił się i umilkł. Grobla była jeszcze dość widoczna w świetle wpadającym z sali szpitalnej. Jej koroną wiodła ścieżka wydeptana w szarej, gąbczastej trawie, z której, jak zawadzić butem, sypał się proch. „Mech jaki czy co...?“, pomyślał M.

– Woziłem cię wałami Rudawy – powiedział Ojciec.

– W wózku? – domyślił się M.

– No pewnie. – Ojciec szedł wolno, nie osuwał się M. przez ręce. Od paru miesięcy nie udało mu się przejść tylu kroków.

Ścieżka na grobli zwężała się, bo każdy krok podnosił niewidoczną chmurę pyłu, który gryzł w usta.

– Wróżka się nie zbliży. Wypatruj jej – powiedział Ojciec.

– Musimy uważać na węgorze. W ciemności z pewnością przechodzą przez groblę.

– Im smakuje ta trawa. Nas zaatakują tylko przypadkiem.

„Trzeba iść, nie podnosząc kurzu zarodników“, pomyślał M. „Wtedy każda napotkana dusząca chmura będzie sygnałem, że węgorze żerują w pobliżu“.

Niby odległe latarnie uliczne, drogę oświetlały im teraz snopy światła docierające z mijanych sal szpitalnych. Oddalili się od nich już bardzo.

– Gorsze wyjdą z ziemi. Wykopią się. Na te trzeba uważać.

– Węgorze?

– Podobne.

– Trudno je będzie nawet zobaczyć.

– Jeszcze szpital świeci.

– Czym nam grożą?

- Gryzą po nogach, jak cholera.
- Jesteśmy bezbronni. Przecież nie mogę cię puścić, bo upadniesz.
- Trzeba je deptać, póki całkiem nie wylazły z ziemi. Jak wyleżą, już jest za późno.

– Przydałaby się Wróżka.

– Odnajdzie się.

Rząd światełek szpitala w oddali przypominał punkciki. Jednak słaba poświata wydobywała groblę z ciemności. M. poczuł mocne ukłucie w nogę, wokół którego rozeszła się fala gorąca.

– To jest przeciwnik. Ugryzie i odleci – powiedział Ojciec.

M. zaczął mocno stawiać nogi, by deptać niewidocznych przeciwników. Nie został ukąszony po raz drugi.

– Co nas atakuje? – spytał M.

– Tabletki.

VIII

Ciemność była tu atramentowa. W dole kłębiły się cielska węgorzy. Światło dochodziło właśnie stamtąd, korona grobli pozostawała w całkowitym cieniu. Z rzadka żywym ogniem przypiekały ukąszenia przeciwników. Nie dało się tego uniknąć, tupanie nie pomagało: może tym sposobem M. zabijał ich dziesiątki, jednak pozostałe tabletki atakowały nieustannie. Ojciec powłóczył nogami.

Wróżka trzymała się od nich z daleka. Widać bała się wychodzących z ziemi stworów. Ognik jej lampionu migotał w oddali, ułatwiając odnaleźć kierunek.

Tutaj grobla wyglądała solidniej, przypominała nasyp kolejowy: strome zbocza porastały bujne krzaki, ich suche gałęzie dziko celowały we wszystkich kierunkach. Ile jeszcze do jej końca? Może te krzaki zwiastowały kres.

– Zaraz będą jeszcze gorsze. – Ojciec machnął wolną ręką. – Te kłują w brzuch.

– Trochę tu szerzej. Trudniej spaść ze ścieżki.

Jego słowa przerwał szmer w krzakach. Jeden, a potem drugi węgorz przewinęły się przez koronę grobli. Na szczycie bezokie pyski skierowały się to w jedną, to w drugą stronę, poniuchały, wreszcie zsunęły w krzaki po drugiej stronie.

M. zatrzymał Ojca, póki oba potwory nie zniknęły w ciemnościach.

Trzeciego nie zobaczył. Wir, pęd i bardzo mocny cios w brzuch. Ostrze musiało wylądować głęboko w trzewiach. M. zgiął się, osuwając na ziemię. Świadomość prawie uciekła, zatoczył się i runął w dół. Spadał coraz

szybciej, osuwając się zboczem. Kolczaste gałęzie czepiały się skóry i odzienia. Potoczył się, wreszcie utknął zaplątany w zarośla.

Leżał w krzakach, nie mogąc się poruszyć. Czuł, jak w całym ciele wzbierają fale bólu, trzęsły nim dreszcze, ciało przenikał mróz.

„Ten atak był najgorszy”, pomyślał M. „Żeby tylko Ojciec się nie przewrócił...”.

Na twarz opadła mu wiązka kabli elektrokardiografu. M. mocno uchwycił je garścią i podźwignął się na nich. Pozwoliło mu to powstać na równe nogi. Dalej wydobywać się z zarośli na stromym nasypie było już łatwiej. Podchodzić, ciągnąc za pęk kabli, też się dało.

Wolną ręką przycisnął ranę. Pod palcami czuł lepłą ciecz. Mocno zgarnął rozciętą koszulę. Pomogło: jakby wcisnął ból w głąb siebie. Może dalej ciekło, ale siły wróciły. Spojrzał na kiwającego się Ojca. „Dobrze, że się wtedy nie zatoczył”, pomyślał. „Nie zdołałbym go ochronić przed upadkiem do oceanu”.

To nie był atak węgorza. Wirujący obiekt oddalił się. Jeśli zmierza do szpitala, pokieroszuje personel – chyba nie został tam ani jeden żywy pacjent. Ból słabł. M. ruszył przed siebie. Mozolnie stawiał nogę za nogą. Chyba przestało ciec z rany. Wytarł palce z lepkiej cieczy. Ramię Ojca dawało wsparcie, pomagało iść.

– Wiedziałaś, że zaatakuję?

– Tak, zastrzyk domięśniowy był w grafiku. Tu są już krzaki. Można w nich poleżeć, to cię nie zauważą.

Suwak zaciskającego się zamka wciągnął nieco kolczastych gałęzi do środka.

IX

Grobla wznosiła się niezbyt stromo, lecz równomiernie. Iść było teraz trudniej. Narastający masyw zasłaniał resztki światła. Jawił się jako jednolicie czarny.

– Ciemnowłosa nadal nam pomaga. Na przewodach jej elektrokardiografu wyciągnąłem się z powrotem na groblę.

– Tobie pomogła, ale dla niej samej elektrokardiografu zabrakło.

Jedno po drugim, groblą toczyły się koła – każde z nich z dwiema trójkami nóg sterczącymi w obie strony z piasty. Wirując, nogi wymierzały w powietrze bardzo mocne kopniaki. Jednak aby ich uniknąć, wystarczyło się nie zbliżać, bo nie zbaczały z trasy, tocząc się po prostych liniach.

– Zastrzyków trzeba unikać – wyjaśnił Ojciec.

– Ledwie przetrzymałem jeden – powiedział M.

– Dostałeś ich szesnaście. Prawie wszystkie w brzuch. M. uświadomił sobie, że jego trzewia stanowią mapę bóleści. Trudno było tam znaleźć niepokancerowany fragment.

Weszli w cień grobli. Ogarnął ich pełny mrok.

– Póki idziemy pod górę, zastrzyki będą nam zmierzać na spotkanie. Na dodatek nie zdołamy ich wypatrzyć i w porę się odsunąć.

– Może znowu przyleci Wróżka. Przestraszyła się węgorzy.

– Mamy tu czekać?

– Lepiej nie. Grobla się rozpada. Fale ją rozbijają. Stale nasiąka wodą. Usypali ją i pozostawili, nikt tego nie konserwuje.

– Tak stromo tutaj, węgorze nie będą się pchały. Zupełnie nie widać drogi. – M. sięgnął przed siebie ręką jak ślepiec. Ból szarpnął w boku.

Warto było jednak, bo trafił dłonią w wiszące przewody elektrokardiografu. Schwycił je garścią.

– Ona znowu jest tutaj – szepnął.

– Szczęściarzu – mruknął Ojciec. – Ryzykuje dla ciebie.

Izolowany przewód napiął się. Ktoś niewidoczny lekko pociągnął ich do przodu.

Wolno, krok za krokiem, ruszyli. Kiedy nieznana siła ściągała ich nieco w bok, zorientował się – odsunął Ojca i obaj zrobili miejsce dla rozszalałej tarczy. Tylko na tabletki nie było sposobu – co chwilę paliły w łydki. Ale do tego bólu akurat dało się przywyknąć.

Znowu uniknęli toczącego się w dół koła. Przeszło obok niegroźnie, tylko pęd powietrza rozwiął im włosy. M. instynktownie złapał się za bok. Zaraz potem stoczył się następny zastrzyk, i jeszcze jeden, i znowu.

X

Grobla nie wznosiła się już, lecz kończyła wierzchołkiem, potem ostro opadając w dół. Dalej jej nie usypano. „Tyle wysiłku na nic”, westchnął M. „Trzeba będzie wracać do szpitala”.

– Spróbuj ostrożnie zawrócić. – M. przytrzymał Ojca, próbując go obrócić. Dotąd nie zauważył, że ten idzie o własnych siłach.

– Przeszliśmy już całą groblę. Udało się – powiedział Ojciec.

M. rozglądał się niepewnie. Spojrzał na Ojca.

– Idź w kierunku skrzydlatych – powiedział Ojciec i wskazał ręką za siebie. Był młody, opalony i szczupły, uśmiechnięty. Takiego Ojca M. nie pamiętał. Zresztą może nigdy Ojciec aż tak dobrze nie wyglądał – całe życie przecież miał kłopoty z otyłością.

– Już zdołałem cię przeprowadzić...? – spytał M.

– To ja przyszedłem przeprowadzić ciebie przez groblę, nie ty mnie. Trzeba cię było przyzwyczaić.

– No, jakżeż...?

– Wtedy w pociągu z Warszawy zabili cię, nie tylko obrabowali.

M. stał, niezdecydowany. Nie czuł zdumienia, mógł się przecież spodziewać czegoś takiego.

– Każdy przechodzi groblą...? – spojrzał z ukosa.

– Niewielu. Niektórzy osuwają się po ziemnym zboczach, przed innymi ziemia się rozstępuje i też lądują w oceanie. Spadniesz do wody, to węgorze nie muszą cię nawet wywąchiwać, żeby znaleźć i powlec ze sobą.

M. rozejrzał się wokoło. Nie widział żadnej dalszej drogi, oprócz przebytej grobli, gdzie groziły węgorze, tabletki i zastrzyki.

W uszach narastał twardy, jakby metaliczny furkot skrzydełek wielu wrózek, dziesiątek wrózek. Nadlatywały ich chmary: urocze latające istoty w białych, złotych lub barwnych strojach, o różnokolorowych włosach; jedne były fruującymi ludźmi, inne chyba istotami z bajki. M. rozpoznał wśród nich swoje wróżki. Ich trzepoczące skrzydła siały skry żółtego blasku. Światło potężniało, układając się w wirujący, jasny strumień. Mrok oddalał się, jakby zalękniony eksplozją blasku. Promienie światła wydobywały stopnie wznoszące się w powietrzu. „Mam tędy stąpać...?“, pomyślał zalękniony M. „Nawet nie ma barierki“.

– No, idź tam już. – Ojciec wskazał na ułożone z powietrza schody do nieba. – Inni też czekają na ciebie.

Oboje rodzice stali obok siebie, młodszy i piękniejszy niż na zdjęciu z ich ostatnich wspólnych wczasów nad morzem.

– Znowu jesteście razem? – spytał M.

– Wreszcie przyszedł do mnie z przeprosinami.

– Wróciłem na kolanach, jak chciała – powiedział uśmiechnięty Ojciec.

– Doczekałaś się.

– Tak. Dopiero tutaj – powiedziała Matka.

– Nie pozwolili Mamie pójść razem z nami – powiedział Ojciec.

– Za bardzo was kochałam, dlatego mnie nie było wolno, ale znalazłam sposób.

styczeń 1999, a potem dopiero maj–czerwiec 2005, Kraków; na ogół w pociągu na trasie Kraków–Warszawa

BALSAM DŁUGIEGO
POŻEGNANIA

I

To niezwykle, że w owalu maleńkiej Orefine udało się wyciąć aż tyle kanałów. Uczyniono tak, ponieważ kiedyś była ona skupiskiem bardzo bliskich siebie, jeszcze mniejszych wysepek. Wytyczono sieć kanałów, z których wiele wykopano sztucznie, a ziemię wykorzystano, by częściowo zasypać płytkie cieśniny i dawne wysepki połączyć. Najważniejszy z kanałów, Canale Grande, przecinał Orefine rozciągniętą literą „es”. Esowaty kształt nadawano największym kanałom na każdej wyspie laguny dla ochrony łodzi przed wysoką falą. Ten z Orefine nie zasługiwał na swoją nazwę, gdyż nie zawróciłaby tu nawet najmniejsza galera. Za dnia tłoczyły się na nim łodzie mieszkańców lub pękate szalupy dostawców z innych wysp; wieczorem pustoszał, a łodzie cumowały przy jego brzegach, jedynie czasem przemknęła oświetlona latarnią jedna z paru gondol podestii, z której czarny kolor odpadał płatami, bo don Massimo nie mógł się doprosić o nową dostawę lakieru. Od Canale Grande odchodziły krojące wyspę boczne, jeszcze węższe kanały, którymi mieszkańcy docierali do swych domostw i do których wyrzucali odpadki. Wyczuwalny na Orefine prąd lagunowy powodował, że w wąskich kanałach woda śmierdziała rzadko.

W lecie zielonoszara spokojna woda wokół wyspy nie budziła grozy – zachęcała, by spędzać na łodzi całe dni. Nawet jej rozbryzgi były przyjemnie chłodne i szybko schły w mocnych promieniach słońca. A Canale Grande nawet nie musiałyby więc się esowato. Woda nie była w nim nigdy dość wzburzona, by taki kształt kanału był potrzebny.

– *Frutta e Verdera!* – wykrzykiwał sprzedawca, cumując swoją barękę przy wylocie kanału. Dzisiaj nieco powiało i łódź straganiarza Beppino

kiwała się w górę i w dół, a konopna lina cumownicza skrzypiała i trzeszczała, trąc o pachół.

Na nabrzeżu zaraz zgromadziło się wiele kobiet. Żywność przywożono z pobliskich wysp, bo całe Orefine podzielono i zasiedlono tak gęsto, że na warzywne ogródki nie starczyło miejsca.

Kobiety radowały się widokiem dorodnych, pękających pomidorów oraz tych dłuższych, czerwieńszych i słodszych, każdy z zielonym listkiem, by widać było, że świeżo zebrane; radowały się widokiem bielutkiego meszku na słodkich pastelowych brzoskwiniach; cieszyły się z zielonych lub żółtych, przypominających rzeźby, owoców papryki. Każdy jeden podziwiał jak dzieło sztuki, jak biżuterię, a najpiękniejsze pokazywały jedna drugiej. Palcami wskazywały wybrane jarzyny i owoce, a kędzierzawy Beppino pakował je i ważył. Gdy mylił się albo próbował oszukać, podsuwając inny, brzydszy, głośno protestowały.

Mónica, żona nauczyciela Lorenzo, wybierała jeden dorodny pomidor po drugim. Wyraźnie wskazywała palcem owoce, jednak ostre słońce raziło w oczy, świetliste odbłaski od fal oślepiały i straganiarz co chwilę próbował nabrać młodą gospodynię.

Beppino był przekonany, że mimo upływu lat nadal ma wielkie powodzenie u kobiet. Pakując warzywa, celowo tak przekręcał sękate ramiona, aby rozbudowane sino-różowe tatuaże były lepiej widoczne, a głowę celowo zadzierał, by jaśniały tylko jego utlenione włosy i żeby klientki z nabrzeża nie mogły dostrzec łysego kółka na jego potylicy, mocno zaróżowionego od słońca. Chciał wywrzeć szczególnie mocne wrażenie na Monice, ale akurat ta piękność nie reagowała na jego zaloty, więc celowo drażnił się z nią.

„Nosi złote kółka w uszach jak rybak, a jest tylko sprzedawcą”, pomyślała niechętnie Mónica. „A nogi ma krótsze od rąk”. Wydeła wargi.

Była tu najmłodsza, więc jej protesty nie znajdowały wsparcia innych niewiast. Nie lubiły jej, niektóre nadal zazdrościły, że została żoną samego *U grammatico*.

Gdy już kupiła, co chciała, Beppino wpadł w dobry humor i zaczął rozdawać kobietom przyprawy.

– *Rosemarino, prego signora Mónica, prego!* – krzyczał, wciskając w dłoń Moniki parę gałązek. – *La basilical Salvia!*

Uradowane kobiety wyciągały ręce po zwyczajowe upominki. Tylko nadaśana, piękna żona nauczyciela prychnęła gniewnie: przed chwilą oszukiwał w oczy, a teraz próbuje być miły. Jednak rozmarynu nie odmówiła, a zaraz dołączyła do niego grubą wiązkę pietruszki i pęczek bazylii.

„Traktuje mnie jak niedorośłą pannę”, rzuciła straganiarzowi niechętne spojrzenie ciemnych oczu i dokładniej zawinęła się w czarną chustę, bo koło południa słońce paliło skórę.

II

Lorenzo wyszedł na nabrzeże od strony laguny: dziś mieli przywieźć sprzęt dla szkoły w Orefine. Pewnie ze dwa, trzy małe pakunki, bo uczniów ledwie kilkanaścioro. Ale pękaty *mercato* miał przywieźć też sporo innych rzeczy zamówionych przez samego podestę.

W oddali rysowały się pasma pobliskich wysp. Mgły nie było, na niektórych dało się dostrzec białe domki i rdzawe dachy. Stamtąd dowożą żywność do Orefine. Chmury pojedynczymi pasmami snuły się nad horyzontem.

Woda miarowo uderzała o umocniony głazami brzeg. Zielone wodorosty wspinały się na zwilżane falą kamienie. Morze nie było tu zbyt żyzne: piana rzadka, czasem pojawił się brunatny krabik poszukujący czego do zjedzenia. Wodorosty czerniały, im bardziej w głąb pod wodę. Nieco dalej na głazach osiadła maleńka kolonia ostryg. Ale kto by je tutaj zbierał? Muszle małe, niedorośle, tylko stopy można by na nich pokrwać. Nawet krabów nie interesowały.

Nieco dalej w morze wcinała się ostroga wąskiego mola z butwiejących desek. Woda leniwie uderzała o szerniałe pale. Od zawietrznej było tu dziś spokojniej niż na Canale Grande. Zresztą zwykle tak wiały tu wiatry i miast portu, całemu Orefine wystarczyło to molo. W czasie jesiennych zawieruch, kiedy *bubocco* burzył wodę w lagunie, a fale regularnie zmywały deski pomostu i docierały pod progi pobliskich domów, nikt do Orefine nie przy pływał, a nawet na Canale Grande ruch zamierał.

Lorenzo przysiadł na pomoście, gapiąc się, jak załoga na wiosłach podprowadza do mola ociężałego *mercato*. Spory statek nie wpłynąłby na

Canale Grande. Pod linią wodną *mercato* ukazywał się szeroki pas porośły wodorostami i pąklami. Przywieźli pewnie tylko odzież do sklepiku, może medykamenty, niewiele więcej *rzeczy*.

„Znowu Massimo będzie gryzł się ze złości, że zapomnieli o czarnym lakierze”, pomyślał Lorenzo. „Jeśli dalej będą ignorowali naszego podestę, otworzymy lakiernię na Orefine. Potrafię zaprojektować destylarnię oleju lnianego”.

Nauczyciel chciał przechwycić cumę, jednak kiedy *mercato* wolno podchodził do pomostu, jeden z załogantów zręcznie zeskoczył na molo, głośno kichnął, wytarł nos w rękaw, i sam zacumował stateczek. Marynarze zaczęli znosić paczki z towarem na nabrzeże. Lorenzo interesowało tylko opłacone wcześniej zaopatrzenie dla szkoły. Kilka drewnianych cyrkli i linijek tablicowych przywieźli luzem. Dodali mały pakuneczek z kredą. Lorenzo pokwitował szyprowi odbiór. Kredę odpakował przy nich. Sprawdził ją na drewnie linijki. Skrzywił się: znowu przywieźli zbyt twardą, szarawą, która będzie rysować tablicę.

„Jak zwykle przysłali byle co”, burknął pod nosem. „Wszystko co wartościowsze nie oddała się zbyt od Malamocco”.

Mimo że Orefine była siedzibą samego podesty, obecnie nie mieszkało tu wielu ludzi. Jeden nauczyciel, jeden *U dottore*, stary malarz Bócline, który za grosze uwieczniał pary młode, a dla własnej przyjemności malował pejzaże, widoki Orefine czy martwe natury, które potem wymieniał za rybę, chleb, wino czy warzywa, oraz jeden rzeźbiarz, który z braku zamówień tylko zdobił nagrobki. Bócline żartował, że mógłby malować gliną zbieraną z drogi, bo ściany piętrowych domków na Orefine tynkowano w kolorze żółtej lub czerwonej ochry. Domki nauczyciela, lekarza, malarza, a także starego rzeźbiarza Bassagno wyróżniały się balkonikami. Niektórzy mówili z przekąsem, że balkoniki zbudowano po to, by właściciele zawsze

mogli widzieć pałacyk podesty. Z balkonu Lorenzo widać było lagunę i spory odcinek Canale Grande, jednakże rezydencję podesty zasłaniał dach. Mónica lubiła w wolnych chwilach gapić się w dal lub wypatrywać męża wracającego swoją barką ze szkoły i balkonu nie unikała. Odziana w szkarłatną suknię, stojąc na tarasie, przyciągała wzrok żeglujących kanałem. Zdarzało się, że zaśpiewał do niej któryś z gondolierów transportujących dostojnika. Piękna kobieta jak magnes przyciągała uwagę. Kiedyś namawiała męża, by Bócline ją namalował. „On ciągle maluje dachy Orefine. Mógłby mnie utrwalić, zanim zestarzeję się i zbrzydnę”, powiedziała. „Może nie ma szkarłatnej farby, żeby oddać barwę twojej sukni”, odpowiedział Lorenzo. „Sam mówił, że używa tylko ochry zmiecionej z drogi. A może zapomniał, jak się maluje inne motywy”, dodał. Jednak w tajemnicy przed żoną odkładał pieniądze na jej pełnowymiarowy portret. Duży olej musiał sporo kosztować. Lorenzo słabo znał starego, samotnego malarza.

III

Całe Orefine chorowało. Wszyscy kichali, gorączkowali, kości bolały. Objawy były na ogół bardzo podobne, chociaż niektórzy wstawali z łóżek już po trzech dniach, inni leżeli ponad tydzień. Szynekarz Ipólito często krwawił z nosa, mówiono, że gdy mocno kaszle, krople krwi ciekną nawet z kącików jego oczu. *Il dottore* miał wiele roboty, chodził od domu do domu. Jego zdaniem to załoga zaopatrzeniowego *mercato* przywlokła grypę na wysepkę. Zwykle jesienne infekcje omijały małą społeczność, ta więc srożyła się szczególnie. „To tylko grypa”, powtarzał sobie Michele, chociaż życie na Orefine właściwie ustało z powodu choroby.

Lekarz najbardziej obawiał się o oberżystę, poświęcał mu najwięcej czasu. „Na Orefine umiera zwykle jedna osoba na miesiąc”, myślał, „ale przecież nie musi to być regułą”. Lubił starego Ipólito, nie chciał, by to akurat on wypełnił tę statystykę.

Mónica opiekowała się mężem. Lorenzo zaraził się jako jeden z pierwszych. „Kichający bęcwał”, powtarzał w gorączce o nieznanym marynarzu, który nawet nie przypuszczał, w ilu domach nań złorzeczono. Żona jako jedna z nielicznych opierała się epidemii. Spędzała przy Lorenzo godziny, kiedy gorączkował, i karmiła go, gdy już zaczął zdrowieć.

Wkrótce już wszyscy wracali do zdrowia, nawet starego Ipólito przestały dręczyć krwawienia. Miał dość siły, by na małym taboreciku przesiadywać przed swoją gospodą. Teraz grypie ulegli ostatni, ci najsilniejsi, których organizmy broniły się najdłużej. Wśród nich Mónica.

Opieka nad chorą żoną sprawiała Lorenzo przyjemność. Parzył herbatę, podawał leki, jedynie gotowanie straciło na różnorodności, bo codziennie

była *pasta*. Zresztą Mónica nie jadła prawie wcale, najwyżej rosółek przyniesiony z oberży starego Ipólito. Bardzo gorączkowała, chwilami nie poznawała Lorenzo.

Wreszcie jej stan zaczął się poprawiać.

Lorenzo podsadził ją wyżej, by nie poląła się rosółem.

– Trudno było się z tobą porozumieć, taką miałaś gorączkę – powiedział.

– Ty też tak gorączkowałeś, aż obawiałam się o twoje życie. Michele radził nawet przenieść cię do zimnej wody, ale udało się tego uniknąć. – Zaraz jednak srebrzyste chochliki zatańczyły w jej ciemnych oczach. – Zresztą czasem trudno jest się z tobą dogadać, nawet jak nie masz gorączki...

Mónica zdrowiała, jednak była jeszcze bardzo słaba. Lorenzo wynosił ją na balkon, bo mówiła, że w mrocznym pokoju brakuje jej powietrza do oddychania.

Życie na wyspie wracało w zwykłe koleiny. W najbliższy poniedziałek planowano wznowić zajęcia w szkole. A już dziś w zapadającym mroku zajaśniały w dali latarnie dwóch łodzi, które wypłynęły na nocny połów. Mónica, wygodnie rozparta w fotelu wystawionym na balkon, wpatrywała się w maleńkie, świetliste ziarenka pod mrocznym horyzontem.

– Ależ goni, jakby chciało pognać za tymi rybakami – powiedziała, kładąc bladą dłoń na piersi.

– Co...?

– No, serce. Wali, jakby chciało się urwać.

Spojrzał na nią.

Mówiła spokojnie. Nie było powodów do obaw.

– Już przechodzi – powiedziała po chwili. – Domyśliło się, że za rybakami nie pobiegnie. Zresztą po co? Przecież pobiegło za nauczycielem... – Uśmiechnęła się.

IV

Tej nocy Lorenzo nie spał. Mónica gasła w oczach. Była zbyt słaba, nawet żeby się podnieść na poduszce. Dłonie i stopy miała zimne, jednak znowu czoło zapłonęło od gorączki. Serce biło jak oszalałe: zrywami, nierówno. Ciężko dyszała. A chwilami w ogóle nie mogła złapać tchu.

Lorenzo chciał pójść po lekarza, jednak żona zapowiedziała, że nie zostanie jej żywej po powrocie. Nie uwierzył, ale nie chciał irytować chorej.

Najbliższym sąsiadem był bogaty Camilo Gianni. Człowiek opryskliwy i nieprzyjemny, okazujący nauczycielowi wyższość i niechęć. Lorenzo przemógł się i poszedł pod jego drzwi. Nikt nie odpowiedział na stukanie do bramy, jednak rzucając kamykami w okno na piętrze, Lorenzo zbudził gospodarza. Nieoczekiwanie Camilo, niemal bez słowa, wysłuchał jego prośby. Zebrał się i poszedł po lekarza.

Michele przyszedł po godzinie. Nie znał dolegliwości Moniki. Pierwszy raz widział takie następstwa mało groźnej choroby. Zaordynował coś na obniżenie gorączki i leki uspokajające na trzepoczące serce. Przysiadł na zydłu i z niepokojem przypatrywał się leżącej.

– I co? – Lorenzo zauważył, że lekarz nie zbliża się do wyjścia, jakby nie chciał, by zapytano go o prognozę.

– Trzeba czekać, czas będzie działał – powiedział Michele. – Ja tu jestem bezradny.

– Kiedy? Do rana? – Lorenzo nadal nie rozumiał sytuacji.

– Może tylko do rana, może nieco dłużej.

Usiadł przy łóżku Moniki, ujmując jej dłoń. Leżąca zaraz zapadła w pełen majaków półsen, czasem cicho bredziła.

Nad ranem gorączka spadła, ale nie był to przełom. Chora spociała się cała. Serce trzepotało konwulsyjnie, leki podawane przez Michele nie pomagały. Lorenzo zwilżał nimi wargi nieprzytomnej, by się nie zadławiła. Uważał, że w taki sposób są przyjmowane.

Mónica uspokajała się, oddychała coraz wolniej i słabiej, ruszała się coraz mniej. Lorenzo siedział, trzymając w dłoni chłodną dłoń żony. Chmurny Michele czuwał z nim, z rzadka podnosił się z fotela, by zmierzyć puls pacjentki.

– Dosyć, Lorenzo – powiedział wreszcie zrezygnowany.

– Mónica nie żyje. – Lekko palcami opuścił jej powieki.

– Co...? – Lorenzo podniósł na niego nieobecny wzrok.

– Choroba zabiła twoją żonę. Nie mogłem jej pomóc. Na Orefine nikt nie mógł jej pomóc.

– Ale jakże...? Mónica? Ona...? – Lorenzo patrzył, jakby nie zrozumiał słów lekarza.

Stary pokiwał głową. – Nic tu po mnie. Nie pomogłem – powiedział. Wyszedł z izby, zostawiając wdowca samego.

Po drodze Michele zajrzał do podestii. Trzeba przecież było pomóc samotnemu nauczycielowi. Ktoś musiał przygotować pochówek.

Lekarz sam nie potrafił oswoić się z tą wiadomością. Zaczął gadać do siebie: – Myślałem, że tego miesiąca w Orefine umrze więcej osób, ale że umrze właśnie ta piękna kobieta? – Pokręcił głową. – Młoda, silna, która tylko raz rodziła?

Odszedł zgarbiony.

V

Lorenzo żył jak we śnie. Śmierć żony nadeszła tak nagle, że sprawiała wrażenie koszmarnego majaku, nie rzeczywistości. Nawet pogrzeb wydał się odrealniony. Żałobna, świeżo pomalowana gondola podestii wywiozła ciało Moniki na San Tomaso, małą niezamieszkaną wysepkę, zwaną też Cimetiere, a inni żałobnicy towarzyszyli jej na swoich łódkach. Lorenzo wiosłował, stojąc na swojej barce, zaraz za skrytą za czarnym woalem trumną, ustawioną na żałobnej gondoli. Patrzył na orszak jak na barwny spektakl, nie jak na coś rzeczywistego.

Stypę za żonę *ii grammatico* zorganizowała podestia, więc i to nie dotknęło go zbyt boleśnie swoją realnością.

Ból przyszedł dopiero wraz z codzienną pustką, kiedy zabrakło mu powiernika, przyjaciela, kogoś, z kim dzielił się wszystkimi sprawami, czyjej rady słuchał w kłopotach. Każdy kolejny dzień coraz mocniej uświadamiał nieodwracalność tego, co zaszło za szybko.

Próbował zająć się pracą w czasie zbyt krótkich godzin zajęć lekcyjnych. Gdy twardą kredą rysował na tablicy kreski, każda z nich wyglądała jak piszczel, no, może te grubsze jak kości udowe rozpoczęte i zakończone główkami, gdyż chwila namysłu przed i po linii owocowała wygniecioną kropką. Kreślone twardą kredą linie nie chciały układać się w koła czy prostokąty, ale jak ułamki kości raniły czarną gładź tablicy.

Uczniowie jakby stępieli. Nie odpowiadali na zadawane pytania, nie wrywali się do odpowiedzi. A może po prostu nie rozumieli pytań wymruczanych pod nosem przez przygnębionego nauczyciela?

Za to na przerwach nie kryli się z grą w kulki. Ci, co nie grali, palili papierosy za szkołą, a najbardziej bezczelni ośmielali się kończyć papierosy, wracając z przerwy na lekcję. Zresztą Lorenzo nie utrudniał im tego. Zdarzało się, że widział palących uczniów, ale nie reagował, przestało mu to przeszkadzać.

Kiedy cicho i niezdarnie, odwrócony do tablicy, próbował coś wyjaśniać, dwaj najwięksi utrapieńcy, smagłolicy Rugiero oraz jego najlepszy kumpel, chorobliwie nadpobudliwy, wychudły, jasnowłosy Stoiano, wstawali w ostatnich ławkach i przedrzeźniali nauczyciela.

„Ma tak mały mózg, że nie wystarcza, by kontrolować ruchy osobnika”, zamiast karcić krzykiem, myślał Lorenzo, gdy przypadkiem zauważył popisy cyrkowe łobuza. Rzeczywiście Stoiano wyróżniał się małą głową.

Z czasem jeszcze się pogorszyło – Lorenzo zaczął zaglądać do kieliszka. Zobojętniały i bezsilny *U grammatico* coraz gorzej radził sobie z codziennymi obowiązkami, coraz więcej czasu spędzał w oberży Ipólito.

Kiedyś, gdy poprosił o następny kieliszek grappy, Ipólito pokręcił głową, przetarł blat i powiedział: – Za często tu przychodzisz. *U grammatico* nie powinien tak się załamywać.

– A ty sam poradziłbyś sobie z taką stratą?

– Od piętnastu lat jestem sam.

– Potrafiłbyś mi pomóc?

– Ja nie, ale może malarz.

– Bócline?

– Tu nie ma innego malarza – rzucił Ipólito. Sprawił tym nauczycielowi nieoczekiwaną przykrość: Mónica też dobrze malowała.

VI

Drzwi do domu malarza były uchylone. Lorenzo zajrzał do pracowni. Bócline kładł ochrowy laserunek na malowane fale Canale Grande, w których odbijał się rząd żółtych domków Orefine, a z boku widać było dziób mieszkalnej łodzi samotnego Beppino Corelli, zwieńczony charakterystyczną figurą galionową przedstawiającą Obfitość. Malarz nie przerwał pracy, dopiero gdy równomiernie pokrył przejrzystą farbą wybrany fragment, wytarł dłoń w fartuch i podał rękę Lorenzo. Wyszli na słońce. Usiedli na ławce przed domem.

– Domyślam się, po co przyszedłeś – powiedział. – Ipólito powiedział ci o Wyspie Umarłych?

– Nie. Ipólito powiedział tylko, że malarz może mi pomóc.

– Nie wiem, czy potrafię. – Spojrzał badawczo na Lorenzo. – Nie wiem, czy skruszę twój sceptycyzm.

– Tak?

– Daleko na południowy zachód od Orefine, na lagunie, jest Wyspa Umarłych. Może tam spotkasz swoją Monikę.

– Żartujesz? Każdy zna Cimetiere. Przecież wiem, że tam złożyli jej ciało. Zresztą Cimetiere jest na północ od Orefine.

– Mówię o zupełnie innej wyspie. Kiedyś przypadkiem dopłynąłem do Wyspy Umarłych.

– Byłeś na niej?

– Nie miałem odwagi wysiąść z łodzi.

– Jak ją rozpoznać? – Lorenzo dalej nie wierzył w słowa malarza, chociaż niosły nadzieję. Szukał w nich sprzeczności.

– Wyspa Umarłych jest cała otoczona murem z białego kamienia. Duże, równe kawałki. Z rzadka umacniają mur płaskie pilastry. Muru nie zdołasz sforsować. Jest jednak brama, ale kiedy ja tam przypląnąłem, stał w niej strażnik. Czarna postać, chyba miał skrzydła.

– Nic zza tych murów nie widać?

– A widać, widać. Wysokie cyprysy, mroczne, strzeliste.

Od wschodu zbliżała się wypiętrzona, biała chmura. Z dołu całkiem ciemniała, niosąc tam jednak nieco jaśniejszych, szarych kłębów, a jeszcze niżej ciemniejszym szarym oparem łączyła się z ziemią. Obaj obserwowali narastanie burzowego krzaka czy grzyba, który swoimi gałęziami coraz dalej sięgał na nieboskłonie. W miejscu jakby głównego pnia była już tylko jednolita, mroczna ściana, szare nitki. Te jednak na ogół nie sięgały ziemi, a niektóre z nich odchylały się od pionu.

– Chodźmy do mojej chaty, bo tutaj nam doleje – powiedział Bócline. – Pokażę ci Wyspę Umarłych.

Lorenzo bystro spojrzał na niego.

– No, maluję jabłka czy pomidory, mogłem też namalować to, co wtedy zobaczyłem.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– To nie są obrazy do pokazywania. Niewielu o nich mówiłem, jeszcze mniej uwierzyło. Tak rozpaczasz po żonie, więc dla ciebie zrobię wyjątek.

Obrazy Bócline przedstawiały ten sam motyw: wysoki kamienny mur, strzelające w górę jeszcze wyższe cyprysy, morze spokojne, a widok jakby wyłaniający się z mgły. Na jednym z obrazów mgły nie było, rysowała się wyraźnie brama, w której stała skrzydlata mroczna postać, trzymająca przed sobą światełko.

– Piękne te obrazy.

– Ona tam teraz jest.

- Kto?
- Mónica, twoja żona.
- Na tej wyspie?
- Tak mówią. Każdy trafi na Wyspę Umarłych.
- Przecież pochowali ją na San Tomaso. Ja nawet zamawiałem nagrobek.
- Ale na Wyspie Umarłych możesz ją spotkać, rozmawiać z nią.
- Ktoś tam dopłynął i odnalazł bliską osobę?
- Nikt mi znany. Ja dotarłem najbliżej.
- Jak ją odnaleźć?
- Trzeba popłynąć daleko na południowy zachód, aż poza Bocca del Babón.

VII

Wieczorem Lorenzo przygotowywał swoją łódź. Nie pływał tak często jak rybacy, więc wyszedł z wprawy. W malutkiej marinie kołysały się dziesiątki łodzi, tylko nabrzeże kutrów było puste pod wieczór. Mieszkańcy, jeśli tylko nie używali swoich łodzi codziennie, cumowali w marinie. Pale cumownicze, *paline*, w kanałach Orefine były własnością podestii i za ich używanie w nocy należała się opłata wprowadzona przez Massimo. Dzięki temu podatkowi podesta chciał uniknąć zatłoczenia ciasnych kanałów. Nauczyciela stać było na tę opłatę, jednak zwykł był chodzić do szkoły. Lubił te spacery po bruku lub przez maleńkie mostki. Spacer pozwalał uporządkować myśli, przygotować lekcje. Obecnie przestało mu to sprawiać radość, spacerowanie straciło sens, jak cała jego egzystencja.

Obok łodzi Lorenzo cumowała pedantycznie zadbana barka Pantalazziego, a zaraz obok, zdobiona błyszczącymi mosiężnymi okuciami, barwna łódź zamożnego Camilo Gianni. Może równie źle jak barka Lorenzo wyglądała tylko łódź skutnika Battacciego. Woda była spokojna, zachodzące słońce odbijało wszystkie łodzie jak w lustrze. Wyglądało to tak, jakby cumowały tu dwie floty: ta zwyczajna, z Orefine i ta druga, widmowa, z masztami ku dołowi, a nieco zwichrowana powiewem. „Może na Wyspę Umarłych dopłynąłbym którąś z tych odwrotnych łodzi?“, pomyślał Lorenzo.

Załadował swoje pakunki i zeskoczył na pokład. Bócline popłynął wtedy w noc, w marną pogodę, Bocca del Babón osiagając nad ranem. Powiedział też, że Wyspy Umarłych i tak nie da się odnaleźć, kiedy nie ma mgły. Lorenzo zamierzał pozeglować dokładnie tak, jak kiedyś Bócline.

Dzisiejszy wieczór był świetlisty, rzadkie pasma chmur snuły się tylko nad horyzontem, jednak mgła często nadchodziła nad lagunę, po takich zachodach słońca też.

Cuma trzeszczała, a łódź leniwie kiwała się w takt, gdy Lorenzo ładował na nią zapasy. Wreszcie zebrał cumę z pachołka i mocno odepchnął łódź od nabrzeża. Założył wiosło w wysoką dulkę i, stojąc, krótkimi pchnięciami *al gusto veneto* manewrował łodzią po marinie. Gdy barka opuściła malutką zatoczkę, podniósł nowy, niedawno uszyty przez Monikę żagiel, ale dopiero gdy barka wypłynęła za ostrogę Signale, wypełnił go wiatr.

Płynął stale na południowy zachód, nawigując według gwiazd. Na rufie łodzi płonęła latarenka. Przez jakiś czas w oddali jaśniały znaki innych łodzi – rybaków na nocnym połowie, później znalazł się w zupełnej ciemności. Wiatr osłabł tak bardzo, że Lorenzo wrócił do wiosłowania. Nad ranem otoczyła go gęsta mgła. Nie było już całkiem ciemno, a mgła tylko ciemnoszara. Znajdował się daleko poza Bocca del Babón.

Jeszcze później jednolita powłoka mgieł zaczęła rozrywać się w pasma. W jednym z takich przejaśnień dostrzegł odległe światełko. Powiosłował w jego kierunku. Wolno, miarowo, za każdym sztychem naciskając na wiosło tak dalece, że wychylał się na nim poza granicę upadku.

Światełko przybliżało się. Błady przedświt ujawnił kamienny mur oraz bramę. Z muru częściowo wyłaniały się skrzydlate posągi: w większości kościotrupy, choć też anioły o rozpostartych skrzydłach, a między nimi wiele płaskorzeźb skrzydlatych czaszek. Blask padał od bramy wspartej na dwóch kariatydach, nagich, a jedynie osłoniętych chustami z rzadko tkanego woalu, narzuconymi na głowę i sięgającymi niżej kolan. Znad portyku wychylała się postać muskularnego mężczyzny rozpościerającego ramiona, ale zwieszającego głowę tak, by nie patrzeć na wchodzących.

Bramę zaś zastawiała sobą mroczna postać o nietoperzych skrzydłach. Widoczne z dala światło padało z jej piersi.

W pierwszym odruchu Lorenzo odpłynął od bramy, pozęgłował wzdłuż muru. Dzień już nastał, chociaż mgła nie podniosła się znad wody, a ciężkie chmury sprawiały, że wszystko tonęło w półmroku. Płynął wzdłuż brzegu Wyspy Umarłych. W szczelinach muru wyrosły zielone mchy, granica wody obrosła wodorostami, ale zawilgocenie sięgało znacznie wyżej. Znad muru, na ogół pozębionego w blanki, sterczał pióropusz cyprysów. Mroczne te gałęzie, niemal czarne. Pilastrów malowanych przez Bócline nie dostrzegł. W zamian były te wyrastające z muru pół-hermy, półkariatydy. Z woalami na twarzy lub skrywające twarze w dłoniach, czy chociaż osłaniające je dłonią. To znów z muru wyłaniali się aniołowie atlanci, czy ci drudzy o nietoperzych skrzydłach. Wszędzie wiły się skrzydlate węże, zwykłe węże, szkielety węży – niektóre z nich miały ludzkie głowy albo czaszki. Były też szkielety aniołów jako atlantów wspierających kamienny mur, a także szkielety tych drugich o nietoperzych skrzydłach. Trudno było odróżnić, który z nich miał kiedyś skrzydła orle, a który nietoperze. Jedne miały rogi na czaszce, inne stopy zakończone kopytami. I jedni, i drudzy, i skrzydlate kariatydy, i atlanci, zgodnie upiększając płaszczyznę muru, gromadzili się tu, bezbłędnie oddani dłutem nieznanego mistrza.

Lorenzo wolno, miarowo wiosłował wzdłuż brzegu mrocznej wyspy. Wahał się: Bócline przecież kiedyś stąd zawrócił. Z drugiej strony, on ujrzał mniej niż teraz Lorenzo. A ten widok był piękny i dziwny, nie przerażający. „Przecież nie po to tu przypląnąłem, by teraz rezygnować. Jeśli ona tam jest, chcę ją spotkać”, pomyślał.

Mocniej napierając na wiosło, zawrócił, a wreszcie odnalazł bramę, chociaż wydało mu się, że postaci okalające portal teraz stały skamieniałe

w nieco innych pozach.

VIII

Tym razem wolno zbliżał się do bramy, chociaż gdyby go zaatakowano i tak nie zdążyłby uciec. Łódź lekko sunęła sama przed siebie. Woda miarowo uderzała o wynurzające się z toni kamienne stopnie. Ciemna postać zdawała się zerkać w stronę Lorenzo. Światło dochodziło jakby z wnętrza jej piersi.

„Posąg–latarnia czy co...?“, pomyślał. „Przecież on ogląda się za mną“.

Dostrzegł kamienny pacholek cumowniczy. „Komu chciało się rzeźbić coś takiego?“

Lorenzo zacumował łódź i zszedł na ląd.

Wspiął się po kilku śliskich stopniach, z których jeden kiwał się, obluzowany. Zatrzymał się obok czarnej postaci. Trzymetrowy gigant zaplótł ręce na piersi i chmurnie zerkał na przybysza. W milczeniu otulił się czarnymi skrzydłami.

– Mogę tu wejść? – spytał Lorenzo.

Odpowiedzi nie było.

Zrobił kilka kroków, bacznie obserwując strażnika.

Nadal brak reakcji.

Ominął go więc. Za bramą ciągnęła się aleja brukowana płytami białego wapienia, obsadzona po bokach imponująco wysokimi, ciemnymi cyprysami. W cieniu drzew widać było małe domki z białego kamienia. Uderzała cisza. Brakowało ćwierkotu cykad. Zostawił za plecami strażnika, poszedł dalej alejką.

„Kogo rozpytać o Monikę, skoro tamten nie gada?“

Z początku wydało mu się, że jest tu pusto, jednak wkrótce dostrzegł ludzi. Było ich tu wielu. Jedni przechadzali się, inni siedzieli na schodach przed domostwami, jeszcze inni – widoczni przez małe okienka – wykonywali zwykłe czynności gospodarskie: to myli naczynia, to zmiatali. Nie rzucali się w oczy, może dlatego, że byli ciemno odziani. To miejsce nie różniło się wiele od zwyczajnej wioski. Może nieco brakowało gwaru rozmów, ale czy zawsze musi panować hałas?

„Czyja ich zrozumie?” zatroskał się.

Sytuacja rozwiązała się sama. Podeszła do niego odziana na czarno dziewczyna, w mocnym jaskrawym makijażu. Była młoda i ładna, a jej czarna bluzka rozcięta bardzo głębokim dekoltem.

– Ty nie jesteś stąd – zwróciła się do niego. – Nie mylę się, prawda? – Błysnęła białkami dużych, ciemnych oczu.

– Jestem z najdalszej wyspy na lagunie, z Orefine.

– Nigdy tam nie byłam. – Uśmiechnęła się i spojrzała wyczekująco.

– Chciałbym tu spotkać moją żonę.

– Jak ma na imię?

– Mónica.

– Tu jej nie ma. – Pokręciła głową. – Znałabym ją.

– Jak to nie ma...?! Przecież ona jest na... – urwał, ponieważ nieznajoma położyła palec na wargach.

– Tak, ale trafiłeś do innej bramy.

– Popłynij ze mną. Wskażesz mi tę właściwą.

– Nie mogę. Muszę tu odszukać moje serce.

Nie krył zdumienia, więc nieznajoma rozsunęła całkiem dekolt, odsłaniając bladą skórę i piersi o uszmińkowanych na czerwono koniuszkach.

– Widzisz? – spytała.

– Tak. Jesteś piękną kobietą.

– Ach, nie to... – zniecierpliwiła się i palcami rozsunęła skórę na mostku. Odśloniła się podłużna, sinoczerwona rana, sięgająca w głąb jej ciała. Nie krwawiła. – Ja myślałam, że to zabawa, a oni wyrwali mi serce.

Nie odezwał się. Zatkaną go.

– Chyba nie powinnam odejść, póki go nie odnajdę – powiedziała. – Znajdę ich i niech wtedy mają odwagę spojrzeć mi w oczy.

– Skrzywdzili cię.

– No, pewnie. – Dziewczyna wyciągnęła papierosa. – Zapalisz?

– Nie, dzięki. Na naszej wysepce pali tylko stary Guido i malarz Bócline. Jeszcze dwóch uczniów i straganiarz Beppino. Nikt więcej.

– Pewnie najgorsi uczniowie?

Skinął głową.

Nieznajoma zapaliła sama, głęboko zaciągając się. Kłęby dymu zaczęły wydobywać się z rany na jej piersi. Lorenzo skrzywił się.

– Przepraszam, nie chciałam cię zniesmaczyć. – Nieznajoma ściągnęła z powrotem bluzkę na piersi, przy okazji zaciskając ranę, by nie dymiała. Wyglądała miło i sympatycznie: zgrabna, ciemnowłosa, może trochę za chuda. Jej okaleczenie wzbudzało współczucie.

– Dlaczego tutaj nie rozmawiacie ze sobą?

– A o co mielibyśmy się nawzajem pytać? Przecież wszystko wiadomo.

– Jak powinienem żeglować, żeby trafić na właściwą bramę?

– Nie wiem. Płyn wokół, to jej nie przegapisz. Może jest naprzeciw tej. Idź już, bo Strażnik może robić ci trudności.

Lorenzo spojrział niepewnie na mrocznego giganta zerkającego przez ramię w jego stronę. Tamten nie mógł się obrócić, musiał przecież wskazywać drogę swym światłem.

– Jak masz na imię?

– Giulia.

– Znajdź swoje serce.

Giulia pokiwała głową i odeszła, ale obejrzała się jeszcze raz z większej oddali.

Gdy Lorenzo go mijał, strażnik odwrócił się za nim, bacznie obserwując nauczyciela, jednak pozwolił mu opuścić wyspę.

„On stale się każdemu przygląda”, pomyślał Lorenzo, odcumowując barcę.

IX

Dalej płynął już spokojniej: skoro przez tę bramę go wpuścili, inne też nie sprawią trudności. Gdyby był jeszcze spokojniejszy, podziwiałby piękno tęsknych postaci zdobiących mur Wyspy Umarłych.

Podpływał do kilku kolejnych bram. Spotkał Strażnika Kamiennego, Brązowego i Srebrzystego. Skrzydła ich były dziwne: przypominały ażurowe wachlarze, to opalizujące muszle cięte w pasma jakby piór, to znowu poruszające się na wietrze smugi koloru. Za bramami znajdował spokojne aleje wykładane wapieniem, cieniste cyprysy i wszędzie małe kamienne domki, niektóre kryte płytami łupka. Nikt nie znał tu kobiety o imieniu Mónica, która ostatnio przybyła z Orefine.

Dotarł wreszcie do bramy pilnowanej przez Strażnika całego w piórach. Skrzydła, ramiona, korpus i nogi miał szczelnie pokryte piórami, chociaż te na skrzydłach były najdłuższe, na kończynach krótsze, zaś te na ciele i twarzy przypominały puch. Kariatyda z brązu, całkiem naga, dziwnie pochylona, zaplatała dłonie za plecami, jakby zginała się pod ciężarem portyku, a jej sąsiadka z prawej siedziała, plecami oparta o portyk, jakby dźwiganie kamienia zmęczyło ją i teraz przez chwilę sobie odpoczywała. Kamienny pachoł cumowniczy był tu kanelowany, jak przerobiony z kolumny. Lorenzo oplótł cumę. „Żeby tylko kanelur nie pociął włókien”, pomyślał.

Schody były bardzo śliskie, bo wodorosty wspinały się po nich wyjątkowo chętnie i zaszły wyżej niż zwykle. Stopnie rozdzieliły się wskutek ich działalności i wszystkie kiwały się, zmuszając do uwagi.

Strażnik spojrział, ale nie odwrócił się. Poprawił tylko pióra na piersi, lekko je rozgarniając, żeby światło było lepiej widoczne.

Stała zaraz za bramą, czekając na niego. Włosy splotła w gruby, czarny warkocz. Patrzyła na niego poważnie, a wyglądała, jakby rozstali się przed chwilą.

– Mónica! – Ruszył ku niej, chcąc wziąć ją w ramiona.

– Nie! Tego nam nie wolno – powiedziała, odsuwając się. – Wiesz, gdzie jesteście.

Była odziana w swoją ulubioną ciemnoszkarłatną sukienkę, w której ją pochowali. Oboje lubili ten kolor.

– Czekaaś na mnie?

– Tak. Mówili, że mnie szukasz. Zresztą nie miałam wątpliwości, że popłyniesz tu za mną.

– Nie zmieniaś się.

– Mylisz się. To tylko z zewnątrz tak wygląda. Zmieniłam się bardzo. A ty wyglądasz bardzo źle. Masz cienie pod oczyma.

– No, wiesz... Płynąłem całą noc. Ty jesteś cieniem, że nie wolno cię dotknąć?

– Nie. Ale jednocześnie moje ciało leży w ziemi na San Tomaso. Nie możemy się dotykać.

Widocznie wyglądał na nieprzekonanego, bo Mónica zerwała źdźbło trawy i mu podała. – Weź ją, nie dotykając mojej dłoni.

„Zwykła trawa”, pomyślał.

– Pozostaniesz tu na zawsze?

– Nie, ale może na dłużej. Ty natomiast powinieneś już wracać. Zbyt długo stąpasz po tej wyspie. Wam tego nie wolno.

– Tu jest tak cicho u ciebie. Brakuje mi ćwierkania cykad w tych cyprysach.

- One tu milkną. Założyli im kiedyś szkołę ćwierkaczą, ale nie pomogło. Chciał spytać ją o tyle jeszcze rzeczy, o rodziców, o małą Domenicę, która umarła rok temu. Mónica jednak nalegała, by już odpłynął.
- Czy wolno mi przypłynąć tu jeszcze raz? – odważył się spytać.
- To zależy od ciebie. Próbuj.
- Któreśdy mam płynąć, żeby wrócić na Orefine?
- Płyn przed siebie. Trafisz. Mgła cię zaprowadzi.



X

Miało się pod wieczór, Wyspa Umarłych tonęła w czerwonym świetle rzucanym przez ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wydawało mu się, że zza opierzonych ramion Strażnika dostrzega gibką sylwetkę Moniki.

Słońce szybko zniknęło za horyzontem, wiatr ustał i nadeszła znajoma mgła. Lorenzo zrzucił żagiel. Trzeba wrócić do wiosłowania, przynajmniej nie uśnie. Spokojnie, równo, naciskając całym ciężarem ciała na drzewce wiosła, pchnięcie za pchnięciem. Na wszelki wypadek na rufie zapalił latarnię.

Po, wydawałoby się, nieskończenie długim czasie mgła zaczęła rzednąć. Noc też jakby zmierzała ku końcowi. Może już minął Bocca del Babón?

Cisza usypiała. Trzeba było zmuszać się do wiosłowania. Sen niepostrzeżenie wplątywał się w rzeczywistość. Chwilami wydawało mu się, że na dziobie łodzi przysiadła Mónica, a on ją właśnie wywiódł z Wyspy Umarłych. Gdy budził się, szkarłatna plama jej sukni znikła. Dwie nieprzespane noce mściły się teraz umykającą świadomością. Aby przepłoszyć sen, postawił żagiel. Nieoczekiwanie łatwo płótno nabrało wiatru. Lorenzo przestał wiosłować. Teraz mógł przemywać twarz wodą nabraną garścią, by nie stracić kontaktu z rzeczywistością. Z ulgą dostrzegł pierwsze światełka rybaków na nocnym połowie.

W Orefine przywitali go jak zjawę.

Sklarował łódź, przerzucił bagaż i zeskoczył na nabrzeże. Kilka osób otoczyło go kręgiem, jakby na niego czekali. Ktoś musiał zauważyć jego przybycie i ściągnąć ich wszystkich do mariny.

Wreszcie jakieś małe dziecko, chyba rezolutny pierwszoklasista Gino, odważył się go dotknąć paluszkami i zaraz uciekł.

– *Il grammatico* jest żywy, żywy! – zawołał chłopiec. – To nie umarli, chociaż taki blady, aż przezroczysty!

Lorenzo zarzucił na plecy tłumoczek ze swoimi rzeczami. Skierował się do domu, a kilka osób poszło w ślad za nim.

Gdy jednak nic się nie działo – przybysz nie zniknął, szedł normalnie, nawet się nie zataczał – widzowie stracili zainteresowanie i jeden po drugim rozeszli się.

Dzisiejsze lekcje zostały odwołane. Trzeba w domu przygotować jakąś strawę. W oberży nie skończy się tylko na posiłku. Nic go nie cieszyło, ruszał się wolno, ospale. Rozpakowując swoje rzeczy, zauważył, że barwa skóry jego ramion rzeczywiście uległa zmianie – stała się ołowiście blada, jakby ciało pod nią było bezkrwiste. Całkiem podobnie jak skóra tej nieszczęsnej Giulii, której wydarli serce. W lustrze zobaczył upiora: włosy skłębione, rozczochrane, polepione, oczy czerwone, a podkrążone niemal na czarno. I ten przerażający kolor skóry.

Któż może tu służyć radą? Wybrał się do starego malarza.

Bócline wybałuszył oczy. – Och! – westchnął.

– Namalujesz mnie? – Lorenzo spróbował się uśmiechnąć.

– Byłeś tam, czy sam umarłeś?

– Przestań. Widziałem w lustrze swój wygląd. Widocznie tak się robi od chodzenia po Wyspie Umarłych.

– Odważyłeś się tam zacumować?

– Ze cztery razy, zanim znalazłem właściwą bramę.

– Spotkałeś żonę?

– Mónica czekała na mnie. Oni tam jakoś dowiadują się, że będą odwiedziny.

- Jak wygląda? Zmieniła się?
- Lepiej niż ja teraz. Była w tej samej sukience, co na pogrzebie. Może trochę pobladła. Inni wyglądają gorzej.
- Chcesz dla sprawdzenia ekshumować jej ciało?
- Nie zniósłbym tego.
- Jak ta wyspa wygląda?
- Jest piękniejsza, niż ją malowałeś. Nie ma pilastrów wzmacniających mur, ale jest wiele pięknych rzeźb czy płaskorzeźb. Opowiem ci jutro, jak się prześpię.
- Snu ci teraz trzeba. Ja przespałem potem prawie dwadzieścia godzin, a tylko się zbliżyłem. Wyśpisz się, to opowiesz mi dokładniej. Namaluję Wyspę Umarłych według twoich słów.

XI

Dzień później Lorenzo popłynął na Cimetiere. Jedynym zabudowaniem tutaj był maleńki, rozsypujący się kościółek o odpadającym tynku. Prosta bryła z apsydą, pochylona dzwonniczka z samotnym dzwonem na wietrze. W środku kilka ławek w jednym rzędzie, grotka dla Madonny, dwa okna pokryte witrażem: z jednego promiennie uśmiechała się Santa Giustina w zieleniach i złotej aureoli, a drugie, mozaikowe, wpuszczało różnobarwne światła. Nad ołtarzem prosty krzyż z drewnianą rzeźbą Ukrzyżowanego.

Za kościołem niewielki cmentarz, okolony murkiem z łamanego kamienia. W sam raz wysokim, by porywisty *bubocco* nie gasił lampek i nie rozrzucał kwiecica.

Lorenzo poszedł alejką wśród solidnych, kamiennych nagrobków, z najokazalszym wspartym na lwich nogach, wielokomorowym kamiennym pudłem przeznaczonym dla kolejnych podestów Orefine, najgodniejszych z obywateli, których godność przechodziła z ojca na syna.

„Nie wolno im leżeć w grobie obok własnych żon”, pomyślał, mijając wysoką mogiłę. „A stary dobry Guido tak prosił, by zrobili dla niego wyjątek. Młody Massimo nie pozwolił na naruszenie zwyczaju”.

W pobliżu najważniejszego rozmieszczono groby nauczycieli – przecież to też ktoś ważny w malutkiej społeczności. Nauczycielom pozwalano zrobić tylko *la catacomba*, jak innym mieszkańcom. Trumnę z Moniką przeniesiono już do nowej. Stara krypta wypełniła się w całości zbyt szybkimi zgonami w ich rodzinie i Lorenzo musiał niedawno wykosztować

się na następną. Na cmentarzu było jeszcze dość miejsca. Nowa krypta znalazła miejsce obok starej.

Położył wiązanek kwiatów na mogile żony. Mónica Martelli – głosiły równe literki wykute przez Bassagno. Nie starczyło pieniędzy choćby na *piccolo angelino* wykutego udatnie z białego kamienia. Niekoniecznie dłuta wielkiego Saltimbassy jak srogie lwy przed schodami podestii sprowadzone aż z Malamocco. Bassagno też rzeźbił piękne, nostalgiczne anioły. „Pieniędzy zbierze się więcej, Mónica dostanie płaczącego anioła na pół szerokości nagrobka”, pomyślał.

Myśli pobiegły ku jej imieniu wykutemu na płycie. „Jesteś tam jeszcze...? Schniesz na wiór, a twoja suknia zmienia się w rudy łachman?” Zmarli na maleńkim Cimetiere nie rozpadali się w brunatne szkielety, lecz obracali w brunatne mumie, o cerze niewiele ciemniejszej niż za życia.

Dołożył nową wiązanek kwiatów do poprzedniej, która zdążyła już wyschnąć. „Wokoło morze, a wszystko wysycha na Cimetiere”, pomyślał.

XII

Lorenzo nadal nie mógł odnaleźć się w pracy. Zamyślał się, patrzył w okno, a nadpobudliwcy szczykali się nawzajem albo rzucali papierkami. Dyrektor Pantalazzi zwrócił mu uwagę, że rodzice donieśli samemu podeście, jakoby Lorenzo *detto il Morto* opuszczał się w pracy. Powiedział grzecznie *il Morto*, znaczy Martwy, zamiast wprost stwierdzić, że uczniowie zwali nauczyciela Trupem, *il Cadavere*. Lorenzo niechętnie patrzył na oblicze dyrektora, z ust którego dolatywały słuszne zarzuty. Twarz zwierchnika wisiała na kościach czaszki jak pranie na sznurach, pod oczyma wory, nos pogruźlowany i poznaczony makiem wągrów. Z tego oblicza niemal dało się wyczytać desperacką walkę wątroby z jeziorem kwaśnego wina i pagórkiem przypalonego, smażonego mięsa. W takt słów dyrektora podskakiwał jego mięsisty drugi podbródek. „Co to za szkoła?“, pomyślał Lorenzo. „Gdy Mónica odeszła, został mu jeden nauczyciel do kierowania. Nie chciałbym wyglądać za dwadzieścia lat tak jak on”.

Rozmowa z dyrektorem niewiele pomogła. Lorenzo nadal z najwyższym trudem krzesał z siebie zapal do pracy. Przynajmniej na lekcjach ucichło. Nie musiał głośno napominać – uczniowie bali się brzmienia jego bezbarwnego matowego głosu.

Wreszcie z powodu czyjegoś donosu sam podesta wezwał Lorenzo do siebie. Dostojnik za dnia nie opuszczał urzędu podestii. Podobno pracował od świtu do zmierzchu, także podczas sjesty, jednak w Orefine kpiono, że południowy upał lubi przespać w chłodnych murach, niż piec się w słońcu, płynąc do swojego pałacyku dwa kanały dalej.

Massimo był blady i otyły, przedwcześnie postarzał się. Mimo młodego wieku na skroniach rysowały się nitki siwizny, zmęczone oczy zerkały spod ciężkich powiek. Ruszał się mało, wiele pisał w świetle świec, rzadko nawet podchodząc do okna. Znaczna otyłość nie pomagała mu w pracy.

Orefine było zbyt małe, żeby zarządzał nim podesta. Zachowano ten urząd raczej dla tradycji, a Massimo uważał, że wzmożoną aktywnością uzasadni potrzebę istnienia swojej godności. Pracował więc wytrwale, chociaż od lat *moroppo* nie przysłał tu żadnego rewizora.

– Pan chce zrezygnować z pracy nauczyciela, *signore*? – zaczął podesta.
– Ten zawód od pokoleń wykonywała rodzina Martellich. Został pan sam, mnie więc trudno będzie znaleźć kogoś w zamian, a jeszcze trudniej będzie znaleźć dla pana inny zawód, bo nikt inny nie zamierza rezygnować ze swojej profesji.

– Byłem na Wyspie Umarłych i to mnie odmieniło.

– To jest wiadome, ale sprawy prywatne nie mogą rzutować na pracę w zawodzie nauczyciela. Przecież od pana zależy przyszłość tych szkrabów, *signore*.

– Z każdym dniem jest ze mną lepiej. Odzyskałem normalne kolory, apatia odchodzi. Wrócę do normalnego życia. Zaległości spowodowane moją nieobecnością prawie nadrobiliśmy.

– To dobrze. – Podesta pokiwał głową z ulgą. Nie był złym człowiekiem, tylko brakowało mu doświadczenia, a sytuacja, w której się obecnie znalazł, nie przydarzyła się żadnemu podeście od pokoleń. Wolał uniknąć decydowania w tej sprawie, albo przynajmniej jak najbardziej opóźnić tę chwilę.

XIII

Lorenzo otrząsnął się z marazmu i energicznie wziął do pracy. Wkrótce wyrównał zaległości, a nawet najbardziej utrapieni uczniowie dali się wziąć w karby i przestali rozrabiać. „*Il Cadavere* chce nas zamęczyć, zmienić w podobnych sobie”, mówili. Zerkali nieprzyjaźnie, jednak postępy w nauce robili nieoczekiwanie szybkie. Nawet nieznośny Stoiano, który nie potrafił wcześniej usiedzieć spokojnie pięciu minut, teraz sam na piasku rysował trójkąty, ćwicząc lekcje z geometrii. Lorenzo pilnie liczył oszczędzone pieniądze na *piccolo angelino* dla Moniki, ale pochłaniał go już inny zamysł. Zamierzał oto znowu odwiedzić Wyspę Umarłych. Raz uszedł z życiem, może uda się to po raz drugi.

O swojej wyprawie nie powiedział nawet malarzowi Bócline. Jedyne uczniom obiecał dwa dni wolnego, jeśli wyprzedzą materiał. Pomyślał, że możliwość uniknięcia kontaktu z dziwnym nauczycielem zachęci wielu z nich do szybszej pracy, jednak nieoczekiwanie nie wszyscy się ucieszyli. Dodał więc, że w wolne dni mają samodzielnie ćwiczyć przerobiony materiał.

Spakował rzeczy do podróży i zaniósł je na nabrzeże prawie o zmroku, by wypłynąć niepostrzeżenie. Spotkał tam jednak starą Sihdę, która wypatrywała swojego Renato. Rybak nie wrócił parę lat temu, ale wdowa co wieczór wychodziła na nabrzeże, czekając jego powrotu. Ostatnio jednak jakby jej wiara słabła, bo coraz częściej opuszczała ten nocny posterunek.

Stara spojrzała na niego.

– Znowu płyniesz odwiedzić swoją Monikę? Nie było sensu kłamać.

– Spytaj o mojego Renato. Czy jest tam u nich.

– Dobrze.

Dzisiaj też była spokojna noc. Lorenzo wpadł w nastrój, który pamiętał z poprzedniej wyprawy – zubożenia, nieobecności, jakby półsnu–półjawy. Dawało to poczucie, że płynie właściwą drogą. Raz za razem napierał ciężarem ciała na drzewce wiosła. Barka sunęła bezszelestnie. Światła nocnego połowu oddalały się. Rybacy pewnie też obserwowali samotne światło. „*U Morto* płynie do swoich”, może powtarzali.

Lorenzo zbliżał się do Bocca del Babón. Jak na zawołanie opadła gęsta mgła. „Babón znowu sobie chuchnął”, powtórzył w myśli powiedzonko. Tu zawsze w nocy zbierała się mgła, niby nad jakimi moczarami, nie laguną.

Zwolnił tempo, by nie przegapić Wyspy Umarłych. Do celu można było dopłynąć dopiero przed pierwszymi blaskami świtu. Podróż jak ze snu ciągnęła się w nieskończoność. Pełną ciszę czasem rozrywało przypadkowe chlapnięcie wody spod cofanego wiosła.

Wreszcie blade światło zaczęło rozjaśniać opar, a ten jak na wezwanie rozdzielił się na pasma i przerzedził. Lorenzo dostrzegł świetlisty punkt, a niedługo potem jaśniejszy pas muru i ponad nim smoliste ostrza cyprysów. Zbliżał się do celu.

Znów trafił do bramy Mrocznego Strażnika. Gdy cumował barkę do pachołka, który dzisiaj wydał mu się odrapany i toporny w robocie, rogaty Strażnik niecierpliwie poruszył nietoperzowymi skrzydłami. Miał ich dwie pary. Lorenzo chyłkiem go ominął. Tamten burknął coś niezyczliwie. Po drugiej stronie było pusto, tylko gdzieś dalej jakaś kobieta siedziała na murku pod drzewem. Poznał Giulię.

– Znalazłaś swoje serce? – Uśmiechnął się do niej.

– Ach, to ty, Lorenzo – powiedziała apatycznie. Była odziana tak samo jak ostatnim razem. Gdy podniosła się z kamienia, zbyt rozchełstana bluzka ujawniła sinoczerwoną ranę.

– Masz papierosa? – Jej ciemne oczy nie błyszczały dziś. Makijaż wyglądał niedbale.

– Nie pal. Brzydko wygląda ten dym wychodzący z rany.

Skinęła głową.

– Skąd znasz moje imię?

– Mówili tutaj. Moje stopy zaczęły się zapadać w ziemię.

Podeszwy jej butów rzeczywiście nie wystawały z ziemi.

– Szukaj swojego serca, Giulio.

– Nie przestanę, póki dam radę chodzić. Idź już, ale uważaj na Strażnika, bo dzisiaj jest zagniewany. Dobrze, że jesteś.

Mijany olbrzym mruknął groźnie.

XIV

Lorenzo odważył się zacumować przy bramie, której strażnik miał tęczowe skrzydła. Nie był tam jeszcze. Poprzednio przepłynął obok tej bramy, nie wysiadając, dzisiaj wydało mu się, że ozdoby portalu wyglądają inaczej. Także mur otaczający wyspę miejscami wspierany był dzisiaj pilastrami, chociaż zdobiących go rzeźb nie ubyło.

Sprawnie zacumował, zaklekotał chodakami po obruszonych stopniach. Skrzydła tego Strażnika przypominały dziesiątki pasm tkaniny w kolorach tęczy, powiewających na wietrze niewyczuwalnym w inny sposób, a wiejącym jakby we wszystkich kierunkach od latarni jaśniejącej na jego piersi.

– Ty tu po co?! – rzucił Strażnik. – Nikogo tu nie znasz.

Lorenzo zatrzymał się zdziwiony.

– Szukam Renato, męża starej Silvii.

– Dobrze. On jest tutaj. – Strażnik go przepuścił.

Po drugiej stronie bramy też ujrzał alejkę brukowaną białymi płytami wapienia i małe domki kryjące się w cieniu cyprysów. Mieszkańcy snuli się apatycznie. Jak tu znaleźć starego? Zwykle tutejsi wiedzieli, że się ich szuka.

Lorenzo rozejrzał się. Niedaleko jakiś starzec łątał sieci. Robota szła mu wolno, męczył się. Lorenzo podszedł do niego, ale zanim spytał, starzec sam odezwał się:

– Sieci zawsze łątała Silvia. Ona miała lepsze oczy. Mnie jest trudno to robić.

– Renato?

– No, pewnie. – Stary skinął głową. – Poznałem cię, Lorenzo. Też chciałem podejść, ale nic się poplątała.

– Silvia stale na ciebie czeka.

– Powiedz jej, żeby przestała wychodzić na nabrzeże. Lepiej, żeby mnie już nie spotkała. Ja wyglądam bardzo źle, przeraziłaby się. Lepiej, żeby nie wyłowili mojego ciała. Zbyt długo byłem w morzu.

– A jak to się stało, Renato?

– Kotwica zaplątała się w wodorostach. Zanurkowałem, żeby ją odplątać, a one również mnie omotały. Powiedz to Silvii. Niech się cieszy każdym dniem, bo teraz niepotrzebnie się niepokoi. Nie pozostawaj tu zbyt długo. Nie powiedział ci tego jeszcze nikt?

– Nie znam tu wielu.

Już było całkiem jasno. Lorenzo szukał bramy Pióroskrzydłego Strażnika. Płynął dość długo, zanim dostrzegł podobną, ale dzisiaj to lewa kariatyda wyciągnęła się i drzemała, a prawa wspierała portyk, rozkosznie prężąc się i przeciągając. „Rzeźby przy tej bramie są najpiękniejsze”, pomyślał Lorenzo.

Pióroskrzydły zerknął na niego. Błysk w jego oku zdradził jakby wesołość. Przełożył lampę do drugiej ręki. – Długo na ciebie czekała – powiedział. – To dopiero następne wizyty powinny być coraz radsze.

– Tak...? – wyrwało się Lorenzo, ale Strażnik już się nie odezwał.

Przeszedł więc przez bramę. Mónica siedziała na murku opodal. Podeszła do niego.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała. Dziś była jakby bielsza niż ostatnio. Może to gęsta zasłona cyprysów spowodowała, że jej cera pojaśniała.

– Mam prezent dla ciebie. – Wyciągnął z kieszeni maleńkie pudełeczko, klteczkę z cieniutkich deseczek.

– Co to?

- Ćwierkająca cykada.
- Ach!
- Potrzyj ją w tym pudełeczku. Pije wodę z cukrem. Może zorganizuje szkołę ćwierkaczą dla tych tutaj, milczących. – Podał jej pudełeczko, dbając, by ich dłonie się nie zetknęły.
- Ale jeśli rychło nie zaczną, to puszcze ją wolno. Nie chcę nikogo więzić – powiedziała Mónica.
- Ona lubi swój domek. Dłużej żyje w klatce. Co u ciebie nowego?
- A co może być u mnie nowego? – Parsknęła śmiechem. – No nie, żartowałam – dodała zaraz. – Stary Gianluca projektuje dla nas galerę, którą chcemy pofrunąć.
- Pofrunąć?
- No, przecież nie można pozostać na zawsze na Wyspie Umarłych. Lorenzo skinął głową.
- Poprzednią galerę odlecieli twoi rodzice. Od tamtego czasu żadna nie wzbiła się w powietrze.
- Rozmontujecie ją wtedy?
- Nie. Jeśli galera nie wzbije się w powietrze, grzęźnie w ziemi. Zaraz po moim przybyciu coś takiego się stało. Wioślarze przyrastają do ławek. Stopy pasażerów wrastają w pokład. Żebyś widział spojrzenia tych zapadających się z nią. Dobrze, że nie wsiadłam do tamtej galery. Czułam, że jeszcze nie jestem gotowa.
- Skąd wiesz, do której z nich wsiąść?
- Nie wiem, tego nikt nie wie. Ale do tamtej nie zamierzałam wsiąść.
- Skąd bierzecie materiał do budowy statku?
- W głębi wyspy jest skład drewna. Dla wszystkich starczy.
- Nie znałem skutnika Gianluki.
- On był z innej wyspy. Bardzo odległej od Orefine.

- Giulia mi powiedziała, że nie powinienem tu długo przebywać.
- Ja też powinnam powiedzieć ci to samo, ale nie miałam siły. Tęsknię za twoimi wizytami.
- Jesteś bledsza.
- Trochę. To przez te cyprysy. Zacieniają alejki. Ale kiedy polecimy galerą ku światłu, odzyskam kolory.
- Mónica, ja poleciałbym z tobą tą galerą.
- No, co ty? Na pewno nie zdążysz na tę samą. Ty szykuj się na coś zupełnie innego. A na razie mnie odwiedzaj. Przyłyń jeszcze choć raz. Giulii powiedz, żeby koniecznie odnalazła swoje wydarte serce. Już pora na ciebie.

XV

Do Orefine dotarł, jak poprzednio, na wieczór następnego dnia. Podróż przebiegła bez niespodzianek, chociaż musiał zmuszać się do wiosłowania. Dusza rwała się, by pozostać wśród czarnozielonych cyprysów i zamieszkać w białym kamiennym domku nie większym niż mogiła podestów, ale wiosłowanie wymagało niezwyklego trudu. Musiał często polegiwać w łodzi dla nabrania sił.

Na nabrzeżu czekało parę osób. Nikt nie chciał mu spojrzeć w oczy, ludzie odwracali twarze. Milczeli. Szybko się rozeszli. Lorenzo musiał wyglądać naprawdę źle.

Pozostała tylko jedna osoba, zawinięta w długą chustę z frędzlami, stara Silvia.

– Był tam Renato? – spytała.

– Tak – Lorenzo mówił z trudem, choć czuł się coraz lepiej. – On jest dotąd zaplątany w wodorosty. Mówił, żeby go nie szukać, bo wygląda bardzo źle. „Jeszcze gorzej niż ja teraz”, pomyślał.

– Kazał coś przekazać?

– Powiedział, byś przestała wychodzić na nabrzeże. Masz wziąć się do życia, bo czeka cię jeszcze wiele dobrego.

– Dobrego? – burknęła. – Mateo i Sandro też zostali rybakami, jeszcze którego spotka to samo, co starego. On zawsze wiedział najlepiej.

– Tak powiedział.

Stara pokiwała głową.

Lorenzo od razu skierował się do malarza Bócline.

– Ależ ty wyglądasz... – świsnął przez zęby gospodarz.

– Jak prawdziwy *U cadavere*. Nie odchodzi skóra?

Lorenzo obejrzał swoje ręce.

– Widzisz jakieś pęknięcia? – spytał.

– Nie, ale ten żółtozielony kolor i te purpurowe znamiona na dłoniach...

Oczy masz zupełnie bez blasku, jak wysuszone.

– Plamy opadowe są na przedramionach, bo leżałem z rękami pod głową.

Bócline spojrział z niedowierzaniem. – Podciągnij nogawkę – powiedział. – Zgadza się. Są także na łydce. To plamy opadowe. – Pokiwał głową.

– I mówię z trudnością. Będę codziennie przychodził, a ty dokumentuj zmiany w moim wyglądzie. Jak szybko ustępuje każda z nich.

– Niech będzie. Teraz zjedz talerz zupy. Zostało z obiadu.

Lorenzo czuł, jak ciepła stawa, z każdą kolejną łyżką, przywraca mu smak i zapachy świata.

Rano uczniowie prześcigali się w trafnych odpowiedziach. Nie zmarnowali tych dwóch dni bez lekcji. „Wszystko lepsze, byle nie oglądać takiego pana”, pomyślał sarkastycznie.

Gdy wykladał im kolejną porcję materiału, na sali panowała zupełna cisza. Może to jego głos niósł jakieś ponure nuty i sprawiał, że tak się obawiali. Raz ktoś szepnął: *U Cadavere*, i to było całe ich nieposłuszeństwo w ciągu godzin lekcyjnych.

Podesta nakazał wnuczce rzeźbiarza Bassagno, by prowadziła gospodarstwo nauczyciela. Godności *U grammatico* przysługiwała gospodyni, wcześniej jednak o nią podesty nie prosił, gdyż Mónica sama kierowała domem i nie chciała pomocnicy. Dziewczyna szybko wykonywała należącą do niej pracę i znikwała jak duch, zostawiając na stole gotowy posiłek i wysprzątaną izbę.

Z Zurtano, sąsiedniej wyspy, przyplłynął na Orefine sam *moroppo*, urzędnik stopniem wyższy od podesty. Lorenzo został wezwany do podestii. *Moroppo* był siwy jak gołąb, nosił się zupełnie na czarno, mówiono na niego *don Pasquale Derpu*. Starzec siedział w kącie pokoju, spod trójrożnego kapelusza lustrując spojrzeniem przybyłego.

Lorenzo czuł się nieswojo pod świdrującym wzrokiem dostojnika. „Nie mogą mi zarzucić lekceważenia obowiązków”, pomyślał.

Nikt też o tym nie wspomniał. Lorenzo musiał dokładnie zrelacjonować przebieg swoich wypraw.

– Czy możecie, *signore Grammatico*, nanieść Wyspę Umarłych na mapę laguny? – odezwał się wreszcie chmurny starzec.

Lorenzo pochylił się nad pergaminem rozłożonym na biurku podesty. Mapa laguny zawierała wiele wysp o nieznanych mu nazwach, chociaż z pewnością nie obejmowała nawet części jej powierzchni, gdyż na północnym wschodzie nie sięgała do archipelagu Malamocco z miastem o tej samej nazwie, który kończył obszar laguny, jak Lorenzo wykładał to uczniom na lekcjach geografii. Zresztą może Malamocco istniało tylko w baśniach, gdyż po ostatnich modyfikacjach programu materiał o tym mieście mocno zredukowano. Na południowym zachodzie karta pergaminu kończyła się twarzą o wyłupiastych oczach i policzkach wydętych do dmuchania – rozpoznał Bocca del Babón.

– W tę stronę, na odległość, jaką można przez jedną noc przebyć, płynąc ze średnim wiatrem. – Lorenzo wskazał ręką gdzieś w powietrze za arkuszem.

– Chcę, żebyś mnie tam zawiózł – rzucił *moroppo*.

Zdziwiony Massimo spojrział na zwierzchnika.

– Może spotkałbym syna, który zmarł w zeszłym roku. Z tą myślą przybyłem tutaj, nie po to, by przenosić urząd na Orefine.

- Ależ tak, *don Pasquale* – skwapliwie rzekł podesta.
- Nie mogę jeszcze wypłynąć. Muszę wrócić do normalnego wyglądu – powiedział Lorenzo.
- Zaczekam.

XVI

Po tygodniu Lorenzo uznał, że mogą wyruszyć. Jego wygląd przestał zwracać uwagę. Bócline zarzekał się, że przyjaciel wygląda znakomicie. Lepszym dowodem było, że od paru dni Chiara już nie uciekała, gdy tylko wydała mu obiad czy wysprzątała izbę. Raz nawet zatrzymała się na dłużej i zjadła razem z nim.

O umówionej godzinie Lorenzo podpłynął pod schody podestii. *Don Pasquale*, odziany w długi czarny płaszcz i trójrożny kapelusz, już czekał na nabrzeżu. Lekko wspierał się na czarnej lasce o srebrzystej główce.

Lorenzo podał rękę staremu, by łatwiej mu było zejść z nabrzeża. Dostojnik skorzystał ze wsparcia i zręcznie wskoczył na barcę. Lorenzo odcumował i sztych za sztychem odepchnął łódź od brzegu. *Moroppo* usiadł na rufie, koło latarni. Gdy wypłynęli poza Signale, wiatr ospale wypełnił żagiel. Lorenzo najpierw kierował się na światełka rybaków. Wkrótce ich minął, gdyż wiatr przybrał na sile.

Gwiazdy schowały się za chmurami. Barka gnała pełnym żaglem, Lorenzo usiadł na burcie, by zmniejszyć przechył łodzi.

– Szybko dopłyniemy w tym wichrze, *signore* – powiedział do starca.

– Nie jestem pewien. – Pokręcił głową *don Pasquale*. – Jak odróżnisz światła Strażników od latarni rybaków?

– Wcześniej przyjdzie mgła, a światła, które się za nią pojawią, nie pomyli z niczym innym.

Coraz trudniej było utrzymać łódź na kursie. Lorenzo chciał jak najszybciej spotkać Monikę. Barka wdzięcznie cięła fale laguny. Mgła jednak nie nadchodziła.

Wreszcie zaczęło zbyt falować – musiał zrefować żagiel, ale i tak żegluga szła szybko i sprawnie. Przynajmniej on tak uważał, wypatrując oczy w ciemności.

Jeszcze później zaczęło świtać, mrok się rozrzedził. Mgła nie nadeszła. Gdy stało się na tyle jasno, by dało się określić położenie, Lorenzo ze zdumieniem zauważył, że zbliżają się do Orefine.

– Dlaczego...? – wybąkał.

– *Bubocco* zwodził nas przez noc. Niektórzy uważają, że to potrafi. – *Don Pasquale* wzruszył ramionami jak zmokłe ptaszysko. Nie wyglądał na zdziwionego. – Widocznie każdy musi sam popłynąć na Wyspę Umarłych.

Lorenzo nie odezwał się.

– Może jestem za stary, żeby zobaczyć syna.

– Zapytam o niego podczas następnej wizyty.

Tym razem to *moroppo* się nie odezwał.

Na samym cyplu Signale stała Chiara, trzymając w ręku koszyk. Lorenzo przycumował barkę. Chiara weszła na pokład, wspierając się na jego dłoni.

– Przechodziłam tu przypadkiem, kiedy wróciłeś – powiedziała, wzruszając ramionami.

Jednak nie było to całkiem prawdą, bo zaraz wyciągnęła z koszyka dzbanek z jeszcze ciepłą kawą i poczęstowała filiżanką najpierw dostojnika, potem nauczyciela.

Don Pasquale uśmiechnął się porozumiewawczo do urodziwej panny.

Chiara odpowiedziała mu niechętnym spojrzeniem dużych ciemnych oczu ocienionych długimi rzęsami.

Lorenzo odwiózł starca do podestii, a potem zacumował przy rzadko używanym *palino* przed swoim domem.

– Dopijmy tę kawę na balkonie. Świetnie zaparzona.

Gdzieś daleko na horyzoncie czerwona tarcza słońca już do połowy wychynęła spod morskich fal.

XVII

Moroppo odpłynął z Orefine, nie czekając na kolejną wyprawę Lorenzo. Jeśliby spotkał na Wyspie Umarłych młodego Ermane, *U grammatico* miał złożyć pisemną relację z wyprawy w podestii, a poczta dostarczyłaby ją *don* Pasquale. Zachowanie *moroppo* trochę dziwiło, ale mogło być formą wymaganą przez jego funkcję. Z drugiej strony, stary dostojnik wkrótce przechodził w stan spoczynku i wolny od nawału pracy, mógłby się przenieść na maleńką Orefine. A może po prostu starzec chciał uniknąć zatargu z młodym podestą?

Don Pasquale przesłał dobre plany małej galery na szesnaście wiosł – nie typowego galeasu, zwykle używanego do rejsów między wyspami. Dostarczono je specjalną przesyłką dla urzędu podestii, a Massimo wręczył projekt Lorenzo.

Chata Lorenzo odzyskała dawny wygląd. Chiara posadziła nowe kwiecie w drewnianych gazonach przed oknami. Sierpem przycięła trawę. Zadbala o wygląd sal szkolnych. Podesta wypłacał jej za tę pracę drobne kwoty.

Gdy Lorenzo wspomniał Chiarze o planowanej kolejnej wyprawie na Wyspę Umarłych, jej piękna twarz pociemniała.

– Dalej przyzywa cię *la Catacombara*... – mruknęła nadąsana, spuszcżając oczy.

„Ona jest o mnie zazdrosna?“, pomyślał zdziwiony, patrząc na jej smukłą sylwetkę, gdy Chiara krzątała się przy kuchni. „Taka piękność?“

Nie odezwała się więcej. Przygotowała mu koszyk z prowiantem na drogę, zawinęła się szczelnie w haftowaną chustę z frędzlami i zaraz wyszła bez pożegnania. Nawet nie spojrziała na niego.

Pogoda na wieczór nie popsuła się. Wygwieżdżone niebo zachęcało do nocnej podróży.

Płynąc wolno pod żaglem, co jakiś czas raczył się filiżanką gorącej kawy. Jej zapach przyjemnie odróżniał się od zapachu bryzy. Lorenzo ciepło pomyślał o troskliwości Chiary. Ledwie dopił filiżankę, gdy barka przyśpieszyła i opuściła poblizę latarni rybaków. Wkrótce też nadeszła znajoma mgła, wiatr zaś ucichł. Monotonny rytm wiosła przyzywał wspomnienia. Wreszcie z mroku wyłonił się oczekiwany zarys bladego pasma muru, a nad nim ciemnej czapy drzew. Barka zbliżała się ku bramie Tęczowego Strażnika. Lorenzo nie odgadł, dlaczego trafia akurat ku tej, a nie ku innej bramie.

Nie wysiadł z łodzi, lecz zawołał: – Szukam *moroppo don* Ermane, syna *don* Pasquale.

– Nie ma tu takiego. – Strażnik pokręcił głową. – Nie szukaj go u mnie.

Lorenzo powiosłował dalej. Płaskorzeźby zdobiące mur Wyspy Umarłych wydawały się dzisiaj wyjątkowo piękne i jakby inne, niż zapamiętał. A może po prostu odwykł od ich widoku? Nie, dzisiaj sporo czaszek i szkieletów, a między nimi nagie postaci urodziwych olbrzymek.

Wydawało się, że Pióroskrzydły Strażnik powitał go jak starego znajomego, bo pomachał mu dłonią, a może tylko strzepnął ją, ponieważ zdrętwiała od długotrwałego trzymania latarni?

Lorenzo zacumował i z rulonem pod pachą ruszył przed siebie.

– Wolniej! – Strażnik powstrzymał go stalowosilnym ramieniem.

– Taak...?

– Nie czuj się tu aż tak pewnie. Bądź uważniejszy. To nie jest twoje miejsce – opierzony olbrzym mówił głębokim basem.

– Dobrze... panie... – wydusił zaskoczony Lorenzo i poszedł już spokojniej.

Mónica czekała niedaleko bramy, jakby chowała się między cyprysami przed wzrokiem Strażnika.

– Tu możesz przypląć tylko sam – zaczęła z wyrzutem. – Dobrze, że nic wam się nie stało. *Bubocco* jak szalony wirował tamtej nocy. Bałam się o ciebie.

– Zdążyłbym na twoją galerę. – Uśmiechnął się.

– Przed tobą jest co innego. Lepiej patrz na serca, które cię otaczają, bo przegapisz swoje szczęście.

Nie zrozumiał. – Podesta przesłał ci plany galery. – Podał jej rulon. – To dla was. Skąd moglibyście mieć tutaj dobre projekty?

Mónica rozwinęła plan.

– Wygląda pięknie. Zaraz tu przyjdzie Gianluca.

– Zawołasz go?

– Nie muszę. Sam chciał z tobą porozmawiać o galerze. Rzeczywiście, nie poradził sobie z jej planami.

– A jest tu *don Ermane*, syn *moroppo don Pasquale*?

– Nie słyszałam o nim.

– Jak spisuje się cykada?

– Wypuściłam ją z klatki. Nie mogłam się powstrzymać.

– Nauczyła inne ćwierkać? Dalej cicho na tych cyprysach. – Rozejrzał się.

– Na wolności umilkła. Ćwierkała tylko w klatce. Może inne cykady przekonały ją, że tutaj ma panować cisza.

Pokiwał głową. – Pewnie już zginęła – powiedział. Drogą zbliżał się siwy starzec.

– To Gianluca?

Przytaknęła.

Stary zatrzymał się przy nich. Przetarł łyse ciemię, porośnięte rzadkimi siwymi włosami jak piórka.

– Gianluca, popatrz – Mónica zwróciła się do niego – Lorenzo przywiózł nam rysunki galery. Prezent od *moroppo don Pasquale Derpu*. Sprawdź, czy się przydadzą.

Szkutnik rozwinął rulon i oczy mu się zaświeciły. – Piękna – powiedział. – Ja już zapomniałem swojego fachu, ale według tego planu pokieruję robotą. Podziękuj swojemu mężowi, *signora Mónica*.

– On stoi tu obok.

– Dziękuję. – Stary pokiwał głową. – Kim ty jesteś, że zdołałeś do nas przyplłynąć aż trzykrotnie...?

Lorenzo wzruszył ramionami: powtarzać mu, dla kogo tu przybywa? Przecież to oczywiste.

Gianluca zainteresował się szkicem: – Ale my chyba trochę zmienimy ten plan... – Zastanowił się. – Będziemy wiosłować *al gusto veneto* – powiedział. – Wioślarz za wioślarzem.

– Nikt tak nie wiosłował żadną galerą. Na planie jest poprawnie: wiosła idą *al gusto classico*, po dwóch wioślarzy przy każdym.

Stary pokręcił głową. – Spróbujemy to zmienić.

– Obawiamy się, żeby galera nie zapadła się w ziemi – wyjaśniła Mónica. – Pionowo ułożone wiosła ułatwią odbicie się w powietrze.

Lorenzo był przeciwnego zdania. – Zbudujcie ją chociaż tak, by możliwe były oba sposoby wiosłowania. Na wszelki wypadek – powiedział.

– Jesteś coraz bledsza – zauważył, gdy już pożegnali skutnika.

– Tak się powinno dziać. Powinnam zacierać się w twoich wspomnieniach. – Uśmiechnęła się bardzo blado, po raz pierwszy, odkąd ją spotkał na Wyspie Umarłych.

Lorenzo próbował odpłynąć, jednak prąd czy może słabo wyczuwalny powiew wiatru skierował go ku bramie Czarnego Strażnika. Przybił więc do brzegu, mimo że chmurny olbrzym zawinął swoje światło nietoperzymi skrzydłami i mrocznie spoglądał na przybysza. Dzisiaj trzy pary rogów nad jego czołem tworzyły niemal wieniec.

„Nie wiem, czy powinienem tu wysiąść”, zapaliło się w mózgu ostrzegawcze światło. „On jest niebezpieczny”. Skoro jednak woda zaniósła go w to miejsce, Lorenzo wspiął się po śliskich stopniach.

Na Wyspie Umarłych ci, z którymi chcesz rozmawiać, jakby już czekali na twoje przybycie. Ledwie Lorenzo zastukał obcasami po białych kamieniach drogi, wśród cyprysów, niemal podbiegła do niego Giulia. Odruchowo odsunął się, wiedząc, że ich ciała nie mogą się zetknąć. Widział jej radość, niezwykłą u mieszkańców tej wyspy, domyślił się zaraz, co ona chce mu zakomunikować.

– Odnalazłam swoje serce! – to były jej pierwsze słowa.

– Jest tutaj, na swoim miejscu. – Położyła dłoń na piersi.

– Cieszę się.

– Ale na wszelki wypadek przestałam palić, żeby nie dymiło, póki rana się całkiem nie zablizni.

– Na pewno trudno było je odnaleźć.

– Nawet nie. Ten, co mi je wyrwał, był tu całkiem blisko. Paru innych też. Wystarczyło poszukać. On nadal trzymał je w kieszeni. Zaraz poznałam, bo kurtka mu w tym miejscu całkiem przesiąkła krwią.

– Oddał je po dobroci?

– A co mógł zrobić? – Zachichotała. – Oni już są po pas w ziemi. Takemu trudno się ruszać.

– Zapadają się?

– Tak. Dla nich poziom gruntu jest znacznie niżej, ale każda próba poruszenia się wymaga przewyciężenia oporu, jakby właśnie przepychał się przez ziemię.

– Ty też się zapadałaś.

– Tylko trochę. Odkąd zaczęłam szukać swojego serca, znów stąpam normalnie. Natchnąłeś mnie nadzieją.

Urwała na chwilę, zamyśliła się. Lorenzo też milczał.

– Wiesz, kiedy on wyrywał moje serce, kiedy umierałam, stale patrzył na mnie, a ja marzyłam, żeby wydłubać te jego wredne ślepie – powiedziała wreszcie.

Spojrzał na nią.

– Teraz nie mógłby się obronić. Jego dłonie były głęboko w ziemi. Bez trudu mogłabym to zrobić. Choćby patykiem.

– Nie zrobiłaś tego.

– Właśnie. Ani trochę tego nie chciałam.

Lorenzo uśmiechnął się. – Już nienosisz się na czarno – powiedział.

– Zmieniłam to. Pragnę polecieć, ale nikt tutaj nie zbuduje galery. Każdy z nich co dzień stąpa niżej. Gadać z głowami wystającymi z ziemi?

– Szukaj tych od Pióroskrzydłego Strażnika. Oni budują galery. Może wezmą cię ze sobą.

– Skoro radzisz, spróbuję do nich trafić. Ale ty nie przychodź już do tych wrót. Czarny Strażnik mógłby cię zatrzymać w zamian za mnie. Kiedy przysłania skrzydłami swoje światło, bywa naprawdę groźny.

– To już pójdę.

Lorenzo chyłkiem przemknął obok zgarbionej czarnej postaci. Usłyszał za sobą gwałtowny ruch i groźny ryk. Nie odwracając się, zrobił instynktowny unik, odbił od nabrzeża i wskoczył na barkę, aż zakolebała się dziko. Czarny Strażnik za nim nie pobiegł – widać jego funkcja nie

pozwalala opuszczać posterunku. Teraz warczał tylko groźnie i szczyrzył ostre, długie kły.

XVIII

Po powrocie Lorenzo zdołał jedynie dowieść się do chaty Bócline, by ten sporządził opis jego aktualnego wyglądu. Wezwana przez malarza Chiara nie mogła zabrać Lorenzo od razu: *U grammatico* był taki słaby, że nie był w stanie nawet pić zupy przez rurkę. Dopiero wieczorem dwóch opłaconych wieśniaków odniosło go do domu na drzwiach.

– Nawet już śmierdzisz jak trup – zrzędziła Chiara.

– Co się jeszcze z tobą stanie, *U grammatico*...?

Jego stan poprawiał się wolno. Przez kilka dni Lorenzo nie opuszczał łóżka, jednak wracał do normalnego wyglądu. Chiara nadal patrzyła na niego z przerażeniem. Jej spojrzenie było bardzo wymowne. Odetchnął, gdy znów popatrzyła na niego zwyczajnie. Stało się tak, gdy samodzielnie był w stanie unosić się na łokciach na łóżku. Potrafił już przełknąć łyk ciepłej zupy, przygotowanej przez Chiareę. Ordynowała mu gorące okłady, mówiła, że jest zimny jak zwłoki. Trupi odór ustąpił dzień później.

Chiara wyprowadzała go pod rękę, najpierw na balkon, potem gdy już dał radę zejść po schodach, na ławeczkę przed domem. Lorenzo popijał kawę, dobrzał. Dostrzegł troskliwość jej zabiegów. Gdy kosmyk ciemnobrązowych włosów opadł jej na nos, lekkim dmuchnięciem go przepędzała.

Podesta wezwał do siebie Lorenzo. Z jego oględnych wyjaśnień wynikało, że *don Ermane* został zasztyletowany przez człowieka, którego spadek po rodzicach przechwycił, wykorzystując swoje stanowisko. Często nadużywał pozycji dla własnego bogacenia się. Niegodziwiec był utrapieniem starego ojca. Lorenzo domyślał się, że mógłby znaleźć

młodego *moroppo* jedynie u Czarnego Strażnika, jednak obawiał się tam zbliżyć raz jeszcze, a poza tym nie było gwarancji, że głowa *don* Ermane nadal wystaje z ziemi.

Chiara rozpoczęła dla uczniów lekcje rzeźby. Wcześniej pomagała w warsztacie swojego dziadka i znała się na tym wystarczająco dobrze, by uczyć sztuki w małej szkole na Orefine. Podesta sam to zasugerował. Ujawnił, że jej wiedza była kryterium, na podstawie którego właśnie ją skierował do pomocy w szkole. „Nowe roczniki będą umiały rzeźbić, nie malować”, pomyślał Lorenzo.

Postanowił przyjrzeć się lekcji prowadzonej przez Chiare. Nie musiał się skrywać, wystarczyło, że przystanął na korytarzu – ona mówiła głośno, wyraźnie, przez przymknięte drzwi od sali lekcyjnej słyszeć było każde jej słowo.

Od początku potrafiła zainteresować dzieci zajęciami. Modelowali z gliny żółwia hodowanego w szkolnym terrarium. Nie musiała uciszać nieposłusznych. Jedyne jej strofowanie, to zabranianie uczniom mówienia *U Cadavere* na niego samego. Właściwie mógłby usiąść na ławeczce przed budynkiem szkoły i też by było dobrze słyszeć. „Może ona specjalnie nie domknęła drzwi?”, pomyślał.

Następnym lekcjom prowadzonym przez Chiare przysłuchiwał się, czekając na swoją kolej, właśnie na tej ławeczce. Wkrótce docenił wiedzę Chiary. W umiejętność rysowania też wprowadzała uczniów nie gorzej niż Mónica. Dzieci wołały lekcje prowadzone przez Chiare od nudnych wykładów z geografii, biologii czy matematyki prowadzonych przez Lorenzo. Potrafiła nawiązać lepszy kontakt z uczniami, a może po prostu zadecydował kontrast pomiędzy młodą, piękną kobietą a wzbudzającym przestrasz *U Cadavere*.

XIX

Czas od ostatniej wizyty płynął niezauważenie szybko. Kiedy Lorenzo uświadomił sobie, jak dawno był na Wyspie Umarłych, postanowił natychmiast odwiedzić Monikę. Obiecał Chiarze, że wizyta będzie krótka, aby na pewno dało się go potem odratować. Zatraskana odprowadziła go do mariny. Z daleka widział jeszcze jej maleńką sylwetkę stojącą na nabrzeżu. Podróż biegła w zwykłym rytmie. „Zawsze tak samo”, zastanowił się, kiedy mgła zaczęła układać się w pasma. „Czy to jest podróż moich myśli?”

Parę sztychów wiosłem. „Nie, gdy nie wolno było dopłynąć, *bubocco* nas nie dopuścił”, przypomniał sobie po chwili. „To podobieństwo drogi jest jakby drogowskazem na tę wyspę”.

Pióroskrzydły Strażnik zwracał mało uwagi na Lorenzo, siedział na chodniku tyłem do przybyłego. Gapił się w głąb bramy, latarnię postawił obok. Lorenzo, przechodząc, pozdrowił go cicho, ale olbrzym nawet nie zareagował, bacznie obserwując, co dzieje się na wyspie.

Przy bramie nie spotkał Moniki. Zaniepokoiło go to. Zdążył przyzwyczaić się, że ona zawsze na niego czekała. Ujrzał za to kilka nieznanych mu osób. Zaaferowani, obserwowali coś w głębi. Nie utrudniali mu przejścia, sami zbyt ciekawieni.

Dojrzał smukły kadłub galery. Zadarta rufa z nadbudówką, pawęż zwieńczona potrójną latarnią, rząd nieco uniesionych wioseł, ostry dziób, któremu Gianluca dodał krótki bukszpryt, jedna latarnia na galionie. Cały kadłub wykonano z drewna, Lorenzo nie zauważył żadnych okuć. Śledząc wzrokiem piękną formę kadłuba, bezbłędne krzywizny, Lorenzo niemal czuł opuszkami palców jasne, polerowane drewno. Gładkie, regularne

płaśnie, bez jednego zadziora. Nawet zawiasy oszklonych okien nadbudówki ktoś z wielką precyzją odrobił z drewna. Kilka osób stało na pokładzie nadbudówki, wspierając się o balustradę.

Dostrzegł tam purpurową plamę sukni Moniki. Otworzyła okienko latarni i rozpałała knot. Zawołał do niej. Mónica spostrzegła go i pomachała ręką. „Zaczekaj”, zdawała się mówić i kontynuowała swą pracę.

Zamknęła okienko latarni i zeszła po trapie do niego.

– To już dzisiaj – powiedziała. – Dobrze, że zdążyłeś.

Niewyraźnie się uśmiechnął: przecież znalazł się tu dzisiaj przypadkiem.

– Udała się ta wasza nawa. Piękna sylwetka i zdobienia.

– Niektóre ze zdobień sama projektowałam. Narysowałam tę klęczącą nimfę na pawęży. Podoba ci się?

– Świetnie trafione proporcje. – Podziwiał znakomicie oddane kobiece ciało. – Dobra jak ta kariatyda przy bramie.

– Ona mi pozowała.

– Ciężko ją było rysować od strony lądu, lepiej widoczna jest od strony wody.

– Poprosiłam ją, żeby tutaj przysła. – Mónica wzruszyła ramionami.

Nie odezwał się.

– Te dwie leżące panny na nadbudówce i obramowania okien, to też moje projekty. Chciałam, żeby ci się spodobało. – Uśmiechnęła się.

– A te tańczące morświny...? – Jemu też udzielił się dobry nastrój. Jakoś nie potrafił nie cieszyć się na jej podróż. Na pokład wchodzili kolejni pasażerowie. Niektórzy zajmowali pozycję przy wiosłach, inni krzatali się na pokładzie. Gianluca uwijał się wśród nich. On teraz nadzorował prace, chociaż trudno było uporać się z bałaganem. Brakowało tu oficera.

– I morświny, i konie morskie, i te fale. Właściwie wszystkie figury i większość wzorów. – Mónica była uradowana jak nigdy dotąd. Patrzyła, jak

piękny okręt sposobi się do rejsu.

– Morświny nie mają takich zabawnych dziobków jak delfiny, tylko krótkie pyski.

– Ale bawią się najweselej. Poza tym są najmniejsze, a tam było mało miejsca.

Teraz on się uśmiechnął.

Nagle ktoś nieostrożny uderzył, czy zbyt mocno oparł się na ustawionym pionowo wiosle, a galera uniosła się w powietrze, napinając cumy.

– Och! – krzyknęła Mónica. – Oni polecą beze mnie! Wśród zgromadzonych zapanowało poruszenie. Pokazywali sobie, co dzieje się na pokładzie.

– Lorenzo, tyle czekałam na tę galerę! – Jej spojrzenie niemal oznaczało: „Zrób coś”.

– Też chcę, żebyś nią pofrunęła – powiedział. Dopiero mówiąc to, uświadomił sobie, że właśnie tak myśli.

Spojrzała na niego z uśmiechem. – Dobrze. A ty masz wrócić na Orefine... – zawahała się – ...i nie wolno ci przegapić szczęścia, które jest ci jeszcze pisane.

Nie zrozumiał.

Ktoś z pokładu galery zrzucił trap. Linowa drabinka rozwinęła się, sięgając ziemi.

– Ktoś jeszcze powinien wsiąść – powiedział Lorenzo.

– Tak... spróbuję. Dziękuję za twoje wizyty.

– Mnie też były potrzebne.

– Tak. Tobie bardziej – powiedziała i odeszła w stronę trapu.

Najpierw ostrożnie obciążyła drabinkę swoim ciężarem, jakby obawiając się, że przez nią galera może zapaść się pod ziemię. Teraz stopień po

stopniu wspinała się po szczebelkach. Niewiele ich było: trzydzieści, najwyżej czterdzieści.

– Dlaczego oni nie odlecieli bez niej...? – spytał stojącego obok, patrząc na szkarłatną chorągiew sukni żony.

– Widać nie mogli odlecieć. Może cumy nie chciały puścić. – Nieznajomy wzruszył ramionami. – Sami z siebie przecież nie zrzuciliby trapu. Jak się już unieśli, to pozwolić komu, żeby im popsuł ten lot...? Na pewno byli zmuszeni to zrobić.

Nikt inny nie odważył się wspiąć po trapie śladem Moniki.

Ona wyszła na pokład nadbudówki, oparła się o balustradę relingu i pomachała mu dłonią. Lorenzo jej odmachął. Jakaś szczupła kobieta w ciemniejszym stroju stanęła obok Moniki. Giulia...?

Żałował, że żegna żonę, lecz cieszył się, że galera nie pofrunęła bez niej.

Ktoś rzucił cumy. Napięte liny strzeliły jak struny. Kilka osób odskoczyło. Wioślarze zaczęli mieszać powietrze. Paradoksalnie wprawilo to nawę w majestatyczny ruch. Galera wzbijała się w górę. Gdy silniejszy wiatr zaczął ich znosić, opuścili wiosła pionowo w dół, a Gianluca polecił podnieść żagle, oba w barwie nasyconego kraplaku, jak suknia Moniki. „Szybko zrobił się z niego dobry oficer pokładowy”, pomyślał Lorenzo, śledząc wzrokiem małą sylwetkę starego skutnika, koordynującego wysiłki załogi.

Wtem żagle roziskrzyły się srebrzyście, kierując galerę ku pojedynczemu promieniowi światła przenikającemu przez chmury. „Rosa się perli na żaglach?”, pomyślał Lorenzo, podziwiając nawę, która jak cudowny motyl kierowała się ku jasności. Tunel światła wyglądał jak drogowskaz dla podróżnych.

Mónica nadal machała do niego. Długo jeszcze widział jej maleńką sylwetkę, choć wcześniej przestał dostrzegać z oddali szkarłat jej sukni.

Gdy tonącego w słupie światła, maleńkiego ziarenka, w które przemieniła się frunąca galera, nie dało się wypatrzyć mimo łzawienia oczu, Lorenzo uświadomił sobie, że powinien tę wyspę opuścić jak najszybciej. Czuł, że przyzwolenie na jego pobyt tutaj zostało cofnięte, a każda dalsza chwila spędzona na Wyspie Umarłych mu szkodzi.

„Czy naprawdę zataczam się?“, pomyślał, idąc ku bramie. Ścieżka jakby chciała uciec spod nóg. „Nie, to tylko ja próbuję uniknąć zderzenia z mieszkańcami tej wyspy“.

Nie miał już pewności, czy to stojący na drodze zmarli, czy to wapienne płyty ścieżki. Wreszcie zobaczył wysoką, nagą ciemnoskórą kobietę, która gięła się jakby w pokłonie. „Ach, to ty“, powiedział do brązowej kariatydy i wsparł dłoń na jej udzie. „Teraz tylko nie spaść po schodkach do wody, bo utonę“. Na zielonym tle niewyraźnie jawił się ciemniejszy kształt. Lorenzo rozpoznał swoją łódź. Nie spróbował na nią wskoczyć. Pochylił się i złapał burtę. Z wysiłkiem przetoczył ciało przez nią i upadł na deski. Jeszcze odcumować. Jakiś czas zbierał siły, wreszcie podniósł się, sięgnął ręką, ściągnął cumę. Odepchnął się wiosłem od stopni. Barka oddaliła się od brzegu. Zaczęła jednak tracić swój pęd. Lorenzo przemógł się i podniósł. Sił starczyło jedynie, by wiosło pchnąć trzy razy. Znowu położył się na dnie. Wiedział, że powinien jak najszybciej oddalić się z tego miejsca, a nie napędzana barka zwalnia. Dlatego gdy tylko zdołał, znowu spróbował powstać i wiosłować. Zaraz osłabł, jednak łódź gnała już ku Orefine. Ten cykl udało mu się powtórzyć parokrotnie, zanim całkiem nie opadł z sił. Barka po jakimś czasie zatrzymała się i tylko miarowo kołysała na drobnych falach laguny, dźwigając nieprzytomnego Lorenzo.

XX

Nad ranem, gdy mgła rzedła, z mroku wyłonił się ciemny kształt małej łodzi, oświetlonej latarnią. Samotny żeglarz dostrzegł światło dryfującej barki, podpłynął i związał obie łodzie. Następnie przesiadł się do barki nauczyciela.

– Ależ cuchniesz – powiedziała cicho Chiara, przytykając usta chusteczką. – Dobrze, że nie widać tych upiornych plam opadowych – powiedziała. – A może ty już masz zielone plamy rozkładowe? – dodała z troską. Okryła go kocem. Jego skóra była zimna. – Lorenzo, daj się uratować – zabrzmiało jak prośba. Nie próbowała go poić gorącą zupą, nadal był nieprzytomny.

Wiedziała, że musi jak najszybciej dopłynąć z nim do Orefine, że tylko tam może go ocalić. Przywiązała swoją łódź i wzięła się do wiosłowania. Holowanie drugiej łodzi wymagało wielkiego wysiłku od dziewczyny. Płynęła bardzo powoli. Trupi fetor rozchodzący się od Lorenzo dodatkowo osłabiał: każdy oddech niósł mniej tlenu. Chiara jednak nie ustawała, twardo walczyła, by konwój obu łódek jak najszybciej dotarł do przystani.

Wreszcie powiał wiatr. Poprawiło się. Postawiła żagiel, obie łodzie popłynęły same. Świeże powietrze wywiało nieznośny odór. Mogła odpocząć po wiosłowaniu. Nie dopuszczała do siebie myśli, że się spóźni, ani tym bardziej, że już jest spóźniona. Po poprzedniej wizycie też naznaczyło go takim zapachem – to nie mogło mieć znaczenia.

Dopłynęła do mariny popołudniem. Musiała zapłacić za przeniesienie ciała Lorenzo do domu na drzwiach pożyczonych z oberży. Niosący go ostentacyjnie zatykali nosy. Nauczyciel wyglądał strasznie. Ciemne plamy

opadowe wyraźnie rysowały się na zielonożółtej powierzchni skóry. Trupi smród był nieznośnie silny.

Bócline przyszedł i opisał wygląd Lorenzo. Nie potrafił poradzić nic sensownego. Patrzył bezradnie i drapał się nerwowo po policzkach porośłych siwą szczecią. „Przesadził, przesadził z tą swoją tęsknotą”, powiedział wreszcie i zerknął badawczo na Chiare. Ta zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.

Wezwany lekarz nie potrafił nawet orzec, czy Lorenzo żyje jeszcze, czy też już zmarł. Pozostało więc czuwać przy nim i wymieniać gorące kompresy na nowe.

Wydawało się jej, że nie spała przez całą noc, jednak w tym czuwaniu przeskakiwały całe fragmenty rzeczywistości, a wreszcie jak za jednym błyskiem w pokoju zrobiło się jasno.

Znów musiała nastąpić jakaś przerwa w istnieniu, bo nagle Bócline siedział na łóżku obok i lekko potrząsał nią, trzymając dłoń na jej ramieniu.

– On się zbudził – powiedział Bócline, wskazując dłonią na leżącego.

Chiara spojrzała nieprzytomnie, próbując zrozumieć te słowa, a zaraz potem, już obudzona, uśmiechnęła się blado.

– Dobrze. Odgrzeję rosół – powiedziała i zebrała się z posłania. Po przesiedzianej nocy bolały ją wszystkie kości. Rozmawiać będą później, teraz pacjent potrzebuje ciepłej stawy.

Oczy Lorenzo zerknęły spod mokrego kompresu na czole. Były jeszcze pozbawione blasku, ale białka już odzyskały swój kolor. Chiara dostrzegła to. Podsadziła go na poduszce.

– Wrócisz z tego – powiedziała, podsuwając mu łyżkę rosółu. – Jedz jak najwięcej, nawet jeśli nie masz apetytu. Musisz się rozgrzewać.

– Za każdym razem tak go ratujesz? – spytał Bócline.

– Dotąd pomagało, teraz też się uda – powiedziała z nadzieją. – Ale nie pozwolę mu tam pojechać następny raz.

– Zabronisz mu? – Stary uśmiechnął się ironicznie.

Odpowiedziała mu nadąsana mina Chiary.

– Ja bym posłuchał na jego miejscu – powiedział Bócline.

To stwierdzenie nie poprawiło sytuacji, Chiara nie odezwała się, a tylko jej policzki poczerwieniały.

XXI

Lorenzo wrócił do zdrowia. Chiara go uratowała. Tak uważali zarówno Bócline, jak i podesta, któremu Lorenzo zrelacjonował swoją wyprawę. Ucieszyli się, że była to jego ostatnia wyprawa na Wyspę Umarłych, choć najbardziej uradowało to Chiare.

Dziwnego stanu, będącego następstwem pobytu na tej wyspie, nie udało się wyjaśnić. Wygląd i objawy niedwuznacznie pokazywały, że podróżnik ociera się o granice śmierci, a może nawet te granice przekracza. Lorenzo czuł jednak, że te jego odwiedziny u zmarłej żony przydały się im obojgu. Powtarzał słowa Moniki, że wyprawy „jemu były bardziej potrzebne”.

Kiedyś siedzieli przy kawie z Bócline. Zima nadeszła i wiatr miótł drobnutki śniegiem, więc ławę wniesiono do domu. Przed oknami barka Lorenzo kolebała się na krótkiej fali. Canale Grande był opustoszały, a niektóre fale były tak silne, że czasem łódź uderzała w *palino*. Podesta pozwolił za darmo cumować na Canale Grande, bo zimą woda na lagunie często była niespokojna. Dzisiaj nikt nie wypłynął na połów.

Chiara podała drobne ciasteczka, słodkie i aż gęste od bakalii. Doskonałe do gorzkiej kawy. Wspominali, jak wyglądał Lorenzo, gdy ratowała jego życie ostatnim razem. Bócline stwierdził, iż nie miał wątpliwości, że Lorenzo był wtedy martwy. Chiara nie chciała się zgodzić, może zaskoczona myślą, że przyjdzie jej poślubić byłego trupa.

– Nie chce, żeby uczniowie nazywali ją *la Cadavera* – powiedział Lorenzo.

– Obleję cię kawą – pogroziła, trzymając dzbanuszek w dłoniach, chociaż jej oczy mówiły co innego.

- Nie nazwą. Ani śladu podobieństwa do Lorenzo – włączył się Bócline.
- Nadstaw mankiet. Ciebie też obleję. Zresztą dobrze mu tak, najpierw *la Catacombara* teraz *la Caddvera*. – Chiara roześmiała się w głos.
- Dobrze mi tak, nie chcę niczego innego. – Lorenzo skinął głową. – Jest wiele rzeczy nierozwiązanych – zmienił temat. – Na przykład wiosłujemy *algusto veneto* albo *al gusto classico*. Słowo *veneto* jest niejasne – powiedział nagle.
- Trzymając wiosła albo pionowo albo poziomo – wyjaśnił malarz. – *Veneto* to stare określenie na *verticale*.
- *Veneto* to inne słowo. Pochodzi od nazwy miasta z bajki. Zresztą nikt z nas nie był nawet w Malamocco, o którym Chiara uczy dzieci w szkole. A czy i to miasto istnieje...?
- Do Malamocco można dopłynąć laguną. Trzeba stale kierować się na północny wschód.
- Tak stoi w programie szkolnym. Ale czy kto próbował tam dotrzeć? My pływamy wyłącznie do paru najbliższych wysepek, trochę żeglujemy przy połowach. Pływanie na północny wschód nie udaje się, wiatr nie pozwala, wzburzone morze powstrzymuje.
- Przecież regularnie przybywają do nas z zaopatrzeniem, ze wszystkim. Straganiarze przywożą warzywa i owoce – włączyła się Chiara.
- Ale to oni przywożą nam owoce i warzywa. Nikt z naszych nie może zabrać się z nimi i popłynąć na ich wyspy.
- Bo jest przesąd, że wożenie obcych swoją barką sprowadzi nieszczęście. Nikogo nie namówisz, żeby ciebie wziął – powiedział Bócline.
- Może to tylko przesąd, a może dla nas opuszczenie naszych wysepek jest niemożliwe – powiedział Lorenzo.

- Może masz rację. – Malarz uśmiechnął się. – Ale w zamian za naszą samotność dostaliśmy balsam długich pożegnań – powiedział.
- Nikt z tego wcześniej nie korzystał.
- Widać nie potrzebowali, albo dopiero ty odkryłeś, że nam to darowano.

*Fusina–Cortina d'Ampezzo–Kraków,
15 sierpnia–15 września 2005*